

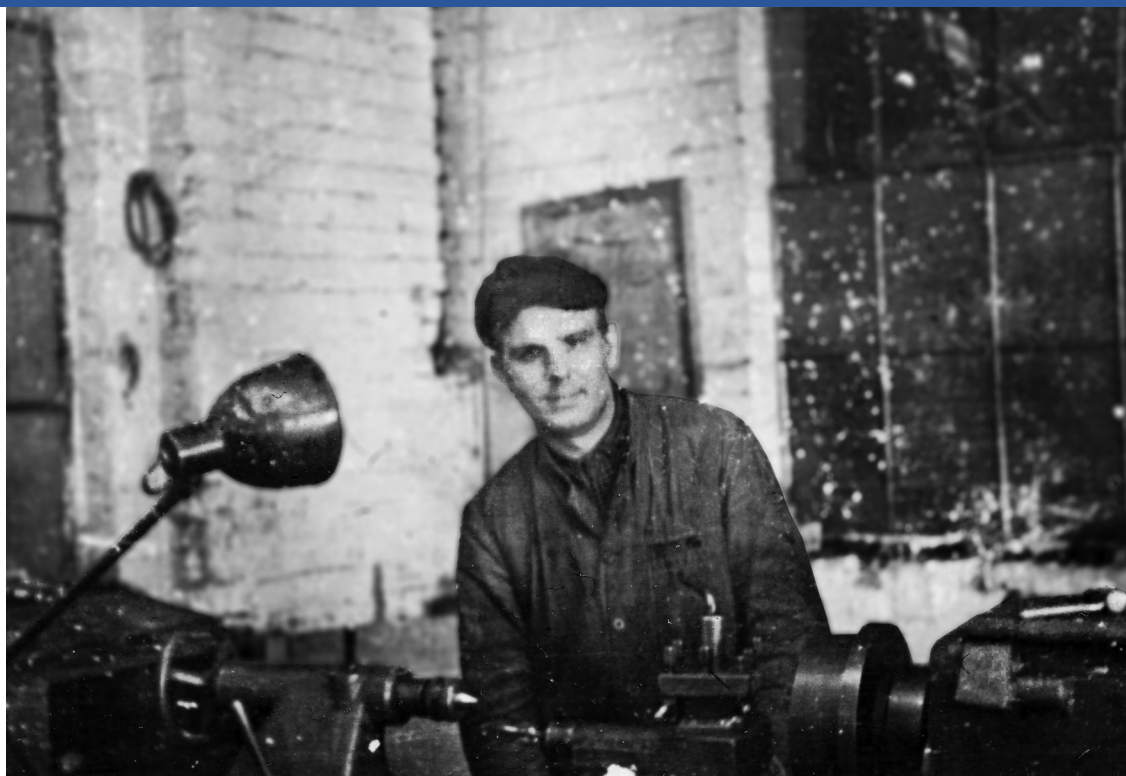
Czesław Mirosław Szczepaniak

Czesław M. Szczepaniak

Czwarty alfabet

Portrety

Czwarty alfabet - Portrety



Czwarty alfabet

Portrety

Czesław Mirosław
Szczepaniak

Czwarty alfabet
Portrety

Tarczyn 2021

Projekt okładki: Paweł Piotr Szczepaniak

Opracowanie typograficzne: Andrzej Tomaszewski

Redakcja, korekta: Alfred Kohn

© Copyright by Czesław Mirosław Szczepaniak
i Grażyna Szczepaniak, 2021

ISBN 978-83-958646-0-5

Wydanie I

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie,
ul. J. Stępkowskiego 17, 05-555 Tarczyn,
www.gok-tarczyn.pl, e-mail: gok@tarczyn.pl

Druk i oprawa: Drukarnia J. J. Maciejewscy,
06-300 Przasnysz, ul. Gdańska 1

Na stronie tytułowej zamieszczono zdjęcie z końca lat 50. XX wieku.

[Dzisiaj w tym miejscu jest Restauracja Odjazd, ul. Henryka Sienkiewicza 14 (Piaseczno, wjazd od ul. Wojska Polskiego)].

Na fotografii Czesław Szczepaniak (1930–1986), tokarz z warsztatów kolei wąskotorowej w Piasecznie. Starszy rzemieślnik obróbki skrawaniem, który znał dotyk żelaza i mosiądzu. (Wiedział, że kropla rdzy skruszy stal – beton rozbroi). Na chwilę się oderwał od maszyny, która obrabiała na okrągło.

Mój tata nie przeczytał żadnego mojego tekstu. Zapamiętałem, że nieraz mi powtarzał: *Synu, nie oczekuj pochwał za pracę.*

Masz dobrze pracować, a opieprzyć zawsze ciebie mogą...

Spis treści

13 Zaczątek

A

- 15 Ignacy Adamik (zm. 10 II 1992)
- 18 Louis Armstrong (4 VIII 1901 – 6 VII 1971)
- 19 Adam Asnyk (11 IX 1838 – 2 VIII 1897)

B

- 20 Kazimierz Banat (1945–2015)
- 22 Małgorzata Baranowska (15 III 1945 – 22 I 2012)
- 23 Lesław Marian Bartelski (8 IX 1920 – 27 III 2006)
- 24 Jan Bartkowski
- 25 Władysław Bartoszewski (19 II 1922 – 24 IV 2015)
- 26 Zdzisław Beksiński (24 II 1929 – 21 II 2005)
- 28 Józef Benedykciak
- 30 Miron Białoszewski (30 VI 1922 – 18 VI 1983)
- 33 Agata Bielawska
- 35 Bogusz Bilewski (25 IX 1930 – 14 IX 1995)
- 37 Prof. dr hab. Jan Błoński (15 I 1931 – 10 II 2009)
- 40 Krystyna Maria Bochenek (z domu Neuman)
(30 VI 1953 – 10 IV 2010)
- 42 Nuchim Bomse (1906–1954)
- 43 Marian Brandys (25 I 1912 – 20 XI 1998)
- 43 Wilhelm Brasse (3 XII 1917 – 23 X 2012)
- 44 Charles Bukowski (16 VIII 1920 – 9 III 1994)
- 45 Andrzej Bursa (21 III 1932 – 15 XI 1957)
- 47 Bohdan Butenko (8 II 1931 – 14 X 2019)

C

- 47 George Charpak (1 VIII 1924 – 29 IX 2010)
- 48 Antoni Chodorowski (7 VI 1946 – 15 II 1999)
- 54 Wanda Chotomska (26 X 1929 – 2 VIII 2017)
- 56 Erazm Ciołek (24 VI 1937 – 13 XI 2012)

- 58 Prof. dr Halina Ciołkosz-Łupinowa
(6 XI 1931 – 23 XI 2003)
- 60 Jan Czopik-Leżachowski (1 II 1938 – 27 XII 1977)
- 60 Maria Alicja Czubaszek-Karolak (9 VIII 1939 – 12 V 2016)
- 61 Mieczysław Czychowski (26 V 1931–23 I 1996)

D

- 64 Bohdan Drozdowski (20 XI 1931 – 2 IV 2013)
- 66 Stanisław Drózdź (15 V 1939 – 29 III 2009)
- 67 Dr Hanna Dworakowska (31 I 1908 – 25 IV 1984)
- 69 Małgorzata Dydek (28 IV 1974 – 27 V 2011)

F

- 70 Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989)
- 76 Władysław Fogt

G

- 79 Prof. Wiesław Garboliński (2 I 1927 – 31 VIII 2014)
- 80 Ignacy Igoń-Gąsiorowski (1915–1999)
- 83 Jan Gerańczyk
- 85 Anna German (14 II 1936 – 27 VIII 1982)
- 86 Józef Gielo (5 I 1934 – 3 III 1981)
- 88 Przemysław Gintrowski (21 XII 1951 – 20 X 2012)
- 89 Jan Maria Gisges (15 I 1914 – 17 XII 1983)
- 90 Janusz Głowacki (13 IX 1938 – 19 VIII 2017)
- 93 Wojciech Górski (23 IV 1849 – 11 II 1935)
- 96 Stanisław Grabski (11 II 1938 – 22 XI 2003)
- 102 Andrzej Graczykowski (9 V 1947 – 13 VI 2017)
- 104 Stanisław Grochowiak (24 I 1934 – 2 IX 1976)
- 105 Józef Andrzej Grochowina
- 106 Jerzy Grotowski
(11 VIII 1933, Rzeszów – 14 I 1999, Pontedera)
- 108 Prof. Maria Grzegorzewska (18 IV 1888 – 7 V 1967)
- 119 Marian Grześczak (22 III 1934 – 27 I 2010)
- 120 Kazimierz Grześkowiak (4 III 1941 – 12 I 1999)

H

- 121 Adam Hanuszkiewicz (16 VI 1924 – 4 XII 2011)
- 122 Jerzy Harasymowicz (24 VII 1933 – 21 VIII 1999)
- 124 Julia Hartwig (14 VIII 1921 – 14 VII 2017)
- 124 Stephen Hawking (8 I 1942 – 14 III 2018)
- 125 Heródek
- 126 Jan Huszcza (24 XII 1917 – 26 VI 1986)
- 128 Władysław Huzik (18 V 1945 – 13 IX 2004)

I

- 132 Zofia Maria Konstancja Iwańska-Nowak (1943–2013)
- 133 Jarosław Iwaszkiewicz (20 II 1894 – 2 III 1980)

J

- 134 Doc. dr hab. Kazimierz Jankowski
(17 VII 1931 – 14 VIII 2013)
- 135 Alina Janowska (16 IV 1923 – 13 XI 2017)
- 136 Bolesław Janowski
- 137 Irena Jarocka (18 VIII 1946 – 21 I 2012)
- 139 Mieczysław Jastrun (29 X 1903 – 23 II 1983)
- 139 Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski (19 X 1935 – 2 XII 2009)
- 141 Wiesław Jażdżyński (9 IX 1920 – 26 VII 1998)
- 142 Wieniedikt Wasiljewicz Jerofiejew (24 X 1938 – 11 V 1990)
- 143 Kalina Jędrusik (5 II 1930 – 7 VIII 1991)
- 143 Helena Jupowicz

K

- 145 Wacław Kaczorowski
- 146 Zygmunt Kałużyński (11 XII 1918 – 30 IX 2004)
- 147 Marek Karewicz (28 I 1938 – 22 VI 2018)
- 148 Tymoteusz Karpowicz (15 XII 1921 – 29 VI 2005)
- 149 Eugenia Kawecka (Ciocia Enia)
(28 VII 1905 – 20 VIII 1989)
- 152 Eugenia Kawecka i Erazm Ciołek
- 153 Wiesław Kazanecki (10 I 1939 – 1 II 1989)

- 155 Prof. dr med. Antoni Kępiński (16 XI 1918 – 8 VI 1972)
- 155 Bronisława Klejmont
- 159 Wacław Ewaryst Klejmont (25 IV 1947 – 13 V 2011)
- 168 Dr n. med. Tadeusz Klekowski (1901–1972)
- 171 Krzysztof Klenczon (14 I 1942 – 7 IV 1981)
- 172 Prof. dr hab. Barbara Agnieszka Koc (1925 – 9 VIII 2013)
- 174 Jan Kochanowski (1530–1584)
- 175 Jan Kolary
- 176 Krzysztof Komeda (27 IV 1931 – 23 IV 1969)
- 177 Dr Halina Konaszewska
- 179 Władysław Kopaliński, właśc. Władysław Jan Stefczyk
(11 XI 1907 – 5 X 2007)
- 182 Urszula Koperska
- 183 Prof. Hilary Koprowski (5 XII 1916 – 11 IV 2013)
- 185 Jerzy Nikodem Kosiński (14 VI 1933 – 3 V 1991)
- 187 Prof. dr hab. Janusz Kostrzewski (10 III 1930 – 29 XI 2012)
- 189 Tadeusz Kościuszko (4 II 1746 – 15 X 1817)
- 190 Prof. Tadeusz Kotarbiński (31 III 1886 – 3 X 1981)
- 192 Maria Dorota Kowalska
- 193 Marek Arpad Kowalski (1942 – 19 VI 2013)
- 195 Karl Kraus (28 IV 1874 – 12 VI 1936)
- 196 Dr n. med. Kazimierz Kucharczyk
- 201 Piotr Kuncewicz (19 III 1936 – 9 IV 2007)
- 204 Józef Kuśmierek (16 III 1927 – 27 III 1992)
- 204 Irena Kwiatkowska (17 IX 1912 – 3 III 2011)
- 206 Tadeusz Kwiatkowski-Cugow (22 I 1940 – 6 VI 2008)

L

- 208 Janusz Leppek (4 III 1954 – 9 VIII 1999)
- 208 James Lepton (1926–2020)
- 209 Bolesław Leśmian (22 I 1877 – 5 XI 1937)
- 210 Dr n. hum. Kazimierz Leśniak (31 III 1911 – 13 XI 1987)
- 217 Prof. Otton Lipkowski (5 IX 1907 – 12 X 1982)

Ł

- 218 Maria Łopusiewicz

M

- 222 Tadeusz Franciszek Machnowski (4 X 1937 – 30 VIII 2020)
 223 Maciek Maliszewski (3 III 1977 – 29 XI 1988)
 225 Aleksander Maśląg
 228 Prof. dr hab. Stanisław Mauersberg
 (26 VII 1924 – 16 VIII 2012)
 229 Bolesław Miciński (23 IV 1911 – 30 V 1943)
 229 Adam Mickiewicz (24 XII 1798 – 26 XI 1855)
 233 Eugeniusz Mikołajewicz
 235 Halina Stefania Miroszowa (28 IX 1920 – 1 VIII 2014)
 236 Karol Modzelewski (23 XI 1937 – 28 IV 2019)
 237 Maria Mroczkowska-Schulc (26 X 1938 – 13 V 2008)

N

- 243 Prof. dr n. med. Jan Nielubowicz (28 X 1915 – 2 II 2000)
 246 Julian Ursyn Niemcewicz (16 II 1757 – 21 V 1841)
 249 Czesław Niemen (16 II 1939 – 17 I 2004)
 250 Doc. dr Alina Nofer-Ładyka
 253 Wanda Nowak
 254 Czesław Nowicki (24 III 1928 – 29 II 1992)
 255 Krzysztof Nowicki (6 III 1940 – 30 III 1997)
 256 Dr Eugeniusz Nurowski (1924–1998)

O

- 258 Andrzej Ogonowski

P

- 259 Pan Defrys
 260 Państwo Defrysowie
 263 Pan Stefan z Zagórza
 264 Pani Kwaśniewska z Łodzi
 365 Pani Pawlakowa z Łodzi

- 267 Pan Marian, dorożkarz
- 268 Papusza (1909–1987)
- 274 Dom Pierre Pérignon (1638 – 14 IX 1715)
- 274 Bożena Plewińska (1924–1997)
- 276 Izrael Salmanowicz Poznański (1833–1900)
- 278 Łucja Prus (25 V 1942 – 3 VII 2002)
- 278 Kazimierz Przerwa-Tetmajer
(12 II 1865, Ludźmierz – 18 I 1940, Warszawa)

R

- 281 Feliks Rajczak (30 VII 1938 – 14 IV 1987)
- 282 Helena Raszka (24 I 1930 – 17 V 2016)
- 284 Prof. Zbigniew Religa (16 XII 1938 – 8 III 2009)
- 288 Zdzisław Rogalski
- 290 Julian Rogoziński (24 IV 1912 – 6 I 1980)
- 291 Maciej Jerzy Rybiński (5 III 1945 – 22 X 2009)

S

- 292 Prof. Artur Sandauer (14 XII 1913 – 15 VII 1989)
- 295 Henryk Sekulski (30 IX 1952 – 26 VII 2011)
- 298 Prof. dr hab. n. med. dr h.c. Andrzej Seyfried
(27 VII 1922 – 5 I 2009)
- 300 Wojciech Siemion (30 VII 1928 – 24 IV 2010)
- 302 Eustachiusz Siwiński
- 304 Maria Salomea Skłodowska-Curie (7 XI 1867 – 4 VII 1934)
- 305 Piotr Cezary Skrzynecki (12 IX 1930 – 27 IV 1997)
- 307 Helena i Stanisław Skwierowscy
- 309 Czesław Ślania (22 X 1921, Czeladź – 17 III 2005, Kraków)
- 310 Jan Zbigniew Słojewski (12 I 1934 – 9 VIII 2017)
- 311 Bolesław Smętek
- 313 Prof. dr hab. med. Bogolub Sotirov (1927 – 5 XII 2010)
- 316 Dr Szymon Starkiewicz (22 VIII 1877 – 1 I 1962)
- 320 Prof. dr hab. Irena Stasiewicz-Jasiukowa
(11 II 1931 – 21 III 2011)

- 326 Dr Zuzanna Stromenger (28 XII 1925 – 31 III 2011)
- 328 Władysław Strzemiński (21 XI 1893 – 26 XII 1952)
- 328 Jan Suzin (12 IV 1930 – 22 IV 2012)
- 329 Genowefa Szafarska
- 332 Anna Szałapak (22 IX 1952 – 14 X 2017)
- 335 Jerzy Szaniawski (10 II 1886 – 16 III 1970)
- 339 Prof. dr hab. Andrzej Szczeklik (29 VII 1938 – 3 II 2012)
- 342 Piotr Szczepanik (14 II 1946 – 20 VIII 2020)
- 343 Prof. Jan Szczepański (14 IX 1913 – 16 IV 2004)
- 345 Andrzej Szmidt (1 X 1933 – 18 XII 2006)
- 347 Szmigiel z Zagórz
- 347 Stanisław Szmyrko
- 348 Janusz Szuber (10 XII 1947 – 1 XI 2020)

Ś

- 351 Tadeusz Śliwiak (23 I 1928 – 3 XII 1994)
- 352 Mateusz Święcicki (10 IX 1933 – 7 VIII 1985)

T

- 354 Władysław Terlecki (18 V 1933 – 3 V 1999)
- 355 Ks. prof. Józef Tischner (12 III 1931 – 28 VI 2000)
- 356 Wacław Tkaczuk (30 III 1942 – 5 I 2018)
- 358 Bohdan Tomaszewski (10 VIII 1921 – 27 II 2015)
- 358 Jerzy Tomaszewicz (24 VI 1944 – 20 VII 2001)
- 359 Tomasz Zbigniew Mikołaj Tosik (29 XII 1933 – 29 X 2009)
- 360 Zygmunt Trziszka (10 XII 1935 – 9 VIII 2000)
- 361 Ks. Jan Twardowski (1 VI 1915 – 18 I 2006)

V

- 364 Prof. Jerzy Adam Gracjan Vetulani (21 I 1936 – 6 IV 2017)

W

- 365 Jerzy Waleńczyk (2 X 1927 – 12 VII 1994)
- 366 Jerzy Wilmański (16 IV 1936 – 16 XII 2005)
- 368 Jan Witan (2 VI 1943 – 4 IV 2002)

- 369 Wiktor Wołkow (4 IV 1942 – 27 III 2012)
- 371 Wiktor Woroszyński (8 VI 1927 – 13 IX 1996)
- 372 Stanisław J. Woś (16 X 1951 – 11 IX 2011)
- 374 Wojciech Woźniak
- 375 Andrzej Wróblewski, Ibis (26 VII 1922 – 20 III 2002)
- 376 Prof. Kazimierz Wyka (19 III 1910 – 19 I 1975)
- 377 Kazimierz Wypych
- 378 Halina Wyrodek (14 IV 1946 – 12 VIII 2008)

Z

- 380 Jerzy Zagórski (13 XII 1907 – 5 VIII 1984)
- 382 Zbigniew Zapasiewicz (30 VII 1928 – 24 IV 2010)
- 383 Andrzej Zaucha (12 I 1949 – 10 X 1991)

Ż

- 383 Jadwiga Żukowska (13 VII 1922 – 4 VIII 1996)

- 387 Posłowie

- 393 Bibliografia alfabetów, jakie wydałem

Zaczątek

Czwarty alfabet dotyczy cyklu portretów tych, co byli i odeszli. A zacząłem to skreślać tak niespodziewanie, bo z pamięcią różnie bywa – nie wiadomo, kiedy nas odwiedzi profesor Alzheimer.

W 1993 roku zacząłem pisać cykl z serii biografie. Czyli *Ramki do portretów*.

Fragment większej całości wysłałem do miesięcznika „Twój Styl”. Dnia 20 grudnia 1994 roku wdepnąłem do redakcji przy ulicy Świętojerskiej 5/7. Mieczysław Machnicki, odpowiedzialny za „Magazyn”, powiedział, że artykuł będzie publikowany. Zostanie wykreślone tylko ostatnie zdanie, tj. *Ramkę zbijał: Czesław Mirosław Szczepaniak*.

– Dlaczego? – zapytałem.

– „Twój Styl”, panie Czesławie, to nie stolarnia!

Mieczysław Machnicki, rocznik 1943, poeta-dziennikarz kolorowego miesięcznika, wybił mnie z pantałyku. Ale nie do końca, bo w 1996 roku wydałem nakładem własnym *Ramki do portretów*. Jeden z 50. egzemplarzy wysłałem do Wacława Ewarysta Klejmonta z Olecka, który napisał notę liryczną: (...) *Znów mnie zaskoczyłeś nowym cymelium swojej podniebnej firmy wydawniczej. Zaskoczyłeś i... prze-raziliś! Gdzie mnie chudopachołkowi x-owej (iksowej) prowincji pchać się pomiędzy najprzedniejsze pióra, piórka i pędzla Rzplitej! Pomiędzy portretami TAKICH WIELKOŚCI TALENTU I SERCA drży moja rameczka jak siatka nerwów po jesiennym liściu wiosną w cieniopodobną pajęczynę przemieniona* (Olecko, 15/16 września 1996 r.).

Ramki pozbierałem i wydałem jako *Drugi alfabet*, 1997.

W 2004 roku w mojej edycji w nakładzie 25 egz. ukazał w formie zeszytu zszytego drutem 12-stronicowy alfabet stołeczny. Tomasz Kwaśniewski, urodzony w 1973, skreślił o druczku zwartym m.in.: (...) *Czesław Mirosław Szczepaniak, czytelnik „Gazety” zainspirowany naszą wakacyjną akcją, własnym sumptem wydał niewielką książeczkę pt. „Alfabet warszawski (bardzo subiektywny)”* (Spec od al-

fabetów. Alfabet warszawski. Nasza zabawa natchnieniem dla czytelników, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3 sierpnia 2005 roku).

Wspominam o tych przygodach przy pracy, kiedy mżołą się nad rozpisywaniem oraz skreślaniem o tych, którzy byli i odeszli.

Aha!

Skrobie o tym, być może pastewnie, bo w tego rodzaju sprawy, pszczoł i trzmieli oraz mrówek nie chcę wzmieszać. Wystarczy, że owady rządzą i żądają, i zapylają. Pisząc portrety, zachowuję się jak ten, co zbija ramki. Po prostu staram się, żeby było w dechę, lub, inaczej, w deseczkę!

PS

W niniejszym alfabecie zdarzają się powtórki cytatów albo wtretów; nie jest to maniera – nie miałem odwagi ich przekreślić. Jeżeli to Czytelnika razi – przepraszam, spróbuję w następnym wydaniu je wyrugować. Gdybym gdzieś w tekście dopuścił się uchybień, proszę o łagodny wymiar perswazji. Zamiast wymówki, przypomnę powiedzenie doświadczonych korektorów: suma błędów jest stała.

Cyzelunek to nie tylko rzemiosło, ale rzecz trudna jak majstersztyk.

Poza tym chciałbym wyjaśnić, dlaczego słowo Biały/Białe piszę dużą literą. Nie jest to moje widzimisię. Lata spędzone w szpitalach/sanatoriach zostawiły ślad – korzystam z przywileju pacjenta. W latach 1957–1970 przebywałem w Białych ścianach. Ja z nich wyszedłem, ale one we mnie siedzą. Na pamiątkę tamtych czasów, wyróżniam Biel spośród innych wyrazów, które po latach nabrały kolorów. Biel, rzeczownik, podnoszę do rangi nazw własnych.

Raz w roku skręcałem drewniane kule. Póki żył mój ojciec Czesław (1930–1986), to wszystko było w jego głowie i rękach. Od śrub, szajb do drewna. Tata do roboty kul zabierał się zwykle pod koniec wakacji. Ponieważ był rzemieślnikiem (obróbka skrawaniem), więc można by pomyśleć, że taka praca w drewnie to była dla niego pestka. Ale nic z tych rzeczy. Sęk w tym, że kul nie lubił skręcać, jak większość fachowców. Ojciec toczył śruby na tokarce. Z mosiądzu. Różną dębowe listewki, obtaczał ręczki. Mozolił się. Pomagałem mu podczas montażu. Drewno czyściłem papierem ściernym, drobnoziarnistym. A potem malowałem styliki lakierem bezbarwnym. Kule mojego ojca były solidne – na lata.

Kiedy zabrakło ojca, los się do mnie uśmiechnął. Styliki skręcałem ze Zdzichem Chmielewskim z Głowna. Jego teść, pan Kazimierz Wypych, jak przystało na zawodowego tokarza, wykonał śruby, podkładki oraz nakrętki. Czyli to, co spina. Oczywiście, że za usługę nie wziął nawet symbolicznej złotówki. Pan Kazimierz ładnie mówił o moim ojcu, że to *był pan tokarz*. Kilka razy odwiedzałem go w bloku przy ul. Sikorskiego 7.

Drewno na moje podpórki, które idą za mną już tyle lat, pochodziło z wleńskich drzew.

W 1987 roku poszliśmy z Michałem Fludrem, wychowawcą z sanatorium dziecięcego PKP „Leśny Dwór”, do stolarza, pana Ignacego Adamika. Było przed godz. 9. Zapukaliśmy nieśmiało. Drzwi otworzyła pani Adamikowa. Przy stole siedział małżonek i pił kawę w szklance, co stoi na spodeczku. Witamy się i mówimy, co nas sprowadza. Pan Adamik informuje, że jak wypije mocną kawę, to zajmie się sprawą. Siadamy do stołu i pijemy mocną dużą czarną.

Po dłuższej chwili pan Adamik mówi, że ma na składzie taką wysezonowaną deskę grabową. *Jest w wiacie, szósta, od lewej strony, przy ścianie...*, informuje. Michał w eleganckiej marynarce, bo w takiej chodził w gości, wstaje i idzie, aby przerzucać deski.

Zostałem z państwem Adamikami. Zapaliłem papierosa.

Michał po dłuższej chwili wraca z deszczułkami na ramieniu. Pani Adamikowa chce mu wyczyścić zakurzoną górną część garnituru. Michał odpowiada, że nie trzeba, bo jeszcze się dzisiaj ubrudzi.

Panie Adamik, ile sobie pan życzy za tę deskę i pocięcie jej na listewki? – pytam.

A na co ona będzie? – odpowiada pytaniem.

Na kule – informuję.

Nic nie wezmę, bo to byłby, panie, grzech – wyjaśnia wleński cieśla.

W takiej sytuacji proszę Michała, żeby mi podał torbę i wyjmuję kilka butelek piwa. Złoty trunek kładę na stół. Jak kwiaty dla mężczyzny.

Niech to będzie, żeby nie było, że przyszliśmy z pustymi rękoma – dodaję.

Zostawiam karteluszek z wymiarami listewek.

Pan Adamik na do widzenia radził Michałowi, żeby grabowe listewki wygotować w oleju, aby można było je ukształtować, bo grab dość trudno się profiluje i pęka.

Ignacy Adamik – to był *w dechę* człowiek.

(Dla tych, co nie wiedzą, co mam na myśli, przypomnę, że *w dechę!* – tak chwalono drzewiej kogoś, kto wykonał dobrą robotę, i nie czekał na komplementy).

Pokot, Ignacy Adamik (zm. 10 II 1992). Wspomnienie. Na miarę Wlenia (18) [w:] wleninfo.pl, 5 maja 2019 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/?p=3589>.

Fot. Ireneusz Szczepaniak, Aleja kasztanowców przy trasie E77 między Pamiątką a Kopaną koło Tarczyna. Pokot starych drzew, ściętych pilarką/piłą łańcuchową. Kto by tam się mordował i używał piły poprzecznej *Twoja-Moja*.

Oto jak niektórzy się spieszą, żeby tylko szybciej powstała droga. Oby jazda nie skończyła się tak, jak w powieści Jana Komolki, rocznik 1947, *Ucieczka do nieba*, PIW, 1980.

[Komentarze]

Teresa W., 5 maja 2019 roku, niedziela, godz. 12:13 *Pan Adamik był zawsze dobrym człowiekiem. Bardzo dobrze go wspominam.*

zawiedziony, 5 maja 2019 roku, niedziela, godz. 13:47

Panie Mirku, pięknie Pan o łzach pisze, że „czyste i łniące” ma dobry człowiek. Są łzy szczęścia, wzruszenia, radości, żalu po stracie bliskiej osoby, one są czyste, od serca... Są jeszcze łzy, które serca nie oczyszczają. Zbrodniarze od wycinania drzew nie mają łez...; im nie żal..., nie płaczą. Nigdy w życiu drzewa nie posadzili, a do wycinki pierwsi, jakby chwasty wyrrywali, z zimną krwią. Czy można być dobrym człowiekiem wycinając stare drzewa, które przed takimi nie mogą się schować? Które zostały ocalone przez pokolenia, burze, wichury i wojny?!

My teraz we Wleniu mamy takiego zucha, który powycinał stare drzewa, bez potrzeby. Ten Zuch ma wielką potrzebę niszczenia. Na nazwisko Fluder ma alergię. Czasami myślę, że Pan Bozia oszczędził Michałowi tego widoku, bo serce by mu pękło.

anonim, 5 maja 2019 roku, niedziela, godz. 19:15 *Napisał Pan wszystko, nie ma nawet co dodać.*

Anonim, 7 maja 2019 roku, wtorek, godz. 21:42 *Czytam Pana wszystko, co Pan pisze o Wleniu. Myślę, że zastępuje na parę słów tak związany z Wleniem, a zapomniany listonosz Majewski. Może coś znajdzie Pan o nim. Pozdrawiam urodzona we Wleniu.*

Anonim, 17 sierpnia 2020 roku, poniedziałek, godz. 07:14 *Majewski jak by teraz był listonoszem, to by 5 minut nie pracował.*

[e-mail]

Kazimierz Kochański z Grójca, 5 maja 2019 roku, niedziela, godz. 21:16 *Dla takich recenzji warto pisać. :) Graty.*

Louis Armstrong (4 VIII 1901 – 6 VII 1971)

Pseudonim *Satchmo* lub *Pops*. Jego śpiew z chrypką i dźwięk trąbki, nigdy mi się nie nudzi. A piosenkę pt. *What Wonderful Word* mogę słuchać, bo wprawia w miły nastrój. I pomyśleć, że życie Armstronga było w drodze. Od koncertu do koncertu. Z hotelu do następnego pensjonatu. Pociągi, samoloty, samochody. Po ablucji zaszywał się w garderobie i zażywał lekarstwa domowego wytworu (gliceryna i miód), i *czyścić przewody*, łykał maaloX (przeciwbólowy środek na bóle żołądka), specjalną maścią namaszczał wargi. Po koncertach lubił siedzieć w podkoszulku i w zawiązanej chustce na głowie. Spożywał obiadokolację. Potem zwijał jointa, którego nazywał *gag*, odpisywał na listy i słuchał muzyki ze szpulowego magnetofonu.

A przed snem aplikował sobie środek przeczyszczający („Swiss Kriss”). Znajomym pokazywał zdjęcie, gdzie siedzi na kibelku, opatrzone podpisem: *Zostaw to wszystko za sobą*.

W jednym z wywiadów wyzna: (...) *Całe moje życie było muzyką, to ona zawsze była najważniejsza, gdybym nie miał jednak publiczności, to jej wartość byłaby zerowa. To właśnie dla tej publiczności musiałem żyć, moim celem było jej zadowolenie*.

Dzisiaj takich słów nie używa żaden z artystów, pewnie dlatego do nich nie wracam.

Czasami słucham, z kreszczką uśmiechu na ustach, *What Wonderful Word*.

Jeżeli chodzi o skalę to nr 1 ex quo zajmuje Luciano Pavarotti & James Brown, *It's man's world*, Live Concert. To jest piosenka wszystkich piosenek, jakie usłyszałem w życiu. Mistrzostwo. Pod każdym względem. Miara. Jeżeli tego jeszcze nie znasz, to włącz internet i kliknij – YouToube, i wklep (tytuł), a potem naciśnij enter. I sprawdź.

Między kotem a psem, „Nie odpuszczaj, pisz...”, Chrypka, Hotel w Oborach, Pan Tadeusz Urbanek z Kopanej, Herbata/kawa w szklance, Miara, Jasno o czarnej dziurze. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 6.

Adam Asnyk (11 IX 1838 – 2 VIII 1897)

Od szkoły podstawowej i średniej mam do Asnyka słabość, choć popadł w zapomnienie.

A więc po kolei.

W szkole podstawowej, na lekcji języka polskiego, mgr Stanisław Grabski zaczął recytować liryk: *Gdybym był młodszy, dziewczyno, / Gdybym był młodszy! / Piłbym, ach, wtenczas nie wino, / Lecz spojrzeń twoich najśodszy / Nektar, dziewczyno! / (...)*.

Oniemieliśmy z zachwytu, jak pan meloman mówi śpiewająco.

A kiedy kończyłem szkołę podstawową, w radiu usłyszałem utwór Czesława Niemena *Jednego serca*, sonet z 1869 roku. (Czas trwania piosenki 7:45 minut. Niemenowi towarzyszyły „Alibabki”).

Chyba w Zasadniczej Szkole Zawodowej albo w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących w Łodzi, kiedy wspominano Młodą Polskę, polonistka zatrzymała się na dłużej przy wierszu *Daremne żale*. I zawiąła smutna pieśń: *Daremne żale – próżny trud, / Bezsilne złorzeczenia! / Przeżytych kształtów żaden cud / Nie wróci do istnienia. Że wszystko przemija, więc nie ma co się spierać z czasem, zmiana to rzecz normalna. W dwóch zwrotkach jest pointa, warto sobie to zapamiętać, żeby potem nie mieć pretensji do losu: Trzeba z żywymi naprzód iść / Po życie sięgać nowe, / A nie w uwiedłych laurów liść / Z uporem stroić głowę. // Wy nie cofniecie życia fał, / Ni skargi nie pomogą – / Bezsilne gniewy, próżny żal! / Świat pójdzie swoją drogą.*

Adam Asnyk – poeta, filozof, mocno stąpający po ziemi, godzący ja z wy. *Jesteś wielkim człowiekiem, bądź nim, gdzie należy / Lecz do śmiertelnych przychodź w zwyczajnej odzieży.*

Adam Asnyk uczuła, żeby nie *deptać przeszłości*. Mówiąc z lekkiem patosem – należy się jej cześć, ale w granicach rozsądku, bez napinania i hagiografii – póki są straża miłości i życie nam się nie wymyka. Jeżeli ktoś nie wie, co mam na myśli, niech sięgnie po wiersz *Miejmy nadzieję*. Uprzedzam, że się nie zawiedzie.

B Kazimierz Banat (1945–2015)

Dnia 12 czerwca 1973 roku, we wtorek, poszedłem do Domu Kultury przy ul. Łaskiej 12. Byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli. Wszedłem na I piętro i przy okazji wdepnąłem na wystawę malarstwa marynistycznego Kazimierza Banata. Obejrzałem obrazy olejne i linoryty. Nie wiem, co mnie zagnało do tej placówki. W każdym bądź razie, pozwolono mi wejść do galerii, gdzie wystawiono obrazy ociekające Morzem Bałtyckim. Zwiedzanie zajęło mi mnóstwo czasu. I kiedy zbierałem się do wyjścia, na stole zauważyłem opasłą księgę pamiątkową. Usiadłem przy stoliku i zacząłem ją kartkować. Chyba za namową jednej z pań pilnujących, wpisałem się do tomiszczu. Nie pamiętam, co też wypisywałem. Wiem, że tego było ze dwie strony, a może więcej. To może wystarczyć za komentarz, w jakim byłem stanie.

Mijały lat. Uzbierałem spory dorobek z przemijania.

W latach 70. XX w. Feliks Rajczak podrzucił mi katalog-harmonijkę Kazimierza Banata, w którym wykorzystał pointę z wpisu sprzed lat: *Banat żyje w Zduńskiej Woli, ale jego serce jest nad morzem*. O tym piszę w druku zwartym pt. *alfabet z pamięci KIEDY MYŚLĘ ZDUŃSKA WOLA, TO...*, Warszawa-Ursynów 2007, nakładem własnym.

19 czerwca 2008 roku, po południu, kiedy już zostałem wprowadzony do *Galerii Niepospolitych Zduńskowolan*, podszedł do mnie mężczyzna starannie ubrany, w garniturze, w koszuli pod krawatem, uklękął i zaczął wyjmować dary, które z myślą o mnie zabrał. I zobaczyłem dwie kartki z pamiątkowej księgi z wpisem. Oniemiałem. Powiedziałem, że wystarczy mi ksero, ale pan Kazimierz Banat uprzedził, że to dla mnie. Chwilę porozmawialiśmy. Podarki włożyłem do torby, jak najdroższy skarb. Strasznie się wstydziłem, bo pewnie były w tym zapisie błędy – od młodych lat na bakier jestem z interpunkcją, choć zauważyłem, że zacząłem robić postępy. Jaki stąd wniosek? Ano taki, że powinno się częściej zaglądać do słownika języka polskiego (i nie tylko!).

Jak to miło, że dożyłem czasów, gdzie po 35 latach mogłem zobaczyć to, co pisałem, a przy okazji poprawić interpunkcję, styl, i w ogóle. A swoją drogą, nie powinniśmy się wstydzić młodzieńczych tekstów, w których sadziliśmy takie *byki*!

No cóż!

Ludzką rzeczą jest mylić się. Czasami warto wejść do tej samej rzeki, żeby sobie powspominać. Tak, tak... Można wejść po raz drugi i n-ty do tej samej rzeki (Heraklit). Póki rzeka jest rzeką, a nie suchą brudą w ziemi. Tylko nie można po raz 2. wejść do tego samego nurtu rzeki.

Kiedy opowiadałem Jerzemu Chrzanowskiemu o tym, że spotkałem się po raz 1. z panem Kazimierzem Banatem, to mój młodszy kolega z długą bródką dodał, że po śmierci żony pan Kazimierz powiedział mu słowa, które w nim zostały: *Panie Jerzy, było to 25 lat wspólnego łóżka...* Po czym wyjaśnił: *Tu nie chodzi, Czesiu, o łóżko, ale o to, że jest ktoś, z kim człowiekowi jest tak bezpiecznie...* Cytuję te słowa, które świadczą o klasie malarza-marynisty ze Zduńskiej Woli. Mógłbym je przemilczeć, ale na taki skandal nie mogę sobie pozwolić. O tym piszę w książeczce pt. *Przytrafiła mi się Zduńska Wola*, Warszawa-Ursynów 2008, nakładem własnym.

O Kazimierzu Banacie powinien napisać sążnisty artykuł muzealnik Jerzy Chrzanowski, były dyrektor Muzeum Historii Miasta Zduńska Wola przy ulicy Żłotnickiego 7, poeta-regionalista z ul. Zachodniej 10, ale... jest chwilowo w niedyspozycji wspomnieniowej. Jerzy zna mnóstwo faktów z życia pana Kazimierzu, co miał niesamowity dowcip. Potrafił żartować z siebie. Był taki *pod włos*. Kawał chłopca. Nie zapominajmy, że pracował ponad 20 lat w straży pożarnej.

Kiedy pan Kazimierz był w hospicjum, Jerzy zachodził do niego, żeby łatwiej mógł przeżyć ostatni kawałek drogi, czując ciepłą rękę. I wtedy rozmawiałem z nim przez telefon Jerzego. Jeszcze zdążyłem powiedzieć, że dziękuję za to, że go spotkałem na swojej ścieżce. Że mnie ujmuje jego siła i przyzwoitość. Że pomimo tego,

że nie znam się na malarstwie, cenię jego spokojne rejsy na głębokiej wodzie. I ten pana, panie Kazimierzu, zdrowy rozsądek, powoła człowieka. Tak powiedziałem. Pan Kazimierz był już tak słaby, że ledwo, co wyszeptał *dziękuję*.

I pomyśleć, że wszystko zaczęło się od niewinnego wpisu. Wrzuciłem kamyk do wody, gdzie pan Kazimierz odbywał *Rejsy bez pożegnań*. Niby to taki uczniowski zapiśnik, w którym się pisze o wszystkim i trochę popisuje wiedzą, która jest powodem do wesołego smutku. Te wtręty po latach tyle mi przyniosły splendoru, na który nie zasłużyłem. Po prostu mi się nie należał. Dzięki nim znalazłem się w publikacjach bezoprawowych, we wstędze, złamanej w harmonijkę. Czyli leporello.

Raz tylko spotkałem się z Kazimierzem Banatem i śmiało mogę napisać, że to był jedyny plastik, który nic ode mnie nie wymagał. Wpisałem się li tylko przypadkowo do jego księgi z grubym grzbietem. I gdyby tego nie wypatrzył Feliks Rajczak (30 VII 1938 – 14 IV 1987), to pewnie by odleciało na jaskółcze szlaki.

Oczywiście że mało wiem o Kazimierzu Banacie, który mało wał, dłuwał linoryty, pisał wiersze daleko od morza. Zakotwiczył się w Zduńskiej Woli na dobre i złe: *Nie mam pracowni. Wszystko robię w mieszkaniu. Dywan zwijam, wszystko rozkładam. Dobrze, że żonę miałem tolerancyjną i pozwalała mi na to, gdyby nie to, to wygoniłaby mnie do komórki i cześć*.

Małgorzata Baranowska (15 III 1945 – 22 I 2012)

Małgorzata Baranowska latami drukowała cykl pn. *Wracam na Ochotę*, który publikował „Ochotnik. Pismo Ośrodka Kultury Ochota, Gazeta bezpłatna”. Miesięcznik. Format A4 (złamany A3). Z przyjemnością czytałem jej retrospekcje. W miesięczniku „Twórczość” zamieszczała felieton literacki *Prywatna historia poezji* – inny niż felieton prof. Jerzego Kwiatkowskiego. Krótka forma świadczyła o tym, że dużo czasu jej to zajmowało. To była znawczyni poezji i kolekcjonerka pocztówek (*Posłaniec uczuć. Prywatna historia po-*

człówek, 2003). Varsavianistka (*Warszawa: miesiące, lata, wieki*, 1996). Poetka (*Miasto*, 1975, *Zamek w Pirenejach*, 1980, *Powrót*, 2002). Jej feblikiem było słowo *prywatna*. Krytyk, historyk literatury, pracowała w IBL PAN. Latami borykała się z przewlekłą chorobą (toczeń rumieniowaty układowy) – napisała o tym w książkach (*Pamiętnik mistyczny*, 1987, *To jest wasze życie*, 1994). Pisała reminiscencje. Najwyższa pora wspomnieć o poetce, która z ochotą rozpisывała o Ochocie. Dzielnie znosiła niewygody życia.

Lesław Marian Bartelski (8 IX 1920 – 27 III 2006)

Był poetą, prozaikiem, antologistą, krytykiem, działaczem, varsavianistą, rzecznikiem Pokolenia Kolumbów. Wydał mnóstwo książek. I tylko do jednej zwykło się sięgać: *Polscy pisarze współcześni 1939-1991. Leksykon*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, ss. 504. Mini leksykon, w którym rzadko kogo pominął, czego nie można powiedzieć o słownikach maxi Instytutu Badań Literackich pn. *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik bibliograficzny*.

Aktywnie działał w Związku Literatów Polskich. Zasiadał w różnych gremiach. Lubił być na agorze i *na świeczniku*. Miał w sobie coś z żołnierza i urzędnika. Nerwowo wchodził do biblioteki w Domu Literatury, żeby coś sprawdzić; adorował sympatyczne panie bibliotekarki, które dostarczały mu fiszek do leksykonu. Starring ubrany. W garniturze, pod krawatem. Nie widziałem go na tzw. luzie. Musiał być zapięty na ostatni guzik; niezależnie od pory roku. Zawsze z kosmykami siwych włosów, spadających na czoło. Kiedy kłaniałem się panu Lesławowi Marianowi, to myślałem: zapewne tak by wyglądali ci wszyscy, których ocalał od zapomnienia – Tadeusz Gajcy, Krzysztof Kamil Baczyński, Zdzisław Stroiński i inni. Dziewczeta i chłopcy, którym zabito młodość.

Czasami wręczałem mu karteczkę, na której wypisywałem dane, które warto uzupełnić biogram. Nigdy dłużej nie rozmawialiśmy. Dla takich moli, jak ja, chyba nie miał czasu. Tak mi się wy-

dawało i nie miałem o to pretensji. Pamiętam, że zawsze się spieszył, gdzieś pędził. Szedł z bólem nogi. Utykał.

I pomyśleć, że napisał tyle wierszy, reportaży, powieści, opowiadań, szkiców, monografii o latach 2. wojny światowej, a wszyscy go kojarzą z *leksykonem*, który mu się udał. To nic, że jest tak sucho napisany: krótki biogram i wykaz publikacji książkowych. Nie ma w nim miejsca na subiektywną ocenę.

Po jego śmierci nikt tego typu publikacji nie kontynuuje, zupełnie się nie można rozeznać, co u pisarzy/literatów się dzieje. Wszystko jest rozproszone. Wyraźnie widać brak Lesława Bartelskiego, który robił porządki i starannie archiwizował wiadomości, żeby ludzie mogli czerpać garściami. Napisał książkę, do której się zagląda; raczej nie czyta *od deski do deski*. Kolejny przykład na to, że w życiu tylko paradoks jest pewny. A może to inaczej się nazywa?

Lesław M. Bartelski (8 IX 1920 – 27 III 2006). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 6–7 czerwca 2012 roku.

Jan Bartkowski

Mój wychowawca w Zasadniczej Szkole Elektronicznej w Zduńskiej Woli. Uczył nas fizyki i tego, żebyśmy nie żyli wbrew prawu. Niektórych strasznie musztrował. To był postawny mężczyzna. Wysoki. Z brzuszkiem i nogami chudymi, które musiały dźwigać ten korpus. Nosił długie, siwe włosy. Miał łysinę, z której potrafił sobie ostro zażartować. Typ agnostyka. Podobno wysoko postawionego w hierarchii ówczesnej władzy. Sprawozdawca pochodów pierwszomajowych. Działał na niwie politycznej. Pamiętam jak szedł pan Jan ulicą Kilińskiego. W garniturku, pod krawacikiem. Z przewieszonym aparatem fotograficznym marki Zorka. Nie mogłem go poznać, bo miał na nosie ciemne okulary. Wyglądał jak tajniak. Nie ukrywał tego, że pracuje w milicji. Wręcz przeciwnie! Kiedy o tym poinformował naszą klasę, zapanowała cisza. Nie wpadłem w popłoch, ponieważ do wszelkiej władzy mam

duży dystans. Dla mnie żadna władza nie jest autorytetem i wzorem. Wystarczy, że rządzi i żądli. Jak osa, trzmiel, pszczoła, szerszeń... Uwierbiał rockowe riffy, więc kto wie, o co chodzi, ten zrozumie, na jakich gram strunach i najniższych progach. Podobno pan Jan nosił ze sobą gumową pałkę (*bijące serce władzy*). Tak na wszelki wypadek. Zawsze mu się kłaniałem. Dobre wychowanie to jest coś. I jak tu zapomnieć pewien majowy dzień z początku lat 70. XX wieku, pan Jan się uśmiecha i odkłania z takim wdziękiem, i gracją, że to się pamięta. Te ciemne okulary i ten aparat fotograficzny przewieszony przez ramię. Dzisiaj tak zachowują się Japończycy (i nie tylko!). Wszyscy pstrykają telefonami, aparatami itd. Bo *Każdy moment ludzkiego życia ma w sobie poezję, wytwarza ją. Poezja – to jest przejęcie się chwilą* (Stanisław Brzozowski, 1876–1911, *Myszkini*). Cytuję, że złapać chwilę, choć na krótko. Żartuję.

Jan Bartkowski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 stycznia 2014 roku.

Władysław Bartoszewski (19 II 1922 – 24 IV 2015)

To była postać, która przypominała, że warto być przyzwoitym. Dziennikarz, polityk, działacz, pisarz, żołnierz Armii Krajowej, świetny mówca. Człowiek *żywe srebro*. O nieprawdopodobnej witalności. Z bigłem, że nie sposób było dotrzymać kroku. Miał taką postawę profesorską, ex cathedra. Wejść z nim w spór czy polemikę, było nie do pozazdroszczenia. Ale nie przesadzajmy. Miał swój styl i żart. To był typ mola książkowego, którego ciągnęło do ludzi. Raz tylko spotkałem pana ministra w warszawskiej księgarni *Wiejska 14* (dawny „Czytelnik”). Wybieram sobie książki, spokojnie. I nagle wpada starszy pan. Jak pędziwiatr. Szybko obchodzi regały i wybiera w takim tempie, i upycha do metalowego koszyka. Pyta panią o książki. Księgarka nie za bardzo się orientuje. Akurat nie może się zdecydować z książką ks. Jana Twardowskiego. Podchodzi grzecznie. Mówię dzień dobry, przepraszam i proponuję ze-

staw książek *Księdza Jana od Biedronki*, opatrując króciutkim komentarzem. Starszy pan bierze, zerka na skrzydełka i plecy książki, i kładzie do koszyka. Oczywiście, że dziękuje za pomoc. Patrzy zdziwiony. Odkłaniam się. Przy kasie widzę, że to jest pan prof. Władysław Bartoszewski. Oczywiście, że wyborem książek mi zaaprobował. Przeczytać tyle, ile kupił, to trzeba mieć zdrowie i czas.

Czytam po 150 stron, więc cenię tych, co robią jeszcze szybciej.

Takie mam mini wspomnienie o polskim polityku, którego spotkałem w księgarni. I był to jedyny polityk III RP, niestety. Władysław Bartoszewski – starszy mądry pan, który nie mógł się wyrobić z czasem, więc przyspieszał.

Władysław Bartoszewski (19 II 1922 – 24 IV 2015). Wspomnienie, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 17 (900). Bogusław Marek Borawski, redaktor naczelny, w edytoriale (inc. *Zmarł profesor Władysław Bartoszewski.*) m.in. pisze: (...) *Nigdy go nie spotkałem. Nawet tak, jak opisuje to w nekrologu Czesiu Szczepaniak. (...), „Tygodnik Olecki” 2015, nr 17 (900).*

Władysław Bartoszewski (19 II 1922 – 24 IV 2015). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9–10 maja 2015 roku.

Zdzisław Beksiński (24 II 1929 – 21 II 2005)

Wiem, że ryzykuję, ale nie mogę przemilczeć, kiedy ukazał się w „VIVIE! Dwutygodnik” (nr 10) znakomity wywiad, jaki przeprowadziła Liliana Śnieg-Czaplewska z ursynowskim malarzem Zdzisławem Beksińskim. Oto wyimki, które dają dużo do myślenia.

Artysta nie lubił owoców oraz kwiatów: *Szczególnie zapachu perfum nie znoszę, ale kwiatów też. Ja w ogóle chyba nie lubię natury, od dzieciństwa las mnie deprymuje. (...) Wrzeszczą te cholerne ptaki, śmierdzą grzyby, igliwie, poszycie i reszta. Gdzie człowiek siądzie, zaraz jakieś paskudztwo na stu nogach spod liści wyłazi. Natura jest ohydna! Las bym pewnie zaakceptował, pod warunkiem, żeby wyciąć te cholerne drzewa, wyasfaltować wszystko, postawić McDonalda, sklep i kino,*

fotografa z niedźwiedziem... No i postoję taksówek, a już las stałby się miłym miejscem do zaakceptowania. Ten passus dedykuję różnej maści ekologom, którym czasami tak zieleń zalewa wyobraźnię.

Uczeń Beksiński nie miał łatwego życia. Książd w gimnazjum mówił o nim: *Beksiński to dobry chłopak, ale tępy.* Na pytanie *Z czego się ta okrutna ocena wzięła?*, odpowiada – *Z niewłaściwego dowodu na istnienie Boga. Na domowe zadanie z religii każdy miał wymyślić dowód na istnienie Boga i ja dziecinnie, ale uczciwie nad tym rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że dowodem jest ból zęba. Wyszedłem z założenia, że w trakcie ewolucji gatunki, które nie miałyby nerwów w zębach, byłyby najbardziej uprzywilejowane. Wobec tego to dowód przemawiający przeciwko ewolucji, a więc za istnieniem Boga. (...).*

Nie wiem, co by powiedział katecheta, gdybym zapytał – dlaczego rekinowi wyrastają zęby, a człowiek nie ma takiej szansy i musi liczyć na protetyka?

Niedoszły artysta był krnąbrnym dzieckiem. Rodzice marzyli, żeby został pianistą jak Ferenc Liszt (1811–1886) albo Ignacy Jan Paderewski (1860–1941). A stało się inaczej: *Tłukłem palcówki Bacha na pianinie, a na imieniny ojca musiałem przygotować utwory Schuberta. Cóż to za koszmarnie życie by mnie czekało! Gdy zapalnik urwał mi palce, byłem całymi szczęśliwy. Cóż za niewielki koszt za uniknięcie męki bycia wirtuozem.*

W końcu został malarzem. Ówczesna władza nieraz kusiła Zdzisława Beksińskiego różnymi gratyfikacjami: *Gdy chciała powieścić medal, to urzędnik najpierw dzwonił z zapytaniem, czy przyjmę. Ja mówiłem, Panie, odsuń ode mnie ten kielich goryczy. Słyszałem: «Tak, wiemy, rozumiemy». Guzik wiedzieli, bo akurat nie o to szło, co sobie myśleli, ale dawali mi spokój. A ja po prostu nienawidzę sytuacji oficjalnych. No i śmieszę mnie odznaczenia. Chcę i zawsze chciałem reprezentować sam siebie, a nie Naród, Partię, Ojczyznę czy Kościół. (...).*

Ursynowski artysta-malarz lubił ład i porządek. Mieszkanie miał *nafaszerowane elektroniką*. Palmtop na bieżąco go informował, kiedy ma zmienić i wyprać rzeczy, ostrzyc się itd. Piskały bipery,

dzwoniły alarmy. Nie musiał sobie zaśmieszać pamięci. Szanował czas. Wystarczyło, że w zakłopotanie wprawiały go, gdy dzwonili z galerii, żeby poinformować, że jest kupiec na jego obraz. *Jaki?* – pytał pan Zdzisław. A marszand: *Złote trumny lecą, umarli z nich wypadają.*

– *Cooo? Niech pani obróci obraz, czy tam na pewno jest mój podpis. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego namalował* – odpowiadał artysta-malarz z ul. Sonaty (Służew nad Dolinką).

Viva Beksiński. Wtręty, „Passa. Tygodnik Sąsiadów” 2003, nr 27.

Józef Benedykciak

Z panem Józefem B. nigdy nie rozmawiałem. Kiedy stanął mi na drodze, to mówiłem dzień dobry! Na chwilę przystawał, wyjmował papierosa z kącika ust, zdejmował czapkę, odpowiadał: *dzień dobry*. I szedł dalej.

W czasie wakacji przyjeżdżałem do Głowna, gdzie mnie gościła Gosia i Zdzicho Chmielewscy, ul. Piątkowska 20. Pani Maria Chmielewska, mistrzyni zalewajki (zupa z kartofli zalanych żurem), przygotowywała pełen talerz pierwszego dania i glony chleba. Pycha! Siedzę przy stole przykrytym ceratą, na podwórku, pod wisienką, i nagle Zdzicho mówi, że może byśmy poszli do *Józwy*? Pani Maria mówi, że to dobry pomysł. Mój młodszy kolega uczula mnie, że *Józwa* to mruk. I wiecznie z papierosem w ustach. Po takiej rekomendacji nabrałem apetytu, żeby iść na kominki.

O szarej godzinie, kiedy to, podobno, Chrystus po domach chodzi, zaczęliśmy się zbierać do drogi. Byliśmy trzeźwi jak szkło. Do torby wzięliśmy butelkę wody rozmownej, bo z mrukami to różnie bywa. Podeszliśmy pod jego maleńki domek z ogródkiem. Zdzicho mnie przedstawił. Pan Józef spojrzał i sztachnął się papierosem bez filtra. Po czym postawił na stół butelkę z kłosami, a jego cicha żona przygotowała smaczne kanapki. Tak nas *Józwa* ugościł! Okazał się sympatycznym człowiekiem. A że milczał, to tym lepiej. W cza-

sie tego spotkania Zdzycho bardzo go komplementował, że był palaczem w elektrociepłowni. Wykonywał pracę, którą dzisiaj w kotłowni ledwo co się wyrabiają cztery osoby. Zapamiętałem jego ciężki chód. Dłonie jak bochny chleba. Milczał. Nie zanęcał do rozmowy. Do nas też nie powiedział za wiele. Zdzychową narrację kwitował jednym słowem: *tak!*

Kilka razy pan Józef stawał mi na głowieńskiej ulicy. Szedł. Ciężko. Zza jego pleców wychodziły smużki dymu z najtańszych papierosów. Nie zatrzymywał się, jak karawana. Zdązał do celu. Nic go nie rozpraszało. Kroczył w wydeptanych buciorach. Lelum polelum. I nie szurał. Traktował chodnik jak mech.

Tak go zapamiętałem.

Kiedy w lipcu 2010 roku „Gazeta Wyborcza” i Radio TOK FM ogłosiły plebiscyt im. Krystyny Bochenek pt. *Najpiękniejsze polskie słowo*, zająłem się słowem *mruk*. Sypnąłem wtedy taką garść słów. To «*człowiek małomówny, nietowarzyski*». Kilku takich spotkałem w życiu. Był taki mruk Józef z Główna, palacz. Między wierszami subiektywnej refleksji, przechadzał się *Józwa*. Napisałem to na pamiątkę tego typu, z którym nawet nie rozmawiałem, choć tyle razy mijaliśmy się na ulicy w Głównie. Ale takiego *mruka*, jak on, w życiu nie spotkałem. Mój dziadek Szczepan Grzondkowski mało gadał, ale coś mówił. Do mnie, wnuka, powiedział chyba z dziecięć zdań prostych, które zachowałem w pamięci. A pan Józef milczał i kopcił papierosy. Dzięki niemu wiem już, że mrukami powinni być piloci, lekarze, marynarze, stolarze, pisarze itd. W każdym zawodzie i powołaniu. Im większy mruk, tym lepszy fachman (spec).

Przekonałem się, że na mruka można zawsze liczyć. Poza tym mógłbym jeszcze dodać, że *mruk* to człowiek, który przejął się gadulstwem (*Dosyp słów czyli alfabet z subiektywnym objaśnieniem*, Warszawa-Ursynów 2010, nakładem własnym).

Dla mnie taki człowiek, to jest wzór do naśladowania. Zamiast stawiać pomniki tym, co *mlócili słomę*, powinni postawić figurę

mrukowi, choć nie jestem za statuetkami z marmuru czy spizu, ale dla *mruka* czynię wyjątek.

Od spotkania z panem Józefem Benedykciakiem mam słabość do milczków, z których czasem wychodzi ścichapek.

Miron Białoszewski (30 VI 1922 – 18 VI 1983)

Kiedy przebywałem w sanatorium, to siostra do mnie pisała w listach *Miron*.

Gdy tylko wróciłem z Białych ścian do domu, powiedziałem, żeby tak nie pisała, bo jest tylko jeden Miron. Białoszewski. Siostra spojrzała i zrobiła duże oczy. I przestała do mnie się zwracać per *Miron*.

O Białoszewskim usłyszałem więcej, jak byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli. W onych czasach bardzo często czytałem pod ławką szkolną. Często mi się zdarzało na lekcjach języka polskiego, że miałem na kolanach książkę i czytałem. Taką miałem podzielność uwagi. Słuchałem, co się dzieje na lekcji, a konkretnie sennej polonistki, i potrafiłem kątem oka chłonąć nadobowiązkową lekturę, co miałem na kolanach. Tak było i nie ma co wybielać i rozpisywać się na ten temat. Pamiętam, że raz na lekcję przytargałem gruby kwartalnik „Pamiętnik Literacki” 1973, zeszyt 1, który leżał w szkolnej czytelni na parapecie i nikt po niego nie sięgał. Wziąłem go, bo smutno było patrzeć, jak go kurz pokrywa i obsiadają muchy. I w trakcie przeglądania, natrafiłem na fragment pracy doktorskiej Stanisława Barańczaka pt. *Język poetycki Mirona Białoszewskiego a struktura mowy dziecięcej*. Tekst naukowy, ciężki, z wieloma przypisami, mnóstwo cytatów, ss. 43. Rzetelna, poznańska robota. Przez kilka lekcji zmagalem się z tą naukową rozprawką. Pamiętam ciężar kwartalnika, jego ząbkowane strony papieru. Nie pamiętam żadnego cytatu. Chodziłem do zawodówki a czytałem pracę doktorską, którą obronił, jak się później dowiedziałem, w 1974 roku. To było moje 1. zetknięcie z Mironem Białoszewskim. Na papierze. A nie na gębę. Dziwna to była

poezja. Zlana poezja z prozą, z takim uskokiem, że nie wiadomo gdzie wers poleci, jaki go zatrzyma znak interpunkcji, w jaką wpadnie spację, jakie rozkruszy słowo ze znaczeń. Pamiętam ten dreszcz czytania. Czytania, a nie tego, że pani polonistka mnie nakryje i złapie na nieuwadze. O tym sobie przypominałem, kiedy lektorowałem *Tajny dziennik* Mirona Białoszewskiego (Wstęp: Tadeusz Sobolewski, *Człowiek Miron*, Redakcja i przypisy Marianna Sokołowska, Indeks Wojciech Bonowicz, Wydawnictwo Znak, Kraków 2012). Tomiszcze liczące sobie ponad 943 stron. Czytałem go na dwa razy. Raz książka leżała na stole, a raz kładłem ją na kolana i oświetlałem lampką, żeby lepiej widzieć. Kiedy kładłem tę ciężką książkę na kolana, to przypominała mi się Zduńska Wola. Jak pod ławką czytałem o Białoszewskim. Niby to nic, a jednak wspomnienie, obudzone sprzed lat, towarzyszyło mi podczas ślęczenia nad dziennikiem samotnika, który codzienność tak nobilitował, jak święto słowa. Nie napiszę, że wpadłem w zachwyt czytelnicy, bo mam swoje lata i jestem bardzo zdemoralizowanym czytelnikiem, z normami takimi, które są dalekie od Autora *Obrotów rzeczy*. Z tym, że nie piszę dziennika, bo pisać memuary, to jest dla mnie sprawa nieco podejrzana.

A kiedy zdawałem egzaminy z języka polskiego naienne studia w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, to doc. dr Alina Nofer-Ładyka, przewodnicząca komisji egzaminacyjnej, zapytała mnie przy okazji poezji lingwistycznej, o Mirona Białoszewskiego. I wtedy powiedziałem dytyramb o Autorze *Pamiętnika z Powstania Warszawskiego*. Mówiłem o jego widzeniu. Cytowałem rzecz o podłodze, która w słojach przechodzi w skojarzeniach buraka. I o gołębiach. Wspominałem o Barańczaku. Prowadząca egzamin przerwała mi i powiedziała, że nie ma więcej pytań. A po wakacjach, na pierwszych zajęciach, pani docent, prowadząca *Wybrane zagadnienia z nauki o języku oraz literatury, sztuki i kultury*, poprosiła, żebym nie przychodził na jej wykłady, bo nie jest w stanie czegoś mnie nauczyć. A ja i tak łąziłem, bo pani docent mówiła interesująco, nie tylko o pozytywizmie. Po

wykładach zapraszała mnie nieraz na papierosa („Extra mocne bez filtra”) i kawę w szklance, która pachniała jak kawa. Dzięki Białoszewskiemu coś w swym życiu studenckim ugrałem. Przydało się to czytanie pod ławką. Dnia 2 marca 1980 roku zanotuje m.in. w swych memuarach: *Byłem trzy dni w Poznaniu. (...) pojechałem do Baran-czaka, bo bądź co bądź napisać o mnie książkę. A to, że jest opozycjonistą, brał udział w głodówce protestacyjnej, to jest sprawa druga.*

Raz tylko spotkałem Mirona Białoszewskiego. Było to na początku lat 80. XX wieku. Siedziałem w czytelni Biblioteki Domu Literatury (Krakowskie Przedmieście 87/89). Na drewnianym stole leżała sterta książek, gazet, notatek. Pracowałem jak rzemieślnik. Za oknami dyszała Warszawa, ruchome schody na trasie WZ przewoziły ludzi z dołu do góry, z góry do dołu. Biły dzwony i sygnaturki. W kawiarniach siedzieli ludzie. Plac Zamkowy zadeptywali turyści. I nagle musiałem się oderwać od książek i notatek. Poszedłem do katalogów. Patrzę. A obok stoi pan Miron Białoszewski. Z brązową torbą (*Głowiński radził mi napisać „Pochwałę torby”. Temat trudny*). Miał na sobie ciemną kurtkę. Był taki elegancki, jak na służbowej delegacji. Widać, że przyszedł w jakiś interesach. Skąd to wiem? Bo ja byłem bezinteresownie. Spojrzałem i byłem zdziwiony, bo przy nim w swoim stroju wyglądałem, jakbym przyjechał z festiwalu Woodstock. Białoszewskiego znałem ze zdjęć czarno-białych. Zawsze był taki z kąta, zmięty, w niewyprasowanej koszuli, zaczesany rękoma a nie grzebieniem, z dziwnym błyskiem w oczach; w artystycznej abnegacji. Stał. I gdzieś spozierał. Był obecny i nieobecny. Wyglądał świetnie. Przytył. Miał lekko nalaną twarz (owal zaokrąglony). Widać było, że toczy go jakaś choroba. Ponieważ latami przebywałem w Białych ścianach, więc wystarczy, że spojrzę i widzę, i rzadko się myślę. Minałem go. Nie zareagował. Zająłem się fiszkami w szufladce katalogu. I to było jedyne spotkanie. Oczywiście, że nie odważyłbym się go zaczepić. Mój dorobek literacki nie upoważniał mnie do takiej śmiałości. Dzisiaj pewnie też bym nie podszedł, choć napisałem kilkadziesiąt książek, to tak na marginesie.

W diariuszu Miron Białoszewski zanotuje: (...) *Ja tak nie lubię tego, że ludzie umierają. Najgorzej ze wszystkiego na świecie nie lubię właśnie tego* (1976 rok).

Wspominam tego zacnego poetę, bo kiedy myślę o literackiej triadzie warszawskiej, to wymieniam jednym tchem: *Lalka* (Bolesław Prus), *Dzieje grzechu* (Stefan Żeromski), *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* (Miron Białoszewski).

Miron Białoszewski potrafił z pogaduch babskich i chłopskich zrobić taką narrację, że to się widzi, gdy się czyta. I nie wiadomo, gdzie kończy się proza, a zaczyna poezja. Wszystko jak w tyglu. Warszawa, Garwolin, Anin, Otwock, Obory, Konstancin, Sopot, Magdalena, Nowy Jork...

Bardzo serio traktował życie. Z drugiej strony medalu. Nie bał się nocy (*Zresztą bandziory do mnie się chyba nie wezmą, bo ja chodzę w starej jesionce. I biorą mnie za stróża*, 18 kwietnia 1978 roku). Był zdziwiony, jak człowiek, który widzi i słyszy więcej. I pewnie dlatego nikt go nie chciał najać, choć to był sztukmistrz języka polskiego. O swojej robocie miał bardzo skromne zdanie: (...) *Niby nieraz pracuję ciężko, ale tego nie czuję. Są takie dni, kiedy czuję, ale to się znowu opłaca. To jest praca, która mnie nie przewraca. I na tym polega jej dobroć.*

Wspomnienia (I) [Miron Białoszewski (30 VI 1922 – 18 VI 1983) *Wspomnienie*], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Agata Bielawska

Była zastępcą dyrektora Departamentu Edukacji Ministerstwa Kultury i Sztuki. Kilka razy się spotkaliliśmy. Kiedy po śmierci Michała Fludra (28 V 1945 – 12 III 1989) podjąłem się wydania katalogu prac nauczyciela-wychowawcy z sanatorium dziecięcego PKP „Leśny Dwór” we Wleniu (woj. jeleniogórskie), napisałem do ministerstwa o pomoc. W 1991 roku otrzymałem list, w którym doceniono cel

wydania oraz mój wkład w uzyskaniu środków finansowych. W piśmie sygnowanym Departament Edukacji Kulturalnej dowiedziałem się, że MKiS *przekaze kwotę 15 mln zł (słownie: piętnaście milionów złotych) na dofinansowanie druku katalogu. Prosimy o skontaktowanie się z Departamentem w celu omówienia terminu i adresata dotacji celowej Ministerstwa Kultury i Sztuki na wydanie katalogu Michała Fludra.* (Pismo podpisane przez Dyrektora Departamentu Alinę Magnuską, L.dz. DEK-V-534-46/91). Wiosną 1991 roku poszedłem tak z ulicy Krakowskie Przedmieście do gmachu ministerstwa. Pod numer 15/17. Z chlebaka wyjąłem list i inne drobiazgi. Przyjęła mnie pani Agata Bielawska. Wysłuchała. Poczęstowała kawą i ciasteczkami, pokrzepiła dobrym słowem. Dzięki jej wsparciu, ukazał się latem 1991 katalog Michała. Pamiętam, że mnie prosiła na do widzenia o egzemplarz.

W trakcie drukowania zdarzyła się niemiła niespodzianka, bo drukarz znacznie zawyżył koszty całego przedsięwzięcia. Wpadłem w zakłopotanie, bo nie mogłem znaleźć sensownego rozwiązania. Znowu pojechałem do pani Agaty, która przyjęła mnie, choć nie zapowiadałem się z wizytą. Oczywiście, że przeprosiłem. Powiedziałem, że jest mi głupio. Pani Agata znalazła czas, żeby mnie wysłuchać. Oznajmiła, żebym się nie martwił. Że zrobi wszystko, aby katalog ujrzał światło druku. Oczarowała mnie tym, że znalazła sensowne wyjście. Słowa dotrzymała. Tylko ona ujęła się za mną, kiedy traciłem nadzieję. I byłem samotny jak Polak.

Kiedy pojawiły się pierwsze jaskółki broszurki, to zawiozłem jej kilka egzemplarzy, i podziękowałem za wsparcie. Pani Agata powiedziała, żebym czasami ją odwiedzał. Minęliśmy się kilka razy, kiedy szedłem do biblioteki w Domu Literatury. Kłaniałem się jej i darzyliśmy się uśmiechem.

To była bardzo wrażliwa osoba i eteryczna. Miała dar słuchania. Było w niej tyle życzliwości. Taki urzędnik to rzadkość. Nosiła się bardzo elegancko i ze smakiem. Człowiek czuł, że czyni uprzejmość na każdym kroku. Miała w sobie coś, co zwykło się zwać przy-

zwoitością. Tacy ludzie potrafią bliźniego wesprzeć i robią to tak dyskretnie. Człowieka nie zawstydza wszelka prośzalność. Zniosłem wszelkie zawstydzenie tylko dlatego, że znałem polskie przysłowie: *I dobra sprawa potrzebuje pomocy.*

Pomimo przewlekłej choroby, pracowała. Przypadkowo dowiedziałem się, że zmarła w 1999 roku dyrektor Departamentu Szkolnictwa Artystycznego w Ministerstwie Kultury i Sztuki, Agata Bielawska. Przypomniano o jej subtelności i kobiecości. Prof. Stanisław Rodziński, w liście z dnia 3 listopada 1999 roku, m.in. pisał do ówczesnego ministra kultury i dziedzictwa kulturowego: (...) *Wspominamy kogoś, kto klimatem swej osobowości wyciszał niepokoje i konflikty, kogoś, kto umiał rozmawiać i słuchać innych.*

Sporo lat żyję, ale nie spotkałem tak dobrze wychowanego urzędnika państwowego. O takiej klasie i kulturze osobistej.

Ileokroć przejeżdżałem obok Ministerstwa Kultury, to stawała mi w oczach jej postać. (Idzie w płaszczyku, starannie uczesana, apaszka faluje podszyta wiatrem. Jest taka zamyślona i zawstydzona nieco).

Pani Agata doskonale dosmaczała to życie kulturalno-artystyczne ówczesnej Polski. Potrafiła w porę docenić pasję i zapał. Nie przygaszała. Wręcz przeciwnie! Należała do ludzi, których chciało się spotkać po drodze.

Agata Bielawska. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 21 kwietnia 2011 roku.

Bogusz Bilewski (25 IX 1930 – 14 IX 1995)

W „Szpilkach” 1989, nr 24 opublikowałem felieton *Franciszek F.* Tekst dotyczył Franca Fiszer (1860–1937). Była to bardzo dziwna i tajemnicza postać. Marzyciel z Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Filozof, biesiadnik, bezrobotny od urodzenia. W swym życiu nie pokalał się żadną pracą na tzw. chleb. Przesiadywał w kawiarni. Palił fajkę (*pipkę*) i topił wiedzę w... małej czarnej. Kpił. Flirtował. Zmyślał na poczekaniu *nieuczesane* dowcipy, które

rozchodziły się po Warszawie. Oto pierwszy z brzegu: *Bolesław* (Leśmian – przyp. Cz.M.Sz.) *nie przyjdzie, gdyż przejechał go jamnik.*

Siedzę w domu i nagle słyszę dzwonek. Wychodzę za próg.

Listonosz wręcza mi telegram. Jednym tchem czytam: *Proszę o kontakt w sprawie Fiszera. Bogusz Bilewski, tel...*

Chodzę po kuchni i dumam: kto to jest ten Bilewski?

Pytam syna. Mówi, że nie wie.

Dopiero *Graszka* odpowiedziała, że aktor.

Wieczorem zadzwoniłem do Bogusza.

Po trzech dniach wpada do mnie brodaty i jowialny człowiek. *Jestem Bogusz Bilewski. Będę grał w filmie o Leśmianie postać Franca Fiszera. A pan jest specjalistą od tego typu – mówi na dzień dobry.*

Wpuściłem Bogusza do domu. Usiadł sobie na dwóch zydełkach. Wstawiłem czajnik. Po drodze poszedłem do pokoju, żeby synowi powiedzieć, że będzie musiał zostać na chwilę sam w pokoju. Syn popatrzył mi prosto w oczy. Po czym cichutko szepnął mi do ucha: *Nie bój się, tato, tego pana. To jest Waluś Kwiczół z bandy Janosika. On ci nic złego nie zrobi.*

Bogusz obiecywał, że zaprosi mnie na premierę filmu. Popatrzyłem na niego tak, jakbym dał mu do zrozumienia, że rzuca słowa na wiatr. I nie myliłem się! Ma się to oko do ludzi (i nie tylko!).

Bogusz Bilewski (25 IX 1930 – 14 IX 1995). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 kwietnia 2009 roku.

* * *

W 1954 roku ukończył Wydział Aktorski w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Aktor. Z długą brodą. Kawał chłopa. Używając języka sportowego – waga ciężka. Wiem, co piszę, bo mnie raz odwiedził na Ursynowie, gdy wpadł na konsultację. Miał grać Franca Fiszera w filmie o Bolesławie Leśmianie. Jak go zobaczyłem, to się przestraszyłem. Syn mnie uspokajał, żebym się go nie bał, bo to jest *Kwiczół z Janosika*. W ramach łagodnej per-

swazji powiedziałem Boguszkowi, że ma w sobie tyle szajby i nie potrzebuje moich uwag. Zaśmiał się. Jego śmiech popłynął przez X pięter spółdzielczego bloku przy ulicy (prof.) Marii Grzegorzewskiej. Aha! Obiecywał, że mnie zaprosi na premierę filmu. Słowa nie dotrzymał. Film obejrzałem w telewizji. Na małym ekranie. I westchnąłem: Kruca fuks.

Bogusz Bilewski (25 IX 1930 – 14 IX 1995). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza” z 25–26 stycznia 2014 roku.

Prof. dr hab. Jan Błoński (15 I 1931 – 10 II 2009)

Urodził się w Warszawie, zmarł w Krakowie.

Wielki smakosz literatury francuskiej i polskiej. W wieku 15 lat przeczytał po francusku Marcela Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*.

W 1961 roku opublikował książkę pt. *Zmiana warty*, która jest miarą, jak należy uprawiać poletko krytyki literackiej (i nie tylko!). Uczył *Widzieć jasno w zachwycie*. Potrafił romansować z tekstem: *Tekst nie czytany, nie kochany (lub nie drażniący!) przestaje się mienić znaczeniami. Traci smak, blask, głębię, przestaje opalizować i wieloznaczyć. Zapewne, przenikliwość nie zawsze idzie w parze z dobrymi uczuciami (...)* (*Romans z tekstem*).

To był człowiek bardzo czuły na literaturę, miał nosa do poezji. A przy tym skromny i przesiąknięty ironią. Był tak nieprawdopodobnie odcytany, że stawał się równym partnerem do autorów, o których pisał.

Nie znałem osobiście pana profesora. Szkoda!

Raz tylko się odważyłem, żeby mu przesłać opowiadania, które wydałem nakładem własnym w 1998 roku. Książka liczyła 256 stron. W przypływie dobrego humoru wysłałem egzemplarz do krakowskiego profesora. Po co to zrobiłem? Chciałem się przekonać, czy te moje prozy są coś warte, bo po reakcjach profesjonalistów miałem wrażenie, że to wszystko nadaje się do kosza...lina.

I jakie było moje zdziwienie, kiedy ursynowski listonosz wrzucił do mojej przegródki pocztowej list:

Kraków 27.12.98

Szanowny Panie,

Już dawno temu otrzymałem wydruk Pana książki, za co szczerze dziękuję. Nie bardzo wiedziałem, co z nią zrobić, bo Pan był (aż tak) dyskretny, że o nic nie prosił. [Wyraz trudny do rozszyfrowania] przeczytałem ją niedawno. Jest to rzecz dobrze napisana, przejmująca (coś dziwnego!) i myślę, że nadaje się do publikacji, tym bardziej, że ta tematyka jest teraz bardziej poruszana.

Książkę przekazałem redakcji Znak, z którą łączą mnie tylko przyjacielskie, nie zaś – zawodowe, stosunki. Myślę, że zostanie wzięta pod uwagę. Proszę przyjąć najlepsze wyrazy i życzenia na przyszły rok –

Jan Błoński

To tyle. Żadnej reakcji ze strony Znak. Ba! Kiedy Społeczny Instytut Wydawniczy Znak organizował konkurs na zbiór opowiadań, wysłałem komputeropis z prozą. Przewodniczącym jury był prof. Jan Błoński. Niestety, nie zakwalifikowałem się do finału.

List profesora Jana Błońskiego dodawał mi otuchy i umacniał, kiedy moje propozycje wydawania w profesjonalnych wydawnictwach spełzały na niczym. A kiedy mnie straszliwie ofukiwano i posuwano się za daleko, sięgałem do listu. Nieraz go otwieram, gdy przygotowuję kolejną publikację niszową, nakładem własnym.

Dzięki profesorowi Janowi Błońskiemu ukułem powiedzenie, że wolę porażkę, niż parciały sukces. Mała to pociecha, ale...

Prof. Jan Błoński (1931–2009). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18 czerwca 2009 roku.

PS

Od lat wydaję książki własnym sumptem, bo polscy wydawcy na to, co piszę, nie reagują pozytywnie. Książeczki w nakładzie od

15 do 30 egzemplarzy wysyłam. Gratis. Wedle własnego widzimisię. W 1998 roku wydałem *Opowiadania*, ss. 256, które przesałem do pana prof. Jana Błońskiego w Krakowie. Profesor komplementował moją prozę i poinformował, że *Książkę przekazałem redakcji Znak, z która łączą mnie tylko przyjacielskie, nie zaś – zawodowe, stosunki. Myślę, że zostanie wzięta pod uwagę. (...) – Jan Błoński, Kraków 27.12.98.* Oczywiście, że nie było żadnego znaku ze strony *Znak*. Ba! Kiedy *Znak* organizował konkurs na zbiór opowiadań, wysłałem opowiadania. Przewodniczącym jury był Jan Błoński. Niestety, nie zakwalifikowałem się do finału.

W 1998 roku wydałem w nakładzie 50 egzemplarzy *Wybór wierszy*, ss. 332. I znowu pchnąłem egzemplarz dla prof. Jana Błońskiego. Nie wiedziałem, że choruje na Alzheimera.

Po śmierci profesora przeczytałem w internecie, że *Tezeusz Antykwariat i Księgarnia* oferuje za 30,00 zł mój wybór wierszy, zaznaczając, że *Książka pochodzi z księgozbioru profesora Jana Błońskiego*. Przypomnę, że prof. dr hab. Jan Błoński urodził się 15 I 1931, a zmarł 10 II 2009. Byłem zdziwiony, bo swoje książki wysyłałem gratis i nigdy nie oglądałem się za pieniędzmi, a tu nagle ktoś likwiduje księgozbiór profesorski, w którym jest moja książka bez ceny i dedykacji, i listu. Zamiast obdarować bibliotekę, każe sobie płacić. Tezeusz w mitologii greckiej to był królewicz i heros ateński. Wysłał się zabiciem siłaczy. Krakowscy antykwariusze zachowują się jak centusie. I teraz się nie dziwię, dlaczego zaobrączkowane gołębie fruwały nad Krakowem z nóżkami do góry. Czynią to na wszelki wypadek, żeby im ktoś tych obrączek nie ściągnął. Zamiast purpurowieć i dziwić się, wolę pisać, choć papier nigdy się nie rumieni ze wstydu. Wystarczy, że jest ciężki.

Śpiewający Ogórek, Rozczarowanie, Na targu w Legionowie, „Tezeusz” Antykwariat i Księgarnia, Bzik polski. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 36.

Krystyna Maria Bochenek (z domu Neuman)
(30 VI 1953 – 10 IV 2010)

Mam taki zwyczaj, jeszcze z czasów PRL-u, w którym publikować zacząłem, że ilekroć o kimś piszę w gazecie albo wspominam w książce, to wysyłam egzemplarz autorce/autorowi, żeby miał(a) na wieczną pamiątkę.

Kiedy wydałem *Brakuje mi pana, panie profesorze* (Warszawa-Ursynów 2009, ss. 88, wydano w 25 egzemplarzach), to wysłałem książeczkę do pani Krystyny Bochenek. Uczyniłem to, ponieważ wykorzystałem passus z jej wywiadu: *Chirurdzy i detektywi*. Z profesorem Janem Nielubowiczem rozmawiali Krystyna Bochenek i Dariusz Kortko, Magazyn „Gazety Wyborczej” z 16 września 1999 roku. Przedruk w: *Chirurdzy i detektywi. Opowieści o polskich chirurgach*, pod redakcją Krystyny Bochenek i Dariusza Kortko, Wydawca: Fundacja Polski Przegląd Chirurgiczny, Warszawa 2001. Książka zawiera wywiady z chirurgami, w których rozmowa z prof. Janem Nielubowiczem zasługuje na szczególne wyróżnienie. Jest świetna. Oczywiście, że podsyłając egzemplarz, nie liczyłem na odpowiedź.

Byłem bardzo zdziwiony, kiedy otrzymałem okazałą przesyłkę, w której znalazłem taki oto list:

Warszawa, dnia 28 maja 2009 r.

WICEMARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Krystyna Bochenek

Szanowny Panie,
z zainteresowaniem przeczytałam książkę „*Brakuje mi pana, panie profesorze*”, za której przesłanie uprzejmie dziękuję. Doceniam Pańskie starania, by tym wydawnictwem zachować pamięć o profesorze Andrzej Seyfiedzie, wybitnym specjaliście w dziedzinie ortopedii i rehabilitacji, wspaniałym lekarzu i człowieku.

Z wyrazami szacunku
Krystyna Bochenek

Cytuję expressis verbis.

Pani Krystyna Bochenek, to był jedyny polski polityk, który mi podziękował.

Krystyna Bochenek zginęła w katastrofie lotniczej prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. Wspominam tę znaną osobę, bo tak grzecznie się zachowała i była taka pełna życia. Dzięki niej zrozumiałem, że są politycy, którzy zachowują się niekonwencjonalnie. Szkoda, że można ich policzyć na palcach jednej ręki.

Wspominam osobę, której nie znałem. Ale czasami drobny fragment wiele mówi o heroicznosci życia, które zostało w tak brutalny sposób przerwane, że brak słów. Na nic się zdają wszelkie wyrazy, kiedy człowiek jest napełniony smutkiem. Była animatorką spotkań, m.in.: *Mamo, nie płacz*, *Różowa wstążka*, *Rzuć palenie* oraz *Zjazd Krystyn*.

Krystyna Maria Bochenek (30 VI 1953 – 10 IV 2010). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2–3 czerwca 2010 roku.

PS

15 czerwca 2010 otrzymałem e-mail:

I Oddział Kardiochirurgii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, 40–635 Katowice, ul. Ziołowa 47

Bardzo dziękuję za przesłanie gazety i tekst zamieszczony w „Gazecie Wyborczej”.

Jestem przekonany, że Krystynie byłoby bardzo miło gdyby mogła przeczytać tyle miłych słów o sobie. Zgadza się z Panem, że była inna od przeciętnego polityka, a przede wszystkim potrafiła docenić indywidualne i niekonwencjonalne działania.

Jeszcze raz dziękuję.

Z poważaniem,

Ordynator I Oddziału Kardiochirurgii prof. dr hab. n. med. Andrzej Bochenek

Nuchim Bomse (1906–1954)

Urodził się w Sasowie, gdzie wyrabiano tzw. atury, czyli *kwiaty tkane srebrnymi nitkami dla dekoracji żydowskich tańców modlitewnych*. Zmarł w Nowym Jorku (*Big Apple*). Mówiąc językiem Księgi: *Złote jabłka na sprzętach ze srebra – to słowo mówione w czasie właściwym* (Prz 25, 11). Stanisław Vincenz (1888–1971) napisał o nim wspomnienie pt. *Poeta srebrnych kwiatów* (Grenoble, 1954). Autor cyklu *Na wysokiej połoninie* był wielkim admiratorem tego niezwykle nieśmiałego i cichego poety. Lapidarnie ujął: *A Bomse był kwiatem tego społeczeństwa, które mówiło u nas w Polsce i na ziemiach starej Rzeczypospolitej po żydowsku*. To znaczy – ktoś z polotem i polem.

Wśród wierszy wyróżnia się majstersztyk liryki pt. *Modlitwa mojej matki przed zmrokiem*, przekład z jidysz Czesław Miłosz. W 16. strofach znaleźć można pouczenie nieśmiałe, które jest czymś więcej niż modlitwą.

Jakim trzeba być miary poetą, żeby prosić o to, aby *suknia leżała na ławeczce w nocy*. Żeby nikt *nie był w myśli skrzywdzony*. A burzące wody, nie wystąpiły z brzegów i nie uniosły kładek i przęsł w rzece.

Jeszcze zdążył napisać poemat, w którym znaleźć można strofy o śmierci, która przychodzi – jak wiadomo – bez zapowiedzi i zastaje na drzwiach bilet usprawiedliwiający: *Her Tojd, Nuchima nie ma w domu, proszę drugim razem*. To brzmi jak trawestacja anegdoty. Kiedy pewna 90-letnia dama powiedziała do 95-letniego Bernarda Fontenelle’a (1657–1757) *Panie, śmierć o nas zapomniała!*, francuski filozof szybko ją zgasił: *Śśś!* I położył palec na ustach.

Wspomnienia (2) [*Nuchim Bomse (1906–1954) Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Marian Brandys (25 I 1912 – 20 XI 1998)

W XX w. to było głośne nazwisko. Jego książki kupowano *spod lady*. Tak, tak. To nie pomyłka. Pan Marian był literackim reporterem, ale... z takim przegięciem na historię. Ilekroć go spotykałem, tylekroć robiłem wszystko, żeby powiedzieć: dzień dobry!

Starszy mężczyzna. Z laseczką, w berecie. W wełnianej kamizelce/sweterku. W koszuli zapiętej na ostatni guzik. Niespieszny przechodzień. Mijaliśmy się. Zawsze byłem o jego uśmiech bogatszy. Miał w sobie pogodę ducha. Dla mnie to był znak, ile on musiał w życiu przejść niespokojnych nocy i dni, w których przygasała nadzieja.

Lata 80. XX w., zdążam do Biblioteki w Domu Literatury i słyszę, jak ktoś z trudem pokonuje drewniane schody. Czekam przy drzwiach, żeby przepuścić. Idzie pan Marian z Antoniną Krzysztoń, rocznik 1954. Kłaniam się. A Tośka mówi, jakby chciała się pochwalić: *Wujek, to jest...* A pan Marian szybko ją gasi: *Wiem, kto to jest!* Po czym zdejmuję beret i wchodzimy do czytelnicy-biblioteki.

To że tacy pisarze, jak on, zachodzili do tego przybytku przy Krakowskim Przedmieściu 87/89, niech będzie komentarzem o klasie tej miejscówki pod Kolumną Zygmunta, z oknami na prawy brzeg Wisły. Z wielkimi stołami, jakie można spotkać u rzemieślników, oraz tradycyjnym drewnianym katalogiem z fiszkami. I ta cisza – i te skrzypiące drzwi, bo ciągle ktoś wpadał po *światło druku* albo na ciche ploteczki. Na ścianie wisiał ścienny zegar, który nie pił, a bił – jak w zagadce. I żył, bo zawsze był ktoś, kto go nakręcał.

Wspomnienia (I) [Marian Brandys (25 I 1912 – 20 XI 1998) *Wspomnienie*], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/I [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Wilhelm Brasse (3 XII 1917 – 23 X 2012)

W internecie można obejrzeć o nim film dokumentalny pt. *Portrecista*, w reżyserii Ireneusza Dobrowolskiego, z 2005 roku. Wstrząsający dokument. Wilhelm Brasse (3 XII 1917, Żywiec – 23 X

2012, Żywiec), polski fotograf, który w czasie II wojny światowej jako więzień 3444 trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie na zlecenie SS prowadził tajną dokumentację fotograficzną. O miejscu zsyłki lapidarnie powie: *w Auschwitz przeżyłem Boga i matkę, że mnie urodziła*. Jego narracje, choć opowiedziane bardzo subtelnie, są tak drastyczne, że brak słów. Upodlenia, o jakich mówił, nie sposób pojąć. To wymyka się wszelkim kryteriom ludzkim i estetycznym. To jest straszne i przygnębiające. *Wilhelm Brasse po wyjściu z obozu, nigdy nie wrócił do zawodu fotografa-portrecisty*. Ocalał, ale trauma obozowa niszczyła go aż do śmierci. Wyznanie, jakie zostawił, jest testamentem dla tych, którzy robią wszystko, żeby dać pokojowi szansę i w zarodku gaszą iskry wojny, które drzemią. W nas.

Łzy. Wilhelm Brasse. Stara bieda. Tola. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 43.

Charles Bukowski (16 VIII 1920 – 9 III 1994)

Kiedy po raz 1. go zobaczyłem w kolorowej telewizji, myślałem, że coś się z stało z wizją i fonią. Podszedłem, bo śnieżyło. Zobaczyłem gościa w typie kloszarda. Wydziobana twarz. Straszne braki w uzębieniu. Zarost. Włosy nie umyte; w strasliwym nieładzie. Nie trzymał pionu, choć siedział w skórzanym fotelu. Myślałem, że spadnie na podłogę. Jak długi. Mówił tak, że trzeźwy by tego nie powiedział. Redaktor zadawał pytania jak kałuża, a on odpowiadał, jak człowiek, który głęboko zakopuje znaki zapytania. Nie wiedziałem, kto to jest. Dopiero po programie, gdy dziękowano za rozmowę, dowiedziałem się, że to Charles Bukowski, abnegat literatury pięknej.

Po programie przeczytałem to, co w Polsce przetłumaczono. Zacząłem od *Zapisków starego świntucha*. Nie pamiętam, na czym skończyłem. Dawniej na taką prozę mówiliśmy w gronie męskim w redakcji, że *jest po ch...*

Charles Bukowski to był poeta-nowelista, który wiedział, że w pisaniu trzeba czasami dobrze nakłamać, żeby to się dało czytać. Od deski do deski, jak mawiano drzewiej. A dzisiaj gadają: od laski do laski. To był samorodek, co potrafił tak pisać, że papier się rumienił. Człowiek z taką reputacją, to skarb.

Książki Charlesa Bukowskiego były mi tak bliskie, że je rozdałem. Zachowałem się jak wierny czytelnik. Są pisarze, którzy demoralizują nas pozytywnie. Nie sięgają po flakonik, żeby perfumować. Żeby ktoś ich smrodu nie poczuł. Henry Charles Bukowski jest jak Charles Bukowski. W jego zapiskach kobiety są niedomknięte, to znaczy nie pachną jak kobieta. Mieszą zapachy. On był autentyczny nawet, kiedy kłamał i kradł innym pomysły. Był jak sukinsyn. Nasz. Jak *ćma barowa*.

Osika, Pan Jan, ekumenista, Charles Bukowski, Wiadomix, Surfując po Internecie, „Karczmiaak”. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 46.

Andrzej Bursa (21 III 1932 – 15 XI 1957)

Trzy lata mieszkałem w internacie Technikum Elektronicznego w Zduńskiej Woli (ul. Łaska 61). Na poddaszu. Lata 1970–1973. Dopiero pod koniec roku szkolnego w II klasie Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 dowiedziałem się o tym, że był poeta Andrzej Bursa – żył tylko 25 lat. Debiutował w 1954 roku na łamach krakowskiego tygodnika „Życie Literackie” wierszem pt. *Głos w dyskusji o młodzi*. Nie wiem, kto mi naraił książkę z jego utworami poetyckimi i prozą. Wiem, że długo z tego, co przeczytałem, nie mogłem ochłonać. Oczywiście, że nie wszystkie przypadły mi do gustu. Niektórych strof nauczyłem się na pamięć. Mogłem sypać cytatami, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale nic się takiego nie wydarzyło, bo w głowach moich kolegów były dziewczyny, a nie wierszyki. Za ostrością tych liryków kryła się delikatność i pewnego rodzaju nieporadność. *Przećież znasz wszystkie moje chwytły / życie moje* – pisał. Poemat *Obrona*

zebractwa uczył patrzeć na ludzi upośledzonych nieco inaczej, bo *oni grają przez całe życie jedną rolę / ale robią to doskonale*. Albo taki wiersz *Sobota*, który tak się szkli alkoholowo: *Boże jaki miły wieczór / tyle wódki tyle piwa / a potem płatanina / w kulisach tego raju (...)*. Utwór literacki kończy się jak reportaż, który mija się z poezją: *mam w dupie małe miasteczka / mam w dupie małe miasteczka / mam w dupie małe miasteczka*. Oczywiście, że miałem inne zdanie o małym miasteczku, w których człowiek jest jak na widelcu. Nigdy mi do głowy by nie przeszło, żeby je schować tam, gdzie kończy się szlachetna część pleców. Podobnie rzecz się miała z innymi strofami, na przykład: *Ja chciałbym być poetą / Bo dobrze jest poecie / Bo u poety nowy sweter / Zamszowe buty piesek seter / I dobrze żyć na świecie (Ja chciałbym być poetą)*. Nie chciałem być poetą, przynaję, choć coś tam bazgroliłem, więc bywałem. Ukradkiem. Bursa uwiódł mnie, mieszkańca zduniskowskiego internatu, co był w mansardzie. Oddał po trochu to, co we mnie rzepoliło, płonęło i gasło: *Szedłem ulicą znużony od zgryzot / I młodość moja jak noc źle prześniona / Bładym promieniem na ulicznych fryzach / Gaśla splątana i nieodgadniona (Pierścień-tesknota)*.

W internacie czytałem jego wiersze i prozę. Nie odrywałem się od ulicy Łaskiej, czasami zbaczałem w ul. Kilińskiego, co prowadziła na dworzec PKP. Bałem się wdepnąć w srogie przedmieście, co to ni wieś, ni miasto.

Wiersz Andrzeja Bursy jest jak sznyt – bywa jak tatuaż.

W latach 80. XX wieku pracowałem na etacie redaktora w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej (al. Stanów Zjednoczonych 63) i tam spotkałem syna poety, Michała. Dyskretnie popatrzyłem na niego. Był dwa lata ode mnie starszy. Przyszedł podpisać umowę i odebrać honorarium. Chłopiec był nieskory do rozmowy. Ponad. Uśmiechnąłem się, bo pomyślałem, że Andrzej Bursa to był liryczny chuligan. Może nie w dechę, ale w każdym calu.

Wspomnienia (I) [Andrzej Bursa (21 III 1932 – 15 XI 1957) *Wspomnienie*], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Bohdan Butenko (8 II 1931 – 14 X 2019)

W wieku 88 lat odszedł grafik, rysownik, ilustrator, projektant lalek i dekoracji do teatrów lalkowych. Nieraz w dzieciństwie omia-
tałem jego kreski, które zamieszczały takie pisma jak „Miś”,
„Świerszczyk”, „Płomyczek”, „Płomyk” oraz „Świat Młodych”. Wy-
kreował sympatyczne postacie: Gapiszon, Kapiszon, Gucio i Cezar,
Panna Kreseczka.

Śmigłym piórkiem wnosił pogodę ducha.

Mówił: *ilustrowałem i zawsze truchlałem.*

Kto z nas nie pamięta podpisu: *Butenko pinxit?* To znaczy –
Butenko namalował.

Mój syn Paweł Piotr podczas Targów Książki na Stadionie Na-
rodowym w Warszawie w 2017 roku wraz z dziećmi podszedł po de-
dykację. Przy okazji zapytał, jaka jest recepta na dobry rysunek.
Bohdan Butenko po dłuższej chwili odpowiedział: *rysunek powinien
być prosty, żeby nie odciągał uwagi, i dynamiczny.*

Świetna uwaga – lapidarna jak jego rysunki, w których zawsze
coś się działo, więc uczyły patrzeć i myśleć, i wspominać, co prze-
szliśmy przez dzieciństwo i młodość.

*Pochwała (pewnych) miejsc, Janina Leszek (22 IV 1929 – 12 IV
1997). Wspomnienie. Na miarę Wlenia (42) [w:] wleninfo.pl, 19 paź-
dziernika 2019 roku, sobota; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-42/>.*

George Charpak (1 VIII 1924 – 29 IX 2010)

C

Światowej sławy fizyk. Urodzony w Dąbrowicy koło Równego,
w biednej rodzinie żydowskiej. Z rodzicami najpierw wyemigro-
wał do Palestyny, gdzie jego matka i ojciec przez dwa lata... tłukli
kamienie na drodze. Zniechęceni wrócili do Polski. W 1932 roku
ponownie wyemigrowali. Tym razem do słodkiej Francji, gdzie
matka zajmowała się szyciem, zaś ojciec rozwoził po restauracjach
śledzie. Dzięki ich pracy chodził do najlepszego liceum, choć był

biedakiem. (...) *Odbył staż w Collège de France w laboratorium Frédérica Joliot-Curie. W 1954 r. obronił pracę doktorską, a pod koniec lat 50. zaczął pracować w słynnym CERN-ie (Europejskim Centrum Badań Jądrowych).* (...) [Sławomir Zagórski, *Zmart Charpak, zakonchany w fizyce. Pożegnanie*, „Gazeta Wyborcza” 2010, nr 230 (1 października)].

W 1992 roku otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki. W swojej biografii napisał m.in.: *Fizyka to najbardziej wymagająca, a czasem najbardziej niszcząca kochanka.* (...).

Nauczył się mówić po polsku wedle przysłowia: *mądrej głowie dość dwie słowie*. Czyli: *Jestem Francuzem. Nie mówię po polsku.*

Antoni Chodorowski (7 VI 1946 – 15 II 1999)

Z Antkiem Chodorowskim to było tak.

Podziwiałem jego wspaniałe rysunki piórkiem na łamach „Sztandaru Młodych” i „Szpilek”.

Ponieważ jestem bardzo nieśmiały, więc musiało sporo upłynąć wody w Wiśle, żebym się zdecydował na pierwszy krok.

W 1989 roku wpadł do mnie Michał Fluder, mój dawny wychowawca z sanatorium dziecięcego PKP *Leśny Dwór* we Wleniu k/Lwówka Śląskiego. Ponieważ strasznie się nudziliśmy *Na Skraju*, więc zaproponowałem, żebyśmy poszli do Galerii U (ul. Zamiany 16), gdzie odbywał się wernisaż Antoniego Chodorowskiego. I tam po raz pierwszy poznałem Antka i Franciszka Maśluszczaka.

Antek stał na podwyższeniu. W marynarce przykrótkiej, spodniach z mankietem nad kostką, w butach dobrze zdeptanych. Oczywiście, że nie odmówiłem sobie skomentowania, że tak wygląda najelegantszy mężczyzna na Ursynowie. Coś tam do siebie powiedzieliśmy.

Za kilka tygodni poszedłem do jego domu.

Było południe.

Antek spał.

Zosia go obudziła.

Dzięki Zosi zostały szybko przełamane lody.
Przeszliśmy na *ty*; na tę formę decyduję się z nielicznymi (sic!).
Antoni wykonał mi I. facjatkę twarzy, która ukazała się w „Paśmie”.

A potem to wszystko nabrało rozpędu.

Antoni ilustrował wiele moich tekstów. Potrafił moje pomysły przyszpilić piórkiem na kartce. Robił to wspaniale. W rysunkach piórkiem nie miał sobie równego.

Był nieprawdopodobnie szybki i cięty, ale nikogo nie ranił i nie przekraczał dobrego smaku.

Potrafił na bieżąco komentować tę polską *wirówkę nonsensu* i hucpę.

Jego karykatury traktowałem poważnie.

Czasami dobrotliwie narzekał. W tym kręceniu nosem, też był fajny i śmieszny, a nie upierdliwy.

Ludzie lubili Antka.

Miał powodzenie u kobiet i nie można tego zatajać.

Prowadził bardzo intensywne życie towarzyskie.

Znał prawie wszystkich i ze wszystkimi był na *ty*. W tłumie czuł się jak ryba w wodzie.

Był wrażliwy na wszelkie komplementy.

Krytykę źle znosił.

Był moim przeciwnieństwem.

Z natury nie bywam w miejscach, gdzie można się wysnobać. Piszę kroniki towarzyskie, nie będąc tam, gdzie trwa to zbiegowisko próżności.

Lubił rysować dziewczyny, mężczyzn nie za bardzo. Dla mnie robił wyjątek. Mam w swoich zbiorach wiele facjatek, które pochowałem w teczkach, żeby ktoś mnie nie posądził o kabotyństwo.

Pojawiałem się w jego felietonach rysunkowych („Szpilki”, „Warszawski Informator Kulturalny”).

To on zaprojektował okładki do moich książek (*Ballada o Michale z Kasztelanii Wleńskiej*, Warszawa-Ursynów 1989; nakładem

własnym, *Ballady miłosne*, Warszawa 1990; nakładem własnym, *Zapiski wleńskie*, Warszawa-Ursynów 1990; nakładem własnym, *Okruchy ballad*, Wydawnictwo Libraria, Warszawa 1991, *Wspomnienia wleńskie*, Warszawa-Ursynów 1996; nakładem własnym).

Raz o nim pisałem wierszem i kilkadziesiąt razy prozą.

Zrewanżował się kiedyś i w wywiadzie coś tam półgębkiem powiedział na mój temat. W ten oto sposób wyrównały się rachunki.

Robił mi wiele zdjęć, bo z aparatem fotograficznym nie rozstawał się podczas swoich peregrynacji po tym Bożym świecie. Zachowywał się czasami jak Japończyk.

Nieraz przychodził do mnie ze zdjęciami, żebym zobaczył, gdzie bywał. Raczej nie wykazywałem zainteresowania. Szybko przetrzucałem. Dziwił się, że mnie te typy nie interesują.

Raz uległem jego namowom, żeby przeprowadzić wywiad z jedną Miss Polonia. Usiedliśmy w Horteksie i notowałem. Potem wsiedliśmy do samochodu. Na ulicy Puławskiej zacząłem notatki drzeć w drobne kawałki i wyrzucać przez okno. Antek spojrzał i spytał: *Co robisz?*

Kiedy pozbyłem się wszystkich ścinków, powiedziałem, że napisałem swój najczystszy tekst.

Chyba do końca mnie nie zrozumiał, bo za jakiś czas znów kusił mnie na wywiad z jakąś urodziwą damą. Zwodziłem go i nigdy nie dotrzymałem słowa, że jak się obrobię, to pojedziemy.

Przegadałem z nim dziesiątki godzin.

Obwoził mnie samochodem, ale... nie wytrzymałem jego tempa, które było mordercze. Potrafił odwiedzić kilka wernisaży, a po drodze jeszcze o niejednym dom zahaczyć.

Kiedy szedłem spać, on ożywał się. Nieraz o północy wpadał do mnie, by się podzielić tym, co przeżył. Siedziałem w piżamie przy stole i słuchałem, bo do niego miałem słabość.

Antek miał straszliwy apetyt na życie.

To był szalony marzyciel – nocny marek. Silny i delikatny, choć wyglądał jak kowal.

Paliliśmy mnóstwo papierosów. I ani razu nie zdarzyło nam się wypić wódeczki (w Grójcu napiliśmy się, nie wiem, czy to była wódka czy piwo?). Ten drobny fakt świadczy, jak byliśmy zapracowani.

Antek demoralizował mojego syna Pawła Piotra sztukami plastycznymi, ja zaś starałem się zachęcić jego dzieci do literatury pięknej – konkretnie do poezji. Mój syn rysuje i maluje. Nie słyszałem, żeby dzieci Antka pisały wiersze albo wierszyki.

Pił niesamowite ilości kawy.

Lubił słodyczne.

Nigdy nie nosił zegarka na przegubie dłoni.

Spodnie miał zaprasowane, nie zapinał koszuli na wszystkie guziki. Nie cenił krawata. Nosił brodę.

Wieczorami rozmarzał się, kiedy na niebie pojawiały się gwiazdy i przygarbiony księżyc. O mapie nieba mógł gadać i gadać.

Wiecznie chciał się brać za rękę. Miał *bzika* na punkcie siły i sprawności.

Bał się szpitali i cmentarzy.

Moje Białe opowiadania napawały go lękiem.

Kiedy mimochodem wspominałem o śmierci, to szybko zmieniał temat. Nie znaczy to wcale, że nie lubił dyskutować o sprawach ludzkich.

To był poeta-rysownik – miał dowcipną rękę, jakby się urodził z piórkiem zamiast paznokci.

Pracował od wieczora do rana. O godzinie 13 zaczynało się dla niego południe. Wolniutko budził się do życia. Pił kawę, konsumował słodkości, zapalał papierosa i gnał po warszawskich Redakcjach.

Ludzie snobowali się znajomością z Chodorowskim.

To była najbardziej znana postać z Ursynowa, choć za życia nie doceniona.

Po jego śmierci różne głupstwa pletli i pisali o nim. W pruderii i frazesie to jesteśmy siłą.

Współpraca z Antkiem należała do przyjemności. Człowiek musiał ciągle się uczyć, tj. czytać i czytać, a przy okazji wiedzieć, co się na mieście dzieje.

Antek był łakomy życia, z którego czerpał wszystkimi zmysłami.

Żył w galopie. W ciągłej zadyszce. Nie zważając na zdrowie.

O chorobach nie wypadało z nim rozmawiać, bo tracił humor i był przydeptany jak pet.

Nigdy nie był zatrudniony na tzw. pełny etat. *Jestem bezrobotny od urodzenia* – mawiał.

Był sam sobie sterem i żeglarzem piórka. Potrafił doskonale o siebie zadbać, jak prawdziwy artysta.

Powierzał mi różne sekrety, tylko dlatego że nigdy go o to nie prosiłem.

Chyba nie wiedział, ile co kosztuje? Miał na papierosy, benzynę i kawę.

Nie musiał nosić pieniędzy, bo wszędzie miał dłużników. Sponsorzy lubią się kręcić obok ludzi z nazwiskiem.

To był artysta pełną gębą, choć gdybym mu powiedział, że jest artystą, zapewne by spojrzał na mnie spođe łba i mruknął: *Nic takiego!*

Mowa wygłoszona 6 lutego 2004 roku w Galerii Elektor w Mazowieckim Ośrodku Kultury i Sztuki, ul. Elektoralna 12 podczas wernisażu *Wspomnienie. Twórczość Antoniego Chodorowskiego*.

* * *

Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (1975). Grafik, karykaturzysta, ilustrator książek, plakatów, świetny felietonista rysunkowy. Za życia bardzo znana postać. Autor świetnych rysunków piórkiem; nasączonych takim poczuciem humoru. O jego klasie świadczyć może to, że potrafił narysować najgłupszy pomysł, nad którym nie radzili sobie inni.

Od 1981 roku mieszkał przy ul. Służby Polsce na Ursynowie. Na 130 metrach kwadratowych (połączenie M-4 i M-5). Z rodziną (trzy dziewczynki i sześciu chłopców), psem i czterema kotami. Nad całą noc czuwała jego żona Zosia. Pracował wieczorami, aż do brzasku. W dzień spał. W południe się budził i objeżdżał warszawskie redakcje, w których upychał rysunki. Miał niesamowicie dowcipną rękę. Nie miał sobie równych. Jego grafika prasowa to mistrzostwo świata. Całe życie lubił się brać *na rękę*. O tym, że był adorowany przez kobiety, nie muszę pisać, bo zwykł panie rysować o wiele piękniej, niż pokazywało lustreczko. Łasy był na komplementy. To był niesamowity gość. I marzyciel. Znał się na astronomii i potrafił wprowadzić w zdumienie matematyków. Należał do karykaturzystów, którzy mieli powagę do ironii. Kiedy go zapytałem: Antek, jaki jesteś?, odpowiedział: *Jestem bardzo cynicznym człowiekiem. Bardzo cynicznym człowiekiem, ale... myślę, że inaczej, jak gdyby, te prawdy właściwie nie można przekazać innym ludziom, jak tylko w sposób bardzo cyniczny. No bo jak powiedzieć komuś prawdę inaczej?*

Antek latami obwoził mnie swoim zielonym Polonezem przez Warszawę. Jego tempo życia było zawrotne. Szaleńcze. Pił kawę za kawą. Sporo paliliśmy papierosów. Rozmowa z nim potrafiła wciągać, bo Antoś nie liczył się z czasem. Nie dbał o wszelkie standardy życiowe. Nigdy nie był zatrudniony na etacie. Uciekał od wszelkich przybytków medycznych. Żył bez zegarka na przegubie dłoni. Odszedł tak niespodziewanie, że kiedy usłyszałem w radiu wiadomość o jego śmierci, to mnie zatkało. A przecież nie należę do bojowników, którzy się boją.

Od 14 X 2000 roku jego imię nosi szkoła podstawowa w Czaczkach Małych na Podlasiu, skąd pochodził. Od 22 IX 2011 rok jest patronem jednej z ulic na warszawskich Kabatach.

Dawniej był taki głośny, dzisiaj zapomniany, choć go pochowano na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, obok byłych mistrzów olimpijskich, Władysława Komara (kula) i Tadeusza Ślusarskiego (skok o tyczce). Wspominam swojego star-

szego kolegę, który popadł w niepamięć. Oto czym się kończy popularność za życia. W przeciwieństwie do cichego zachwyty. Mało to pocieszające, ale...

Antoni Chodorowski (7 VI 1946, Chodory – 15 II 1999, Warszawa). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 maja 2014 roku.

Wanda Chotomska (26 X 1929–2 VIII 2017)

Do pani Wandy Chotomskiej miałem słabość. Od dzieciństwa. Jej tekstów uczyłem się w latach 60. XX w., kiedy to przebywałem w sanatorium dziecięcym w Zagórzku koło Warszawy. Właśnie tam nasza wychowawczyni Emilia Kawecka (*Ciocia Enia*) przygotowywała z nami teatrzyk pt. *Sąd nad babami*, sztuka napisana przez Wandę Chotomską i Wacława Bisko. Mijają lata. Nie zapominam o tym, co grałem na scenie.

Oto kilka sentymentalnych wtrętów.

Wiosną 1997 roku Zosia Chodorowska zapytała, czy podjąłbym się oceny wierszy, jakie nadesłano do Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie na I Ogólnopolski Konkurs Poetycki pn. *Ja i moja rodzina*. Odpowiadam, że tak. Moja starsza koleżanka mówi, że w jury będzie też pani Wanda Chotomski. To wspaniale! – odpowiadam.

Latem przywożę mi do domu koperty pełne wierszy. Czytam, robię selekcję, notuję.

Dnia 17 czerwca jadę na ulicę Jasną do siedziby TPD, na I piętro. Przychodzi pani Wanda Chotomska. Zosia przedstawia jurorów. Zabieram głos i proponuję, żeby przewodniczącą jury była pani Wanda, która w poezji siedzi już tyle lat. Po raz pierwszy ją widzę. W pewnym momencie mówię: Pani Wando, jestem człowiekiem nieśmiałym, ale nie do końca. Nie chcę się posunąć za daleko, ale muszę coś powiedzieć. Jako chłopiec dwa razy grałem w sztuce *Sąd nad babami*, którą napisała pani Wanda Chotomska

i Wacław Bisko. Widowisko to było drukowane zapewne w „Świecie Młodych”.

Pani Wanda patrzy, więc mówię rolę woźnego, a potem prokuratora.

Pani Chotomska jest tak zaskoczona, że nie wie co powiedzieć. Myślę, że dzięki tym występom na scenie, nabyłem też praw aktorskich. Zapewne bardzo daleko mi do Marlona Brando (1924–2004) czy Julii Roberts (rocznik 1967), ale z krajową czołówką, kto tam wie. Ni stąd, ni zowąd przypominam polskie przysłowie: *Babko, zwonią. – Nie słysę. – Babko, grają. – Ha! ha! Kaj są moje chodacyska? Pójdę sobie do karczmyska, bede sobie hoc! hoc!*

Po tym moim wystąpieniu, z uśmiechem na ustach przystępujemy do obrad jury.

I tak to trwało latami. Zbieraliśmy się w czerwcu, a jesienią odbywała się gala, którą wspólnie prowadziła Wanda Chotomska.

Dopiero po 7. latach, 3 grudnia 2002 roku w warszawskim Domu Literatury podczas wręczenia nagród uczestnikom VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci pt. *Kolory mojego dzieciństwa*, odważyłem się powiedzieć przy pełnej sali dzieciaków i ich opiekunów:

Kolory mojego dzieciństwa – to tytuł VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Taki tytuł *szturchnął* mnie do wypowiedzi.

(...)

W tym miejscu chciałbym wspomnieć o pani Wandzie Chotomskiej, która bierze udział w pracach jury od pierwszej edycji konkursu poetyckiego TPD. Jest mi trochę niezręcznie mówić o pani Wandzie, ponieważ w dzieciństwie uczyłem się jej tekstów na pamięć. Z zapartym tchem oglądałem *Jacka i Agatkę* w telewizorze czarno-białym. Przypomnę, że była to bardzo sympatyczna dobranocka. Dziś powiedziałbym, że z biglem zrobiona. Nieraz grałem w szpitalu jej sztukę napisaną wspólnie z panem Wacławem Bisko. Tytuł sztuki: *Sąd nad babami*. Tę rzecz przygotowała pani Eugenia

Kawecka (*Ciocia Enia*) w szpitalu w Zagórzku koło Warszawy. Do dziś jestem pod wrażeniem, choć upłynęły lata. Moje dzieci uczyły się z podręczników wierszy pani Wandy Chotomskiej.

Gwoli słodkości plotkowania powiem, że konkurs jest okazją do spotkania z panią Wandą. I pretekstem do wspomnień czasów, w których wydawano „Świat Młodych”. Mimochodem wspominiamy Mirona Białoszewskiego, Juliana Tuwima, Jana Brzechwę, *Elementarz* Mariana Falskiego z Alą i psem Asem, i murzynkiem Bambo. Autorka *Dla każdego coś śmiesznego* wnosi pogodę i radość. Potrafi dobrotliwie spojrzeć na teksty dzieci i młodzieży. Ma smak i czułość do poezji, a to nie jest znowu takie częste.

Piszę o tym, żeby nie kręcono nosem, kiedy od młodych lat staramy się, żeby dzieci nasączone były poezją, która łagodzi szorstkość świata.

Odeszła Pani Wanda, która mówiła: *Mam taką specjalizację: jestem pediatrą w literaturze, na receptach wypisuję uśmiech.*

Odeszła Pani Wanda Chotomska (26 X 1929 – 2 VIII 2017), „Tygodnik Olecki” 2017, nr 32.

Wanda Chotomska (26 X 1929 – 2 VIII 2017). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9–10 września 2017 roku.

Erazm Ciołek (24 VI 1937 – 13 XI 2012)

Kiedy po raz pierwszy mnie odwiedził na Ursynowie, przywiózł ze sobą album *Erazm Ciołek, Polska sierpień 1980 – sierpień 1990*, wstęp Stefan Bratkowski, *Polowanie na historię*, Wydawca: EDITIONS SPOTKANIA, Warszawa 1990, ss. 261. Opaśle tomiszczce. Czarno-białe fotografie. Wpisał mi dedykację: *Drogiemu Czesławowi z Przyjaźnią i Nadzieją! 13!? XI 1990 Erazm Ciołek*

Przy 13 wstawił wykrzyknik i znak zapytania.

Zmarł 13 listopada. 22 lata od tej wizyty.

Nieraz wpadałem na warszawską Ochotę do Erazma, w Aleje Jerozolimskie, i snuliśmy plany, żeby pojechać do Zagórzka koło

Warszawy. Do tego miejsca, gdzie w sanatorium długie lata pracowała jego matka Eugenia Kawecka-Ciołkowa. Oczywiście że nic z tego nie wyszło. Zawsze coś stało na przeszkodzie. Chyba traumatyczne wspomnienia. No, powiedzmy. Erazm przez grzeczność słuchał tego, co mówiłem o Zagórze. Do baśniowego Zagórza miał wielki dystans. A dla mnie Zagórze to było, jak pierwsze kochanie.

Erazm lubił politykę, w której tkwił po uszy. Za bardzo nie rozumiałem jego entuzjazmu. Za to wysoko sobie ceniłem jego fotografię. Nawet, gdy miał wystawę w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie przy ul. Krakowskie Przedmieście 5, październik 1995 roku, sprzedawałem jego wysmakowany katalog i plakat Waldemara Świerzego (1931–2013), [pochowany na Powązkach, na marmurze wryto wersalik: TU LEŻY ZAWSZE ŚWIERZY]. Wszystko poszło na pniu.

Erazm miał wysublimowane poczucie humoru, w dobrym guście, choć potrafił z wdziękiem zakłąć.

Gdy w latach 90. XX w. zapytałem, jakie miał wypadki przy pracy, odpowiedział: *Było ich wiele. Na przykład: towarzyszyłem Papieżowi w czasie Jego wizyty w Polsce i taka rzecz mi się zdarzyła we Wrocławiu. Był ołtarz i obok tego ogrodzone podwyższenie dla fotografów. I z tego miejsca, właściwie, nie wolno było się wyłamać. Papież zszedł z ołtarza i przechodził koło naszego podwyższenia. A ja wtedy przelażłem przez płot i zacząłem biec przed Papieżem. Fotografowałem z bliska Ojca Świętego. Wiedziałem, że za chwilę złapią mnie porządkowi i odstawią. Miałem na torbę przewieszoną kurteczkę. Kiedy byłem blisko Papieża, spadła mi kurteczka. A Papież był odwrócony, pozdrowiał wiernych, i zdeptał mi moją kurteczkę. I mam kurteczkę zdeptaną przez Jana Pawła II.*

W XXI w. rzadko się widywaliśmy. Pozostał kontakt telefoniczny. Od okazji do okazji. I zawsze mu przypominałem o Zagórze. A kiedy wyczuwałem, że chce mnie ofukać, to w ramach łagodnej perswazji dodawałem: Erazm, masz pod szybą w łazience

zdjęcie z Zagórza z lat 60. XX wieku. Pamiętam tę fotografię: dzieci po polio w gipsie, leżące, jak promienie słońca z długim białym cieniem. Mówiłem, żeby nie było coś nie halo.

Prof. dr Halina Ciołkosz-Łupinowa (6 XI 1931–23 XI 2003)

Była pracownikiem naukowym Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina, Wydział Reżyserii Dźwięku. Zajmowała się nagraniami muzycznymi, a szczególnie nagraniami muzyki wokalne i choralnej, a także realizacją testów słuchowych, dyktand muzycznych i innych materiałów wykorzystywanych w dydaktyce i pracach naukowych. Realizowała nagrania muzyczne dla Polskiego Radia i Telewizji, Wytwórni Filmowych, Teatrów oraz dla Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. W pracach badawczych koncentrowała się nad zagadnieniami dotyczącymi akustyki ludzkiego głosu, psychoakustyki i muzycznej reżyserii.

Kiedy zapytałem o credo życia, to powiedziała: *Nie skrzywdzić nikogo. W miarę możliwości pomóc temu, kto potrzebuje pomocy. To z domu wyniosłam. I to staram się realizować w pracy, życiu i w domu.*

W wolnych chwilach, zwykle wieczorami, prof. dr Halina Ciołkosz-Łupinowa zajmowała się pisankami. Na warszawskim Mokotowie pisała woskiem wspomnienia. W jej pisankach są zakłète tajemnice huculsko-polskie. Dzięki pisankom odżywała nadzieja. A jak nadzieja, to wiara i miłość. Przeczytajcie jak opowiadała o swojej pasji: *Pisanki huculskie widywałam przed wojną. Bywały nawet w domu. Ojciec kupował je na rynku. Jako dziecko, w czasie wojny w Bohorodczanach, gdzie ukrywaliśmy się podczas pierwszej okupacji sowieckiej, widziałam jak rysuje się woskiem na surowym nie ugotowanym jajku. Huculskie wzory na pisankach są bardzo charakterystyczne. Często wykorzystuje się wzór krzyża. Wzory są pełne przepychu. Na pisankach można spotkać romby, trójkąty, gwiazdy. A z kolorów: biel, żółć, pomarańcz, brąz, czern, czasem zieleń. Elementy dekoracyjne*

są drobne i gęsto utkane, a przez to nawiązują do tradycyjnej tkaniny huculskiej (haft, kilim, «liźnik» lub cieńsza od liźnika narzuta zwana «weretą»); są ciemne i mocne w kolorach. Pisanki na Huculszczynie dziewczęta rozdają podczas świąt Wielkanocnych chłopcom. Na takiej pianie bywają zapisane: data, nazwa miejscowości, Alleluja albo Chrystos Woskres.

Po latach, będąc już w Warszawie, próbowałam je wykonać, ale okazało się, że pamięć jest zawodna i nie udawało mi się to. Dopiero w 1992 roku, kiedy byłam w Kołomyi u państwa Hawrylaków, pani Anna (laureatka konkursów pisankarskich) nauczyła mnie sztuki rysowania woskiem. Ona do dziś jest moją mistrzynią.

Kiedy wyjeżdżałam wówczas z Kołomyi, pani Anna zapakowała mi do kasetki pięć przepięknych pisanek przez siebie zrobionych. Po powrocie do domu okazało się, że wszystkie pisanki popękały, a zawartość jajka wylała się na zewnątrz. Było mi bardzo przykro. Postanowiłam odtworzyć pisanki pani Anny. Rozpoczęłam próby. Okazało się to bardzo trudne, ale po jakimś czasie powiodło się. Zachęcona rezultatem, rozpoczęłam rysowanie następnych pisanek z innymi wzorami huculskimi. Musiałam się ich nauczyć. Rozpoczęłam to od kopiowania typowych wzorów huculskich z albumów poświęconych huculszczynie, a potem stopniowo wychodziłam z tego i wprowadzałam swoje wzory. W moich pisankach są fantazyjne kwiaty i roślinność. Tego, na ogół, nie ma w huculskich pisankach. Staram się jednak modelować pisanki w kierunku wzorów huculskich, wykorzystując ich charakterystyczne elementy.

Pisanki wykonuję bardzo poważnie. Z nostalgią. Rysując je, wspominam swoje ukochane strony, przyjaciół, towarzyszy zabaw. W pisankach wyrażam swoją tęsknotę za Kresami...

24 listopada 2003 roku zmarła prof. dr Halina Ciołkosz-Łupinowa, zaś 2 grudnia została pochowana na Cmentarzu Komunalnym Północnym – Wólka Węglowa (Warszawa).

Pozostawiła wspomnienia woskiem pisane.

Halina Ciołkosz-Łupinowa. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 marca 2005 roku.

Profesor doktor Halina Ciotkosz-Łupinowa. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 kwietnia 2009 roku.

Jan Czopik-Leżachowski (1 II 1938 – 27 XII 1977)

Zwany *Jaśkolubny*.

Poeta, prozaik.

Zginął w wypadku samochodowym. Pochowany na Wólce Węglowej w Warszawie. Na ponurym i szarym cmentarzu. Jego grób znajduje się nieopodal grobu z kamieniem Edwarda Stachury.

Postać zapomniana. Obym się mylił.

W numerze 9 z 1981 roku miesięcznik „Poezja” opublikował piękny szkic Jana Czopika pt. *Po tej stronie rzeki*. Z tego tekstu pozwolę sobie przepisać fragment: ... *Jedenaście lat temu. W roku 1967 mieszkał u nas przez kilka miesięcy Edward Stachura. Pracował przy wyrębie lasu pod Grochowicami i pisał książkę. W „Siekierozadzie albo Zimie leśnych ludzi” Grochowice nazywają się Bobowice, Kotla - Hopla, a Majka Nowak uchodzi za najlepszą dentystkę we wsi i kocha się w niej cała młodzież z podgrodzia. W mojej powieści „Góra-dół” Grochowice nazywają się Kosowice, zaś Edward Stachura w kurtce marki „Douglas”, gra na bębnie, zastępując prawdziwego bębnistę, któremu akurat zległa żona. Nie muszę dodawać, że gra zachwycająco, nie tylko gra: wszystko.*

Jana Czopika-Leżachowskiego czasami przypominał w Polskim Radio, Program II Wacek Tkaczuk, i chwalał mu z to.

Jan Czopik-Leżachowski (1 II 1938 – 27 XII 1977). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2 kwietnia 2004 roku.

Maria Alicja Czubaszek-Karolak (9 VIII 1939 – 12 V 2016)

Niewiele o niej wiem, bo od lat nie trzymam się *dziennikarzy rozrywkowych*. Satyrycy to są ludzie, którzy mają powagę do ironii. Nie zapominajmy o tym, że na dnie śmiechu, kołysze się ludzka łza.

Kilka razy ją spotkałem. W tygodniku satyrycznym „Szpilki” (przy placu Trzech Krzyży) mówili na nią *Marysia*. Zdrobniale, bo pani Maria była filigranową kobietą. Z nieodłącznym papierosem. W smużce dymku (*Stara, ale jara trzy paczki dziennie. Ja nie wiem, czy to jest dużo*). Z przenikliwym spojrzeniem. Osiągnęła biegłość w małych formach literacko-dziennikarskich. Lubiła towarzystwo, jak każda osoba nieśmiała. Świetnie potrafiła się wypowiedzieć. Pisała ripostami. W pierwszym zdaniu widziało się już błysk pointy. Dobrze czuła się w gazecie, radiu, telewizji. To była kobieta z klasą. Nietuzinkowa. Miała w sobie warszawskość. Jej humor był lingwistyczno-malarski, podrasowany pytaniem zakopanym głęboko. Ona nie rozbawiała, uczyła myśleć. Raz tylko rozmawiałem z panią Marią. Był to na początku XXI wieku, kiedy byłem jeszcze aktywny. Wysiedliśmy z autobusu na Ursynowie, przystanek przy ul. Dereńowej. Zobaczyłem, że nie radzi sobie z topografią, więc grzecznie zapytałem – czym mogę pani, pani Mario, służyć? Była zdziwiona. Po chwili dodała, że chciałaby się dostać do Centrum Onkologii na Ursynowie. Lokalny patriotyzm nakazywał mi, żeby podprowadzić ją, bo na Ursynowie łatwo się zagubić w dzień, a w nocy to szkoda gadać. A poza tym miałem wrażenie, że pani Maria należy do osób, które przemieszczają się taksówką. Pamiętam, że dygła jak dziewczynka. Ukłoniłem się. Poczułem zapach markowych perfum.

Oczywiście, że ceniłem sobie jej odwagę. Że zwracała uwagę na dobrą szatę literacką. Bliski był mi ten jej *Flirt bez żadnych kłamstw*. Ujmujący był dystans Marii Czubaszek. Że nic nie poradzimy, bo życie to jest piasek. Sypki.

Czubaszek-Karolak Maria Alicja (9 VIII 1939 – 12 V 2016), „Tygodnik Olecki” 2016, nr 21.

Mieczysław Czychowski (26 V 1931 – 23 I 1996)

Poeta, autor artykułów na temat sztuki, malarz, grafik, malownicza postać z życia Wybrzeża. To był wspańiały człowiek. Nie

miał prawej ręki, trochę go to krępowało, ale... kiedy się z nim witałem, podawałem prawą grabę. Po prostu ludzi należy traktować normalnie, a nie biadolić. Człowiek ma prawo być niepełnosprawny, etc.

Potrafił cudownie rysować i malować. Uwielbiałem jego miniaturki. To była chodząca szczerłość! Raz sobie dobrze pogadaliśmy przy kawce, słodkościach i papierosach; wszystkie te artykuły w owych czasach były *na kartki*. Mietek mówił, że te, które konsumujemy w pokoju Jerzego Leszina-Koperskiego (Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, al. Stanów Zjednoczonych 53; lata 80. XX wieku) pochodzą z paczki *od Wałęsy*. Jedliśmy dary! Do dziś jestem tym wzruszony, Panie Prezydencie, że nie zapomniał Pan o Mietku Czychowskim, choć to przecież nie była Pana książka.

W poezji osiągał nieprawdopodobny skrót aforystyczny.

Miałem to szczęście, że w swoim życiu spotkałem prawdziwych artystów.

Dziś tamten czas wspominam jak chwile, kiedy to zza krzaków w Kopanie obserwowałem jak jadą tabory Cyganów – naród braci i siostr z zakurzonych dróg, rzewnej muzyki. Cyganie byli dla mnie dzierzawcami tęczy. Kiedyś mnie chcieli zabrać swoim taborem, choć broniłem Papuszy. No cóż! Trzeba przejść przez piekło i czyściec życia, żeby zatęsknić za niebem.

Dzięki Mietkowi i Tadeuszowi Machnowskiemu, i Janowi Jastrzębskiemu mam sentyment do Kurpi i Podlasia.

Mieczysław Czychowski (1931 – I 1996). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 kwietnia 2004 roku.

* * *

Urodził się w Dzbeninie, gmina Rzekuń, powiat ostrołęcki. Narew to była jego rzeka dzieciństwa, która kołysze Kurpie. Po maturze śmignął na studia do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. I zakotwiczył się na Wybrzeżu. Aż do końca życia. Ma-

larz, rysownik, rzeźbiarz i poeta. Wystawiał swoje pace plastyczne i publikował tomiki wierszy w Wydawnictwie Morskim. Wystarczy tylko zacytować tytuły jego książek, żeby wiedzieć, gdzie były jego ścieżki i wertepy, oraz drogi bite jak gościniec: *Lasem, losem, zboczem* (1974), *Krwią lamowane* (1979), *Pisane na szybie* (1988). Z Mietkiem tylko raz się spotkałem i nagadałem na zaś. Wystarczy na wspomnienie. To był gość, artystyczna dusza, wesoły Kurpś, którego przywalały smutki i kłopoty. Stadny człowiek, biesiadny, brat łąta, taki na wódeczkę i papierosa, kawą też nie pogardził. Kawał chłopa. Pisał lapidarne wiersze i malował obrazy, które były swojskie. Miał upodobania do tematów pastewnych, nieokrzyszanych, zarośniętych jak łągi, potarganych i zaniedbanych. Kurpiowszczyznę uszlachetniał, podnosił jej siermiężność i lokalność do rangi uniwersum. Potrafił prowincjonalizm wyciągnąć poza widnokrąg, żeby nabrał ogłady. I sznytu. Rysował i malował na byle czym (papier pakowy, bibuła). Obrazki Mietka były takie, że śmiało można je było wieszać na gwoździu. Na ścianie. Nie zapominajmy o tym, że malował je jedną ręką. W 1945 roku, gdy z kolegami rozbrajał minę, stracił prawą rękę. Lewa ręka rozrosła się po Leśmianowsku. Potrafiła dogadać się z głową. Pisała świetne, skomprymowane liryki, szastała piórkiem albo pędzlem rozpisywała farby. Pamiętam, że jak się witałem z Mietkiem to podawałem prawicę. Uśmiechał się i wyciągał prawą dłoń. Kapitalnie się z nim rozmawiało. Miał gruboskórny humor. Pisał lewą ręką tak prawe teksty, że aż podziw. Ktoś powiedział, że jego urwana prawa dłoń *mocno grzeje*. Oto miniatúrka pod trzema gwiazdami: *Zrywam cię z rąk / w nerwach całą, / W mrok się przesilasz – / świecisz skałą*.

Jego grób znajduje się na cmentarzu w Rzekuniu koło Ostrołęki.

To zapomniany twórca, choć nie do końca. Od 2006 roku Szkoła Podstawowa w Dzbeninie ma jego imię i nazwisko, i motto, jakby z hymnu nauczycieli-wychowawców pt. *Musimy siać*. U Mietka jest leciutki patos, który jest do przełknięcia, jak łyżeczka tranu

z solą: *Żyć będzie to, co wzrasta trudem / z miłości i uczynków naszych. / Minie czas kłęski i czas próby, / pola pod nowy pójdą zasiew.*

Poza tym o nim powstał film *Komu skrzypce, a komu futerał*, reżyseria Henryka Dobosz. Świetny dokument o tym, kto miał *honor Kurpsia* i był *odludny*. W Szczecinku odbywa się konkurs im. Mieczysława Czychowskiego pn. *Malowane słowem*. Mimochodem ktoś o nim wspomni (Czesław Parzych, *Mietek Kurp Gdański*, Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki).

Wstyd, że jeszcze nie wydano wierszy zebranych, grafik, rysunków, listów Mieczysława Czychowskiego, który radość wymieszał z bólem. To był poeta opuszczony, jak ktoś komu się drogi zagubiły, *jakby z wiatru były*.

Zamiast pointy zacytuję jego suchą łzę, wyjętą z zielnika wspomnień: *Przyjdiesz od łąki mgło łaskawa / Na szept szmerliwy ściętej gruszy / Poumierane przyjdiesz zabrać / Ale żywego nie poruszysz. / Po śladach, które ziemia skrywa / Pójdzie mój zgrzebny wiersz najczulej / I wszystkie rzeczy ponazywa / Radością pomieszaną z bólem / Patrzę, a rzeka zmienia bieg / w jej nurcie niebo stoi czyste / Przesyłam ci na tamten brzeg / Kaczeńców światło wiekuiste.*

Wspomnienia (I) [Mieczysław Czychowski (26 V 1931 – 23 I 1996) *Wspomnienie*], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

D Bohdan Drozdowski (20 XI 1931 – 2 IV 2013)

Poeta, prozaik, dramatopisarz, tłumacz, dziennikarz, polemista. Redaktor naczelny miesięcznika „Poezja” (1972–1986). Żył i pisał z takim nerwem, który wielu drażnił. Potrafił walić obosiecznie nieprzyjemne prawdy. Wejść z nim w spór, to pewna kłótnia. W obyciu szorstki, oszczędny; niedowiarek. Poza grzecznościowym dzień dobry, nigdy nie zamienił ze mną nawet prostego zdania, choć nieraz drukowałem w piśmie, którym kierował. To, co napisał, było sprawne, ale mnie to nie brało. Za to lubiłem czytać jego *Noty* (dziś

byśmy powiedzieli edytorial) na plecach „Poezji”. Pamiętam, jak przed składaniem materiałów do Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, wpadał do pokoju sekretarki. Siadał w kącie do maszyny do pisania („Optima”) i walił tekst bez skreśleń. Potrafił się tak skupić, że czasami tylko trzeba było wstawić przecinek. Komentarz redakcyjny był z klasą. Można było się z tym nie zgadzać, ale to się czytało. Po odejściu z miesięcznika, nie mógł się odnaleźć. W połowie lat 90. XX wieku Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo INTERART z Warszawy (ul. Solec 30A/33) wydawało książki sygnowane wersalikiem: BIBLIOTEKA POEZJI POD REDAKCJĄ BOHDANA DROZDOWSKIEGO. Tomiki z motylem wyróżniały się edytorskim pietyzmem oraz notami (bd). Z przyjemnością się brało do ręki druki zwarte w obwolucie, oprawione i z zakładką, na którą przysiadł motylek.

Odszedł Bohdan Drozdowski z miesięcznika „Poezja”. Przypomnę tych, którzy już nie żyją, a byli w stopce redakcyjnej: redaktor Sławomir Kryśka, Jan Witan (z-ca redaktora naczelnego), Krzysztof Gąsiorowski (z-ca redaktora naczelnego). Znałem ich wszystkich, bo nieraz wpadałem do Redakcji przy ul. Wilczej 46. Pamiętam, że nikt z nich nie miał dla mnie czasu i być może dlatego ich wspominam. W miesięczniku „Poezja” tylko Jan Zdzisław Brudnicki, sekretarz redakcji, ze mną chciał gadać, piliśmy kawę, kopciliśmy papierosy. Czasami wpadał do pokoju Bohdan Drozdowski, stał w drzwiach i patrzył, i trzymał w dłoni klamkę. Między korytarzem a pokojem. I nigdy do mnie nie podszedł, żeby się przywitać. Kiwał głową. Szybko wychodził. Trzask drzwi. Klamka zapadła. To była narracja moich redakcyjnych wizyt. Kropka.

Bohdan Drozdowski (20 XI 1931 – 2 IV 2013). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 21 czerwca 2013 roku.

Stanisław Dróżdż (15 V 1939 – 29 III 2009)

Po raz I. dowiedziałem się o poezji konkretnej w szkolnej bibliotece w Technikum Elektronicznym w Zduńskiej Woli, w której prenumerowano m.in. warszawski miesięcznik „Poezja”. Usiadłem w czytelnicy i zacząłem kartkować opasły periodyk. I byłem bardzo zdziwiony, bo zamiast pełnych zdań, ujrzałem rozpisane słowa, znaki interpunkcyjne, a nawet liczby. Nie wiedziałem o co tu w tym wszystkim chodzi. Tak się tym przejąłem, że zacząłem w internecie próbować i rysowałem na kartonach różne *poezje konkretne*. Koledzy przechodzili obok i musieli uważać, żeby nie rozlać tuszu. O tym już kiedyś pisałem, więc nie będę się powtarzał.

W poniedziałek 21 grudnia 2009 roku o godzinie 18 było otwarcie wystawy prac Stanisława Dróżdży pt. *Początekoniec. Poje-ciokształty. Poezja konkretna. Prace z lat 1967–2007*, CSW Zamek Ujazdowski, Warszawa, ul. Jazdów 2. Wystawa była czynna do 7 lutego 2010.

Kiedy się o tym wydarzeniu dowiedziałem, to miałem ochotę pojechać i obejrzeć. Na pamiątkę wspomnień z młodości. Ale taka eskapada przekraczała moje fizyczne możliwości. Była zbyt uciążliwa. Musiałbym kogoś prosić, żeby mi towarzyszył i pomógł, a to z kolei jest krępujące. Nie pojechałem, choć prace wystawiano kilka kilometrów od Ursynowa. Zrekompensowałem to sobie w ten sposób, że czytałem artykuły, w których reprodukowano prace chorego artysty z Wrocławia: *Samotność* (białe liczby i na czarnym tle), *Klepsydra (było, jest, będzie)*, praca złożona z 54 plansz, *Miedzy, Zapominanie*. W sumie na ekspozycję złożyło się 40 prac. Zadzzwoniłem, żeby zamówić katalog, ale... kiedy podano mi jego cenę, to zrezygnowałem, bo wydawca (grubo) przesadził.

Stanisław Dróżdż tworzył kompozycje, które dawały dużo do myślenia. Nie zapominajmy, że był przykuty do wózka inwalidzkiego. Choroba straszliwie go doświadczała. Kiereszowała. Większość życia spędził na inwalidzkim wózku. Prezentowano jego zdjęcia na weneckim pokazie *Alea iacta est* (2003 roku), która wy-

magą około 300 000 kostek do gry. Widać było, jak cierpienie nie odpuszcza. Przykurcze powodowały, że miał trudności z poruszaniem głową i rękoma. Nie chcę tu pisać o heroizmie, bo się boję, że zabrzmi to jak pobrzękiwanie kluczy w kieszeni dziennikarskiej.

Stanisław Drożdż testował słowa. Nie zdanie, tylko wyrazy. Pojedyncze. Było to tak osobiste spojrzenie, że uniwersalne. Oglądał je ze wszystkich stron i układał w różne formy wizualne. Potrafił dane słowo streścić do liczby, jak w przypadku samotność (1). Tworzył układanki-kompozycje (białe-czarne). Szukał kontekstu. Zdania słów.

Słowo i liczba były dla niego początkiem i końcem.

Stanisław Drożdż (1939–2009). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 marca 2011 roku.

Dr Hanna Dworakowska (31 I 1908 – 25 IV 1984)

Urodzona w Szczucinie koło Łomży. Z domu Rozen. Jej ojciec, Zygmunt, był lekarzem powiatowym w Mińsku Mazowieckim, zaś matka, Adela, z domu Jasińska, zajmowała się domem i wychowaniem dzieci.

Doktor Hanna Dworakowska angażowała się w pomoc osobom niepełnosprawnym ze wsi i miasteczek. Była absolwentką Gimnazjum im. Hoffmanowej w Warszawie i Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Lekarz-społecznik. Działała prężnie na niwie politycznej; miała PPS-owskie słabości, więc łatwiej jej było się wstrzelić w ówczesne życie polityczne. Podobnie jest i dziś. Organizowała placówki opieki nad matką i dzieckiem, prewentoria, domy zdrowia itd. Dzięki jej inicjatywie powstał Dom Medyka przy ulicy Oczki 7. Od 1951 roku pracowała w Instytucie Reumatologicznym. To z jej inicjatywy wybudowano Instytut Reumatologii przy ul. Spartańskiej 1, w 1962 roku. Latami działała w Krajowej Radzie Zdrowia ZG ZSMW [Zarząd Główny Związek Socjalistyczny

Młodzieży Wiejskiej]. To była osoba bardzo aktywna i skuteczna w działaniu. Praktyczna pod każdym względem.

Doktor latami była rzecznikiem sprawnych inaczej, których od wieków spychano na margines albo zamykano w domach na klucz choroby. Była wśród inicjatorów placówki leczniczo-wychowawczego sanatorium młodzieżowym w Jachrance oraz Centrum Kształcenia Inwalidów Centralnego Ośrodka Koordynacji i Szkolenia CZSI [Centralny Związek Spółdzielni Inwalidzkich] w Konstancinie. Nie starczyłoby szpalt „Gazety Wyborczej Stołecznej”, żeby spisać jej zasług. W „Polskiej Kronice Filmowej” nr 15, z 1953 roku, Andrzej Łapicki, ówczesny lektor, chwaliła pod niebiosa panią *doktór Hannę Dworakowską*. Aż 107 sekund jej poświęcono. Po śmierci wydano szczupłą broszurkę pt. *Wędrowanie po terenach ludzkiej niedoli. Dr Hanna Dworakowska* (Materiały zebrał: Alfred Poniatowski, Opracowanie Henryk Pytlik, Wydął Zarząd Główny Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, Warszawa 1985, ss. 46).

Doktor Hanna Dworakowska nie przeceniała swych zasług, mówiąc wprost: *Są ludzie mocniejsi, którzy muszą pomóc słabszym (...). Wiedziałam, że można tym ludziom pomóc, tylko trzeba chcieć. Z rozbijającą szczerością mówiła o sobie: Mam pełne ręce roboty i węży w kieszeni.*

Przed spotkaniami, gdzie trzeba było coś załatwić, uprzedzała, że przyjdzie z... ciasteczkami.

Prowadziła kartotekę korespondentów, bo pamięć bywa zawodna. Latami pisała krótkie listy z kopią, by nie zginęły, do pacjentów. Uprawiała skomprimowaną sztukę epistolograficzną – wedle stylu, jaki spotkać można na receptach. Krótko i węzłowato. Dzisiaj znaleźć takiego lekarza, który by utrzymywał kontakt listowny, pewnie już nie ma. Żyła w galopie i pośpiechu.

Prof. dr hab. n. med. dr h.c. Andrzej Seyfried trafnie o niej powiedział: (...) *Była jak bomba entuzjazmu. Niesamowita. Ganiła wszystkich ludzi z rehabilitacji do organizowania poradni rehabilitacyjnych w Polsce. To była kobieta o ogromnej ekspresji i przekonywująca*

mnie (Pamięć i zapomnienie. Z prof. dr hab. med. Andrzejem Seyfriedem rozmawiał Czesław Mirosław Szczepaniak, Warszawa-Ursynów–Warszawa Śródmieście Południowe 2008, nakładem własnym). Stwierdził to profesor, dla którego najważniejszą literą w alfabecie była literka r, jak rehabilitacja. Taki głos ma swoją wagę. Wystarczy dla tych, co milczą i dla tych, co oznajmniają – nie mając wiedzy – że w PRL-u głupimi siali.

Hanna Dworakowska (31 I 1908 – 25 IV 1984). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2–4 kwietnia 2015 roku.

Małgorzata Dydek (28 IV 1974 – 27 V 2011)

Małgorzata Teresa Dydek-Twigg, koszykarka. Grała w lidze polskiej, francuskiej, hiszpańskiej, rosyjskiej i amerykańskiej. Mówiono, że to jest najwyższa koszykarka na świecie. Jej wzrost balansował między 213 cm a 215 cm. *Margo*, tak na nią mówiły koleżanki i kibice. Wielki sportowy talent. Wyróżniała się wzrostem i uporem, i tym, że nie odpuszczała. Nie jestem miłośnikiem sportu, żeby komentować jej osiągnięcia na parkiecie z dwoma koszami. Na pewno osiągnęła sukces. Tylko raz się spotkaliśmy przy ladzie w Sklepie Rehabilitacyjnym w Warszawie przy Alei Jana Pawła II 52/54. Kupowałem nasadki gumowe do kul. Obok mnie stała kobieta i nie mogła się zdecydować, które wybrać hantle. Czy po 2 kg, czy cięższe. Sprzedawca doradzał i ponaglał. Usłyszałem znajomy głos. Spojrzałem i widziałem biodra w jeansowych spodniach i długie palce, jakie mają szczypiorniści, siatkarze i koszykarze. Była w T-shircie. Delikatnie spozierałem w górę i zobaczyłem Małgorzatę Dydek. Ujrzałem na jej buzi lekko blade rumieńce. Zaniepokoiło mnie to. Pomyślałem: oj, niedobrze.

Minęło kilkanaście miesięcy i nagle dowiedziałem się, że zmarła wybitna polska koszykarka. Że od dzieciństwa cierpiała na arytmie serca. Przypomniałem sobie zdarzenie przy ladzie, gdzie nie padło między nami ani półsłówko. Jestem zbyt nieśmiały, żeby kogoś za-

czepiać. Panią Małgorzatę pamiętam, bo trudno zapomnieć tych, co nas przerośli o kilka głów.

E **Estek** zob. **Eustachiusz Siwiński**

F **Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989)**

O Michale Fludrze nieraz pisałem, bo zasłużył sobie na to swym życiem.

Z Michałem Fludrem korespondowałem od młodych lat. Pamiętam jak go matka, pani Katarzyna, przyprowadziła do pracy w sanatorium „Leśny Dwór” (Wleń, poczta: Lwówek Śląski, dawne województwo jeleniogórskie). Był moim wychowawcą. Starszy ode mnie tylko o 9 lat.

Po wyjeździe z leśnego dworku, tylko Michał do mnie się odezwał. Pisał listy i widokówki. Mozoliłem się, żeby odpisać bez błędów dawnemu wychowawcy. Doradzał mi, gdy wchodziłem w niecierpliwą młodość. Drżał o moją przyszłość. Życzył mi pogody ducha. Dzielił ze mną niepokój.

Potem korespondencja się utrwała jak nitka ze szpulki.

Oczywiście, że nie zapomniałem o Wleniu. Nieraz powracało do mnie echo „Leśnego Dworu”. Wśród wielu sanatoriów i szpitali, które przeszedłem, jedynie „Leśny Dwór” pozostawił miłe wspomnienia. O pozostałych wolałbym milczeć. Nie czas snuć opowieści traumatyczne.

Mijały lata.

Jesienią 1983 roku wypadł z moich notatek list Michała. Przeczytałem go jeszcze raz. Kapkę z tego listu zamieściłem w felietonie pt. *Dar jesieni* („Tygodnik Kulturalny” 1983, nr 41, s. 16). Dzięki tej publikacji, odezwał się Michał. Po prostu napisał długi list. Śliczny i nostalgiczny. Byłem szczęśliwy! I wszystko się potoczyło od nowa. Zaczęliśmy pisać do siebie i wzajemnie się odwiedzać. Były dzienne wędrowki i długie nocne rozmowy. Dzieliliśmy kawę, herbatę, wino, wódkę i papierosy. Wspominaliśmy i marzyliśmy. A pod jesień

wspólnie deptaliśmy liście i ziemię Kasztelanii Wleńskiej. W domu pani Katarzyny Fludrowej doznawałem błogosławieństwa polskiej gościnności. Wlenianie życzliwie patrzyli na te nasze wspólne wędrówki po górach i chmurach. Nie interweniowali w nasze życie.

Michał miał dar pisania. Bardzo plastyczną wyobraźnię. Dziecięcą radość. Był spolegliwy do świata i ludzi. Żył w zgodzie z Panem, Bogiem i najsłabszymi. Straszliwie kochał chore dzieci i drzewa. Kiedy wyruszał w góry na spacer, to zabierał chłopca na wózku inwalidzkim, żeby nie był sam. To świadczy jaką miał klasę! Znał podsudeckie zakątki jak własną kieszeń. Potrafił cieszyć się z sukcesów innych. Był bezinteresowny w przyjaźni, choć – podobnie jak ja – nie używał słowa przyjaźń. Nie liczył strat, nie mnożył zysków. Umiał ustąpić miejsca. Miał tajemnice w sobie, które mnie wzruszały, choć Michał nie wiedział, że je znam.

Z wielką przyjemnością pisałem listy do Michała. Po jego śmierci zaniechałem kontaktów listownych, nie reagowałem na zaproszenia i korespondencję. Za jego życia pisałem o Michałowych obrazach. Dodawałem mu otuchy, żeby nie poniechał nadziei. Jego rysunki i płótna wzbudzały mój zachwyt. Były takie, jak jego życie. Przyciszone, pełne liryzmu, osnute wspomnieniami i nadzieją.

Wszystkie Michałowe listy oraz widokówki skrzętnie chowałem. W chwilach złych i dobrych, nieraz do nich powracałem.

Kiedy umarł, to jego matka, pani Katarzyna, zapytała: *Mirek, dlaczego Michał nie żyje?*

Pamiętam, że mocno zacisnąłem powieki i milczałem. Przymlknąłem nie dlatego, że jestem źle wychowany. Nie odezwałem się, bo byłem i jestem za głupi, żeby na takie pytanie odpowiedzieć.

Po śmierci Michała jeszcze raz przeczytałem wszystkie przesyłki.

Latami się sumitowałem, żeby wreszcie opublikować fragment większej całości. Zrobiłem wyciąg z epistoł. Tom listów Michała z Kasztelanii Wleńskiej roboczo nazwałem *Słowo o moim miasteczku*. Dlaczego? Ponieważ Wleń jest soczewką wokół której skupiają się słowa i czyny Michała. On był autentycznie *chory* na punkcie Wle-

nia. Tu żył, pracował z chorymi dziećmi. Malował. Tęsknił i zachwycał swoim życiem. Z Wlenia słał mi słowa pisane pod dyktando serca, które bajecznie ozdabiał, aż ursynowski listonosz Marian Kasiak się dziwił i traktował je jak telegramy. Natychmiast odpisywałem na każdy list od Michała. W 1996 roku wydałem nakładem własnym szczupłutki tomik pn. *Z listów Michała Fludra*.

Nieodżałowany Michał Fluder z Wlenia, przed świętami Bożego Narodzenia (1985 roku), wyruszy na wieczorny spacer. Zlustruje na spokojno okolicę, którą tak pokochał. Na ulicach pusto. Ludzie siedzą w domach. Zabiegani wokół jadła i napitku. W domach jest głośniejsze. Ulicą idzie Michał. Pochylony pod ciężarem własnych rozmyślań. Jak tragarz słów. Przystaje przy pomniku gołębiarki, która *Jest miejscem spotkań młodych i starych. Pomnik-rzeźba z piaskowca, patyną już zestarzała, przypomina o największych targach gołębi na Dolnym Śląsku* (list z grudnia 1984 roku). I dalej zdąża: *I wychodzę teraz na ulice i deszczu trochę, i wiatru halnego trochę, i mówię wszystkim do okien, do światełek, że jest ciepło i tak świątecznie, a jeszcze nie święta. I cieszę się, bo mam dobre stare buty, takie o nr. większe (zawsze na zimę i chłapy), i ciepłe skarpety. I lubię iść ulicą przez rynek, i wszystkie elewacje odbijają się w kałużach, a «gołębiarka» czeka na wiosnę, a my na śnieg i mrozy. A potem dalej w aleję lipową na małą stacyjkę całą w jasnościach, jakby miało zostać fetowane i uszczęśliwione na raz.*

Wrócić z deszczem, to tak jakby być lepszym (...).

Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 23 grudnia 2004 roku.

* * *

Wychowawca z sanatorium dziecięcego PKP „Leśny Dwór” we Wleniu, co jest między Jelenią Górą a Lwówkiem Śląskim. Po raz 1. spotkaliśmy się w „leśnym”, gdy miał 18 lat i zaczął z nami pracować. Przeprowadziła go jego matka, Katarzyna, która była piastunką.

A kiedy wyjechałem, to pisał do mnie, bo strasznie się niepokoił o mój los.

Po latach się odnaleźliśmy i polubiliśmy na zabój. Wpadał do mnie, bo lubił odbywać artystyczne peregrynacje. A przy okazji odwiedzał starych teściów w Gąbinie. Pomagał im, rąbał drzewo, opłwał, ugotował. W latach 80. XX wieku opowiadał o Kubie z Gąbina, z którego wszyscy się naśmiewali i wytykali palcami. A ten powsinoga miał swoją mądrość i powiedzonka, na przykład: *Lepszy metr śmiechu, niż kilogram płaczu*.

Dogrzewaliśmy dzieciństwo i schładzaliśmy młodość. Dobrymi wspomnieniami o Wleniu doprawialiśmy spotkania przy szlacheckich płynach. Wyostrzaliśmy sobie apetyt przeciw różnym trudnościom, które nie oszczędza życie.

Michał był malarzem-wychowawcą, jako niepraktykujący pedagog specjalny, podziwiałem jego pasję.

Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał przy radosnych okazjach. Mam w teczkach tyle jego listów, oraz rysunków i miniaturek tak bajecznie namalowanych. Robił świetne rzeczy. Zachwycił mnie tym, że szukał dobrych i jasnych stron życia. Odszedł nagle. Dopadł go wylew.

Kiedy umarł, to ludzie dopiero zaczęli wyciągać na światło dzienne, co Michał tak dyskretnie zrobił dla Kasztelanii Wleńskiej. Jak brał w góry chłopca na wózku inwalidzkim, żeby nie był zamknięty w czterech ścianach, na klucz choroby. Że jeździł do Kórnik i Skierniewic po krzewy ozdobne, żeby Wleń kwitł przez wszystkie pory roku. Że zawsze wrywał się, kiedy trzeba było podać rękę. Że zaciskał powieki zamiast pięści, kiedy mu dokuczano. Że taki był, jakby nie z tego świata. Byli i tacy, co gadali na rynku, że w butach poszedł do... nieba. Słuchałem tego z pewnym dystansem. Mądrze na ten temat pisała Emily Dickinson (1830–1886), więc zacytuję jej strofy w tłumaczeniu Kazimierzy Iłakowiczówny (1892–1983): *Czy Niebo jest lekarzem? / mówią, że ono leczy, / a przecie pośmiertna kuracja / jest nieskuteczna. // Czy też Niebo to Izba Skarbowa?*

Jest tam wykaz, ile się od nas należy, / ale wszelkim takim układom / ja nie dowierzam.

Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 marca 2011 roku.

* * *

Wychowawca z sanatorium kolejowego *Leśny Dwór* z Wlenia k. Lwówka Śląskiego. Zawsze do nas wpadał, gdy wyruszał w Polskę. Do domu wracał via Ursynów. Michał przywoził nowe rysunki, zdjęcia obrazów, miał silnie rozgrzaną wyobraźnię. Zarywaliśmy noce, jak Polacy. Winem rozweselaliśmy serce. Wspomnienia były po naszej stronie. Jesienią składałem w Kasztelanii Wleńskiej rewizytę. Chodziliśmy po górach i zaplądaliśmy warkocz z dymu ogniska. Gdy opadły mgły, wracałem na kwatere pani Katarzyny Fludrowej (ul. Kościelna 13), która też przed laty bardzo cicho odeszła do wyjściowej bramy.

Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 marca 2012 roku.

* * *

Wychowawca z sanatorium dziecięcego PKP *Leśny Dwór* we Wleniu, dawny powiat Lwówek Śląski, oraz województwo jeleniogórskie. Malarz Góry Zamkowej i okolicznych podsudeckich zakątków. Miłośnik i kolekcjoner krzewów ozdobnych i drzew. Marzyciel. Lubił peregrynować po Polsce i za granicę. Człowiek o niesamowitej pasji. Pisał przepiękne listy, które ilustrował. Jego feblikiem były chore dzieci, dla których poświęcił większą część swojego życia. Dobro dzieci i młodzieży było dla Michała sprawą najważniejszą. Należał do ludzi, o których się zwykło mawiać, że można z nimi *konie kraść*, choć nigdy nie pochwałał najdrobniejszej kradzieży. Próbował ocalić własne marzenia, choć wiele osób robiło,

żeby im podciąć skrzydła i lotki. O Wleniu wiedział prawie wszystko, choć nigdy z tym się nie obnosił. Był kronikarzem wznio-
tów i upadku miasteczka, które opasuje wstążeczka rzeki Bóbr. To
rzeka o małym korycie i nurcie niebezpiecznym. Nieraz wychodzi
z brzegów, by zabrać i nie oddać. I popłynąć dalej. Do Odry.

Z Michałem odbyłem wiele peregrynacji po uroczych zaką-
tkach Karkonoszy. Było nam ptasio. Nic nas nie bolało. Chciało się
żyć i gasić pragnienie szlachetnymi płynami. Piwo, wino, wódeczka,
kawa... Był takim cichym przewodnikiem, który nie zagadywał
chwil. Cudownie potrafił się cieszyć z najdrobniejszych spraw. Nie
widziałem go nigdy zagniewanego. Złość mu szybko przechodziła.
Żył tylko 45 lat. I nikt nie wie, dlaczego tak krótko. Jedni mówili,
że w butach do raję poszedł, a inni wskazywali, że po promieniu do
nieba. Wszyscy, co mówili o jego śmierci, byli smutni. Kiedy mnie
pytano o zdanie na ten temat, odpowiadałem, że nie wiem. No cóż!
Staram się nie kłamać, choć kłamstwem daleko się zachodzi, ale...
nie powraca. Ponieważ jestem z Niziny Mazowieckiej, więc nie
wypadało powtarzać: (...), *żał mi cię, żał ... (Góralu, czy ci nie żał)*.

*Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989). Wspomnienie, „Gazeta
Wyborcza Stołeczna” z 13 stycznia 2014 roku.*

* * *

Był wychowawcą w sanatorium PKP *Leśny Dwór* we Wleniu,
co leży między Jelenią Górą a Lwówkiem Śląskim. Nieraz o nim pi-
sałem prozą i wierszem.

W marcu 1989 roku pojechałem na pogrzeb Michała do Wle-
nia. O szarej godzinie poszedłem do pani Katarzyny Fludrowej, ul.
Kościelna 13. To było duże mieszkanie, o metrażu 69,9 m². Usied-
liśmy przy stole w kuchni, gdzie zwykle przesiadywaliśmy. Zapła-
kana pani Fludrowa mówi: *Mirek, zawsze tak było, że kiedy przy-
chodziłeś to zaraz wpadał za tobą Michał...* Pomyślałem sobie, że
pewnie nie przyjdzie, bo Ci, co odchodzą, nie zbaczają z niebiań-

skich szlaków. Pani Fludrowa była jednym wielkim pytaniem: Dlaczego? W pewnym momencie szloch ją tak docisnął i spytała: *Mirek, dlaczego Michał nie żyje?*

Pamiętam, że mocno zacisnąłem powieki, żeby nie wyskoczyły łzy z łódeczek powiek. Milczałem, nie dlatego, że jestem źle wychowany. Zachowałem milczenie, bo byłem i jestem za głupi, żeby na takie pytanie odpowiedzieć.

W domu, na Ursynowie, skreśliłem jednym tchem i wystukałem na maszynie do pisania *Balladę o Michale z Kasztelanii Wleńskiej*.

Oczywiście, że ta śmierć podłamała mnie. Przydeptała i zagaśiła entuzjazm do pisania listów. Od śmierci Michała bardzo rzadko odpisywałem na korespondencje. Nie miałem apetytu na uprawianie sztuki epistolarnej.

Po śmierci Michała tylko dwa razy przyjechałem do Wlenia. Mój stan zdrowia powiedział wszelkim peregrynacjom *nie!*

Dzięki temu szybko się pogodziłem z tym, że na starość wspomnienia z dzieciństwa są jak kocyk. Dogrzewają.

Michał Fluder (28 V 1945 – 12 III 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17 lutego 2016 roku.

Władysław Fogt

W warsztatach szkolnych Technikum Elektronicznego w Zduńskiej Woli, gdzie szkolili się mechanicy i technicy radiowo-telewizyjni, pracował emerytowany profesor Władysław Fogt, zwany pieśzcotliwie *Fogtciu*. Był to bardzo energiczny staruszek. O jego żywotności niech świadczy fakt, że jego córka uczęszczała do Technikum Elektronicznego. Gdybym wtedy znał nieco lepiej fraszki Jana Kochanowskiego (1530–1584), to bym puścił przez szkołę plotkę, że o takich jak on można powiedzieć, że *im kot starszy, / Tym, pospolicie mówią, ogon jego twarszy; / I dąb, choć mieścy przeschnie, choć list na nim płowy / Przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń zdrowy*. Nie mylił

się amerykański laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury, pisząc nowelkę *Stary człowiek i morze*. Przepraszam: *Stary człowiek i morze*.

Zapomniałem dodać na początku, że cezura wspomnienia to lata 1970–1973.

Władysław Fogt siedział w warsztatach od rana do wieczora. Pod fartuchem w odcieniach brązu nosił koszulę zawiązaną pod szyję krawatem na gumce. Na nosie miał rogowe okulary. I łypał w rozbebeszone radioodbiorniki i telewizory.

– Gdzie się podział ten szemat? – pytał.

– Jaki szemat? – pytali uczniowie.

Szedł do szafy i przynosił wielkie połacie schematów radio-wo-telewizyjnych. Czytał i nie odmawiał sobie wypowiedzieć złośliwy komentarz, że znowu źle narysowano. Cichuteńko sobie zaklął. Był upierdliwy. Lubił nie tylko zaglądać do rozebranego radioodbiornika. Nieraz pochylał się nad nami i mówił, że drżą nam ręce, bo *pewnie, pewnie... wpadliście w...* I perorował na Onana. Jak biblijny prorok, choć w tamtych czasach w szkołach nie wieszano krzyży na ścianach. Uczniowie robili duże oczy i oblewali się rumieńcem wstydu, bo nie mogli sobie dać rady z tym starym pierdołą.

W południe wołał jednego z grupy i tonem nie znośącym sprzeciwu, mówił: *Kup mi dwie kajzerki i kawałek sera, co śmierdzi piczką!* Dziś, gdyby to usłyszały panie feministki, to by podniosły larum i wykrzyczały: mizoginizm! Może padłyby inne ostrzejsze słowa. Zatupały by go wysokim obcasem.

Jeżeli chodzi o praktykę, to nie miał sobie równych. W teorii się gubił. Szanowano starego belfra, który miał swoje specyficzne poczucie humoru. Jak rzemieślnik, a nie jak sztukmistrz.

Kilka lat temu z Fogtem pracował jego kolega, wiekowy rzemieślnik, Franciszek Florczak a może Stanisław Florczak. Nie mam z kim znad Pichny skonsultować, więc piszę *albo*. Fogt założył się z nim, że na dużej przerwie przebiegnie w samych skarpetkach po

wszystkich schodach. Zrobili zakład o... czekoladę. Na dużej przerwie z warsztatu wybiegł w skarpetkach Fogtciu i zrobił szkolną przebieżkę. Ku uciesze uczniów i rozpachy swojego starego kolegi. Młodzież żart obśmiała i powtarzała, jak te Mickiewiczowskie drzewa: (...)

Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,/ Jedne drugim pieśń niosą jak z choru do choru. (...) (Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz. Dyplomatyka i łowy, Księga czwarta*).

Przypomniałem sobie o tym biegu w skarpetkach podczas kampanii wyborczej na prezydenta. W 2005 Lech Wałęsa obiecywał, że jak wygra wybory, to niejednego puści w samych skarpetkach. *Expressis verbis. Cokolwiek widzicie, co może służyć narodowi – ze skarpetkami włącznie – jestem gotów natychmiast oddać*. Trochę się przeraziłem, gdy słuchałem opowieści o skarpetkach tego wielkiego Polaka. No, bo jest wielki, obok Jana Pawła II, Czesława Miłosza, Andrzeja Gołoty czy Mariusza Pudzianowskiego.

Po przegranej Lecha W. przyszło wspomnienie o człowieku, który przebiegł w skarpetkach przez schody, jakie były wewnątrz Technikum Elektronicznego przy ul. Łaska 61.

Nie udało się byłemu elektrykowi ze Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

A Fogtciu, stary nauczyciel ze szkolnych elektronicznych warsztatów, wygrał zakład, który był nie na żarty. Znany jest *zakład Pascala*, nikt poza Zduńską Wolą nie widział o tym, że był też *zakład Fogtcia*.

Są w życiu takie przeżycia, o których człowiek po latach nie zapomina. Pamięta się nauczyciela, o którym można powiedzieć, że był ścichapkę. Z pozoru szorstki i mruk. Nietuzinkowy gość. Z warsztatów, gdzie pełno kurzu i usterek. Miał stanowisko pracy, przy którym trzeba zachować ostrożność, żeby *nie kopnąć prąd*. Z kontaktem elektrycznym nie ma żartów – nigdy nie wiadomo, kiedy będzie przebiecie.

Prof. Wiesław Garboliński (2 I 1927 – 31 VIII 2014)**G**

Pana profesora Wiesława Garbolińskiego zapewne bym nie poznał, gdybym nie Zdzych Chmielewski z Głowna, który zawiózł mnie kremową strzałą, włoską *Panoramą*, do pana Eustachiusza Siwińskiego, znakomitego lakiernika, rzemieślnika i mistrza. Było to w latach 80. XX wieku. W pewien letni dzień odwiedziliśmy pana Eustachiusza, na którego wszyscy mówili *Estek*. Wchodzimy do jego obejścia, gdzie pełno samochodów do naprawy. W kuchni się rozsiedliśmy. Zapatrzyłem się w obrazek wiszący na ścianie. *To namalował profesor Wiesław Garboliński. To jest Petersburg. Prosiłem, żeby mi zamienił ten obraz na inny, polski...* – powiedział lakiernik. Miał jakieś *ale*, jeżeli chodzi o kolory. Obrazek jak obrazek. Może być w kuchni bladej albo w pokoju. Szerzej o tym piszę w felietonie pt. *Eustachiusz Siwiński. Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 października 2013 roku. Profesor był autorem m.in. płótna pt. *Tam gdzie rosną poziomki*; Zdzych ukuł dla niego ksywkę *Wiertło*.

Żył i tworzył w Łodzi, która jest paradoksalnym miastem.

O profesorze mało wiem, choć nieraz się mijaliśmy, ale nigdy nie wykazywał ochoty do rozmowy. Traktował nas jak zakute łby. O co wcale nie mieliśmy pretensji. Nie wiadomo, jak byśmy się zachowali, gdybyśmy ze Zdlichem zostali nagle profesorami.

Gdyby nie Zdzych, to zapewne bym nie poznał malarza, wiełoletniego Rektora Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi (obecnie Akademia Sztuk Pięknych).

Profesor nieraz wpadał do lakiernika, żeby poradzić się, jak wymieszać kolory albo naostrzyć narzędzia (np. wiertło), bo pan profesor był działkowiczem. Konsultował się ze starym rzemieślnikiem, który nie tylko klepał blachę.

Lubiłem wpaść do pana *Estka*, który lubił palić nasze, tj. moje i Zdycha papierosy. Oczywiście że pan profesor Wiesław Garboliński nieraz nas zdybał jak się nikotynizujemy, i po jego minie widać było, że nie pochwała nałogu, który zabija. Że najwyższy czas z tym skończyć. Dobrze, że to było na podwórzu a nie w kuchni, gdzie

wsiał na ścianie jego obrazek, z którego pan *Estek* był niezadowolony.

Oczywiście, że wiedzieliśmy o tym, że pan profesor jest na liście, gdzie odnotowano Honorowych Obywateli Miasta Główna. Po śmierci został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Łodzi. Na Dołach. Przypominam o tym lokalnym patriotom miasta w północnej części województwa łódzkiego; u zbiegu dolin trzech rzek: Mrogi, Mroźnicy i Brzuszni. Tu gdzie bory sosnowo-dębowe, brzozy, jodły i graby.

Prof. Wiesław Garboliński (2 I 1927 – 31 VIII 2014). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 30 czerwca 2015 roku.

Ignacy Gąsiorowski, Igoń (1915–1999)

Odnalazłem wycinek z gazety, jakim mnie obdarował mój wychowawca z łódzkiej Bursy przy ul. Żubardzkiej 1A, polonista, poeta pan Ignacy-Igoń Gąsiorowski. Starszy pan. Bardzo elegancki. W rogowych okularach. Lubił się zaszyć w pokoiku wychowawców i ciszką sobie pisać, i dumać. Pod koniec dyżuru nieraz zapraszał mnie do siebie, prosił, żebym usiadł i posłuchał wiersza, który skreślił w czasie pracy. Pocieszenie to wyglądało. Siedzę w piżamie, a pan Ignacy stoi z karteluszką papieru i czyta. Ale to jak! Z bigłem, choć bardzo nieśmiało, jak dziecko, któremu sen zaczął kleić oczy.

Było to w 1974 roku, kiedy zacząłem pisać tomik wierszy pt. *Karta chorobowa*, który ostatecznie nazwałem *Mieliśmy Białe ściany*. Pan Ignacy był świadkiem i pierwszym czytelnikiem Białych wierszy, które na jego maszynie do pisania wystukiwałem. To on zdecydował, kiedy tomik miałem zapięty na wszystkie guziki. Aha! Maszynę zabierał do domu po dyżurze.

Kiedyś przyniósł mi książkę Marka Hłaski pt. *Pierwszy krok w chmurach*, żebym ją przeczytał. Na wieczną pamiątkę zostawił książkę Tadeusza Różewicza pt. *Równina*, ss. 43 – wydany w 1954 roku, w którym się urodziłem (Nizina Mazowiecka). Z tej cienkiej

książeczki odnotowałem strofy: *Jesteśmy odpowiedzialni / za kształt każdego człowieka / Jeśli zapomnimy o tym / nasza poezja / będzie godną pogardy / gadaniną* (W związku z pewnym wydarzeniem). To był na pewno wsad w lirykę, jaką ówczasnie uprawiałem.

Pan Ignacy czekał w bursie, gdy powracałem samotny z egzaminów maturalnych w Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących w Łodzi przy ulicy Obrońców Stalingradu 27. Witał się i pytał: *Jak Ci poszło, Czesław?* Po czym zapraszał na kolację. Do stołówki. To On zadbał o to, żeby mi podano ciepłą strawę na bielusińskim obrusie, czystym jak łąza. Oto jak potraktował spóźnionego abiturienta stary poeta-wychowawca. Zapomniany przez innych, ale nie przeze mnie.

Wycinek z wierszem (inc. *** *Jeśli chcesz przenieść ciężar bytu*). Nie wiem, z jakiego pisma pochodzi, może z lubelskiego dwutygodnika „Kamena”. Dostałem go na wieczną pamiątkę. Liryk źródłany. Na długie lata. Ze świetną pointą: *Z tych dróg – z tej przemian karty – / wyczytać umiesz wiele, / gdy wchodzisz cieniem wsparty / w gwar ciszy, w mroku szelest.*

Ignacy Igoń-Gąsiorowski (1915–1999). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 5 grudnia 2012 roku.

* * *

Pan Ignacy pojawił się w łódzkiej Bursie Szkolnictwa Zawodowego Nr 9, która mieściła się przy ulicy Żubardzkiej, jesienią 1974 roku. Nosił granatowy garnitur jednorzędowy trzyczęściowy. Z kamizelką. Zawsze w białej koszuli, pod krawatem, zawiązanym w węzeł prosty. Nigdy nie zapinał ostatniego guzika marynarki. Starszy pan. Z ulicy Ciesielskiej, gdzie była Komenda Milicji Obywatelskiej (pod numerem 27). Miał dyżury z chłopcami z parteru. Robił wszystko, żeby nie wchodzić w drogę młokosom, którzy zmagali się z wiekiem dojrzałości i przelewem hormonów.

Ponieważ czytałem „Tygodnik Kulturalny”, więc szybko się dogadaliśmy. I tak od słowa do słowa, dowiedziałem się, że pisze wiersze, które najczęściej drukuje w lubelskiej „Kamieniu”. Że uczy języka

polskiego. Że pochodzi ze wsi, podobnie jak ja. Byliśmy ludźmi z awansu. Wrzuceni do miasta. Z lekką nostalgią, o której Wieszczy lakonicznie napisze: *Był sad...*

Ponieważ ukrywałem się z pisaniem, więc musiało trochę upłynąć czasu, żebym się przyznał do tego, że skrobię (Białe) wierszyki i małe formy dziennikarskie. I mam słabość do okolic *Kwitnącej Jabłoni*. A poza tym spędzałem czas wśród martwych liter. Szukałem sposobu, żeby opisać to, co już mam za sobą. Jak baśnie. Wybrałem formę wiersza, bo jest trudniejsza, i na lata. Wiedziałem, że poetami zwykle pomiatają, niestety.

Sporo nas dzieliło. Był ode mnie starszy o 39 lat. Pisał wiersze w poetyce XIX wieku i początkach XX wieku. Byłem pod silnym wpływem Tadeusza Różewicza, Rafała Wojaczka, Edwarda Stachury i innych cudnych poetów, z Haliną Poświatowską na czele.

Pan Ignacy był admiratorem Józefa Czechowicza i lubelskich poetów spod znaku „Kameny”. Miał słabość do łódzkiego poety Wacława Mrozowskiego (1912–1967), który *przepił* swój talent. Wspomnieniowość lubelska była w jego pamięci. Adorował romantyków i epokę Młodej Polski. Cenił abstynencję w polskiej literaturze, i tego nigdy nie mogłem pojąć, bo sztuka aż kipi od nałogów. Łączyła nas pasja pisania wierszy. Pan Ignacy imponował mi spokojem, poczuciem taktu. Przy nim wyglądałem trochę jak luzak, ale bez przechyłu w abnegację.

Starszy pan z lubelskiego kręgu poetów. Pan Ignacy miał dyżury w bursie. Lubił się zaszyć w pokoiku wychowawców i ciszką sobie pisać, i dumać. Pod koniec dyżuru nieraz zapraszał mnie do siebie, do służbowego pokoiku, prosił, żebym usiadł i posłuchał wiersza, który świeżo skreślił. Pocieszenie to wyglądało. Siedzę w piżamie przy stoliku, a pan Ignacy stoi z karteluszkiem papieru i czyta. Ale to jak! Za oknami noc. Mkną łódzkie tramwaje. Aż szyby drżą w oknach. Bursa przygotowuje się do snu.

Kiedy w 1975 roku zamierzałem przepisać wiersze na maszynę, to właśnie pan Ignacy zaoferował mi swoją pomoc. Dźwigał

z domu do bursy walizkę z maszyną do pisania i mogłem sobie do wieczora przepisywać liryki. W tramwaju wyglądał jak reporter działu miejskiego. Z nieśmiałością pokazywałem panu Ignacemu wiersze, które znalazły się w spisie treści maszynopisu pod roboczym tytułem *Karta choroby*. To on zdecydował, że tomik jest zamknięty. Że można go czytać od deski do deski. Że nie jest napisany drewnianym językiem.

Maszynopis wysłałem do Wydawnictwa Iskry, do Warszawy, na ulicę Smolną 13.

I jakie było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że książka się ukáže.

W 1977 roku opublikowano mój debiutancki tomik pt. *Miełimy Białe ściany*, przepisany na maszynie do pisania pana Ignacego. Spotkać takiego starszego poetę, to jest frajda i wielkie zobowiązanie. Z czułością piszę o panu Ignacym, bo inaczej nie potrafię. Dziś mógłbym za Mickiewiczem, którego tak hołubił, powtórzyć: (...) *pisanie jest rodzajem cietrzewiej piosenki, z której i wystrzałem trudno przebudzić (...)*.

Wspomnienia, łódzkie wspomnienia. Z Bałut.

Ignacy Igoń-Gąsiorowski (1915–1999). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3 sierpnia 2015 roku.

Jan Gerańczyk

W starym kołonoratniku alfabetycznym przechowuję adresy. Pod literką G odnalazłem wizytówkę, mały biały kartonik (102 mmx56 mm) JAN GERANČZYK Księgarz 90-030 Łódź, ul. Nowa... I teraz muszę się biedzić nad narracją. Często zachodziłem do księgarni PEGAZ, w której pracował pan Jan. Stał za ladą. W białej koszuli, pod krawatem, zawsze chętny do rozmowy – do doradzenia. Przychodzili do niego ludzie, a on robił wszystko, żeby wychodzili nie z pustymi rękami. W owych latach (70. XX wieku) dobra książka była rarytasem, najczęściej można ją było kupić *spod*

lady. Do mnie zachowywał dystans. Ale kiedy zorientował się, jakim smakiem się kieruję przy wyborze druku zwartego, powiedział: *Proszę wejść za ladę i sobie wybierać*. Oniemiałem, że ktoś mnie tak poważnie potraktował. Kiedy na coś się zdecydowałem, to pan Jan pokazywał mi, czy tym też jestem zainteresowany. Głową dawałem znak. Pan Jan wypisywał paragon, a ja w tym czasie, kiedy pakował książki, szedłem do kasy. O jego życiu nic nie wiem. Wiem, że na pewno czytał, co napisano na skrzydełkach i plecach książek, oraz grzbiecie. Musiał, bo był znakomicie zorientowany w nowościach wydawniczych z różnych półek. Ekstra księgarz.

W 1976 roku, kiedy wyjeżdżałem z Łodzi, to poszedłem się z nim pożegnać. Podziękowałem, że dzięki niemu mam przyzwoity księgozbiór. Na do widzenia wręczył mi maleńki kartonik-wizytówkę i prosił, żebym do niego napisał, gdy będę poszukiwał jakiejś książki.

Raz tylko mi się zdarzyło o coś prosić. Dotrzymał słowa. Odesłałem pieniądze. Napisał do mnie:

Łódź 14. IX. 81 r.

Drogi Panie!

Z zamówionych książek mogę wystać tylko dwie. Miłosza jeszcze nie mieliśmy. Jak dostanę, naturalnie prześlę.

Za życzenia i pozdrowienia serdecznie dziękuję.

Zawsze do usług.

Jan Gerańczyk

Potem już nie wykorzystywałem tej znajomości.

Ileć razy natrafiam na książki z lat 1973–1976, to staję mi w oczach jego postać. Zza lady. Łódzki księgarz, który pomagał głodomorom książkowym wyostrzyć apetyt. I nas *demoralizował*, i rozpijał *światłem druku*. Miły pan, który delikatnie się uśmiechał. Tym uśmiechem zakrywał rąbek tajemnicy. Całe swoje życie poświęcił drukom zwartym. To był bardzo wysublimowany czytelnik, wiedział, co jest napisane na skrzydełkach i plecach książki. Jego komentarze zawsze były lapidarne. Z leciutką ironią. Wyważone.

Dlaczego nikt o nim nie napisał książki?

Pewnie o to nie zabiegał.

Nie wiem, czy ktoś o nim skreślił jakieś wspomnienie. Jeżeli nie, to jestem pierwszą osobą, która przywołuje postać Jana Gerańczyka, z łódzkiej księgarni PEGAZ, która – jak znam III RP – pewnie już nie istnieje. Ci, co o Nim wiedzą, niech napiszą więcej, ku pamięci.

Halo, Łódź, słyszycie?!

Jan Gerańczyk. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 lipca 2015 roku.

Anna German (14 II 1936 – 27 VIII 1982)

Zawsze miałem słabość do piosenek w wykonaniu Anny German. Są pewne głosy, które brzmią kojąco, niczym zimny okład na rozgorączkowaną głowę. Dlatego też, ilekroć słyszałem jak nadawano jej utwory, to cichutko zbliżałem się, żeby być jak najbliżej radioodbiornika. Do niewielu piosenkarzy mam tyle czułości, co do Anny German.

W 2000 roku w *Złotej kolekcji* Pomaton-u EMI wydano kasetę/CD, na której pomieszczono 21 pieśni. Łączny czas nagrań 75 minut i 32 sekundy. Wystarczy tylko zacytować tytuły utworów, żeby z grubsza wiedzieć, jakimi ścieżkami chodziła ta liryczna i nostalgiczna piosenkarka: *Bal u Posejdona, Zakwitnę różą, Jesteś miłością, Tańczące Eurydyki, Chcę być kochaną, Człowieczy los, Być leśną jagodą, Gdzieś w moich snach, Księżyc i róże, Jeszcze długa noc, Pomyśl o mnie, Wszystko w życiu ma swój kres, Ale Maria*. Biję w tych piosenkach ciepła nutka poezji.

Anna German śpiewała o życiu, które nie zawsze jest nasączone miłością. Kolekcjonowała smutki i uśmiechy, zwątpienia i wiarę, pogodę i niepogodę ducha. Była po stronie wiary, nadziei i miłości. To są bardzo nieśmiałe melodie. Prawdziwi artyści to ludzie wstydliwi. Anna German nigdy byle czego nie wykonywała.

Nagrania Anny German zalecałbym szczególnie tym wszystkim, którzy bez opamiętania szastają słowem miłość. Dlaczego? Żeby się opamiętali albo ugryźli w język.

Piosenki Anny German są wzruszone uczuciami i dlatego tak łatwo je spłoszyć wszelkim komentarzem.

Mijają lata, a te utwory brzmią jak przeboje. Czyli są dojrzałe.

Anna German (14 II 1936 – 27 VIII 1982). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 12 grudnia 2012 roku.

Józef Gielo (5 I 1934 – 3 III 1981)

Milczy o nim leksykon Lesława M. Bartelskiego *Polscy pisarze współcześni 1939–1991* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995). Nie zapomniiał Piotr Kuncewicz (*Poezja polska od 1956. Agonia i nadzieja*, t. III, Polska Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1993 oraz *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, t. I A-M, Wyd. GRAF-PUNKT®, Warszawa 1995). Gargantua polskiej krytyki napisał: (...) *w galerii poetów przeklętych nie może zabraknąć wzmianki o Józefie Gielu (...), nędzarzu i niemal włóczędze, postaci bardziej smutnej niż kolorowej, jednak przecież autorze dwu niezłych książek poetyckich „Powroty” i „Równiny nadziei” (1980). Gielo należał do warszawskiej bohemy, był jej przedstawicielem może najkonsekwentniejszym. A zmarł na serce w potokach gorącej wody, w użyczonym przez znajomego mieszkaniu, w warunkach – w swej norze na ulicy Widok nie miał takich wspaniałości. I jest w tym bodaj niewielki jakiś odwet, że umierając zalał ileś tam mieszkań dostatnich urzędników i inżynierów. (...).* Piotr przesadzał, jak zawsze.

Raz tylko go spotkałem. W 1974 roku na seminarium, organizowanym przez Jerzego Leszina-Koperskiego pn. *O sztukę czasu, w którym żyjemy*, przyszedł ze Zbigniewem Jerzyną. Była dyskusja. I nagle wstał mężczyzna. Z zaczeską, w rogowych okularach i – pukając się w czoło – rzekł, żeby dalej nie pleść głupot. Mówił z ogniem. Nikogo nie oszczędzał. Na sali zapanowała konsternacja.

Gielo powiedział w stylu kawa na ławę. Po czym usiadł i zapalił papierosa bez filtra. I był to najsensowniejszy głos na spotkaniu w Klubie Medyka przy ul. Oczki 7, I piętro. Potem czytałem jego wiersze. Długie, nie za bardzo mi się podobały, zaś krótkie, owszem.

Kiedy w sierpniu 1995 roku przeprowadziłem wywiad z Erazmem Ciołkiem, zapytałem: Erazm, należysz do nielicznych fotografów, którzy przyjaźnią się z poetami i malarzami. Chciałbym, żebyśmy sobie słodko-kwaśno poplotkowali, jak to bywało w dawnej Polsce? I wtedy mój starszy kolega odrzekł, że w jego łazience umarł Józef Gielo. Erazm z bigłem i bez owijania w bawełnę opowiedział o tamtych latach: *Moje pierwsze wejście w środowisko artystyczne było w 1957 roku. Konkretnie – w «Harendzie». To była taka modna kawiarnia. Z kolegą siedzieliśmy w «Harendzie». Obok nas siedziało dwóch skacowanych i «wyplutych» facetów. Mieli dwa zielone likiery na długich nóżkach. To było takie kolorowe przy tej ich szarżynie. W pewnym momencie jeden z nich podszedł do nas, z tymi dwoma miętowymi likierami, i spytał: «Czy byście tego nie wypili, bo my już nie możemy pić?». Ci dwaj to: Jan Himilbach i Józef Gielo. Właśnie w «Harendzie» ich poznałem. Był to czas, że środowisko artystyczne było bardzo rzutkie w okolicy: Starówka – «Harenda» – Akademia – Uniwersytet – Wiejska – «Czytelnik». Teraz jest rozproszone, a wtedy to miało taki krakowski charakter. Wszyscy się spotykali. Robili różne rzeczy. Piliśmy. Pożyczałem maszynę do pisania Markowi Hłasce. Potem kupiłem sobie «Singera», którego Gielo przepił. To ja mu wzięłem jego maszynę. I na tej maszynie potem pisał Jerzy Andrzejewski. A więc, mam maszynę Andrzejewskiego.(...)”.*

Erazm miał słabość do poety urodzonego w Rosach w gminie Stoczek Łukowski, który nie radził sobie na warszawskim bruku. Ponieważ był wielkim milczkiem, więc znosił jego humory i patrzył przez palce, bo liryk potrafił czasami posunąć się za daleko. Z czułością o jego słabościach mówił: (...) *To był fajny pijak. Uczciwy. Taki otwarty. Robił zawsze takie wrażenie, że nie dość, że nie użyje, to nie zniszczy, dotoży sam od siebie. Była w nim bardzo czytelna uczciwość.*

W maju 2012 roku artysta-fotograf podesłał listem priorytetowym album: *Erasm Ciołek, rysunki*. Czterdzieści prac spointował wierszem Józefa Gielo: *Myślałem, że w grający pył / rozbiła się kropelka rosy / ale to był węzelek strun / splątany brzęk skrzydełek osy. Przepraszam*.

Kiedy zadzwoniłem, żeby mu podziękować, wzruszył się pamięcią o Zagórze, Mamie i Józefie Gielo, którego znałem tylko z widzenia i czytania, i tyle.

Wspomnienia (I) [Józef Gielo (5 I 1934 – 3 III 1981) *Wspomnienie*], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Przemysław Gintrowski (21 XII 1951 – 20 X 2012)

Już na samym wstępie napiszę, żeby potem nie było wątpliwości: lubiłem słuchać Przemysława Gintrowskiego. Jego muzyka miała w sobie zadziorność i niespełnienie, i ten szorstki głos, zmrożony zimną wódeczką. Wyróżniała się na polskiej scenie poezji śpiewanej. Nie rozumiałem, dlaczego jego płyta (*Odpowiedź*, Polskie Radio SA 2000) została tak chłodno przyjęta przez polskich recenzentów („Życie Warszawy” 2000, nr 104, „Polityka” 2000, nr 20)? W spisie treści wiersze Zbigniewa Herberta. Poezja, w której słowo jest na swoim miejscu. Utwory Herberta są jak kołatka: *uderzam w deskę / a ona podpowiada / suchy poemat moralisty / tak – tak / nie – nie* (*Kołatka*).

Kto choć jest trochę czuły na słowo i myśli nie byle jakie, zapewne zrozumie o co mi chodzi i co jest grane i śpiewane. Twórczość Herberta wyróżniała się smakiem. Miała zawsze przesłanie i etyczny wymiar. (Może tego lepiej nie sprawdzać). Na pewno zachęcała, żeby iść do muzeum, po drodze jeszcze wdepnąć do biblioteki/czytelnia, a o zmierzchu zaszyć się w lokalu gastronomicznym, gdzie można zwilżyć winem apetyt. Chciałem napisać: żeby zająć się filozofią, ale... bałem się, żeby ktoś mnie nie ofukał za to, że uprawiam pedagogiczne moralizatorstwo. Zamiast się wymądrzać, frag-

ment wiersza *Potęga smaku: To wcale nie wymagało wielkiego charakteru / nasza odmowa niezgoda i upór / mieliśmy odrobinę koniecznej odwagi / lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku Tak smaku / w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia (...).*

Za pomocą wierszy Herberta, Przemysław Gintrowski dał odpowiedź na to, co go mierzi i budzi w nim sprzeciw: (...) *Irytuje mnie to, co dzieje się w sferze kultury, a zwłaszcza powierzchowność i miałkość kultury masowej. To, co «zieje» z ekranów telewizyjnych, jest przerażające. Nie mogę się pogodzić z tym, że telewizja publiczna nie pojmuje swej roli i koszmarnie ilości pieniędzy wydaje na programy schlebające złym gustom, głupim myślom. (...) Dlaczego organizuje się te wieczne, bezmyślne telewizyjne biesiady? Telewizja publiczna powinna dawać widzom szansę na kontakt z wartościami, stwarzać okazję do rozwoju wiedzy, wrażliwości estetycznej (Kilka czystych tak-tów. Z Przemysławem Gintrowskim rozmawiała Anna Bernat, „Życie” 2000, nr 79).*

Wcale się nie dziwię, że Autor *Struny światła* wysłał do niego kartkę pocztową z pozdrowieniem: *Zbigniew Herbert, tekściarz pana Gintrowskiego.*

Jan Maria Gisges (15 I 1914–17 XII 1983)

Poeta, prozaik, antologista, redaktor, działacz Związku Literatów Polskich w Warszawie. Słusznie o nim napisze Piotr Kuncewicz: (...) *był autorem bardziej może głośnym niż czytany; dla środowiska literackiego był głównie wieloletnim działaczem ZLP, sekretarzem związku po prostu, co praktycznie miało większe znaczenie od stanowiska prezesa. (...) (Piotr Kuncewicz, *Leksykon polskich pisarzy współczesnych*, t. I A–M, Wyd. GRAF-PUNKT®, Warszawa 1995).*

Kiedy szedłem drewnianymi schodami do Biblioteki w Domu Literatury (ul. Krakowskie Przedmieście 87/89), nieraz go spotkałem. Kłaniałem się. Odkłaniał mi się starszy pan, zawsze starannie ubrany. Postawny, trochę taki *szczupakowaty*. Z wąsikami starannie wypielęgnowanym. Miał w sobie spokój. Wyczuwałem, że musiał

w swym życiu przejść jakieś straszliwe wniebogłosy. Że w nim siedzi trauma, której nie chce wyjawiać, bo to nic nie da. Dość sporo drukował książek. Po tytułach widać, że miał słabość do przyrody. Pisał łagodne wiersze, bez rozwichrów.

Zapomniany po śmierci, jak wielu. Warto by przypomnieć choć w wyborze to, co pozostawił. Muszę przyznać, że lubiłem, gdy pan Jan Maria stawał mi na drodze. Szkoda, że nigdy do mnie nie zagadał. Byłem zbyt nieśmiały, żeby podejść. Uważałem, że to byłoby posunięcie trochę za dalekie. Jego córka, pani Ewa Gisges-Wierzchowska, jest kierownikiem Biblioteki Domu Literatury. Kiedy mam jakieś wątpliwości literackie, to do niej dzwonię, bo pani Ewa potrafi robić kwerendy. Poruszy całą bibliotekę, otworzy teczki i znajdzie. Nie ma na nią siły. Dbą o księgozbiór, wycinki. O jej zasługach wie niejedna fiszka w katalogu; za kilka lat to się znajdzie w bazie na twardym dysku. Ilekroć z panią Ewą rozmawiam (przez telefon), to zawsze wspominam jej ojca, którego spotykałem, gdy siedłem po dywanie, który był na schodach Domu Literatury. Było to w czasach, kiedy Dom Literatury odwiedzali ludzie i nikt się nie droczył, choć czasami ostro się spierano. Było. Mięło. Nie powróci.

Jan Maria Gisges (15 I 1914 – 17 XII 1983). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–26 grudnia 2013 roku.

Janusz Głowacki (13 IX 1938 – 19 VIII 2017)

Studiował aktorstwo w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Był absolwentem filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Latami przyjaźnił się z Henrykiem Berezą, znanym krytykiem *zbereźnikiem*. Od 1964 roku zaczął publikować opowiadania i felietony w warszawskiej „Kulturze”. Z bigłem pisał. Na odwrotną. Został specem od ironii. Czytałem jego książki od deski do deski. Szedł przez życie, lekko z niego kpiąc. Funkcjonował w stolicy jak gatunek literacki. Mówił, że chodzi warszawskim szlakiem

hańby. Czyli od lokalu do lokalu. Miał taką reputację, że zabiegali o niego ci, co chcieli się podrasować. Gościł na salonach. Nie uniikał pism kolorowych, które jak paw. Ponieważ był niezwykle czytany, więc publikowano jego niebanalne komentarze. Dla kobiet to był... łamacz serc (i nie tylko!). Znał literaturę, która nie zawsze jest piękna, i slang. Potrafił napisać sztukę teatralną albo scenariusz filmu. Z Markiem Piwowskim stworzyli „Rejs” i popłynęli na głębokie wody, z bieżącym ściekiem.

W Bibliotece Domu Literatury często spotykałem jego matkę Helenę Rudzką-Głowacką, która pracowała jako redaktor w stołecznym wydawnictwie. Siostra Kazimierza Rudzkiego (aktora, konferansjera) była pierwszą jego czytelniczką. Przepisywała z rękopisów, adiustowała i pilotowała, żeby utwór nie trafił do kosza... lina. W 2016 roku dla potrzeb kwestionariusza „Książek” (nr 2) powie: *Gdy miałem 10 lat i chorowałem na zapalenie płuc, matka, polonistka, czytała mi Marcela Prousta «W poszukiwaniu straconego czasu». Ponieważ zasypiałem, uznała mnie za idiotę i namawiała, żebym został sprawozdawcą sportowym albo wstąpił do armii, bo w mundurze będzie mi do twarzy. Natomiast ojciec czytał kryminały i radził, żebym został sławnym sportowcem i na pierwszych zawodach spieprzył za granicę. (...) kiedy matka odchodziła i była już nieprzytomna, powiedziałem jej: Dziękuję, mateczko, że zmusiłaś mnie do czytania książek.*

Wtedy nagle się uśmiechnęła. (...).

Współpracował z opiniotwórczymi pismami, które płaciły nieźle honoraria.

Januszowi Głowackiemu coś się udało, więc otrzymał niejeden splendor.

W młodości zaczytywałem się jego książkami (*Wirówka non-sensu*, 1968, *Nowy taniec la-ba-da i inne opowiadania*, 1970, *W nocy gorzej widać*, 1972). Po latach jeszcze raz omiotłem to, co wydał w opasłym tomiszczu (*Ścieki, skrzeki, karaluchy. Utwory prawie wszystkie*, 1996). Literacka autobiografia pt. *Z głowy*, 2004, już mnie tak nie wzięła, bo poszła za daleko w anegdotę.

Kilka razy krótko rozmawialiśmy. Ponieważ był to człowiek wódeczki, więc zawsze mnie zadziwiało to, że nie pali papierosów i nie klnie. To był wrażliwy markowy gość. Miał maniery i styl. Nie pisał o byle czym i byle czego nie nosił. Typ samotnika, co lubi się pławić w agorze. Świetnie się czuł w towarzystwie męsko-damskim. Wśród inności. Opisywał ludzi, którym dokucza strach. I wstydył się, *żeśmy spieprzyli ten świat. I że będziemy go pieprzyć dalej.*

W kołonoratniku przechowuję wydarty skrawek papieru, na którym napisał swój nowojorski adres. Od lat już nieaktualny. Poza tym zachowuję w pamięci to, że na początku lat 70. XX w. rękopisy pierwszych wierszy wysłałem do Janusza Głowackiego (na adres redakcji warszawskiej „Kultury” przy ul. Wiejskiej 12). Autor tygodnika, który miał w logotypie motto: *Proletariusze wszystkich krajów, łąćcie się!*, niebieskim długopisem napisał na karteluszk redakcyjnego druku, że wiersze są jakie są, a *Reszta w rękach Boga, i w ogóle.* (O nogach już nie wspominał).

Kiedy mu o tym przypominałem, to zrobił dziwny wyraz twarzy, jak satyr lub, inaczej, faun, i odpowiedział, że tego nie pamięta. Rozmowa urwała się i rozstaliśmy się na placu Trzech Krzyży. To było jeszcze w XX wieku. I nagle dowiaduję się, że podczas wakacji zmarł w Egipcie. W ostatnich godzinach życia powiedział do żony, że *chce żyć.*

Po złożeniu jego prochów na Powązkach, odbyła się stypa w Sali Malinowej w pięciogwiazdkowym hotelu Bristol, ul. Krakowskie Przedmieście 42/44.

Janusz Głowacki (13 IX 1938 – 19 VIII 2017), „Tygodnik Olecki” 2017, nr 34.

* * *

To było w 1997 roku. Nakładem własnym wydałem *Drugi alfabet*. Stałem na przystanku autobusowym na placu Trzech Krzyży. Ulicą szedł rozchełstany Janusz Głowacki. Ukłoniłem się. Podszedł. I zadał tradycyjne polskie pytanie: *co słychać?*

Odpowiedziałem, czy panu chodzi o to, co we mnie, czy o coś innego?

I było tak, jak w zawieszeniu. Na suficie – nie wiadomo, czy pajak się powiesił, czy chodzi? Sięgam do chlebaka i daję mu egzemplarz książki. Bierze to чудо sztuki niszowej i pyta – *ile mam zapłacić, bo w Nowym Jorku...*

Odpowiadam, że w Warszawie gratis też ma swoją cenę.

Zabiera dar i daje nogę w ul. Wiejską.

Po latach Janusz Głowacki w jednym z wywiadów powie: *Kiedys na przyjęciu w Los Angeles wciskałem Fordowi Coppoli swoją książkę «Moc truchleje» po niemiecku. Odpowiedział, że po niemiecku przyjmuje tylko książki od laureatów Nobla.*

Laska wujka Tadka. Pani Julia i pan Artur. Spotkanie na ulicy. Ze sztuki funeralnej. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 44.

Wojciech Górski (23 IV 1849 – 11 II 1935)

Wielki pedagog i reformator szkolnictwa. Gimnazjum Górskiego przy ulicy Hortensji 2, to było coś więcej niż placówka oświatowa. Zapominalskim przypominam, że Szkoła Górskiego była 1. szkołą w Warszawie z językiem polskim. Do niej uczęszczała młodzież różnych wyznań. W czasie powstania warszawskiego obiekt uległ zniszczeniu i nikomu nie przyszło do głowy po II wojnie światowej, żeby go wskrzesić z gruzów i popiołów. Zabrakło odważnych, którzy by w imię pamięci, zachowali ciągłość polskiego szkolnictwa. Żeby powiedzieli nie tym, co patroszyli polskość w imię kłamstwa. Za poetą mogę powtórzyć, że ówczesny *Świat poszedł swoją drogą* (Adam Asnyk). Zadeptano przeszłość. Jak klepisko. Pozostały li tylko wspomnienia o dawnej szkole i budynek SZKOŁY POWSZECHNEJ IMIENIA WOJCIECHA I ANIELI MAŁŻONKÓW GÓRSKICH W PAMIĄTCE, OTWARTEJ OD ROKU 1925. GMACH WYBUDOWANO W R. 1927-8, do której uczęszczałem.

Zacny Wojciech Górski znany jest z surowych fotografii. A przecież to był człowiek o wielkim poczuciu taktu i manierach, i *gołębim sercu*. Nauczyciel-wychowawca. Praktyk i teoretyk. Społegliwy myśliciel, choć przesiąknięty Ewangelią. Niósł ten *kaganek oświaty*. Wiedział, że praca na niwie pedagogicznej to nie piosenka, w której tyle nadziei: *A nas tak mało tych co mogą posiąść / Ze swych zapasów szczyptę braciom dać / I choć nie przy nas wszędzie ruń zielona / My róbmymy swoje, my musimy siać*. Żeby na marne nie poszedł siew.

Mój krajan z Lekarcic pod Grójcem, z okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Ze wsi. Podobnie jak ja. Świadomość takiego ziomka dodaje człowiekowi otuchy, co tu dużo pisać. Żeby nie było po kumotersku, spieszę poinformować o związkach szkoły Górskiego z Suwalszczyzną, Warmią i Mazurami. W monografii pt. *Wojciech Górski i jego szkoła* (praca zbiorowa pod redakcją Jana Lasockiego i Jana Majdeckiego. Ze słowem wstępnym Ks. Prymasa Stefana Kardynała Wyszyńskiego i przedmową prof. Stanisława Lorentza, *Biblioteka Syrenki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, ss. 630) można znaleźć wzmianki na ten temat. Przypomnę, że Wojciech Górski wybudował osiedle szkolne w Kopanie i nazwał je Pamiątką. *Drugie osiedle szkolne mieściło się nad Wigrami w miejscowości Gawrychruda i przeznaczone było dla młodzieży starszej zorganizowanej w Hufcu Przysposobienia Wojskowego. (...) (Jan Lasocki, Jan Majdecki, Wojciech Górski – prekursor nowoczesnej szkoły polskiej)*. Przypomnę, że Gawrych Ruda (*Gawrychruda*) to wieś w powiecie suwalskim. Leży w Wigierskim Parku Narodowym, obejmują ją cztery jeziora: Wigry, Staw, Okrągłe i Długie Wigierskie.

Nie wiem, kto to miejsce naraił zacnemu pedagogowi-wychowawcy, romantykowi i pozytywiście. Wiem, że wykazał się świetnym gustem w czasach, gdy powstawały pierwsze osiedla szkolne, aby ruszyć w teren. I nie obawiał się, że nauka pójdzie w las. Że uczniowie będą na wodzie pisali. Z zachowanych materiałów wynika, że ćwiczenia przysposobienia wojskowego odbywały się w Pa-

miątkce, zaś 17 września 1933 roku 80 junaków, czyli *Górali*, udało się do osiedla w Gawrychrudzie, gdzie przebywali 15 dni.

Oczywiście, że szkolny hufiec PW był uznany za najlepszy w Warszawie. 5 lutego 1933 roku Wojciech Górski otrzymał wraz z komendantem prof. Michałem Kuśmidrowiczem Złotą Honorową Komendancką Odznakę Przysposobienie Wojskowego. 27 maja 1934 roku Dyrektor Górski przekazał ufundowany przez siebie specjalny sztandar dla hufca PW, wbił gwoździe pamiątkowe; wygłosił stosowne przemówienie. Aha! Zastęp z 25. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Szkole Wojciecha Górskiego w roku 1919 *pojechał na teren plebiscytowy na Mazury, aby prowadzić agitację wśród ludności* (Michał Więckowski). W 1923 r. harcerze ruszyli na obóz do Ciborza k. Lidzbarka. Powrócili do szkoły z dowcipną piosenką: *Od Lidzbarka niedaleko, o! / Leży Cibórz ponad rzeką, o! / ZHP się zrujnowało, o! / Żółkiewszczaków tam wystano, oooo! (...)*.

Rozpisałem się o Wojciechu Górskim, bo w Polsce to różnie bywa z pamięcią. Giną nam rzeczy fajne, wionie smutą. Trwają uroczystości, w których wszyscy się tak napinają. Jak wydmuszki. Opiewamy klęski, czyli to, co dostaliśmy w tę część, gdzie się kończy szlachetna część pleców. Epatuje się krzywdami, które powinno się przemilczeć. A jeżeli już, to należy je ocenić mądrze, żeby błędów nie powtarzać. Dobro też musi być sprytne, żeby zło go nie drapało. Każda ojczyzna bodzie, niestety.

Zamiast pointy przytoczę radosne wspomnienie ucznia, które znalazłem w artykule Jana Krusza pt. *Idą chłopcy od Górskiego w czapkach wojska francuskiego. Po zjeździe koleżeńskim „górali”* [„Express Wieczorny” 1957, nr 275 (20 września)]. Expressis verbis: (...) *Przyszlśmy do naszego dyrektora. Ten sam człowiek, te same mury. Ścisnął każdego serdecznie, połowie przybyszów mówił po imieniu, wziął udział w naszym uroczystym zebraniu i dał się namówić na wesół obiad.*

— *Tylko urządzajcie wcześniej, bo ja o 20-tej idę spać.*

Rozpoczęliśmy tedy o 18-ej. Dyrektor Górski prezydował, obok niego siedziało jeszcze wówczas kilku naszych profesorów. Pod wpływem urzekających wspomnień, nie spostrzegliśmy się, kiedy nadeszła godzina 20-ta.

Nasz honorowy gość powstał, podniósł kieliszek – na tym zresztą kończyła się i rozpoczynała jego konsumpcja alkoholu – i oświadczył: «– Dziękuję wam, muszę kończyć, nadchodzą godziny mego wyczynu».

Na wszystkie serdeczne i natarczywe namowy zareplikował: «– Ot popatrzcie kto ma rację – ja czy wy?»

W tym momencie, z czołowego miejsca, które zajmował dał nurka pod serwetę i swobodnie wysunął się po drugiej stronie stołu.

Zdumieli się biesiadnicy wyczynem niemal 90-letniego młodzieńca.

«– Jeżeli mając tyle lat, ile ja sobie dzisiaj liczę, potraficie zrobić to samo, przekonacie mnie, że mój system życia jest niestuszny».

Górale na Suwalszczyźnie, Warmii i Mazurach. Felietony, Tygodnik Olecki 2016, nr 25.

Fotografia Ireneusz Szczepaniak, *Pomnik Wojciecha Górskiego w Warszawie* (Śródmieście Północne), ul. Górskiego (od I I 1883 do I III 1936 roku ul. Hortensji Lewental), odsłonięty w 1957 roku (odlew z 1937 roku). Autor: Władysław Szyndler. Wykonany z brązu i czerwonego granitu.

Stanisław Grabski (11 II 1938 – 22 XI 2003)

Urodził się w Mroczkowie, gm. Opoczno. Był Dyrektorem Szpitala Dziecięcego „Górka” w Busku-Zdroju, ul. Dr Szymona Starkiewicza 1. Znakomity polonista, choć też i znany meloman, który organizował dla nas występy Salonowej Orkiestry Zdrojowej. Jego żona, pani Maria, prowadziła zajęcia z geografii. Był pierwszym Dyrektorem Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Niepełnosprawnych Ruchowo w Busku-Zdroju, zwanym przez mieszkańców *Szkołą na Górcie*.

Dnia 20 marca 1991 roku, po 27 latach pracy w szkolnictwie specjalnym, odszedł na emeryturę.

Wiele mu zawdzięczam. To on zapoznał mnie z pierwszym współczesnym polskim wierszem. Podczas odwiedzin w 1976 roku wygłosił dla mnie wykład o tym, jaką zasadą kieruje się podczas zbierania książek do biblioteki. Pisałem o nim raz wierszem i kilkanaście razy prozą.

To był bardzo elegancki pan. Czyściutki. Wymuskany. Starannie ogolony i ostrzyżony.

Lekcje języka polskiego były mini wykładami. To była taka zachęta do literatury pięknej.

Kiedy słyszę jego imię i nazwisko, to przed oczami staje mi wspomnienie sprzed lat.

42 lat temu zacząłem myśleć literaturą, tj. poezją.

Był 1969 rok. Przebywałem w sanatorium *Górka* w Busku-Zdroju. Chodziłem do ósmej klasy. Miałem serdecznie dość Białych ścian, i w ogóle. Byłem pokonany przez los. Stałem w oknach pomalowanych na Białą i łykałem suche łyzy. Dobrze, że mój wychowawca-polonista mgr Stanisław Grabski szanował nostalgię i rumieńce wstydu.

Na lekcji języka polskiego przerabialiśmy wiersz Tadeusza Różewicza pt. *Jak dobrze*. Polonista czytał.

A potem pytał nas o jego treść i sens.

Pletliśmy głupstwa.

Nikt nie dostał dwójki.

Pan Grabski był za mądry, żeby wylewać atrament na oceny niedostateczne.

W końcu mnie zapytał.

Wstałem z krzesła.

Oparłem ręce o blat ławki.

Spojrzałem na szkolnych kolegów i koleżanki.

Zobaczyłem gipsowe nogi z odciskami krwi.

Widziałem kule i aparaty ortopedyczne.

W takiej scenerii miałem mówić o wierszu *Jak dobrze*.
 – Co wiesz o tym wierszu? – spytał mnie pan Grabski.
 – Jeszcze tego wiersza nie rozumiem – odpowiedziałem.

Polonista wziął podręcznik do nauki języka polskiego i zaczął recytować:

*Jak dobrze Mogę zbierać
 jagody w lesie
 myślałem
 nie ma lasu i jagód*

*Jak dobrze Mogę leżeć
 w cieniu drzewa
 myślałem drzewa
 już nie mają cienia*

*Jak dobrze Jestem z tobą
 tak mi serce bije
 myślałem człowiek
 nie ma serca*

– Co wiesz o tym wierszu? – kolejny raz mnie zapytał.
 Wstałem z krzesła i powiedziałem: czy mogę wyjść z klasy?
 Głowę zakreślił znak zgody.
 Wyszedłem.

Zamknąłem za sobą drzwi tak, jakbym zaklejał list, w którym chowa się słowo kocham.

O tym wydarzeniu piszę w debiutanckim tomiku *Mieliśmy Białe ściany* (Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1977).

W ciągu tych 42 lat wiele przeszedłem szkół poetyckich. Zdążyłem w tym czasie napisać wiele wierszy z obandażowanym skrzydełkiem. Przywykłem do poetyckiego widzenia świata, i w ogóle.

Z przyjemnością powracam do tej lekcji języka polskiego, na której byłem niegrzecznym uczniem z ostatniej ławki.

Wspominam to zdarzenie, jak pierwsze wiersze, które pisałem na skrzydełkach jaskółek...

Stanisław Grabski (II II 1938 – 22 XI 2003). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2 stycznia 2012 roku, Stanisław Grabski (II.02. 1938 – 22.II.XI 2003). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 11 czerwca 2012 roku.

* * *

Nieraz wracam do wspomnień. Tych z Buska-Zdroju. Z *Górki*. Naszym wychowawcą był pan mgr Stanisław Grabski, jego żona, pani Maria, uczyła nas geografii. Pan Grabski to był taki elegancki pan. Pod krawatem. W białej koszuli. W spodniach granatowych, w kant zaprasowanych. Bardzo starannie ostrzyżony. W butach na glanc. Pamiętam, jak siedział przy stole, na którym był przewodnik metodyczny do języka polskiego. Prowadził lekcje-wykłady o literaturze polskiej. To on nas wtajemniczał w sztukę słowa.

Do dziś słyszę, jak recytuje wiersz Adama Asnyka pod trzema gwiazdkami (***) *Gdybym był młodszy...*, którego już nikt nie czyta: *Gdybym był młodszy, dziewczyno, / Gdybym był młodszy! / Piłbym, ach, wtenczas nie wino, / Lecz spojrzeń twoich najśłodszy / Nektar, dziewczyno!*

Słuchałem tego, podobnie jak wiersza Kazimierza Przerwy-Tetmajera (***) *Mów do mnie jeszcze*) i strasznie przeżywałem, kiedy mówił z nostalgią o tych zapomnianych poetach, co zostali w szeleście kartek szkolnego podręcznika do języka polskiego. Z lat 60. XX wieku.

Stanisław Grabski (II II 1938 – 22 XI 2003). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 czerwca 2014 roku.

* * *

Magister polonistyki. Uczył nas ojczystego języka oraz zasad interpunkcji i przestankowania w sanatorium dziecięcym „Górka” w Busku-Zdroju. Przychodził na lekcję z przewodnikiem metodycznym i dziennikiem. Mościł się w fotelu i wykladał literaturę

i gramatykę. A kiedy wyczuwał, że jesteśmy znużeni, to opowiadał anegdotę, żeby nas nieco rozbudzić. Nie trzymał się sztywno tego, co ówczesnie zalecano – cenił lektury nadobowiązkowe. Pamiętam jak w klasie VIII usłyszeliśmy, kto to był markiz de Sade (1740–1814); wyjaśniał przy okazji słowo *sadyzm*. I czynił to tak subtelnie, bez oceniania. Miał dar słowa mówionego. Był elegancki – w świątecznym Białym fartuchu, koszuli pod krawatem. W butach na glanc zapastowanych. W Zdroju mawiali, że to meloman.

Pod jego wpływem napisałem wierszyk, który stał się tytułem mojej debiutanckiej książki (*Mieliśmy Białe ściany*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1977).

W 1993 roku sporo publikowałem w kieleckim dzienniku „Słowo Ludu – Magazyn”. Nie dlatego, że mam słabość do Kielc i Radomia. Zrobiłem to, bo liczyłem po cichu, że być może pan mgr Grabski przeczyta. A może się odezwie do ucznia, który nieraz sprawiał kłopoty w sanatorium „Górka”.

Dopiero po jego śmierci pani Maria Grabska, mgr geografii, napisała w liście: *Nawet nie zdaje Pan sobie z tego sprawy, jaki on był z Pana dumny*.

W życiu bym nie pomyślał, że moją pisaninę zauważy polonista-wychowawca. Swój osąd opierałem na tym, że widziałem jego bibliotekę – stąd wiem, jaka była jego spizarnia literacka, do której upychał wycinki z gazet. Z grzbietów druków zwartych i luźnych można było wyczytać, że lubił śmietankę i wisienkę ze szczytu tortu. Innymi słowy, smakosz – kolekcjoner.

* * *

Było to wiosną, bo pozwalano nam otwierać okna na oścież. Wietrzyliśmy Białe sale. Przeciągi hulały po korytarzu. Wszystko wokół się zazieleniło. Promienie słońca ślizgały się na parkiecie. Patrzyłem przez okno i myślałem tylko o jednym: jak by tu czmychnąć na zewnątrz. Chciałem wyjść, tylko nie wiedziałem, jak. Byłem niespokojny, jak zwierzyna w czasie nagonki. To było na pewno

wiosną, bo przerobiliśmy już na lekcji języka polskiego wiersz Tadeusza Różewicza pt. *Jak dobrze*. Przez całą zimę nie wyściubiłem nosa z sanatorium. Strasznie byłem wyposzczony i przygaszony. Tak mnie wessało do sali. I kiedy wiosna ruszyła na całego z całym przepychem kwiatów, pszczół i ptaków, nasz polonista pan mgr Stanisław Grabski powiedział, że lekcję języka polskiego będziemy mieli na łące, w lesie. Na zewnątrz sanatorium, gdzie świeże powietrze. W klasie zapanowało poruszenie. Poprosił nas, żebyśmy cieplej się ubrali i wzięli koc. Koleżanki ubrały się tak, jakby szły na akademię. Chłopcy nie zwracali uwagi na ubiór. Pan Grabski był elegancko ubrany, można napisać – (nie)niepokojąco. Twarz starannie ogolona, wyperfumowana. Biała koszula pod krawatem. Włosy zaczesane do góry w tradycyjną falą. Przyjemnie było patrzeć na naszego magistra polonistyki. Aha! Nie zabrał ze sobą dziennika, a nawet przewodnika do nauki języka polskiego. Wyglądało to tak, jakbyśmy szli z kocami na wycieczkę. Wyszliśmy z sanatorium „Górka” (Busko-Zdrój) i skręciliśmy w stronę leśnej polany. W środek lasu. Było ciepło, świeża zieleń i kojący śpiew ptaków. Kocyki rozłożyliśmy na trawie. Na jednym usiadły nasze piękne koleżanki, zaś na drugim chłopcy. Polonista opowiadał, prowadził wykład. Pamiętam, że było w nim dużo poezji, wspomnień, cytatów z literatury i dowcipnych komentarzy. Czyli to wszystko, czego nie było w podręczniku do ósmej klasy. Mówił pięknie. Siedzieliśmy na pledzie z otwartymi ustami. Wiatr drżał na listkach. Zapomnieliśmy o sanatorium. Cieszyliśmy się, że wymknęliśmy się z Białych ścian. Było to wiosną 1969 roku, w czasach dzieci kwiatów, które jeszcze nie wydały owoców. W samym środku lasu mieszanego. Na łące.

Po lekcji widziałem jak wiatr wprowadził nieład we włosach pana Grabskiego, nawet krawat ucierpiał, bo się przekrzywił. Na czole zauważyłem krople potu. To nie była lekcja, to był występ. Na scenie, gdzie wszystko było naturalne i tak mistrzowsko zrobiono. Drzewa, łąki, krzewy, ptaki, tylko my, uczniowie, dalecy byliśmy od zdrowia, wybrakowani jak uszczerbek piękna. Zbierał słowa, z jego

zdań zebrałem po latach małe wspomnienia. Polonista był pograżony w myślach, zaś ja szukałem klucza, żeby domknąć słowo *chciałbym*. Wiedziałem, że w domu zawsze jest najlepiej.

Przysłowie kazachskie świetnie oddaje nastrój, jakiemu ówczesnie uległem: *Smutek jest jak morze – utoniesz w nim bezpowrotnie, upór jest jak łódka – wsiądziesz do niej i popłyniesz*.

Andrzej Graczykowski (9 V 1947 – 13 VI 2017)

W latach 80. XX wieku pojawiłem się w mansardowej pracowni łódzkich grafików przy ul. Zielonej, nieopodal dawnej siedziby Wydawnictwa Łódzkiego. Na styku z Pietryną (wierną rzeką Łodzi) była moja pierwsza schadzka z trzema grafikami. W mansardowym pomieszczeniu rozbiła się grupa artystyczna Corespondance des Arts (książka artystyczna). Zaczne grono. Był Zbigniew Janeczek, wspaniały grafik, smakosz i spec ds. starych technik graficznych, entuzjasta życia, choć czasami zdarzało się, że wpadał w lekką (łódzką) melancholię. Ale szybko się z tego otrząsał. Ponieważ 3 lata mieszkalem na Bałutach i jestem absolwentem IX Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących (ul. Obrońców Stalingradu 27, dzisiaj ul. Legionów), więc ze Zbyszkciem mam kontakt telefoniczny. Wiem, że bywa piechurem (maszeruje), a czasami *człapaczem*, który wędruje i nie podskakuje, jak mawiają w Sejnach.

Na poddaszu łódzkiej kamienicy poznałem Andrzeja Graczykowskiego. Wysoki. Dobrze zbudowany chłop, z solidną łapą, bo malarz nie powinien być jak ułomek. Musi piórkiem szastnąć.

Koło południa doszłusował do nas Jan Trojan, spokojny, znany z tego, że malował cykl czereśniowy (w kubeczku albo w piramidce). Mruk wagi lekkiej.

W czasie spotkania zapytałem Andrzeja, czy nie podjąłby się wykonania okładki do tomiku wierszy. Andrzej odpowiedział, że... coś wymyśli.

W 1990 wydałem nakładem własnym tomik pt. *Kopana*. Projekt okładki: Jan Trojan. Zdjęcie: Andrzej Luterek; obróbka tech-

niczna zdjęcia: Jerzy Bojarski. Xero: Bożena Luterek, Warszawa–Kopana 1990, s. 22. To była bardzo uboga książka. Ksero było dopiero w powijakach. Podobnie rzecz się miała z papierem. Moja siostra Bożena pracowała przy ksero, więc wydrukowała w chwilach wolnych 15 egzemplarzy. Mój szwagier Andrzej Luterek, ślusarz, wykonał mi zdjęcie w sadzie. A Jan Trojan z Łodzi, kiedy byłem w pracowni Andrzeja Graczykowskiego przy ul. Zielonej, na odwrotnej stronie zdjęcia odrysował piórką i tuszem prześwitującą jabłoń; wykonał stosowny napis na stronę tytułową. O tej kserograficznej, nie zszytej książce, nikt nie pisał nawet półsłówkiem, choć wysłałem ją do 14. osób.

Jabłkowitzą miniaturę graficzną Zbyszka Janeczka, z września 1988 r., wykorzystałem w tomiku pt. *Czaty sadownicze* (nakładem własnym, 1996).

A kiedy przystąpiłem do profesjonalnego wydania tomiku wierszy, to napisałem list do Andrzeju Graczykowskiemu, w którym informowałem, żeby na okładkę *Zapisków i ballad* (Warszawski Ośrodek Kultury dawniej Szpital Świętego Ducha, Warszawa 1992) wykonał Anioła, ale... bez bandażu, bo i po co go ranić? Niech ten Zwiastun, co *dotknął ziemi*, czuwa nad wierszami. Andrzej narysował Anioła, który wydłubuje niewidocznym smyczkiem duszę ze skrzypiec.

A potem kontakt urwał się, jak to bywa w życiu. Są oddalenia, zapomnienia i przypomnienia. Zwał to jak zwał.

Pod koniec czerwca 2017 roku dowiedziałem się od Zbyszka Janeczka, który osiadł w Eufemianowie (wieś koło Brzezin, woj. łódzkie), że po długiej chorobie odszedł Andrzej Graczykowski (1947–2017). W notatkach mam tylko dwa zdania o nim. W maju 1991 roku w egzemplarzu tomiku pt. *Okruchy ballad* (Wydawnictwo „Librairie”, Warszawa 1991) napisałem: Andrzejowi Graczykowskiemu, o którym trochę wiem, ale... czy to jest takie ważne. Bądź Zdrow!

W teczce zawiązanej tasiemką przechowuję jego Anioła, który na skrzypczkach gra ciszę, na pamiątkę czasu, co trzyma sztangę

z przemijaniem. Było to w czasach, gdy wpadłem w socrealizm katolicki, z którego się wycofałem. Kiedyś o tym napisałem wierszyk Pod Trzema Gwiazdkami (***), który tak się zaczynał: *To, co odeszło, mogę tylko na chwilę z drogi / wspomnień zawrócić balladą – bo tylko ballada ma / niedomknięte wrota – potrafi otworzyć to, co już / zamknięte jak futerał od skrzypiec albo harmonii.*

Na (dobry) początek, Książki, Magazyn do czytania, Trzcina. Okruch (łódzkich) wspomnień. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 27.

Stanisław Grochowiak (24 I 1934 – 2 IX 1976)

Poeta, prozaik, autor sztuk scenicznych, widowisk telewizyjnych, słuchowisk radiowych. Znakomity felietonista (*Rok polski*, 1981). To był poeta całą gębą, który pokochał podszewkę życia, ciemniejszą stronę. I wcale nie przesadzał, gdy w debiutanckiej książce (*Ballada rycerska*, 1956) zamieścił wiersz pt. *Modlitwa*, w którym m.in. prosił: (...) *Matko Boska mądra taka / Żeś jak ogród z plonem łask / Rzuć najmniejszy choćby blask / W ciemne wiersze Grochowiaka.* Nie ma się oburzać, że pisał wprost – *Wolę brzydotę*. Wystarczy nieco się przyjrzeć w tym życiu, by stwierdzić, że nadal aktualna jest refleksja, jakby żywcem wyrwana z jego wiersza: *Są bo na świecie ludzie tak wymyć / Że gdy przechodzą / Nawet pies nie warknie / Choć ani święci / Ani są też cisi.*

Wiele pozostawił cudownych strof, które czyta się z wypiekami na twarzy (*Uroda pokory, Czyści, Upojenie, Ars poetica, Rok polski*, etc.).

Słowem, poezje Stanisława Grochowiaka są *osypane liryką i popiołem smutku*.

Stanisław Grochowiak (24 I 1934 – 2 IX 1976). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 12 grudnia 2014 roku.

Józef Andrzej Grochowina

Urodził się 30 września 1954 roku w Tomaszowie koło Kielc. Poeta, krytyk literacki, tekściarz (pisał słowa do piosenek). Józek zawsze narzekał, miał różne humory. Szukał swojego miejsca. I nie mógł go znaleźć. Próbował się pocieszać: *spójrz jak powłóczę połamany skrzydłem / po ścianach za którymi – jeszcze wierzę – jest / tyle powietrza prześwieconego słońcem / jakby to była przeogromna pomarańcza południa (Świat to wielka poczekalnia).*

Pracował w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, kilka pokoi od mojego. Jerzy Leszin-Koperski stworzył mu takie warunki, aby mógł pisać, zaś dla mnie nigdy nie miał czasu. Biedziłem się w analizach prasowych, a Józek był redaktorem. Wpadał i wypadał. Strocił od ludzi. Ciężko z nim się rozmawiało, bo zawsze miał jakieś *ale*. Smutki topił w różnych płynach, zapominając o tym, że one najlepiej sobie radzą w polskiej wódeczce. Urodzony malkontent. Smutny mężczyzna, w którym zgaśł chłopiec. Zasmucało mnie, że nie miał apetytu na życie. Nie smakowały mu ziemskie pokarmy, które przecież użyźniają niebo. Kiedy czasami go szturchałem żartami, to wpadał w zakłopotanie. Próbował się uśmiechnąć siłą woli. Bałem się, że zrobi sobie krzywdę, bo pogmatwał życie. Nie wiem, jak odszedł. Mam tylko tomik (*Mortes*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1980) z dedykacją: *Cześćkowi z przyjaźnią Józek G. 9.X.81 r.*, podpisaną ołówkiem dobrze zatemperowanym. 46 wierszy. Wśród nich kilka świetnych, jak na przykład *Perswazja: (...) i ja tu siedzę / nie-gorsza-nie-lepsza / w pudetku po zapalkach / patrzę przez okno na kwitnący kurz / popijam sobie różowe mdłości / i to jest to – i to jest już.*

Liryka o wiele lepiej mu wychodziła niż proza – nie mógł się dogadać z sobą i bliźnim.

Lidia Stanisławska przed laty śpiewała jego wiersz pt. *Opowieść o Róży...* (muzyka Leszek Bogdanowicz /właśc. Bogusław Grzyb, 1934–1984). To była piosenka o dziewczynie z szarego miasteczka – z refrenem jak z baru, gdzie się dopiero smutki i nie złorzeczy: *Rózo!*

– *wzdychali wszyscy panowie... / Róży aromat bił im do głowy... / Rózo!*
 – *blągali leżąc pokotem... / Ty do nas wracaj! nie mów że potem! /*
Ciężko nam żyć...

Wspomnienia (2) [Józef Andrzej Grochowina *Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Jerzy Grotowski **(11 VIII 1933, Rzeszów – 14 I 1999, Pontedera)**

Było to na początku lat 70. XX wieku. Czytałem już miesięcznik „Odra”, gdzie śledziłem teksty Tadeusza Różewicza, a przede wszystkim Jerzego Grotowskiego, oraz Rafała Wojaczka; *Z poczekalni* Urszuli Koziół było jak z wysokiej półki.

Byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli (ul. Łaska 61), bo tak zdecydowali rodzice – z takim zdrowiem, jakie mam, muszę mieć fach w ręku. W czasie długiej przerwy zaszywałem się w szkolnej czytelnicy-bibliotece. Tu odreagowywałem to, że minąłem się z powołaniem.

O Jerzym Grotowskim po raz pierwszy usłyszałem w mieście nad Pichną. Nie wiem, kto mi to nazwisko naraił. Do dzisiaj pamiętam jego teksty zamieszczone w „Odrze” (miesięcznik społeczno-kulturalny). Kupowałem wrocławski periodyk, który kosztował 6 złotych. Czytałem *Margines, ale...* Tadeusza Różewicza. Dopiero, kiedy przeczytałem Jerzego Grotowskiego, coś się we mnie otworzyło. Był dla mnie objawieniem i chyba takim guru. Mówił językiem, którego nigdy nie słyszałem. Mogę go nazwać powiernikiem, czyli kimś wiarygodnym, kogo warto słuchać.

Miałem 18 lat i nie wiedziałem, jak sobie z życiem poradzić. A Grotowski podrzucał takie rozwiązania: (...) *Pamiętam, jak w roku 1960 byliśmy w Warszawie i odbyła się tu taka wspaniała prasowa nagonka. Wtedy dostałem list od Byrskich, którzy napisali mi (nie znałem ich jeszcze osobiście): „nie bójcie się, nie reagujcie, będą się z Was*

śmiali, jak człowiek robi coś naprawdę, to inni pękają ze śmiechu". Bardzo ważne zdanie. (...)

(...) jeśli ktoś mówi „kocham wszystkich ludzi”, no, czy on naprawdę kogoś kocha? Przecież kogoś kocha się więcej, kogoś mniej i wtedy można mówić o uczuciu, bo jakże można powiedzieć „kocham wszystkich”. Kochanie wszystkich to jest stan idealnie obojętny, bo „wszystkich” znaczy nikogo i właściwie nie wiem, czy z tego coś może wyniknąć. I zresztą, jak się tak rozejrzeć po historii, okaże się, ile krzywdy zrobili innym ci, którzy niby kochali wszystkich i chcieli ingerować w ich życie.

(...) A czy jest jakaś gwarancja, że niektórych rzeczy, których dzisiaj szukamy, nie będziemy w przyszłości uważać za niedobre? Czy jest jakaś gwarancja? Nie ma takiej gwarancji. Na pewno tak z niektórymi rzeczami będzie. (...) (Jak żyć by można, „Odra” 1972, nr 4).

W nr 5 ukazał się następny tekst pt. *Takim jakim się jest cały*. Mag z *Teatru Laboratorium* ponownie mnie oczarował: (...) *nie sposób dojść do pełni postępując drogą podziałów. (...). Dalej: (...) Jesteśmy jak wielka księga, gdzie wpisywana jest obecność innych istnień ludzkich, dzięki czemu każde doświadczenie istotne staje się namacalne. (...).*

W „Odrze” nr 6 pomieszczono wypowiedź pt. *Święto*. Jednym tchem przeczytałem tekst i zakresliłem cytaty: (...) *ale czemu są smutni, może z czymś się w życiu minęli?* Albo taki: *Kiedy ktoś patrzy na świat, aby widzieć (a wielu patrzy po to, by nie widzieć), dostrzeże to, co słabe i niepewne, pulsuje ku swym narodzinom.*

Po przeczytaniu trzech odcinków z wypowiedziami Jerzego Grotowskiego, byłem poruszony. Pod jego wpływem poszedłem do Domu Kultury przy ulicy Łaskiej 12. Poprosiłem, żeby mi umożliwiono odbyć próbę w salce teatralnej, bo chciałbym przygotować monodram.

Znalazłem się w pomieszczeniu pełnym luster. Zdjąłem koszulę i zacząłem się oglądać ze wszystkich stron. Obserwować. Mówiłem własne teksty. Chciałem się *odkryć*, w myśli zasady przepowiadacza

z Teatru Laboratorium: *Odkrywać siebie, to znaczy siebie odnajdywać, a jednocześnie odkrywać to, co zakryte: odsłonić. Jeżeli chcemy siebie odkryć (jak nieznaną dotąd ziemię), musimy się odkryć (odsłonić, ujawnić). „Odnaleźć – odsłonić”). Jest coś wyjątkowo precyzyjnego w owym podwójnym znaczeniu. (Takim jakim się jest cały).*

Podjąłem pracę według zaleceń Jerzego Grotowskiego. Po kilku godzinach wyszedłem zmęczony i pokonany. Zrozumiałem, że czeka mnie jeszcze sporo pracy. *Że Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;* (Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III, akt I, scena *Improwizacja*).

Dzisiaj do tego wspomnienia się uśmiecham, ale... wtedy słowa twórcy Teatru 13 Rzędów serio potraktowałem. Jak zaklinacza. Dzięki niemu zrozumiałem kilka prawd, które uchroniły mnie przed śmiesznością.

Wypowiedzi Jerzego Grotowskiego pozostały w pamięci z lat 1970–1973. To on uczulił mnie, że *Owoc, jeżeli ma być rzeczywisty, musi być nieprzewidywalny.*

Szkolne reminiscencje dojrzały i wyrosły. Staram się wspomnień nie zaniedbywać – piszę, bo nie wiem, jak je opowiedzieć

Początek bez końca, Wakacyjna uwaga, Balkon, Rąbek tajemnicy, Jerzy Grotowski (11 VIII 1933, Rzeszów – 14 I 1999, Pontedera). Na miarę Wlenia (29) [w:] wleninfo.pl, 21 lipca 2019 roku, niedziela.

Prof. Maria Grzegorzewska (18 IV 1888 – 7 V 1967)

Nie ma kaleki – jest człowiek - to jest najśłynniejszy wyimek z pism prof. Marii Grzegorzewskiej, założycielki Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Nie odnotowuje go antologia Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowicza *Skrzydlate słowa*. Dlaczego? Bo od lat używa się słów – osoba niepełnosprawna. I nikomu nie przychodzi do głowy, czy taka osoba jest człowiekiem. W czasach, w jakich żyła pani profesor, to nie było aż takie jasne, gdy panowały ciemności, że nie starczało tych, co nieśli *kaganek*

oświaty. Ludzie podpisywali się krzyżykiem, więc trzeba było siać wśród zdrowych. Młoda Maria Grzegorzewska, świeżo upieczona doktor filozofii z Sorbony, po spotkaniu z francuskimi upośledzonymi dziećmi, porzuciła historię estetyki na rzecz pedagogiki specjalnej. Stąd zapewne wzięło się hasło, jakie często wykorzystywano na różnych tablicach. Pamiętam, że będąc studentem Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, siedziałem w gmachu przy ul. Szczęśliwicka 40 i zerkiałem na tablicę z hasłem-kursywą. Pewnego razu ujrzałem bazgroły. Podszedłem bliżej i zobaczyłem ślad po niewidzialnej ręce. Ktoś dopisał długopisem wersalik – *KALEKA TEŻ CZŁOWIEK!* Postawił na końcu wykrzyknik zamiast kropki. Zrozumiałem, że NN poprawił patronkę naszej uczelni. Poza tym jednoznacznie określił, że osoba niepełnosprawna ma prawo być niepełnosprawną. I pomoc dla takiej osoby nie jest żadną łaską, ale obowiązkiem. Jeszcze czasami zdarza się, że ktoś wykorzystuje z okazji rocznic wyimek, który – delikatnie mówiąc – jest archaiczny, więc trzeba go opatrzyć przypisem.

W maju 2017 r. minęła 50. rocznica śmierci prof. Marii Grzegorzewskiej. I ani jednego wspomnienia o uczzonej, która robiła wszystko, żeby skrzywdzeni i poszkodowani nie czuli się samotni. A przecież to właśnie prof. Grzegorzewska jako pierwsza w Polsce ujęła się za tymi, o których mawiano – *I tak nic już z niego nie będzie*. Dzieliła smutek, mnożyła radość; dodawała otuchy. Wspominam o tym nie dlatego, że w III RP dzielić się tym, co było przed 1989 roku, uchodzi za odwagę. Czynię to z długu wdzięczności do prof. Marii Grzegorzewskiej, która jest też patronką mojej ulicy. Na Ursynowie, osiedle „Na Skraju”.

Maria Grzegorzewska (18 IV 1888 – 7 V 1967). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28 czerwca 2017 roku.

* * *

Urodziła się we wsi Wałucz pod Rawą Mazowiecką, nieopodal Skierniewic. Jej rodzice dzierżawili majątek. Naukę pobierała w prywatnej szkole w Warszawie. W 1909 roku rozpoczęła studia przyrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim; po zajęciach udzielała korepetycji. Z powodu choroby przerwała studia i wyjechała do Zakopanego, a następnie do Włoch. W 1913 roku wstąpiła na Międzynarodowy Fakultet Pedagogiczny w Brukseli, na którym zaprzyjaźniła się m.in. z Józefą Joteyko (1866–1928). Wybuch I wojny światowej (1914) zastał ją w Warszawie. A potem udało się jej przedostać do Londynu, gdzie kontynuowała przerwane studia. Z Anglii przenieśli się do Francji, gdzie w Paryżu, na Sorbonie, studiowała psychologię. W 1916 roku otrzymała tytuł doktor filozofii za pracę pt. *Studium na temat rozwoju uczuć estetycznych. Badania z zakresu estetyki eksperymentalnej prowadzone wśród uczniów szkół brukselskich*. W przedmowie pisała: *Niniejsza praca została spisana z myślą o doktoracie z nauk pedagogicznych na Międzynarodowym Wydziale Pedagogii w Brukseli, pod kierunkiem Pani dr J. Joteyko. Z racji toczących się wydarzeń, dane mi było dokończyć i obronić tę pracę w Paryżu*. Praca doktorska, mówiąc po literacku, jest antyfoną o zbawiennej roli uczuć estetycznych w życiu. Expressis verbis: *Piękno i dobro stanowią jedno, ta zaś widzialna jedność w naszych uczuciach daje się wyczuć w ruchach i doznaniach. Piękno, zamiast pozostawiać czymś zewnętrznym dla istoty, zdaje się być w oczach*. Cytuję na podstawie polskiego wydania, w przekładzie Haliny Lubicz-Trawkowskiej, Wydawnictwo Akademii Pedagogiki Specjalnej, Warszawa 2012. Młoda doktorantka w części teoretycznej przytacza *dzieła epokowe* ówczesnych badaczy, którzy zajmowali się psychologią dziecka oraz prezentuje wyniki badań, jak uczucia estetyczne można stymulować. Ileż entuzjazmu jest w tym, co pisze: (...) *podstawą wszelkiego rodzaju eksperymentów, jest naprawdę znamienna szczerłość dzieci! Wszystkie one są szczerze, bardzo się starają i przestrzegają wszystkich reguł. Co ciekawsze, to małe dzieci zachowują się najlepiej pod*

tym względem. Zachowują ciszę, czasem zakrywają dłonią zeszyt. Zeszyty pozostają zamknięte, kiedy uczniowie wstają, żeby podejść do obrazu. Tylko badając można dokonać analizy „rozwoju zmysłu estetycznego u dziecka”. Dzięki odczuciom estetycznym dziecka można kształtować gust. Tak pisze w naukowym eseju Maria Grzegorzewska. W bibliografii odnotowała dzieła związane z edukacją estetyczną, dzisiaj już nie znane, poza wąskim gronem historyków zajmujących się filozofią, estetyką, pedagogiką i psychologią. Z wyroku widać, że Maria Grzegorzewska pełnymi garściami czerpała z literatury niemieckiej, francuskiej, angielskiej. Po takim doktoracie zanosilo się na to, że mamy do czynienia z uczoną, która poświęci się pedagogice w ujęciu interdyscyplinarnym. A tu nastąpiło coś na odwyrtkę. Młoda pani doktor postanawia pracować z osobami niepełnosprawnymi. Zostaje nauczycielką w jednej z podparyskich szkół dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Na niwie pedagogicznej odnosi sukcesy. W maju 1919 roku pojawia się w Warszawie, a za nią powraca Józefa Joteyko. Od 1919 roku pracuje w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zajmując się szkolnictwem specjalnym, powołuje kurs seminaryjny dla nauczycieli szkół dla dzieci specjalnej troski. W 1922 roku przekształca kurs w Państwową Szkołę Pedagogiki Specjalnej. W 1976 roku PIPS zmienia nazwę na WSPS (Wyższą Szkołę Pedagogiki Specjalnej), z której w 2000 r. wyrosła APS (Akademia Pedagogiki Specjalnej). I tylko czekać, jak powstanie Uniwersytet Pedagogiki Specjalnej. Oczywiście, że zachowując ciągłość patronacką.

Uskrzydleni cierpieniem

W IX Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących w Łodzi (ul. Obrońców Stalingradu 27, dzisiaj ul. Legionów) podjąłem decyzję, że będę zdawał na dzienne studia w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, ul. Szczęśliwicka 40. A jeżeli mi się nogi i kule powiną, trudno, pójdę do pracy w Spółdzielni Inwalidzkiej „Jedność” w Grójcu (ul. ZWM 32, obecnie ul.

Piłsudskiego), która produkuje popularne mleczne krówki, które trzeba zawijać w papierki. Ostatecznie czekała na mnie robota chałupnicza. Taki oto miałem wybór. Powtarzając za filozofem: *Albo–albo*.

Wbiłem sobie do głowy, że napiszę pracę magisterską pt. *Uskrzydleni cierpieniem*. Oto jaki byłem zdrowy i naiwny. W dziekanacie ociągano się z przyjęciem moich papierów, bo *pedagog specjalny nie powinien mieć żadnej skazy na umyśle i ciele* (sic!). Ale ja postawiłem na swoim i uparłem się jak stary jamnik, choć miałem dopiero 22 lata. Za pierwszym razem zdałem i zostałem przyjęty w poczet studentów studiów dziennych, czteroletnich. I kiedy przyszło do pisania magisterium, zrozumiałem, że mój tytuł pracy jest beznadziejny. Przekombinowałem, niestety. Pan dr Kazimierz Leśniak, który nauczał nas filozofii i logiki, zgodził się, żebym pod jego kierunkiem pisał magisterium. Wybrałem temat z pogranicza filozofii i pedagogiki, gdzie mogłem musnąć o tym, jakie zachodzą relacje. Że potrafię zakopywać głębiej pytania, na które czasami są odpowiedzi. Oczywiście, że nie chodziłem na żadne kolokwia. Wiedziałem, że mam do maja napisać. I koniec. Kropka. Pan doktor, dla mnie to był profesor, znawca starożytności, prosił żebym w pracy uwzględnił pewne nazwiska, choć mówiłem, że te osoby są *hydromyślicielami*, co polewają. W czerwcu odebrałem dyplom magistra pedagogiki specjalnej, obłożony cielęcą bordową skórką. Wróciłem do wsi Kopana, co między Tarczynem a Grójcem. W środku czerwca ojciec mnie spytał: *Synu, podobno jesteś magistrem?* Przytaknąłem głową, więc tatuś dalej dąży – *a może byś mi pokazał swoją pracę?* A ja – tata, maszynopis podałem, jeszcze ścinki leżą pod kuchnią, żeby mama miała czym rozpalić ogień...

Istotnie tak było. Praca magisterska poszła przez komin, czyli z dymem. Wystarczy, że jeden egzemplarz został w bibliotece na uczelni.

W ten oto sposób zostałem niepraktykującym pedagogiem specjalnym. Nie załamało mnie to wcale, bo moja żona *Graszka* przez lata nauczała w ursynowskiej szkole dzieci pisać, czytać, rachować

i dobrych manier. Była nauczycielką z klasą. Za kilka lat córka Ania została absolwentką Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. Poszła śladami *Graszk*, nie zapominając o tym, że jej ojciec minął się z powołaniem. O uskrzydłonych cierpieniem nie wspominam, bo cierpienie nigdy nie uskrzydla, wręcz przeciwnie, ponizła. Prof. Henryk Elzenberg (1887–1967) w książce pt. *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu* napisał coś, co warto wykuć na tzw. blaszkę: *Kocha się właściwie tylko szczęśliwych; na nieszczęściu się tylko żeruje*. O tym doskonale wiedziała prof. Maria Grzegorzewska, o której mawiano, że to *pogański anioł*. A ówczesni studenci z szacunkiem dodawali – *mama*. Z taką notą przeszła przez życie.

Pokoik-muzeum prof. Marii Grzegorzewskiej

To była raczej izba pamiątkowa. Po zachodniej stronie budynku. Tu, gdzie ulica Kopińska. Stara Ochota. Lata 70. XX wieku. W pokoiku było metalowe łóżko nakryte szarym kocem, poduszki, stolik, lampka. *Graszka* mi podpowiada, że na szafeczce stał flakonik z perfumami Chanel N°5. Ja tego nie zauważyłem, co może świadczyć, że się zagapiłem. Jeżeli pani profesor używała takich wonności, to mój entuzjazm do niej jeszcze bardziej wzrasta. Szanuję ludzi, którzy potrafią mieć wyrobiony gust, z którym się nie obnoszą. Czym milczenie dla słowa, tym dyskrecja w życiu.

Prof. Maria Grzegorzewska (18 kwietnia 1888 – 7 maja 1967). Uskrzydleni cierpieniem. Pokoik-muzeum prof. Marii Grzegorzewskiej. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 41–42 [powinno być nr 41]. Konterfekt prof. Marii Grzegorzewskiej narysował Marek Karłowicz z Sejna.

* * *

Zaułek

Ulica Spiska nie w pełni spełnia leksykalne znaczenie słowa zaułek, tj. «mała, wąska uliczka; odnoga większej ulicy bez wylotu».

Ale coś jest na rzeczy, bo to jest taki przebity zaułek-łącznik ul. Grójeckiej z Alejami Jerozolimskimi. Na tej uliczce była siedziba Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej. Pod nr 16. Kiedy w 1976 roku pojawiłem się, żeby zamieszkać w czasie egzaminów do Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, to pomyślałem – żeby to nie był mój ślepy zaułek. Pocieszałem się, że w tym zaułku przecież jest wyjście. To było uboczne na Starej Ochocie.

Józef Czechowicz (1903–1939), absolwent PIPS, w wierszu pt. *zaułek* m.in. taką garść słów sygnął: *tu cicho trawa wśród kamieni / zieleni się niebu jaskółkom / ludzie są dziećmi dużymi / a samolotem ty pszczołko // mieszkam tu w izbie małej jak pudełko / w którą słońce wlewa złociste kubekto (...)*

Tak pisał, dodając w pierwszym wierszu, że to *kamienny kawatek świata / zaułek w kwiatach jak dziewczę*.

Poza tym słusznie zauważył Henryk Sienkiewicz (1846–1916), że ... *w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego nie ma na wsi (Rodzina Połanieckich)*.

Ktoś może się obruszy i powie, że przesadzam z tym poetyzowaniem ulicy Spiskiej, która jest otwarta i nie tylko wiatr może hulać jak przeciąg. Nie będę się tłumaczył. Wystarczy, że o tym pisał po mistrzowsku mój starszy kolega po piórze, który słusznie zauważył, że *Tu nie chodzi o talent, tylko o to, czy piękne kłamstwa prawdziwie grają*.

Ci, którzy będą kręcili głową, że przesadzam, chciałbym pocieszyć – ulica Spiska to taki warszawski zaułek na przestrzał.

Współpracownicy

Prof. Maria Grzegorzewska miała tytuł współpracowników, o których się wspomina przy różnych okazjach. Nie spotkałem pracy, gdzie by odnotowano alfabetycznie i opatrzone przypisem tych, co współuczestniczyli w dziele pedagogiki specjalnej. Jak ze-
rkam na osoby, to aż się nie chce wierzyć, że z PIPS związani byli

tacy ludzie, jak prof. Henryk Elzenberg czy dr Janusz Korczak (właśc. Henryk Goldszmit, 1878 lub 1879–1942). Dr Korczak prowadził wykłady, wydał książkę pt. *Jak kochać dziecko*. Jego dewizą było: *patrzeć, wiązać, tłumaczyć, wnioskować*. Warto odnotować, że to on sformułował tezę: *szpital nie oskarża, nie karze, ale bada i leczy*. Podobno był malkontentem. Miał pogodę ducha dla dzieci.

Wspominam o współpracownikach, bo trafnie o nich mówi przysłowie, że z kim przystajesz, takim się stajesz. Mówiąc wprost prof. Marię Grzegorzewską otaczali ludzie, którzy z troską pochylali się nad chorymi dziećmi. A jeżeli w ich oczach pojawiały się łzy, to były to łzy radości, które łatwo się przeciskają przez ucho igielne. I nie wiszą jak urwana (sucha) nitka...

Debiutancka książka, Zaulek, Współpracownicy. Z luźnych karteł, „Las Kabacki. Ekologia, Literatura. Pismo młodzieży szkolnej” 2019, nr 1 (styczeń–marzec); sygn. Czesław M. Szczepaniak

Dziękuję

Często gęsto cytowano myśl prof. Marii Grzegorzewskiej (18 IV 1888 – 7 V 1967), że *Nie ma kaleki – jest człowiek*. To motto Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej, Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej, Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie przy ul. Szczęśliwicka 40.

W XX wieku już się obruszali, że nie powinno się używać takiego słowa jak kaleka. I słusznie, bo jest pejoratywne. Zaproponowano zamiast tego jednego wyrazu dwa – osoba niepełnosprawna. Nie wiem, dlaczego prof. Grzegorzewska nie poprawiła tego, bo gdyby tak uczyniła, to zapewne jej myśl po korekcie: Nie ma osoby niepełnosprawnej – jest człowiek, zyskałaby statut myśli skrzydlatej. Uczona profesor przyzwyczaiła się i mogła powiedzieć – napisałam com napisałam. Nie wiem, czy jej współpracownica prof. Janina Doroszevska (1900–1979), żona prof. Witolda Doroszevskiego (1899–1976), nie sugerowała cyzelunku. Mogła to uczynić dyskretnie, wręczając *Słownik języka polskiego*, w którym odnotowano słowa

oraz cytaty z literatury od XVIII do XX wieku. Oczywiście, że wiele z tych słów odeszło do lamusa i zastąpiono je bardziej ludzkimi. Oto garść przykładów z pedagogiki specjalnej:

bałwan – «pogardliwie o człowieku głupim, durniu»;

debil – «człowiek cierpiący na niedorozwój umysłowy, wywołany czynnikami chorobowymi»; łac. debilis=wąty, bezsilny. Jako przykład podano: *Do szkoły specjalnej typowane są nie tylko debile, ale i dzieci nerwowe oraz trudne pod względem wychowawczym.* („Głos Nauczycielski” 1958, nr 18);

głupiec – «człowiek głupi, dureń»;

idiota – «człowiek upośledzony umysłowo, niedorozwinięty, pozbawiony inteligencji, głuptak; potocznie: głupiec, bałwan, tuman, kretyń»; łac. idiota z greckiego idiotēs=prostak;

imbecyl – «osobnik niedorozwinięty umysłowo, głuptak»;

kretyń – «człowiek niedorozwinięty umysłowo i najczęściej także fizycznie; idiota, obelżywie: człowiek głupi, tępy, ograniczony»;

ślepiec – «człowiek ślepy, niewidomy»;

tuman – potocznie «człowiek tępy, ciężko myślący, tępak»; rusycyzm wzięty z tureckiego tuman.

Cytuję tylko dlatego, żeby można było sobie prześledzić historię słów, którymi tak nieudolnie dokuczano tym, co byli skrzywdzeni i poniżani. Prof. Witold Doroszewski latami uczułał w poradnikach językowych oraz na antenie polskiego radia, że *W każdej dziedzinie życia należy się opierać na wartościach pozytywnych, a nie negatywnych, należy więcej dbać o to, by krzewić dobro, niż o to, by tępić zło.*

To o czym piszę, wcale nie oznacza, że od razu trzeba zmieniać tłumaczenia, np. Dostojewskiego *Idiotę* na *Osoba upośledzona*. Bez przesady! Są odstępstwa od reguły, które nie rzązą, bo dotyczą tylko wielkich dzieł, jakie pisał okrutny talent, Fiodor Michajłowicz Dostojewski (1821–1881).

Uważność, Dzięki, Wysokie obcasy, Wyssane, To nie ta książka!, Ściągawka, Z drugiej strony, Zaprojektowane po ludzku, Wirtualna

peregrynacja. Z luźnych kartek, „Las Kabacki. Ekologia, Literatura. Pismo młodzieży szkolnej” 2019, nr 2 (kwiecień–czerwiec).

* * *

Siedziba, leksykalnie rzecz biorąc, to «miejsce, gdzie ktoś mieszka lub stale przebywa; też: miejsce, gdzie znajduje się jakaś instytucja». Pora odnotować miejsca, gdzie rozrzucono uczelnię pedagogiki specjalnej. Materiały na ten temat są rozdrobnione. Nie ma syntetycznego ujęcia tej uczelnianej poniewierki.

Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej (PIPS), powstały w 1922 roku, otrzymał lokum w gmachu Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie przy Placu Trzech Krzyży 4/6. Potem został przeniesiony do Alej Ujazdowskich 20, a następnie na ul. 3 Maja 18. Po 1945 roku został przeprowadzony do gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Juliana Smulikowskiego 6/8; na Powiślu, łączy ul. Dobrą z ul. Tamka. Od 1948 roku siedziba wyższej uczelni mieściła się przy ulicy Spiskiej 16, na Starej Ochocie. Budynek powstały w 1936 roku w czasie 2. wojny światowej został zniszczony.

Dr Maria Grzegorzewska w piśmie z 7 października 1948 roku do Warszawskiej Dyrekcji Odbudowy m.in. pisała: (...) *w związku z utrudnioną cyrkulacją ulicy Spiskiej wskutek tego, że u wylotu jest prawie do połowy zatarasowana gruzami, zwracam się do Warszawskiej Dyrekcji Odbudowy z uprzejmą prośbą o wzięcie pod uwagę warunków pracy Instytutu i możliwie szybkie odgruzowanie, uporządkowanie i zaznaczenie nazwy ulicy Spiskiej*. Nie bez powodów mawia się, że ten budynek nazywają *matecznikiem* uczelni, bo w nim pracowała prof. Maria Grzegorzewska i mieszkała do końca swojego życia. W tej kamienicy był dom studencki.

W 1959 roku Uczelnia pozyskała budynek szkolny przy ulicy Szczeńliwickiej 40, wybudowany ze środków Ministerstwa Oświaty przez Dyrekcję Budowy Osiedli Robotniczych Warszawa-Południe. Był to typowy gmach szkolny, jaki stawiano z ówczesnym trendem. A więc: klasy, długi przestrzenny holl, schody, sala gimnastyczna

oraz szatnia w piwnicy. Dwupiętrowy gmach otoczony zielenią i niezbyt ruchliwymi ulicami. Z czasem okazało się, że jest za ciasny. Studenci musieli korzystać z różnych miejsc porozrzucanych w Warszawie: szpital dziecięcy przy ul. Działdowskiej (Wola), Akademia Medyczna (COLLEGIUM ANATOMICUM, ul. Oczki 8-4, Ochota), szkoła podstawowa przy ul. Wawelskiej (obok Trasy Łazienkowskiej), zajęcia sportowe prowadzono przy ul. Bełskiej (Mokotów). Ciasnota spowodowała, że podjęto decyzję rozbudowania infrastruktury. Powstały budynki zwane A, B, C. Nowoczesne. Według światowych standardów budownictwa. Akademia Pedagogiki Specjalnej od 2008 roku na własność pozyskała nieruchomość przy ul. Spiskiej 16, w której zakwaterowano Instytut Edukacji Artystycznej APS. Poza tym wynajmuje na „Jelonkach” bazę domów studenckich. [Drewniane baraki tworzą Osiedle Przyjaźń w dzielnicy Bemowo, między ulicami Górczewską, Powstańców Śląskich, Jana Olbrachta oraz linią kolejową]. Studenci i kadra ma komfortowe warunki do pracy i nauki, a nie siermiężne, jak za dawnych czasów. W XX wieku.

Dorota Jankowska we wspomnieniu pt. *Kultura współbycia – jej tradycje nadzieje kontynuacji w murach Akademii* lekko przesadza, że WSPS lat 80. mieściła się w starym typowym dla tego czasu «socjalistycznym» otoczeniu krzywego ogrodzenia i nierównych chodników. Wewnątrz znajdowały się sale (a właściwie – klasy), ze szkolnymi stolikami i krzesłami, wyposażone przede wszystkim (zazwyczaj tylko) w szkolne tablice i kawałki kredy. Gnieźdząca się w suterynie biblioteka i obok mikroskopijna czytelnia, w której 15 czytających już robił się tłok. Bufet zwany wśród studentów «chlewem», zapewne w związku z faktem wszechobecnych (tzn. walających się na wszystkich stolikach) stert fajansowych kubków i talerzy.

Tę biedną, bardzo biedną w porównaniu z dzisiejszą przestrzenią nie nazwałabym przecież opuszczoną czy niczyją. Pamiętam ją jako miejsce pozostające w naszym posiadaniu. I w tym «obleganiu» zniszczonych ławek przed wejściem do budynku w słoneczne dni, w tym sło-

czeniu w bardzo niekomfortowych salach, pochylaniu się w słabo oświetlonej czytelnicy dwoma głowami nad jedną książką, w tym «koczowaniu» całymi grupami w bufecie/«chlewie», w którym spotykali się absolutnie wszyscy: i profesorowie, i studenci, w tych wszystkich sytuacjach to miejsce – należało w pełni do nas. (...).

Taka jest historia uczelni pedagogiki specjalnej. Na pewno była atmosfera na miarę ówczesnych czasów.

Było, minęło.

Najważniejsze, że APS ma swoją okazałą siedzibę. Wszyscy mogą się skupić pod jej dachem. Lata poniewierki zapracowały na to, że doczekaliśmy uczelni na miarę akademii.

Oby kiedyś stała się Uniwersytetem Pedagogiki Specjalnej im. prof. Marii Grzegorzewskiej, gdzie mnoży się wiedzę, która dzieli wszelkie podziały.

Marian Grześczak (22 III 1934 – 27 I 2010)

W zbiorach mam od niego jeden list (z 1976 roku). Spotykałem go w Redakcji „Tygodnika Kulturalnego” (był zastępcą redaktora naczelnego). Siedział w pokoju na IV piętrze, ul. Grzybowska 4. Kilka razy rozmawialiśmy. Była to krótka wymiana zdań, bo pan Marian słynął z lapidarności. W 1979 roku zaskoczył mnie – przyznając półroczne stypendium w konkursie poetyckim im. H. Cegielskiego w Poznaniu.

Poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz, antologista, laureat prestiżowych nagród, dyplomata, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Najbardziej znany kioskarcz w Polsce (w „Twórczości” prowadził *Kiosk*, sporadycznie redagował *Przegląd zagraniczny*). Bohemista z wykształcenia, a z zamiłowania smakosz języka polskiego. Nałogowy kibic. Opracował antologię poetycką pt. *Stadion ze słów. Sport w poetyckiej polszczyźnie* (1985) oraz *Atena strząsająca oliwki* (2003). Laureat pierwszych nagród w konkursach poetyckich ogłoszonych z okazji Igrzysk Olimpijskich w Meksyku (1968) i w Monachium (1972). To się czytało jednym tchem i z podziwem: *Sport*

najpiękniejszy jest przez to, co ma w sobie w środku. Publiczność uczestnicząca w widowiskach stadionowych najchętniej, i z konieczności, ulega widowiskowej zewnętrzności sportu. Zawodnicze stany ducha i serca nie mają dla niej większego znaczenia. Grunt, żeby zawodnik wygrał. Jak przegra, spotyka go litość lub drwina. Mnie, od razu to przyznaję, nie interesuje specjalnie wygrana lub przegrana. Interesuje mnie przebieg, gra, jej trwanie. Historie stadionów mnie śmieszą, a sprawozdawcom powtarzam zawsze, żeby nie uczyli ludzi niecierpliwości. Środek sportu to jest właśnie wielki spokój i najcierplivsza cierpliwość.

Pisał smacznie, długą frazą, z pasją i znajomością rzeczy. To się tak czytało i przecierało oczy ze zdziwienia. Oto liryk: *Złoto się wahało, / czy wyprzedzić srebro. / Srebro się wahało, / czy wyprzedzić złoto. / Brząz się chwilę zawahał / i ni złotu, ni srebru / nie dał na wygraną (Przypowieść o trenerach).*

W jego literackich sprawozdaniach było zawsze dużo pięknośtek, w których śmigały *wiewiórki słów*; Atena strząsała oliwki do fartucha ziemi.

Teksty Mariana Grześczaka zawsze były *wypucowane jak but, wygłaskane jak klamka u drzwi, dokładne jak szwajcarski zegarek.*

Napisał wzruszający elegijny tom pt. *Kwartal wierszy* (1980).

Latami uczuła, że *Prawdziwa poezja, jak prawdziwa prawda / zawsze uskłada się sama.*

Wspomnienia (2) [Marian Grześczak (22 III 1934 – 27 I 2010) *Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Kazimierz Grześkowiak (4 III 1941 – 12 I 1999)

Pozostawił wiele hitów, które na dobre się zadomowiły: *Od-mienieć, Panny z Cicibora, Kawalerskie noce, Chłop żywemu nie przepuści* (w Urzędzie Stanu Cywilnego w Opolu Lubelskim niejedna para prosiła, żeby zagrano tę piosenkę). W jego spuściznie znalazł się

też maszynopis powieści *Obszczymurki* na temat alkoholu, którego nigdy za kołnierz nie wylewał. O Grześkowiaku krążyło wiele pikantnych anegdot, które nie przytoczę, bo powaga śmierci nie zezwala na odstępstwa od sztuki funeralnej. W stosownym czasie powtórzę. Raz się tylko spotkałem z Kazimierzem Grześkowiakiem. I było to w Olecku (sic!). Pozostały radosne wspomnienia.

To był mądry człowiek, którego starano się niepoważnie słuchać. Grześkowiakowi nie chodziło o tani śmiech. Pod płaszczykiem wygłupu, skrywał wszystkie swoje niepogody i rozwichry. Wspomnienia wspomnieniami. Dla tych, którzy dbają o dietę, polecam w klubie *Hades* (Lublin) golonkę á la Grześkowiak (czyli golonka gotowana w wódce). A jak golonka, to i wódeczka. Zmrożona ciepłym wspomnieniem. Przecież nie święci garnki lepia. Z gliny.

Kazimierz Grześkowiak (1941–1999). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–25 grudnia 2002 roku.

Hamilton zob. Jan Zbigniew Słojewski

H

Adam Hanuszkiewicz (16 VI 1924 – 4 XII 2011)

Nie byłem na żadnej przez niego reżyserowanej sztuce teatralnej. Znałem go tylko z telewizji i wypowiedzi prasowych. Był bardzo prężnym i aktywnym reżyserem, aktorem, pedagogiem, polemistą. Mówił z ogniem, jak człowiek, któremu o coś chodzi w teatrze (i nie tylko!). Miał swoje zdanie i okopy literatury. Oczywiście, że był przesiąknięty poezją. Posiadał specyficzne poczucie humoru. Zapewne często się denerwował i sięgał nie tylko po papierosa.

Kiedy w 1989 roku ukazała się książka Bolesław Leśmian, *Poezje wybrane* (Biblioteka Poetów, Wybór i wstęp Czesław Mirosław Szczepaniak, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989), to jeden z gratisowych egzemplarzy wysłałem, jako dowód, że go cenię.

Po kilkunastu dniach otrzymałem lapidarne podziękowanie:

Serdeczne dzięki za tomik Leśmiana. Uważam go, jak i Pan chyba za Pierwszego po Norwidzie I i ostatniego I.

Ściskam dłoń

Adam Hanuszkiewicz

I było to dla mnie zaskoczenie, bo tylu ludzi znanych z telewizji, radia i pierwszych stron gazet nieraz obdarowywałem książkami, a żaden z nich nawet mi nie raczył poświadczyć, że przesyłka doszła. Że nie odleciała na jaskółcze szlaki. Być może za dużo wymagam?

Życzliwość i świetny komentarz, ujęły mnie.

Kiedy odkładałem kartkę pocztową do teczki z tasiemkami, pomyślałem: *Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą. / Niełatwą, bo nie na tym kończy się, jak nogą zręcznie wierzgnać, z uśmiechem witąć lada kogo;* (Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz. Gospodarstwo, Księga pierwsza*).

Adam Hanuszkiewicz (16 VI 1924 – 4 XII 2011). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17–18 grudnia 2011 roku.

Jerzy Harasymowicz (24 VII 1933 – 21 VIII 1999)

Za życia postać znana. Po śmierci zapomniany. Nie wiem, za jaką karę. To był poeta przez 24 godziny. Wierszem skreślał to, co przeżył. (Można sobie darować prozę i wypowiedzi z różnych półek ówczesnego życia). Wydał 43 tomiki wierszy oraz 15 wyborów liryki. Wystarczy tylko zacytować tytuły, żeby z grubsza wiedzieć o jego literackich upodobaniach: *Cuda*, 1956, *Powrót do kraju łagodności*, 1957, *Wieża melancholii*, 1958, *Ma się pod jesień*, 1962, *Podsumowanie zieleni*, 1964, *Budowanie lasu*, 1965, *Bar na Stawach*, 1972, *Polska weranda*, 1973, *Cudnów*, 1979, *Wiersze beskidzkie*, 1986, *Lichtarz Ruski*, 1987, *Ubrana tylko w trawy połonin*, 1988 i inne.

To nie był liryk-drapak, ale ktoś, kto poprzez łagodność chciał dotrzeć *via manowce* do krainy pełnej zakapiorów. Budował las ze

świętych drzew i był w tym szychą. Z traw połonin nie wykrczał mowy-trawy i nie ukrywał: *A może mnie denerwuje już atomizacja słowa i Przybóś Julian / A może kłódka do mej poezji to jest liścia zielona kłódka (Wakacje)*. Ponieważ pisał bez interpunkcji, więc troszkę utrudniał, ale... coś jest za coś. Albo kawa, albo biszkopcik.

Harasymowicz lubił rozrzucać piękności, więc co rusz się trafia słowna gratka. Uprawiał szybkie pisanie – potrafił skrobnąć na każdy temat: *Nawijam sobie powoli / Świat zielony na palec (Południe)*. Był oszołomiony dzikością natury: *Z rozszumiałej duszy zieleni / Dobrze się muszę wychylić / Żeby wiedzieć co mówi człek / Jak go wielce skrzywdzili (Leśna)*.

To, co schodził po ziemi, z chmurami zestrajał. Wywoływał wiersze z lasu i łąk; nie szyfrował topografii, gdzie jest mu po drodze. Tym, którzy mieli mu za złe, że dłubie w obłokach, nie pozostawał dłużny: *Do góry nogami czytam / Wielką gazetę nieba (Wieczór)*.

I mógłbym cytować, bo to rzadkość w powojennej polskiej literaturze – wiersze jak wydarzenie.

Ze zdjęć widać, że to był człowiek cichy, choć miał swoje zdanie – siedł pod prąd, więc uważnie słuchał. Spokój też ma niepokój.

Ponieważ lirykę kroił sercem, więc wcale się nie dziwię, że pojawiały się z czasem problemy kardiologiczne, których nie bagatelizował: *I maki bardzo się burzą / Jak serce kiedy czasem / Wierszy w sercu za dużo*.

Co stoi na przeszkodzie, że od lat nie wydaje się wierszy Jerzego Harasymowicz?

Nie wiem.

Wystarczy, że nie mam żadnych wątpliwości, że poeta krakowski, urodzony w Puławach, pisał *Ostatnie poezji Lelum Polelum*.

Wspomnienia (2) [Jerzy Harasymowicz (24 VII 1933 – 2I VIII 1999) *Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Julia Hartwig (14 VIII 1921 – 14 VII 2017)

Poznałem kiedyś na wernisażu jej brata, Edwarda Hartwiga (6 IX 1909 – 28 X 2003), fotografa; świetnie robił zdjęcia, takie z brzaskiem. Pamiętam jedno – mleczarki z kankami. Panią Julię nieraz mijałem w Domu Literatury w Warszawie, gdzie byłem gościem w bibliotece. Lata 80. i 90. XX wieku. Przechodziliśmy obok, na drewnianych, skrzypiących schodach. Nieraz kłaniałem się pani Julii, która szła z mężem, panem Arturem Międzyrzeczkim (6 XI 1922 – 2 XI 1996). Byli małżeństwem od 1954 roku, w którym zawiązano mój pępek w Grójcu. To był poetycki związek małżeński. Pan Artur, były żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, szedł napięty jak struna. Elegancki. Kłaniałem się. Nigdy się nie zatrzymali. Nosili wysoko głowę. A ja jak ten (pełen) kłos. Z ziarnem i plewami. Czasami się do nich lekko uśmiechałem. Nie dlatego, że byłem ich czytelnikiem, ale... miałem pietra, bo trochę miałem obaw, czy w kieszeni pana Artura nie ma prochu albo granatu, z żołnierzami lepiej zachować ostrożność.

Odszedł pan Artura, a za nim pani Julia, którym zawsze się kłaniałem, gdy szedłem po dywanie do biblioteki w Domu Literatury. Przyspieszali. Wspomnienie z dawnych lat. Z Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu 87/89. Z narożnej kamienicy (Aleksandra) Johna.

Laska wujka Tadka, Pani Julia i pan Artur, Spotkanie na ulicy, Ze sztuki funeralnej. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 44.

Stephen Hawking (8 I 1942 – 14 III 2018)

15 czerwca 2018 roku pochowano w opactwie westminsterskim w Londynie Stephena Hawkinga, specja od spraw nieziemskich. Jego prochy złożono, tam gdzie spoczęli m.in. Isaac Newton (1642–1727) i Charles Darwin (1809–1882). Wszystko odbyło się dyskretnie i zgodnie z zachodnią sztuką funeralną.

Stephen Hawking (8 I 1942, Oxford – 14 III 2018, Cambridge) – astrofizyk, kosmolog, fizyk teoretyk. Od 21. roku życia zmagął się z ALS (nieuleczalna choroba, niszcząca komórki nerwowe odpowiedzialne za pracę mięśni, w tym także mięśni oddechowych). Od lat poruszał się za pomocą elektrycznego inwalidzkiego wózka, a porozumiewał się za pomocą syntetyzatora mowy. Był to najdłużej żyjący pacjent ze stwardnieniem zanikowym bocznym.

Urodził się w rocznicę śmierci Galileusza (1564–1642), a zmarł w urodziny Alberta Einsteina (1879–1955) i światowego Dnia Liczby Pi.

Wystarczy przytoczyć tytuły niektórych książek, żeby zorientować się, jakie zagadnienia były w jego polu zainteresowań: *Krótką historia czasu*, *Teoria wszystkiego, czyli krótka historia Wszechświata*, *Wszechświat w skorupce orzecha*.

Jego dorobek naukowy jest tak ogromny, że aż nie chce się wierzyć, że dokonał tyle ktoś, kto z ludźmi porozumiewał się za pomocą grymasu policzka, który był rozpoznawany przez czujnik zamontowany na oprawce okularów.

To był dociekliwy gość, o swoistym poczuciu humoru. Kiedy go pytano, co to jest czarna dziura?, odpowiadał – *Coś, co masz w czarnej skarpetce*.

Przykład pochówka powinien być wzorem, jak należy traktować kogoś, kto zadawał pytania tak odległe w czasie i przestrzeni, na które wszechświat odpowiada Ziemi. Milczeniem.

Spec ds. nieziemskich – tekst opublikowano na stronie internetowej „Gazety Wyborczej” pt. *Kiedy odchodzi spec ds. nieziemskich* w: <http://wyborcza.pl/7,95891,23558198,kiedy-odchodzi-spec-ds-nieziemskich.html>, 16 czerwca 2018 roku.

Heródek

Właściwie Karol Wójciak, urodzony 19 października 1892 w Lipnicy Wielkiej na Orawie – zmarł 1 września 1969. Pastuch, o którym mówili – *głuptok*. Samorodny rzeźbiarz, odmieniec,

muzyk weselny, nosił się biednie (na głowie rogatywka, a na grzbiecie płaszcz, co miał przepastne kieszenie). Czasami zakładał na goły tors 2–3 krawaty. Był na każdym pogrzebie, ścisnął w rękach krzyż, który potem wbijano w grób. Odwiedzał każde nowo narodzone dziecko, żeby wyszeptać życzenie i błogosławić oseska. Kiedy Czesława Karlak, lipnicka nauczycielka, urodziła najstarszego syna, stanął i rzekł: *Żebyś rósł jak drzewo w lesie, żebyś był lotny jak ten ptaszek, wygadany jak kukułka, żebyś od swej kochanej mamusi, jadł tak pięknie jak ja*. Po czym zjadł pączka.

Rzeźby, podmalowane i anielskie, ustawiał na łące, wierzył, że jak ludzie je obejrzą, to przeobrażą się i będą żyć pobożnie. Większość jego prac poszło do pieca, więc często się denerwował, tylko część została w Muzeum.

Ludowy rzeźbiarz, co miał swój kąt w stajniach, szopach, oborach przy gospodarzach, po śmierci doczekał się wystaw, monografii, trafił na okładkę wrocławskiej „Odry”, w której pomieszczono notę (Agnieszka Sabor, *Święci o wielkich oczach. Sygnały*, „Odra. Miesięcznik” 2020, nr 5).

Nasyp. Na miarę Wlenia (72) [w:] wleninfo.pl, 24 maja 2020 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-72/>

Jan Huszcza (24 XII 1917 – 26 VI 1986)

Za życia postać znana, nie tylko w Łodzi. Jerzy Wilmański, popularny Widok z tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy”, m.in. o nim pisał, że *Był wybitnym poetą, ale nie miał szczęścia do klaki za życia, ani do klaki pośmiertnie. Dziś jest zapomniany (...)*. I to by się zgadzało.

W czasach, kiedy mieszkalem w Łodzi, lata 1973–1976, kilka razy spotkałem starszego pana z krzaczastymi brwiami w rogowych okularach. Z papierosem bez filtra w czarnej lufce z orzecha. Zachodziłem na spotkania autorskie i słuchałem wierszy, które stanowiły zaprzeczenie jego wyglądu, niestety. Ilekroć miałem zły humor,

tylekroć szukałem, gdzie jest spotkanie z poetą-satyrykiem. I kolejny raz byłem rozczarowany. Kilka razy go spotkałem obok Domu Literatów (kolanko ul. Mickiewicza 8 i al. Kościuszki). Nigdy mi się nie śnił, więc nie wiem, co oznacza taki sen.

Zanim pojawią się późne wnuczki i wnuki jego wierszy, skreślę – Jan Huszcza przetrwał w karykaturze, a więc – na serio potraktował go Stanisław Ibis-Gratkowski (1923–1988), rysownik z dwutygodnika „Karuzela”, oraz Jerzy Wilmański, któremu poeta zdradził, skąd się u niego brał pociąg do... wódeczki, która rozgrzewa, a nie przytula. Przypomnę, że jako student Huszcza przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie pił klina. I pech. Spotkał nad Wilejką Białorusina, który miał *matpki*, i tak go namawiał, że się skusił. Jan Huszcza wytłumaczył to w sposób pedagogiczny: *No i tak się to zaczęło, tak mnie swołocz załatwił na całe życie....* Cytuję dla tych, którzy nie wiedzą, jak zostać abstynentem.

Oczywiście, że nie wiedziałem o tej przygodzie studenckiej, będąc uczniem Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących nr 9 w Łodzi przy ul. Obrońców Stalingradu 27 (dawniej ul. Konstantynowska, ul. 11 Listopada, a dzisiaj ul. Legionów).

Dla mnie Jan Huszcza był jak krople liryczne, wymieszane z satyrą. Dzięki niemu – i nie tylko – minąłem się z depresją. A przy okazji uodporniłem się na smuteczki, co po Łodzi chodzą. Nie tylko po Piotrkowskiej, ale wbiegają tam, gdzie stare kamienice i bramy, co prowadzą na podwórka z trylinką. I rozchodzą się jak buty, co czasami *piją*.

Napisałem, żeby to zostało jak dymek, który zawisł nad karykaturą poety. Poza tym pozostały zszywki gazet, które nie zacierają pamięci. Może to, co piszę, zachęci, żeby iść do biblioteki, aby sięgnąć po druki zwarte i prasę z PRL-u. Na koniec dodam, że *Huszcza* po ukraińsku znaczy tyle, co *rzesza*, *tłum*, *thuszcz*.

Wspomnienia (2) [Jan Huszcza (24 XII 1917 – 26 VI 1986) *Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Władysław Huzik (18 V 1945 – 13 IX 2004)

W 1973 roku, kiedy to byłem uczniem Zasadniczej Szkoły Elektrycznej w Zduńskiej Woli, naszły mnie chwile liryczne, tj. zacząłem pisać wiersze. Z powietrza. A potem przepisałem na maszynie do pisania, a następnie pociąłem w paseczki. Ścinki wrzuciłem do niebieskiej koperty. Zakleiliśmy i wysłałem do redakcji dwutygodnika „Nowy Medyk”. A potem czekałem, co z tego wyniknie. Co dwa tygodnie peregrynowałem do cichej ul. Dąbrowskiego, żeby kupić nowy egzemplarz dwutygodnika, bo tylko tam były dwa numery pisma z ul. Oczki 5, co na II piętrze miał dwa pokoje.

W numerze 12 „Nowego Medyka” debiutowałem wierszami w *Kawiarni poetyckiej*, którą prowadził Władysław Huzik. Na przedostatniej stronie zamieszczono: inc. *U kogo mogę się wypowiedzieć?, Kto lubi piwo?, Zawsze chwila przyjemna*, inc. *szukać znaczy szukać siebie*. Nad wierszami ukazała się notka: CZESŁAW MIROŚLAW SZCZEPANIAK – debiut. *Ma 19 lat, jest uczniem szkoły średniej, po przebytej w dzieciństwie chorobie polio kilkanaście lat spędził w różnego rodzaju zamkniętych zakładach leczniczych. Mieszka w Zduńskiej Woli. Najlepszy z nadesłanych wierszy „CZY TADEK MACHNOWSKI ZNALAZŁ MIEJSCE, GDZIE NA DŁUŻEJ ZAGRZEJE?” rozsądza objętością ramy „Kawiarni”, w pozostałych – pewne niedociągnięcia formalne są oczywiste. Drukujemy jednak. Prorokujemy z nich wielki talent lub szaleństwo.*

Kiedy przeczytałem te słowa, to poczułem dreszcze na ciele. Nogi się pode mną ugięły. Musiałem dobrze kule trzymać, żeby nie upaść na zduńskowolski bruk. Zamiast poczuć dumę debiutancką, zaszyłem się w sobie. Wszystko mnie zaczęło zawstydzać, i w ogóle. Nigdy nie potrafiłem obnosić przed światem tego, że piszę. Twórczość zawsze uważałem za coś bardzo intymnego. Jak ablucja albo jedzenie. Odsłonięcie rąbka tajemnicy traktowałem jak nadużycie. Poza tym zrozumiałem, że pewne słowa brzmią czasami niczym przeznaczenie. Warto się długo nad nimi zastanowić, żeby potem nie mieć do nikogo pretensji. Nie powinno się szastać słowami, za-

równy w gniewie, jak i w radości. Ponieważ redaktora Władysława Huzika nie traktowałem jak proroka znad rzeki Jordan, więc mogłem sobie na skrzydełkach jaskółek pisać i żyć nad rzeką Pichną, która płynęła przez sympatyczne miasto *Pod Topolami*.

Skruszony wróciłem do internatu przy ulicy Łaskiej 61. Nikomu o tym nie powiedziałem. Zacząłem pisać i wysyłać do pocztomistrza kolejne teksty. A Władysław Huzik obiecywał, że muszę czekać w kolejce. Czytałem jego reportaże literackie. Wyczuwałem, że nad nim wiszą czarne chmury. Zaczęto drukować głosy niezadowolenia.

W 1974 roku Władysław Huzik opublikował artykuł pt. *Gusta i gusta. Okolice Kultury*, w którym m.in. pisał: (...) *Gdybym miał wprowadzić cenzurę, chociażby obyczajową, nie debiutowałoby u nas m.in. kilka młodych i subtelnych panienek, które przecież debiutowały. Nie mógłbym wtedy publikować wierszy Wł. Antkowiaka (nauczyciel), M. Szczepaniaka (uczeń i pacjent sanatoriów), nie wydrukuję już (jeśli ma się zmienić sposób prowadzenia „kawiarni”) wierszy: Salomonowicza (student ATK), Siwka (fil. polska), Bruno-Milczewskiego (jeden z najwybitniejszych twórców młodego pokolenia), ani wielu innych, których utwory wytypowałem do druku w najbliższym czasie. (...) („Nowy Medyk” 1974, nr 5).*

W 1976 roku, kiedy byłem studentem w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, chyba Władek zorganizował mi spotkanie autorskie w klubie Proxima (ul. Żwirki i Wigury). Przychodzę do klubu, a tu widzę drzwi zamknięte. Ktoś zdecydował, żebyśmy poszli do akademika, tj. pokoju, gdzie mieszka przyszły kwiat polskiego dziennikarstwa. W żeńskim akademiku zebrali się trochę przypadkowych osób. Zacząłem czytać wiersze, które się znalazły w spisie treści tomiku pt. *Mieliśmy Białe ściany* (Iskry, 1977). Władek był dumny. Nawet mi powiedział, że słuchał tego Jerzy Urban, co pisał ze studentkami tekst (Kibic – „Kulisy”) i podobno, tak mówił Władek, powiedział, że *coś ze mnie będzie*. Nie dociekałem, co miał na myśli, bo i po co?

Chwilę powspominaliśmy i odszedłem. Nawet nie upomniałem się o honorarium.

Władysława Huzika nieraz spotykałem w przypadkowych miejscach na warszawskich ulicach. Z nieodłącznym papierosem w czarnej jak komin fifce. Z książkami, którymi handlował. To był taki handel obwoźny. Miał coraz grubsze szkła w okularach. Ilekroć go widywałem, tylekroć byłem zadumany nieco. To był rasowy dziennikarz, niezły pisarz, talent, a jakoś tak mu nie wychodziło w życiu. Co rusz się żenił i rozwodził. Czasami sobie myślałem, że należy do licznej rodziny, co ma upodobania bycia panem młodym albo panią młodą. Zmieniał miejsca zamieszkania jak rękawiczki. Zupełnie nie mogłem się połapać, gdzie żyje i co robi. Kiedy go pytałem, jak mu się mieszka na ulicy Nutki (Ursynów), spojrzał na mnie i powiedział, że już od lat tam nie mieszka, bo się rozwiódł.

To on „Nowemu Medykowi” nadawał szlif literacko-dziennikarski, a nie Jerzy Leszin-Koperski (1935–2013). Władek miał urok, który był na styku abnegacji. Był w szponach wódeczki, która tak kocha różne *izmy*, jak nikotynizm itd., itd. Nie potrafił się w życiu ustawić. Miał w sobie naiwność, błysk artystyczny, ciekawość i pośpiech, który poniza. Może ten styk biedy powodował, że pędził za mamoną, żeby rozkręcić większy biznes, niż stragan na chodniku. Podobno pod pseudonimem wydawał kryminały i inne rzeczy, których chyba się wstydził, choć mówił, że dał w nich z siebie wszystko. Żadnej z tych książek nie przeczytałem, bo nie interesuje mnie szybka twórczość: pisanie-kasa. Rozmieniał swój talent na drobne. Był chyba za słaby, żeby żyć na własny rachunek. Na warszawskim bruku pojawił się w 1967 roku, kiedy to został laureatem w konkursie literackim warszawskiej „Kultury”. Opuścił na zawsze Łódź i osiadł w Warszawie. Głośny był jego debiut prozatorski pt. *Te małe gnojki w nocy* (Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1971). Jego paradoks polegał na tym, że był łódzki, a nie warszawski. To się czuło i słyszało. Wlokła się za nim tajemnicza nostalgia. Bywał przygaszony jak pet. Kiedy w Łodzi mówiłem o nim dobrze,

wzbudzałem u jego kolegów niechęć i zażenowanie. Ale zdania nie zmieniłem.

Dnia 28 lutego 2003 roku, w „Supermarkecie. Gazeta Wyborcza Stołeczna” zamieszczono zdjęcie Pałac Starej Książki i zauważyłem z papierosem Władysława Huzika. W „Gazecie Stołecznej” z 3 kwietnia 2003 roku Barbara Kasprzycka zamieściła tekst pt. *Jestem potrzebny*, a w nim znaleźć można taki passus: *Jestem pisarzem niepiszącym – mówi o sobie Władysław Huzik – Może gdyby jakaś miła panienka robiła mi śniadanie, to znów zacząłbym pisać*. Oczywiście, że przesadzał, ale robił to z pewnym wdziękiem. Nie był już w stanie *zaczerniać papieru*. Czytelnicy dowiedzieli się, że Władek był dziennikarzem, transportowcem, konduktorem, gońcem, brakarzem w tkalni. Prowadził księgarnię na ul. Miedzianej i antykwariat w budzie przy ul. Koszykowej. Powołał do życia Pałac Starej Książki przy ul. Działdowskiej 8a. Za motto do swojej działalności wziął cytat z Jacka Londona: *Chciałem zawsze mieć dom, w którym jeden pokój wypełniony byłby książkami...* W epoce telewizji, internetu, DVD i innych cudów elektronicznej techniki, realizował kolejny swój pomysł. Muszę się przyznać, że drżałem, bo Władek nieraz brał ziemię za obłoki. Był przepalony marzeniami. Z zapałem, co jak słoma, która szybko się pali.

Rozpisałem się o Władysławie Huziku, bo w leksykonie Lesława M. Bartelskiego pt. *Polscy pisarze współcześni 1939-1991* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995) jest króciutka wzmianka: *Ukończył zaocznie studia dziennikarskie na UW, studiował filologię polską na UE. Debiutował 1965 na łamach tyg. „Odgłosy” jako poeta. Od 1967 roku w Warszawie. Prozaik*. A w nekrologu („Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18–19 września 2004 roku) dosłownie kapka: *Poeta, pisarz, wydawca, dziennikarz, antykwariusz, założyciel Pałacu Starej Książki*.

Lepiej coś więcej napisać, niż liczyć na głuchonieme kamienie.

Władysław Huzik 1945–2004. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25–26 września 2004 roku.

Zofia Maria Konstancja Iwańska-Nowak (1943–2013)

Pani Zofio, mówiono. Dopiero, kiedy zmarła 22 X 2013 roku, dowiedziałem się, że tak długie imię i nazwisko miała wdowa po Tadeuszu Nowaku, poecie, powieściopisarzu. W 2015 roku Stanisław Balbus wydał książkę wspomnieniową pt. *Zosia*, Księgarnia Akademicka, ss. 232.

To była bardzo prężna kobieta. Energiczna. Wysportowana. Gotowa do pomocy. Podobno była pielęgniarką. Troszeczkę nerwowa. Ilekroć przychodziłem z synem Pawłem Piotrem do domu państwa Nowaków na ulicę Wiolinową, tylekroć pani Zofia strzegła mojego płowego syna. Dokarmiała go tym, co miała najlepsze. Kilka razy jechałem z nią samochodem, Fiatem 125P. Też śmigała i lubiła mocniej nacisnąć na gaz. Dbiała o Tadeusza Nowaka, który nie za bardzo radził sobie z codziennymi obowiązkami. Potrafiła postawić na swoim. Nie dała sobie w kaszę dmuchać. Na przykład wojowniczy Zygmunt Trziszka miał z panią Zofią na pieńku, i potem omijał Ursynów szerokim łukiem. Kiedy napisałem poemat pt. *Za sadem... Biel*, pod tytułem złożyłem dedykację: *Zofi i Tadeuszowi Nowakom*. Liryk znalazł się w spisie treści tomiku poetyckiego *Na własny rachunek* (Seria Biblioteka Poetycka, Wydawnictwo Łódzkie, 1986).

Pani Zofia miała swój styl, potrafiła się dzielić. W stanie wojennym przyjechała do mnie z paczką z kościoła, choć nigdy o to nie prosiłem. To była jedyna jej wizyta z mężem, który nie wszedł do naszego M-3.

Prawie jej nie znałem, więc omiatam ją minimum słów.

Pozostała w świetnej anegdocie, którą przytoczę. Tadeusz Nowak był świeżo po amputacji nogi. Znajomi odwiedzili Autora *A jak królem, a jak katem będziesz* w Centrum Rehabilitacji STOCER w Konstancinie-Jeziornie. Za bardzo nie wiedzieli, co mają powiedzieć przy łóżku. Poeta popatrzył na nich i zaczął ich pocieszać: *Teraz Zosia będzie miała już tylko jedną skarpetę do prania*.

Zofia Maria Konstancja Iwańska-Nowak (1943–2013). *Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14–16 sierpnia 2015 roku.

Jarosław Iwaszkiewicz (20 II 1894 – 2 III 1980)

Kropkę można postawić nad małym *i*. Ale co zrobić, gdy jest duże *I* i na dodatek kursywą. Jak Iwaszkiewicz?

Czesław Miłosz w tomie *Trzy zimy*, 1936, zamieścił liryk pt. *O młodszym bracie*, dedykowany Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, opatrzony Wilno, 1933/34.

W maju 1936 pojechałem do Wilna na wieczór autorski. Zostałem w Wilnie na parę dni, mieszkałem u Bazylianów, prawie cały czas spędziłem w Czesiu Miłoszem. (...) [Jerzy Putrament (w:) Jarosław Iwaszkiewicz, Portrety na marginesach. Biblioteka „Więzi” Tom 162, Warszawa 2004].

Na s. 94 oddzielny odcinek pt. *Czesław Miłosz* i miły początek (*W jesieni roku 1930, wkrótce po śmierci mojego teścia, dostałem list, który zaczynał się od słów: «Uwielbiam pana!»*), oraz smutny koniec baśni (*był pewniejszy swego ode mnie, był bardzo wielkim pisarzem, a ja skromny, mętny i pełen rozterki*).

I kolejny cytat z opasłego diariusza:

Warszawa, Sejm 10 stycznia 1955

*Każda epoka ma swój styl, nawet w drobiazgach i w innej epoce nie można pewnych rzeczy realizować. Mogłem w maju 1936 roku chędożyć Czesia Miłosza w mickiewiczowskiej celi Konrada na Bazylianów w Wilnie. Była cudowna noc z księżycem i słowikami. Rzecz nie do pomyslenia w roku 1824 ani 1954. Gdzie teraz Mickiewicz? Gdzie Miłosz, a gdzie Iwaszkiewicz? Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Karczmę babińskie (Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, Czytelnik, Warszawa 2007).*

W tomie II o *Czesiu* będą już dość niesympatyczne passusy (ss. 418, 421, 422), więc nie będę w tym zakalcu się grzebał.

W dwudziestowiecznej Polsce mówiono, że do literatury wchodzi się od przodu albo od tyłu, tj. przez Zofię Nałkowską (1884–1954) albo Jarosława Iwaszkiewicza. I to nie była tylko anegdota.

Piszę o tym, bo tego typu sprawy w naszym kraju zmiata się pod dywan – o (polskiej) literaturze trzeba pisać inaczej. Bez tego za-dęcia i hagiografii na usługach doraźnej polityki, która opiera się na (nie)pamięci.

Kropka nad Iwaszkiewiczem [w:] *Wiatr. Na miarę Wlenia* (41) [w:] wleninfo.pl, 13 października 2019 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-41/>

J Doc. dr hab. Kazimierz Jankowski (17 VII 1931 – 14 VIII 2013)

Znana i kontrowersyjna postać polskiej psychiatrii. Od lat przebywał za granicą (USA). Jego wystąpienia i książki wywoływały dyskusje i polemiki. Jako student WSPS im. Marii Grzegorzewskiej wybrałem się raz na spotkanie z docentem, choć musiałem dobrze kombinować, bo nie słyszałem na uczelni, aby cieszył się renomą na jaką zapewne zasługiwał. Posiedzenie przypominało trochę rozmowę z guru. Takie w stylu rozmów z Jerzym Grotowskim. Docent opowiadał i raczej nie dopuszczano nikogo do głosu. Może się bano, że padną pytania o głębokości kałuży? Ponieważ wcześniej poznałem teorię *dezintegracji pozytywnej* prof. Kazimierza Dąbrowskiego, więc wysłuchałem z ciekawością, a potem resztę sobie uzupełniałem, sięgając po jego książki: *Hipisi w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej*, *Od psychiatrii biologicznej do humanistycznej*, *Mój Szambala*, *Człowiek i choroba*, *Nie tylko dla rodziców*, *Psychologia w działaniu*, *Psychologia wierzeń religijnych*. To były dość sprawnie napisane druki zwarte, ale... bez szaty literackiej. Trochę nużyły. Ujęła mnie w tym jego wielka empatia dla osób psychicznie chorych. Kiedy panował trend zamykania ich w szpitalach, gdzie zakratowane okna i drzwi bez klamek, docent stanowczo powiedział: Nie! Hola! Hola! Pacjent jest osobą.

Latami był po stronie ludzi dotkniętych straszliwymi cierpieniami psychicznymi. Oczywiście, że taką postawą wywoływał kon-

trowersje wśród kolegów, którzy mieli dla osób psychicznie chorych zastrzyki i tabletki uspakajające, i łóżko z mocnymi skórzanymi pasami, uciekano do elektrowstrząsów.

Docent latami zajmował się walką ze stresem. Uważał, że najlepszym lekiem na stres jest... długi sen. Potem zajął się stresem u emigrantów. I znowu ogłosił, że jedynym lekiem na taki stan, jest *objaw klatki schodowej*. W prelekcjach głosił, że ludzie, którzy mają dobrych i życzliwych sąsiadów, i utrzymują z nimi bliskie kontakty, bardzo rzadko narzekają na swoje życie i samotność. W praktyce psychoterapeutycznej zalecał leczenie poprzez tzw. pojęcie *reframe*, która oznacza *zobaczenie swojego problemu w kontekście innych ludzi*. Wystarczy tylko podjąć się refleksji, jak inni się borykają z problemami, a będziemy wolniejsi od dodatkowego stresu. Uważał, że szpitale staną się przeżytkiem. Podobnie będzie z lekami. Nie ukrywał tego, że jest *wrogiem leków psychotropowych*. Oczywiście, że jego teorie musiały wywoływać popłoch firm farmaceutycznych, które czekało jedno – pójście z torbami. Bo na chorobach i śmierci, najlepiej się żeruje.

Docent nieraz wpadał z USA do Polski i uczył nas, jak iść w stronę psychiatrii humanistycznej. Trochę poruszył sumienia. Dzięki niemu jest na pewno więcej empatii do osób psychicznie chorych. Wspominam docenta, ponieważ jestem niepraktykującym pedagogiem specjalnym. Poza tym bardzo sobie cenię tych, którzy w swym życiu głęboko zakopywali znaki zapytania.

Doc. dr hab. Kazimierz Jankowski (1931–2013). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–26 grudnia 2013 roku.

Alina Janowska (16 IV 1923 – 13 XI 2017)

Po raz I. zobaczyłem ją w filmie *Zakazane piosenki*, gdzie grała epizod, który był głośny. Z werwą taką, że mała głowa! A potem słuchałem jej w radiowym *Podwieczorku przy mikrofonie*. Nie sposób było się przy niej nudzić. Ponieważ lubię *światło druku*, więc

nie śledziłem jej aktorskiej kariery. Co rusz dowiadywałem się, że działa i innych ponagla, żeby nie siedzieli jak kurz. Po raz pierwszy spotkałem Alinę Janowską w marcu 2002 roku na Mszy św. w intencji Andrzeja Ibisa-Wróblewskiego (26 VII 1922 – 20 III 2002), ponurego felietonisty m.in. „Życia Warszawy”. W kościele środowisk twórczych, plac Teatralny. Pani Alina wszystkich ustawiała, żeby był porządek przy ołtarzu. Szczególnie tych, co przystępowali do komunii św. Byłem wśród tych osób, których można było policzyć na palcach jednej ręki. Pokornie wykonywałem jej polecenia, jak uczeń. Zdyscyplinowała tych, którzy byli jak setnik. Była pierwsza, a ja za nią. Dawne dzieje. Dzisiaj się do tego wspomnienia uśmiecham, ponieważ to co było, już się ode mnie odkleiło, wyszło i ulotniło. Z tego powodu nie mam wypieków. Na twarzy. Sumienia w to nie będę mieszał.

Bolesław Janowski

Będąc uczniem Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli, chodziłem do kiosku RUCH-u przy ulicy Dąbrowskiego. Kiosk jak kiosk, ktoś powie. W tym przybytku (mini) handlu pracował starszy pan, u którego można było znaleźć nietypowe gazety, jak miesięcznik „Odra”, czy dwutygodnik studencki „Nowy Medyk”. Poza tym pan miał lapidarne komentarze. Zastanawiało mnie, skąd się wziął taki kioskarz w Zduńskiej Woli? Po 40 latach od Jerzego Mieleszkiewicza, emerytowanego nauczyciela z Technikum Elektronicznego, dowiedziałem się, że to był Bolesław Janowski, były dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli przy ulicy Dąbrowskiego 6. Uczył biologii. Że lubił czytać, gazety, rozmawiać z ludźmi. Że to był pedagog starej daty, który niósł *ten kaganek oświaty*. Przy tym kiosku miałem takie oto wydarzenie. Było to w połowie czerwca 1973 roku. Poszedłem do kiosku sprawdzić, czy już wydrukowali moje wiersze w *Kawiarni poetyckiej* „Nowego Medyka”, adresowanego do studentów Akademii Medycznej. Kolumnę redagował Władysław

Huzik. Czarno-biała gazeta z żółtym tytułem. „Nowy Medyk” kupowałem w kiosku przy ulicy Dąbrowskiego w Zduńskiej Woli. Stary kioskarsz dostawał chyba tylko 3 numery. Otwieram numer 12 i na przedostatniej stronie (15) znajduję blok swoich wierszy, ze zdjęciem i notką. Mam 19 lat. Czytam. I pokazuję kioskarszowi, a on mi odpowiada półgębkiem, że napisał podręcznik dla szkół średnich. Zduńskowolski kioskarsz był świadkiem mojej radości. Wiersze ukazały się wiosną. Kończyłem Zasadniczą Szkołę Elektroniczną. Kupiłem trzy numery. Jeden dałem do Szkolnej Kroniki. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, bo przecież tego typu poezje nie miały racji bytu w ówczesnych podręcznikach do nauki języka polskiego. To był taki odruch niekontrolowanej radości. Nikt mi nawet nie podziękował. Nie sprawdzałem, czy znalazły się w szkolnej kronice. Jedynie mgr inż. Jerzy Mieleškievicz, elektronik, lirykami się zainteresował. O tym piszę we *Wspomnieniach znad Pichny* (nakładem własnym, Warszawa-Ursynów 2001). I pomyśleć, że w takim mieście jak Zduńska Wola, w jego oparciu było tyle ludzi, o których zapomniano. Nikt ich nie wyciągnął z tego tłą, żeby potem opatrzyć życiorys przypisem albo narracją, w dobrej szacie literackiej. Skąd u nas się bierze to, że tak szybko zapominamy? Przecież to jest ta sól intelektualna, która dosmacza życie. Za to dbamy o tych, co – kulinarnie rzecz biorąc – nie żałowali pieprzu.

Bolesław Janowski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 września 2015 roku.

Irena Jarocka (18 VIII 1946 – 21 I 2012)

Była w latach 70. XX wieku u szczytu sławy. Co rusz nadawano piosenki Ireny Jarockiej. Koncertowała i zdobywała nagrody na festiwalach. Słuchałem jej głosu, więc zachowuję wspomnienia. Nie jestem nieprzemakalny i lubię ostry rockowy riff. Wcale się nie dziwiłem, gdy w latach 90. w złotej serii wydano kasetkę pt. *Odpływaj kawiarenki* (Pomaton). Łączny czas nagrań: 74' 05 minut.

W spisie treści nie zabrakło takich hitów jak: *Gondolierzy znad Wisły, Śpiewam pod gołym niebem, Wymyśliłam Cię, Kocha się raz, Odpływając kawiarenki*. Wesole nostalgie. No bo w Polsce różnie bywa z tą miłością.

Z jej piosenkami mam studenckie wspomnienie. Był maj 1977 roku. Idę przez centrum Warszawy i... nagle pod Pałacem Kultury i Nauki (od ul. Marszałkowskiej) widzę zbiegowisko przy estradzie. Słyszę piosenki o gondolierach (słowa Krzysztof Dzikowski, muzyka Seweryn Krajewski). Dobiega do mnie zakończenie: *A kto chciałby do nich pisać, niech pisze: pierusza barka przy moście, rzeka Wisła*. Nie wiem, co się dzieje. Pytam NN. Mówi, że jest święto „Trybuny Ludu”. Wielkonakładowy dziennik PZPR w sobotę się bawi. Staję jak wryty. Ale nie zbliżam się do sceny. Nie jestem czytelnikiem tej gazety, którą czasami lektoruję w bibliotece. Pamiętam, że miała wielkie szpalty i na pierwszej stronie logo z przesłaniem pod wersalikiem PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

Ciepły majowy wieczór i te piosenki, jak majowy deszczyk. Idę przed siebie – kołyszam mnie te kawiarenki. A potem jak echo dochodzi liryczny śpiew, że *Nie wrócą te lata*.

Etap dziejów mam już za sobą. Piosenki z młodości są jak zasuszone kwiatuszki/listki w książkach. Sprasowane na blaszkę. Odpłynęły kawiarenki, w których pito kawę, palono papierosy, czytano gazety *na kiju*, dyskutowano, szeptało czułe słówka, które kuszą i oddalają; czasami w filiżance małej czarnej topiono łyzy. Kawiarnia była *pewnego rodzaju azylem dla ludzi, którzy odczuwają silną potrzebę zabijania czasu tylko po to, aby on nie zabijał ich* (Alfred Polar, wiedeński dziennikarz z I połowy XX w.)

Kiedy słyszę, jak śpiewa Irena Jarocka, to przychodzi przypływ niegdyśszych wspomnień z PRL-u. Dzięki nim ożywa narracja pamięci – zachowuję proporcję białe-czerwone oraz cieniuję.

Irena Jarocka (18 sierpnia 1946 – 21 stycznia 2012). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 23 stycznia 2020 roku.

Mieczysław Jastrun (29 X 1903 – 23 II 1983)

Raz tylko widziałem Mieczysława Jastruna, było to podczas Łódzkiej Wiosny Poetyckiej. W maju 1974 a może 1975 roku. W sali biblioteki im. Ludwika Waryńskiego przy ulicy Gdańskiej 100/102 (obecnie Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa Piłsudskiego). Siedział. Miał długie włosy á la Mickiewicz. W przerwie sesji wstał, taki ważny, z głową wysoko uniesioną. Spojrzałem i pomyślałem: podąży tak, jakby czynił uprzejmość sali konferencyjnej, że idzie. Nie wiedziałem o tym, jaki to był zasłużony człowiek. Że w 1946 roku otrzymał nagrodę miasta Łodzi za *Rzecz ludzką*. Widziałem, jak szedł przez salę. Mijał ludzi. Kroczył, jakby połknął kij. Podobno tak chodził też Julian Przyboś (1901–1970), który zapomniał o łódzkim chorym malarzu Władysławie Strzeмиńskim (1893–1952). W latach 70. XX wieku Adam Zagajewski napisał wiersz pt. *Nie czytajcie Jastruna*. Dzięki lirykowi przypomniałem sobie zdarzenie sprzed lat. Wspominam o nim też, żeby ktoś nie powiedział, że pomiąłem człowieka, który nawet na mnie nie spojrzał. Taki był. Ważny.

Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski (19 X 1935 – 2 XII 2009)

Absolwent Wydziału Geodezji Politechniki Warszawskiej oraz Wydziału Teorii i Historii Filmu Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Debiutował w 1957 roku na łamach prasy jako poeta. Działal w Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Autor – jak napisano w nekrologu Zarządu Głównego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR – *niezapomnianych przebojów, szanowany i lubiany Kolega*. Literat, który też pisał w duchu żołnierskim (*Nie jest źle, jak na początek*). Wydał tomiki poetyckie: *Niewyrażenia* (Iskry, 1966), *Nieprzemilczenia* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1969), *Niepokój zbiorowy* (Wydawnictwo Łódzkie, 1986), *Rymy świętokrzyskie* (Wydawnictwo Miniatura Sp. z o.o., Kraków

1992). Jego teksty śpiewali m.in. Ada Rusowicz (1941–1991) i Wojciech Korda, Andrzej i Eliza, Halina Frąckowiak i Grupa ABC (*Napisz, proszę*), Anna German, Jerzy Połomski (*Nie zapomnisz nigdy*), Anna Jantar (1950–1980), Irena Santor, Violetta Villas (1938–2011), *Całuj gorąco*, „Skaldowie” (*Życzenia z całego serca, Szanujemy wspomnienia*).

Z Andrzejem spotkałem się tylko raz. Było to na jakimś bankiecie z okazji zakończenia imprezy poetyckiej, w Łodzi albo Warszawie, a może w Sieradzu. Siedzę przy stoliku z poetami. Biesiadujemy. Mamy dobre humory. Kelnerzy donoszą nam jedzenie i robią wszystko, żebyśmy nie mieli pustych kieliszków. Dopisuje nam humor. Z poetami to jest dopiero konsumpcja. Nieśmiało przysiadł się do nas Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski. Wysoki. Ogolony, łysiejący. Proponuję wódeczkę. Opowiada, że ma z sercem kłopoty. Daje się skusić na tzw. kielonek. Częstuję go papierosem. Odmawia. Przysiadł się obok mnie. Rozmawiamy. Mówię, że nigdy nie myślałem, że spotkam człowieka, który pisze słowa do piosenek. Tekściarze raczej unikają poetów. Delikatnie się uśmiecha. W pewnym momencie opowiada, że wszystko by oddał, żeby kiedyś napisać wiersz. Żali się na los dostawcy tekstów do śpiewu. Próbuje go pocieszać: Andrzej, ty za jeden szlagier dostajesz tyle pieniędzy, na które żaden poeta nie może liczyć...

A on swoje, że oddałby te piosenki za wiersz.

Ujęło mnie to bardzo.

Kiedy ukazywały się jego liryki w gazetach, to myślałem – Andrzej pewnie się cieszy, że wreszcie opublikowano na kolumnie poetyckiej jego strofy.

Nie spotkałem tekściarza, który by tak trzeźwo spojrzał na ulotne piosenki, które czasami ludzie sobie nucą, bo się nudzą. I nie pytają, kto do muzyki rozpisał słowa.

Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski (19 X 1935 – 2 XII 2009). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 11 grudnia 2009 roku.

Wiesław Jazdżyński (9 IX 1920 – 26 VII 1998)

Urodzony w Kielcach, zmarły w Łodzi. Poznałem go w Łodzi, był prezesem Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Piastował dobrze płatne stanowiska: redaktor naczelny Wydawnictwa Łódzkiego, redaktor Polskiego Radia Łódź, działał w partii. Pisał prozę. Wydawał książkę za książką. Pomógł, raczej nikomu nie zaszkodził. Głupio mi zawsze było, kiedy z nim rozmawiałem, bo lubiłem go, bo miał takie ludzkie podejście, ale nie mogłem się przełamać, żeby czytać, to co pisze. Mogę napisać, że gdy zamknął oczy, to widział kolejną książkę. Miał ładną córkę, Joannę, i kolejną żonę, trochę starszą niż jego córka, która urodziła mu syna. Należał do ludzi bardzo stadnych. Biesiadował. Żarty się go dobrze trzymały. Politycznie poprawny. Wiedział, że serce jest po lewej stronie. Nie wiedział, że to tylko mięsień, który bije, jak łobuz, w klatce piersiowej. Pisał głównie powieści, czyli gatunek, który wymaga tego, żeby wkręcić do maszyny papier i tylko go zmieniać. Znał się prawie ze wszystkimi, którzy podejmowali decyzje na różnych szczeblach centralnych. Dbał o członków Koła Młodych i tych, co należeli do ZLP. Nie słyszałem, żeby kogoś utracił albo komuś zaszkodził. Zawsze elegancki, jakby szedł na jakieś zebranie. Chętny do zabierania głosu. Wydał tyle książek, które drzemią w cmentarzyskach bibliotek. Historyk literatury polskiej ma nad czym się biedzić. Wzruszająco opowiadał o ziemi kieleckiej. W swoich notatkach mam jego zdjęcie. Jest taki poważny, jakby dźwigał literaturę łódzką i kielecką (świętokrzyską). Wszystko brał na serio, a przecież to był taki dowcipny starszy pan. Pewnie po tym, co napisałem, ktoś powie, że komuch czy jakiś socjalista. A niech gada. Wiem, co piszę. Jeszcze nie zwariowałem, jak niektórzy po 1989 roku, co z taką łatwością skreślają PRL albo psy wieszają zamiast liście zbierać.

Wiesław Jazdżyński. Wspomnienie (9 IX 1920 – 26 VII 1998), „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7–8 września 2013 roku.

Wieniedikt Wasiljewicz Jerofiejew (24 X 1938 – 11 V 1990)

Dzieciństwo spędził w biednej rodzinie kolejarskiej przy stacji Pajakonda. Jego ojca, zawiadowcę stacji, zesłano do łagru. Przebywał w domu dziecka oraz na Półwyspie Kolskim, czyli w zasięgu koła podbiegunowego. Ponieważ zadawał inne pytania oraz żył wedle własnej miary, relegowany ze studiów filologicznych w Moskwie. Imał się różnych prac, aby się utrzymać na powierzchni. Czytał i alkoholizował się. Żył jak monada. Napisał poemat prozą *Moskwa–Pietuszki*, w którym streścił to, co się działo w ZSRR. Jak to się lektoruje, to czuć takie stężenie alkoholu, że nie można pomylić stron, gdzie się to dzieje. Akcja rozgrywa się w pociągu osobowym, w którym normą jest jazda bez biletu. Gapowicze, jak to bywało na Wschodzie (i nie tylko), kontrolerowi za każdy przejechany kilometr płacili gram wódki albo jedną kopiejkę. Kolejowy haracz zwany był w byłym bloku państw socjalistycznych jako *lewa kieszeń*.

Pomimo że rzecz dotyczy upijania się, a jak trzeźwo jest *przelana na papier* przez Wieniedikta, który nigdy nie widział Kremla, bo mu nie było po drodze na dworzec Kurski. No i w świetnej szacie literackiej.

Jerofiejew, mawiał, że napisał *Moskwę–Pietuszki* mimochodem, dla garstki przyjaciół. *Bez śladu pretensji*. Krótko zrecenzował poemat prozą, który jak wódka, co rozgrzewa, a nie przytula: *80 stron na rozweselenie, a 10 żeby zapomnieli o jakiegokolwiek radości*. Jak przystało na weredyka, poprosił rosyjską oficynę, żeby 1. książkowe wydanie kosztowało 3 ruble i 62 kopiejki. Czyli tyle, ile ówczesnie trzeba było zabulić za 0,5 l wódki z kapslem.

To był gość z polotem. W myśleniu trzeźwy jak szkło. Należał do tych, co się przejęli brudem świata.

W listopadzie 1998 roku, w 60. rocznicę jego urodzin, na Dworcu Kurskim odsłonięto pomnik wyobrażający pisarza z walizką pełną (pustych) butelek po alkoholu.

W ramach polskiego strzeмиennego, rosyjski toaścik: *Wypijmy za to, by zdrożały butelki po winie i wódce!*

Przysłowie rzymskie: *Kto je mało, ten je zawsze.*

Podniebieniem smakujesz wino, wódeczkę haustem, szast-prast, *biez wodki nie rozbiriosz* (bez wódki nie zrozumiesz /nie wyjaśnisz/).

Wschód [1. Czechowiczana, 2. Kołyma, 3. Rosja, 4. Dłuższy toast].
Noty, „Twórczość” 2020, nr 3].

Kalina Jędrusik (5 II 1930 – 7 VIII 1991)

O Kalinie Jędrusik krążyły legendy, które mają to do siebie, że pomagają się przebić w życiu. Zbyt późno się urodziłem, żeby podziwiać powaby aktorki, piosenkarki, skandalistki znad Wisły, pochodzącej ze świątobliwej Częstochowy. Żyła mocno. Czasami aż za. Doskonale wiedziała, że uroda to jej najczulsza wizytówka. Nie ma chłopca, żeby się jej nie oparł. Przekraczała granice dobrego smaku. We Francji czy USA to by uszło, ale nie w PRL-u. Potrafiła swoim głosem czule wejść do uszka (*Bo we mnie jest sex*). Z grubsza rzecz biorąc, najsilniejszą stroną jej piosenek były teksty i muzyka (Jerzy Wasowski – Jeremi Przybora, Wojciech Młynarski, Agnieszka Osiecka, Jerzy Jurandot i inni). Wszyscy, którzy są w nawiasie, nie żyją. Na dnie tych utworów jest smuteczek, jak żal. Ponieważ Kalina Jędrusik śpiewała o sprawach męsko-damskich, więc sobie wyobrażam, z jaką grozą patrzyła w lustro. Na przemijanie.

Helena Jupowicz

Często zachodziłem do budynku Domu Literatury, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89. W bibliotece, na II piętrze, mościłem swoje gniazdko mola książkowego. Korzystałem z księgozbioru na prawach tzw. zasiedzenia, bo wypisałem się ze związku, kiedy zobaczyłem, jak traktują się literaci i pisarze. Pocieszałem się, że jedy-nymi miejscami w tym gmachu, gdzie panowała zgoda, była biblioteka i WC. Dwa ulgowe siedziska. Zbiorowe i intymne.

W latach 80. i 90. XX wieku czasami zachodziłem do kawiarni, w której pracowały trzy panie, a wśród nich Joanna Dzygało. Kawiarnia była pełna literatów, dziennikarzy i innych osób. W południe przychodzili na obiadki, które wydawano w podziemiach stołówki. Panował gwar i ścisk, jak na Marszałkowskiej. Był wysyp zgłodniałych literatów (i nie tylko!). Naprzeciw sali kawiarnianej była wnęka na szatnię – stanowisko pracy pani Heleny Jupowicz. Starsza, filigranowa kobieta. W fartuszk. Siedziała jak myszka. Cichutko. Zawsze do dyspozycji. Przynosili do niej płaszcze, kurtki, parasolki, torby, kapelusze, berety, walizki, siatki, listy i liściki. Tu była też prowadzona swego rodzaju tzw. poczta pantoflowa. Pani Helena była taką skrzynką kontaktową. Przechowywała niejeden klucz do tajemnicy. Nie uchylała rąbka, za żadne skarby. Jej miejsce pracy było tam, gdzie nie dochodziły promienie z warszawskiej ulicy. Ślepy kantorek szatni, oświetlony mlecznymi żarówkami. Naprzeciw jej dziupli, na ścianie wisiał telefon z długim kablem i ciężką słuchawką, więc nieraz przychodzili, prosząc, żeby rozmieniła im papierowy pieniądz na złotówki do automatu. Szatniarka była lepsza niż spowiednik, bo dyskretna i nie dawała rozgrzeszenia, tylko współczuła, milcząc. Znosiła różne fochy i humory gości, którzy nie zawsze okazywali grzeczność. Potrafili pomiatać i być głośni jak bęben albo cymbał. W większości znała ich z imienia i nazwiska. Mogła sobie darować czytanie ich książek. Raz tylko z nią rozmawiałem. Było to podczas Warszawskiej Jesieni Poezji. Odbывało się wieczorne spotkanie. Dym z papierosów, wymieszany z zapachem kawy, szczypał w oczy. Niektórym już dobrze szumiało w głowie wino i nie trzymali pionu. Płatał im się język, drżały nogi, jakby plac Zamkowy się zatrzęsł. I wtedy nagle coś mnie tchnęło, żeby do niej podejść i powiedzieć, jaką wykonuje niewdzięczną pracę. Że dzięki takim ludziom, życie ma sens. Kobieta wysłuchiwała komplementów. Oczywiście, że była nimi zdziwiona. Podczas tej rozmowy posunąłem się za daleko i nanęciłem: gdyby pani kiedyś opisała tych gości, to by była książka, jak podszełka współczesnej polskiej literatury. Aneks. Proza jak kawał rzemieennego powroza.

Starsza pani spojrzała i odpowiedziała: *Co pan...?!*

Tym pytaniem zgasiła wszystko, co palnąłem. I co ważne, nie poczytała mi tego, że wygłupiłem się na parterze Domu Literatury, gdzie była kawiarnia i stołówka (w piwnicy). Tu, gdzie była agora Domu Literatury, pojawiali się ludzie, co mieli donośny głos. Nic na to nie poradzę, że w pamięci przechowuję tych, co mówili ciszej. I nie pisali wierszy, opowiadań, felietonów. Nie mieli ciśnienia na druk zwarty. Ponieważ lubię wspominać, więc staram się lekko pisać o osobach, co miały ciężkie życie.

W szatni kurz nie siada, dopóki wisi ostatni płaszcz, kapelusz albo parasolka, w którą wsiąkły krople promieni z deszczem.

Wspomnienia (2) [Helena Jupowicz *Wspomnienie*], „ReWiry” X–XII [październik–grudzień] 2020, nr 3/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Wacław Kaczorowski

K

Wacław Kaczorowski był kierowcą w Związku Literatów Polskich. Woził prozaików, poetów i innych. Był dyskretny i tajemniczy. Zawsze starannie ogolony. Zadbany. W ciągłej dyspozycji i na każde zawołanie nerwowego, jak cholera, dyrektora administracji. Co rusz musiał wyjeżdżać do Domu Pracy Twórczej w Oborach koło Konstancina. Kiedy otwierano bibliotekę, to wpadał, żeby lektorować „Express Wieczorny”. Siadał naprzeciw drzwi wejściowych i czytał. Szybko. Po czym popołudniówkę składał i odnosił na półkę. I wracał do roboty. To był bardzo lubiany człowiek. Dobrze wychowany. Uczynny. Nie słyszałem, żeby ktoś powiedział o nim jakieś złe słowo.

Pan Wacek woził też książki z biblioteki dla starych literatów. Szukałem jego nazwiska w książce Piotra Kuncewicza, *Literatura Polska od 1918, Agonia i nadzieja*, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1993. Nieraz byłem świadkiem jak panie bibliotekarski pakowały do wora książki, które zabierał Piotr i korzystał ze

związkowego samochodu. Pan Wacław mu nieraz dowoził, bo zawsze czegoś potrzebował. W przedmowie m.in. pisze: *Podstawą był dla mnie księgozbiór Biblioteki Związku Literatów Polskich uzupełniony innymi zbiorami, głównie Biblioteki Narodowej. I ciężko się pracowały biblioteczne panie i panienki – Ewa, Grażyna, Krystyna, Jagoda i Agata. W szczególności książka zawdzięcza niewypowiedziane wiele kierownicze biblioteki, pani Krystynie Banasik, która służyła mi zawsze nie tylko książkami, lecz i jeszcze cenniejszymi informacjami, nie tylko bibliograficznymi.*

Zajrzałem do Piotrowego *Leksykonu polskich pisarzy współczesnych*, GRAF-Punkt®, Warszawa 1995, który był wyciągiem z *Agonii i nadziei*. I nie znalazłem nawet półstówka o kierowcy z dawnego Związku Literatów Polskich przy Krakowskim Przedmieściu 87/89.

Nie wiem, czy ktokolwiek wspomniał o nim. Jeżeli nie, to źle to świadczy, że za życia nie doczekał się podziękowania na piśmie. *Na głębę to trochę jest za mało.*

Raz jechałem z panem Wackiem. Była to jazda bez pośpiechu. Taka bardzo ostrożna. Podziwiałem jego spokój i brak zabiegania. W czasie tej podróży palnąłem straszliwe głupstwo. Powiedziałem: Panie Wacku, gdyby pan kiedyś napisał książkę o pasażerach-literatach, to by była dopiero (żywa) proza, jak kawał powroza. (Podobnie powiedziałem do pani w szatni). Pan Wacek delikatnie się uśmiechnął, jakby chciał dać mi do zrozumienia, abym nie kontynuował tematu z cyklu wolne żarty.

Wacław Kaczorowski. *Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 13 września 2011 roku.

Zygmunt Kałużyński (11 XII 1918 – 30 IX 2004)

Krytyk filmowy i publicysta. Rozrusznik telewizyjny wyznał: *moje pisanie jest emocjonalne, ośmieliłbym się porównać je do poematu. A czy od poematu można żądać ścisłości, wierności danych, niepowtarzania się? To jest poezja dziennikarska. A tam może być i natłagane, i przekręcone.*

Na temat higieny psychicznej miał swoje (osobne) zdanie: *Gdy skończyłem 80 lat, koledzy z „Polityki” życzyli sobie, żebym coś o sobie napisał. I wtedy przedstawiłem się jako osoba, która ma własny stosunek do higieny.*

Mój nieżyjący już kolega Kazimierz Rudzki powiada mi: «Zygusiu, mówią o tobie, że jesteś brudny». No, z 30 lat temu. Między przyjaciółmi. Na to ja: «Niestuszenie, Kaziu, może jestem zaniedbany w ubraniu, ale się myję i kąpię. A on: «Może powinienś zmieniać wodę». Rzeczywiście, będąc od dawna samotny, zaniedbałem się w higienie. Na przykład przestałem zamiatać, i zauważyłem ze zdumieniem, że brudy porządkują się same, to znaczy robią się pod ścianą zwąły, które są ciekawe do oglądania.

(...) Punktem wyjściowym była niemożność zapanowania nad porządkiem i higieną z powodu samotności i zmęczenia. Jak człowiek nie ma rodziny, a ma masę książek, płyt, papierów, to mu się kurz łatwo zbiera. I gdybym zaczął to sprzątać, a jeszcze musiałbym szukać czegoś do zjedzenia, a jeszcze musiałbym się myć starannie, kupić ubranie, tobym przestał zarabkować i umarłbym z głodu. Czysty (Na betonie. Z Zygmuntem Kałużyńskim rozmawia Dariusz Zaborek, „Gazeta Wyborcza” z 11 września 2003 roku).

Postać nietuzinkowa. Wielki samotnik z... klatki filmowej i małego ekranu. Za życia głośny, a po śmierci zadbano, żeby pamiętać o nim wygasła. Albo inaczej: zdmuchnięto, co całe życie rozpałał, żeby nie było nudne – jasne nie zaciemniał. Peregrynował dookoła marzeń, oderwanych od podłogi. W kinie – ruchoma klatka to był jego dywan, pod który nigdy nie zamiatał brudów.

Marek Karewicz (28 I 1938 – 22 VI 2018)

Fotograf, który dbał, aby okładki do płyt były wysmakowane. Z dala od siermiężności. W szarych czasach proponował kolorowe (nieseryjne) opakowanie.

W latach 70. XX wieku, będąc w Kaliszu na „Rytmach nad Prosną”, nieśmiało zapytałem (i naiwnie) – jaka jest pana najlepsza

okładka? I o dziwo nie obraził się na mnie wysoki, z charakterystycznym ostrym spojrzeniem jak flesz.

Ewy Demarczyk – odpowiedział mimochodem.

Przypomnę, że chodziło o longplay, album studyjny, z 1967 roku, wydany przez Polskie Nagrania „Muza”. Z kogutkiem.

Mała przygoda-zaczepka ze szkoły średniej, którą do tej pory pamiętam. Krótsza niż szkolna przerwa.

Tymoteusz Karpowicz **(15 XII 1921 – 29 VI 2005)**

Tymoteusz Karpowicz (urodzony we wsi Zielona koło Wilna – zmarł w Chicago). Poeta (*Kamienna muzyka*, 1958, *Znaki równania*, 1960, *W imię znaczenia*, 1962, *Trudny las*, 1964, *Odwrócone światło*, 1974), dramaturg (*Kiedy ktoś zapuka*, 1967, *Dramaty zebrane*, 1975), eseista (*Poezja niemożliwa*, 1975), prozaik (*Legendy pomorskie*, 1948), tłumacz, doktor nauk humanistycznych. W swoim dorobku miał ponad 14 książek.

Był to niesamowicie trudny poeta.

Wiersze Karpowicza są adresowane do bardzo wyrafinowanego czytelnika (słowniarza). Niewiele krytyka ma do powiedzenia na ich temat. Po prostu, te zapisy są same w sobie poezją i psu na budę są wszelkie komentarze i noty. Wiersz Karpowicza składa się na ogół z oryginału, kalki logicznej, paralaksu, sinusów, cosinusów, contangensów, etc. W tej matematycznej precyzji jest metoda, która nie urywa głowy, tylko myśli obciąża. Tu wcale nie chodzi o uduchowienie i chwyt. Nic z tego. To jest dokopywanie się do praSłowa w słowie. Tymoteusz Karpowicz zmuszał czytelnika do zadumy. Cały czas go trzymał w swoim zachwycie: (...) *Dokonałem niezwykłego czynu: / ominąłem język ojczysty / W wieży Babel / wymienilem rzecz czarnoleską / na syntezę mowy / Było to trudniejsze od lotu bez skrzydeł (...)* (zmyślony człowiek).

W *Słojach zadrzewnych* (Teksty wybrane. Postówie Jerzy Falkiewicz. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999, ss. 360) znaleźć

można wiele smakowitych dowcipów, ciętą ironię, dużo parafraz i odniesień.

Poeta uczulał, że słowo obrosło znaczeniami, które brzmią pusto. Jak cymbał. Coraz więcej słów cierpi na przewlekłą chorobę, czyli pustkę.

Tymoteusz Karpowicz napisał garść wierszy na wagę ziarna. Dla tych, którzy powątpiewają w to, co piszę, wydłubię liryczną perełkę: *kiedy ranne wstają pantofle / modlę się o miękką nogę (nakładanie papuci).*

Tymoteusz Karpowicz to był szyfrant poetycki.

Warto przejść przez *trudny las*, żeby zobaczyć *odwrócone światło*.

Tylko piórko ptasie wylizuje wiatr do końca lotki z resztek nieba, w przeciwieństwie do poezji, w której streszcza się trud naszego życia.

Tymoteusz Karpowicz (15 XII 1921 – 29 VI 2005). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 lipca 2005 roku.

Eugenia Kawecka (Ciocia Enia) (28 VII 1905–20 VIII 1989)

Odnalazłem w papierach *Pamiętnik* Eugenii Kaweckiej, *Cioci Eni*, wychowawczyni z sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórzu koło Starej Miłosnej, mamy Erazma Ciołka – artysty fotografa. To była – jak pisał Friedrich Fröbel (1782–1852) – *wychowawca-ogrodnik*. Teatr, kino, wycieczki – jej febliki. Mądra starsza pani, która znała dzieci, jak swoje trzy kieszenie – dwie duże i jedna mała – w Białym fartuchu. W zapiskach odnalazłem *passus*: (...) *Jeden z tych wychowanków, Mirek Szczepaniak, chodzący przy pomocy kul, ale pomysłowo i zręcznie, przynosił mi ze sklepu zakupy, gdy byłam chora (...).* Istotnie tak było w latach 80. XX wieku.

Minęły lata.

Trzeba dopisać, że nogi i ręce mam słabe i gdyby nie siła woli, ziemia by mi się spod butów i kul wyslizgła. Po śmierci *Cioci Eni* po-

ruszył się szczebel drabiny do nieba. I zaczęły się schody oraz poręcze.

Eugenia Kawecka (Ciocia Enia) (28 VII 1905 – 20 VIII 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 11 czerwca 2012 roku.

* * *

Matka Erazma Ciołka, artysty fotografa. Wychowawczyni w szpitalu/sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórze koło Starej Miłosnej. Nasza cudowna opiekunka, która robiła wszystko, żebyśmy od młodych lat nasączali się literaturą i folklorem baśni. W myśl zasady: lejmy przez koszałkę wodę, nie szkodzi, że przecieknie, ważne że wiklinowy koszyk będzie wilgotny. To ona nas prowadziła stroną wiersza Juliana Tuwima (1894–1953), Jana Brzechwy (1898–1966), Marii Konopnickiej (1842–1910), Wandy Chotomskiej albo zapomnianego Or-Ota (pseudonim Artura Franciszka Michała Oppmana, 1867–1931). Do tej pory pamiętam dziecięce strofy, których uczyłem się na pamięć jako smarkacz. Wielka wychowawczyni, która odeszła w zapomnienie. O niej myślę, gdy biedzę się nad tekstem wierszem i prozą. Nauczyła nas czytać utwory literackie ze zrozumieniem; z ogniem. Przez palce patrzyła na błędy. Dzięki niej nie musieliśmy wkuwać tekstów na blaszkę. Jaka szkoda, że nikt nie napisał książki o nauczycielach, wychowawcach, lekarzach, siostrach, salowych i kucharkach, którzy pracowali z dziećmi po polio w Zagórze (i nie tylko!) pod Warszawą. *Ciocia Enia* – tak na nią wszyscy mówiliśmy. To ona nas zabierała do Warszawy, do kina, cyrku, teatru, nad Wisłę, a latem rozbijaliśmy się obozem nad Świdrem. Uczyła nas, że człowiek ma prawo być inny (stary, niepełnosprawny) i to żadna łaska, że trzeba mu pomóc.

Zamiast wymyślać pointę, westchnę za *Cioci Eni* ulubionym poetą: *Niezapomniane młodzińcze lata! / Szkolne wspomnienia niezapomniane! / Na ciężkich drogach chmurnego świata / Wyscie jak balsam (...).*

Eugenia Kawecka (Ciocia Enia) (28 VII 1905 – 20 VIII 1989).
Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 5 marca 2013 roku.

* * *

W Zakładzie Lecznico-Wychowawczym w Zagórzku k/Warszawy mówiliśmy o niej *Ciocia Enia*. Była wychowawczynią. To ona organizowała zajęcia w wolnym czasie od ćwiczeń rehabilitacyjnych, operacji i szkolnych zajęć. Jeździliśmy latem nad Świder, żeby zaznawać kąpeli słonecznych i pluskać się w wodzie. Sanatoryjnym autobusem peregrynowaliśmy do Warszawy. Do kina, teatru, cyrku. Zabierała nas. Nie ważne, czy ktoś chodził o kulach, czy był przykuty do wózka inwalidzkiego albo łóżka. Robiła wszystko, żeby w nas nie przygasła radość i uśmiech. Dbała o to, żebyśmy nasączali się wierszami, bajkami i baśniami. Nikt z nas nie szukał, kiedy zakwitnie kwiat paproci. Wystarczyło nam, że wiedzieliśmy, że taki kwiat ma na pewno *Ciocia Enia*, która doskonale znała księgę lasu mieszanego. Musiała go mieć, bo nieraz zauważyłem, jak trzyma sztamę z borem, co obejmował naszą placówkę leczniczą, gdzie o nas dbano i robiono wszystko, żeby nas ZDROWIE pokochało. Wszyscy mieli wiarę, nadzieję i miłość, że powrócimy, tam gdzie szlachetne zdrowie. Jak z wiersza, co zakwitł fraszką. Czasami coś mówiła szeptem, gdy szliśmy ścieżkami albo mchami. Jak wytrawny dendrolog, wiedziała, że (...) *Las, jak ludzkie zbiorowisko, ma tłum i jednostki. Górują jedni krasą, inni siłą, inni indywidualnością, inni powagą lat* (...). Zrozumiałem wtedy, że z szeptu kobiet bierze się milczenie mężczyzn. Nosila okulary, żeby nic jej nie umknęło przed oczami. Literacko rzecz biorąc, mogę to objaśnić cytatem: (...) *Kto baśń rozumie i żyć wedle niej będzie, ten posiadał kwiat paproci. Ten ma «oczy, co widzą, uszy, co słyszą». Ten żyje mądrością przyrody.* (...) *kwiat paproci mamy w zanadrzu głęboko, skąd nie wypadnie: w sercu* (...) (Maria Rodziewiczówna, *Lato leśnych ludzi*, Bertelsmann Media Sp. z o.o. dla klubu „Świat Książki”, Warszawa 1998).

Pozostawiła tyle wspomnień, które każdy z nas (było nas w Polsce ponad 2000 dzieciaków, których wirus polio pustoszył) wziął oraz pamiętnik, pisany specjalnie na konkurs zorganizowany w związku z Międzynarodowym Rokiem Kobiet (1976). Memuar to jedna z 973 nadesłanych prac. Raptularz nie spotkał się z uznaniem jury, co dobrze świadczy o jego treści, zaś gorzej o tych, co oceniali i nagradzali. Jest w nim kawał rzetelnie napisanej biografii kobiety polskiej, która mając 70 lat zabrała się do spisania swoich wspomnień. 50 lat pracowała z chorymi dziećmi. Zapiski Cioci Eni są jak złotojesienny plaster lub, inaczej, jak tren lata, co zszywa wiosnę, która gubi płatki, żeby zawiązać owoce.

Eugenia Kawecka (28 VII 1905 – 20 VIII 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17 października 2013 roku.

Eugenia Kawecka i Erazm Ciołek

Latami ukrywałem to, że słowo fotografia (zdjęcie na światło-czułej kliszy) wywołuje we mnie wspomnienie, które zatajam. A wszystko zaczęło się od dzieciństwa, które spędziłem w Białych ścianach (szpitale, sanatoria). Pamiętam takie oto zdarzenie z sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórzku koło Starej Miłosnej, powiat otwocki. Naszą wychowawczynią była „Ciocia Enia”, czyli Eugenia Kawecka. Początek lat 60. XX wieku. Pewnego letniego dnia poinformowała nas, że będziemy mogli sobie wykonać zdjęcie fotograficzne. Czarno-białe. Mały obrazek albo w formacie widokówki. Wszyscy chętni powinni przygotować 50 groszy albo złotówkę. Że zdjęcia będzie robił jej syn. Powiedziałem, że pan fotograf... Na co opiekunka szybko mnie przygasiła, że jej syn Erazm Ciołek, to artysta fotograf. Oczywiście, że nie wiedziałem o czym mówi. Jak słowo daję.

Kiedy pojawił się pan Erazm, wysoki mężczyzna w okularach, nasza wychowawczyni prowadziła rejestr. Stałem obok i kombinowałem. Rozwahałem *za i przeciw*. Ostatecznie przeliczyłem, że lepiej będzie, kiedy w sklepiku w „Stodole” kupię gumę do żucia albo

blocek znaczków pocztowych. Erazm robił zdjęcia dzieci z Zagórza. Reporterskie. Był jak w ukropie.

Po latach, kiedy go poznałem, opowiadałem mu o tym, jaką podjąłem decyzję w Zagórzu, kiedy byłem w I klasie. Dzięki temu nie mam ani jednej fotografii. Mój starszy kolega, milczek z Ochoty, lapidarnie poprosił, żebym usiadł, bo chce mi wykonać kilka fotografii. Potem, gdy za nim biegali ludzie z polityki, mówiłem, że moje zdjęcia na potrzeby różnych publikacji wykonuje fotograf prezydencki i papieski. Tak się przechwalałem, dla żartów.

Ilekoć odwiedzałem Erazma, tylekoć nie mogłem oprzeć się prośbie, żeby mi pokazał zagórzańskie fotografie. Mówił, że przepadły. Że zostawił jedną, którą zasłonił szybkę w łazience. Były to słoneczka – dzieci w gipsie. Na leżakowaniu. Po stronie południowej. To była fotografia, która skupiła cierpienie i ogarnęła pytanie – dlaczego?

Podziwiałem jego zdjęcia i nie byłem w tym oryginalny. Ale za tym podziwem kryło się coś, o czym prawie nikt nie wiedział, że Erazm od młodych lat nie widział na jedno oko.

Odeszła „Ciocia Enia”, w kilka lat potem Erazm. Pozostało wspomnienie o tym pierwszym zdjęciu, którego nie mam, bo się przeliczyłem. Po prostu, byłem za mały, żeby o tym wiedzieć, że przeszłość się szybko oddala, a czas nie czeka, a przecież by mógł choć przystanąć i się za siebie się obejrzeć. Szkoda, że nie ma w nas czasu, co przemija i czasu, co jak młodość, tzn. na skrzydłach.

Dzięki wspomnieniu dzieciństwa, lepiej pamiętam „Ciocię Enię” i Erazma, który przeszedł przez życie, jak flesz.

Piszę o tym, żeby pocieszyć tych, którym (czasami) jest głupio, że w życiu tyle przegapili. I zwalają, że mieli pecha. Niefartu w to proszę nie mieszać. Poza tym warto pamiętać przysłowie ormiańskie: *Serce nie obrus, przed każdym go nie położysz*.

Wiesław Kazanecki (10 I 1939 – 1 II 1989)

Poeta, krytyk literacki, redaktor działu literackiego białostockiego miesięcznika „Kontrasty”, redaktor naczelny „Białostockiego

Informatora Kulturalnego”, kierownik literacki białostockiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Najwyższy poeta, jakiego znałem. Ponad 2 metry wzrostu. Kawał chłopca! Jak się z nim rozmawiało, to trzeba było mocno wyciągnąć głowę do góry.

W latach 80. XX wieku w warszawskiej Adrii odbywał się bankiet z okazji zakończenia Warszawskiej Jesieni Poezji. Przy ul. Moniuszki 8. W restauracji, w podziemiu, zbawialiśmy się kieliszkami, jak pouczał Jan z Czarnolasu, wzięło mnie na wspomnienia o okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Podszedł do stolika Wiesiek, uklęknął i słuchał. Potem powiedział: *Spisz to, co powiedziałeś!* Odrzekłem, że to chyba nie nadaje się, żeby wlało na papier. Ostatecznie uległem namowom starszego kolegi po piórze.

Wiesiek żył poezją. Na jawie i we śnie. Wystarczy tylko przywołać tytuły jego książek, żeby się przekonać, jak serio traktował pisanie. Wydał kilka mocnych tomików (*Kamień na kamieniu*, 1964, *Portret z nagonką*, 1969, *Pejzaże sumienne*, 1974, *Cały czas w orszaku*, 1978, *Stwórca i kat*, 1982, *Śmierć uśmiechu Giocondy*, 1983, *Na powódź i na wiatr*, 1986, *List na srebrne wesele*, 1989) oraz *Koniec epoki barbarzyńców* (w 1986 roku, nakładem własnym – na prawach rękopisu – 99 egzemplarzy). Wielkim admiratorem jego wierszy był Wacław Ewaryst Klejmont z Olecka. Dla mnie to był poeta łaski słowa. Pisał skompymowane listy. Nazywał je *króciutki SYGNAŁ SERCA*. Po jego epistolografii widać było, że wyszły spod ręki kogoś, kto się znał na redakcyjnej robocie. W rozmowach też taki był, jak w słowie pisanym. Raczej słuchał niż mówił. Wiesiek mocno się przejmował tym, co się ówczesnie działo. Nie dopuszczał do głosu anegdoty. Potrafił napisać wiersz doskonały i przejęty. Zacytuję tylko jeden, żeby ktoś nie myślał sobie, że przesadzam. Oto mowa wiązana opatrzona trzema gwiazdkami (***) : *Zapachem Twoich włosów bawię się jak wiatr, / Siwe pasma rozwieszam – nasze babie lato. / Mieszka we mnie ten łotrzyk co twój uśmiech skradł / I potajemnie sprzedał za zły szeląg światu. // Rozsypuje się droga przede mną jak próchno, / Wiatr zamiata jej okruchy i przemienia w zamięć. /*

I tylko twoja miłość śmieje się – gdy smutno. / I tylko twoja miłość przebacza – gdy kłamię.

Wiesław Kazanecki (10 I 1939 – 1 II 1989). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 15 października 2014 roku.

Prof. dr med. Antoni Kępiński (16 XI 1918 – 8 VI 1972)

Pisał o uroku psychiatrii i uczułał, żeby mieć do siebie dystans. Expressis verbis: *To, co żartem mówi się o psychiatrach, że każdego z wyjątkiem siebie uważają za «wariata», jest może najlepszym wyjściem z sytuacji z tą poprawką, że nie należy z siebie robić wyjątku (Poznanie chorego, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1978).*

W wyżej wymienionej książce, na s. 163, znalazłem passus: *Nawet świat imbecyla może być bogaty i dostarczać zapałniających wartości dla najbardziej wyrafinowanych umysłów, choćby wspomnieć powodzenie sztuki Nikifora, której smak polega właśnie na tym, że oddaje świat widziany oczyma imbecyla.* Czytam i przecieram oczy, bo to zdumiewający cytat i to nie dlatego, że współcześnie już się nie używa takich pojęć jak głupek, imbecyl, debil, kretyń, dureń, wariat, idiota. Szkoda, że pominięto istotę zjawiska – Nikifor (1895–1968), genialny samouk. Przecież Epifaniusz, syn Eudokii Drowniak, głuchoniemej łemkowskiej żebraczki, która była nosiwodą, rozłożył to, co się naucza w akademii sztuk pięknych. To był talent, widzący kolory – a może spowiadający się (biednymi) farbami, do których pluł i wydrążał pędzelkiem. I rozpisywał jak ikonę. Potem to wieszano w galeriach albo domach. Było znakiem dobrego gustu. Wszystko, co wyszło spod jego ręki, miało zapach sztuki, z ram wyjętej.

Bronisława Klejmont

Nieraz Wacław Ewaryst pisał o śp. babci Bronisławie Klejmont (z domu Grzęda). Ponieważ wspominał ją zawsze przy radosnych

okazjach, to był dla mnie znak, jaka to musiała być super babcia, choć nie używał takiego słowa jak super. Było to takie świętych obcowanie, używając teologicznego języka. Chyba nie przesadzę, gdy napiszę, że pani Bronisława była przysłowiową babcią, która szepcze prawdy do ucha.

Nic nie wiem o tej zacnej niewieście. Wystarczy mi to, co przeżył jej wnuczek w listach. Czynię to z wielką przyjemnością, bo babcia Bronisława to była strażniczka jego dzieciństwa i młodości. Na Suwalszczyźnie dla takich ludzi zarezerwowane jest słowo *siesolontać*, tzn. krzątać się. Większość babć opiekowało się i doglądało obejścia. Były w ciągłej dyspozycji. Na każde zawołanie i kaprys. Przysłowie poucza, że *Babska droga od pieca do proga*. Wcale mnie nie dziwi, że najbliżsi musieli nieraz krzyknąć: *Babku! Byście przestali siesolontać. Weście trochę odzipnijcie*.

Oto passusy skreślone przez wnuka Wacława Ewarysta do Czesława Mirosława:

1. (...) *Zatęskniło się za leszczynowymi zagajnikami znad Hańczy, podszytymi jesienią, w które ze śp. Babką moją wyruszaliśmy w dzieciństwie na orzechowe żniwa...*

2. *Urodziłem się, rozwijałem i dojrzewałem w najnaturalniejszym pod słońcem środowiska łąk, pól i lasów. Nad moim dzieciństwem od kołyski po próg szkoły średniej czuwał Anioł Stróż – babka Bronisława z jej niezmaconym poczuciem zdrowego rozsądku i humoru. Pamiętam, jak milicjantowi, który pod nieobecność domowników pytał, czy może wejść na strych i czy nie załamie się pod nim „trepy” (gwarowa nazwa schodów), odpowiedziała bez namysłu: «Niech pan policjant się nie boi! Nie polecą do nieba, tylko do ziemi...».*

3. *Ziarno Prawdy? Kto je zasiał, wiemy. A kto bezlitośnie je ściera na miazgę i propagandowo miksuje? Czy z takiej mąki może być zdrowy chleb? Chleba naszego powszedniego... Pogody dla rolników, którzy nie grają roli, ale ją nawożą i pielęgnują, że wiatr w widłach gra! I nie diabelski to instrument... «Nie położysz kaku – nie weźmiesz papu» – mawiała śp. babka moja – Bronisława, jeśli ktoś nosem pociągnął i krzywił się na wonie od obór i chlewów płynące. (...).*

4. (...) *Obym nie zaczął buzować, jak przesuszone sosnowe polana w zimowych piecach mojego rodzinnego domu w Hańczy. Matka moja nawiedziła nas w te dni. Siedzimy... Bajamy... Śp. Babkę się wspominało, która w ludowym koncepcie niezrównana była. Po Niej chyba sól attycką odziedziczyłem i pieprznością własną ją okraszam, dwadzieścia lat z górą tułając się dwuwierszowymi ślizgami fraszek po łamach sprzyjających mi pism. Babka w komunikacji językowej była bardziej bezpośrednia. «Metryka na końcu języka» – mówiła i tak się zaczynało...*

Niech Jej tam wieczny humor i niebieska pogoda sprzyja! (...).

5. (...) *Tłusty Czwartek – różane pączki, specjały Bliklego Staroego i Miłościwie nam dziś cukrującego żywot – Młodego Następcy. Niestety nie dla mnie to szczęście, nie dla mnie „pączkojeście”... Po-wspominałem tylko i pomarzyłem o hańczeńskich racucho-pączkach na bazie „pijanic” z Czerwonego Bagna, które zbieraliśmy z Babką Bronisławą w mgliste i dżdżyste letnie dni, skacząc jak szczygielki z kępy na kępę, odurzeni silną wonią bagna, które rośło w obfitości. To były piękne dni, naprawdę piękne dni – śpiewa dusza niczym Dusty Springfield. Nie żałuję, bo dziś są równie piękne – choć inne. (...). (II lutego 2010 roku).*

Jej znakiem szczególnym był skomprymowany język. Swojość. Miała *tołk* (rozsądek). Umiała *kiepkować* (żartować). Słynęła ze świetnej narracji i riposty.

Kiedy mojego teścia Feliksa, 90-latka, dopadł udar krwotoczny (październik 2014 roku), zadzwoniłem, żeby o tym poinformować żonę Wacława. Danusia powiedziała z przejęciem, że babcia Wacława, Bronisława, mówiła, że *Śmierć przyczyny szuka*.

Gdy myślę o tej zacnej niewieście, to przychodzi do mnie cytaty: *Benia mówi mało, ale smacznie. On mówi mało, ale człowiek ma chęć, żeby on jeszcze coś powiedział* (Izaak Babel, *Tak to robiono w Odesie*). Oczywiście, że tu chodzi o wydźwięk, a nie porównanie do bogobojnej babci Wacława.

Mieć taką babcię to jest skarb. Wacław rozpisывał babcią mądrość, szept i humor. Pewnie dlatego, że ona na skarpetkach cho-

działa (bez kapci) przy jego kołysce. Kropelki liryczne doprawiał z aptekarską dokładnością i chirurgiczną precyzją. Nie obwijał w bawełnę, tylko szył swoim ściegiem. To słysząc między jego wierszami, które dłubał w małych formach i sążnistych artykułach, i listach. Dzięki niej mieszkał w pogodzie ducha. Aforystycznie rzecz biorąc, babcia Bronisława była, jak winogrono, które doczekało się słodkiej starości i stało się rodzynką. Ona była pociechą. Za życia i po śmierci. Wspomnienie o niej wywoływało uśmiech i miało wartość sentymentalną. Póki żyła, była Wacława sekretem, z którym się ze mną dzielił. Oczywiście, że czułem się zaszczycony. Póki Wacław Ewaryst żył, obowiązywała mnie tajemnica i dyskrecja. Teraz już mogę to wyjawic w myśl strof greckich, które Cyprian Kamil Norwid kongenialnie przetłumaczył: *Powierzyłem nocy tajemnicę, / A ona błędnemu wiatrowi, / Wiatr fałom zwierzył ją i fał szumowi, / Fał ją na piasku zapisał – / Po piasku tym tańcząc, dziewice / Moje pieśni z ziemią zrównały!*

PS

Trepy to nie tylko obuwie dla dorosłych, ale także *schody prowadzące na strych lub do piwnicy* (Mieczysław Ratasiewicz, *Słownik gwary pogranicza Suwalszczyzny i dawnych Prus Wschodnich*, Wydawca „Z bliska”, Gołdap 2010). *Trepki* to były sandałki dla dzieci. Miały drewnianą podeszwę (z drzewa lipowego) oraz skórzany wierzch, ale bez usztywnienia, więc pięta była bosa. *Papuciówka* – tradycyjna zabawa taneczna w prywatnym domu.

Krzewinka borówka bagienna (zwana *pijanica*, *durnica*, *szalotka*). Jagoda o kształcie jajowatym lub gruszkowym. Barwy czarnej z woskowym nalotem, wewnątrz biała lub zielonkawa, zawierająca liczne nasiona. Owocuje od sierpnia do października. Podobno spożywana w dużej ilości, odurza. Wieśniacy wiedzieli, że *obfite ich zażycie tak głowę obciąża, jakby się pijanego trunku zażyło*. I zapewne stąd jej ludowe nazwy. Suszone owoce można wykorzystać jako rodzynki. Ze świeżo zerwanych owoców robi się dżemy, marmolady, smaży konfitury, powidła...

Borówka, bo z boru, gdzie bagna i knieje. Z pralasu.

Wacław Ewaryst Klejmont, o czym nieliczni wiedzą, latami notował w kołonoatniku słówka, jakimi mówiło pokolenie jego babci i rodziców. Od kilku lat opracowuję dla własnych potrzeb leksykon pod roboczym tytułem *Gwara suwalska Zebrane bez Wacława Klejmońciuka*. Tak to należy tłumaczyć wedle gwary suwalskiej. Rzecz trudna, ale warta, aby ocalić słowa suwalsko-podlaskie-mazurskie-litewskie-białoruskie i inne. Wacek odnotował m.in. *Babka* – kowadełko do klepania kosy.

W odmianie języka danego regionu przechowana jest pamięć o okolicach. Jak to się czyta, to słyszy się i widzi. To jest oddech regionu. Dzisiaj jest li tylko fiszką, z objaśnieniem. Gwara odeszła do lamusa. I nic nie poradzimy, że takie jest życie. Że świat jest *inaksy* (inny). Że coraz mniej miejsca na wartości sentymentalne i imponderabilia. Gwara suwalska jest bajkowa. Ma ładny zaśpiew, ździebko zasapany. Powtórzę za dowcipnym Władysławem Stanisławem Reymontem (1867–1925) – (...) *Nieźle jest w Polsce, nie rozpaczliwie, nie beznadziejnie, jeno głupio. (...). Juści, czasami.*

Bronisława Klejmont, babcia Wacława. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 38.

Wacław Ewaryst Klejmont (25 IV 1947 – 13 V 2011)

Po raz pierwszy spotkałem Wacława Klejmonta w 1975 roku w warszawskim Klubie Medyk (ul. Oczyki 5), gdzie odbywało się seminarium literackie. Pamiętam stoisko z książkami i gazetami, które okupowałem wraz z innymi molami. Fotografie zamieszczono w dwutygodniku „Nowy Medyk” (nr 12). Widać mnie w sweterku w serek, obok stoi mężczyzna z plerezą jak beatles. To Wacek.

W 1982 roku spotkaliśmy się w Olecku, w jego domu przy ulicy Zamkowej. I zaczęliśmy do siebie pisać listy. Nieraz o nim się rozpisywałem, bo chciałem, aby o nim kamienie nie gadały.

Antologijny wybór cytatów z listów i kartek Wacława Ewarysta Klejmonta opracowywałem w czasie, kiedy Wacław z takim heroizmem zmagał się ze straszliwą chorobą. Spośród wieloletniej korespondencji wybrałem garście cytatów. W myśl zasady Wacława: *ziarno – to superpestka życia z lotnej plewy wyłuskana...* Od 1982 roku do mnie pisał sążniste listy i widokówki, które bajecznie ozdabiał. Była to sztuka epistolografii, że żadne objaśnienia nic nie tłumaczy, będą li tylko leksykalnym popisem. To trzeba zobaczyć. Obdarowywał mnie takim darem słowa, że poczytywałem to sobie za wielkie wyróżnienie. Odwajemniałem się sporadycznie. Od Wielkiego Dzwonu!

Po śmierci Michała Fludra (28 V 1945 – 12 III 1989), tylko do Wacława pisałem. Po stracie dawnego wychowawcy z sanatorium dziecięcego PKP „Leśny Dwór” (Wleń, dawne województwo jeleńogórskie), straciłem apetyt do pisania tradycyjnych listów i kartek pocztowych. O czym poinformowałem Wacława. Moją decyzję uszanował. Nie czynił mi wyrzutów. W ramach rekompensaty opracowałem kilka książek Wacka, które przyjął zyczliwie. Obdarował mnie suwalskim sękaczem. Bardzo wysoko ceniłem sobie jego twórczość. Każdy jego zapisek traktowałem jak serdeczny okrusz do ludzi i świata. Po mistrzowsku opanował małe formy literacko-dziennikarskie. Nobilitował fraszkę, jego korespondencja przypominała dzieło sztuki epistolarnej. O jego wlepko-grafiki drżałem, żeby czasami ktoś mi ich nie świsnął na pocztę. Każda widokówka i koperta była zawsze elegancko spointowana. Mam w swoich zbiorach jego *onkologiczne peregrynacje*, które są antyfoną na temat zdrowia. Znosił nieuleczalną chorobę tak, że mnie to ujmowało. Z pogodą ducha i wiarą, jak dziecko. Życiocytał Ewangelię, więc chyba mogę napisać, że miał *łaskę stanu* nauczyciela języka polskiego – wierny Słowu. Do końca.

Mieszkał w Olecku przy ul. Wiejskiej, o której mimochodem pisał: *Wiejska, sielska pośród zielska – to mój adres* (Olecko, 19 września 1989 roku).

Był niebywale czytany. Mimochodem sypał cytataми. Miłośnik książek i Białych kruków. Aktywny w życiu miasta, dopokąd mu sił starczało. Tylko dwa razy go odwiedziłem. Ostatnio w 1989 roku. Nie zdążył mi złożyć rewizyty, bo tak jakoś wyszło, ale czy to jest takie ważne? Traktowaliśmy go z *Graszką* jak członka naszej rodziny. Wacek miał słabość do mojej wnuczki Zuzi, dla której pisał krótkie wierszyki. Potrafił napisać do mojej żony taką fraszkę, że nie sposób było ją zapomnieć. Kiedy tracił siły, to dzwoniłem do niego, choć nie cierpię telefonów, ale... czego to się nie robiło dla Wacława. Były to rozmowy bardzo krótkie. Wacław na ostatnim oddechu dzielił się swoimi lapidarnymi uwagami. Potem już tylko żona informowała mnie, że leży i... kiwa głową. Że... Czynił mi tyle uprzejmości. Byłem tak bezradny, że nie wiedziałem, jakich użyć słów, choć jestem obstawiony słownikami języka polskiego i za moimi plecami stoi wyniosła biblioteka z grzbietami książek. Wiem, że choroba i cierpienie, i ból nie mają sensu. Przepraszam, że o tym piszę, ale nie mogę o tym milczeć. Nie będę kłamał, bo tak nakazuje mi przyzwoitość.

Odchodził Wacław tak jak żył. Cicho. Pogodzony ze wszystkim, co jest między niebem a ziemią. I tylko ta kropka, co stoi nad *z*, przypominała o tym, że wszystko, co się zaczyna, kończy się. Że tylko szelest zostanie po nas. I milczenie, które jest zawsze na początku słowa.

Hańcza była jego żrenicą, zaś Olecko domem i warsztatem pracy, gdzie pracował nad słowem, które nie zna granic. Albo inaczej: Olecko było Białolasem, zaś Hańcza przypominała o głębi, żeby nigdy nie zniżyć się do poziomu kałuży. Latami uczył języka polskiego. Uczulał młodzież na poezję na co dzień, a nie tylko od święta.

Żona Danuta i córka Julia robiły wszystko, żeby mógł zamieszkać w wierze, nadziei i miłości. O tym nie będę pisał, żeby nie posuwać się za daleko. Dyskrecja tego wymaga.

W małych formach literackich rozpisывał słowa. Krótko i węłowato. Dobra myśl to była jego przystań.

To był biegły ds. literatury pięknej i języka polskiego. Wielki dłubacz maleńkich fraszek i listów/kartek, w których żaden znak interpunkcyjny nie kłamał. Rzemieślnik i artysta słowa. Spec od fraszek (i nie tylko!). Nietuzinkowa postać o wielkiej potędze humoru, z którym nie ma żartów.

Warto ściąć kilkanaście suwalskich drzew, żeby wydać teksty Wacława Ewarysta Klejmonta (25 IV 1947 – 13 V 2011). Niech *światło druku* wlezie na papier. Na wieki wieków. Amen.

Wacław z Białolasu, „Tygodnik Olecki” 2011, nr 20 (17 maja); *Wacław Ewaryst Klejmont (25 IV 1947 – 13 V 2011). Pożegnanie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 maja 2011 roku, „Gazeta Wyborcza Olsztyn” 2011, nr 128 (3 czerwca).

* * *

Pisać o Wacławie Ewaryście Klejmoncie to przyjemność, bo obcuje człowiek z jego słowem pisany piórem wiecznym. To był świetny fraszkopisarz, biegły w małych formach literackich, sążnisty w listach, treściwy w widokówkach, trafny w pointach, liryczny w zadumie, w sądach rozważny, nieskwapliwy w podejmowaniu decyzji. Miał wielki dar literackiej narracji. To był gość o niebywałym słuchu językowym. Sztukmistrz słowa, który nie zapominał o żywocie rzemieślnika. Jego listy to miara sztuki epistolarnej. Miał w sobie nauczycielską nieśmiałość. Potrafił słuchać. Na uczniów zwykł patrzeć przez palce. Młodzi ludzie nie wchodzili mu za skórę tylko dlatego, że wiedzieli, jaką reprezentuje klasę. Tylko wielcy mogą sobie pozwolić na to, żeby dawać innym duży margines wolności, która też ma granice.

Pamiętam, że kiedyś zamiast z Wacławem rozmawiać, poprosiłem, aby moja żona *Graszka* z nim pokonwersowała przez telefon stacjonarny. Jak nauczyciele z powołania.

Moja rodzina czekała na listy od niego, bo były jak z baśni wyjęte. Na poczcie też je lustrowano i uśmiechem darzono.

Dysponował ogromną wiedzą literacką. Potrafił napisać uczony esej, z całym bagażem przypisów. Miał w sobie coś z profesora, ale... nie takiego, co to na serio, i w ogóle.

Lubił działać społecznie, i tego nie za bardzo rozumiałem, bo dla mnie czytelnia i biblioteka była wszystkim. Lubiłem riff gitarowy, taki dociśnięty do progu, a potem lekko popuszczony (Jimmy Page, Gary Moore, Rory Gallagher, Ritchie Blackmore, Slash, Mark Knopfler, Jimi Hendrix, B.B. King, Eric Clapton, Buddy Guy, Keith Richards, Edge, Alan Wilson, Angus Young, Tony Ioimi, Carlos Santana, David Gilmour).

Nie szukałem pretekstu do spotkań. Wręcz przeciwnie! Zdarzyło mi się, że kilka razy wspomniałem, czy nie szkoda mu czasu, aby z lokalnymi politykami zasiadać przy stole i wiercić dziurę w wodzie. Odpowiadał, że musi być ktoś, kto wytłumaczy takie pojęcie, jak kultura, sztuka, i wprowadzi trochę porządku. Żeby w głowach nie było kapusty z głąbem, czy innych ogórków wrzuconych do beczki.

Kiedy szukałem cytatu albo miałem wątpliwości dotyczące passusu, dzwoniłem do Wacława i na bieżąco konsultowałem. A jak miał trudności, to obiecał, że przeprowadzi kwerendę. Miał niesamowitą pamięć, którą w czasie choroby tracił. Ale jakoś dawał sobie radę. Jego biblioteka świadczyła, że obracał się w niezłym towarzystwie. To, że posiadał taki rozmach, zawdzięczał swojej żonie Danucie, która dbała o to, aby nie zajmował się sprawami codziennymi. Jeszcze o tym nie pisałem, więc wspomnę: tworzyli zgodną rodzinę wraz z córką Julią.

Urodził się w Hańczy, gdzie najgłębsze w Polsce jezioro. I zapewne stąd pochodziła jego niechęć do wszelkiego wodolejstwa. Miał w sobie mrukliwość i chłopską kulturę, którą uszlachetniał. Kiedy pisał do mnie o swojej wiosce, to miałem wrażenie, jakbym czytał epilog: (...) *Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie / Święty i czysty, jak pierwsze kochanie, / Nie zaburzony błędów przypomnieniem, / Nie podkopany nadziei złudzeniem / Ani zmieniony wypadków*

strumieniem. (Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie. Historia szlachecka z r. 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*. Biblioteka Lektur Szkolnych, SW Czytelnik 1978). Nigdy się nie buntował, choć nosił plerzę i bokobrody.

Uczułał mnie: *Trzymaj się jesieni! Ziarna myśli zasiane tą porą przejść muszą odwieczną próbę mocy na granicy życia i śmierci. Spojrzenia w głąb są po to, aby kolejne wiosny nie spływały po nas jak zeszłoroczne śniegi. Dotkliwy ból istnienia stanowi istotę tej ziemskiej wędrówki. Wędrujmy więc tropami słów po koleinach serc nienasyconych.*

Wsparty o domowy Białolas Wacław Klejmont (Olecko, 17 listopada 1987 roku).

Nieraz mi dodawał odwagi, gdy sypałem garście słów: *Czesiu, / Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga... / I niech Ci natchnienia wstęga / rozwija się dzielnie z wiosną / a wraz z nią wierszówki rosną / jako w hesperyjskim sadzie / lub na badylarskim składzie. / Szparkich Parek parka dzielna / niech Twą myśl unieśmiertelnia, / Luzuj Muzy co go-dzina / wzorem Jerzyny, Leszina... / Pegaza dźgaj programowo, / niech podąga za odnową. / A jeśli stanie dęba / (co łącno poznać po zębach), / znak to, że się owatłaszył / w drodze do żłobu i kasy. / Wtedy zręcznie przykróć wodze, / aby znów było po drodze.*

PS

Informuję, że 18 maja 2013 roku, w sobotę, pod patronatem Urzędu Miasta i Burmistrza Olecka, w sali kina „Mazur” odbędzie się kolejny koncert pt. *Klejmontem wiosna się zaczyna*, przygotowany przez dr. Tomasza Żurawlewa, adiunkta w Katedrze Filologii Germańskiej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, ucznia Wacława Klejmonta.

24 kwietnia 2006 roku Wacław m.in. do mnie pisał: (...) *Mój uczeń, a dziś germanista i wykładowca Wszechnicy Mazurskiej – Tomasz Żurawlew z olsztyńskim bardem — Rafałem Gajewskim na rozpoczęcie pierwszych oleckich Juwenaliów wystawili rzecz skromną a niesamowitą: oratorium poetycko-muzyczne. Tak wspaniale oddanej*

ironii słowa, jak zrobił to Tomasz – jeszcze nie słyszałem. Pięknie uczcili 10-lecie Nobla. Niesłychane! (...) Cieszę się, że młodzi przejmują się i przejmują co dobre.

Wyżej wymienione słowa znalazły się na widokówce: *Kiedy pesymista marudzi, optymista rozdmuchuje chmury*. © Edycja Świętego Pawła 2005. Na odwrocie dwa znaczki: POLSKIE MILENIUM /Mikołaj Rej i Wisława Szymborska/ *Polska 1 zł* oraz RAK POLSKA 30 GR. Okrągły stempel pocztowy: OLECKO 240406... Obok fraszkoznaček:

Nie trzeci kur, nie kaczkę, nie gęsi...

Ironią budzą duszę w polskich czytelnikach

Nicolas z Żurawiem z Vislavą z Kórniku.

Wacław Ewaryst Klejmont (6 IV 1947 – 13 V 2011). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26 marca 2013 roku.

* * *

Było to w 1975 roku. (Sprawdziłem). W warszawskim Klubie Medyk (ul. Oczki 5) odbywało się seminarium literackie. Pamiętam stoisko z książkami i gazetami, które okupowałem wraz z innymi molami. Fotografie zamieszczono w dwutygodniku „Nowy Medyk”. Widać mnie w sweterku w serek, obok stoi mężczyzna z plerezą jak beatles.

O tym pomyślałem sobie, kiedy w latach 80. XX wieku stanąłem w Olecku i odnalazłem mężczyznę z czarno-białej fotografii. To był Wacław Klejmont. Od słowa do słowa tak się polubiliśmy, że przeszliśmy na ty, choć nie lubię tej formy. Zaczęliśmy pisać do siebie listy. Starałem się, żeby nie upadła sztuka epistolarna. Potem wspomagał mnie mój wychowawca z sanatorium *Leśny Dwór*, Michał Fluder. Mogę napisać, że byłem pośrodku, na jednym końcu był Wleń, zaś na drugim Olecko. Michał miał artystyczną wyobraźnię i świat widział w kolorach zaklęty, zaś Wacek przypominał, że wszystko zostało wykute ze Słowa. Michał był liryczny, a Wacek

w małych formach literackich przemycał fraszki. I tak to trwało w najlepsze. Czekałem na ich listy. W miarę systematycznie odpisywałem.

Wacek miał upodobanie do *oksymorontautologii*, ale nie ma w tym co pisał knota, był miód z ziół gorzkich, które pozbierały pracowite pszczoły. *Bo gorzkie są prawdy naszego dnia powszedniego. (...) Na domiar złego pogrzebałem się w gminie, a „gmin rozumowi bluźni”, jak mój pobratymiec Mickiewicz stwierdził (Olecko, 21 lutego 1988 roku).*

Pisał fraszkoznaaczki, zaś znaczki naklejał na koperty jego Białołas: żona Danuta i córka Julia.

Urzekąło mnie to, że nigdy nie wyparł się swoich korzeni. Z dyskrecją czasami wyjawiał, gdzie zawiązano jego pępek: (...) *Obym nie zaczął buzować, jak przesuszone sosnowe polana w zimowych piecach mojego rodzinnego domu w Hańczy. Matka moja nawiedziła nas w te dni. Siedzimy... Bajamy... Śp. Babkę się wspominało, która w ludowym koncepcie niezrównana była. Po Niej chyba sól attyką odziedziczyłem i pieprznością własną ją okraszam, dwadzieścia lat z górą tułając się dwuwierszowymi ślizgami fraszek po łamach sprzyjających mi pism. Babka w komunikacji językowej była bardziej bezpośrednia. „Metryka na końcu języka” – mówiła i tak się zaczynało...*

Niech Jej tam wieczny humor i niebieska pogoda sprzyja! (...).

W Lany Poniedziałek Wielkanocny 1988 roku dopisze: (...) *Część świąt spędziliśmy w Hańczy na resztkach mojej rodowej posiadłości. Pokłoniliśmy się sędziwej chacie, która z każdym rokiem wrasta w ziemię, a według przekazów rodzinnych pamięta jeszcze czasy powstania styczniowego. Zresztą ród mój zanim osiadł na roli z lasów się ponoć wywodzi. Klejmo – to nacięcie na drzewie, cechownik w mowie pogranicza. Starzy rodzice dożywają swoich lat wspólnie z wioską, która starzeje się w szybkim tempie. (...).*

Miał bardzo wysmakowane poczucie humoru, choć w tym przypadku powinienem napisać kulturę słowa. Jak przystało na zodiakalnego Byka: (...) *Bykiem jestem tylko w papierach, bo po wojnie*

ospale zapisywano nawet przyjście na świat. Wg wieści rodzinnej znak Barana mi przysługuje. Tak czy owak rogaciznę stanowią, ale jak wiesz, nie tę, co „na rogi i w nogi”. Rak ma niebywalne prawo szczypiania, strzelec – strzelania. Baran – badowania. (...) (Olecko, 5 września 1987).

Tylko raz z synem Pawłem Piotrem odwiedziłem Wacława z Białolasu. I były to takie wakacje, że Paweł do tej pory ich nie zapomina. Pamiętam, że obstawiliśmy się książkami, Białymi krukami i braliśmy się na zapasy na cytaty.

Po śmierci Michała Fludra (12 marca 1989 roku) przestałem odpisywać na listy. Żał mnie oślepił. Pozacinały mi się kreseczki uśmiechu. A Wacek nie ustawał. Przesyłał mi karki, sążniste listy. Przyozdabiał koperty wykaligrafowanym pismem, maczał długopis w baśni życia, które podcina lotki. Obok znaczka pisał fraszkoznaczkę. Potrafił znaczek pocztowy, w ząbek czesany, przyozdobić stosownym kłaczkiem lirycznym.

Jaki musiał być Wacek skoro mnie nie przekreślił, pomimo że nie odpisywałem latami.

Jedyne co mam na swoje usprawiedliwienie, to jest to, że dzwoniłem do Wacka.

Wacek był niebywale czytany. Nauczał dzieci i młodzież języka polskiego. To był polonista pełną gębą. Dla mnie Wacław był pewną miarą. Takim Diogenesem, który agorę porzucił, żeby chodzić z kołczanem promieni.

Od lat przygotowywałem się, żeby pojechać do Olecka, ale z takim zdrowiem, jakie mam, raczej powinienem się nie oddalać od Ursynowa.

Po latach okazało się, że mam wielki dług wdzięczności do mojego kolegi, więc w ramach bezinteresu opracowałem kilka jego książek, które wydałem nakładem własnym: *Fraszkoznaczkę Wacława Klejmonta*, Warszawa-Ursynów 2005, *Alfabet o Wacławie z Białolasu*, Warszawa-Ursynów 2006, *Fraszki wypieczone przez Wacława z Białolasu*, Warszawa-Ursynów 2007, *niech nam żagle chmur po*

myśli płyną (wybór cytatów z listów i kartek Wacława Ewarysta Klejmonta), Warszawa-Ursynów-Olecko 2011.

Chciałem pokazać z jakim to ja się człowiekiem przez lata dawałem.

Sumienie ruszyło sługę nieużytecznego.

Kiedy zbliżam się do pointy, to jest mi bardzo głupio przed Wacławem, który potrafił jednym szasnięciem pióra załatwić sprawę krótko. Nie robił sobie ze śmiechu żartów; miał powagę do ironii, w której tkwi zagadka. Był lirykiem, który osiągnął biegłość w pisaniu. W jego małym zwierniku widać, co ludziom odbija, jakiego ludzkość nakręca sobie bączka. Trzeba mieć poukładane wszystkie klepki w głowie, żeby zachować stoicką postawę i epikurejską pogodę ducha.

Ponieważ włosów mam za mało, żeby je rwać, więc chowam uszy po sobie, żeby czasami ktoś sobie nie pomyślał, że uszy zrosły mi się z językiem. Wystarczy, że bieżnikuję włosy na łysinie (por. Karl Kraus, 1874–1936). Wacław Klejmont to był szlifierz słów, formierz treści. Samotnik z Białolasu, który robił wszystko, żeby słońce nie zachodziło nad zagniewanymi. Potrafił pisać świetne skompyrowane teksty, które czytałem jednym tchem.

Wacław Ewaryst Klejmont (6 IV 1947 – 13 V 2011). Wspomnienie, „Tygodnik Olecki” 2014, nr 13.

Dr n. med. Tadeusz Klekowski (1901–1972)

Był dyrektorem Sanatorium Kolejowego we Wleniu koło Lwówka Śląskiego. Zarządzał w latach 1957–1970. Za jego administrowania leczniczy obiekt miał pełne obłożenie. A na Górze Zamkowej przebywali przewlekle chorzy pacjenci. Była też szklarnia, która zaopatrywała placówkę leczniczą w nowalijki. Oczywiście, że rósł sad. Poza tym zadbał o to, żeby wyremontowano Salę Rycerską. Ponieważ miał słabość do kultury i sztuki, więc kwitło i owocowało życie kulturalne. Na Górze Zamkowej odbywały się koncerty, reci-

tale. U podnóża, gdzie mieściło się sanatorium, była sala teatralna i bilard. Z Jeleniej Góry przyjeżdżał teatr. Mieszkańcy mieli na miejscu pracę i nie narzekali. Chwalili doktora pod niebiosa, choć to było w czasach PRL-u. Pacjenci nie szczędzili dobrych słów pod jego adresem. Ba! Był odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Doktor nauk medycznych był absolwentem konserwatorium muzycznego w Wilnie, klasa skrzypiec. Dzięki niemu zakupiono fortepian marki „Steinway”.

(Na stronie http://www.wlen.org.pl/artykuly/wspomnienie_klekowski_tadeusz.html, zamieszczono tekst mgr. Witolda Szczurka, skomprimowany biogram).

Kiedy po latach przyjechałem do Wlenia, w roku 1985, bo zaprosił mnie Michał Fluder, obszedłem to, co z taką miłością pan doktor Klekowski pielęgnował. Wszystko było zapuszczone. Szczęło. Szpital na Górze Zamkowej zamykano. W Sali Rycerskiej suszono cebulę i orzechy. W niej urządzono przechowalnię na warzywa, owoce i kartofle. Sad zdziczał, bo latami nikt go nie strzygł nożyczkami rozsądku. Ze szklarni pozostały zardzewiałe pręty i kupka szkła. A w sanatorium było widać, że bieda zagląda. W krótkim okresie czasu zniszczono to, o co tak zabiegał i dbał. Przyszli likwidatorzy i spieprzyli, co się dało.

Starzy mieszkańcy z rozrzewnieniem wspominali doktora Tadeusza Klekowskiego, który po gospodarsku zarządzał i uprawiał sztukę zdrowia.

Mgr rehabilitacji Witold Szczurek przez lata walczył, żeby Kolejowe Sanatorium Rehabilitacyjne Narządu Ruchu we Wleniu otrzymało patrona dr. Tadeusza Klekowskiego, którego uważał za ideał lekarza o duszy artysty.

O tym, jaka to była nietuzinkowa postać, niech świadczy fakt, że kiedy doktor tworzył zespół kameralny i brakowało skrzypka, Michał nauczył się grać na skrzypczkach, bo nie śmiał panu doktorowi odmówić. I to mówił Michał Fluder, który miał talent plastyczny oraz rzeźbiarski. Dzieciaki (zdrowe i chore) go uwielbiały. O takich

ludziach się drzewiej mawiało, że można by ich łyżką jeść. Jak miód! Oto jakim był smykem mój starszy kolega – podchodził serio do muzyki poważnej, która była górą w stosunku do big-beatu (mocne uderzenie).

A teraz pora na wtret.

Michał Fluder pisał do mnie z Wlenia, 11 maja 1984 roku: *chcemy zapożyczyć dla siebie Salę Rycerską na Zamkowej Górze (w duchu baroku, z fortepianem, a niedaleko tulipanowiec z kwiatem w czerwcu – pamiętasz?).*

Poza tym nieraz Michał podprowadzał mnie pod Salę Rycerską, którą zamieniono na suszarnię płodów ziemi.

Był taki ożywiony, a ja jak Don Kichote parłem w stronę alei grabowej i lasu bukowego, co po zachodniej stronie Góry Zamkowej.

Na jego rysunkach Salę Rycerską osłaniają graby. Komnaty przez drzewa spozierają. Tu drzewiej urządzano koncerty. Powtórzę, bo z pamięcią różnie bywa, nie tylko w Karkonoszach, że zaniedbane rzeczy nie zawsze da się wypucować – szanujmy i chuchajmy na to, co zwie się wczoraj.

Po 1989 roku we Wleniu, gdzie Bóbr płynie i odcięto kolejowe tory, już takich osób jak dr Tadeusz Klerkowski i mgr Michał Fluder, nie spotkasz. To byli ludzie starej daty.

Pozostały wspomnienia – małe pociechy.

Kiedy wielcy odchodzą, zostawiają nic miary, które los przy mierzał do ich życia. Od początku do końca. Aż zrobi supefek.

Na miarę Wlenia (3). Dr Tadeusz Klerkowski (1901–1972). Wspomnienie [w:] wleninfo.pl, 19 stycznia 2019 roku [Sobota]; syg. Czesław Mirosław Szczepaniak, Warszawa-Ursynów; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-3/>.

Michał Fluder, *Aleja grabowa i Sala Rycerska z Góry Zamkowej*, akwarelka; fot. Paweł Piotr Szczepaniak.

Krzysztof Klenczon (14 I 1942 – 7 IV 1981)

W sobotę, kiedy kończyły się lekcje w Technikum, Liceum i Zasadniczej Szkole Elektronicznej w Zduńskiej Woli, podśpiewywałem sobie piosenkę Krzysztofa Klenczona pt. *Wolny wieczór. Dziś mam wolny wieczór... Przecież jest sobota, każdy gdzieś się bawi / Nie ma sensu siedzieć tak, co dziś robić mam?* Ach, co to było za uczucie! O szarej godzinie na szkolnej dyskotecie w Technikum Elektronicznym w Zduńskiej Woli w latach 1970–1973 roku nieraz puszczałem polskie piosenki. Przyznaję się, że było ich mało, ale... wśród nich na pewno były utwory Krzysztofa Klenczona, gitarzysty prowadzącego „Czerwonych Gitar”. W owych latach to był jedyny ostry szarpidrut. Przypomnę młodym, żeby się nie uśmiechali – to były czasy chałupnictwa rockowego. Muzycy musieli sobie sami robić gitary, kombinować jak zdobyć mikrofony i wzmacniacze. Było szaro, ponuro, biednie. Siermiężnie. Na Zachodzie grano ostro i nikomu nie zadrgało serce, żeby pomóc polskim młodym muzykom (i nie tylko!). W tym żelaznym zestawie były takie utwory, jak *Nikt nam nie weźmie młodości, Nie licz dni, Kwiaty we włosach, Czyjaś dziewczyna, Gdy kiedyś znów zawołam cię, Nikt na świecie nie wie, Wróćmy nad jeziora*. A kiedy powstały „Trzy Korony”, do oporu rozkręcałiśmy Regenty (wzmacniacze), żeby posłuchać *Nie przejdziemy do historii, 10 w skali Beauforta, Port, Raz na tysiąc nocy*. Oczywiście, że wszystkie nagrania przegrałem na taśmy szpulowe, na magnetofon marki Grundig. Dziś by powiedzieli, że to piractwo, a w tamtych latach to było normą, że nagrywaliśmy z radia albo z płyty.

Miałem słabość do jego śpiewu i gry na gitarze, choć to nie była najwyższa półka riffów. Zapewne gdyby dysponował dobrej klasy gitarą i nagłośnieniem, byłby to klasa muzyk, bo miał w sobie coś z rockowego kolesia. Wyróżniał się. Było mu zapewne w Polsce za ciasno.

Po odejściu z „Czerwonych Gitar” koncertował w Polsce z zespołem „Trzy Korony”. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że wyjechał z rodziną do USA. I słuch po nim zaginął. Nagrał płytę,

którą przemilczę. Zginął w wypadku samochodowym. W latach 80. XX wieku, kiedy często chodziłem z ul. Foksał na ul. Smolną, w bramie mijałem graffiti: *KLENCZON ŻYJE*. I zawsze przystawałem na chwilę. Przychodziły wspomnienia, kiedy puszczałem jego piosenki na szkolnej dyskotecie. W sobotę, po lekcjach. I niosło się po podwórku dalej przez ul. Łaską i Kilińskiego.

Dobrze wiedzieć, że *Dniom i Nocom Szczytna* towarzyszy Ogólnopolski Konkurs Piosenki im. Krzysztofa Klenczona. Miasto, w którym spędził młodość, nie zapomina o gitarzyście, liryku (*Retrospekcja, My z XX wieku, Twój czas, Wolny wieczór*), który chciał ocalić własne marzenia. Po prostu skrzydłato żyć, a nie z przyciętymi lotkami.

Krzysztof Klenczon (14 I 1942 – 7 IV 1981). *Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 21 lutego 2014 roku.

Prof. dr hab. Barbara Agnieszka Koc (1925 – 9 VIII 2013)

Dwa razy byłem laureatem konkursów im. Władysława Stanisława Reymonta. Za wiersz otrzymałem III nagrodę w III Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Władysława Stanisława Reymonta w Płocku, w 1984 roku. Jeżeli chodzi o prozę, to poszedłem w górę o jedno oczko, bo zdobyłem II nagrodę w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim o „Pióro Reymonta” pod patronatem honorowym Marszałka Województwa Łódzkiego w Kobielach Wielkich, w 2004 roku. Oprócz dyplomu otrzymałem tomiszczce Wł. St. Reymont, *Korespondencja 1890–1925* (Opracowanie i wstęp Barbara Koc, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2002, ss. 843). Książka o wadze 1417 g (ryza papieru A4 waży 2463 g). Podaję ciężar, bo to ma też znaczenie. Korespondencja wiele lat czekała w bibliotece, żebym po nią sięgnął. Tak to już jest z opasłymi książkami, które jak się wcisną na półkę, to człowiek nie wyciąga po nie ręki. Odczekałem kilka lat, bo nie lubię do cudzych listów zaglądać. I wpad-

łem w zachwyty. Kilka podsiadów zajęło mi czytanie druku zwanego. Świetna publikacja. Takiego Reymonta nie znałem ze szkoły, w której piłowano *Chłopów* i *Ziemię obiecaną*. Oto, jakie gapy są po filologii polskiej. Przecież w szkole, gdy pojawia się komunikat, że trzeba przeczytać lekturę pt. *Chłopi*, pada przysłowiowy *blady strach*, bo w epoce industrializacji o kulturze agrarnej się tyle wie, że wstyd. Pamiętam jak w łódzkim Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących Nr IX przerabialiśmy *Wesele* Wyspiańskiego, a potem *Chłopów*. Byłem jedyny w klasie ze wsi, więc kumałem. Juści, że byłem poruszony. I to jak! Może nie tak jak Boryna, bliżej mi było do Chochoła (sic!). Nie widziałem w klasie entuzjazmu. Nawet, gdy przerabialiśmy *Lalkę* Bolesława Prusa, podobnie było w mieście Łodzi. Było to w XX wieku. A co musi się dziać w XXI wieku w szkole, gdy przychodzi sięgnąć po cztery pory roku *Chłopów*? Tego nie będę sprawdzał, bo nie jestem fiśnięty, jak kontroler polityczny.

Korespondencja, obejmująca 35 lat, budzi podziw. Dla tego, co tyle listów napisał (Reymont) i tej, co epistolografię opracowała i opatrzyła stosownymi przypisami (Barbara Koc). Nie chcę tu używać wielkich słów, że to koronkowa robota, o której drzewiej mawiano – *praca dla dwunastu zakonnic*. Bez przesady!

W internecie niewiele można znaleźć o prof. dr hab. Barbarze Agnieszce Koc (1925 – 9 VIII 2013). Filolog literatury, językoznawca. Latami była związana z Zakładem Rękopisów Biblioteki Narodowej. W kręgu jej zainteresowań była literatura XIX i XX wieku. Konkretnie: Joseph Conrad (pisała pracę magisterką i habilitacyjną), Zenon Przesmycki „Miriam” oraz Władysław Stanisław Reymont. O Conradzie i Reymoncie napisała opowieść biograficzną. W jej dorobku odnotowano 8 książek. Za tym wszystkim kryją się fiszki, okupione mnóstwem kwerend. Trzeba być mołem książkowym, żeby przysiąść nad rękopisami. To nie tylko szkiełko i oko, i ręka. Pani profesor pisała świetne objaśnienia. Czyniła tak, żebyśmy czytali Reymonta na pniu. To była egzegeza. Musiała opracować, naświetlić, wytłumaczyć, żeby to nie przegadać, bo wytłumaczenie

wymaga minimum słów i maksimum treści. A Reymont nie ułatwiał jej zadania, bo to był weredyk, ze skłonnościami do egzageracji (przesady). Zdarza się, że profesor musi nieco prostować laureata Nagrody Nobla, pisząc w przypisie m.in.: *Sprawność poczty na wsi, mimo wszystko, nadzwyczajna* albo kiedy uczuła czytelnika, że *Są to typowe dla epoki wzloty fantazji, dalekie podróże, wiara w przeznaczenie i w doskonałość sztuki*.

Dobrze by się stało, gdyby przed czytaniem Reymonta w szkole średniej, nauczyciel(-ka) pokusił(-a) się o wyciąg z jego korespondencji, aby zwilżyć apetyt. To znaczy, żeby młodzi ludzie mieli czas się uśmiechnąć, a nie tylko westchnąć: *ooo...* Aby z nich nie uchodziło powietrze, gdy otworzą powieść *Chłopi*. I przeczytają *od deski do deski*, bo jest napisana nie drewnianym językiem. I czuć ten smak Polski, która nie odeszła do lamusa. Jeszcze.

Glosa reymontowska, Kopiec. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 9.

Jan Kochanowski (1530–1584)

Pisać o Janie z Czarnolasu, to zdać się na szczyty polskiej literatury. Inaczej się nie da. Przecież nikt tak *rymem pochwalnym* nie uczył w Polsce miary życia – dla nabożnych pisał *Psalmy*, dla tych co szukali radośniejszej chwili – *fraszki*, dla tych, którzy byli w smutku – *treny*, zaś dla pozostałych – *pieśni*.

Trzeźwo stawiał sprawę sensu żywota: *Fraszki to wszystko, co-
kolwiek myślemy, / Fraszkę to wszystko, cokolwiek czyniemy; / Nie masz
na świecie żadnej pewnej rzeczy, / Próżno tu człowiek ma co mieć na
pieczy. / Zacność, uroda, moc, pieniądz, sława, / Wszystko to minie jako
polna trawa; / Naśmiewszy się nam i naszym porządkom, / Wemkną
nas w mieszek, jako czynią łątkom (O żywocie ludzkim).*

Dobrotliwie, jak mędrzec, radził, żeby się nie wymądrzać.

Mistrz słowa polskiego był po stronie stoickiego spokoju i epikurejskiej pogody ducha. Zostawił słowa, które z wiekiem się

uskrzydla ją. Co rusz po nie sięgają ci, którzy mają dość banału, jaki się sączy z TV, internetu, gazet.

Jan Kolary

Dziadek Kolary. Wspaniały starszy pan z Czatolina koło Łowicza. Chwałę starszego mężczyznę od samego początku tej części, żeby było jasno, jak w słowie cholera, choć on nie używał brzydkich wyrazów, nie kłął na świat i ludzi, co potrafią dać nie tylko w kość. Wyobraźcie sobie taką oto sytuację. Siedzimy z panią Barbarą Kolary do późnej nocy w łódzkim mieszkaniu przy ulicy Wólczańskiej. Rozmawiamy, kopcimy papierosy, pijemy kawę, potem przechodzimy na herbatę, by znowu zaparzyć kolejną kawę. Jest nam tak jak matce z synem. Cudowna łódzka noc. Późno idziemy spać. I nagle około godziny 5 słysząc dzwonek. Nie wiemy, co się dzieje. Pani wychowawczyni zrywa się. Wybiega w szlafroku do drzwi, mówi: *Pewnie dziadek!* I słysząc w korytarzu seniora rodu, rześkiego, podnoszącego głos, że przyjechał. Zachowuje się jak prowincjusz. Ale z wdziękiem. Podchodzi. Witam się. A czerstwy staruszek krzyczy, bo jest głuchy: *Panie, Basia gotuje najlepszą zalewajkę!* Pani Kolary jest speszona komplementami, a tata jej męża Jana swoje nadaje.

Pamiętam, że był ostrzyżony na jeża. Miał czuprynkę. Twarz ogorzała, jakby pracował na polu. Mocny uścisk dłoni. Krępą budowę ciała. Trzeba było mówić do niego prawie krzycząc, jak do osoby, która dożyła sędziwych lat, nie będąc nigdy u laryngologa. Powiem wprost, choć to może niegrzeczne, że był głuchy jak pień. Albo echo z wytrzebionego lasu.

Pani Barbara miała do niego słabość, jak do teścia. Gotowała gar zalewajki, żeby mu dogodzić. Siedzieliśmy we trzech przy stole: pan Jan Kolary, dziadek Jan Kolary i ja. Patriarcha rodu, po mieczu, opowiadał, a my kopciliśmy papierosy marki „Sport” lub „Klubowe”. W tym gronie tylko dziadek nie palił. Rozmowa nam schodziła do obiadu. Potem zasiadaliśmy do głębokich talerzy i jedliśmy zalewajkę. Starszy pan pałaszował i zachwalał. Zagryzał glonem

chleba i opowiadał legendy łowickie. Słuchaliśmy. Nie mówiliśmy, ponieważ musielibyśmy krzyczeć, żeby usłyszał. Nie chcieliśmy, żeby sąsiedzi myśleli, że się kłócimy. Po jedzeniu sędziwy pan szedł do pokoju. Siadał w głębokim fotelu i twardo zasypiał. Chrapał.

Na drugi dzień wyjeżdżał. Przy pożegnaniu mówił to, co zwykł gadać, gdy stanął w progu domu przy ul. Wólczańskiej: *Basia gotuje najlepszą zalewajkę!* I niosło się to po klatce, jak przedsmak wiejskiej zupy, zawierającej ugotowane, pokrojone w kostkę kartofle, zalane żurem.

Krzysztof Komeda (27 IV 1931 – 23 IV 1969)

W czasie nauki w Zasadniczej Szkole Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli po raz pierwszy usłyszałem kołysankę z filmu Romana Polańskiego *Rosmery's Baby* (Dziecko Rosemary), którą skomponował Krzysztof Komeda (właśc. Krzysztof Trzcíński), a tak cudownie ją wykonała Mia Farrow. Lulankę nieraz nuciłem, kiedy szedłem przez miasto, pod pachami lip. I ona mnie kołysała tak nastrojowo, że zapominałem o smutkach i o tym, że minąłem się z powołaniem. I raźniej mi się robiło, niezależnie od pogody. O tę śpiewaneczkę nieraz pytałem jedną z młodszych pań bibliotekarek. Liczyłem, że ma ją nagrany na szpulowym magnetofonie. Okazało się, że nie ma. Ten utwór czasami puszczano w radio.

Kiedy po latach dowiedziałem się, że kompozytor też się minął z wyborem zawodu, bo zamiast siedzieć w gabinecie lekarskim z laryngologiczną lampą czołową, wołał dulceć przed fortepianem i tworzyć nastrojową muzykę, zrobiło mi się lżej na sercu i przestałem się obwiniać.

Kołysanka Komedy ma w sobie coś z trwałego przemijania. Jest niepokojąco spokojna, jak przypływ i odpływ fal morskich, które zwilżają brzeg i leciutko pieszczą; zostawiając na pamiątkę muszelki. Nie można jej prześpiewać. Oczywiście, że zdarza mi się ją nucić. A kiedy ją słyszałem w radio, to rozkręcałem troszeczkę głośniej. Słuchałem jak trusia. W takich chwilach czułem, jakbym szedł zwil-

żony ciepłym, majowym deszczem. Pomykał między kroplami, które dzwonią na parapetach. I człowiek nie ma pretensji, że z góry deszcz bije nas kropelkami wielkości łebków od zapalek.

Werbliki kropel – idealny podkład do kołysanki, która zamiast usypiać, budzi i zaczyna się liryczny przelew.

Innymi słowy, kołysanka to jest taki sen, ale z otwartymi oczami.

Krzysztof Komeda (27 IV 1931 – 23 IV 1969). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 5 kwietnia 2011 roku.

Dr Halina Konaszewska

Byłem studentem Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. Na uczelni spotkałem dr Halinę Konaszewską, która zajmowała się rehabilitacją. W wolnych chwilach leczyła *lampeczką laserową*. Byłem jej pacjentem. Po tych zabiegach poczułem się lepiej. Nabrałem siły i większego apetytu na życie. Po raz kolejny ozdrowiałem. Uskrzydłony zacząłem iść na przekór losowi. Doktor Halina Konaszewska powiedziała, że zastosowała w praktyce teorię ks. prof. Włodzimierza Sedlaka (1911–1993). Czyli bioelektronikę.

Napisałem list dziękczynny do uczonego księdza.

Po kilku tygodniach otrzymałem odpowiedź.

Oto fragment większej całości:

Radom, dnia 5 lutego 1979

Drogi Panie Czesławie,

List Pański przesłany z dużymi oporami na Uczelnię, przeadresowano w okresie sesji zimowej na mój adres domowy i w ten sposób sięgnął mnie. Cóż, mogę się czuć zaskoczony niezwykle faktem Pańskiego powrotu jeśli nie do zdrowia w pierwotnej formie, to przynajmniej możliwość poruszania się o własnych siłach. Jestem dobrej myśli, że będzie Pan czynił postępy w chodzeniu. List Pana był dla mnie, zamkniętego w problemach badacza życia, wstrząsem, który mnie wyrwał ze zwy-

kłego biegu pracy. Nie przypuszczałem bowiem nigdy, z której strony przyjdzie wsparcie bioelektroniki. Wiedziałem intuicyjnie, że ono nadejdzie, trochę nawet sądziłem, że ze strony konkretnych wyników w medycynie. Gratuluję Panu i Pańskiej Pani Doktor. To jej upór i świadomość, że nie wszystko w medycynie powiedziano (według mnie jeszcze bardzo mało). Dla prawdziwego lekarza nie ma spraw przepadłych, praca i myślenie stwarzają takie dziwy, które Pan przeżywa. Dziękuję za list. Był mi również potrzebny, że moja praca nie idzie na jaskółcze szlaki, lecz trafia do ludzi, którym może pomóc.

Nie wiem, czy Panu są potrzebne moje prace, raczej jej owoce odbierane w skutecznej terapii Pani Doktor. (...) Niech Pan jednak dalej kontynuuje studia, rozchodzi swoje mięśnie, cieszy się życiem, postępami zdrowia. Niech Pan dalej pisze poezję. Proszę o autorskim egzemplarzu nie zapomnieć o mnie. Wprawdzie poetą nie jestem (byłem przelotnie, ale każdą ludzką twórczość cenię, zwłaszcza wyrosłą z bólu.)
(...)

Bioplazmy niech Pan jeszcze nie zgłębia, ponieważ czynię to sam dopiero i ciągle sprawa posuwa się naprzód. To dopiero w drodze badania, a nie na jej ukończeniu.

Ściskam serdecznie dłoni i proszę przyjąć moją radość jako własne dobro, do postępów Pańskiego zdrowia.

prof. dr hab. Włodzimierz Sedlak

Dzięki Pani doktor odrzuciłem wszelkie aparaty ortopedyczne, wprawiając w zadumę dziekana Wydziału Rehabilitacji AWF w Warszawie, pana prof. dr n. med. Andrzeja Seyfierda, którego odwiedzałem jako były pacjent z Zagórza koło Warszawy. Obaj przecieraliśmy oczy. Poczułem się tak, jakbym szedł po wodzie.

Pamiętam, jak 14 grudnia 1978 roku na mój ślub z Graszka przyniosła dla nas białą kiść bzu. I tak nam dobrze życzyła. Zachowało się z tego czasu zdjęcie czarno-białe.

Potem kontakt się urwał. Nieraz ją wspominałem, bo przecież dzięki niej zacząłem lepiej chodzić. Przeszedłem kilka godzin zabiegów laserowych, masaży.

Ileż ona zostawiła energii. Ba! Czasami jej towarzyszyłem i pomagałem podczas zabiegów małych pacjentów. Trzymałem ich, zaś ona *przypalała* laserową lampeczką. A rany nacierała aloesem. Próbowowała pobudzić nerwy i zwiotczałe mięśnie. To była strasznie wyczerpująca praca.

Chyba w 2007 roku dowiedziałem się, że prowadzi Gabinet Kosmetyki Leczniczej, Estetycznej i Rehabilitacji w Warszawie, ul. Międzyborska 48 (Praga-Południe). Odwiedziłem ją, bo zacząłem mieć problemy ze zdrowiem (zaczęło się post-polio). Nie mogłem jej poznać. Tak się zmieniła. Bardzo się tym zasmuciłem. Porozmawialiśmy chwilę. Nie naciskałem, żeby mi pomogła, bo tak nakazywała mi przyzwoitość. Podarowała mi wykaz diet i kilka rad.

Była pracownikiem naukowym w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, ul. Szczęśliwicka 40 (obecnie Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej). Próbowwała niekonwencjonalnymi metodami rehabilitować pacjentów, wobec których medycyna była bezradna. Miała w sobie tyle entuzjazmu, radości i pasji, żeby ulżyć pacjentom w bólach i cierpieniach. Nieraz szastała swoim czasem i dawała z siebie więcej, niż miała. Za życia niedoceniona, pomiatana, jak ludzie, którzy myślą inaczej; wymykała się wszelkim konwencjom i stereotypom. Wielka filigranowa pani doktor Halina Konaszewska; miała pełne oczy uśmiechów od pacjentów.

Doktor Halina Konaszewska. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 19 października 2012 roku.

Władysław Kopaliński, właśc. Władysław Jan Stefczyk (11 XI 1907 – 5 X 2007)

Nauczyciel języków obcych, dyrektor programowy Polskiego Radia (1945–1959), autor słuchowisk, redaktor naczelny, prezes SW Czytelnik, korespondent PAP w Waszyngtonie, felietonista (w latach 1954–1974 pisał do „Życia Warszawy” felietony pt. *Bałagan na*

Marsie oraz *W Warszawie i w Warszawie*), leksykograf (od 1967 roku), tłumacz, edytor, autor słowników z *ludzką twarzą*. Wystarczy tylko przytoczyć tytuły jego książek, żeby się przekonać, z kim mieliśmy do czynienia: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, *Słownik mitów i tradycji kultury*, *Słownik symboli*, *Księga cytatów z polskiej literatury pięknej od XIV do XX wieku*, *Słownik przypomnień*, *Kot w worku, czyli z dziejów pojęć i rzeczy*, *Encyklopedia «drugiej płci»*, *Słownik eponimów czyli wyrazów odmiennych* i inne. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś, kto pisze, nie miał tego w bibliotece. W zasięgu rąk. Nie będę pisał głupstw, że były to bestsellery, bo największy nakład ma... papier toaletowy i ręczniki higieniczne.

W 1999 roku pojawiła się 9. książka leksykograficzna pt. *Słownik wydarzeń, pojęć i legend XX wieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN SA, 528 stron zadrukowanych małym krojem pisma, 3800 haseł, indeks z ponad 3500 nazwiskami. Pod koniec XX wieku powstała książka, która rejestrowała wydarzenia, pojęcia i legendy. Kwintesencja. Przeczytałem ją od *deski do deski*, bo nie była napisana drewnianym językiem. Oczywiście, że wiedziałem o tym, że słowniki, leksykony czyta się na wrywki. W trakcie lektorowania poczyniłem stosowne uwagi. Wytropiłem 14 chochlików (errata), zrobiłem dział uzupełnienia oraz dołączyłem tekst pn. *Proponuję w następnym wydaniu uwzględnić*. Komputeropis wysłałem do pana Kopalińskiego, na adres wydawcy. Nie otrzymałem potwierdzenia, że to dotarło do adresata. Uczyniłem to w darze wdzięczności, że zredagował kolejną książkę – majstersztyk. Napisać, że bardzo wysoko sobie ceniłem jego pracę, to nic nie napisać. Nigdy nie szukałem pretekstu do spotkania. Znam swoje miejsce w życiu, i wiem, jaka jest moja półka. Władysławowi Kopalińskiemu udało się stworzyć z dzieła osobistego – rzecz o charakterze uniwersalnym, do którego miło sięgnąć. Dziś do rzadkości należą teksty pisane skrótem i tak po polsku. Z biglem. Nierzadko przemycił zdrowolubny humor i dowcip. Notki Kopalińskiego są nie tylko urokliwe, ale

i dobrze się kończą. I to jeszcze bardziej wyostreza apetyt czytelnicy. Odnotowywał wiele cytatów, które drzemiały sobie w zszywkach gazet. Dziś skazanych na niepamięć, no bo komu by się chciało zrobić kwerendę w zszywkach ulotnych druków. Kopaliński wydobywał na światło druku, fiszkował, podsuwał do zapamiętania. Wyłuskiwał cytaty ze *światła druku*. Tak na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, czy się nie przydadzą.

Przypomnę, że Władysław Kopaliński swoje leksykony pisał na fiszkach, które starannie układał do pudełek po butach i zanosił do wydawnictwa. W ten oto sposób skrawek papieru został nobilitowany. Karteluszek wymaga starannego pisma, żeby go można było odczytać.

W marcu 2002 byłem na Mszy św. w warszawskim kościele środowisk twórczych, gdzie żegnano pewnego ponurego felietonistę z „Życia Warszawy”. Pod filarem, przy stoliczku siedział Władysław Kopaliński. Ukłoniłem się, jak czytelnik, który tyle razy zaglądał do jego książek. Był speszony i zdziwiony tym, co się działo. Przyszedł pożegnać kolegę po piórze, który był agnostykiem, a po śmierci nagle cała ta hucpa. Pod wspornikiem siedział cichy pan – autor leksykonów, z których czerpię pełną garścią. I widać było, że *ceniał dowcip, a wazeliny nie znosił* [Leopold Unger, *Kopaliński nie był instytucją*, „Gazeta Wyborcza” 2007, nr 236 (9 października)].

Powiedział kiedyś: *Za mało pisałem, bo mam takie usposobienie, że lubię pisać w sposób skompromowany*. Czyli lubił tak ścisnąć, żeby było zwięzłe i lakonicznie. Jak mówi ulica – bez lania wody lub, inaczej, bez obwijania w bawełnę.

Pochlebia mi to, że urodziłem się w roku *polskiego felietonu gazetowego*, który opublikowało w 1954 roku „Życie Warszawy”. Był to tekst Władysława Kopalińskiego.

Piszę mini wspomnienie o leksykografie, choć jest to elegia na odejście leksykonu, słownika z polskiego życia kulturalnego. Obym się mylił.

Samuel Johnson, angielski leksykograf XVIII wieku, o takich ludziach jak Władysław Kopaliński napisał: *Słownikarz to nieszkodliwy tyrała*.

Urszula Koperska

Starsza pani, z III klatki, II piętro. Mówiliśmy o niej *Pani Urszula*. Samotna kobieta mieszkała po południowo-zachodniej stronie ursynowskiego osiedla „Na Skraju”. Ilekroć się mijaliśmy, to zatrzymywała się, żeby powiedzieć komentarz. Nie była to refleksja świadcząca o tym, że człowiek to brzmi dumnie. Od wiosny do jesieni wyruszała z bloku z chlebachkiem na plecach. Peregrynowała jak działkowicz. Tak przeżywała czas. Jeździła na warszawską działkę. O szarej godzinie wracała do domu. Po drodze zachodziła do ogródka sąsiada i coś tam grzebała w ziemi, nie pytając właściciela, czy może bobrować. To dzięki niej w gazonach przed III klatką rosły kwiaty. Czasami wpadała do niej siostra, filigranowa pani, siwiuteńka jak gołąbek. Powściągliwa w radości. Mówiła lapidarnie. Nie będę tego ukrywał, że raz mnie wprowadziła w kłopot, bo oberwałem komplementy za to, co piszę w „Paśmie. Tygodnik dla Ciebie”.

Pani Urszula dbała, żeby lokatorzy nie śmiecili. Musztrowała dzieci i młodzież, i starszych. Perswadowała i upominała. Nasz balkon był naprzeciw jej okna, w którym lubiła stanąć jak przed lustrem. Kłaniałem się jak Giocondzie. Dłonią kreśliła pozdrowienie.

Czasami znikwała na długie tygodnie. Potem na klatce schodowej opowiadała z entuzjazmem, że była w Kanadzie i innych państwach. Nigdy dłużej z nią nie rozmawiałem. Nasze spotkania były takie grzeczne, z opowieściami o pogodzie, więc bezpieczne. Nie wiem kim była i gdzie pracowała. Ja prawie nic o niej nie wiem. Serio. Ratuję się tylko jej rysopisem i tym, jak się czasami zatrzymaliśmy, żeby się nie minąć.

Po śmierci siostry załamała się. Zaczęła gasnąć. Pod wieczór stała w oknie i patrzyła w ursynowską dal, gdzie topole i wniebo-

głosy, co posilają się koreczkami samochodów. Przestała się uśmiechać, gdy jej machałem delikatnie ręką. Kiwała głową. Zza szyb.

W sierpniu 2006 roku przyszła do nas sąsiadka i zostawiła karteczkę, że zmarła pani Urszula Koperska. Trzeba było śmierci, żebym się dowiedział, jakie nosiła nazwisko sąsiadka z bloku. Z wielkiej płyty. Na Ursynowie (i nie tylko!) jesteś sam wśród ludzi.

Prof. Hilary Koprowski (5 XII 1916 – 11 IV 2013)

Absolwent XI Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Reja w Warszawie. Ukończył studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Studiował w konserwatorium muzycznym w Warszawie oraz w Akademii Św. Cecylii w Rzymie. Długo nie mógł się zdecydować, co wybrać: czy muzykę, czy medycynę? Ostatecznie wziął na drogę łaskę Eskulapa z opłatającym węzem i złożył przysięgę Hipokratesa, że *Będę stosował zabiegi lecznicze wedle mych możliwości i zdolności ku pożytkowi chorych, broniąc ich od uszczerbku i krzywdy (...), oraz Cokolwiek bym podczas leczenia, czy poza niem w życiu ludzkim ujrzał, czy usłyszał, czego nie należy rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy.*

Polski lekarz, wirusolog i immunolog, który od 1944 roku zamieszkał w USA.

Kiedy ktoś wymieniał to zacne nazwisko – było wiadomo, że chodzi o twórcę pierwszej w świecie szczepionki przeciwko wirusowi polio (Heinego–Medina, H14). Dzięki profesorowi Hilaremu Koprowskiemu nad światem nie krąży widmo tej straszliwej choroby. I o tym powinni pamiętać ci wszyscy, którzy chodzą, ruszają dłońmi, są sprawni. Uczulam ich tylko dlatego, że nie należę do tych szczęśliwców. Dzięki profesorowi świat jest na pewno bogatszy o uśmiech i uboższy o cierpienie i ból. Wyrazy wdzięczności należą się uczonemu. Oczywiście, że ten polski lekarz został przez świat doceniony. Otrzymał odznaczenia, nagrody, wydano o nim dwie biografie (*Wygrać każdy dzień*, we współpracy z Agatą Tuszyńską, Wydawnictwo Diana, Warszawa 1966, Roger Vaughan, *Listen to The*

Music. The Life of Hilary Koprowski /tł. polskie: *Takty i fakty*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1999).

Rodzice, którzy szczepią dzieci przeciwko polio, powinni wiedzieć, komu zawdzięczają, że ich latorośli nie dotknie ten straszliwy wirus, co przynosi nieszczęście.

Przed laty zapytałem prof. dr. hab. med. Andrzeja Seyfrieda, nestora polskiej rehabilitacji, jakie zachował wspomnienie o zacnym profesorze, oto co powiedział: *Znałem profesora z Instytutu. W tym wygaśnięciu polio, w wygaśnięciu tej epidemii polio, to profesor Koprowski odegrał zasadniczą rolę.*

To było niedawno, już nie pamiętam, gdzieś mam taki dyplom ze światowej organizacji zdrowia (WHO), że... byłem jednym z uczestników programu wykorzenienia, bo takie łacińskie słowo [niewyraźnie powiedział, może chodziło o łac. exterminationis], wykorzenienia polio w Polsce. Pana profesora Koprowskiego miałem zaszczyt poznać ponownie na zjeździe Reyaków, ponieważ odbywał się jakiś zjazd uczniów gimnazjum Mikołaja Reya, którzy przed wojną kończyli tę szkołę, wśród nich był m.in. profesor Koprowski, razem z profesorem Wenuletem [niewyraźnie powiedział]. Ja byłem jako jeden z tych starszych profesorów. Profesor Koprowski to wielki uczoney, światowej sławy. No, niestety, został tam w swoim uznaniu swoim wielkich zasług troszkę odsunięty na bok, chociaż – zdaniem wielu bardzo uczonych, z którymi ja miałem kontakty na terenie Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) – jego uważali przed Salkiem za tego, który pierwszy wynalazł szczepionkę na tę chorobę. Tyle mogę powiedzieć (Pamięć i zapomnienie. Z prof. dr. hab. med. Andrzejem Seyfriedem rozmawiał Czesław Mirosław Szczepaniak, Warszawa-Ursynów–Warszawa Śródmieście Południowe 2008, nakładem własnym).

Profesor Hilary Koprowski (urodzony w Warszawie, zmarły w Filadelfii) – uczoney lekarz, który robił wszystko, żeby człowieka szlachetne zdrowie pokochało. Był wielki, jak łąy szczęścia.

Prof. Hilary Koprowski (5 XII 1916 – 11 IV 2013). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 kwietnia 2013 roku.

[Dopisek podczas korekty]

Polio

W „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 4 grudnia br. ukazała się informacja *Patron od szczepionek polio. Nowe nazwy ulic*, sygnowana **osa**. Zespół Nazewnictwa Miejskiego do końca nie zadał sobie trudu i zapewne nie wie, że szczepionkę przeciw polio (choroba Heinego-Medina albo H14) zawdzięczamy trzem wielkim lekarzom-bakteriologom, podaję w kolejności alfabetycznej: Albert Bruce Sabin (1906–1993), amerykański lekarz polsko-żydowskiego pochodzenia; prof. Hilary Koprowski (1916–2013); Jonas Edward Salk (1914–1995). Szerzej o tym można przeczytać w monografii, jaką napisał David M. Oshinsky pt. *Polio. Historia pokonania choroby Heinego-Medina*, Wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2015. Przypominam o tym, bo należy oddać zasługi tym, którzy *wykorzeniali* tę straszną chorobę.

W Polsce nie doczekaliśmy się monografii o tym, jakie były szpitale i sanatoria, oraz osoby, które z takim poświęceniem ruszały na odsiecz. Ponieważ wśród pacjentów i ja byłem, więc o tym przypominam i dziękuję za to, że dostałem szansę na życie, sprawne inaczej.

Koszula, Jasny gwint, Koszulka, Polio, Trzeba umieć pić. Na miarę Wlenia (50) [w:] wleninfo.pl, 15 grudnia 2019 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-50-koszula/>.

Jerzy Nikodem Kosiński (14 VI 1933 – 3 V 1991)

W Łodzi przebywałem w latach 1973–1976. Uczęszczałem do IX Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących przy ul. Obrońców Stalingradu 27 (dzisiaj ul. Legionów). Mieszkiałem w bursie na Bałutach, ul. Żubardzka 1A, z młodzieżą ze szkół zawodowych, muzycznych, plastycznych oraz studentami ze szkoły muzycznej i Uniwersytetu Łódzkiego. Mogłem zamieszkać w tym internacie dzięki poparciu Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Bez tego wsparcia, nie wiem, jaki by mnie spotkał los. W tym mieście napi-

sałem swoją debiutancką książkę poetycką pt. *Mieliśmy Białe ściany*. Do miasta nad Pietryną mam słabość, która nie przeszła z wiekiem. Łódź to trudne miasto, bo z charakterem. Ostatni raz w nim byłem w 1988 roku. Skąd o tym wiem? Ano stąd, że zachowałem w pamięci wycinek pt. *Psychiczna łódka Kosińskiego*. To był kolejny odcinek z cyklu *goście Łodzi*, jaki ukazywał się na łamach łódzkiego informatora pn. „Kalejdoskop”. W nr 7–8 z 1988 roku redaktor Marek Miller opracował wypowiedź Autora *Malowanego ptaka* ze spotkania ze studentami w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

Pisarz przypomniał, że ostatni raz wygłosił odczyt do Polaków 19 marca 1957 roku pt. *Problemy życia rodzinnego w USA*. Podczas spotkania perorował: *Pamiętam twarz człowieka w ostatnim rządzie – dobrze po sześćdziesiątce, z monoklem w oku. To był mój ojciec i to była wyjątkowa sytuacja, bo on nigdy na odczyty nie chodził. Jego koncepcja bytu polegała na tym, że trzeba pielęgnować każdy moment życia, bo nie jest on projekcją czasu, który można przewidzieć. W związku z tym mój ojciec uważał, że trzeba studiować słowo. Jeżeli już wytłaniał się ze swojego pokoju, to czasami pozwalał moim kolegom, sprawdzać swoją znajomość języków. Tych języków było wiele. Brało się słownik niemiecki, francuski, hiszpański... «Otwórz – mówił – jeżeli znajdziesz słowo, którego nie znam, to dam ci na piwo». Nikomu piwa nie zafundował. Nigdy mi też tego odczytu nie wybaczył. «Jeżeli stajesz przed innymi – mówił, żeby im coś powiedzieć, to automatycznie tracisz rację prywatnego bytu, a poza tym insynuujesz, że masz im coś do powiedzenia, czego oni nie wiedzą. A skąd wiesz? Od tego momentu każdy z nich będzie miał prawo powiedzieć – nic żeś nam człowieku nie powiedział, a wobec tego, dlaczego się przed nami postawiłeś?». Powrót do Łodzi jest dla mnie powrotem do tego starszego pana ze świecącym monoklem w oku i jego pytań. On uważał, że ja popełniłem błąd filozoficzny zmieniając proporcję istoty bytu, istoty życia.*

Studiować języki nikomu nie szkodziło. Czy on studiował po to, żeby z kimś mówić? Nie. Powtarzał wciąż – «w kawiarni niczego się

nie dowiesz, nawet w „Honoratce”. Trzeba studiować języki, żeby poznać mądrość, jaka się w nich zawiera» – mówił. A ja mu na to – może po to, żeby w tych językach pisać? On – «Po co? Żeby powiększać stopy makulatury?».

I proszę, przy okazji wyszły dwa wspomnienia – o ojcu i synu.

Zamiast pointy przypisek, który chciałem opatrzyć (zgastą) gwiazdeczką (*): Jerzy Nikodem Kosiński, urodzony jako Józef Lewinkopf (ur. 14 VI 1933 roku). Polsko-amerykański pisarz pochodzenia żydowskiego, co pisał w języku angielskim. Urodził się w Łodzi jako syn żydowskiego przemysłowca Mieczysława (Mojżesza) Lewinkopfa i Elżbiety Linieckiej Weinreich. Mieszkali w tym okresie, do wybuchu 2. wojny światowej, przy ul. Gdańskiej 74. Czyli niedaleko od Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących (dzisiaj w tym miejscu jest Szkolne Schronisko Młodzieżowe, kategoria I).

3 maja 1991 roku popełnił samobójstwo w Nowym Jorku, zażywając śmiertelną dawkę barbituranów i nakładając na głowę plastikowy worek. Zostawił karteczkę: *Kładę się teraz do snu, na trochę dłużej niż zwykle. Nazwijmy to wiecznością*. Dwa zdania. Złożone i proste.

Piszę to wspomnienie łódzkie tylko dlatego, żeby takie coś się nie zmarnowało, tzn. nie *poszło krzywym dyszłem*. Jak drzewiej mawiali nie tylko furmani z batem.

Prof. dr hab. Janusz Kostrzewski
(10 III 1930 – 29 XI 2012)

W latach 1976–1980, kiedy studiowałem w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, spośród kadry naukowo-dydaktycznej wyróżniał się doc. Janusz Kostrzewski. Strasznie nerwowy wykładowca. W garniturze. W białej koszuli, pod krawatem. Obcięty jak amerykański generał. Czyściutki. Wykładał z ogniem. Miał cięte wtręty. Mówił, jakby słowami strzelał. Wejść z nim z spór, to dopiero jatka! Walił na odlew. Kiedy mi się

nudziło na przerwach, to podchodziłem do docenta i radziłem się w sprawie lektur z psychologii. Polecał i oceniał na bieżąco. Ukierunkowywał mnie, co powinienem czytać. Wspaniały wykładowca. W słowie pisanym rozwlekły, z całym tym aparatem naukowym i słownictwem takim, że bez słownika wyrazów obcych, nie sposób tego czytać. Bardzo ostro reagował na spuściznę prof. Janiny Doroszewskiej (1900–1979), koleżanki prof. Marii Grzegorzewskiej, twórczyni działu przewlekle chorzy i kalecy, który wybrałem sobie jako specjalizację. Na wykładzie nieraz wykrzykiwał, że profesor Doroszevska pisała *bzdurki dla córki*. I to miało miejsce pod dachem uczelni z szyldem WSPS im. Marii Grzegorzewskiej. Skąd brała się taka awersja do żony prof. Witolda Doroszewskiego (1899–1976), doprawdy nie wiem.

Kostrzewskiego bali się studenci, ale lubili jego wykłady, bo wnosił w życie uczelniane wariactwo kontrolowane. Oczywiście, że musiałem dobrze kombinować, żeby się nie dowiedział o tym, że mam słabość do patronki naszej Alma Mater.

Docent zajmował się badaniami głęboko upośledzonych dzieci, oraz zaburzeniami młodzieży. Działal w różnych stowarzyszeniach naukowych, polskich i zagranicznych. Wyjeżdżał za granicę. Znakomicie mówił po angielsku. Miał na temat psychologii niesamowitą wiedzę. Kiedy go o coś pytałem, to zwykł zamykać oczy i po chwili przypominał sobie i mówił. W internecie znalazłem jego curriculum vitae. Trochę chaotycznie napisane, ale taki też był pan profesor. Na samym końcu znalazł się passus: *Hobby: turystyka górską oraz terenowa turystyka rowerowa; w młodości narciarstwo i tyżwiarstwo, czytelnictwo*.

Po jego nerwowym chodzie wiadomo było, że należy do szkoły perypatetyckiej. Nie wyobrażam sobie profesora na rowerze, ale... niech będzie pompka przy kole z dętką. Myślę, że czytelnictwo tylko nie budzi moich zastrzeżeń, bo profesor nie dość, że przychodził na uczelnię z teczką pełną książek, oraz prac, to jeszcze na dodatek nieraz w rękę trzymał gazetę. Szedł i doczytywał po schodach. Zawsze się spieszył.

Podobno kiedyś powiedział: *Gdybym miał przed sobą jeszcze jedno życie, to poświęciłbym się zgłębianiu ludzkiej psychiki oraz pomocy człowiekowi będącemu w potrzebie.*

Należał do ludzi, którzy wyostrozali apetyt intelektualny. Miał swój styl, maniery, klasę i finezyjny dowcip. To był ktoś, z kim nie sposób było się nudzić, choć zadawał trudne pytania.

Prof. dr hab. Janusz Kostrzewski (10 III 1930 – 29 XI 2012). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 grudnia 2012 roku.

Tadeusz Kościuszko (4 II 1746 – 15 X 1817)

Oczywiście, że nie wiedziałem tego, że był niewysokim i szczupłym mężczyzną. Nie dbał o elegancję. Na znak wdzięczności i podziwu do kosynierów, wdział sukmanę chłopską. Jeszcze coś dorzucę. Naczelnik był kawoszem, potrafił przyrządzić na kilka sposobów kawę. W czasie francuskiej emigracji, raniutko się budził i parzył napój z ziaren kawy. Podobno wypijał kilka filiżanek. Potem lektorował gazety i czytał książki, oraz korespondencję i radził sekretarzowi, jak ma odpowiedzieć na listy. Lubił pracować w ogrodzie; spacerował, odbywał konną przejażdżkę. O godzinie 16 zasiadał do obiadu.

W czasie sjeisty oddawał się pasji malarskiej albo tokarskiej. Toczył tabakierki, cukierniczki, lichtarzyki, którymi obdarowywał znajomych. Miał mały warsztacik, w którym sobie dłubał.

Po kolacji grał w szachy lub karty (wista), czasami słuchał gry na harfie.

Około godziny 22 szedł spać.

I pomyśleć, że o tym, co piszę, nie pisał półgębkiem podręcznik do historii Polski, z którego się uczyłem. Szkoda, że takie ciekawostki przekreślają autorzy repetytorium. A przecież to, co istotne, tkwi w szczególności albo we fragmencie.

Ponieważ mój ojciec był tokarzem, więc z dziką satysfakcją odnotowuję to, że naczelnik Tadeusz Kościuszko, a także Karol Stani-

sław Onufry Jan Nepomucen Radziwiłł *Panie Kochanku* herbu Trąby (1734–1790), oraz Stanisław Staszic (1755–1826) fascynowali się obróbkę skrawaniem, ale w drewnie.

Sen z 5. na 6. listopada 2017 roku, Recepta, Od Szczerej Wsi do Kopanej, To nie bajka!, Tadeusz Kościuszko (4 II 1746 – 15 X 1817). Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 46.

Prof. Tadeusz Kotarbiński (31 III 1886 – 3 X 1981)

Z nostalgią czytam jego *Szkice z historii filozofii i logiki, Medytacje o życiu godziwym, Traktat o dobrej robocie, czy Wesołe smutki*. To jest jedyny uczony, który mnie nie raził, kiedy używał słowa – socjalizm, na którym budował swoje teorie, co runęły jak domek z kart. Pomijam też inne upodobania. Należał do tych osób, co *gładziej i żywiej mówili niż pisali*. To była wybitna postać. Dobrze, że jej nie sprofanowano jakimś pomnikiem, który jest nudą w pejzażu. I nietaktem dla zdrowego rozsądku.

Profesor potrafił napisać lapidarny komentarz i objaśnienie, które było trudne do zrozumienia. Współcześni naukowcy przy Kotarbińskim wyglądają tak blade, że powinni czym szybciej iść do czytelnicy/biblioteki, żeby wstydu nam oszczędzić. Jestem zażenowany ich wiedzą, butą, pychą. Profesor Kotarbiński nie należał do tych, co zbyt dbali o szatę literacką, bo to był typ wykładowcy-uczonego. Należał do nielicznych uczonych, którzy potrafili ułożyć wierszyk. Lubił rysować, malować i... plewić grządki w ogródku (*Ja nie pracuję, ja «przyjemnuję» się w ogrodzie*).

Był subtelny, wyważony i stonowany. Erudyta a nie gaduła, co przeczesuje myśli na własne kopyto. Mówiąc językiem prakseologii, mogę powtórzyć, że *co miał do powiedzenia, to kładł słuchaczom, jak to się mówi, łopatą do głowy, nie licząc się z czasem ani z tym, że niejeden wolatby szybciej rwać naprzód*.

Profesor spolegliwie przypominał, że *Polak, jak mu przyjdzie fantazja do głowy, może być całkiem porządnym człowiekiem*. Poza

tym potrafił świetnie pisać. Oto próbka: *Na innym miejscu ukazać się winno wspomnienie o «Witkacym» jako malarzu portretów niepodobnych do jakichkolwiek innych portretów na świecie, autorze «Tumora Mózgowicza», pełnego mądrych szarpnięć za serca i non-szalanckich psikusów, o powieściopisarzu – twórcy nieskładnego a przenikliwego «Pożegnania jesieni», o głosicielu Czystej Formy w sztuce, formy, której mu właśnie brak było we wszystkim najbardziej, o badaczu działaniu używek, które sam na sobie wypróbował i wszystkie w końcu potępił (...)* (*Myśli o myśleniu*, „Przegląd Filozoficzny” 1946, nr 3-4).

I jeszcze jedno przemyślenie oderwane (na chwilę) od ziemi: (...) *Staje się jasne, że nie ten samolot najbardziej wart podziwu, na którym w końcu przeleciało Atlantyk, lecz ten, co niewprawnym skrzydłem, z góry na pazurki, dokonał pierwszego króciutkiego naiwnego przelotu (...)* (*Program Bacona*, 1932).

Prof. Tadeusz Kotarbiński wyszedł ze szkoły prof. Kazimierza Twardowskiego (1866–1938), filozofa, który uczył *umiejętności zwięzłego zdawania sprawy z lektur*. Powiem więcej: *potrafił stosować ją w sposób twórczy, wyjaśniając myśl czytanego autora i zarazem nie naruszając jej sensu*.

Sięgam po książki profesora Tadeusza Kotarbińskiego i uczulam *Graszkę*, żeby się czasami nie dziwiła, jak zauważy u mnie od-ruchy, jakie ma opiekun spolegliwy (bohemicizm).

Kto to jest?

Expressis verbis: Opiekun wtedy jest spolegliwy, kiedy można słusznie zaufać jego opiece. Że nie zawiedzie, że zrobi wszystko, co do niego należy, że dotrzyma placu w niebezpieczeństwie i w ogóle będzie pewnym oparciem w trudnych okolicznościach. (...)

I pomyśleć, że napisał to ktoś, kto nie ukrywał: ... *Mnie do pasji doprowadzają objawy takich «cnót», takich i innych, jak na przykład panoszące się na Mazowszu niechlujstwo. To jeden z motywów mego Traktatu o dobrej robocie. Lapidarnie rzecz ujął: Porządek trzeba robić, nieporządek robi się sam.*

Uczuła, że *Do tego, by dobrze się działo, potrzebne są młode ręce i stare głowy*. Żeby nie było niedomówień, objaśnił: *Młody jest ten, kto wieczorem jest taki jak rano, stary jest ten, kto rano jest taki jak wieczorem*.

Staromodny profesor. Wzór.

Profesor Tadeusz Kotarbiński (31 III 1886 – 3 X 1981). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 września 2017 roku.

Maria Dorota Kowalska

Była etnografem i historykiem. Od 1985 roku pisała opowiadania i wiersze, które zyskały sobie sympatię wśród prowadzących działą literackie i jurorów konkursów o zasięgu ogólnopolskim. Z grubsza rzecz biorąc, wiersze te krążą wokół Tajemnicy, tj. Biblii. Raz się tylko spotkałem z Autorką i zupełnie przypadkowo (raz) rozmawiałem przez telefon i dowiedziałem się, że przygotowuje do druku debiutancki tomik poetycki. Pierwsze jaskółki jeszcze zdążyła zobaczyć w szpitalu (*Tobół Nikodema*, Książka dofinansowana przez Wydział Kultury Urzędu Dzielnicy Mokotów Gminy Warszawa Centrum, Warszawa 1998, ss. 56). W spisie treści znalazło się 46 wierszy. Niewiele da się powiedzieć o tych lirykach. Są bardzo wy-ciszone, z leciutkim smuteczkiem. Zadumane. Tkane nostalgią. Dyskretne. Bardzo opanowane, żeby tylko za bardzo się nie odsto-nić przed światem. Co rusz natrafiamy na postacie z Biblii: Niko-dem, Zacheusz, Bartymeusz, Aron, Szymon, św. Rodzina i ludzie z drogi krzyżowej. Autorka wybrała sobie Nikodema, księcia ży-dowskiego, dostojnika, faryzeusza, który pod osłoną nocy przycho-dził do Chrystusa, bo ciągle miał jakieś wątpliwości, jak człowiek zadumany nieco – ciągle mu się coś nie zgadzało. Z czułością mówił do Pana Wszechświata *Rabbi...* To Nikodem namaścił Jezusa dro-gocennymi olejami. Zakupił około 30 kg mieszaniny (mirra i aloes). Poza tym mało kto wie, że zachowała się *Ewangelia Nikodema*, zwana też *Dziejami Piłata*. W formie noweli opisany jest proces nad

Panem Jezusem, wyrok i Jego zmartwychwstanie. Po trochu wszyscy mamy coś z Nikodema, który lubił pytać i chciałby od razu znaleźć odpowiedź na bolączki, jakie życiu towarzyszą.

Maria Dorota Kowalska, zwyczajem benedyktynów, wdychała Biblię. Wydechem była modlitwa i garść wierszy.

8 stycznia 1999 roku odeszła, jak pisała, w *wieczność Nieczasu*, gdzie żarna nie miały cierpień. Na nic się zdają wszelkie słowa. Wystarczy cisza i modlitwa. I nic więcej.

Maria Dorota Kowalska. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4–5 kwietnia 2009 roku.

Marek Arpad Kowalski (1942 – 19 VI 2013)

19 czerwca 2013 roku zmarł dr Marek Arpad Kowalski, etnograf, pisarz, dziennikarz.

Z panem Markiem znaliśmy się z czasów, gdy pracował w „Tygodniku Kulturalnym”. W środę, kiedy składałem krótkie wizyty i przynosiłem felieton, wpadał do redakcji pan Marek. Pierwsze kroki kierował do sekretariatu. Z przegródki wyciągał plik prenumerowanych gazet, korespondencję, lapidarnie mówił, i siedł do redakcyjnego pokoju. Nosił okulary z grubymi szklami. Nie zdarzyło się, żebyśmy odbyli rozmowę. Były to zwykłe grzecznościowe dzień dobry, i nic poza tym. To był bardzo poprawny publicysta.

Komentator wydarzeń kulturalnych. Z dyskretnym żartem i zadumą.

Raz chciałem go ożywić i napisałem króciutki felieton pt. *Dajmy spokój Kowalskiemu!*, „Tygodnik Kulturalny” 1983, nr 38. Pan Marek, jak przystało na dobrze wychowanego człowieka, odpowiedział felietonikiem z wdziękiem pt. *My Kowalscy!*, „Tygodnik Kulturalny” nr 43, w którym m.in. pisał: (...) *Istotnie, chciałbym mieć trochę spokoju, dajmy – jeśli już dopominać się – Kowalskiemu wyższą pensję, mniejsze obowiązki. Byłbym szczęśliwy. Atoli czasem*

nachodzą mnie inne myśli niż te, które przypisuje mi sympatyczny obrońca nazwiska. Jak to? Jest nas tak wielu, i co? Przecież jesteśmy potęgą. Wśród nas są liczni profesorowie, generałowie, mężowie stanu, którzy weszli na karty historii – np. Roch, ten od pana Sienkiewicza, z „potopu”. Więc właściwie czego się wstydzić. Tak pięknego nazwiska? A iluż mamy kuzynów za granicą? Kuźniecowa, Schmidt, Smith, Forgeur i Kovacs to nasi krewniacy rosyjscy, niemieccy, angielscy, francuscy i węgierscy.

Więc niech wstydzą się inni, że nie są Kowalskimi. A ci nasi przodkowie! Ba, wiele o tym mogą powiedzieć panowie Niesiecki, Paprocki, Kasprzycki. O czym przypomina wszystkim nie-Kowalskim, wasz szczerze oddany Marek Arpad Kowalski.

Zauważyłem, że potem kiedy mnie mijał, uśmiechał się. Wrodzona nieśmiałość powodowała, że nie szukałem pretekstu do rozmowy.

Oczywiście, że czytałem jego teksty, bo zawsze dużo pisał, recenzował książki.

A jednak... niewiele o nim wiem.

W latach 90. XX wieku pisał felietony w tygodniku „Najwyższy Czas!”, cyklicznie ukazywała się rubryka pod wierszonym KSIĄŻKA TYGODNIA. Kiedy zacząłem wydawać nakładem własnym książki, bo miałem dość tego, że na moje propozycje polscy wydawcy reagowali niegrzecznie, wysyłałem je bez listu przewodniego do pana Marka, który nieraz o nich pisał. Było mi potem głupio, bo za bardzo mnie przeceniał. Oczywiście, że apelował do wydawców, aby zwrócili na to uwagę, ale... było to wołanie na pustyni. Ten miły gest starszego kolegi po piórze towarzyszył mi, gdy wydawałem kolejną książkę, na którą nikt nie czekał w mojej ojczyźnie.

Kiedy umarła jego żona, napisał do mnie wzruszający list, którego nie będę publikował nawet we fragmencie. Po raz pierwszy otworzył się przede mną. Tak szczerze wyznanie, to rzadkość w mojej kolekcji epistolarnej.

Czasami napotykałem w różnych gazetach jego sprawnie napisane teksty. Czytałem i przychodziły wspomnienia sprzed lat, z „Tygodnika Kulturalnego”. I widzę go z plikiem gazet pod pachą.

Pan Marek Arpad to był typ publicysty, erudyty. Gazetoholik i książkoholik. Ponieważ też jestem w podobnych nałogach, więc nigdy się nie dziwiłem, że nie mieliśmy czasu pogadać. Mól książkowy w czytelni/bibliotece ma czas, gdy wietrzą salę. Tak drzewiej bywało.

Marek Arpad Kowalski to był bardzo grzeczny pan. Ale w takim ujęciu Mickiewiczowskim: *Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą. / Niełatwą, bo nie na tym kończy się, jak nogą zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;* (Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*).

Marek Arpad Kowalski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28 sierpnia 2013 roku.

Karl Kraus (28 IV 1874 – 12 VI 1936)

Pisarz i dziennikarz austriacki, twórca tzw. wiedeńskiej szkoły eseju. Pisał wiersze, dramaty, satyry, aforyzmy i felietony. W wieku felietonizacji, jakim żyjemy, rzadko się przypomina o tym, że to właśnie on ukuł definicję felietonu. Nie ukrywał tego, że *WIEJSCY balwierzze mają jabłko, które wtykają chłopom w usta przed rozpoczęciem swej pracy. Gazety mają felieton*. Przypomnę, że na cyrulika mawiano balwierz. Była to osoba, która drzewiej zajmowała się m.in. goleniem, kąpaniem, rwaniem zębów, czyszczeniem uszu, puszczeniem krwi, wykonywała nieskomplikowane operacje. Wykorzystywali wiedzę ludową oraz własne doświadczenia. Pełnili rolę pogotowia ratunkowego.

Karl Kraus ukuł aforyzm, że *FELIETONIŚCI i fryzjerzy w równej mierze mają do czynienia z głową*.

O tych, co zajmowali się małymi formami literacko-dziennikarskimi, mawiał: *PISAĆ felieton to tyle co kręcić loki na łysinie*.

Dodam, że był to gość z bujną czupryną, a nie z tupecikiem, który nigdy nie siwieje, choć lubi się przekreścić.

70-lecie śmierci Karla Krausa. Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2006, nr 35.

Dr n. med. Kazimierz Kucharczyk

Warszawska ulica Oczki, gdzie lipa na lipie, pod numerem 8-4 jest Collegium Anatomicum. Do tego budynku musiałem przychodzić przez dwa semestry, kiedy byłem studentem I roku WSPS (Wyższa Szkoła Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej). Uczyłem się genetyki i anatomii z książki Kazimierza Kucharczyka i Mieczysława Nowaka pt. *Anatomia i fizjologia człowieka. Podręcznik dla pielęgniarek* (Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976). Wspinałem się po schodach na wykłady i do sal ćwiczeń, gdzie panował chłód, nostalgia i mgiełka przemijania.

Podręcznik napisali dwaj doktorzy Warszawskiej Akademii Medycznej (dzisiaj Warszawski Uniwersytet Medyczny), dr Kazimierz Kucharczyk i dr Mieczysław Nowak. Miałem zajęcia z dr. Kucharczykiem, który przekonywał nas, że *Chodzi więc o studiowanie i takie opanowanie przedmiotu, aby wyrobić sobie właściwy, logiczny sposób „fizjologicznego myślenia”*. W praktyce to wyglądało tak, że wszystkich traktował jak zakute łby. Kpił i żartował sobie ze studentów. Doktor Kazimierz miał siwe włosy, starannie zaczesane. Był postawnym mężczyzną. Typ wojskowego.

Na egzaminie końcowym doktor Kucharczyk wpisał mi do indeksu ocenę dobry, choć tak bardzo się starałem, żeby mieć bardzo dobry. Doktor Kucharczyk jest bohaterem mojego opowiadania pt. *Policzek*, które w 1992 roku zdobyło II nagrodę w konkursie literackim poznańskiego „Arkusza” (Miesięcznik Kulturalny Oficyny Wydawniczej „Głos Wielkopolski” 1992, nr 10).

Doktor K.K. podczas zajęć w prosektorium lubił sobie stroić żarty ze studentów. Były to czasami żarty, które przekraczały dobry

smak i takt. Ale nic! Warto o tym wiedzieć, szczególnie teraz, gdy poziom dowcipów przypomina babę, co przyszła do lekarza.

Oto pierwszy z brzegu:

– Czy dzisiaj jadła, pani, śniadanie? – zapytał doktor Bogusię.

– Nie jadłam.

– Dlaczego?

– Bo mieszkam w akademiku i...

– ...

– Nie chciałam rano koleżankom przeszkadzać...

– Nie wiedziałam, że pani tak głośno trawi – odrzekł doktor i postawił Bogusię pałę.

Mijają lata, a podręcznik anatomii jest jedynym, do którego sięgam. Jest zaczytany, zakreślony ołówkiem. Skrypt jest świetnie napisany, co tu dużo gadać.

Ilekoć przejeżdżałem po pracy obok budynku Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, nieraz widziałem, jak stoją przyszli bakałarze z papierosami, więc myślałem, że gdyby to widział dr Kazimierz Kucharczyk, to pewnie niejeden z medyków nie miałby szans przy egzaminie. Doktor zwalczał nałóg nikotynizmu. Bez pardonu rozprawiał się z palaczami. Dawał do zrozumienia, że ma za nic polskie przysłowie: *Nie pije, nie tabaczy i g... znaczy!*

Doktor lubił nas upominać, żeby przy niektórych ważnych słowach stawiać wykrzyknik (!). Ilekoć coś mam zanotować, stawiam znak wykrzyknienia, na pamiątkę pamięci o nietuzinkowym anatomie. Zauważyłem, że to jest całkiem dobra metoda do zapamiętania, szczególnie, gdy wchodzimy w *smugę cienia*.

Cóż jeszcze mogę dodać?

Chyba to, że za srogością anatoma kryła się na pewno troska, żebyśmy poznawali anatomię i zaczęli myśleć. Nie czepiali się lekarskiego fartucha, gdy nas zaboli albo zakłuje w okolicach mięśnia sercowego.

Ponieważ pan doktor Kazimierz Kucharczyk miał specyficzne poczucie humoru, więc żeby nie być dłużnym, zakończę wspom-

nienie medycznym wtrętem. Na jednym z amerykańskich wydziałów lekarskich mawiano: *Interniści wiedzą wszystko, ale nic nie robią. Chirurgi niczego nie wiedzą, ale robią wszystko. Patolodzy wiedzą wszystko i robią wszystko, tyle tylko, że za późno* [William A. Nolen, *Jak zostałem chirurgiem*, z angielskiego tłumaczył prof. dr. med. Witold Rudowski (1918–2001), Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976].

Dr Kazimierz Kucharczyk. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 6 lipca 2011 roku.

* * *

W latach 1976/1977 w warszawskim Collegium Anatomicum (ul. Oczki 8-4) uczył anatomii studentów WSPS (Wyższa Szkoła Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej). Wykładał i prowadził ćwiczenia. Wkuwaliśmy to, co było napisane w książce Kazimierza Kucharczyka i Mieczysława Nowaka pt. *Anatomia i fizjologia człowieka. Podręcznik dla pielęgniarek* (Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976). W sali ćwiczeń panował chłód, nostalgia i mgiełka przemijania. Raczej nie zalecał nam wizyt w Muzeum Anatomii i Patologii. Na ostatnim piętrze.

Anatomię traktował bardzo poważnie. Aż za! Nie było zlituj się. Sadził dwóje. Komplement w jego ustach, to była rzadkość. Miał dowcip o różnych podtekstach. Nie zawsze zrozumiały przez studentki. Na palcach można policzyć studentów, którzy potrafili rzucić taką ripostą, że pan doktor musiał zbastować. Na uczelni byli wykładowcy, co mieli swoje febliki, ale gdzie im tam do pana anatomia. Sympatyczna dr Maria Nowicka-Kozioł, która wykładała pedagogikę ogólną, zwykła co rusz wplatać *par excellence*. Doc dr Alina Nofer-Ładyka, która wspaniale wykładała o literaturze, faworyzowała *etc., etc.* Za to pan dr Kazimierz Leśniak, uczący nas logiki, kongenialny tłumacz starożytnych filozofów, nieraz rumienił się, gdy musiał wygłosić skomprimowany komentarz.

Dr Kazimierz Kucharczyk podczas wykładów/ćwiczeń nieraz powtarzał, żeby dane słowo opatrzyć wykrzyknikiem (!). *Proszę postawić wykrzyknik, bo to jest ważne*, mówił. Wykrzyknikiem zabarwialiśmy poszczególne słowa. Wedle rozkazu i życzenia pana doktora. Poza tym zapamiętałem passus ze wstępu jego podręcznika: *Chodzi więc o studiowanie i takie opanowanie przedmiotu, aby wyrobić sobie właściwy, logiczny sposób „fizjologicznego myślenia”*.

Ilekoć coś notuję, to lubię skorzystać z wykrzyknika. W zasięgu rąk mam podręcznik, z którego uczyłem się na I roku dziennych studiów. Kiedy na tę stalowoszarą książkę spojierałem, to budzą się we mnie wspomnienia o dr. Kazimierzu Kucharczyku. Był anatemem. A anatom to lekarz, który ma ogromną wiedzę, ale już nic nie może.

Kazimierz Kucharczyk. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25 sierpnia 2014 roku.

* * *

Kiedy wracałem z pracy do domu Aleją Jana Pawła II, mijałem ulicę Oczki, gdzie pod numerem 8-4 jest Collegium Anatomicum, i zerkąłem, co się dzieje. Warto wiedzieć, jaka młoda kadra lekarzy i pielęgniarek stoi na schodach. I widziałem młodych ludzi, którzy jarają papierosy. Mówiłem wtedy do pana Wojciecha Dębickiego z Targówka, sympatycznego kierowcy – kiedy byłem studentem I roku WSPS (Wyższa Szkoła Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej) było to nie do pomyślenia, żeby studenci na winklu palili. Niechby to tylko zobaczył dr Kazimierz Kucharczyk, a student(-ka) by dostał(-a) bez żadnego *ale* pałę. Sam się dobrze kryłem z nałogiem, żeby tylko czasami pan doktor nie wyniuchał, że oddaję się nikotynizmowi (najczęściej paliłem „Extra mocne bez filtra”).

Z jego książki, którą napisał wspólnie z dr. Mieczysławem Nowakiem, wkuwaliśmy to, co się składa na budowę ciała (*Anatomia i fizjologia człowieka. Podręcznik dla pielęgniarek*, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976). Prowadził wykłady i cwi-

czenia. Zawsze taki elegancki. W koszuli pod krawatem. Starannie ostrzyżony. W białym fartuchu. Lapidarny jak akademicki podręcznik. Nieraz mówił, żeby stawiać wykrzyknik, bo to jest ważne. Studenci traktowali jego słowa jak rozkaz. Miał kłujący dowcip. Zdarzało się, że czasami studenci sobie z niego zażartowali, i wtedy wpadał w popłoch. Oczywiście, że stwarzał dystans, taki na długość parasola. Czasami wymagał aż za wiele. Ale to nie był zarzut, bo w skrypcie zamieścił zdanie, które brzmi jak motto: *Chodzi więc o studiowanie i takie opanowanie przedmiotu, aby wyrobić sobie właściwy, logiczny sposób „fizjologicznego myślenia”*.

To jest jedyne repetytorium akademickie do jakiego jeszcze sięgam, bo człowieka nieraz coś zaboli i zakłuje, i postraszy. Przypominam sobie to, co już zapomniałem. A jednak... warto za młodu uczyć się anatomii i fizjologii człowieka, żeby potem nie zawracać głowy lekarzom; nie ma co aż tak wspomagać apteki.

Pamiętam, że jak kogoś dr Kazimierz złapał na paleniu, to go wzywał do odpowiedzi. Student już się szykował do pytań pana doktora, który mówił, że nie zada pytań, ponieważ pan pali, a palenie zaciemnia umysł i gorzej się myśli. Stawiał dwójkę i po sprawie. Nie rozumieliśmy takiego zachowania. Jak słowo daję!

Minęły lata i oto w „Gazecie Wyborczej” z 29 listopada 2012 roku, nr 279, Małgorzata Minta opublikowała notę pt. *Palenia zaciemnia umysł!* Rzecz dotyczy pracy naukowców z King's College w Londynie, którzy opublikowali pracę dotyczącą stanu zdrowia oraz stylu życia osób po 50. roku życia. *Przy okazji zaobserwowano związek między paleniem papierosów a niższymi wynikami w testach funkcji poznawczych.*

Kiedy to czytałem, to myślałem sobie, że do podobnych wniosków doszedł już w... 1976 roku dr Kazimierz Kucharczyk.

O doktorze nieraz myślałem, gdy wspinałem się po schodach w bloku, i mijałem jego kolegę ze studiów. Mówiłem, że pokonuję stopnie, bo trochę uczyłem się anatomii u Kucharczyka. A pan dr Edward Ponury dodawał: *Kazimierza.*

Aha! Ilekroć mijiałem jako student dr. Kazimierza Kucharczyka, leciutko się uśmiechałem. Dziwne, że nigdy nie zapytał, skąd we mnie ta radość, kiedy wszyscy są tacy przygaszeni przed ćwiczeniami. Zapewne, gdyby mnie o ten stan ducha zapytał, odpowiedziałbym, że na jednym z amerykańskich wydziałów lekarskich mawia się: *Interniści wiedzą wszystko, ale nic nie robią. Chirurdzy niczego nie wiedzą, ale robią wszystko. Patolodzy wiedzą wszystko i robią wszystko, tyle tylko, że za późno* (William A. Nolen, *Jak zostałem chirurgiem*, z angielskiego tłumaczył prof. dr med. Witold Rudowski, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976).

Dlaczego o tym piszę?

Bo mam słabość do nauczycieli i lekarzy. Za co? Że zawsze są tacy nerwowi, bo uczniowie potrafią wejść za skórę i trudno zebrać myśli. Jeżeli chodzi o lekarzy, to nic złego o nich nie powiem, bo chcą dobrze dla pacjentów, wbrew czasowi. Nauczyciele i lekarze muszą się uczyć aż do śmierci.

Piotr Kuncewicz (19 III 1936 – 9 IV 2007)

Gargantua polskiej krytyki literackiej. Gawędziarz. W latach 80. XX wieku podjął się gigantycznego przedsięwzięcia, tj. zamierzał napisać historię literatury polskiej po 1918 roku. Oczywiście, że wszystkich wprowadził w osłupienie. Jedni mówili, że kpi, a drudzy, że o drogę pyta. W „Przeglądzie Tygodniowym” zaczęły się ukazywać odcinki pod szyldem *Agonia i nadzieja*.

Często widywałem Piotra w Bibliotece Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu 87/89 w Warszawie. W tym czasie pracowałem nad antologią literacko-plastyczną pt. *Księga o sadach i owocach*. Pomimo że nie należę do żadnego związku twórców (literatów albo pisarzy), to sympatyczne panie (Krystyna, Ewa, Jagoda i Grażyna) honorowały mnie przez wieloletnie zasiedzenie. W owym czasie Autor *Samotnych wobec historii* był częstym gościem. Wpadał do księżnicy na II piętrze, zgrzany i zasapany. Tu, gdzie uporządkowany zbiór druków zwartych i ulotnych. Wyglądał jak tragarz pol-

skiej literatury współczesnej. Czekali na niego worki z książkami i teczki z wycinkami prasowymi. Bez pań bibliotekarek, niewiele by zdziałali. Taka jest prawda. A potem pan Wacek (kierowca) zabierał cały majdan i wiozł do domu, żeby w *cieniu ręki* napisał. Piotr czytał, notował, fiszkował, skrobał długopisem i pewnie pił wódeczkę, bo wody od lat nie używał.

Felietony literackie Kuncewicza od razu zyskały aplauz i sympatię czytelników „Przeglądu Tygodniowego”. Poniektórzy skwapliwie wycinali sobie i układali. Nikt nie liczył, że to się kiedykolwiek ukaże w postaci książek. Takie to były czasy. Jerzy Leszinkoperski (pracownik Młodzieżowej Agencji Wydawniczej) podjął starania, żeby wydać jego dzieło. Papieru starczyło tylko na jeden tom. I pomyśleć, że działo się to w czasach, gdy zamierzano wyciąć większość lasów, żeby nie miała się gdzie chować opozycja. Dopiero trzeba było wydawnictwa BGW, żeby wszystko, co opublikował w warszawskim tygodniku, zebrać do kupy i wydać w pięciu tomach, z niewielkimi poprawkami.

W 1994 roku ukazał się ostatni – piąty tom monumentalnego dzieła pt. *Agonia i nadzieja*. W sumie: 2150 stron plus 701 ilustracji.

Pięć tomów wzbudza podziw. Można się spierać z opiniami Autora *W poszukiwaniu niecodzienności*, ale... nie sposób odmówić tego, że napisał kompendium, które się czyta z uśmiechem na ustach. A jednak... W naszych czasach rozdawania włosów na czworo, ukazał się przewodnik po literaturze 1918–1991. Piotrowi Kuncewiczowi udało się pogodzić zwaśnionych literatów i pisarzy. Odnotował tych, których książki przykrywa kurz i mól zakąsa. Nikogo nie zlekceważył. Od Żyda do goja. Docenił trud pisania. Dla każdego miał dobrotliwą szczyptę zrozumienia i kęs nadziei. Takie widzenie spraw literackich w Polsce należy do rzadkości. Z przyzwyczajeniem oka spojrzął na polskich tragarzy zdań. Odnotował to, co było ważne i marginalne. Mówiąc górnolotnie: czuć w tym krajowy zapaszek. Czasami sobie mocno ziewnął albo dobrotliwie ponarzekał. *Agonia i nadzieja* toż to kopalnia wiadomości z myśzką,

o których milczą uczone opracowania. W pięciu tomach poupychał mnóstwo anegdot, żartów, kalamburów, kolczastych point, celnych ripost, nieprzyjemnych prawd, paradoksów, interpretacji na opak itd., itd. Wypichcił dzieło, które nie nudzi. Nie sposób wyliczyć autorów. Jest ich ponad 1000. Z niejednym Piotr biesiadował. Poznał ich wady i zalety.

Siłą jego pisarstwa było to, że patrzył na świat i ludzi z przy-mrużeniem oka, oraz entuzjazmem. Nie na serio. Był erudytą i stad-nym człowiekiem. Kochał się w militariach, zwierzakach (miał kota na punkcie kotów) i kobietach. Na zbyt płodnych autorów zawsze spoglądał spode łba. Był to sympatyczny gawędziarz. Latami pie-lęgnował ironię. Potrafił ze smakiem opowiadać o poetach i kulina-riach (jedzenie i alkohol). Nie omijała go nigdy słodycz plotkowania. Pisał językiem kolokwialnym, długą frazą. Chyba miał kłopoty z postawieniem kropki. Szastał sobą, słowami i wspomnieniami. Czasami w jego pisaniu znaleźć można prawdziwą aforystyczną pe-rełkę, jak na przykład: *Duch Czasu siejąc bogactwo skazuje tym samym pojedyncze ziarno na bezimiennność. Czy to sprawiedliwe? Nie. Czy ko-nieczne? Tak.*

Pięcioksiąg dr. Piotra Kuncewicza to tygiel, w którym po-mieszczono wszystkie gatunki pisarstwa i dziennikarstwa; dopra-wiony szczyptą agonii i kęsem nadziei.

Jowialny były prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich znalazł sposób, jak podać ludziom literaturę bez opakowa-nia seryjnego. Z dowcipem i humorem. Ba! Większość autorów znał i nierzadko brał się z nimi *na kielichy*. To jest bestseller krytyczno-literacki i towarzyski – mógłbym napisać, ale... to by była lekka przesada.

Odszedł Piotr Kuncewicz, tam gdzie *słowo* było na początku – nie ukrywał tego do końca swego życia.

Piotr Kuncewicz (19 III 1936 – 9 IV 2007). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2 sierpnia 2007 roku.

* * *

Gargantua polskiej krytyki literackiej, jak pisałem, nieraz posuwał się za daleko, doktor nauk humanistycznych i wolnomularz.

Oczywiście, że lubił wypić, bo wódeczka jest smaczna. Czasami miał taki wygląd, że zadawałem sobie pytanie: czyżby u niego remontowano łazienkę? Był jak *wczorajszy*. Wyluzowany. Jak sportowiec w czasie przebieżki. Karl Lagerfeld (1933–2019), projektant luksusowych rzeczy, mówił: *Spodnie dresowe to znak porażki, tracisz kontrolę nad swoim życiem, to kupujesz sobie parę dresów*.

Obsuwa – bliskie mi słowo, ja wcale nie żartuję. Sukcesów trochę mam, ale sporo też niepomysłności, niestety. Wolę porażkę niż parciały sukces. Jorge Luis Borges (1899–1986), argentyński pisarz, poeta i eseista trafnie rzecz ujął: *Porażka ma w sobie godność, na którą zgiełk triumfu nie zasługuje*.

Józef Kuśmierek (16 III 1927 – 27 III 1992)

W 1954 roku wydał *Opowiadania reportera*, zaś w listopadzie 1954 roku odbyła się premiera sztuki Józefa Kuśmierka na motywach biograficznych pt. *Rok 1944*.

Kilka razy go spotkałem w śródmieściu Warszawy. Szedł z torbą. Miał ciężki chód. Wyglądał tak, jakby niósł polski przemysł ciężki. Palił papierosa. Włosy w nieładzie. Wypłowywały płaszczy. Krzaczące brwi. Ostre spojrzenie. To był całkiem niezły publicysta. Nie wznawiany. Zapomniany. Za szybko.

Irena Kwiatkowska (17 IX 1912 – 3 III 2011)

Pani Irena Kwiatkowska nie żyje. Tyle lat wносиła pogodę ducha i poezję. Mnożyła radość i pomagała nam znosić polskie dole i niedole. Z dzieciństwa pamiętam jej głos w *Podwieczorku przy mikrofonie*. Moja żona *Graszka* wspomina audycje radiowe dla dzieci *Plastusiowy pamiętnik* i *Ania z Zielonego Wzgórza*. A jej powiedzenie *Jestem kobietą pracującą, żadnej pracy się nie boję* (serial *Czterdziesto-*

latek (1974–1977/) ma w sobie tyle sympatii. Za tym, co robiła, kryła się ciężka praca. O jej życiu niewiele było wiadomo. Raczej kojarzona jej postać z uśmiechem, na dnie którego toczy się ludzka łza. Moją słabą stroną jest kino i teatr, ale... kiedy widziałem w telewizji jej postać, to zatrzymywałem się. Z uśmiechem na ustach patrzyłem. Bardzo poważnie traktowałem jej słowa. Przesadzają ci, co piszą, że to była muza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1905–1953), który z myślą o niej pisał Teatrzyk *Zielona Gęś*. Irena Kwiatkowska czyniła wielką uprzejmość Autorowi *Zaczarowanej drożki*, że mówiła jego strofy. Są ludzie, którzy dla poetów są jak połysk wiersza. Wystarczy, że są.

Ujęła mnie jej życiowa mądrość. Trzeba było mieć sporo ogłady, żeby odrzucić ciągłe odrywanie kuponów. Bez sentymentów do przeszłości, o której potrafiła wzruszająco mówić. Prosto, bez uciekania się w anegdotę. Z poczuciem humoru. Umiała ze zgromyżonego życia wysnuć jaśniejszą nić życia.

Przed laty bardzo mnie ujęło to, co mówiła o swojej rodzinie. O ojcu m.in. powiedziała: (...) *Tata był niestety zecerem ręcznym, ale za to znakomitym. Umiał sobie materiał dobrze rozłożyć, miał swój ekslibris i kolekcjonował książki. Wchodził do domu: „Kupiłem białego kruka”. Mama na to: „A za co buty kupię dzieciom?” Nie przelewało się* [Wybieram się na księżyc, Z Ireną Kwiatkowską rozmawia Grzegorz Sroczynski, „Gazeta na Koniec Zimy. Gazeta Świąteczna” 2009, nr 62 (14–15 marca)].

Odeszła aktorka, która nigdy po sobie nie dawała znać, że jest gwiazdą. Świadczy to, że to była mądra kobieta, która doskonale wiedziała, że tylko gwiazda świeci światłem własnym, a nie odbitym. Dzisiaj taka postawa to rzadkość. Zapewne zachowanie jej młodszych koleżanek i kolegów, zawstydzalo ją, choć po sobie tego nie dała poznać.

Pani Irena Kwiatkowska – to była Pani z wielką klasą i taktem.

Irena Kwiatkowska (17 IX 1912 – 3 III 2011). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26–27 marca 2011 roku.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow (22 I 1940 – 6 VI 2008)

Nie ma o nim wzmianki w książce Lesława M. Bartelskiego *Polscy pisarze współcześni 1939–1991. Leksykon*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995. Piotr Kuncewicz w *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych*, t. I A–M, Wyd. GRAF-PUNKT®, Warszawa 1995 nie rozpisuje się, krótko pisze „Cała polska literacka zna naturalnie Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa (Wilno 1940), poetę i autora nadrealistyczno-groteskowej prozy, autora tomów *U drzwi moich płomieni ogniska* (1978) i *Kiedys puszcza lody, ziemia wysłucha wszystkich* (1982) i innych. Ten lubelski autor, sławny oryginał, zdobywa coraz większe znaczenie literackie”. Tak to mógł pisać tylko Piotr. To był smakosz literatury. Gawędziarz. Biesiadnik, który mógł sporo zjeść, jeszcze więcej wpić. Miał w sobie coś, że nie sposób było Piotra nie lubić. Takiego nałogowego czytacza w życiu nie spotkałem. O dr. Piotrze Kuncewiczu najwięcej by mogły powiedzieć sympatyczne panie z biblioteki Domu Literatury (ul. Krakowskie Przedmieście 87/89), ale dyskrecja im nie pozwala. Szkoda.

Z Cugowem po raz 1. spotkałem się w latach 80. XX wieku, kiedy to wpadłem do redakcji lubelskiego kwartalnika „Akcent” (ul. Grodzka 3). Być nad Bystrycą i nie wejść na III piętro, to skandal. Przyszedł też Cugow, który był członkiem zespołu redakcyjnego (1983–1992). Jak po ogień wpadł, bo zawsze gdzieś gonił. I szybko przeszedł ze mną na *ty*, bo lubił skracać dystans. Powiedziałem mu, że znakomicie recytował tłumaczenie pieśni Leonarda Cohena (1934–2016) w audycji Radia Lublin. Był zdziwiony, że to znam. A potem często go spotykałem na Warszawskiej Jesieni Poezji i Poetyckim Listopadzie w Poznaniu. Do niego wszyscy mieli respekt. Nie dlatego, że miał pseudonim Cugow, tylko za posturę. Wielgachny chłop, z brodą, z rozpiętą koszulą, żeby było widać owłosiony tors. To na pewno robiło wrażenie na kobietach. Nie wiem, dlaczego zawsze przed Cugowem uciekał Aleksander Rozenfeld. Nie słyszałem, żeby Tadziu kogoś skrzywdził. To był łagodny facet.

Zawsze miał mi coś do powiedzenia. Kiedyś zapytał wprost, co ja sądzę o jego wierszach. Wprawił mnie w wielki kłopot, ale powiedziałem, żeby przestał żartować. Moja opinia nie spowoduje tego, że coś zmieni. Może odnieść skutek przeciwny. Wysłuchał i opowiedział, że pewien znany poeta powiedział o jego wierszach, że są do d... *I miał rację, ja go cenię za tę szczerość* – dodał ku mojemu zaskoczeniu.

To była znana postać w środowisku lubelskim (i nie tylko!). Były bokser wagi ciężkiej, który uwierzył, że można pisać wiersze. Miał ładną barwę głosu (timbre) i raczej powinien pracować w radiu jako lektor. Ja wcale nie żartuję. Są czasami takie głosy, które nie męczą.

Oczywiście, że wszędzie było go pełno. Lubił różne kłótnie i swary środowiskowe. Nigdzie na dłużej nie mógł zagrzać miejsca. Czasami mnie zaczepiał i miał do mnie jakiś *interes*. Ponieważ nie mam głowy do geszeftów, więc wszystko się rozmywało, jak mydło Zabłockiego.

Czasami w czasie biesiad gadaliśmy w hotelowych korytarzach. I najczęściej do Cugowa podchodzili ci, co nie trzymali pionu, i... chcieli się z nim bić. Pocieszenie to wyglądało. Cugow to był kawał chłopca. Łapy miał jak bochny. A głos taki, że gdy mówił, nie trzeba było używać wzmacniaczy.

W swoich zbiorach mam tylko jeden list od niego, podpisany: *PREZYDENT MKP* [Międzynarodowego Kongresu Poetów] *Tadeusz Kwiatkowski-Cugow*. To jedyny prezydent, który do mnie raczył napisać.

Aha!

Po jego śmierci dowiedziałem się, że latami organizował Wigilię Ułanów i Poetów w Lublinie, z udziałem Węgrów przez założoną przez siebie Fundację im. gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego (1881–1942).

Kiedy o nim myślę, to wiem, że należał do wielkiej rodziny literatów, którzy przeszli przez życie jak przeciąg. I szybko zgaśli.

L Janusz Leppek (4 III 1954 – 9 VIII 1999)

Miał 45 lat, gdy odszedł, bo nie było w pobliżu kogoś, kto by położył mu rękę na ramieniu i powiedział: uspokój się!

Poeta, grafik, który swoje collage zamieszczał, gdzie tylko chcieli, m.in. „Radar”, „Życie Warszawy”, „Polityka”. Na zasadzie zapchajdziury. Uczeń Ryszarda Milczewskiego-Bruno (1940–1979) z Grudziądza. Postać dziwna i tajemnicza. Nieraz go spotykałem w pobliżu poczty nr 130 przy ul. Stefana Szolc-Rogozińskiego 4, Ursynów, osiedle „Na Skraju”. Opowiadał, że kłopoty go nie omijają. Nie mogłem pojąć, dlaczego tak sobie komplikuje życie.

Mieszkał gdzieś na Ursynowie.

Do „Pasma. Pismo Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Kulturalnego” nigdy nie przyniósł żadnego tekstu, choć nagabywałem. Widocznie mało go przekonywały moje perswazje w sprawie lokalnego patriotyzmu.

Janusz Leppek (1954–1999). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 4 grudnia 2002 roku.

James Lepton (1926–2020)

Od 1994 roku do 2018 prowadził talk show pn. *Za drzwiami Actors Studio*. Do programu zapraszał ludzi związanych z filmem i teatrem. Starszy pan, ze starannie zadbaną brodą, w garniturze, pod krawatem, nieśmiało zadawał pytania i nigdy nie przerywał rozmówcy. Pod koniec programu widzowie mogli też zadać pytania. Napisać, że to był świetny program, to za mało. Z przyjemnością patrzyłem i słuchałem, choć X muza to nie moja baśń. Audycja przypominała lekcję taktu i dobrych manier. Że grzecznie można też kogoś obudzić. Że poziom odpowiedzi zależy, jak głęboko zakopujemy pytania.

25 lat prowadził dialog, w którym wszystko było wyważone i dosmaczane. Nie dziwota, że w 125 krajach emitowano nagrania (w tym także w Polsce).

Spec od wywiadów pod koniec audycji dyskretnie pytał interlokutora: *Jeśli Bóg istnieje, to co chciałabyś/chciałbyś usłyszeć u bram niebios?*

A kiedy zwrócono się do niego z tym pytaniem, odpowiedział wprost, a nie szukał klucza do furtki: *Widzisz, Jim, myliłeś się, ja jednak istnieje. Ale i tak możesz wejść.*

Kawiarnia sanatoryjna. Na miarę Wlenia (64) [w:] wleninfo. pl, 29 marca 2020 roku, niedziela. <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-64/>.

Bolesław Leśmian (22 I 1877 – 5 XI 1937)

W 2016 roku Senat odrzucił kandydaturę Bolesława Leśmiana, żeby był jednym z patronów 2017 roku. Nie pomogły okragłe daty (80. rocznica śmierci i 140. rocznica urodzin). Leśmian świetnie sobie poradził bez polityków, bo to nietuzinkowy poeta, którego nie interesowała działalność władz państwowych. Po prostu nigdy nie zajmował się ideologią. To był wielki szyfrant. O jego miłowaniu piszę w książce Bolesław Leśmian, *Poezje wybrane* (Biblioteka Pototów, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1989, ss. 162). Pamiętam, że kiedy zbliżała się rocznica romansu z Dorą Lebenthal, to zabrałem się do wydania utworów miłosnych. I wsparł mnie Zbigniew Bieńkowski (1913–1994), który napisał świetną recenzję wewnętrzną. Cytuje: *I wybór i wprowadzenie i nota biograficzna Pana Szczepaniaka, moim zdaniem znakomicie prezentują miłość w poezji Leśmiana.*

Pan Szczepaniak ograniczył się – i słusznie – do leśmianowskiej miłości, darując już sobie wielkie ogólniki, których sporo i świetnych o Leśmianie napisano, dał, co jest bardzo ciekawe i przecież ważne, wiązkę informacji biograficznych, na ogół pomijanych. A więc Itża!

Książeczka powinna – ma szansę – stać się bestsellerem poetyckim. Takie erotyki! Cudo po prostu!

Taki to odwaliłem numer. Ale to były czasy PRL-u, wymagające wyższego poziomu sprytu, niż ten, co obecnie. Leśmian to jest

Leśmian. Myślę o wierszach, a nie o prozie i listach, w których bywa rzewny. To był samorodek, który zauważył, że w zaświatach panuje dzikość, i nie najlepsza jest reputacja w gniazdach i dziuplach. W Polsce ogłaszane są różne roki, papierowe, niestety.

W latach 80. XX wieku siedziałem z pewnym młodzieńcem z ONR, który starał się o rękę córki Leśmiana, Wandy. Był to już starszy pan. Spotkanie miało miejsce przy stoliku w kawiarni w Domu Literatury przy ul. Krakowskie Przedmieście 87/89, parter. Niedoszły zięć perorował. Wróżył z fusów. Lekko się uśmiechałem, popijałem kawę, wypuszczałem nosem dym. Elegancki pan obserwował mnie i nie mógł się nadziwić, skąd u mnie w kącikach ust uśmiech. Siedziałem i próbowałem sobie wyobrazić, jak Leśmian z nim postąpił. Bo nie dość, że absztyfikantowi pokazał drzwi, to jeszcze do niego podskoczył i pacnął go w facjatkę na do widzenia. Z liścia. Oto jakim odruchem ludzkim wykazał się Bolesław Leśmian, który wyglądał jak konik polny albo (zasuszony) świerszcz.

„Zima miejska”, *Przeżyć czy przeżyć?*, *Żołnierze z ołowiu*, *Bolesław Leśmian, na marginesie. Felietony*, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 1.

Dr n. hum. Kazimierz Leśniak **(31 III 1911 – 13 XI 1987)**

Znawca, tłumacz i popularyzator starożytnej filozofii. Logik. Bardzo szlachetny człowiek. Mieszkał w Polsce, ale jego serce biło w Grecji. Wystarczy tylko odnotować jego dorobek, żeby się zorientować, gdzie peregrynował: Marek Aureliusz, *Rozmyślenia*, 1948, opracował; Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów* (1968, napisał wstęp); *Materialiści greccy w epoce przedsokratejskiej I Doksografia i fragmenty* (1972); Arystoteles, *Fizyka* (1968, tłumaczył, napisał wstęp i opracował); Arystoteles, *Analityki pierwsze i wtóre* (1973; tłumaczył, opatrzył wstępem i opracował); Arystoteles, *Kategorie i Hermeneutyka z dodaniem Isagogi Porfiriusza* (1975, tłumaczył i opracował); *Platon* (1968); *Arystoteles* (1965); Seneka, *Listy moralne*

do *Lucyliusza* (1969, napisał wstęp i opracował); Lukrecjusz, *O naturze wszechrzeczy* (1957); Cyceon, *Pisma filozoficzne* (opracował i napisał posłowie, 1960–1964); *Filodemos traktat o indukcji* („*Studia Logica*”, 1956 z. 2); *Epikureizm jako doktryna socjologiczna* („*Myśl Filozoficzna*” 1957 z. 2); *Lukrecjusz* (1960); *O teoretycznych i historycznych podstawach indukcji F. Bacona* („*Archiwum Historii, Filozofii i Myśli Społecznej*”, 1957 z. 2); *F. Bacon* (1961, 1967); *Burski – pochwała dialektyki stoickiej* (w: „*Filozofia polska*”, 1967).

W *skorowidzu nazwisk autorów prac o filozofach* zamieszczonych w książce prof. Władysława Tatarkiewicza pt. *Historia filozofii, Filozofia XIX wieku i współczesna*, tom trzeci, PWN, Warszawa 1987, aż 10. razy odnotowano dr. Kazimierza Leśniaka.

To był najcichszy i najmądrzejszy człowiek w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, gdzie studiowałem w latach 1976–1980. Dla mnie to był mędrzec. W szarym garniturze, pod krawatem, z teczką ze skaju, w której mieściło się kilka książek. Twarz miał wydziobaną. Nos z siateczką popękanych naczyń krwionośnych. Włosy siwe, starannie zaczesane. Krok twardy. Ciepłe i mądre oczy. Potrafił słuchać. Nie był skory do komentarzy. Był dla studentów spolegliwy. Przed egzaminami z logiki wszyscy drżeli, bo nikt do końca nie widział o co chodzi. Po egzaminie nieraz pytał, *a może pan(i) chce się poprawić na piątkę?* Człowiek był zadowolony z trójki, a tu dr Leśniak pyta o 5?

Miał niesamowitą wiedzę, którą trzeba było z niego wydusić, tak po sokratejsku, pytaniami. Kiedy czegoś nie wiedział, to się do tego przyznawał. Kiedyś mi mówi, że jutro się spotka w parku z prof. Tatarkiewiczem i mi odpowie. Zdębiałem. Nieśmiało poprosiłem: panie profesorze, proszę nie zawracać głowy panu profesorowi Tatarkiewiczowi.

Pomimo że był doktorem, zawsze się do niego zwracałem – panie profesorze. To był profesor, który ogłaszał wiedzę. Znał kilka języków, doskonale władał greką, łaciną, niemieckim, angielskim... Starożytni filozofowie to był jego feblík.

Urok pana doktora Leśniaka zadecydował, że *uległem* filozofii, tj. podjąłem decyzję pisania u niego magisterium. Nie przychodziłem na jego seminaria. Dał mi wolną rękę. Zapytał: *czy się pan wyrobi do maja?* Odpowiedziałem, że się postaram. Pracę napisałem jak w natchnieniu. Poprosił, żebym zacytował prof. Bohdana Suchodolskiego (1903–1992), powiedziałem, że to takie wodne. *Ale to jest wskazane, wie pan...* – dodał nieśmiało. Zacytowałem passus historyka nauki i kultury. Praca jak praca. Na obronę przyszli ludzie z ministerstwa, uczelni i pan dr Leśniak. Ci z ministerstwa zadawali pytania o starożytnych filozofach, w ramach sprawdzenia ich wiedzy, wydłubałem trochę nazwisk z Laertiosa Diogenesa (*Żywoty i poglądy słynnych filozofów*) i jedno wymyśliłem na poczekaniu. Zauważyłem rumieniec na twarzy promotora, który poznał się na tym żarcie. Dostałem ocenę dobry. Wychodzę z sali, podchodzi do mnie pan profesor, przepraszam go za żart, a on uspakaja mnie, że dobrze się stało, że nikt się na tym nie kapnął.

Po studiach to był jedyny wykładowca akademicki, którego odwiedzałem na Żoliborzu. Jeździłem do niego pożyczać książki. Egzemplarz książki, który wypożyczałem z jego ogromnej biblioteki, traktowałem jako pretekst do rozmowy.

Profesor Leśniak był komentatorem myśli greckiej. Pisał krótko, zwięźle, lapidarnie. Dzięki niemu uzupełniłem braki w wykształceniu. W biblioteczkę mam *Złotą gałąź*, którą nie zdążyłem oddać.

Potrafił tak jasno wytłumaczyć zawiłości filozoficzne, że to się na długie lata pamiętało. Oto próbka jego talentu: (...) *Również stoicy dzielili cały obszar filozofii na trzy części, na logikę, etykę i fizykę. Niektórzy z nich porównywali filozofię do urodzajnej roli: ustawione dookoła ogrodzenie – to logika, owoce – to etyka, ziemia i drzewa – to fizyka* (Kazimierz Leśniak w: Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*).

W 1981 roku zaniósłem mu swój tomik pt. *Przerwane wiersze* (Wydawnictwo Iskry) z dedykacją. Wzruszył się, ale starał się tego

po sobie nie okazać. Obdarował mnie *Zachętą do filozofii* Arystotelesa.

Przypadkowo dowiedziałem się o jego śmierci.

Mam w swoich zbiorach tylko jedną od niego kartkę, wysłaną na święta, gdzie życzy mi *stoickiego spokoju i epikurejskiej pogody ducha*. Poza tym noszę w swojej pamięci wiele sympatycznych o nim wspomnień.

W czwartek, tj. 28 stycznia 2010 roku, „Gazeta Wyborcza” wespół z Wydawnictwem Naukowym PWN zainaugurowała wydawanie kolekcji *Wielcy Filozofowie, Wybitne dzieła wielkich myślicieli*, którą rozpoczynał tom Arystotelesa *Zachęta do filozofii i Fizyka*, przetłumaczony m.in. przez dr Kazimierza Leśniaka. Nie mogło chyba być lepszego wyboru, niż ten, którego dokonano. Nic mi już nie pozostaje, jak powtórzyć za Stagirytą, że (...) *mądrość jest dobrem samym w sobie, nawet gdyby z niej nic pożytecznego nie wynikało dla ludzkiego życia* (Arystoteles, *Zachęta do filozofii*).

Dr Kazimierz Leśniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 marca 2010 roku.

* * *

Logik. Tłumacz Arystotelesa, miłośnik starożytnej filozofii; bardzo szlachetny człowiek. To był najcichszy i najmądrzejszy człowiek, jakiego spotkałem w czasie dziennych studiów w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w latach 1976–1980. Dla mnie to był mędrzec. W szarym garniturze, pod krawatem, z teczka ze skaju, w której mieściło się kilka książek. Twarz miał wydziobaną. Nos zaczerwieniony. Włosy siwe, starannie zaczesane. Krok twardy. Ciepłe i mądre oczy. Potrafił słuchać. Nie był skory do komentarzy. Dla studentów spolegliwy. Przed egzaminami z logiki wszyscy drżeli, bo nikt do końca nie widział, o co chodzi. Po egzaminie nieraz pytał: *a może pani(a) chce się poprawić na piątkę?* Człowiek był zadowolony z trójki, a tu dr Leśniak pyta o 5?

Miał niesamowitą wiedzą, którą się nie chwalił. Trzeba było z niego wydusić, tak po sokratejsku, pytaniami. Gdy czegoś nie wiedział, to się do tego przyznawał. Kiedyś mówi, że jutro się spotka w parku z prof. Władysławem Tatarkiewiczem i odpowie. Zdębiałem. Rzekłem: panie profesorze, proszę nie zwracać głowy profesorowi Tatarkiewiczowi. Pomimo że był doktorem, zawsze się do niego zwracałem – panie profesorze.

A teraz dygresja. Było to w maju 1995 roku, na Targach Książki Katolickiej, Warszawa-Stegny. W tym czasie miałem straszliwy przechyl religijny, tj. wpadłem w socrealizm katolicki. I nagle spotykam o. prof. Mieczysława Alberta Krąpca OP (1921–2008), byłego rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Pretekstem do rozmowy była wypowiedź o księdzu Janie Twardowskim, która ukazała się w bloku materiałów pt. *Ks. Jan Twardowski w oczach przyjaciół* [ks. biskup Józef Zawitkowski, o. prof. Mieczysław Albert Krąpiec OP, ks. Adam Boniecki, Antonina Krzysztóń. Wyслуchał i zanotował: Czesław Mirosław Szczepaniak, „Magazyn-Słowo Dziennik Katolicki” 1995, nr 22]. Nagrałem ją na magnetofon kasetowy. Po wyłączeniu odtwarzacza, pytam uczzonego dominikanina, dlaczego mój promotor pracy magisterskiej, pan dr Kazimierz Leśniak, nie został profesorem, przecież on głosił wiedzę. Ojciec profesor popatrzył na mnie i odpowiedział, że *tak to zrobili jego uczniowie*. Po chwili dodał, że KUL przygotowuje nowe wydanie Arystotelesa (384 p.n.e. – 322 p.n.e.). Na co ja mówię: po co? Przecież dr Leśniak przetłumaczył wszystkie księgi Arystotelesa i opatrzył je znakomitymi komentarzami i przypisami. A ojciec Krąpiec swoje, że trzeba unowocześnić, że... Nie popuściłem. Stałem w obronie, jak uczeń wobec swego mistrza.

Po latach mam dziką satysfakcję, że edycja nie doszła do skutku. Opamiętali się nad Bystrzycą. Na szczęście.

Oczywiście, że przez myśl mi nie przechodzi – jaką to siłę ma moja perswazja. W takie cuda to nie wierzę, jam tylko poeta-kronikarz, liryk, co uzupełnia fiszki. I nic więcej.

Dr Kazimierz Leśniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 grudnia 2013 roku.

PS

W Archiwum Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, ul. Szczęśliwicka 40 znajduje sięteczka dr. Kazimierza Leśniaka z załącznikami (maszynopisy z podwójnym odstępem między wierszami): *życiorys, przebieg pracy, wykaz prac ogłoszonych drukiem w latach 1946–1973.*

Dla potrzeb niniejszego alfabetu przytoczę curriculum vitae, jakie wystukał na maszynie do pisania:

Życiorys

Urodziłem się 31 marca 1911 r. w Nowym Sączu. Tam ukończyłem szkołę powszechną i gimnazjum klasyczne. Po odbyciu służby wojskowej w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Cieszynie, zapisałem się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Studiowałem filozofię, filologię klasyczną i pedagogikę.

Po odbyciu kampanii wrześniowej (1939) przebywałem w różnych obozach jenieckich, gdzie prowadziłem działalność nauczycielską jako wykładowca filozofii na obozowych Wyższych Kursach Nauczycielskich dla oficerów-nauczycieli. Kursy te zostały po wojnie uznane przez Ministerstwo Oświaty.

Od maja 1945 do grudnia 1947 [roku] pracowałem w szkolnictwie polskim w Niemczech, najpierw jako pracownik Centrali Szkolnictwa Polskiego w Niemczech, a następnie, po reorganizacji tej instytucji, pełniłem funkcję kierownika szkolnictwa polskiego w okupacji brytyjskiej w Niemczech, z ramienia Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie.

Po powrocie do Polski mianowany zostałem wizytatorem ministerialnym, a następnie naczelnikiem Wydziału Nauki. Równocześnie byłem nauczycielem filozofii w Państwowym Wyższym Kursie Nauczycielskim Oświaty i Kultury Dorosłych. W czasie pracy w Ministerstwie prowadziłem wykłady z filozofii dla pracowników pedagogicznych Ministerstwa.

Pod koniec 1950 roku zrezygnowałem z pracy w Ministerstwie i na własną prośbę zostałem zwolniony.

W 1950 roku przyjąłem proponowaną mi funkcję kierownika zespołu i wykładowcy filozofii w nieistniejącej od dawna Centralnej Szkole Związków Zawodowych, którą pełniłem w ciągu dwóch lat.

W latach 1950–1955 brałem udział we wszystkich zebraniach naukowych katedry prof. Tadeusza Kotarbińskiego jako jeden z członków tego zespołu.

W 1951 roku odbyłem ćwiczenia wojskowe w O.W.O.R. Nr 2, od 27 VII do 17 X.

W 1953 roku objąłem pracę w Państwowym Wydawnictwie Naukowym w charakterze starszego redaktora i konsultanta (w niepełnym wymiarze godzin) w redakcji Biblioteki Klasyków Filozofii.

Od roku 1957 do 1968 byłem nauczycielem filozofii w I Studium Nauczycielskim. Równocześnie od 1960 roku byłem i jestem nauczycielem filozofii w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej.

Tytuł magistra filozofii otrzymałem w Uniwersytecie Warszawskim na podstawie łacińskiej rozprawy z zakresu historii logiki pt. „De Epicuri Canonica”. Tytuł doktora Nauk Humanistycznych otrzymałem również w Uniwersytecie Warszawskim na podstawie rozprawy z historii logiki pt. „O teoretycznych i historycznych podstawach indukcji Franciszka Bacona”. Promotorem moim był prof. dr Tadeusz Kotarbiński.

W latach 1953–1968 byłem członkiem Komitetu Redakcyjnego Biblioteki Klasyków PWN [Państwowego Wydawnictwa Naukowego], który działał pod kierownictwem prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

Od 1952 roku do chwili obecnej jestem członkiem Zespołu historii logiki Instytutu Filozofii Polskiej Akademii Nauk (Zespół pracuje pod kierownictwem prof. dr. Tadeusza Czeżowskiego).

Jestem członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

Współpracuję z Redakcją Wydawnictw Filozoficznych PWN-u jako autor, tłumacz i konsultant, i z Redakcją Nauk Polityczno-Społecznych Wiedzy Powszechnej.

Warszawa, 30 V 1974 r.

Kazimierz Leśniak [podpis]

Cytuję opis żywota dr. Kazimierza Leśniaka, który uczył filozofii i logiki po 2. wojnie światowej, gdzie greka i łacina nie były przedmiotami obowiązkowymi.

Prof. Otton Lipkowski (5 IX 1907 – 12 X 1982)

W Wikipedii napisano m.in.: *pedagog, uczeń i współpracownik Marii Grzegorzewskiej*.

Starszy, siwiuteński pan, w garniturze, pod krawatem. Cichutki. Typ starego nauczyciela. Przemykał się korytarzem i siedział w gabinecie na pierwszym piętrze, z oknem wychodzącym na ul. Szczęśliwicką. Pokoik był mały. Na ścianie wisiał wielki portret prof. Marii Grzegorzewskiej. Profesor przysiadawał przy biurku i czytał. Mówił żdziebko. Cicho. Czasami nie wiedziałem o co mu chodzi. Był dla studentów tajemniczy. Po korytarzu opowiadano, że podkochiwał się w Marii Grzegorzewskiej. Jeżeli tak było, to znak, że miał dobry gust – mówiłem koleżankom. Wykładał pedagogikę. Był to suchy wykład, na poważnie, bez żadnej anegdoty czy dowcipu. Mówił zdaniami prostymi. Był autorem podręcznika *Pedagogika specjalna* (1974). Skrypt starannie wydany. Z żółtą okładką. Mnóstwo wiedzy. Zadziwiła objętość książki. Kompendium prof. Ottona Lipkowskiego było cienie.

Dobrze znał język niemiecki, z którym się nigdy nie obnosił po uczelni. Był kierownikiem polskiego zespołu pedagogów specjalnych współpracujących z ekipą międzynarodową przy Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie nad ujednoliceniem nazewnictwa. Mówiąc wprost – dzięki profesorowi przestano używać takie pejoratywne pojęcia jak *kaleka*, *wariat*, *świr*, *głupiec*, etc., etc. Dzięki temu można napisać, że przyłożył rękę do tego, co zwie się kulturą słowa, pojęć.

Prof. Otton Lipkowski (5 IX 1907 – 12 X 1982). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 15–16 stycznia 2011 roku.

Ł Maria Łopusiewicz

W monografii *Dzieje Wlenia. Jak Feniks z popiołów. Jubileusz 800-lecia nadania praw miejskich Wleń 1214–2014* (Praca zbiorowa, Wydawca: Archiwum – System, Jelenia Góra 2014) przeczytałem, że szkoła w sanatorium dziecięcym PKP „Leśny Dwór” liczyła 5 oddziałów, w których uczyło się 45 uczniów, a kadrę pedagogiczną stanowiło 4 nauczycieli. Do tego grona należała pani Maria Łopusiewicz, nauczycielka geografii, która miała do pomocy mapę, globus, kijaszek, tablicę, kredę, oraz wilgotną gąbkę i sporo entuzjazmu. Dzięki naszej pani mogliśmy odbywać podróże po świecie bez granic, choć ówczesna rzeczywistość była podzielona i najeżona zasiekami oraz murami. O tym dowiedziałem się, gdy byłem nieco starszy. Nieraz przychodziły do mnie wspomnienia z lekcji, w klasie na parterze, od południowo zachodniej strony. Z oknem, w którym przeglądała się dzika jabłoneczka.

Drobna uwaga – pisząc/opowiadając o sobie, dajesz dowód, że nie tracisz kontaktu z tymi, co są przed *tobą* i *za*.

Julian Ursyn Niemcewicz (1757–1841) jest patronem osiedla, gdzie żyję – z pogodą ducha znosił nostalgię, pisząc z Londynu, 21 marca 1832 roku: (...) *I jam smutny jak post, choć tłusty jak karnawał*.

W przypadku pani Marii mogę dodać, że skończyła się jej podróż po mapie i globusie.

Piszę tak, jak nakazuje mi zdrowy rozsądek, czyli *rozum bez skrzydeł* (Leopold Staff, 1878–1957). Stanisław Wyspiański (1869–1907) o trudnych sytuacjach poczynił uwagę, że *czas będzie uleczy*.

Za Sasa mawiano w Sejmie lub na sejmiku: *w trzech słowach jasno nam wytłumacz, a nie czuć oczu*.

Skończyłem 65 lat, więc nabyłem praw na szerszą narrację.

Kiedy szukałem pointy, natrafiłem na suficką legendę: *Dziecko niosło świecę. Zapytałem je: «Skąd pochodzi światło?». Dziecko zgasiło je i rzekło: «Teraz powiedz, dokąd odeszło?»*

Od pani Michaliny Chajeckiej z Wlenia, rocznik 1930, dowiedziałem się, że w 2014 roku zmarła pani mgr Maria Łopusiewicz, nauczycielka geografii w sanatorium kolejowym PKP „Leśny Dwór” we Wleniu koło Lwówka Śląskiego. Pamiętam ją doskonale. Elegancka pani. Nosiła sweterki w serek, z apaszką. Sukienki leciutko za kolano, objęte przezroczystą pończoszką. Zgrabna i urodziwa brunetka. Miała zawsze starannie umalowane usta i... chłodne dłonie. Zapamiętałem jej końce paluszków, bo kilka razy mnie pogłaskała po buzi. I było to takie miłe, choć bardzo się tego wstydziłem, o czym świadczyły rumieńce na policzkach. Poruszała się z taką gracją i wdziękiem. Miała dystans do nas i innych. Starannie pisała kredą na tablicy. Uczyła w klasie, na parterze budynku sanatoryjnego, nad tablicą zawieszała mapę. Cudowne to były lekcje. Peregrynowaliśmy po obrazie umownych znaków i kolorów, kręciliśmy globusem, którego nie mogliśmy objąć, jak pasek spodni, co nie może ścisnąć brzucha. Nigdy nie opowiadała o swoich fascynacjach. O sobie. Lekcja geografii była jak z podręcznika, globusa i mapy, bez przekraczania granic osobistych. Zapamiętałem nastrój i takie bezpieczeństwo. Nikt się nie bał, że dostanie ocenę niedostateczną. Nie krzyczała, nie było mowy, żeby się uniosła i pociągnęła za ucho, albo uderzyła linijką w łapę.

Po latach, jak wróciłem do Wlenia, zabrakło mi odwagi, żeby ją odwiedzić, choć było to na rzut beretem od wleńskiego rynku. Mieszkała w domku na stoku, nieopodal rzeki Bóbr. Może wstydziłem się, że będę rozczarowany? Podpytywałem Michała Fludra, co się dzieje z panią Marią. Michał mówił, że opracowała pracę o klimacie Wlenia. Że jej chłopak zabił się na motorze. Potem miała inne miłości, które kończyły się jak supeł. Podobno nasz wychowawca, pan Wacław Łazarewicz, też się w niej zadurzył, ale... wydało się, że jest żonaty i wszystko się urwało, jak korale łoż. Omijała ją ko-

lejna miłość, oraz absztyfikanci. Michał opowiadał o tym bardzo dyskretnie i z czułością. Ilekroć dzwoniłem do Wlenia, to pytałem o panią Marię. Moi informatorzy mówili różne rzeczy, że opuściła Wleń i ślad po niej zaginął. Że podobno... I zawsze broniłem panią Marię od Zoilów i sykofantów, wprawiając w osłupienie interlokutorów. Moja rycerskość wynikała stąd, że do Marii Łopusiewicz miałem słabość, nawet wtedy, gdy już byłem dorosły.

Zaiste to była taka udana nauczycielka, która zasłużyła na głębokie uczucie. Dlaczego los ją tak potraktował niedelikatnie? Nie wiem.

Do pani Marii mam dług wdzięczności, jak uczeń do nauczycielki, która prowadziła nas po świecie, który był taki ogromny, z zaskakami granic. Pamiętam jak stała przy tablicy z kijaszkiem, mówiła z taką pasją, że otwieraliśmy buzie i powieki. Słuchaliśmy i nie myśleliśmy, kiedy będzie przerwa. Świetna nauczycielka geografii. (Zapewne feministki poprawiłyby mnie i powiedziały, że to belferka). Poważna i tajemnicza. Została na mapie pamięci, na którą zapomnienie czyha. Poważny belfer z leciutkim uśmiechem. Może wiedziała o tym, że na dnie śmiechu kołysze się ludzka łza – i wisi nad światem, co ją dosusza, jak wspomnienie, które nie jest na raz – tylko od czasu do czasu.

PS

Ostatnimi czasy informowałem, że wysłałem książki do trzech bibliotek. Zasiłałem zbiory Biblioteki Publicznej im. Adama Mickiewicza, Ośrodek Kultury, Sportu i Turystyki we Wleniu, oraz Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lwówku Śląskim, a także Książnicę Karkonoskiej w Jeleniej Górze.

Broszurki wysłałem listem priorytetowym, bo z pocztą polską różnie bywa, najczęściej robi nas w trąbkę.

Poza Książnicą Karkonoską, nie mam potwierdzenia, że dary dotarły do adresatów.

A może teraz jest zwyczaj, żeby nie dziękować ofiarodawcy?, pytam jak człowiek starej daty.

Maria Łopusiewicz. Wspomnienie. Na miarę Wlenia (II) [w:] wleninfo.pl, 17 marca 2019 roku, niedziela.<http://wleninfo.pl/2805/>.

[Komentarze]

Anonim, 17 marca 2019 roku, niedziela, godz. 12:50: *Dzień dobry, czy można prosić, z którego roku jest to zdjęcie szkolne i jeśli to możliwe o nazwiska uczniów. Ciekawa jestem, bo do tej szkoły chodził mój brat Julian, rocznik 1947.*

anonimka, 17 marca 2019 roku, niedziela, godz. 17:13: *Pięknie napisane wspomnienie o nauczycielce, ciekawe, czy dzisiejsi uczniowie umieliby tak kiedyś opisać swoich nauczycieli, z takim wzruszeniem i miłością? Czy po wielu latach będą ich tak wspominać?*

Ania, 17 marca 2019 roku, niedziela, godz. 21:57: *Powiem szczerze, że mam prawie 40 lat, a po jej nauczaniu do tej pory pamiętam po kolei wszystkie prawe i lewe dopływy Wisły i Odry i rzeki Europy.*

alka, 17 marca 2019 roku, niedziela, godz. 22:55: *Również pamiętam dopływy, jak i linie brzegowe kontynentów. Pani Maria potrafiła trzymać dyscyplinę i mało kto próbował przeszkadzać na Jej lekcjach. Bardzo wymagająca, wspaniała nauczycielka.*

Anonim, 23 marca 2019 roku, sobota, godz. 20:15: *Powiem, że ja znam do tej pory wszystkie krainy geograficzne.*

Stefania Krawiec, 24 marca 2019 roku, niedziela, godz. 11:49: *Nie wiem, czy pamiętacie pana Ludwika S., mieszkańca naszego gródka? Pracowała w Opiece Społecznej, ktoś doniósł, że wyżej wymieniony upija się i znęca nad rodziną. Poszłam, aby sporządzić wywiad. Mieszkanie trzypokojowe w bloku, urządzone bogato, a żona stwierdziła, że mąż dba o dom i rodzinę, a kłótnie są jak wszędzie. Przyniosła drewniane pudełko i wysypała na stolik biżuterię, kilka pierścionków, kolczyków ze złota i powiedziała, że mąż wykopuje złoto z rzeki Bóbr. Pan Ludwik wkrótce zmarł, rodzina opuściła miasteczko. Był to jedyny mieszkaniec, który wydobywał złoto i kamienie, bo były w pierścionkach.*

M Tadeusz Franciszek Machnowski (4 X 1937 – 30 VIII 2020)

30 sierpnia 2020 roku, w niedzielę, we Wrocławiu, zmarł poeta i prozaik Tadeusz Machnowski, urodzony 4 października 1937 roku we wsi Ostrykół Dworski, w powiecie wyszkowskim, w gminie Długosiodło. Od lat związany z Ostrołęką i Grupą Literacką „Narew”, do której należeli m.in. Dionizy Maliszewski (1931–1987), Alfred Sierżputowski (1937–2015). W latach 1966–1989 roku w jej skład weszli m.in. Edward Kupiszewski (1940–2000), Czesław Parzych (ur. 1938), Henryk Bender (1939–2014), Bogusław H. Fedorowicz (1946–2008), Irena Knapik-Machnowska, Leszek Bakula (1930–1997), Mieczysław Czychowski (1931–1996), Stanisław Kałucki.

O nim napisałem w 1973 roku swój pierwszy długi wiersz pt. *Czy Tadek Machnowski znalazł miejsce, gdzie na dłużej zagrzeje?* (*Przepowiem źródła. Almanach literacki młodych*. Ośrodek Mazowiecki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy ZSMW, Warszawa 1976).

Dwa razy wyróżniłem go w lirykach. W debiutanckim tomiku *Mieliśmy Białe ściany* (Wyd. Iskry, 1977) zamieściłem liryk *** *w roku 1974 na jesień, po wykopkach*, zaś w drugiej książce *Przerwane wiersze* (Wyd. Iskry, 1981) też jest o nim wzmianka (*** *Iść do pegeeru trzeba – na*). Kilka razy przywoływałem w prozie jego imię i nazwisko.

Tadzio przeżywał życie – czas go zaniedbywał. Szedł za głosem serca, więc słyszał, jak biją myśli. Widział, że ideały są (mało) praktyczne. Że im bardziej się czegoś docieka, dochodzi się do źródeł, a nie do bieżących ścieków. Wiersz dla niego był tarczą przed czyhającą nachalnością. Dzięki literaturze pięknej utrzymywał się na powierzchni, nie tracił kontaktu. Jakiej to był miary wierszokleta, odpowie jego mowa wiązana pod trzema gwiazdkami (***): *Ja tutaj tylko przejezdny / nie wyróżniony przez róże / wędnę na stacjach międzygwieżdnych / rozwijam się uśmiechami w podróży // zarosły swoim krzewem na łące / widzę spadanie światła meteorów / razem z roślinami rosę się i pocę / a rankiem zachodzę sokami pod korę.*

Był ode mnie starszy o 16 lat. Spora różnica, choć tego nie było widać. Kiedy po raz 1. go spotkałem w PGR Pawłowice koło Tarczyna, między Kopaną a Kawęczynem, miał 33 lata. Robił wrażenie człowieka przystępnego, raczej słuchającego, mogę powiedzieć – lekki mruczek. Jak się mówiło, to zamieniał się w słuch i rozważał. Marszczył brwi, lekko odchyłał głowę i starannie odpowiadał. Dziwił się żdziebko. I mrugał powiekami, tak śmiesznie, jak chłopczyk, który ma w jednej kieszeni kamyczki i procę, zaś w drugiej długopis i kartkę wyrwaną ze szkolnego zeszytu – tak na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, kiedy poczujemy apetyt na wiersz.

Tadeusz Franciszek Machnowski – poeta, Kurpś.

Na wieki spoczął na cmentarzu komunalnym Oddział Osobowice we Wrocławiu przy ul. Osobowickiej 47–59; Pole 54, 1 od Alei Głównej.

Został jak pointa w kruchym wierszu pt. *Mauzoleum: a ziemia kościom wierności dochowa / ostry żal w pamięć łagodną się zmieni*.

1993 rok. Na miarę Wlenia (89) [w:] wleninfo.pl, 20 września 2020 roku, niedziela. <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-89/>.

Tadeusz Franciszek Machnowski (4 X 1937 – 30 VIII 2020). Wspomnienie, „Przydroża. Ostrołęcki Rocznik Literacki” 2020, nr 7. Wydawca Stowarzyszenie Bibliotek i Książki w Ostrołęce przy współudziale Miejskiej Biblioteki Publicznej w Ostrołęce. Przedruk za: Cz. M. Szczepaniak, [online], [dostęp: 20.09.2020], <www.wleninfo.pl>

Maciek Maliszewski (3 III 1977 – 29 XI 1988)

Syn Krystyny i Huberta. Urodził się z ubytkiem ciała modelowatego (agenezja ciała modelowatego). Ponieważ przez dwa semestry uczyłem się anatomii u dr. Kazimierza Kucharczyka, więc gdy się o tym dowiedziałem, to smutkiem zostałem napełniony. Przypomnę, że ciało modelowate jest koordynatorem czynności ośrodków prawej i lewej półkuli mózgu.

Oczywiście, że wszystko robiono, żeby Maciek żył, choć choroba go straszliwie kiereszowała i siała wielkie spustoszenie. Przez 11 lat. Nie chodził. Nie mówił. Wydawał nieartykułowane dźwięki. Był dzieckiem specjalnej troski do końca swego krótkiego życia. Byłem wzruszony, jak Huberto dźwigał Maćka do samochodu. Zabierał go, gdy peregrynował z gitarą po Polsce (Nagłowice, Lublin, Bieszczady). Nieraz jechaliśmy razem. O Maćka wszyscy dbali. Babcie, ciocie, wujkowie. Był przysłowiową *źrenicą w oku*. Pamiętam, że kiedy przyjeżdżałem do Chorzowa, to lubił mnie zaczepiać i zahaczać. Przyjaźnię się ze mną droczył. W tamtych czasach miałem łapy jak bochny i wielki apetyt na życie. Nieraz mu tłumaczyłem: Maciuś, nie zrobisz mi krzywdy, ze mną nie dasz rady! Uśmiechał się po Maćkowemu.

Huberto o nim, a także o mnie, śpiewał z towarzyszeniem gitary w dwóch pieśniach: *Piosenka dla Maćka* i *Piosenka dla Cześka*. Huberto wzruszył mnie tymi utworami. Nie będę pisał o nich więcej. Mam to nagrane i czasami sobie puszczam w ukryciu. Po prostu jest w nich wszystko, co powinno być. Napisać, że są świetne, to nic nie napisać!

Huberto na Wielkanoc 1983 roku skreślił na widokówce z martwą naturą: (...) *ja przy Maćku i przy robocie – młyn. Ogień jednak w nas nie wygaśnie, co najwyżej nas ochłodzi(...)*.

Byłem świadkiem jak Maciek gasł. Widziałem, że ten moment odejścia nad nim wisi, jak miecz zawieszony na pajęczej nici. Od chwili urodzenia. Medycyna była bezradna. Zostawała tylko nadzieja, która ostatnia gaśnie. Ponieważ mam słabość do dzieci przewlekłe chorych, osób niepełnosprawnych, starców, i tych, co robią kłopoty, więc nie muszę chyba pisać, jak go traktowałem.

Drżałem o jego los. I nie pytałem dlaczego. Widziałem, że wszelkie choroby i nieszczęścia nie mają sensu. I nie ma co się zgrywać na tanią pociechę. Nie ma co wiercić dziury w niebie albo w wodzie.

Tam, gdzie jest przewlekła choroba, życie toczy się jak łaża po policzku. A łaży – jak wiadomo – nie pachną, błyszczą. Na dnie śmiechu też kołysz się łaży.

8 marca 1988 roku Huberto pisał: *Przeczytałem wczoraj list od Ciebie kilka razy i nie wiem, ale tak mi się wydaje, że coś tam chyba przeczujesz. (...) Maciuś umarł w środę, drugiego marca, jutro będzie tydzień (...).*

Kiedy to czytałem, czułem tąpnięcie. Do tej pory jeszcze się z niego nie otrząsałem, choć tyle już minęło lat.

Z moich notatek nieraz wypada czarno-białe zdjęcie Maćka i listy od Huberta, do którego też mam słabość.

I tak to się toczy koło losu pod wielkim dachem nieba, w którym przegląda się Ziemia. Wszystko takie niepojęte i w milczeniu się streszcza.

Maciek Maliszewski (3 III 1977 – 29 XI 1988). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18 grudnia 2012 roku.

Aleksander Maśląg

Pan Olek był moim kolegą z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON). Do pracy przyjeżdżał samochodem z małżonką Joanną. Z auta wyjmował składany wózek inwalidzki. Samochód zostawiał na kopercie przy ul. Śliskiej, co wcina się w al. Jana Pawła II, i przebijał się do Funduszu. Miał amputowane kończyny dolne i ubytki w palcach. Wystarczyło tylko delikatnie popatrzeć, jak zimą pokonuje drogę, żeby nabrać podziwu i apetytu na życie. Nigdy się nie skarżył na niepokogę. Na mróz i śnieg albo chlapy. Kiedy się mijaliśmy, mówił z uśmiechem: *Panie Czesiu, ale nas ta zima poniewiera!* Odpowiadałem: panie Olku, jak ja pana widzę, to moje drewniane kule dostają skrzydeł!

Czasami się spotykaliśmy przy papierosie i urywaliśmy dłuższą rozmowę; taką na kilka sztachnięć. Był konkretny i precyzyjny. Ze specyficznym poczuciem humoru. Wydusić z niego coś wymagało nielada zachodu.

O jego drodze zawodowej wiedziałem tylko tyle, że w 1974 roku ukończył Politechnikę Śląską; dyplom uzyskał w Instytucie In-

żynierii Materiałowej. Kiedy go zapytałem o credo życia, to odpowiedział: *radź sobie w życiu sam i nie poddawaj się, problem jest wyzywaniem.*

O byle czym nie gadał. Wiedział, co mówi.

Jego pasją były wzmacniacze lampowe, które konstruował. Nie raz pokazał mi schematy, jakie wyszły spod jego okaleczonych rąk. Mimochodem powiedziałem, że minąłem się z powołaniem, bo rodzice wiele sobie obiecywali, że będę naprawiał radia i telewizory mieszkańcom okolic *Kwitnącej Jabłoni*.

Z panem Olkiem zostaliśmy urzędnikami, których tolerowano i nie skazywano na awanse. Znosiłem to spokojniej niż on, tylko dlatego, że szybko zrozumiałem, że życie jest bogate w *sprawnych inaczej*.

Po 2006 roku pan Olek podjął decyzję, że przechodzi na rentę. Ma po kokardę dosyć biura i metropolii. Wraz z małżonką wyprowadził się z Warszawy. Zamieszkali na wsi Hucisko (Beskid Makowski). W pachwinach gór, o których marzył całe życie. Swoją decyzją wzbudził jeszcze bardziej podziw tych, którzy go znali. Jaki on musiał być zdeterminowany skoro podjął taką decyzję. Zrezygnował z nizin, wybrał góry, które są zawsze górą.

Od Wielkiego Dzwonu do niego telefonowałem. Były to takie bezinteresowne rozmowy. W stałym kontakcie z nim był pan Paweł Hagner, pracownik centrali telefonicznej i zapalony szachista.

W 2011 roku, kiedy zbliżało się 50-lecie Zespołu Szkół Elektronicznych w Zduńskiej Woli, podsunąłem myśl, żeby się zgodził na wywiad o wzmacniaczach lampowych. Panie Olku, proponuję na III Zjazd Absolwentów Technikum, Liceum i Zasadniczej Szkoły Zawodowej, żeby pana zaprosili jako praktyka i teoretyka. I to będzie wydarzenie.

Pytania wysłałem. Tygodniami czekałem na odpowiedź. Nie naciskałem, bo czułem, że zmaga się ze strasznymi bólami (nie tylko fantomowymi).

Po kilku miesiącach zadzwoniłem i użyłem w rozmowie takiego oto fortelu: odzywam się do pana, panie Olku, żeby zapytać, czy doszedł mój e-mail.

Tak, tylko ja panu, panie Czesiu, odpowiem, wtedy gdy zacznie padać, bo jak pada, to piszę, a jak jest pogoda, to robię – odpowiedział.

Przy okazji zapytałem, co jest takiego w tych lampowych urzędzeniach?

Odpowiedział: *Poezja. Że są takie ciepłe, to się widzi... Jak człowiek słucha potem tego dźwięku, to on jest taki ciepły... rozumie pan, panie Czesiu?!*

Potem się okazało, że to była nasza ostatnia rozmowa.

Dnia 14 maja 2012 roku czekam w budynku biura na kierowcę pana Wojciecha Dębeckiego. Mija mnie Paweł Hagner i pyta o pana Olka. Panie Pawle, ja się bardzo krępuję zadzwonić, bo ostatnio to telefon komórkowy odbierała żona, pan Olek szykował się do szpitala. Może pan spróbuje?

A telefonista z Funduszu, który miał szczątkowy wzrok, jak przystało na dobrze wychowanego człowieka, poszedł zadzwonić. Za chwilę wraca i mówi ścisłym głosem: *Dzisiaj, panie Czesławie, zmarł pan Olek...*

Pan Olek to był gość z charakterem, który się nie poddawał. Zaciskał powieki zamiast pięści, jakby miał wypisany na plecach wersalik: MUSZĘ SOBIE RADZIĆ! Przez lata był przykuty do inwalidzkiego wózka. Cały czas myślał, jak pokonać progi i bariery, jak uśmierzyć ból i cierpienie? Nie pytał dlaczego. Zapewne wiedział, że jak człowieka dopadnie przewlekła choroba, to nie ma zlituj się. Akceptował to, że jest źle, a potem lepiej, ból przechodzi, przesuwa się, jak kamień, co musi po drodze coś pokruszyć, aby los mógł koło zatoczyć.

Pan Olek żył 60 lat, a *umierał po żdziebku*.

Aleksander Maśląg. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20–21 maja 2017 roku.

Prof. dr hab. Stanisław Mauersberg
(26 VII 1924 – 16 VIII 2012)

Absolwent filologii polskiej UW, 1959. W 1969 roku po likwidacji Pracowni Ustroju i Organizacji Oświaty w Polskiej Akademii Nauk, kierowanej przez prof. Mariana Falskiego, przeniósł się do Pracowni Dziejów Oświaty, a potem do Zakładu Historii Nauki, Oświaty i Techniki PAN.

Uczęszczałem na jego wykłady w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej (Warszawa, ul. Szczęśliwicka 40). Był docentem. Widzę jak idzie po schodach. Ciężko. Ubrany w garnitur. Pod krawatem. W okularach. Studenci się kłaniają. Odkłania się i uśmiecha. Jest starannie przygotowany. Mówi spokojnie. Nie zamęcza słuchaczy faktami. Po wykładzie spotykał się z dr. L. Grochowskim, który prowadził ćwiczenia z historii oświaty i wychowania. Tworzyli bardzo sympatyczną parę nauczycieli akademickich. Docent Mauersberg stonowany, zadumany, zaś doktor Grochowski pełen skrzydlateści. Kiedy na nich patrzyłem, to myślałem sobie, że pewnie tak się zachowywali perypatetycy w Grecji. Dyskutowali. Grochowski taki uśmiechnięty, w marynarce nie zapiętej, z dyndającym krawatem, doc. Mauersberg poważny, zapięty na wszystkie guziki. Tęższy. Grochowski lżejszy. Szedł jakby uskrzydłony. Gestykulował ręką, pozdrawiał dłonią, jakby z niej wypadła śnieżna chusteczka. I tak szli długą aulą i schodami. Rozmawiali. To byli z klasą wykładowcy.

Profesor dr hab. Stanisław Mauersberg pozostawił wiele uczonych dzieł, jak np. *Historia wychowania*; *Dzieje szkolnictwa i pedagogiki specjalnej*. Mauersberg S. (red), PWN, Warszawa 1990 i inne.

Prof. dr hab. Stanisław Mauersberg. Pożegnania, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7 września 2012 roku.

Bolesław Miciński (23 IV 1911 – 30 V 1943)

Poeta, filozof, eseista (sic!). Człowiek, który pisał z *ogniem*. Jego zbiór *Podróże do piekieł i inne eseje* (Wydawnictwo Znak, Kraków 1994) to wybór wysmakowanych tekstów. Prawdziwe majstersztyki! Jeżeli ktoś powątpiewa w moje słowa, to niech przeczyta. Miciński pisze o Biblii, Homerze, Defoe (*Robinson Crusoe*), Dickensie (*Klub Pickwicka*), Kartezjuszu, Cusinie, Kancie. Można powiedzieć, że obracał się wśród największych dzieł. Czego dotknie piórem, zamienia się w kwintesencję. Sam już nie wiem, czego jest w tych esejach więcej – poezji czy filozofii? Dla mnie są to peregrynacje osobowości. Dziś już takich eseistów nie ma, może tylko Zbigniew Herbert wznosił się na takie szczyty. U Autora *Portretu Kanta* wszystko jest wysmakowane i przemyślane do końca. Tym, którzy tak lubią sobie stroić żarty z poetów i filozofów, polecałbym lekturę pism Bolesława Micińskiego. Dlaczego? Po prostu, żeby choć na chwilę zamknęli buzię i szerzej otworzyli oczy.

„Magazyn-Słowo Dziennik Katolicki” 1995, nr 6.

Adam Mickiewicz (24 XII 1798 – 26 XI 1855)

Przypomnę, bo w III RP jest kiepsko z pamięcią. Z raportów wynika, że ludzie nie czytają, wolą dopalacze. Obywatelom urywają się filmy. TV (prywatna i państwowa) ma do widzów stosunek... przerywany przez reklamy. Na świetlicy w szkołach porozumiewają się już za pomocą megafonu. Na scenie polskiej jest tak, jak w instrukcji obsługi gaśnicy terenowej: *Pali się? Niech się pali, a my spokojnie...* A więc, śpieszmy się powoli, żeby nas diabli nie wzięli. W obcym języku takie spowolnienie nazywa się *Slow Life*.

Uprzejmie proszę P.T. Czytelników o uważne przeczytanie zdania, które specjalnie pogrubilem: **Adam Mickiewicz (24 grudnia 1798, Zaosie – 26 listopada 1855, Konstantynopol, Turcja).**

O co chodzi?

Po raz drugi proszę, żeby obliczyli, ile lat minęło od śmierci wieszczki – szlachciury polskiego słowa? Dla ułatwienia podaję, jak to zrobić: trzeba od 2015 odjąć 1855. I wyjdzie, ile to lat minęło, jak nie żyje Adam Mickiewicz.

A więc: czapki, berety, kapelusze, chusteczki z głów. Proszę z rac nie strzelać, zostańcie w domu, polskie ulice mają dość martyrologii, wystarczy, że chodniki drżą ze strachu, bo tam gdzie marsz pokojowy, wojenne nastroje. Po co dodatkowe szmery i piski. Nie mieszajmy w to drzew: brzozy, osiki, dębu itd. Nie szastajmy karabelą. Wystarczy rocznica. Okrągła jak koło losu.

Adam Mickiewicz nie ma sobie równych w polskiej literaturze pięknej. Szkoła tak go przesiała, że po latach nie chcemy czytać lektur obowiązkowych. Mickiewicz broni się tym, co napisał. I mogą sobie pleść różne krytyki dziennikarskie na jego temat. Nie sposób podważyć tego, co sygnował swoim imieniem i nazwiskiem. Można z tym dyskutować, ale... takiego poety w Polsce nie było. Jak Polska Polską, a Litwa Litwą.

Mickiewicz ukończył studia na Uniwersytecie Wileńskim, ale nie miał stopnia magistra, gdyż jego rozprawę magisterską *De critica usu atque praestantia* (nie dochowana) Grodecki i Borowski odrzucili.

Był bałaganiarzem. Gubił rzeczy, zapominał. Rزتargniony, jakby chwycił dwa arbuzy na raz. Żył w strasliwym pośpiechu. Oczywiście, że potrafił zadbać o siebie, nie był to jakiś tam fajtłapa. To był figlarz, który miał słabość do niewiast. Niby taki niski, a ile było w nim potencji. Nie tylko twórczej. Miał *korzeń*, jakby powiedział Jan Kochanowski z Czarnolasu.

Mickiewicz miał farta w życiu. Dostawał połowę pensji profesorskiej (2500 franków rocznie) oraz 1000 franków, które mu wypłacano za... fikcyjne katalogowanie rękopisów słowiańskich w Bibliothèque Royale. Na odsiecz z pomocą ruszali m.in. Julian Ursyn Niemcewicz (1758–1841), Zygmunt Krasiński (1812–1859), Konstancja Łubieńska (1798–1867) i inni.

Miał bzika na punkcie Andrzeja Towiańskiego (1799–1878); zgłupiał jak neofita. Religia i towiańszczyzna zawróciła mu tak w głowie, że na dłuższą metę tego nie dało się słuchać, czytać, i w ogóle. Szajba na całego! Od tego czasu nie umaczał pióra w atramencie i nic znaczącego nie napisał; jeżeli chodzi o utwory, za to w listach się rozpisywał albo streszczał. W ciągu życia napisał ponad 1246 listów. Imponujące.

Sprawa Boża. Towiańczycy. Bzik religijny. Albo jak kto woli – opium. Zwał to jak zwał. Jaka stąd dla nas nauka? Ano taka, że artysta powinien spieprzać od miejsca, gdzie politycy i różnego autorytetu duchowni grzebią w chmurach kijem, co ma dwa końce. Mickiewicza otaczali ludzie niezrównoważeni, ślepo zapatrzeni w Towiańskiego jak w obrazek albo lustreczko. Cierpieli na tzw. lustrzycę (dzisiaj byśmy powiedzieli, że mają ciąg na szkło jak celebryci). I ten kult Napoleona. Nieraz korespondencję podpisywał: *Adam Napoleon* [1817], *Napoleon z Nowogródka* [1818]. Należał do ekipy narwańców, dziwaków, którzy ciężko przesadzali. Jak zimni ogrodnicy. We wszystkim. Byli na granicy normy i patologii. Rozhisteryzowani. Wielu z nich skończyło obłędem. A potem ten bzik, żeby wziąć sztandar z wersalikiem ZA WOLNOŚĆ WASZĄ I NASZĄ. Sprawy innych były pretekstem do walczenia o swoje, ale... obce państwa wyzyskiwały ich do swoich interesów. Po prostu zostali wyrolowani. Te zrywy, gdy się o nich czyta, przerażają, że zabrakło trzeźwej kalkulacji. Te wszystkie kategorie: *Brat* lub *wódz* budzą zdziwienie. Te mowy pełne patosu, napuszone i sztuczne, jakby połknęli kijaszek od miotły, co pod dywan zamiata. Można się nimi wzruszyć, ale ramionami. Z odsieczą 12-osobowego wojska ruszyli na Zjednoczenie Włoch, jako żołnierze Chrystusa. W składzie tego Legionu byli malarze, architekci, artyści. Czyli ludzie, którzy nie są przysposobieni do wszelkich wojen; w czasach pokoju różnie sobie radzą, a w czasie zagrożenia trzęsą się im nie tylko portki. I to prężenie mięśni, pohukiwanie, nie mierzenie sił na zamiary. Być ciągle w obcych rękach, to bardzo niewygodna pozycja.

Ostatecznie Legion został skierowany do... wykonywania robót publicznych. Na Sycylii budowali drogi dla tuziemców. Inni się rozproszyli. Przepadli. Kiedy o tym czytałem, to nie miałem czasu złapać się za głowę. Pogubiłem się, bo nie wiedziałem, gdzie męczyciel, a gdzie męczennik? Kpina. Żart o politycznej nieobliczalności.

Adam Mickiewicz potrafił pisać świetne objaśnienia, dziś byśmy to nazwali przypisami. Skomprimowane, z kapką liryzmu i erudycją. Czuć w nich dużą erudycją. Oczywiście, że był niesamowicie odcytany, trawestował, czerpał pełnymi garściami z mitologii, filozofii, literatury, przysłów i innych. To, co wziął, szlifował. Jak swoje. Opanował styl literacki i dziennikarski. Świetnie sobie radził ze słowem polskim. Komentarze biblijne troszeczkę nużą i są już nieco zwietrzałe, delikatnie mówiąc. Mogą być, ale... to już chyba trzeba wrzucić do lamusa.

Poezja Mickiewicza broni się pięknym stylem, polszczyzną, jaką żaden z poetów polskich nie pisał. Z taką biegłością. Że dech zapiera. To był mistrz, majster i rzemieślnik. W jednej osobie było ich trzech. A poza tym musiał to być dowcipny gość, bo smutas coś takiego nie skreśli: (...) *Jeżeli Tomasz może pisać, życzę mu serdecznie, ale nie przymuszam, bo pisać nie jest to buty szyc na zakaz. Ja pisałem, bo były okoliczności sprzyjające muzie, a teraz znowu hultaje.* (...) {Adam Mickiewicz, *Do Jana Czeczota i Tomasza Zana* [Moskwa], 5/17 stycznia 1827}.

Z wrodzonym poczuciem humoru wzdychał: (...) *Ciężka to jest walka o życie! Doświadczycie sami rzeczy dziwnej: rozkosze i przyjemności, które uciekają od nas, kiedy gonimy za nimi, skoro zaczniemy wyrzekać się ich, zaczną gonić z nami. Człowiek może przyjść do tej strasznej potęgi, że ledwie okiem rzuci na błyskotkę, na twarz piękną, znajdzie je wnet przed sobą; cisnąć się będzie świat do niego przez drzwi zamknięte.* (...) (Do Hieronima Kajsiwicza i Leonarda Retla, Paryż, 16 grudnia 1833 roku).

I tak mógłbym cytować wypisy Mickiewiczowskie, które szkoła przemilcza, czyniąc szkodę uczniom. Wkuwanie na tzw. blaszkę nie

zachęca do literatury pięknej, która jest po to, żebyś inaczej myślał, tj. nie dał się wywieść w pole albo w tłum, gdzie łeb przy łebku.

Pan Tadeusz nie ma sobie równych w polskiej literaturze. Nie sposób go przetłumaczyć na obce języki. Aby go zrozumieć, trzeba się nauczyć języka polskiego. Literackiego. Jeżeli się chcesz zmyć z wszelkich obcości, czytaj Mickiewicza. Częściej wpadaj do Soplicowa, które jest centrum: *Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!* (*Pan Tadeusz. Rada, Księga siódma*).

Kończę, bo wpadam, kolejny raz, w zachwyty. Spuścizna Adama Mickiewicza jest świetna. Nie piszę tego, że jest rocznica funeralna. Zapomniana. Napisałem felieton, bo jest mi wstyd, że jest tak cicho wokół A.M.

PS

Jeżeli kogoś swoją pisaniną zdemoralizowałem, to przepraszam.

John Barclay (1582–1621) w powieści alegorycznej *Argenis*, przetłumaczonej przez Wacława Potockiego (1625–1696), Warszawa 1697 roku, napisał ku pamięci: *Próżna ufność w marmurze, próżna i w żelazie, / To trwa do skonu świata, co na papier wlezie.*

Powiedzmy. Papier też wykrusza się, ma tzw. wżery miedziowe. Dziurawi go stary atrament-żelazowo-galusowy z jonami żelaza. Papier się kwasi. Aby papier trzymał się nieźle, trzeba go wytwarzać ze szmat. W przeciwnym razie rozpadnie się na strzępy. Nie przesadzajmy z tą trwałością. Życia.

A. M. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2015, nr 47.

Eugeniusz Mikołajewicz

Był dyrektorem Bursy Szkolnictwa Zawodowego Nr 9, Łódź, ul. Żubradzka 1A, w której mieszkałem w latach 1973–1976. Starszy pan. W okularach z grubymi szklami. Łysawy (stąd jego ksywka *Łysy*). W marynarce i pod krawatem. Z nieodłącznym papierosem marki „Klubowy” w szklanej, czarnej fifce. Wszystko lubił mieć pod okiem. Sprawdzał nas na każdym kroku. Do pomocy miał czterech

portierów: Banię, Kanię, Perełkę, którzy z nami trzymali sztamę oraz Cyklopa, co sypał jak sykofant. Niesamowity bzik, jeżeli chodzi o czystość i nałogi. Wystarczyło, że poczuł od nas papierosy, od razu wzywał do gabinetu i suszył nam głowę, i kazał się pakować do... domu. Coś o tym wiem, bo nieraz było tak: spakowałem, któryś z kolei raz, swoje rzeczy i zrezygnowany wychodzę z bursy. Chcę zamknąć drzwi i nagle słyszę za moimi plecami: *Szczepaniak, wróć!*

Serce mocniej mi zabiło. Wracam. W drzwiach do pokoju numer 3 stoi pan dyrektor. Pali papierosa. Patrzy na mnie.

– Nawet się ze mną nie chcesz pożegnać – mówi z ironią.

– ...

Milczałem.

– Powinieneś się pożegnać, a potem dopiero jechać do domu.

– ...

– Idź do sali, szynu... – powiedział, puszczając pogięte obręcze dymu.

W 1976 roku chciałem panu dyrektorowi nieco osłodzić słone życie na niwie wychowawczej. Żeby przymknął oko na wszystkie nasze wyskoki. I napisałem dwa teksty na odwrytkę. Trochę oszczędziłem na prawdzie, więc sporo nakłamałem. Odważyłem się, żeby nie drzeć.

Opublikowałem artykuł pt. *Przedstawiamy naszą bursę. Kurier szkolny* (2), „Głos Robotniczy” 1976, nr 17, który ukazał się na 3. stronie w łódzkim dzienniku partyjnym. Być może ktoś pomyśli, że byłem naiwny pisząc to. I będzie tkwił w błędzie. Zachowałem się jak rasowy dziennikarz, który żyje z kłamstwa. A przed opuszczeniem bursy, machnąłem opowiadanie pt. *Życ po ludzku*, które opublikował łódzki tygodnik „Odgłosy” 1976, nr 24.

Aby nieco uspokoić hormony, pan dyrektor zaradził, żeby cyklicznie odbywały się pogadanki. Zapraszano prelegentów, którzy opowiadali o sytuacji geopolitycznej, o utrzymywaniu higieny ciała, o pożytku z gimnastyki, o tym, żeby podnosić ciężary i robić pompki, itd. Do świetlicy zganiano chłopców, którzy musieli swoje odśiedzieć, pod okiem wychowawców i pana dyrektora.

Pan dyrektor organizował też konkursy czystości. Na najczystszy pokój. Lubił wieczorem przejść się po salach, żeby sprawdzić czystość kończyn dolnych. A wiosną chłopcy musieli iść na czyny społeczne. Odbываło się sprzątanie placu, kopanie ziemi, sadzenie, etc. Pracami fizycznymi próbował odgonić od nas wszystkie myśli o płci pięknej. Chłopcy wychodzili na plac ze szpadlami, grabiami, taczkami i co rusz zerkali na ulicę Żubardzką, po której szły dziewczęta i kobiety. Jak łanie. W kolorowych sukienkach. Do ich nóg łasił się wiatr i dotykał jabłka kolan. Pryszczaci kątem oka patrzyli, jak ludzie zazdrośni. Dzięki takim widoczkom, człowiek dostrzega, że miłość potrafi uskrzydlić ramiona i rozkołysać biodra. Dla samotnych to są ciężkie chwile i dlatego płęć brzydka tak często skubała listki z krzaków, co rosły przy naszej bursie, zamiast serce.

Mamy czas – mawia się w młodości. A przecież tylko czas ma nas jak przemijanie. Czasu się nie da nakręcić jak zegara z kukułką.

Łódzkie wspomnienie, jak sznytką (kanapka).

Halina Stefania Miroszowa (28 IX 1920 – 1 VIII 2014)

Dziennikarka radia i telewizji. Reporterka uczuć ludzkich, doli i niedoli, i smutków, które próbowała nieco rozweselać. Była zawsze po stronie tych, którzy zmagali się z codziennością i nie potrafili związać końca z końcem. Osoba, która zupełnie nie mieściła się w kanonie radia i telewizji. Nie gwiazdorzyła. Nie wiem, czy w ogóle pani Halina знаła takie pojęcie. Cicha, potrafiąca wysłuchiwać do końca. I nie przerywać. Wystarczy tylko zacytować tytuły jej programów, które wystarczą za komentarz: *Miniatury*, *Bank miast*, *Twarzą w twarz*, *Mój mały świat*, *Szuflada*, *Po prostu żyć*. Pod koniec XX w. prowadziła w polskiej telewizji, wspólnie z Aleksandrem Małachowskim, program interwencyjny pt. *Telewizja nocą*. Odpowiadali na skargi i prośby słuchaczy. Pan Aleksander zwykł zapuszczać się w gawędę, a pani Halina lapidarnie dopowiadała; łagodziła swoim spokojem i wdziękiem osobistym, to, co wydawało się, że

już jest przegrane. Nigdy nie widziałem, żeby się zdenerwowała. Potrafiła odnaleźć tę ostatnią deskę ratunku dla tych, co nie radzili sobie w życiu. Pisali o tym długie listy, w których toczyły się łzy. Pomimo że program dotyczył nieprzyjemnych prawd, to dla mądrości życiowej pani Haliny z przyjemnością słuchałem jej opinii. To, że w Polsce zmniejszyła się ilość malkontentów, zawdzięczamy pani Halinie Miroszowej. Dzięki jej nocnemu programowi, spokojniej zasypialiśmy. Było, minęło, jak wszystko, więc można wspominać – ku pamięci.

Halina Stefania Miroszowa (28 IX 1920 – 1 VIII 2014). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 8 sierpnia 2014 roku.

Karol Modzelewski (23 XI 1937 – 28 IV 2019)

Historyk-mediewista, więzień (8,5 roku) PRL-u, rzecznik Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. Autor m.in. świetnej prozy pt. *Zajeżdżimy kobyłę historii. Wyznanie poobijanego jeźdźcy* (Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013, ss. 437+ fotografie). Tytuł książki to wymek z wiersza Włodzimierza Majakowskiego (1893–1930) pt. *Lewą marsz* (1918): *Dosyć już żyliśmy w glorii / praw, które dał Adam i Ewa; / zjeżdżimy kobyłę historii! / Lewa! / Lewa! / Lewa!*

Peregrynował rzemiennym dyszlem. I to, co przeżył, spisał, jak to bywało na wozie i pod wozem. Prowadził ostrą selekcję, żeby to, co najistotniejsze, włożyło na kartkę. Był jeźdźcem, z pełnym rynsztunkiem, który potrafił okiełznać dzikość i gniew. Wiedział, że na wszelki strach – myślenie. Według recepty Seneki: *Nie śmiemy, bo rzeczy są trudne, rzeczy są trudne, bo nie śmiemy.*

Pisał z pozycji obserwatora, świadka i uczestnika. Z wielkim bagażem doświadczeń i traum. Był narratorem wydarzeń z PRL-u oraz innych państw w obozie socjalistycznym.

Świetne komentarze (objaśnienia), wyważone. Bez stereotypów i taniej hagiografii. Wciągające dygresje i wtręty. Wysublimowany

dowcip. Nie ma tu miejsca na patos i tanie kombatanctwo. Precyzja myśli, dobrze wyszlifowane (złożone) zdania, z długim oddechem. Historyk pisał, jak sobie radził z własnym poczuciem tożsamości narodowej. Urzeka spokój wspomnień i brak cierpiętnictwa, choć historyk dostał nieraz dobrze w skórę i jest poobijany. *Expressis verbis: Dostawałem (...) baty, ale sam pchałem się do bijatyki. Starłem się uderzać celnie i dotkliwie, nie powinienem się więc dziwić, że sam też obrywałem.*

Miał dystans do wszelkich sentymentów. Był powściągliwy i zachowywał szacunek do przeżyć (dobrych i złych). Nie ukrywał rozczarowań i nie obnosił przed światem, jakich to doświadczył humorów historii. Nie wałaszył słów, choć pisał o parcianych czasach. To jest trudna książka. Nie na jedno czytanie. Tomiszczce, napisane przez specja od historii. W autobiografii Karola Modzelewskiego przewija się leitmotiv, że *historii nie można fryzować*.

Innymi słowy, *trzeba (...) rewidować wybór drogi życiowej*, bo tylko w baśniach udaje się przetasować karty losu.

Maria Mroczkowska-Szulc (26 X 1938 – 13 V 2008)

W czwartek, dnia 15 maja 2008 roku odeszła pani Maria Mroczkowska-Szulc, z którą chodziłem do kościoła. I mówiłem, że nie wiadomo, kto z kim chodzi, czy pani Maria ze mną, czy ja z panią Marią. Latami wystawaliśmy na klatce i prowadziliśmy rozmowę stosowną. Tkwiliśmy między filozofią a Biblią. Albo inaczej: między Słowem Świętym a słowem powszednim. Doskonale wiedziała, że *Biblia w rękę jest warta dwóch na półce*. Pani Maria była po stronie Krzyża Chrystusa, do którego przez Maryję szła. Wielką estymą darzyła czekoladowego zakonnika, św. o. Pio (1887–1968). Miała w sobie tyle delikatności. Lubiała dyskretny żarcik. Próbowwała żyć na co dzień Ewangelią, choć to takie trudne. Tkwiała w Nowym Testamencie, jak zalecał kościół. Ja natomiast przypominałem o Starym Testamencie, tym drugim płucu, z którym dopiero się oddycha pełną piersią. To była pani z klasą. Miała dar zapamiętywania i ko-

mentowania. Latami wspomagała tych, co byli w potrzebie. Nie zaprzestała nawet, kiedy jeden z rzezimieszków porwał jej portmonetkę. Powiedziałem, że złodziejaszkowi zabrakło wyobraźni, bo pani Maria ma niejedną torebkę. A kiedy się opiekowała matką, a potem nieuleczalnie chorą ciotką, to powiedziała, że robi to w imię Chrystusa.

Absolwentka SGGW nieraz mi mówiła, że Boga odkrywa w każdej komórce. Staliśmy sobie na klatce w obręczach tytoniowego dymu.

Pani Maria poinformowała mnie o swojej przewlekłej chorobie. Byłem cichym świadkiem jak przygasało jej życie.

W miesiącu maryjnym odeszła, gdzie zwykle się nucić: *Chwalcie łąki, umajone, / góry, doliny zielone (...)*. Cicho odeszła na paluszkach, tak jak żyła. Nie pojawił się żaden nekrolog w gazecie o zasięgu lokalnym i ogólnopolskim.

Jeszcze mam w uszach szelest jej kroków i coraz słabszy głos.

Świętej pamięci ciało pani Marii pochowano w grobowcu rodzinnym na cmentarzu wolskim. Bez pani Marii jest tak pusto na klatce.

O jej śmierci poinformowała mnie jej córka Ania, którą znam od dziecka. Redagowałem dla sąsiadki z bloku nekrolog. Całość zajęła mi około 5 minut, a może 7. I kiedy skończyłem go pisać, to do naszego pokoju wpadł wróbelek. Ptasi proletariusz zaplątał się w żaluzje. Powiedziałem wtedy do *Graszeki*, że tego wróbelka podrzuciła nam pani Maria w ramach honorarium. To byłby taki żart w jej stylu. Złapałem wróbelka i wypuściłem go na dwór.

W czasie pogrzebu dowiedziałem się od pana dr. Edwarda Mroczkowskiego, że babka pani Marii, śp. Józefa Szulc, była Tercjarką Zakonu św. Franciszka (1181/1182–1226). W czasie jej pogrzebu na gałązkach drzew pojawiła się gromadka ptaków, co nie orzą, nie sieją, a skrzydlato żyją.

(...)

Byli... (2). Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2008, nr 39.

* * *

(...)

Dnia 15 maja 2008 roku zmarła pani Maria Mroczkowska-Szulc, z którą prowadziłem stosowne rozmowy na klatce. To była dowcipna i mądra sąsiadka, która nigdy nie posuwała się za daleko. Ceniłem jej riposty i swoisty dowcip, i to, że starała się przemodlić swoje życie. Rozważała i kontemplowała fragment *Dziejów Apostolskich*; Ananiasz i Safira to był jej ewangeliczny feblik (Dz 5, 1–11).

(...)

Z listy nieobecnych. Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2009, nr 38.

PS

Córka Ania, *Podziękowanie Forum Czytelników*!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2009, nr 39:

Pragnę podziękować na łamach „Pasma” Panu Redaktorowi Mirosławowi Szczepaniakowi za artykuł poświęcony wspomnieniom z okazji Wszystkich Świętych Osobom, które odeszły...

Po raz drugi Pan Redaktor poświęcił wspomnieniom mojej Mamie, która była jego sąsiadką i zrobił to w sposób, który wyciska łzy... Mało kto pamięta o ludziach, których już nie ma, dlatego ten artykuł jest szczególnie wartościowy i bardzo bliski sercu tym, którzy pozostali w ogromnym żalu po stracie. Daje dużo szczęścia rodzinie zmarłej, że ktoś o niej pamięta. Nie ma słów, którymi można by podziękować za pamięć i wspomnienie o mojej Mamie... nie wiem, czy samo DZIĘKUJĘ wystarczy...

Dziękuję

24 grudnia 2009, Wigilia, czwartek

Stoję na klatce schodowej. Palę papierosa. Podchodzi do mnie sąsiad, dr Edward Mroczkowski. Rozmawiamy. W pewnym momencie pytam, czy to prawda, że ludzie po transplantologii chorują na cukrzycę, bo o tym czytałem. Doktor mówi, że nie powinno się ingerować w naturę, bo różne in vitro rodzi inwalidów. Słucham, nie

interweniuję. Laryngolog opowiada, jak jechał z żoną Marysią na działkę i gdzieś koło Serocka mijali billboard z truskawką większą niż człowiek. Powiedział o tym żonie, a ona skomentowała: *Żona Michurina spadła z truskawki i złamała nogę!*

* * *

Przysłowie poucza, żeby mieć w domu porządek, bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Lepiej na bieżąco trzymać czystość, niż brać się w ostatniej chwili za sprząatanie. Są takie czynności w domu, które człowiek odkłada na później, w myśl zasady – jeszcze zdążę.

Najciężej się zabrać do czyszczenia biblioteki. Coś na ten temat wiem, więc rozumiem wszystkich moli książkowych, którzy ociągają się, żeby chwycić ściereczkę albo wilgotną szmatkę i odkurzyć grzbiety książek, i półki biblioteczne.

Przed laty opowiadała mi pani Maria M-S, z którą sobie uskuteczniałem stosowne rozmówki i popalałem na klatce papieroski, że przed świętami nie ma siły na perswazję do swojego męża, doktora laryngologa. Pan doktor nauk medycznych, o którym czule mówiła *Edward Ponury*, znosi tyle książek i czasopism, i nie dba, żeby wreszcie zrobić porządek w papierach.

W końcu nie wytrzymałam i napisałam palcem w jego zakurzonej bibliotece: WESOŁYCH ŚWIĄT, powiedziała, co zrobiła.

Przez chwilę się zadumałem.

Pani Maria na tyle była delikatna, że nie zapytała, co mnie tak zamurowało.

Opowiastka jej wydawała mi się tak sympatyczna, jak dwuwiersz Petera Huchela (1903–1981), niemieckiego poety:

«Pamiętaj o mnie» / Szepcze kurz.

PS

Podobno, gdy kiedyś zapytano prof. Aleksandra Bardiniego (1913–1995): *Co woli seks czy Boże Narodzenie?*, to odpowiedział: *Boże Narodzenie, bo częściej.*

Na koniec roku (Kolędy, Szept kurzu). Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2009, nr 45.

* * *

Pani Maria i pan dr Edward Mroczkowsky byli moimi sąsiadami. Z tej samej klatki schodowej. Na I piętrze. Dzieliły nas tylko dwa numery mieszkań. Mieszkaliśmy w 10-piętrowym bloku. Z wielkiej płyty. Z panią Marią nieraz na tej klatce staliśmy pod kaloryferem i uskutecznialiśmy rozmowę stosowną. Kiedy mijał nas starszy sąsiad, to mówił: *Powiem pana żonie, że pan tu stoi z panią Marią!* Odpowiadałem, znowu pan mnie przyłapał na klatce z... miłą sąsiadką. Ale sąsiad tego nie słuchał, szedł dalej. A pani Maria mówiła cichutko – *Erototuman!* Takie to miała riposty moja starsza znajoma. A także świetny dowcip lingwistyczny. Potrafiła z życia wyłuskiwać opowiadania. Jak przystało na wykształconego biologa, miała wielki szacunek do życia w najmniejszej komórce.

Kiedys latem stoję na klatce z panią Marią, która powiada mi, że pan Edward wrócił z działki, i gdzieś koło Serocka minął olbrzymi billboard z ogromną truskawką, większą niż człowiek. Był zdziwiony. *Szybko go sprowadziłam na ziemię, mówiąc: Żona Miczurina spadła z truskawki i złamała nogę!*

Nieraz mówiła o swoim mężu: *Edward Ponury.*

Po latach mogę się przyznać, że właśnie tu się nikotynizowaliśmy. Rozmowa z panią Marią to była przyjemność. Miała błyskotliwe refleksje i riposty, które nie raniły. Potrafiła świetnie analizować i syntetyzować fakty. Trochę mnie przeceniała, bo zwykła rozmowę doprowadzać do Ewangelii. Peszyło mnie, gdy pytała o Biblię, bo jaki tam ze mnie znawca, choć wtedy byłem neofitą, który uprawiał socrealizm katolicki. Ona była człowiekiem modlitwy, taka różańcowa, ale w dobrym słowa tego znaczeniu. Zachowywała wielki dystans do siebie. Na pewno miała dar dziecięctwa wiary. Przejmowała się wszystkim. Bardzo często powracała do przypowieści o Ananiaszu i Safrinie (*Dz 5, 1–11; 9–10*). Wspólnie pere-

grynowaliśmy do kościoła. Wracaliśmy razem do domu. Lelum polelum. Do bloku przy ulicy Marii Grzegorzewskiej, Osiedle *Na Skraju*.

Kiedys nieśmiało proponowałem pani Marii, żebyśmy odbyli peregrynację po ursynowskim osiedlu *Na Skraju*, bo chętnie bym posłuchał wykładu o drzewach, krzewach, ptakach i owadach, powiedziałem. To nie było moje widzimi się, bo pani Maria była absolwentką Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Napisała pracę pt. *Charakterystyka zabiegów ochroniarskich na uprawach warzywnych w okolicach Warszawy*, praca magisterska wykonana w Katedrze Entomologii Stosowanej w Warszawie pod kierunkiem doc. dr. Jana Boczka, 1964. Nigdy się nie przyznała, że specjalizuje się w nauce o owadach.

Do spaceru z sąsiadką nie doszło. Ograniczyliśmy się do rozmów na klatce schodowej, pod kaloryferem. Po południowo-zachodniej stronie Ursynowa.

W życiu bym nie pomyślał, że dotknie ją śmiertelna choroba. Szybko zachorowała, i jeszcze szybciej odeszła. Wszystko zawiodło: wiara i nauka, i medycyna niekonwencjonalna.

Kiedy upłynęło kilka lat od śmierci pani Marii, zaproponowałem panu dr. Edwardowi, że warto by się pokusić o druczek. *In memoriam*. Uczyliłem tak, ponieważ zauważyłem na jego policzku łzę, co wypadła z łódeczki powiek. Nie jestem człowiekiem nieprzemakalnym, więc nie zapominam o tym, że łzy nie pachną, błyszczą.

Pan doktor napisał skomprimowane wspomnienia. Fragmentem. Związłe jak w karcie choroby. I z sentymentem, bo inaczej się nie da. Skomprimowany tekst, choć z nutką liryczną. Byłem redaktorem zapisków pana dr. Edwarda, w myśl zaleceń wiersza, którego uczyłem się z *Elementarza* Mariana Falskiego: *Murarz domy muruje,/ krawiec szyje ubrania. (...) (Julian Tuwim, 1894–1953, Wszyscy dla wszystkich)*. Nic takiego nie robiłem. Jako redaktor, starałem się tylko dotrzymać zaleceń Daniela Sandersa (1819–1897), leksykografa z XIX w.: *Wspomnienie to łagodna bogini, minione radości*

przywołuje z powrotem, a minione smutki jakby opromienia wieczorną zorzą szczęścia. Kolejny raz powtarzam cytat, bo jest w nim wszystko, co się kryje pod słowem przemijanie.

Maria Mroczkowska-Schulc (1938–2008). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 27–28 czerwca 2015 roku.

Prof. dr n. med. Jan Nielubowicz (28 X 1915 – 2 II 2000)

N

O życiu i śmierci najwięcej mają do powiedzenia lekarze, ale tak już jest, że konsyliarze leczą albo ciągle się uczą i zdobywają kolejne stopnie specjalizacji i bardzo trudno ich namówić na rozmowę. Zawsze czymś się wykręcą. Nieraz miałem zakusy, żeby porozmawiać z uczonymi medykami o chorobie i zdrowiu, ale z tych moich zakusów nic nie wyszło poza zabiegami, niestety. O tym, że mam słabość do służby zdrowia, chyba nie muszę pisać. Do chirurgów od młodych lat mam podziw, bo to detektywi, którzy działają bardzo szybko. Najczęściej to są chłopcy z łapami jak bochny.

Profesora Jana Nielubowicza tylko raz spotkałem na ul. Oczki. Było to wiosną albo latem. Szedłem ulicą i nagle minął mnie bardzo elegancki pan w muszce: *W kraju wszyscy nosiliśmy fartuchy zapinane z przodu, a pod nimi krawaty. W Ameryce, gdzie byłem na stypendium, nie nosiło się fartuchów, tylko krótkie kurteczki. Jak tylko pochylałem się nad chorym, krawat dyndał mu po nosie. Problem rozwiązała muszka, wiele osób w Stanach ją nosiło. To mi się spodobało (...).* Spojrzał na mnie tak jak patrzą lekarze na pacjenta. Musiało być coś więcej, że to spotkanie pamiętam. Wiedziałem tak przez skórę, że minął mnie ktoś wielki ze świata sztuki medycznej (*lege artis*), bo na ulicy Oczki mogli być lekarze, studenci, pacjenci albo ci, co szli w odwiedzinach do chorych. Zanim zidentyfikowałem, kto to był, sporo upłynęło wody w Wiśle.

W Magazynie „Gazety Wyborczej” (16 września 1999) ukazał się znakomity wywiad pt. *Chirurgzy i detektywi* (z profesorem Janem

Nielubowiczem rozmawiali Krystyna Bochenek i Dariusz Korotko). Tytuł wykorzystano do zbioru książki, w której pomieszczono rozmowy z chirurgami (Wydawca: Polski Przegląd Chirurgiczny, Warszawa 2001, ss. 166). Rozmowa ze starym profesorem jest majstersztykiem.

To był niekonwencjonalny profesor. Na użone odprawy wzywał pracowników dzwonkiem: (...) *Punktualnie o 12 wychodziłem z gabinetu i dzwoniłem na korytarzu. Przypominałem, że czas na dyskusję o chorych. Na zebrania przychodzili wszyscy: lekarze, studenci, pielęgniarki. Każdy mógł zabierać głos. Co sobota mieliśmy posiedzenia naukowe, a raz w miesiącu, na wzór amerykański, dyskusję o zmarłych. Analizowaliśmy przyczyny zgonów. Dwa razy, kiedy sam popełniłem błąd, przyznałem się do tego przed wszystkimi współpracownikami. Mój gabinet był zawsze otwarty dla kolegów, nikt się nigdy nie meldował (...).*

Nie będę wypisywał osiągnięć naukowych prof. Jana Nielubowicza, z którego wiedzy korzystają studenci nauk medycznych. Dorobek jest przeogromny. Przypomnę, że profesor prowadził dziennik, w którym skrupulatnie zapisywał to, co zwykło umykać ludzkiej pamięci. To był taki ludzki profesor: (...) *Często przychodzą do mnie chorzy sprzed 20 lat, bo jeszcze przyjmuję. Co tydzień w środę mam trzy – cztery godziny konsultacji. Mówią: „Mam chorą głowę, a pan mi zoperował kiedyś tętniaka”. Panie, przecież tętniak to nie głowa, mówię. Odpowiadają: „Jak pan potrafił wyleczyć tętniaka, to i z głową sobie poradzi”. Chory nabiera zaufania do lekarza, wytwarza się między nimi jakaś więź, która trwa latami (...).*

Profesor nie wywyższał swojego powołania. Chirurgię traktował jak naukę oraz służbę. Miał dystans jak mędrzec: *Chirurg jest często jak wędkarz, lubi kłamać na temat swoich sukcesów. Najbardziej jest to widoczne na różnych zjazdach i odczytach. Wszyscy się chwala. Ale lekarz, który okłamuje sam siebie, powiela błędy.*

Żona prof. Helena Nielubowicz-Kistelska (1914–1997), neurolog, nieraz przypominała małżonkowi *cechy miazdżycy u staruszków*

(kłopoty z pamięcią, utrata krytycyzmu, *kłopoty z utrzymaniem afektu*). Podrzuciła kiedyś małżonkowi karteczkę, która kończyła się dobrą radą: *wycofaj się w porę z zawodu lekarskiego*.

Na pytanie: *Jak się czuje chirurg, który składa broń?* prof. Jan Nielubowicz m.in. odpowiedział: *Idzie na Powązki, na grób ojca. Ja tak zrobiłem. Po przejściu na emeryturę zeszczipiałem i szerniałem. (...) Teraz dużo piszę i rozmyślam. Nie czuję się samotny, bo jak powiedział Nietzsche: «Tam gdzie jestem sam ze swoimi myślami, tam już jest nas dwóch».*

Dobrze by było, gdyby znalazł się wydawca i opublikował zapiski starego profesora Jana Nielubowicza.

Póki co jego postać zatrzymałem w wierszu *Cicha uliczka*. Oczywiście, że mam świadomość tego, że poezją nie wyleczy się żadnego chorego, ale... wiersz jest *to coś* – jak pisał George Herbert (1593–1633) – z czym można obcować, *ze Wszystkiem*.

Oto mój nieudolny zapisek, który wydeptałem na ul. Oczki w Warszawie, lata 70. XX wieku:

Cicha uliczka w mieście / którego nazwy nie wyjawię / bo dyskrecja mi nie pozwala // Za plecami głośnych alej / Objęta drzewami które / lubią pić światło // Tu w młodości / spotkałem profesora / który szedł do pacjentów // Cicha uliczka ze szpitalem / z cegły i kominem co dym / zamienił na tęczę // Czasami tu jest głośniejsze / gdy jadą karetki na sygnale / wypłoszeni chorzy w oknach // Cicha uliczka z czułą nazwą / Gdy szarpia mnie wniebogłosy / do niej uciekam z centrum.

Jan Nielubowicz 1915–2000. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2 sierpnia 2004 roku.

* * *

To był wybitny chirurg, transplantolog, o którym jego syn, Wojciech, też chirurg, mawiał, że *ma aureolę, od której można zapalaki zapalać*. Profesor nie tylko przestrzegał przysięgi Hipokratesa (ok. 460 p.n.e. – ok. 370 p.n.e.), ale nie zapominał o modlitwie Maj-

monidesa (1135–1204), w której m.in. jest tyle zachęt do nieskwapliwości: (...) *Użycz mi, Boże, cierpliwości wobec chorych grubiańskich i upartych.*

Stary profesor nauk medycznych nie przeceniał swoich zasług, z pokorą mówił: (...) *Najważniejsze, żeby być mądrym, rozumnym człowiekiem, który ciągle myśli i wie, co i jak należy zrobić. Jeżeli ktoś jest niestaranym, niedokładnym, leniwym, to będzie tylko obcinał nogi. Obetnie i koniec. Ale żeby być prawdziwym lekarzem, żeby doznać tej wielkiej radości i szczęścia z obdzielania ludzi darem leczenia, trzeba naprawdę wiele godzin myśleć o chorym.*

Zawsze powtarzałem, że chirurg powinien iść spać z chorym do łóżka. Nie dosłownie, oczywiście, ale z myślą: czy dobrze zoperowałem, a może coś trzeba było zrobić inaczej, dlaczego ten chory gorączkował, itd. Bez przerwy o tym myślałem, także po nocach. Ważna jest też uczciwość wobec siebie i innych. Musi umieć przyznać się, gdy popełnił błąd.

Chirurg jest często jak wędkarz, lubi kłamać na temat swoich sukcesów. Najbardziej jest to widoczne na różnych zjazdach i odczytach. Wszyscy się chwalią. Ale lekarz, który okłamuje sam siebie, powieła błędy.*

To, co głosił pan profesor, z punktu ludzkiego zwie się sztuką lekarską, która nie zapomina o rzemiośle.

* *Chirurdzy i detektywi.* Z profesorem Janem Nielubowiczem rozmawiali Krystyna Bochenek i Dariusz Kortko, „Magazyn Gazety Wyborczej” z 16 września 1999 roku. Przedruk: *Chirurdzy i detektywi.* Pod redakcją Krystyny Bochenek i Dariusza Kortko, Wydawca: Fundacja Polski Przegląd Chirurgiczny, Warszawa 2001.

Julian Ursyn Niemcewicz (16 II 1757 – 21 V 1841)

Pochodził ze średniozamożnej rodziny szlacheckiej. Absolwent warszawskiego Korpusu Kadetów. Adiutant Adama Kazimierza Czartoryskiego (1734–1823). Sekretarz senatu w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym. Członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od 1802 roku, zaś od 1826 prezes). Poseł inflandzki Sejmu

Wielkiego, współautor (z Hugonem Kołłątajem, 1750–1812) projektu Konstytucji 3 Maja, sekretarz Tadeusza Kościuszki; dla Naczelnika pisał proklamacje. Po przegranej bitwie pod Maciejowicami (1794) osadzony w Twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu: (...) *Potrzeba jest matką przemysłu, przyzwyczajonemu do życia czynnego, nieznosnym było nieczynne zamknięcie, wymyśliłem więc sobie nowy poruszania się sposób: zbierałem wypadające mi z głowy i brody włosy i dałem zrobić z nich piłkę, i tą grałem aż do obfitego spocenia się, przemieniałem potem bieliznę i zmordowany odpoczywałem. Tej to agitacji winienem zachowanie życia w tym smutnym tarasie (...)* (*Pamiętnik czasów moich*). W 1796 uwolniony przez cara Mikołaja I (1796–1855). Emigruje z Kościuszką do Ameryki, gdzie poślubia wdowę, Susan Livingston Kean. W 1807 roku wraca do Polski. W 1822 osiada na Ursynowie (*Dziennik z czynności moich w Ursynowie 1822–1831*). Poeta, memuarysta. Wytrawny dyplomata. Nietuzinkowa i szlachetna postać. Pisał sztuki teatralne, tłumaczył, mnóstwo pisał listów. Redaktor (*Gazeta Narodowa y Obca*, wydawana od 1791 roku). W *Pamiętnikach czasów moich* znaleźć można wtręt: „*Gazeta Narodowa*”, w której byłem jednym z pisarzów, wielce była pokupną; (...). Słusznie zauważy Karol Zbyszewski (1904–1990), że *Niemcewicz to pierwszy polski prawdziwy dziennikarz* (*Niemcewicz od przodu i tyłu*, Świat Książki, Warszawa 1999).

Działał na emigracji, po klęsce powstania listopadowego, związany ze stronnictwem Adama Jerzego Czartoryskiego, który jest autorem tomiszczą pt. *Żywot J. U. Niemcewicza przez x. Adama Czartoryskiego* (Wydanie Biblioteki Polskiej w Paryżu, Księgarnia B. Behra, Berlin–Paryż 1860).

Latami prowadził misje dyplomatyczne. Zbывany przez polityków w Anglii, Francji. Oto komentarz na ten temat: (...) *ministrowie w rozmowie ze mną kręcili się jak na szpilkach, unikali, bo nie lubimy widzieć tych, którzy nam winy nasze przypominają (...)* (Z Londynu, 4 listopada 1831 roku). Innym razem usprawiedliwiał swoje kołatanie do drzwi moźnych ówczesnego świata: (...) *zabiegi*

i moje biednego starca dreptanie na mało się przydadzą, jednak dla spokojności sumienia, czynić trzeba co można (...) (Londyn, 21 marca 1832 roku).

Wystarczy sięgnąć do dzienników, żeby nabrać podziwu dla jego heroizmu.

Całe życie kleił rymy i ciągle się śpieszył. Swoje pisanie nazywał *gryzmoleniem*.

Jego feblikiem było komentowanie wydarzeń, jakie się dzieją na świecie, potrafił klarować ciętymi notami i anegdotami.

Był niebywale oczytany i życzliwy do świata i ludzi. Kochał powaby życia. Z pogodą ducha znosił nostalgię: (...) *I jam smutny jak post, choć tłusty jak karnawał* (Londyn, 21 marca 1832 roku).

Aż dziw, że Julian Ursyn Niemcewicz nie doczekał się bibliografii, kalendarium życia, filologicznej edycji krytycznej dzieł, oraz monografii twórczości. Nie spełniło się to, co mimochodem napisał: *Ja zasiałem, niech młodzi zbierają* (Londyn, 23 sierpnia 1833 roku). Spuścizna jest rozsypana i rozproszona. To, że powstała Kolekcja Niemcewiczowska z inicjatywy Biblioteki Publicznej im. Juliana Ursyna Niemcewicza na Ursynowie, jest za mało. Nie wiem, dlaczego tak po macoszemu potraktowano patrona warszawskiego osiedla, które liczy sobie ponad 120 000 mieszkańców.

Przecież to był nietuzinkowy człowiek. Szanowany przez ówczesną europejską elitę polityczną i krajanów (Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki). Polityk, jakich niewielu.

Upominam się z okazji 170-lecia śmierci tego zanego człowieka, żeby wydać jego wszystkie dzieła. Zamiast żałować, że tego jeszcze nie uczyniono i wskazywać palcem, czyja to wina, zacytuję passus z jego listu: *Musi to być praca z dawnych czasów, a zatem czysta w niej polszczyzna, od której oddaliliśmy się później. Zachować dzieła takie, jest powinnością naszą, bo one są jedyną zostawioną nam spuścizną. (...) jako chlubną pamiątkę przeszłości naszej. Im większe są usiłowania na zniszczenie pamięci naszej, tym więcej powinniśmy się starać pokazać światu, żeśmy byli (...)*. Oby to przesłanie wpiło się

w pamięć tych, którzy z Ursynowa uczynili tabloidalne osiedle. Przecież tu mieszkają naprawdę mądrzy ludzie, a nie jakieś dziwolągi, o których piszą w lokalnych bezpłatnych osiedlowych gazetkach. Póki co, wydajmy wreszcie, choćby w wyborze, Autora poematu pt. *Dumania w Ursynowie*. Taka postać nie zasłużyła sobie na zapomnienie i kurtuazyjne wtręty. Upominam się o mojego ziomka, bo mam dość tego, że kamienie ursynowskie zaczynają o tym gadać. Ja już mam dosyć tego, że włodarzom mojego sympatycznego osiedla beton zalał wyobraźnię. Na tę ursynowską pustkę nic tak dobrze nie działa, jak czytanie Juliana Ursyna Niemcewicza. Warto podjąć trud, bo to było niezłe pióro, którym czasami za bardzo szastał, ale to wcale nie zarzut. Wręcz przeciwnie! Mam słabość do patrona mojego osiedla, w którego herbie znalazł się niedźwiadek (ursus), zapożyczony z rodowego herbu Niemcewiczów. O Ursynowie, który planował nazwać Ameryka, pisał zadumane teksty: (...) *tu zbiegam z wiejskiej zagrody mojej, która mnie zawsze mile zatrudnia, a więcej służy za schronienie się od głupstw świata tego* (15 stycznia 1924 roku).

Nie zapominajmy, że Julian Ursyn Niemcewicz uczulał późnego wnuka i wnuczkę: (...) *bardzo bym chciał, żeby wielkie pamiętki nasze światu znajome były, bo tyle naszego*.

Julian Ursyn Niemcewicz (16 II 1757 – 21 V 1841). Wspomnienie w 170-lecie śmierci, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 12 maja 2011 roku.

Czesław Niemen (16 II 1939 – 17 I 2004)

Pisać o Czesławie Niemenie jest bardzo niezręcznie. No bo co jeszcze można dodać poza tym, że od 1967 roku był fenomenem na polskiej estradzie, gdzie przewinęło się tyle gwiazdeczek i meteorów, o których nawet nikt nie pamięta. A piosenki Niemena ciągle się nadaje. Od *Dziwny jest ten świat* po wiersze Cypriana Kamila Norwida (1821–1883), Jarosława Iwaszkiewicza (1894–1980), Adama Asnyka (1838–1897), Juliana Tuwima (1894–1953), Adama Mickiewicza (1798–1855), Juliusza Słowackiego (1809–1849). Po długich na-

mowach udało się kompanii muzycznej skłonić artystę, żeby wyraził zgodę na publikację swoich nagrań. I oto dźwięk poprawiony cyfrowo przez Czesława Niemena znalazł się na 21 utworach. Czesław Niemen, *Czas jak rzeka (Złota kolekcja, Pomaton EMI)*. Łączny czas nagrań: 73' 27 minut. Jest w tym nurcie wszystko, co najlepsze, choć odpłynęło i przeminęło. Nastrój, rock, poezja, sprawy i problemy o charakterze uniwersalnym. Być może kogoś nie zadowoli ten wybór antologijny, ale... to jest li tylko rzecz gustu.

Czesław Niemen od samego początku wywoływał różne kontrowersje. Próbowano różnych zabiegów, żeby okiełznać artystę: fryzjerskich (za długie włosy!), kreatorzy mody radzili, żeby wreszcie przestał szokować ubiorem (zbyt kolorowym jak na szarość lat PRL). Jest to pouczający temat dla socjologa kultury i antropologa, i tego, co się zajmuje dziejami głupoty na świecie. Dla mnie te hucpy ówczesnej publicystyki są tyle warte, co kasztan, który wpadł do wody.

I pomyśleć, że Czesława Niemena bohaterami życia codziennego są: *najbliżsi domownicy, w tym czarna kotka – Pantera, szpaki, słowiki, trzmielce, pszczoły, motyle, wrześnieowe mimozy, listopadowe liście «do szyby przyklejone», sikorki na oszronionych gałęziach drzew*. („Wysokie Obcasy” 2000, nr 15).

Najżywszy dopływ Niemna zza Buga był w Polsce. Słaabo?!

Czesław Niemen (1939–2004). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 5 lutego 2004 roku.

Doc. dr Alina Nofer-Ładyka

Doc. dr Alina Nofer-Ładyka prowadziła w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie *Wybrane zagadnienia z nauki o języku oraz literatury, sztuki i kultury*.

To było na pierwszym egzaminie wstępnym, na WSPS. Z literatury. Pod salą ustawiła się nerwowa kolejka. Usiadłem na krześku i czekałem, kiedy mnie wezwą. Nie okazuję po sobie zdener-

wowania, choć mam wyschnięte usta i pot na czole. Nagle drzwi się otwierają, wyczytują moje imię i nazwisko. Wchodzę do sali w granatowym garniturze, niebieskiej koszuli pod krawatem i stalowych spodniach. Czyli tak jak podczas zdawania matury. Przy stole nakrytym zielonym suknem siedzi komisja egzaminacyjna. Przewodniczącą jest pani o kasztanowych włosach, karminowych ustach, nosząca ubranie w ciemnooliwkowych kolorach. Podaje mi do wylosowania zestaw pytań. Wśród pytań gros jest o literaturze współczesnej. Odpowiadam po kolei jak leci, tj. od pierwszego do trzeciego. Przewodnicząca mi przerywa, że wystarczy. Wstaje i mówi, że jest oczarowana wiedzą. Podaje mi rękę. Pyta, czy nie piszę wierszy. Milczę. Jestem straszliwie zawstydzony. Nie mówię tak, i nie odpowiadam, że nie. Nie będę kłamał. Wychodzę. Uskrzydłony. Czuję zmęczenie. Siadam w kącie, zapalam papierosa. Koleżanki pytają: *jak ci poszło?* Odpowiadam: nie wiem. One mówią, że pewnie dobrze. Że zdałem. Po czasie dowiaduję się, że otrzymałem ocenę bardzo dobry.

W październiku przychodzę na zajęcia. Idę na wykłady z literatury, które prowadzi przewodnicząca komisji egzaminacyjnej. Siadam w pierwszej ławce. Notuję. Słucham. Podoba mi się, bo są z ogniem. Kończy się wykład. Zbieram się do wyjścia, a pani docent Ładyka prosi, żebym został. Mocniej bije mi serce. Podchodzę do katedry, a ona do mnie: *Proszę pana, proszę nie przychodzić na moje wykłady, bo ja nic więcej pana nie mogę nauczyć.* Do końca tego nie rozumiem, o czym mówi. Obiecuję, że dotrzymam słowa. Czasami bywam na wykładzie, bo lubię słuchać jej rozważań o literaturze. Wiedzy nigdy dość. Po czasie dowiaduję się, że pani docent zajmuje się pozytywizmem, jest autorką podręcznika *Literatura polska okresu pozytywizmu*, z którego się uczyłem w liceum. Mam pozytywną opinię na temat książki, z której wkuwałem o tym, że pozytywizm to praca organiczna, praca u podstaw, asymilacja Żydów i innych mniejszości narodowych, emancypacja kobiet. Jest znawczynią twórczości Henryka Sienkiewicza, którego czytałem ze

szkolnego obowiązku, bo mnie taka literatura ojczyźniana i ku po-
krzepieniu serc po prostu nie bierze. Wojny, rzezie, gwałty, pożogi,
bitwy, potyczki... to nie moje tematy. Z pozytywistów to znałem na
pamięć kilka wierszy Adama Asnyka, zapomnianego, sentymental-
nego poety, szkolnie okrojone w podręczniku. Oczywiście, że była
to poezja wysokiego lotu, ale... łatwiej było mi przełknąć Asnyka
niż Sienkiewicza (1846–1916), który nie pokrzepiał mojego serca
i umysłu. Nie sięgałem po Sienkiewicza, z własnego wyboru. Tak
zadecydował ówczesny system nauczania języka polskiego. Mam
w bibliotece Bolesława Prusa (1847–1912), Marię Konopnicką (1842–
1910), Adolfa Dygańskiego (1839–1902), Marię Rodziewiczówną
(1864–1944), Stefana Żeromskiego (1864–1925), Aleksandra Świę-
tochowskiego (1849–1938). Nieraz powracam do *Lalki* Bolesława
Prusa, którą uważam za wybitne dzieło. *Pamiętnik Starego Subiekta*
Rzeckiego to kwintesencja naszej mentalności romantycznej. Wiecz-
nego oczekiwania, że coś przyjdzie. Że stanie się cud. Że ktoś nam
pomoże. Oczywiście, że to jest piękne złudzenie, by nie powiedzieć
– (nie)lekka przesada.

Po wykładach wpadam do pani docent na rozmówki literac-
kie. Siedzimy w pokoiku, palimy „Extra mocne bez filtra”, towa-
rzyszy nam pani dr Zuzanna Stromenger (1925–2011), która częstuje
nas smakołykami przywiezionymi ze Szwajcarii. Prowadzimy uczone
rozmówki.

To do niej przybiegam zdyszany w trakcie wykładu, żeby po-
kazać pierwszą jaskółkę swojej debiutanckiej książki pt. *Mieliśmy*
Białe ściany (31 maja 1977 roku).

Wiem, ile jej zawdzięczam.

To osoba, o której myślę, gdy wspominam uczelnię przy ul.
Szczęśliwickiej 40.

Aha!

Dopada mnie wyróżnienie. Pani docent zaprasza mnie do
domu przy ul. Podchorążych. Wpadam i jestem oczarowany jej so-
lidną biblioteką. Drewniane regały biblioteczne, mnóstwo książek.

Niewiele pamiętam ze spotkania. Zapamiętałem tylko pokaźną bibliotekę, z drewna. Z regałami. Druki zwarte uporządkowane. Rozmawialiśmy. Paliliśmy papierosy. Piliśmy kawę. Pani docent się zaciągała *extra mocnym beza filtra*. Patrzyłem na grzbiety książek. I marzyłem, żeby kiedyś mieć tak uporządkowany księgozbiór, aby nie tracić czasu na głupie szukanie.

Doc. dr Alina Nofer-Ładyka. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28 stycznia 2011 roku.

Wanda Nowak

W sanatorium dziecięcym „Górka” w Busku-Zdroju pracowało tyle pielęgniarek, że po latach nie sposób ich sobie przypominąć. To może być komentarzem, ile przebywało w tym ośrodku pacjentów po chorobie polio. Była siostra Henia, blondynka, która na wiele nam zezwalała, oraz sroga Pękowska, która uspakajała się, gdy wszystkich zagoniła w kozi róg. Tylko siostra Wanda Nowak nikogo nie strofowała. Brunetka. Elegancka. Uczesana. Schludna. Zawstydzona – ździebko przygaszona. Z gracją chodziła po oddziale. Mówiła prostymi zdaniami, jak podanie ręki.

Spośród pacjentów upatrzyła sobie Jurka Kamizelę z Kielc – najbardziej poszkodowany po epidemii Heinego-Medina. Jeździł na wózku inwalidzkim. Dla niego była przesympatyczna. Dzięki niej nasz kolega znosił łatwiej to, co go ominęło. Siostra Wanda naszą trójkę – Zbyszek Janiszewski z Radomia i Jurek oraz piszący te słowa – zapraszała do siebie na słodki podwieczorek. Na pierniki, czekoladki, delicje, biszkopty... Pałaszowaliśmy łakocie i śmieliśmy się pełną buzią. Pielęgniarka zerkała na nas czule. W jej pokoiku było jak w pudełeczku. Po konsumpcji wracaliśmy na oddział. Zbyszek popychał wózek z Jurkiem, a ja szedłem obok o kulach. I zasiadaliśmy do kolacji z tego samego gara. Jedliśmy chleb, w którym szukaliśmy szlachetnego zdrowia – czuliśmy, że życie to nie bułka z masłem.

Tylko siostra Wanda miała gest, że nas gościła, a dla Jurka rozlała tyle serdeczności. Oczywiście, że nikt z nas nie wiedział, że nie miała nikogo, nawet rodziny. Była jak przysłowie ormiańskie – *Serce nie obrus, przed każdym go nie położyysz*.

Czesław Nowicki (24 III 1928 – 29 II 1992)

Zwali go *Wicherkiem*. W latach 60. i 70. XX wieku prowadził w Dzienniku Telewizyjnym prognozę pogody. Była to najżywsza część tego nudnego programu informacyjno-propagandowego. Dziennik TV to była taka tuba i okienko panującej ówczesnej władzy politycznej (czytaj PZPR / Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej/). Oczywiście, że to była czarno-biała telewizja. O kolorze nikt jeszcze nie marzył, radioodbiornik był rarytasem, a coś dopiero telewizor w domu. Przypomnę, że nosił białą koszulę, pod krawatem, ciemne okulary i trzymał w ręku kijek (w kształcie strzałki), którym wskazywał na mapę pogody. Nigdy nie pokazywał palcem albo dłonią, jak obecnie czynią prezenterki/prezenterzy. Nie jeździł palcem po mapie. *Wicherek* wprowadzał swym pojawieniem się te 5 minut luzu. Pokazywał przy okazji różne cuda przyrody: grzyby z olbrzymimi kapeluszami, gigant ziemniaka, zdjęcie jakiegoś zwierzączka, które pojawiło się w czyimś ogródku itd. Potem do *Wicherka* dołączyła Elżbieta Sommer (*Chmurka*, rocznik 1936, która wcześniej w Dowództwie Wojsk Lotniczych, *liczyła karabiny przeciwlotnicze*). Na zmianę prowadzili prognozę. Po jakimś skandalu *Wicherka* gdzieś wywiało. W TVP zbyto jego nieobecność milczeniem.

Po latach mówiono, że mu się wypsnał wtór o *burzy znad wschodu*.

Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że *Wicherek* prowadzi programy kabaretowe w kawiarni warszawskiego Intraco. Opowiada dowcipy, wygłupia się, zasuwa kawały, nie tylko o pogodzie. No cóż! Między polską TV a kabaretem nie ma aż tak wielkiej różnicy. Bywało się nieraz na ul. Woronicza. Wiem, co piszę.

O pogodzie smarował w „Życiu Warszawy”, „Słowie Polskim”, „Gazecie Wyborczej”. Grał siebie samego w serialach takich, jak *Wojna domowa* (1966) i *Dom* (1982); występował w filmach. Postać, jak wiele postaci telewizyjnych i znanych, zapomniana.

Wicherek.

Dlaczego otrzymał taką ksywkę?

Nie wiem.

Przecież wicherek, to wiatru szalenieć. A pan Czesław Nowicki na wizji nie miał żadnych szaleńczych odlotów. Poza tym, że potrafił w sposób ciekawy przedstawić prognozę pogody, na której się w Polsce wszyscy znają. Podobnie rzecz się ma z polityką, medycyną, szkolnictwem itd., itd.

Czesław Nowicki (24 III 1928 – 29 II 1992). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26 września 2013 roku.

Krzysztof Nowicki (6 III 1940 – 30 III 1997)

Poeta, prozaik, krytyk literacki. Pracował w dziale literackim w bydgoskich „Faktach i Myślach”, a potem w „Faktach”. Pisał poprawne teksty. Nie wyróżniające się. Był taki ułożony. Grzeczny. Miły. Tacy ludzie na ogół są członkami różnych organizacji społeczno-politycznych. Miał świetne cechy charakteru, które sprawdzają się w życiu, zaś w sztuce niekoniecznie.

Mam z nim takie oto wspomnienie. Nad Brdą, pojawiłem się z prozaicznego powodu. Otóż w 1982 ogłosiłem apel: *Kto posiada prace Ryszarda Milczewskiego-Bruno?* („Tygodnik Kulturalny” nr 10, „Życie Warszawy” nr 35, „Głos Wybrzeża” nr 128, „Fakty” nr 9, „Ilustrowany Kurier Polski” nr 78). Mój współpracownik, kudłaty poeta, Jerzy Szatkowski (1940–2019) z Antoniewa koło Skoków, wybrał na miejsce spotkania z Krzysztofem Nowickim (poeta, krytyk) Bydgoszcz. Z wyjazdem się nie ościagałem, bo czego to się nie robi dla sprawy. Wsiadłem do pociągu. W Bydgoszczy pojawiłem się pod koniec tygodnia. Wylądowałem w domu artysty plastyka Jana Kaja,

który prowadził z Jackiem Solińskim, rocznik 1957, Galerię Autorską. Był też jego brat Krzysztof Soliński (1950–2006), poeta, pisarz, wydawca. Krzysztof zajmował się poezją konkretną i wizualną; założył w 1975 roku grupę faktu poetyckiego *Parkan*. Był Jerzy Szatkowski, Krzysztof Soliński, nie wiem czy był Jacek, pewnie był, ale nie jestem tego pewien; przyszedł Krzysztof Nowicki (ponad 2 metry wzrostu). To było dziwne spotkanie. Monolog. Zupełnie nie kleiła się rozmowa. Ja swoje, oni swoje. Przeciąganie liny lirycznej. Przyjechałem, żeby dopiąć edycję utworów wybranych Ryszarda Milczewskiego-Bruno (1940–1979); chodziło mi o to, żeby zebrać jak najwięcej materiałów ze spuścizny Bruna. Pamiętam, że było dużo dzieci i wielki kaflowy piec w pokoju. Z zielonymi kafelkami. Ten piec zaimponował Krzysztofowi Nowickiemu. Patrzył na niego i ukradkiem dotykał tak, jakby się chciał do niego przytulić. Zrozumiałem wtedy, jaki on jest samotny, skoro się chce tulić do zimnego pieca.

Bydgoszcz jak Bydgoszcz. Ponura jak Łódź, tylko jeszcze straszniej. Wąskie ulice. Skrzypiące tramwaje. Zaniedbane budynki. W powietrzu wisi zapach rdzy. Podwórka takie, że strach wejść. Miasto dziwotąg. W Bydgoszczy było mi tak, że szybko powróciłem do domu. Gdybym nie pojechał, to pewnie nigdy bym się nie spotkał z Krzysztofem Nowickim, który patrzył na mnie *z góry*, o co wcale nie mam pretensji. Z takim wzrostem inaczej się nie da spozierać. Na świat i ludzi.

Wspomnienia (3) [Krzysztof Nowicki (6 III 1940 – 30 III 1997) Wspomnienie, „ReWiry” 2021, nr 1(4), styczeń–marzec, Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2021]

Dr Eugeniusz Nurowski (1924–1998)

Kiedy studiowałem w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, lata 1976–1980, był dziekanem. Jego gabinet znajdował się po lewej stronie, gdy się wchodziło do dziekana-

natu, na parterze. Wiem, bo ilekroć miałem jakieś kłopoty, to szedłem do niego, żeby pomógł mi rozwiązać problem, który wynikał stąd, że w owych czasach studiujące osoby niepełnosprawne, to była taka rzadkość, jak czterolistna koniczynka. Dziekan zapraszał do swojego gabinetu. Poświęcał mi dłuższą chwilę i pocieszał, żebym się nie przejmował, bo nie ma czym. Szukał takiego wyjścia, żeby uspokoić studenckie serce. Fama o tym, że jest taki ludzki, niosła się po uczelni. Od piwnicy do drugiego piętra. Doktor Eugeniusz Nurowski prowadził zajęcia z surdopedagogiki (dział pedagogiki specjalnej, zajmujący się nauczaniem i wychowaniem osób z wadami słuchu). Jego wykłady były adresowane dla tych, którzy chcieli się poświęcić pracy z osobami głuchymi i niedosłyszającymi. Dla nich pisał artykuły i książki (*Pedagogika specjalna w szkolnictwie specjalnym*, Wydawnictwo Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1981, *Surdo-pedagogika polska – zarys historyczny*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983).

Mieszkał na górnym Mokotowie. Nieraz z nim jeździłem autobusem 167 na uczelnię. Kłaniałem się dziekanowi. Czasami skutecznie rozmowę w drodze od ul. Grójeckiej do ul. Szczęśliwickiej 40. Pan doktor trzymał pod pachą aktówkę. Był w garniturze, pod krawatem, zaś ja na luzie, tj. w jeansach, kurteczce sportowej (juba), flanelowej koszuli, z chlebakiem na ramieniu. Szliśmy przez warszawską Ochotę. Pan dziekan i student. Lelum polelum.

Jest mi trochę głupio, że rozpisuję się o panu dziekanie.

Dlaczego?

Bo w przypadku pana dr. Eugeniusza Nurowskiego wystarczyłoby napisać, że to był spokojny człowiek.

Eugeniusz Nurowski (1924–1998). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 14 maja 2014 roku.

O Andrzej Ogonowski

Kto jest ten dziwny nieznajomy? – pytałem, gdy nieraz go miałem na Rynku we Wleniu. Stał na winklu ulicy Kościelnej. Ni to chłopak, ni mężczyzna. Zawsze tak samo ubrany. Milczący, z dziwnym półśmiechem, z oczami, w którym jeszcze mieścił się obłęd. Nie podchodzono do niego. Omijano. Bano się, bo nigdy nie wiadomo, jak zareaguje. Michał Fluder, wychowawca z sanatorium dziecięcego PKP „Leśny Dwór”, wiele o nim opowiadał, bo nieraz lubił sobie z Andrzejem uciąć rozmowę. Stał i patrzył. Zdziwiony. Przez cztery pory roku. Pani Katarzyna Fludrowa mówiła, że dawniej był normalny. Nie ukrywała, że kiedyś jej pogroził i ostrzegł, żeby go nie zaczepiała. Uczulił ją, aby uważała, bo może oberwać. Dowiedziałem się, że był synem kierownika szkoły, eleganckiego pana i jego żony; miał siostrę elegantkę. Tylko on wyglądał jak przybłąda. Zauważyłem, że pojawiał się na rynku w porze podwieczorka. I znikał, gdy zapalano latarnie. Sterczał ze wzrokiem utkwionym w pomnik Gołębiarki, co stoi przed ratuszem. Był wpisany w pejzaż Kasztelanii Wleńskiej, jak ktoś, kogo nie należy odtrącać i wyśmiewać.

Kiedyś zaprosił mnie do domu pan kierownik, bo miał interes. Poszedłem, bo starszemu się nie odmawia. W domu czyściutko jak w lustreczku. Pan kierownik taki pewny, a ja pokątny. Wiedziałem, że za ścianą jest jego syn. Poczułem się nieswojo, jak człowiek, który wie, że ktoś go obserwuje na czatach.

W wielkim uproszczeniu mogę napisać, że on był taki, jakby wyszedł z wiersza Leopolda Staffa, opatrzonego trzema gwiazdkami, z inc. *Kto jest ten dziwny nieznajomy*. A nawet by się zmieścił w słowach Aleksandra Sołżenicyna (1918–2008) – (...) *do nieszczęścia przywykł, a powodów do radości nie miał*.

Andrzej Ogonowski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 kwietnia 2017 roku.

Pan Defrys

P

Tulipany hodowano w PGR Pawłowice koło Tarczyna. Specjalizował się w tym pan Defrys. Poletka tulipanów pod Kawęczynem i Raciborami. Dywan kwiatowy. Z tulipanów. Widziałem je z oddali. Od strony drogi Pawłowickiej, gdy szedłem do dziadka. Czerwone, różowe, białe, żółte. Niesamowite robiły wrażenie. Rosły za horyzontem, gdzie forpocza widnokresu. Stałem na drodze i patrzyłem, pełen zachwytu i zdumienia. Nieraz mnie kusilo, żeby podejść bliżej, ale brakło odwagi. Szkoda.

Po 1968 roku znikł pan Defrys, a wraz z nim kolorowe poletka tulipanów. Opowiadano, że wyemigrował do Holandii.

W życiu nie widziałem takich tulipanów.

Aha!

Cebulki tulipanów przynosili ludzie z Państwowego Gospodarstwa Rolnego i pokątnie sprzedawali ziomkom. Za grosze. Matka posadziła kilka cebulek w naszym ogródku, ale... to już nie było to. Tulipany ginęły wśród kwiatów. Zagłuszone przez żonkile, bratki, georginie i inne rośliny ozdobne. W ogródku wielkie pole do popisu miała skromniutka maciejka, która pod wieczór odurzała nas. Dla mnie to był taki soft eter.

Nic na to nie poradzę, że kiedy widzę «roślinę o długich, lancetowatych liściach i dużych, dzwonkowatych kwiatach, osadzonych pojedynczo na szczycie dość grubej łodygi», to powraca do mnie postać pana Defrysa z Pawłowic, który otrzymał bilet w jedną stronę. To było bardzo nieuprzejmie z naszej strony okolic *Kwitnącej Jabłoni*, że tak potraktowano kogoś, kto wnosił tyle kolorów, które baecznie wyglądały z lotu ptaka i z oddali.

Pan Defrys. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–25 maja 2014 roku

Państwo Defrysowie

Pan Defrys w latach 60. XX wieku pojawił się w Państwowym Gospodarstwie Rolnym Pawłowice koło Tarczyna, ówczesny powiat grójecki, województwo warszawskie. Zamieszkał wraz żoną i córką w biurowcu, który wyglądem przypominał domek wielorodzinny. Był jak wilegiatura.

Był specem ds. hodowli kwiatów na wielohektarowym poletku doświadczalnym Pawłowice. O jego pracy mało wiem. Raz tylko, w drodze powrotnej od dziadka, zanurzyłem się w łąki i zobaczyłem wielkie pole w barwach biało-czerwonych i żółtych. To był taki niesamowity widok, że aż mi się ugięły drewniane kule. Miałem 13 lat. Stałem o kulach, jak wryty, w łące po kolana. Poruszony pięknem. To wszystko było dziełem pana Defrysa z Holandii. On był jak mag, co dzieli pastewność, żeby sypnąć radością.

W południe, czasami na drodze mijałem się z panią Defrysową. To była taka elegancka pani. Zadbana. Świeżutka. Mocno umalowana. Nosila natapirowany kok, tzw. ul na głowie, podobny jaki miała Amy Winehouse (1983–2011), co nie trzymała pionu. Żona pana Defrysa była kobietą pełną życia i energii. Szła z córką Wandzią, poboczem drogi, ułożonej z polnych kamieni. Dziewczyna była blada. Z piętnem choroby, to można było poznać po rumieńcach. Wiotka. Nie widziałem, żeby okoliczna ludność z nimi rozmawiała, jak to czynią baby albo chłopcy. Kłaniałem się pani Defrysowej, która mówiła dzień dobry z lekkim zaśpiewem. Z serdecznością. To znaczyło, że jest nietutejsza. Uśmiechała się. Była zawsze taka pogodna, choć ździebko przygaszona.

W 1968 roku, kiedy wróciłem z sanatorium i dowiedziałem się, że z Pawłowic *przegoniono* pana Defrysa z żoną i dyrektora Wilka z rodziną. Mówiono, że coś przeskrobali. Co? – zapytałem grzecznie. Nikt nie umiał mi na to odpowiedzieć. Ktoś mówił, że to byli Żydzi. Więc powiedziałem, że przecież za to nie ma kary. Lud chyba wie, że Pan Jezus jest z Matki Żydówki. Przecież Matka Kościoła jest w Judei, a Watykan to tylko furta. Tam serce bije. Gdzie Rzym

a gdzie Jerozolima? Gdzie Kopana a gdzie Betlejem? Oczywiście, że za to, co powiedziałem, zostałem obsztorcowany przez najbliższych. Pamiętam ich katechezę. Dodałem, że wstydę się, choć jestem daleko od spraw, które się dzieją w niebie. Jestem po stronie Ziemi, co trzyma sztamę ze Słońcem i wodą. Że wszechświat jest nieskończony, tj. w nim pęcznią rodzyńki jak w drożdżowym cieście.

A potem skojarzyłam sobie ich odejście z marcowymi wydarzeniami, które zaczęły się od Mickiewiczowskich *Dziadów*, a potem skończyły na dworcach. W ten oto sposób ludzi, co byli solą, potraktowano tak, jak nie uchodzi. Próbowałem o tym rozmawiać w szkole. Pani od historii nie chciała mi wyjaśnić, dlaczego tak się stało? Podobnie rzecz się miała z panią od języka polskiego. Zrozumiałem, że jestem głupi goj, bo swoje wiem. I wstydę się za Polskę.

Mijają lata, a pamięć o nim do mnie powraca wraz z każdym nadejściem wiosny. Kiedy patrzę, jak budzą się tulipany, rozkwitają pączki na drzewach i krzewach, myślę o panu Defrysie, o jego żonie i córce, która zmarła w czasie, gdy u nas pracował. W chwilach wspomnień cichutko sobie wzdycham, żeby już nigdy nie było tak, że komuś się wręcza bilet w jedną stronę. Żeby nikogo nie wyganiano i nie poniewierano. Żeby nikt stodoły nie podpalił. Żeby już nikt nie musiał w budynkach dworcowych umieszczać pamiątkowej tablicy z napisem: *Tu więcej zostawili po sobie, niż mieli* (Henryk Grynberg).

A potem, jak dorosłem, to w pracy też o nim myślałem, bo miałem okno z widokiem na ulicę Sienną, na którą, jak się wsłuchasz, usłyszysz, że powietrze płacze. Na tej ulicy zawsze czułem niemy krzyk, widziałem taniec bez ruchu, klęczenie bez zginania kolan (por. Kalisz Mordechaj Menachem Mendel z Warki, zwany Milczącym Cadykiem, 1819–1869). Wyjawiam to dopiero teraz, kiedy już nie pracuję w Państwowym Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, bo to się we mnie już uleżało, więc w słowach mogę przebierać. Nie jest mi słodko. Gdy o tym pomyślę, jest mi nadal głupio, choć jestem już dorosły.

Minęły lata i jakby czas się cofnął. W „Gazecie Wyborczej” z 12 grudnia 2012 roku, nr 290 Jacek Pawlicki i Katarzyna Pawłowska-Salińska opublikowali artykuł pt. *Polski cud w Hadze*, w którym zamieszczono kolorowe zdjęcie, opatrzone stosownym podpisem: „Pole tulipanów spod Schagerbrugiem. W Holandii Polacy masowo pracują w ogrodnictwie”. Przecieram oczy, bo widzę takie pole tulipanów, jakie było w Pawłowicach za czasów pana Defrysa. Konkretnie, pod Raciborami i Kawęczynem. Dywan kwiatowy. Widziałem go z oddali. Od strony drogi Pawłowickiej, gdy szedłem do dziadka. Czerwone, różowe, białe, żółte. Niesamowite robiły wrażenie. Rosły za horyzontem, gdzie forpocza widnokresu. Stałem na drodze i patrzyłem, pełen zachwytu i zdumienia. Nieraz mnie kuśiło, żeby podejść bliżej, ale brakło odwagi, bo dziadek mnie uczył, żeby do radości się nie zbliżać za blisko. Szkoda. Oczywiście, że były piękniejsze niż w Holandii. Mieniały się bielą, czerwienią, żółcią... W swoich zbiorach mam kolorowe zdjęcie od brata Ireneusza, na którym widać biało-czerwony pasek tulipanów, a tuż za nim rozkwitłe drzewa śnieżno-różowe, i topole jak miotły. Fotografia (slajd) jest jak flaga biało-czerwona, w szczerym polu. Widać też rozkwitniętą polną gruszkę. A może to tarnina? W moich stronach kolejność zakwitania była chyba taka: ałycze (mirabelki), czereśnie, jabłonie, wiśnie, grusze, bzy, jaśminy, lipy, śliwy... Jakim musiał być patriotą pan Defrys, żeby stworzyć takie pole i ożywić, i rozweselić pejzaż mazowiecki, który jest prosty jak deska do prasowania?

Piszę o nim, choć już jest za późno na przepraszam. Że jest mi głupio. Oczywiście, za innych, którzy nie zachowywali się przyzwoicie. Wstydzę się, choć nie zawiniłem. Przecież jedliśmy te same owoce i piliśmy wodę ze studni w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Było miejsce dla tulipanów o dużych, barwnych kwiatach i lancetowatych liściach. Jak na kolorowej fotografii.

Wspomnienia, które powracają, ilekroć patrzę na kwiaty, które są takie różne, jak świat światem. Kwiaty łagodzą. Wszystko. Tylko zielsko jest do siebie podobne, niestety. Mógłbym powtórzyć za Sta-

niśławem Wyspiańskim (1869–1907), który w debiutanckiej sztuce Daniel pisał: *Pieśni pobiegły polami, / przebrzmiały za polami, / nie wracają echami.*

Państwo Defrysowie. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 18.

Pan Stefan z Zagórza

W sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórze k. Warszawy mówili na niego Stefcu. To był wozak. Przyjeżdżał drewnianą furą do kuchni z zaopatrzeniem (warzywa, kartofle, beczka kapusty albo ogórków). A odjeżdżał z dużą kadzią, do której wlewano repetę. Nieraz mnie mijał, kiedy błąkałem się po wzniesieniu w lesie sosnowym. Nosił czapkę-uszankę oraz kufajkę. Twarz miał ogorzałą, pochłapaną wiatrem i niepogodą. W dłoniach trzymał lejce i bat. Mruk. Wiecznie niezadowolony. Nie widziałem, żeby się uśmiechnął albo poczęstował żartem. Na jego samopoczucie nie miały wpływu kaprysy pogody ani pory roku. Siedział na wozie i jechał wolno pod wzniesienie, utwardzone trylinką. A gdy z niego zjeżdżał, to mocniej ściągał lejce. Obrabiał też sanatoryjne pole oraz pracował w szklarni. Kiedyś przypadkowo natrafiłem na stajnię – z cegły budynek. Stefcu siedł i wolałem zejść mu z drogi. Wszyscy mówili o nim z lekkim uśmieszkiem, jak o kimś, co nie ma poukładanych wszystkich klepek. A kiedy go zaczepili, to reagował nerwowo, tj. z pretensją, że zakłócają samotność.

Pamiętam, że gdy wioził beczkę z repetą, to czuło się zapach zlewek. Stąd też wysnułem, że Stefcu dba o chlewnię. Że jest na każde zawołanie, jak pacholek. Wykonywał ciężką pracę, o której nie powinno się pisać pastewnym językiem.

Moje wspomnienie jest bardzo wybiórcze. Z tym typem nigdy nie zamieniłem ani jednego słowa, więc nie mam zdania na jego temat. Widziałem go z oddali, jak siedzi na furze i jedzie pod górkę, a po dłuższej chwili, jak zjeżdża. Wałach ciągnął czterokołowiec, na którym siedział naburmuszony Stefcio, ale nie taki, jak z wiersza

Marii Konopnickiej (*Stefek Burczymucha*), którego uczyliśmy się na pamięć. Zapamiętałem też pewien szczegół – dbał o konia oraz nigdy z bata nie strzelał. Miałem wrażenie, że jest nerwowy, tj. spiesz się powoli.

Zachodzę w głowę i nie mogę sobie przypomnieć, jakie miał nazwisko furarz, który pozostawiał dwuślad. I co najgorsze – nie mam kogo o to zapytać w Zagórzcu, co leży w środku lasów Mazowieckiego Parku Krajobrazowego, w powiecie otwockim.

Pani Kwaśniewska z Łodzi

Kiedy naciskałem dzwonek pod numerem 13, ul. Wólczańska, to słyszałem zza ścianą szuranie. Zanim wyszła do drzwi pani Kolary, to widziałem, jak po lewej stronie przez szparkę drzwi sączy się światło. W pokoiku z kuchnią mieszkała pani Kwaśniewska. Starsza kobieta. W okularach. Bardzo ciekawska. Mówiłem dzień dobry i szliśmy przez korytarz, co jak kiszka. Pani Kwaśniewska miała słabość do mężczyzn, których lubiła zaczepić. Młodzi żartowali z tej dziwnej sąsiadki. Idę kiedyś korytarzem, a na drodze stoi pani Kwaśniewska i zaprasza mnie do mieszkania. Mówi, że tyle razy się mijamy, a jeszcze nie piłem z nią kawy. Ma pani dobrą pamięć – odpowiadam. Siadam do stołu. Czekam. A pani Kwaśniewska otwiera serwis, parzy kawę, szuka ciasteczek. Pijemy małą czarną. Rozmawiamy, tzn. pani Kwaśniewska prowadzi monolog, a ja słucham. W pewnym momencie wychodzi do pokoiku i przynosi pudełko po czekoladkach, w którym przechowuje listy od córki Ewy Frykowskiej. Mówi, że jedynaczka jest za granicą, czasami do niej zagląda wnuczek Bartek (1959–1999), syn Wojtka Frykowskiego (1936–1969). *Zaraz panu przeczytam, jak ten kurdupel Polański pisze do Ewy, że chciałby się z nią ożenić...* – mówi. Wyjawia rąbki tajemnicy, czyta list. Jest sytuacja bardzo niezręczna. Opowiada o córce, że jest nad Morzem Śródziemnym. Pokazuje kolorowe zdjęcie. Toples. Ewa siedzi na jachcie z mężczyzną o rysach semickich. Oglądam kolorową fotografię. Chwalę lazur morza. Piję kawę i obzeram się ciastecz-

kami polanymi czekoladą. Jest dziwna sytuacja. Starsza pani opowiada, że za dużo czytam, więc bardzo trudno jest mnie wyrolować. Wysuszyłem małą filizankę kawy. Pani Kwaśniewska zapytała, czy chcę dolewkę. Powiedziałem, że muszę wyjść, bo miasto Łódź mnie wzywa. *Jak mus, to mus* – odrzekła babcia Bartka Frykowskiego. Opuściłem jej mieszkanie. Dopiero, gdy schodziłem w dół po schodach, westchnąłem: nareszcie! Potem już mnie nigdy nie zaczepiła starsza pani, żebym wpadł na chwilkę. To znaczyło, że pewnie powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia. Albo zaczęła cierpieć na zanik pamięci. Albo-Albo.

Moje spotkanie było w czasach, kiedy jeszcze nikt nie wiedział, czym kończą się wizyty Profesora Alzhaimera.

Pani Pawlakowa z Łodzi

Tyle razy rozmawialiśmy i nie wiem, jak miała na imię. To jest skandal, bo staram się zapamiętać kogoś, z kim się spotykam. Niech mnie kule biją! Nie mogę sobie przypomnieć, jak miała na imię sprzątaczką pani Pawlakowa. Za to doskonale pamiętam jej znaki szczególne, choć na oczy nie widziałem jej dowodu osobistego. Wzrost: średni (około 160 cm). Oczy: ciemny brąz. Znaki szczególne: przewlekły smutek, niepokój. Twarz opuchnięta i lekko fioletowa. Usta popękane. Ręce usiane żyłami, jak podniosła fartuch, to było widać tatuaże. Wyglądała jak zasuszona ulęgałka. Miała ubytki w uzębieniu. Czyli niepełny garnitur zębów. Paliła papieros za papierosem. Bez filtra. Jej głos był chrypliwy. Przeziębiony. Chodziła w starym, wypłowiałym płaszczu. Czasami mocno się spryskiwała perfumami Białej bez. Czasami miała suchy papierosowy kaszel. Jesienią, jak zawiął wiatr, to się bałem, żeby ją nie powalił na ziemię. Zimą też o nią drżałem, żeby nie zamarzła na kość. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w Bursie (Łódź, ul. Żubardzka 1 A), to chłopcy się wystraszyli. Myśleli, że to zjawa. Podszedłem cichutko do szafy, w której układała swoje klamoty, i powiedziałem: dzień dobry!

A ona spojrzała na mnie i grzecznie odpowiedziała: *Pawlakowa jestem! Będę u was sprzątała*. Zaproponowałem, żebyśmy poszli na papierosa do kibelka. Propozycją wzbudziłem jej zachwyt. Poczęstowałem niewiastę, przypaliłem, choć wzbraniała się, że poradzi sobie z ogniem zapałki. Szybko zareagowałem: pani Pawlakowa, damom zwykłem dawać ogień, chłopom niekoniecznie! Uśmiechnęła się. Nawet mnie lekko musnęła dłonią, jakby chciała powiedzieć: Brachu! Otworzyłem okno w kibelku dla chłopców. Pani Pawlakowa stanęła obok i zaczęliśmy się sztachać. *Mocne palisz!* – powiedziała. Zgadza się – odpowiedziałem. Staliśmy w oknie, naprzeciw szyb pomalowanych do połowy na biało. Pawlakowa pyta mnie, jakie mam sny. Nie wiem, o co jej chodzi. Zanęca, żebym jej opowiedział, bo trochę się zna na omamach. Mówię, że jak tylko przypomnę sobie, to przyjdę i przy okazji znowu zapalimy. Wróciłem do pokoju i myślę: co za kobita?! Ma tatuaże. Chłopu takie coś ujdzie, ale gdy takie coś ma kobieta, to mężczyźnie daje dużo do myślenia.

A potem do tego doszło, że ze śniadania zawsze przynosiłem jej dodatkową kanapkę, którą zamierzałem wziąć do szkoły. Jak wychodziłem z Bursy, to odnajdywałem Pawlakową i dyskretnie podawałem sznytkę. Brała, potem szła do kuchni po herbatę. W ten oto sposób dożywiałem sprzątaczkę. Nikt na nas nie zwracał uwagi. Swoje wiedziałem. Od lat trzymałem sztamę z tymi, co na dole listy płac, i dobrze na tym wyszedłem.

Po raz pierwszy w życiu widziałem tak zbitą kobietę. Mimochodem coś mi opowiadała o zmarłym dziecku. Półśłówkami dopowiadała o różnych nieszczęściach z chłopami. Czasami miałem wrażenie, że ktoś ją straszliwie skrzywdził, bo kiedy unosiłem rękę, to zasłaniała się. Było mi jej żal. Niewiele mogłem zrobić, żeby poczuła się lepiej. Gdy w sobotę i niedzielę jej zabrakło, czułem pustkę. Wiadomo, że po Pawlakowej, która miała dziary i tatuaże.

W poniedziałek, gdy tylko ją zauważyłem, opuszczała mnie nostalgia, choć ona była po weekendzie nie do życia. Czułem, że

trochę obniża markę picia, bo zajeżdżało denaturatem. Podałem jej kanapkę. Capnęła i myk do kieszeni fartucha. Powiedziała, że znowu śni się jej szafa, czyli ktoś umrze. Na pewno. Sny nie kłamią.

Po lekcjach, gdy wróciłem do Bursy, pani sprzątaczką szykowała się do wyjścia. Ubierała. W lustrze się przeglądała. I była niezadowolona z tego, co widzi. Pocieszałem ją jak tylko potrafiłem. Raz chyba kupiłem specjalnie dla niej dwie butelki piwa. Elegancko zawiązałem w dziennik „Głos Robotniczy”. Podałem, jakbym jej wręczał bukiet kwiatów. Na drugi dzień powiedziała coś, co mógłbym przetłumaczyć, że wykazałem się dobrym smakiem. Pawlakowa oczywiście powiedziała to trochę inaczej, ale już nie pamiętam. Resztę, co zapamiętałem, utrwaliłem w wierszu. Należała do ludzi, których proza życia wycisnęła poezję do ostatniej kropli potu.

To wszystko razem wzięte było powodem, że próbowałem ją zatrzymać w liryku. Żeby została na dłużej. Napisałem o niej utwór opatrzonego incipitem (**** dzisiaj spadła mgła*). Albo jak ktoś woli: Pod Trzema Gwiazdkami, który się znalazł w spisie mojej debiutanckiej książki *Mieliśmy Białe ściany*, 1977. W strofach wymieszałem mgłę i błoto.

Pan Marian, dorożkarz

Był kiedyś w Warszawie nocny dorożkarz pan Marian z Felą. Takim imieniem nazwał swoją klacz. Mówiono o nim prozą, oraz śpiewano piosenkę *Bujaj się, Fela*.

Jego brykę, mówiąc po warszawsku *dryndę*, można było spotkać przed „Bristolem”, na Starym Mieście albo na ulicy Foksal pod „Kameralną”. Z czułością o nim wspominał Olgierd Budrewicz w książce *Bedecker warszawski 50 lat później* (Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2008). Varsavianista cytuje jego przyśpiewkę: *Ja na górze, jak na tronie – a pode mną moje konie*. Podobno nieraz szeptał do ucha Feli: *Widzisz, stara, trzymaj się zawsze swego pana, piękny nie jest, ale ma kryształowy charakter*. (Mówił o cechach psychicznych, bo serce szybko się zdziera).

Odeszło do lamusa zdanie, jakie napisał ks. Benedykt Chmielewski (1700–1763) w *Nowych Atenach*, pierwszej polskiej encyklopedii powszechnej, z 1745 roku – *Koń, jaki jest, każdy widzi*.

Papusza (1909–1987)

1. Muszę się przyznać już na samym wstępie, że jedną z moich ulubionych pieśni jest *My Cyganie* (znana też jako *Ore, ore...*). Konia z rzędem temu, kto nie zna refrenu: *Kiedy tańczę, niebo tańczy ze mną, / Kiedy gwizdżę, gwizdże ze mną wiatr. / Zamknę oczy – liście więdną, / Kiedy milknę, milczy świat*. Ostrzegam, że *Ore, ore...* jest bardzo trudne do zaśpiewania. Tylko raz w życiu słyszałem mistrzowskie wykonanie. Było to latem 1986 roku w Nagłowicach, gdzie odbył się zjazd *Poetyckiego Zakładu Ogrodniczego (PZO)*, na którym byłem jako niedoszły sadownik. Podczas spotkania poprosiłem lubelskiego barda Ryszarda Borkowskiego (*Starszy*), żeby zaśpiewał tę pieśń tak, jak go uczył stary Cygan. Rychu się trochę ociągał. Dlaczego? Po prostu – pieśniarz zachrypnie na amen.

2. W dzieciństwie, zza krzaków w Kopanie obserwowałem, jak jadą tabory Cyganów – naród braci i siostr z zakurzonych dróg, rzewnej muzyki. Cyganie byli dla mnie dzierżawcami tęczy. Moi krajanie zamykali obejścia, kobiety zaganiały na podwórze drób, z żerdzi zbierano bieliznę i świeże pranie. Ryglowano furtki i bramy, zamykano okiennice. Z płotów zdejmowano garnki, bańki i ścierki. Spuszczano psy z łańcucha. Tak witano Cyganów, którzy nawiedzali naszą okolicę *Kwitnącej Jabłoni*. Poetycko rzecz biorąc można napisać: *Ludzie domy zamykają, / z daleka nas odpędzają* (*Już moja noga nie postanie, gdzie niegdyś jeździli Cyganie*). Stałem na czatach wśród rozstrzelanego cienia krzewów i patrzyłem, jak jadą Cyganie. Dalej, dalej... jak w piosence Janusza Laskowskiego *Jechali cyganie* (*Zabłąkany czardasz*, słowa Mura Che-Varos, muzyka Jan Adam Laskowski; piosenkę wspinał wykonała przed laty w *Szansie na sukces* Małgorzata Maciaszek z Wrocławia. Do tej pory jestem pod wrażeniem. Oczywiście, że

mam ją na kasiecie pt. *Pierwszy dzień wiosny*, Wydawca: MAG-TON Sp. z o.o.).

3. Od pierwszego czytania darzyłem sympatią Papuszę (po cygańsku *Lalka*). W latach 80. XX wieku miałem taki oto epizod pociągowy. Wracalem z Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu pociągiem pospiesznym, II klasa, przedziały dla palących. Był straszliwy tłok. O dobrych manierach nie było mowy. Stałem na korytarzu i patrzyłem przez uchylone okno. I nagle przecisnęła się do mnie para Cyganów. Nie wiem, dlaczego się na mnie uwzięli. Paliliśmy papierosy i milczeliśmy. W końcu Cygan do mnie zagadał. Dreszcz mnie przeszył, że Cyganowi zebrało się na gadanie. Dlaczego? Bo stare porzekadło mówi: *Utnij sobie język, zanim język utnie ci głowę*. Wygadałem się, że wracam ze spotkań literacko-alkoholowych, gdzie wiele dobrego powiedziałem o Papuszy. Cygan drgnął, zaś Cyganka tak mocno się sztachnęła papierosem bez filtra, że zauważyłem łzy w łódeczkach jej powiek. Myślałem, że ze wzruszenia. Po chwili Cygan splunął przez okno. Ale to jak charknął! Po czym zmrużył cygańskie powieki i mówi, że przyłożyłby mi, ale nie może, bo jest w pociągu ścisk. Poetycko rzecz ujmując: mógłbym dostać w facjatkę, gdyby nie był ścisk (por. Stanisław Wyspiański, *Wesele*). Oczywiście, że w jednej chwili zrozumiałem, co to znaczyło, że Papusza za życia została *wypluta*. O mały włos abym tej wrogości doświadczył na własnej skórze. Ponieważ nie miałem nic na swoją obronę, więc wygłosiłem stosowną mowę o tej *syrenie z lasu*.

Papusza urodziła się w 1909 roku na Wołyniu, skąd pochodził mój krajan Stary Ogrodny (stolarz, ksywka: *Stary Kajfasz*). O tym, że pisze w głowie wiersze, świat się dowiedział dzięki panu Jerzemu Ficowskiemu (1924–2006), który zrobił wszystko, żeby te mówione wiersze przetłumaczyć i przenieść na papier. Pomimo że Papusza napisała tylko 32 wiersze, to sporo energii stracił pan Jerzy, żeby mogły się ukazać jej książki (*Pieśni mówione*. Wyboru dokonał, z języka cygańskiego przełożył i wstępem opatrzył Jerzy Ficowski, Wydawnictwo Łódzkie, 1973). Nie będę mówił o innych pracach transla-

torskich i cyganologicznych Jerzego Ficowskiego, bo za bardzo nie mogę sobie popuścić cugli.

Wiersze-pieśni Papuszy są gorące jak ognisko; liryczne i nostalgiczne jak las. Nasączone marzeniami i tęsknotami, które nigdy się nie starzeją. Jak kobiece serce. Oto fragment pt. *Pieśń cygańska z Papuszy głowy ułożona*: *W lesie wyrosłam jak złoty krzak, / w cygańskim namiocie zrodzona, / do borowika podobna. / Jak własne serce kocham ogień. / Wiatry wielkie i małe / wykołysały Cyganczkę / i w świat pognały ją daleko...* Przestrzeń Papuszy to las i peregrynacja po Bożym świecie w taborze. Ona była lekka jak ptak, a nie jak piórko. Cyganie mieli to jej za złe, że zdradza tajemnice cygańskie: (...) *nikt mnie nie zrozumie, / tylko lasy i woda (...)*. Zamiast kwiatów, dostawała baty. To nie była jakaś byle kurka czy gaska, ale najzdrowszy borowik, wonna jagoda, woda czysta, przeźroczysta, a nie mętna. Bywała sentymentalna i rzewna: *Nieszczęsne mam życie, / bo nie umiem dobrze czytać, / ani pisać pięknie. / Oj, jak byłam mała, / miałam chęć i dużo serca, / oj, jak ja się uczyć chciałam / czytać, pisać!* Jej nauczycielem był las i tabor cygański. Papusza poetyzowała jak potrafiła najlepiej: *Na śladach ognisk grzyby wyrosły*. Instynktem cygańskim wyprorokowała: *Dziś w domach Cyganiąta / jak borowiczki rosną, / zapominają o lesie*. Przegoniono z pejzażu Cyganów. A drzewiej bywało tak: *Cygański koń w zaprzęgu czeka, / przed nami droga jest daleka. (Ja, biedna Cyganka)*. Układała sobie wiersze w głowie, bo nietęgo jej szło z pisanem, i w ogóle. Cyganie robili wszystko, żeby jej wybić z głowy wiersze. I gdyby nie ucieczka w chorobę, kto wie, jak by się skończył jej żywot. A tak to umarła śmiercią naturalną w 1987 roku. W takim mniej więcej tonie perorowałem do Cyganów w pociągu relacji Poznań Główny-Warszawa Wschodnia. Kiedy pociąg zbliżał się do Kutna, wtedy Cygan powiedział, że chętnie by mnie zabrali do taboru. Pokazałem obrączkę. Cygan popatrzył na mnie tak, jakbym z konia spadł. Na co ja odpowiedziałem, że nie mam kasy na dalszą peregrynację artystyczną. A Cygan do mnie: *Po tym, co powiedziałeś, nie mów o pieniądzach*. W Kutnie wylewnie

pożegnali mnie Cyganie. Jeżeli dobrze pamiętam, to chcieli mnie obdarować patelnią. Daru nie przyjąłem, bo miałem chlebak zapięty na ostatnią dziurkę. Do domu wiozłem trzy ciastka (rogałe świętomarcińskie).

4. Mijały lata. Nie szukałem pretekstu do spotkania się z Cyganami.

8 kwietnia 2004 roku z okazji Światowego Dnia Romów Poczta Polska (ta co ma trąbkę w logo) zapowiadała wydanie pocztówki z konterfektem Papuszy i znaczkiem. Ponieważ jestem filatelistą, więc mi jest zawsze po drodze na Poczcie Główną Warszawa 1 przy ul. Świętokrzyskiej 31/33. Wpadam zdyszany na pocztę. Pytam w okienku o pocztówkę z Papuszą. Pani sprawdza w kapowniku i mówi, że pocztówka z Bronisławem Wajsem ma być, ale jej jeszcze nie donieśli.

– To niemożliwe – mówię grzecznie.

– Nie ma! – dodaje szorstko kobieta z okienka.

– A może jest z Bronisławą Wajs? Znaną pod pseudonimem: Papusza. Kartka pocztowa jest wydana z okazji Światowego Dnia Cyganów – informuję.

– Kogo?

– Romów, czyli jak mówi ulica – Cyganów.

– ...

Pani za telefon i po pół godzinie, dzięki mojej interwencji, około 100 widokówek znalazło się w okienku filatelistycznym na Poczcie Główniej w centrum stolicy Polski. Byłem pierwszym nabywcą widokówki, która ukazała się w 60 000 nakładzie. Ba! Nie zauważyłem w okolicy żadnego Cygana ani Cyganki. Oto jak pamiętają Papuszę – pomyślałem i zadumany nieco zawróciłem na Ursynów. Na do widzenia pani z okienka wraz z koleżanką podziękowały mi za to, że *oświeciłem je Papuszą*. Oczywiście, że pracowniczki poczty przesadziły.

W metrze obejrzałem kartkę z Papuszą i koszem cygańskim (obozowiskiem na kołach). Szeptem przeczytałem fragment wier-

sza: *Lesie, ojciec mój, / czarny ojciec, / ty mnie wychowałeś, / ty mnie porzuciłeś. / Liście twoje drżą / i ja drzę jak one, / ty śpiewasz i ja śpiewam, / śmiejesz się i ja się śmieję. / Ty nie zapomniawszy / i ja cię pamiętam.* Ponieważ za bardzo nie liczę na las, więc piszę o Papuszy. Widokówka jest dobrym pretekstem na pocztę literacką, chociaż naprawdę mi nie chodzi o pointę, tylko o Papuszę. Proszę mi wierzyć, nie cyganie!

1. *MUSZĘ SIĘ PRZYZNAĆ JUŻ NA SAMYM WSTĘPIE.* *Pocztą literacką*, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2004, nr 26; *Papusza (1909–1987). Wspomnienie*, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 6 lipca 2007 roku, *Pocztą literacką*, wydano nakładem własnym, Warszawa-Ursynów 2004.

Uwagi korektorskie

Tekst ten się nieco przeleżał w Redakcji „Pasma”, bo był za długi. Ponieważ nie chciałem odpuścić, więc go podzieliłem na dwie części i za pomocą kropki, co drąży skalę, postawiłem na swoim, powiedzmy, choć to jest naciągnięte i naiwne. Ukazały się tylko 3 cząstki, na resztę zabrakło miejsca, bo wpadła reklama. Wysłałem go do wielu Romów, m.in. do p. Bogdana Trojanka z zespołu Cygańskiego „Terne Roma”, ul. Kaszubska 29, 78-400 Szczecinka.

22 września 2004 roku, w środę, o godz. 15:35 otrzymałem e-mail od bogdan@ocg.pl, temat: wzruszenie:

Witam serdecznie pana, praktycznie nic pan o sobie nie napisał, ale z treści artykułu widzę, że jest pan bardzo zakochany w wierszach Papuszy. Nie wiem, czy pan intuicyjnie wyczuł moją osobę, że jestem pełen podziwu tej cygańskiej poetki. Ma pan rację, że była wyklęta z taboru, ale moje pokolenie podziwia i szczeni się tak wspinałką nie umiejącą pisać ani czytać poetką i śmiem stwierdzić, że nie ma w sobie następczyni w klimatach Rómskich. Powiem panu szczerze, czytając wydrukowany w komputerze artykuł, przyznam się, że teżka zakręciła mi się w oku czytając cytaty z jej wierszy. Ile mądrości w tych słowach, ile prawdy i skromności. Przyznam się panu szczerze, że nie czytałem

wszystkich wierszy Papuszy, nawet nie wiedziałem, że ukazały się jej znaczki. Mogłbym pisać panu wiele, ale czuję pan to co ja. Niech tak zostanie panu i mi wspomnienia, tęsknota i przy jej wierszach rozkoszujmy się lasem, wiatrem i śpiewem ptaków.

Z wyrazami szacunku dla pana Bogdan Trojanek.

PS. niech pan napisze, czy pan mnie zna, czy spotkaliśmy się kiedyś, niech pan o sobie napisze.

Dnia 23 września 2004 roku wysłałem e-maila:

bogdan@ocg.pl

Panie Bogdanie,

Dziękuję za e-mail. Ładny liryczny list Pan do mnie napisał. Zachowam go w sercu, które umysł nie może objąć.

O sobie nie będę pisał, bo nie wypada.

Pyta Pan – skąd Pana znam? Ano z przekazu z festiwalu w Ciechocinku, i tyle.

Podoba mi się Pana pasja i to, co Romowie robią.

Przed laty prezentował Pan Roma, który cudownie grał na harmonii. Był taki filigranowy, a tyle miał serca do harmonii? Podobnie jak niewidomy skrzypek z krakowskiego rynku. To były te dwa wielkie talenty.

Z przyjemnością słucham muzyki cygańskiej. Mam słabość do Papuszy (i nie tylko!).

Pozdrawiam Pana i Pana Braci, i Siostry. Proszę mnie wspominać tylko przy radosnych okazjach.

Niech w Panu nie przygasa entuzjazm i radość. A kiedy będą chmury, to proszę się modlić, żeby słońce nie zachodziło nad zaginionymi.

Z serdecznością –

Czesław Mirosław Szczepaniak

Tak pisałem do Bogdana Trojanaka, rocznik 1966, lidera „Terne Roma” (Młodzi Cyganie), znany również jako *Biały Cygan*; prezesa

Królewskiej Fundacji Romów założonej przez cygańskiego króla Henryka „Nudzia” Kozłowskiego.

Dom Pierre Pérignon (1638 – 14 IX 1715)

Szampan – arystokrata wina, któremu bąbelki uderzają do główki korka. Lubi być schłodzony. Niby zachowuje umiar, a swoje robi. Małym duszkiem wylize wszelkie smutki. Istotą jego jest umiar. Jego nieodwzajemnioną miłością są truskawki. Podobno mnich benedyktyński Dom Pérignon, wynalazca szampana, podczas picia wina musującego, wpadł w uniesienie i zaczął wołać: *Chodźcie szybko! Ja piję gwiazdy!* Mark Twain (1835–1910) dodał: *Za dużo czegokolwiek to źle, za dużo szampana to dobrze.* Obyśmy tylko nie przesadzili z tymi bąbelkami. I nie byli tak roztargnieni, jak Honoré Balzac (1799–1850), któremu karczmarz zwrócił uwagę, że wychodząc, zapomniiał zapłacić. Powieściopisarz odpowiedział: *Wiem, drogi przyjacielu, ja właśnie piję, żeby zapomnieć.*

Kalendarz szkółkarzy, Laczki, Uwagi z końca 2016 roku, Szampan. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 52.

Bożena Plewińska (1924–1997)

Kiedy miesięcznik „Poezja” opublikował rysunki tuszem Bożeny Plewińskiej, to wpadłem w uniesienie. Były to w latach 80. XX wieku, w stanie wojennym. Nie mogę sprawdzić, który to był rok i numer, bo z takim zdrowiem, jakie mam, już trzeba się pożegnać z czytelniami i bibliotekami. Nie śmiem prosić sympatycznych pań z Biblioteki Domu Literatury w Warszawie, żeby zrobiły kwerendę, bo już trochę nadużyłem ich cierpliwości. Ileż można?

Pani Bożena rysowała motyle. Tylko. Czarno-białe. Duże formaty. Takie, jakich nie spotyka się nigdzie na świecie. Oczywiście, że jej rysunki kilkakrotnie pomniejszano, żeby można umieścić na szpalcie pisma. Tak się jej pracami zachwyciłem, że napisałem list z prośbą o ewentualne spotkanie. Długo nie czekałem na odpo-

wieść. W pewne sobotnie lato, kiedy przekwitły bzy i jaśminy, po południu pojechałem autobusem 503 z Ursynowa na ul. Hipoteczną. Na dworze był upał. Wsiadłem przy ul. Miodowej i na piechotę drałowałem do pani Bożeny Plewińskiej. W jej maleńkim mieszkaniu spędziłem kilka godzin. Pani Bożena wyjmowała zwoje kartonów i pokazywała swoje motyle prace. Była też narratorką. Patrzyłem i musiałem uważać, żeby nie otworzyć za szeroko ust. Jak dziecko. To mnie po prostu замуrowało. Piękne grafiki. Autorka w pewnym momencie powiedziała, że rysunki pasują na ścianę do gabinetu biznesmenów, bankierów, etc. Przyznałem rację, bo takie formaty do różnych M zupełnie się nie nadawały. Nie notowałem tego, co mówiła. Przez to gapiostwo teraz muszę liczyć na pamięć. Oto, co motyle ze mną zrobiły. Kiedy byłem nasycony i ugoszczony przez Panią Bożenę, powiedziałem, że muszę wracać na Ursynów i nieco ochłonać. Pani Bożena, siostra znakomitego fotografa Wojciecha Plewińskiego z krakowskiego „Przekroju”, powiedziała, że mnie odprowadzi na przystanek. Próbowałem wyperswadować, że już wystarczająco poświęciła mi czasu. Nic nie wskórałem. Dałem za wygraną, przecież nie będę się szarpał z niewiastą. Dłuższą chwilę odczekałem, żeby mogła się przygotować do wyjścia. Po dłuższej chwili przyszła autorka w sukni zwiewnej, z rozpuszczonymi blond włosami, które zakrywały plecy. Ponieważ była to wysoka i postawna pani, więc wyglądałem przy niej tak jak człowiek, który nie je pełnymi ustami. Szliśmy warszawskim brukiem. Pani Bożena perorowała, słuchałem jak paż. Kątem oka widziałem, że nie było mężczyzny, żeby się nie obejrzał. Nie wiedziałem, że tego typu rubensowska uroda tak działa. Swoją kreacją wzbudziła zainteresowanie. Wiatr tarmosił jej włosy, szarpał sukienkę w kolorach, jakie spotkać można tylko na skrzydełkach motyli. Bajecznie kolorowa kreacja na wybiegu warszawskim. Nie czarno-biała jak w grafikach. Oczywiście, że przy kobiecie tak obdarzonej przez naturę, mężczyzna pewnie się czuł. Ja wcale nie żartuję. Doświadczyłem tego, wiem co piszę.

Tak się ociągałem z kolejną wizytą, że dowiedziałem się o jej śmierci.

W odruchu smutku nieraz przypominam sobie jej poetyckie rysunki. Poematy. Jak z wiersza *Zwiewność* Bolesława Leśmiana, który kończy się tak jak wszystko w życiu: *Chód po ziemi człowieka, co na widnokresie, / Maleje, łatwo zwiewną gęstwę ciała niesie / I w tej gęstwie się modli i gmatwa co chwila / I wyziera z tej gęstwy na świat i na motyla.*

W zbiorach mam od niej kartkę pocztową, z 26 października 1992 roku, na której napisała jedno zdanie.

Izrael Salmanowicz Poznański (1833–1900)

Lipiec–sierpień 1973 rok. Dwa razy w ciągu dnia przechodziłem koło zakładów włókienniczych przy ulicy Ogrodowej. Szedłem wzdłuż nitowanego żeliwnego płotu i mijałem olbrzymią bramę. Z podziwem patrzyłem na budynki z czerwonej cegły, nie otynkowane. Solidne. Ponure. Z tych miejsc docierał straszliwy hałas. Oczywiście, że kusiło mnie, aby wejść, ale... bałem się, żeby mnie czasami nie przepędzili strażnicy. O tym obiekcie przemysłowym moja wiedza była tak marna, że wstyd. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że w lipcu i sierpniu 1973 roku byłem zajęty staraniem o przeżycie kolejnego dnia i dostaniem się do IX LO dla Pracujących. Wiedziałem, że cała ta infrastruktura jest dziełem Izraela Salmanowicza Poznańskiego. Ulica mówiła, że to są zakłady Poznańskiego. Nie rozwodzono się o tym łódzkim przemysłowcu, który utworzył imperium przy ulicy Ogrodowej. Krążyły o nim różne anegdoty, w których prawda z nieprawdą wymieszana. Nawet jedną z nich zacytuję (zob. Horacy Safrin, *Przy szabasowych świecach*). Ze *Spacerownika Łódź żydowska* Joanny Podolskiej dowiedziałem się, że kiedy fabrykant chorował w 1900 roku, ul. Ogrodową i Zachodnią wyłożono słomą, by nie przeszkadzał mu huk dorożek i wozów. To potwierdza ówczesna prasa.

Izrael Salmanowicz Poznański pozostawił też wiele kamienic-pałaców na terenie Łodzi, które służą mieszkańcom. W jego dawnym pałacu mieści się *Muzeum Historii Miasta Łodzi*. Dawny zakład to dzisiejsza *Manufaktura*, o której tak głośno. W robotniczych domach (tzw. famuły) mieszkają ludzie. Przy ul. Gdańskiej, na przykład, swą siedzibę ma szkoła muzyczna. Akademia Medyczna przy al. Kościuszki, też skorzystała z tego, co wybudował. Mauzoleum Izraela K. Poznańskiego na cmentarzu Żydowskim w Łodzi *to ponoć największy żydowski grobowiec na świecie*, wzniesiony w latach 1903–1905. Przewodnicy, którzy oprowadzają wycieczki, przytaczają anegdotę o tym, że jak budowano grobowiec, to jeden z robotników miał powiedzieć: *Ten to sobie pożyje...* W tej dykteryjce jest nieprzyjemna prawda, bo z dawnych zakładów przędzalnianych, bawełnianych nic nie zostało. Nie ma produkcji i klasy robotniczej. Stworzono centrum handlowo-usługowe. Podobno świetne. Nie byłem, więc ufam w to, co mówią i piszą. Po tym wielkim i bardzo prężnym przemysłowcu pozostały obiekty na długie lata.

Kiedy szedłem chodnikiem z płyt betonowych, które kruszyły się, dziwiło mnie, dlaczego nie potrafią zrobić solidnej drogi przy zakładach, w których pracuje kilka tysięcy osób; większość załogi stanowiły kobiety. Patrzyłem na budynki z czerwonej cegły. Dostrzegałem solidną murarkę i sztukę kowalską (ogrodzenie, brama). Dzięki tym spacerom, zrozumiałem, że najdroższą pracą, jest praca byle jaka. Jeżeli coś zrobisz raz a dobrze, to wystarczy li tylko rewitalizacja. O tym wiedzą zapewne ci, którzy peregrynują szlakiem łódzkich przemysłowców takich jak Izrael Salmanowicz Poznański (1833–1900), Markus Silberstein (1833–1899), Oskar Kon (1870–1961) i inni. Są ślady, z których Łódź powinna być dumna. Że żyli tu ludzie, którzy nie tylko ze sobą konkurowali, ale zadbali o przyszłość. Nieznaną.

Łucja Prus (25 V 1942 – 3 VII 2002)

Słuchać Łucji Prus, to była sama przyjemność.

Dojrzałe śpiewanie, jak kwiat, co zasnął w owocu.

Liryczne i nostalgiczne; ze specyficznym humorem.

Urokliwe.

Jej dawne piosenki brzmią jak sentymenty, które po latach zwykło się czule wspominać.

W tym zgiełku świata, utwory w jej interpretacji działają kojąco. Jak okład na silnie rozgrzaną głowę.

Na wyróżnienie zasługują takie nagrania jak *Nic dwa razy*, *Walc szczęście*, *Powiem jak umiem*, *Czas rozpalić piec*, *Nie mam woli do zamęścia*, *Pod sliwką*, *Jej portret*, *Dwoje ludziencek*, *W żółtych płomieniach liści* i inne.

W *Złotej kolekcji* Pomatonu EMI przed laty ukazał się antologijny wybór pt. Łucja Prus, *Nic dwa razy*. Na kasiecie/CD pomieszczono tylko 21 utworów. Łączny czas: 74'20 minut.

Piosenki Łucji Prus były tkane srebrnymi nitkami babiego lata.

Wystarczyło, że budziły się piece i kaloryfery, i nadchodziły słotne dni, a już był klimat w sam raz do słuchania.

A poza tym, niezależnie od pogody ducha, robiły wrażenie.

Któż z nas nie kocha powrotów do wspomnień?

Łucja Prus. Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 6 sierpnia 2002 roku.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

(12 II 1865, Ludźmierz – 18 I 1940, Warszawa)

O tym, że jest taki poeta, nowelista, powieściopisarz, przedstawiciel Młodej Polski, dowiedziałem się w czasie lekcji języka polskiego w sanatorium dziecięcym „Górka” w Busku-Zdroju. Było to w latach 60. XX wieku. W czasach PRL. Pan mgr Stanisław Grabski podczas lekcji opowiedział o smutnie zakończonym życiu poety, który był tak znany, a na starość zapomniany. Zadumał się nad jego

losem. Z tej czary goryczy też coś wypilem, bo pamiętam ten wtręt. Aby powiedzieć, jakiej to był miary pisarz, zaczął mówić wiersz z cyklu *Gra słów: Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową / tęskniłem lata... / Każde twoje słowo / słodkie w moim sercu wywołuje dreszcze – / mów do mnie jeszcze... (...)*. Oniemieliliśmy w klasie.

Minęły lata. A pamięć o tym biednym poecie we mnie żyła. I kiedy Czesław Niemen zaśpiewał ten wiersz, odżyły wspomnienia z lat szkolnym. Muzyka i śpiew Niemena do dziś brzmi i z przyjemnością tego się słucha. W młodości kupiłem jego *Poezje* (Biblioteka Poezji i Prozy, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, ss. 1210, nakład 15 000 egz.). W tomiszczu jego wiersze się nie bronią, choć erotyki mogą być wzorem, jak należy pisać o miłości (*Lubię, kiedy kobieta..., A kiedy będziesz moją żoną.*).

Są poeci za życia tak głośni, a po śmierci przywaleni zapomnieniem. Do nich na pewno należał Adam Asnyk (*Gdybym był młodszy, dziewczyno,*) i Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Podczas kwerend dotyczących patrona mojej szkoły w Pamiętce k/Tarczyna Wojciecha Górskiego, natrafiłem na gazetkę szkolną „PRACA I WIEDZA. ORGAN KOŁA ARTYSTYCZNO-LITERACKIEGO przy gimnazjum p.w. Św. Wojciecha”, luty 1937, nr 2. Nad stroną tytułową wydrukowano pogrubionym drukiem dewizę szkoły: *W pracy, wiedzy i miłości bratniej przyszłość nasza*. Na stronach 2–3 zamieszczono *Wywiad z K. Tetmajerem*, który przeprowadzili Zbigniew Modzelewski i Andrzej Kulesza. Uczniowie wybrali się do Hotelu Europejskiego w Warszawie, w którym mieszkał jeden z czołowych poetów okresu Młodej Polski. Oto fragment większej całości, który warto przypomnieć, zważywszy, że w Polsce z pamięcią różnie bywa. Oto, co powiedział młodemu gimnazjalistom ze szkoły Górskiego stary, schorowany i zapomniany poeta: (...) *Co się tyczy moich poezji, uważam za najlepszy drugi tom, wydany w 1894 roku w układzie prof. Piniego. Co prawda do dziś dnia nie wiem, czym kierował się Pini, układając tak moje wiersze, ja uczyniłbym zupełnie inaczej.*

– *A jak Mistrz zapatruje się na dzisiejszą poezję?*

– Już od dawna nie otrzymuję prawie zupełnie kontaktu ze światem. Widzi pan mam bardzo osłabiony wzrok i dowiaduję się nowin, jeżeli ktoś przeczyta mi urywki z gazet. Ale – dodaje ze smutnym uśmiechem – zapomniano prawie zupełnie o mnie i rzadko kto przyjdzie odwiedzić starca. Podhale...

Poeta nie kończy zdania.

– Zapewne bolesne było rozstanie mistrza z górami.

– O tak. Złożyło się na to wiele przyczyn. Te same przyczyny, dla których porzuciłem moją pracę literacką. Ale, ale... Do jakiej szkoły uczęszczają panowie.

– Do gimnazjum p.w. Św. Wojciecha.

– Św. Wojciecha, nie słyszałem – mówi poeta.

– Dawna szkoła Wojciecha Górskiego.

– Trzeba było tak mówić od razu. Jakżeż! Znam, bardzo dobrze znam, i wiele dobrego słyszałem o waszym gimnazjum... To uczniowie sami wydają te gazetkę. [?]

Odpowiadamy twierdząco.

– Bardzo chwalebny zamiar, cieszy mnie to, że młodzież interesuje się zagadnieniami kulturalnymi i sama wypowiada się na temat pisma. O ileż lepsze warunki pracy macie teraz wy, młodzi – od nas; dawniej. Szkoła rdzennie polska ... Ale jednak najlepszą ze szkół byłaby ta, która by uczyła nie bać się śmierci.

Kazimierz Tetmajer pogrąża się w głębokiej zadumie.

Nie chcąc przeszkadzać mistrzowi, zabieramy się do odejścia. Na odchodnym prosimy Tetmajera o autograf.

– Jeśli chodzi panom o napisanie mego nazwiska na kartce papieru, to proszę bardzo. Nie wiem tylko, czy coś napisałem – mówi, zwracając nam notes – bo doprawdy nic nie widzę.

Wychodzimy ze smutkiem z pokoju. Widok największego z żyjących dziś pisarzy „Młodej Polski” osamotnionego i zapomnianego nasuwa szereg smutnych refleksji. Toteż idziemy, nie mówiąc do siebie słowa, myślimy o samotnym starcu z numeru 386.

Cytuję to i... jeszcze mi smutniej, jak napisał inny wielki samo-

tnik (Cyprian Kamil Norwid). Przypominam poetę, o którym za życia tak było głośno, a po śmierci został przywalony ciszą. W czasie ziemskiej wędrówki przeczuł to, pisząc: (...) *ci, co dopiero nas wieńczyli, / zepchną nas w niepamięci cień (Artyści)*. Czyli *w cichą otchłań zapomnienia*.

Oczywiście, że jego wiersze są dzisiaj mało czytelne, ale można wybrać spośród nich sporo kłaczek lirycznych, które się bronią. To poeta gór, Podhala. Jego *Marsz zbójecki ze «Skalnego Podhala»* ma w sobie esencję góralszczyzny: *Hej idem w las – piórko sie mi mi-goce! / Hej! idem w las – dudni ziemia, gdy kroczę! / Ka wywinem ciu-pazecką – krew cérwonom wytocę! / Ka obyrtne siekiérecką – krew mi spod nóg bulkoce! (...)*.

I gdyby nie lekcje języka polskiego, to kto by tam o nim wiedział. Są pisarze, którzy mogą li tylko liczyć na polonistów i uczniów, co przejęli się ich dołą i niedołą. Jak mój polonista z sanatorium „Górka”, Czesław Niemen, i gimnazjaliści ze szkoły Wojciecha Górskiego, i po trochu ja, piszący te wspomnienie ku pamięci, która żyje z zapomnienia. I nigdy nie wiadomo, kiedy się ożywi. Człowiek ma frajdę, kiedy robi kwerendę, bo chce się nacieszyć tym, co ma za sobą.

Słusznie zauważył Daniel Sanders (1819–1897), leksykograf z XIX wieku, że *Wspomnienie to łagodna bogini, minione radości przywołuje z powrotem, a minione smutki jakby opromienia wieczorną zorzą szczęścia*.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer (12 II 1865 Ludźmierz – 18 I 1940 Warszawa). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 6 maja 2013 roku.

Feliks Rajczak (30 VII 1938 – 14 IV 1987)

R

Urodził się Świątnikach koło Pabianic. Miał być przypisany ziemi, ale tak go kusił widnokres, że poszedł w kierunku miasta. W wierszu to ujmie: *My – chłopcy z aglomeracji / otwieraliśmy wrota horyzontów / ze wszystkich stron Łodzi (...)* (*My chłopcy*).

Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Łódzkim, ożenił się ze zduńskowolanką, Marią, nauczycielką języka polskiego, i osiadł w mieście tkaczy. Był – jak drzewiej mawiano – *z ptoków* (przyleciał na nowiznę).

Nauczał i współpracował z dziennikiem „Głos Robotniczy”, w którym zamieszczał na ostatniej stronie notki z cyklu *co? gdzie? kiedy?* Peregrynował po Polsce. Działął. Uprawiał małe formy literackie (fraszki, aforyzmy), pisał wiersze jak na dłoni. Co rusz dawał do zrozumienia, że anioł go skrzydłem drasnął. Że śmignęła przed nim jaskółka. Ponieważ się śpieszył, więc musiał się streszczać. To było takie swojskie, chłopskie pisanie. Konkretne, zadyszane wspomnieniami, z powrotami tam, gdzie łęgi: (...) *Z tży się odrodzi zieleń okolicy. / Do pługów staną woły po kolei / Jak umierały przy orce z goryczy* (*Wymarli ze wsi starzy gospodarze*). Wydobywał z lamusa to, co jeszcze *wczoraj* było bez kurzu i rdzy. Z marzeń się rozliczał, jak z nocy księżyc: *Chciałbym opisać / Wszystkie zachody / Słońca po mojej / Śmierci* (...). Latami miał problemy z sercem. I pomyśleć, że zapomniał o rozruszniku. O bateryjce. Poczuł się źle, więc usiadł na ławeczce w sieradzkim parku przy dworcu PKP i... zgaśł.

Odszedł ten, który latami Zduńską Wołę budził grzecznie jednostkami uśmiechu.

Na tej ziemi nasze drogi się rozeszły. Ach, jak ziemia / śpiewa. Jakaż radość na morzach niebieskich!, napisał w wierszu *Pozdrowienie*.

Feliks należał do osób, jakich coraz trudniej spotkać. Wcale nie przesadzam. No bo ilu jest takich, co potrafią tak *nagiąć gałąź / że aż w korzeniach / Z a ś p i e w a ł o ?*

Feliks Rajczak (30 VII 1938 – 14 IV 1987). Wspomnienie, „Magazyn Stołeczny. Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 21 kwietnia 2017 roku.

Helena Raszka (24 I 1930 – 17 V 2016)

Urodziła się w Bydgoszczy. Studiowała filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Od 1951 roku mieszkała w Szczecinie. De-

biutowała w 1956 roku w tygodniku „Ziemia i Morze”. Z entuzjazmem o niej pisał Jerzy Kwiatkowski (1927–1986), zaś Piotr Kuncewicz (1936–2007) z przekąsem. Opublikowała wiele tomików poetyckich. Kwintesencją są *Wiersze wybrane* (Wybór Autorki, Wydawnictwo FOKA, Szczecin 1996, ss.172). Od debiutanckiej książki (*Okruchy bursztynu*, 1959) minęło tyle lat. Autorka udostępniła 108 wierszy. Maluczko, ale... to może być komentarzem, jak traktowała twórczość. Ujmuje takie podejście do owoców pracy. Dziś, kiedy cichość i skromność traktowana jest po macoszemu, taka postawa – rzadkość. Należała do rodziny poetów, jakich coraz mniej się spotyka. Są to swego rodzaju zadumy poetyckie nad światem i człowiekiem. W jej lirykach przebija cień melancholii, bo życie to nie tylko rzecz światła. To są urokliwe strofy. Poetka nie nazywa wprost. Nie dopowiada. Zawiesza głos, jakby chciała nas pozostawić z całym lirycznym dobrodziejstwem. Nie gloryfikuje kruchości świata. Uczuła, żebyśmy troszeczkę się nad swoim życiem zadumali. Tak dla higieny psychicznej. Żebyśmy byli uważniejsi na rozrastający się zewsząd zgiełk: *płaszcą / hasła wyrwane z przelotnych afiszów*. Nierzadko w lirykach przemycą prawdy, które zwykle się spychać na margines: *Nasza wymiana informacji / przypomina / handel wymienny / epoki / sumienia łupanego*. W jej poezjach znaleźć można krwawe pieczęcie z historii lat 70. XX wieku (*Zastrzelonemu w grudniu*). Nie ma w tych strofach nic z publicystyki i taniej zonglerki słów, oraz papki z mass mediów. Helena Raszka była z dala od nijakości, taśmowości życia i seryjnej produkcji. Uczuła, żebyśmy nie wałasz yli swojego żywota: *Wytwarzamy masowo na przerób i na pokaz / landszaftową metodą swój człowieczy obraz*. To są bardzo delikatne utwory. Muśnięte, jak np. fragment ze strony 13: *cóż my / przystrzyżeni / jak trawa na skwerze / wiemy o chmurze, / która / dotyka nas deszczem?* Te pejzaże liryczne dotyczą przestrzeni bezpieczeństwa, tj. przyrody (ziemia, rośliny, ptaki, owoce). Wśród tych linijek sporo znaleźć można paradoksów oraz perełek aforystycznych: (...) *rzeki / w rzeźbie lodu / ukrywają powódź*.

To są utwory poetyckie napisane z *jaskółką zachwytu* (czytaj: z lotu wyobraźni i pamięci).

Nieśmiałość i dyskrekcja, to tarcza rasowego poety. Tupet w literaturze zawsze pobrzękuje fałszywie, jak klucze do zamków na lodzie.

Poezje Heleny Raszki przypominają drażnienie słowa. Dzięki takiemu podejściu, ruszyła wyrazy z *posad / codziennej mowy*. Uskrzydliła to, co szara nachalność zwykła podcinać.

Po prostu pisała wiersze tak, jakby drażyła łyżeczką świeżo upieczone jabłko, które nie zazdrości szarlotce.

Drażnienie słowa, „Nasz Dziennik” 1999, nr 130.

Prof. Zbigniew Religa (16 XII 1938 – 8 III 2009)

Od dzieciństwa mam słabość do chirurgów. Pierwszym chirurgiem, jakiego poznałem, był dr Andrzej Seyfried (1922–2009). Noszę na nogach blizny po jego skalpeli, bo trzy razy mnie operował. Lubiłem patrzeć na operatorów. Byli dla mnie idolami. Do tego stopnia posunąłem swoją fascynację, że w I klasie szkoły podstawowej nauczyłem się nazw wszystkich zabiegów operacyjnych, jakie wykonywano w Zagórzku koło Warszawy. Potem poznałem dr. Bogulubę Sotirową (1927–2010), dr Czechowską, dr Lebedzińską*. Podziwiałem ich i bardzo się bałem, żeby mnie nie wzięli na blok operacyjny – pod nożyk. Chirurgów tośmy się straszliwie bali i bardzo ich kochaliśmy. Byłem tak nimi zafascynowany, że chciałem zostać jednym z nich, przy stole operacyjnym. Potem mi to przeszło jak katar, więc sobie w nieco inny sposób rekompensowałem. Czytałem o lekarzach książki. Oczywiście, że o tych fascynacjach nigdy nie powiedziałem prof. dr. hab. n. med. dr. h.c. Andrzejowi Seyfriedowi. Tylko raz, podczas przeprowadzonego wywiadu, powiedziałem coś półgębkiem, żeby pan profesor wiedział, że się do rozmowy przygotowałem. Mówiąc po Mickiewiczowsku, rozpoznaję ich dotyk: *A jako chirurg naprzód miękką rękę składa / Na ciele chorują-*

cym, nim ostrzem raz zada: (Pan Tadeusz. Emigracja. Jacek, Księga dziesiąta, w. 455).

Hipokrates (ok. 460–377 p.n.e.) zauważył, że *czego leki nie uzdrowią, wyleczy skalpel; czego skalpel nie wyleczy, uzdrowi pożegnanie*. Przeczytałem w książce, że na jednym z amerykańskich wydziałów lekarskich mawiano: *Interniści wiedzą wszystko, ale nic nie robią. Chirurdzy niczego nie wiedzą, ale robią wszystko. Patolodzy wiedzą wszystko i robią wszystko, tyle tylko, że za późno* (William A. Nolen, *Jak zostałem chirurgiem*, z angielskiego tłumaczył prof. dr med. Witold Rudowski, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1976). Profesor Tadeusz Tołłoczko zauważył: *Jest wiele żartów o chirurgii, ale w chirurgii nie ma żartów. To wcale nie oznacza, że chirurdzy nie mają poczucia humoru. Opowiadają o sobie, że dzielą ludzi na dwie kategorie – na operowanych i nieoperowanych. Grupa ludzi nieoperowanych ich nie interesuje. Natomiast operowanych dzielą też na dwie kategorie: na operowanych przez siebie oraz operowanych przez innych, nie tak dobrych chirurgów*.

Słusznie napisał Emil Theodor Kocher (1841–1917), że *Chirurg to lekarz, który umie operować, ale też wie, kiedy od operacji odstąpić*.

Prof. Jan Nielubowicz dodawał pod rozwagę: *Człowiek, który zaczyna studiować medycynę, nie ma świadomości powołania. Młodego lekarza pasjonuje świeżo zdobyty zawód. Odkrywa przyczyny chorób, jest detektywem. Znałem profesora interny, który mówił nawet: «głupi jak młody chirurg», bo dla młodego chirurga wszystko jest proste, wszystko do wycięcia (...).*

Zawsze powtarzałem, że chirurg powinien iść spać z chorym do łóżka. Nie dosłownie, oczywiście, ale z myślą: czy dobrze zoperowałem, a może coś trzeba było zrobić inaczej, dlaczego ten chory gorączkował, itd. (...). Chirurg jest często jak wędkarz, lubi kłamać na temat swoich sukcesów. Najbardziej jest to widoczne na różnych zjazdach i odczytach. Wszyscy się chwalią. A lekarz, który okłamuje sam siebie, powieli błędy (Chirurdzy i detektywi. Opowieści o polskich chirurgach, Pod redakcją Krystyny Bochenek i Dariusza Kortko, Wydawca:

Fundacja Polski Przegląd Chirurgiczny, Warszawa 2001, ss. 166).

Dlaczego o tym piszę? Bo kiedy myślę o chirurgach, to staje mi przed oczami dr Andrzej Seyfried, który w Zagórzcu wykonywał operacje. Był taki młody. Pełen pasji. Chodził w drewniakach i tupał. Tup, tup... Widzę jak wraca zmęczony z bloku operacyjnego. A pod wieczór zaglądał do sal do pacjentów, których operował. I nie mógł się od nas odkleić.

A poza tym, ślady jego skalpela noszę na swoich nogach.

Razi mnie, kiedy słyszę, że ortopedia nie należy do specjalizacji elitarnych, jak np. kardiochirurgia. Hola, hola... Chwileczkę! Rehabilitacja i ortopedia, to jest dopiero zapieprz.

W 2009 roku ukazał się wywiad z prof. Zbigniewem Religą (Jan Osiecki, *Zbigniew Religa Człowiek z sercem w dłoni*, Wydawca Prószyński i S-ka, Warszawa 2009). Kardiochirurg opowiada o swojej drodze od chirurgii do polityki. W żadnym wypadku nie jest to hagiografia. Wręcz przeciwnie! Nie ukrywa swoich porażek i sukcesów: (...) *Właśnie w proteście przeciwko syndromowi Boga zrezygnowałem z pracy w Warszawie i przyjąłem ofertę z Zabrze. Jest z sercem jak na dłoni i duszą na ramieniu: (...) Sam należę do choleryków i klnę w czasie operacji. Naprawdę wszystkie najbardziej obelżywe słowa są mi świetnie znane. Ale nigdy nie kieruje ich do człowieka. Wyzwiska kierowane są w powietrze, nie dotyczą nikogo. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby atakować asystenta. Jeżeli coś idzie nie tak, to moja wina, jako operatora (...).*

Czym jest dla pana śmierć? – zapytał wywiadujący. Profesor Zbigniew Religa odpowiedział: *Snem. Tyle że wiecznym.*

Profesor nauk medycznych, śmiertelnie chory, jeszcze zdążył za życia wydać komunikat: *Czas na moje oświadczenie: gdybym miał taką wiedzę na temat palenia, jaką mam teraz, prawdopodobnie nigdy nie zacząłbym palić. Zwracam się też z apelem do palaczy: starajcie się rzucić palenie! A tych, którzy dopiero zaczynają sięgać po papierosa, chciałbym ostrzec: moja choroba była najlepszym dowodem na to, że palenie jest rzeczywiście niebezpieczne i może zabić.*

Wywiad-rzekę czyta się jednym tchem. Może trochę jest w nim za dużo polityki. Szkoda, że prowadzący rozmowę nie pokusił się o zebranie pokąźniejszego materiału dla przyszłego historyka medycyny.

Profesor Zbigniew Religa to był ktoś, kogo zasługi były wielkie i nierzadko za to, co robił, obrywał. Bezinteresowna zawiść towarzyszyła mu przez całe życie. Polskie dole i niedole znosił ze stoickim spokojem, oraz epikurejską pogodą ducha. Niekoniecznie! Porażki go wzmacniały, sukcesy powodowały, że nie ustawał w tym, żeby walczyć o to, co uważał za słuszne. To był samotny człowiek. Miał za życia tylu adwersarzy, którzy łamali słowa jak zapalki. Po śmierci dopiero podnoszono larum, że odszedł ktoś wielki, czyli prekursorski.

Prof. Andrzej Bochenek, szef Kliniki Kardiologii Akademii Medycznej w Katowicach, nie ukrywał tego, że prof. Religa: *Jest moim mistrzem. U niego ludzie czuli, że tworzą coś nowego. Pozwalał się rozwijać. On jest nie tylko świetnym chirurgiem, ale wizjonerem. Zawsze stara się ludziom pokazać cel. Dodał nam skrzydeł [Przez dziurkę od klucza. Z profesorem Andrzejem Bochenkiem rozmawia Dariusz Kortko, „Magazyn Gazety” 2002, nr 14 (4 kwietnia)]*.

Dobrze się stało, że wydano wywiad, który nie nudzi. Tego typu książka powinna być lekturą nadobowiązkową dla wszystkich, bo każdy z nas – wcześniej czy później – będzie pacjentem. Póki co, niech serce bije. Pełne. Jak pompa.

Prof. Zbigniew Religa (16 XII 1938 – 8 III 2009). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2 sierpnia 2011 roku.

* Dopisek podczas korekty

Operowały panie i panowie. Jak je nazwać? Odwołam się do specjalisty: (...) *Nie jestem za tym, żeby formy żeńskie narzucać na siłę, żeby od dziś wszystkie kobiety chirurdzy były „chirurgkami”. Jestem za tym, żeby kobiety mogły sobie wybrać, jak chcą być nazywane. Chcę, żeby była tzw. oboczność, czyli poprawność dwóch form, a czasem nawet*

kilku. Polski język na to pozwala [Byłem kiedyś mężem kolejarza. Z Michałem Rusinkiem rozmawia Natalia Waloch, „Wysokie Obcasy. Dodatek do „Gazety Wyborczej”, sprzedaż łącznie z „Wyborczą” 2018, nr 48, „Magazyn Świąteczny. Gazeta Wyborcza” 2018, nr 286 (8–9 grudnia)].

Zdzisław Rogalski

Uczył rysunku technicznego w Technikum Elektronicznym w Zduńskiej Woli. Na jego lekcje uczęszczali uczniowie też z zawodówki i liceum zawodowego. Zawsze nosił Białe fartuch jak aptekarz. W koszuli pod krawatem. Starannie ogolony i pachnący, stał przy tablicy i wykonywał z wielką precyzją rysunek śruby, nakrętki, etc. Ze wzruszeniem opowiadał o przekroju poprzecznym. Rysował kredą. Patrzeliśmy i niedowierzaliśmy, że można tak skreślać. Pokazywał rysunki w tuszu. Wyglądały jak stare ryciny, ale bez rdzy i zacieków czasu.

Pracownia do rysunku mieściła się na pierwszym piętrze; od ulicy Szkolnej. Po południowej stronie. Składała się dwóch pomieszczeń. Pierwsze to była klasa, zaś drugie służyło jako zaplecze, w którym wymościł sobie gniazdo ten elegancki pan. Kiedyśmy się biedzili nad kolejnym rysunkiem, pan opuszczał klasę i zaszywał w swoim mateczniku.

Pod koniec lekcji pojawiał się, żeby dokonać korekty w naszych pracach. Zadawał nam do domu wykonanie rysunku tuszem w formacie A4. Z ramką w rogu, gdzie była metryczka ucznia.

Rysunek techniczny, to był twardy orzech do zgryzienia, co by tu nie mówić. Dulczeliśmy nad nim nocami i zawsze było coś nie tak. Zawsze jakieś albo, tj. albo za gruba linia, albo za cienka. Ręce nam opadały i mieliśmy pesteczki łez na policzku, gdy, nie daj Boże, spadła kropla tuszu. Że też nikt nie wymyślił gumki do wycierania tuszu... Zawsze było jakieś *ale*. Ten, kto nie miał lekcji rysunku technicznego, chyba do końca mnie nie zrozumie. Obym się mylił.

Oceny z rysunku mieliśmy od 3 do 4 z minusem. Do rzadkości należała 5 (bardzo dobra). Z tego wniosek, że na piątkę potrafił rysować tylko pan profesor Rogalski. O swoich pracach rysunkowych nie będę pisał, bo i nie ma o czym.

W tym miejscu, aż prosi się o wtręt. Moja siostra Bożenka, też z zasadniczej szkoły zawodowej, ale w Piasecznie, miała kłopoty z rysunkiem zawodowym. Była na tyle sprytna, że znalazła sposób na te kłopoty. Mój ojciec, z wykształcenia rzemieślnik obróbki skrawaniem, tokarz, pomagał córce. Czasami się zdarzyło, że wykonał cały rysunek. Kiedy siostra przynosiła 3 albo 4, wtedy tatuś był bardzo zadowolony. Za to kolega mojego taty, pan Edward Rek ze Szczerebówki, robił rysunki, używając kopiowego ołówka i grzebienia. Rysunki pana Reka ojciec przechowywał w portfelu. Na ich podstawie wykonywał różne przedmioty, za które Edward Rek płacił ojcu. Chyba mogę napisać, że mój tata dorabiał do swojej chudej pensji, realizując zamówienia spod Pamiątki. Po nim mi to zostało, że lubię mieć *zaskórniaki*.

W wielkim uproszczeniu można wysnuć z tego analogię taką, jaka często, niestety, ma miejsce u współczesnych malarzy, którzy gros swych obrazów wykonali na zamówienie.

Zamiast opowiadać o natchnieniu i mieszać pojęcia, dorabiać i upychać w nie pakuły estetyki, najwyższa pora wyłożyć kawę na ławę, że niejedno zlecenie może być też błogosławieństwem chlebowym.

Tylko rok mieliśmy rysunek techniczny.

Jak to się stało, że nikt z nas nie wyniósł z tych lekcji urazu do rysowania?

Dzięki stronie internetowej *Zespołu Szkół Elektronicznych – Długoletni nauczyciele pracujący w naszej szkole* odnalazłem jego dane osobowe: *Rogalski Zdzisław †*. W albumie pt. *50 lat Zespołu Szkół Elektronicznych im. Stanisława Staszica w Zduńskiej Woli, Elektronik* (Redakcja i opracowanie edytorskie Krzysztof Ciesielski, Współpraca edytorska: uczniowie ZSE: Jakub Widera, Arkadiusz Sapiejka,

Projekt okładki: Jakub Ciesielski – firma „Qcreative”, Wydawca: Zespół Szkół Elektronicznych im. Stanisława Staszica w Zduńskiej Woli, ul. Łaska 61, Nakład: 800 sztuk, ss. 160, Druk: Drukarnia „CENTRUM” w Zduńskiej Woli – sponsor wydawnictwa; format A4, papier kreda), też jest krzyżyk przy jego nazwisku i nic więcej; żadnego przypisu biograficznego. Skandal!

Nie żyje pan inżynier magister, który potrafił tak starannie wykonać rysunek techniczny. W mojej pamięci pozostaje, jako pan w Białym fartuchu, pod krawacikiem. W okularach na nosie. Taki pedant. Wymuskany. Cichy i zadumany nieco. Rysunek techniczny to był jeden z trudniejszych przedmiotów. Pan Rogalski surowo traktował uczniów. Na świadectwo z rysunku zawodowego wpisał mi ocenę dostateczny. Sprawiedliwie ocenił. Zapewne wiedział, że minąłem się z powołaniem. Miałem do niego słabość, bo mój polonista z sanatorium „Górka” w Busku-Zdroju, mgr Stanisław Grabski, też nosił Biały fartuch. Tylko, że mój polonista to był typ nasączony literaturą, wspomnianymi i nieprzemakalny. Pan Rogalski raczej przypominał rysunek techniczny, gdzie w liniach tuszu jest myśl zawodowa. Tu nie było miejsca na lirykę. Rysunek techniczny to kwintesencja notatek. Wyobrażacie sobie, ile trzeba by napisać, żeby powiedzieć, o co chodzi. A tu jeden rysunek streszczał wszystkie słowa, pochowane w kreskach i liczbach, oraz matematyce.

Zdzisław Rogalski. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 28–29 września 2013 roku.

Julian Rogoziński (24 IV 1912 – 6 I 1980)

Maj 1974 rok. W Łodzi odbywa się Ogólnopolski Festiwal Poezji. Albo inaczej: Łódzka Wiosna Poezji. W SPATiF-ie przy ul. Kościuszki 33/35 zorganizowano bankiet. Mnóstwo poetów, poetess, i innego człekokształtnego ptactwa. Biesiada na całego. Utrzymać pion coraz trudniej. W WC spotykam Ryszarda Milczewskiego-Bruno (1940–1979) i Aleksandra Rymkiewicza (1913–1983). Obaj

trzymają się ściany. Bruno mówi nad pisuarem: *To był poeta, widziałem jak szczał*. Rymkiewicz w białej koszuli i pod krawatem, coś odpowiada. Majowa noc, pełna wódki i jadła. Ścianom puchną uszy. Robotnicza Łódź tyra, by inni mogli się bawić. Wracam do stolika. Jem. Dyskretnie patrzę, jak przy barze stoi pan Julian Rogoziński, krytyk, tłumacz literatury francuskiej, eseista. W garniturze, bieluśniętej koszuli, pod krawatem. Odprasowany, jakby odebrał rzeźby od krawca. Ostrzyżony na jeża. Trzyma zamrożony kieliszek wódeczki. Ale to jak. Wypija. Schłodzony powraca do stołu.

Mijają lata. Jestem w wieku, gdzie często przypominam sobie to, co pan Julian przetłumaczył: *Inni, których twarze pozostały nie-
tknięte, zdawali się zaznawać tylko pewnych trudności w chodzeniu;
myślałbyś najpierw, że bolą ich nogi, lecz pojmowałeś następnie, że sta-
rość przyczepiła im ołowiane podeszwy. Innych znów upiększała (...)* [Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Tom 7, *Czas odnaleziony* /w:/ *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. 1–7, Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy), Biblioteka Klasyk i Polskiej i Obcej, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974].

Na pamiątkę tego łódzkiego spotkania (z widzenia) kupiłem *spod lady* siedmioksiąż Marcela Prousta (1871–1922). Był to dla mnie też spory wydatek. Za kilka lat to przeczytam. Jednym tchem. I poczułem się tak, jakbym się znalazł wśród najwonnějších kwiatów z sadu poezji. W czasie czytania powróciły wspomnienia sprzed lat. Były narracją. Krótką jak pamięć – długą jak czas nie stracony, choć z odzysku przemijania.

Maciej Jerzy Rybiński (5 III 1945 – 22 X 2009)

Komentator, felietonista. Znany z łamów „itd”, „Rzeczpospolitej”, „Wprost”, „Gazety Polskiej” i „Faktu”. O swoim pisaniu m.in. skrobnał: *Potrafię napisać coś, o czym wszyscy, także laicy, jeśli chodzi o gatunki dziennikarskie, mówią, że to felieton, a ja do dziś nie wiem dlaczego. Mimo że napisałem tysiące felietonów. To nie żadna kokieteria. To raczej ponure przekleństwo. Ile razy próbowałem już napisać*

solenną publicystykę albo barwny reportaż, albo otchłanny i nadęty powagą komentarz. I zawsze wychodził mi felieton. Trudno to uznać za sukces. To już raczej kalektwo. Coś jakby poeta usiłujący pisać treny i elegie ciągle wpadał we fraszkę. Dlatego też pytanie, czy felieton to sztuka czy rzemiosło, nie wydaje mi się odpowiednio postawione. Ani jedno, ani drugie. Felieton to jest światopogląd.

Współscenarzysta serialu *Alternatywy 4* (ulica Grzegorzewskiej 3, osiedle „Na Skraju”) w reżyserii Stanisława Barei (1929–1987). Przed laty słusznie zauważył, że (...) *filmy Barei przeżywają drugą młodość. Zawierają więcej prawdy o tamtych czasach niż kino moralnego niepokoju.*

O swoim życiu mawiał z wrodzonym dystansem: *Sukcesy miałem mizerne – małżeństwo z Krysią, córka Ola, scenariusz serialu „Alternatywy 4”, kilka książek, nagroda Kisiela. Nie wiem, dlaczego uznano mnie za dżentelmena, i do tego wpływowego. Przecież tak naprawdę nikt nie ma na mnie wpływu.*

Zmarł współscenarzysta „*Alternatywy 4*”, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2009, nr 38; sygn. CZ.M. SZ.

S Prof. Artur Sandauer (14 XII 1913 – 15 VII 1989)

To była bardzo znana postać, a dziś zapomniana, niestety. Oto jak współczesność potrafi się obejść z tymi, co drzewiej byli głośni i opiniotwórcy. Teksty profesora wzbudzały zawsze odzew czytelniczy. Były za i *przeciw*. Nigdy ich nie przyjmowano chłodem. To może być komentarzem. Kilka razy się spotkałem z autorem *Bez taryfy ulgowej*. A raz skutecznieiliśmy rozmowę. Pamiętam, że byłem na poznańskim Listopadzie Poetyckim. Lata 80. XX wiek. Spotykam profesora i mówię, że przesadził i nie był łaskawy dla poety Tadeusza Nowaka (1930–1991), chyba nie doczytał, bo... i zaczynam cytować. Rzecz dotyczyła jego szkiców drukowanych w „Polityce” pt. *Ewolucja polskiej poezji 1945–1968*. Wypisywał takie rzeczy o niektórych poetach, że gdyby mieli pomnik, to by pospadali z cokołów

jak śliwki. Nie przeczę, że niektórzy sobie na to zasłużyli. Ale nie przesadzajmy! Poeci (i nie tylko!) różne głupstwa pisali i będą pisać. Nic tak nie uczy konformizmu, jak ciągle dorabianie się, awans za wszelką cenę, żeby się lepiej urządzić. Powiedziałem, że za daleko się posunął, pisząc o tym, że Tadeusza Nowaka, podobnie jak Jana Kochanowskiego (1530–1584) i Jerzego Lieberta (1904–1931), *uskrzydliło nieszczęście*. Dodałem, że cierpienie nie uskrzydla, a poniża, nie ma sensu, że trafnie o tym pisał prof. Henryk Elzenberg (1887–1967). Sandauer spojrział i zamiast mnie ofukać zdrowo, zaproponował, żebyśmy wracali tym samym pociągami do Warszawy. Spotykam profesora z żoną (Erna Rosenstein, 1913–2004) na dworcu Poznań Główny oraz krytyka Tadeusza Olszewskiego (1941–2020). Na peronie tłum. Profesor mówi, żebyśmy razem jechali w tym samym przedziale. Łatwo powiedzieć, trudniej zająć takie miejsce. Podjeżdża pociąg. W ruch idą łokcie, biodra, nogi... Wchodzę, kiedy inni siedzą wygodnie w wagonach. Jadę na pomoście. Palę sobie papierosy i nie klnę, bo tym na pewno się świata nie zmieni. Wsiadam na dworcu Warszawa Centralna, podchodzi do mnie prof. Sandauer i mówi: *Czekaliśmy na pana w wagonie i pan nie przyszedł*. Odpowiedziałem, że był taki ścisk, że korytarzem ciężko było się przebić. Pożegnałem profesora krytyka i jego żonę (poetkę, malarzkę). I nagle podchodzi do mnie Tadzio Olszewski i mówi: *Co to była za podróż z tym Sandauerem. Jadł i kruszył kanapki, potem wyjmował szczękę...* Powiedziałem, że Zygmunt Kałuziński też sobie poprawia szczękę i pasek w spodniach, i widziałem to nie przeszkadza. Oczywiście, że wziąłem w obronę starego profesora, którego lubiłem, bo pisał z ogniem, potrafił tak skrobać, że co drugi chodził obrażony. Tacy ludzie w mojej nudnej Ojczyźnie, nie rodzą się na kamieniu. A że walczył z krakowiakami (Wyką, Błońskim, Kwiatkowskim), mój Boże, dobrze że to robił, bo Kraków też jest na dużych koturnach, jak nie szukając daleko – Poznań. Kraków żyje na kredyt *wczoraj* i za dużo myśli o tych, co słuchają trąbki z Wieży Mariackiej. Wawel to nie cała Polska. Podobnie można powiedzieć

o koziołkach, co się trykają na rynku w Poznaniu. Warszawa to nie tylko Powązki.

Ale porzućmy wtręty, wracajmy do profesora. To była bardzo znana postać polskiego życia literackiego. Straszliwy nerwus. Wszyscy się go bali, a jednocześnie zabiegali, żeby profesor Artur Sandauer coś o nich napisał, bo to dawało przepustkę na dalszą drogę. Wiadomo było, że profesor hołubił Witolda Gombrowicza (1904–1969), Bruno Schulza (1892–1942), Bolesława Leśmiana (1877–1937), Juliana Tuwima (1894–1953), Juliana Przybosia (1901–1970), Annę Świrszczyńską (1909–1984), Leopolda Staffa (1878–1957), Cypriana Kamila Norwida (1821–1883), Mirona Białoszewskiego (1922–1983) ... W sądach był ostry i bez pardonu. Wędrował po tematach rzemieennym dyszlem. Doskonale wyczuwał, co się dzieje w ówczesnej polityce. Zachowywał dystans na tzw. kilka parasoli. Kierował się nieraz emocjami. Bali się go jak cholera. Profesor wcale tego nie ukrywał, że *Pisarstwo moje oparte jest na zasadzie kompensaty: artysta jest we mnie odwrotnością człowieka. (...). Że jest osobą niecierpliwą, i stąd bierze się u niego kult zwięzłości: Mam skłonność do wypowiadania się aforyzmami: kiedyś zadebiutowałem, ktoś nazwał moje pisanie sznurem, złożonym z samych węzłów. W rezultacie większość swoich tekstów piszę rakiem – od końca do początku. (...) Porządek wynika u mnie z nieporządku, pedantyzm – z niecierpliwości, klasyczny umiar – z wybuchowości. Temperament mam tak burzliwy, że gdybym dał mu wodze na papierze, wyszedłby po prostu – bełkot. (...) Krótko mówiąc, pisarstwo moje to próba lecznictwa człowieka, dotkniętego ciężką nerwicą. Właściwy mi niepokój sprawia, że nigdy nie będę normalnym krytykiem, profesorem czy prozaikiem, że w każdym gatunku będę outsiderem, owym Sindbadem-żeglarzem, który – ledwo wrócił z dalekiej podróży – otrzymuje list od diabła morskiego, wzywający go w nową podróż (O sobie).*

Za jego życia ukazały się trzy tomu pt. *Zebrane pisma krytyczne*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1981. Profesor zadbał o swoje tek-

sty zamiast liczyć na *późnego wnuka*. I słusznie. W Polsce pamięć jest taka krótka.

Kiedyś po wernisażu pani Erna zaprosiła mnie do siebie. Pojechałem z pewnym ursynowskim malarzem do jej mieszkania na warszawskim Górnym Mokotowie przy ulicy Franciszka Karpińskiego. Wielkie, ciemne pokoje. Stare meble, parkiet, za oknami drzewa. Na tapczanie leżała otwarta „Trybuna Ludu”. Pani Erna pokazała portrecik profesora, wielkości pudełka od zapalek, powieszony na druciku. Piękny konterfekt, malowany włosiem. Wprowadziła nas do pokoju Sandauera, w którym był regalik z książkami, głównie słowniki, niewiele tego. Biblioteczka świadczyła, że profesor dobrze przebierał w książkach. Dokonywał takiej selekcji, jak rzadko kto. Wypiliśmy herbatę, coś tam powiedzieliśmy i zwinęliśmy się od poetki-malarski, co tak ptasio wyglądała i ździebko mówiła. Traktowała życie jak sztukę, chciała wszystko poustawiać po swojemu, jak Tadeusz Kantor (1915–1990). Jej wiersze były dla mnie za suche. Pisane wielkim skrótem, jakby w chwilach, kiedy odrywała się od sztalug. I zawsze szła za profesorem, potrafiła uspokoić *nerwów drżenie*. Tworzyli parę, która wyszła na chwilę z prozy i rysunków Brunona Schulza, i poezji Bolesława Leśmiana. Wystarczyło tylko na nich spojrzeć, żeby od razu wiedzieć, że są nietuzinkowi. Że mają coś w sobie. Byli na swój sposób odważni, bo siedział w nich strach. Należeli do ludzi, z którymi trudne są przyjaźnie.

Wspomnienia (I) [Prof. Artur Sandauer (14 XII 1913 – 15 VII 1989) Wspomnienie], „ReWiry” VII–IX [lipiec–wrzesień] 2020, nr 2/1 [Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2020].

Henryk Sekulski (30 IX 1952 – 26 VII 2011)

Poeta, dziennikarz, absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Urodzony w 1952 roku w Seroczynie k. Siedlec. Mieszkał w akademiku przy ul. Kickiego w Warszawie. Po raz pierwszy o nim się dowiedziałem od Jana Jastrzębskiego, który z życzliwością opowiadał o swoim kraju. Spotkaliśmy się w Bibliotece Domu Lite-

ratury, gdzie przesiadywałem i dulczałem nad piramidką książek i zwałką gazet. To było wielkie cmentarzysko autorów, którzy czekali, żeby się ogrzać światłem druku. W tym czasie pracowałem w redakcji tygodnika „Zarzewie – tygodnik organ Związku Młodzieży Wiejskiej”. Redakcja mieściła się przy ul. Foksal 11. Ze dwa razy w niej byłem. Jakże musiały to być przeżycia, skoro pamiętam tylko długi korytarz oraz strome schody i chłód z podwórka.

Peregrynował po wsiach i miasteczkach, zbierał materiały do reportaży. Trochę narzekał, że dał się wciągnąć w ten kierat dziennikarski. Pocieszałem go, że to też ma swoją dobrą stronę. Uśmiechał się. Był zawsze taki pogodny. Nosił wąsik na $\frac{3}{4}$, który wyglądał jak prześmiewka.

Kiedy w 1982 roku otrzymałem literacką nagrodę im. Stanisława Piętaka, to wpadł na Ursynów, bo chciał mnie *uhonorować* większym tekstem. Trochę się ociągałem, robiłem wszystko, żeby nieco Henia ostudzić i zniechęcić. Ale on uparł się. I spędziłem „Na Skraju” kilka godzin, w których żart zachował pion. W nr 14 „Zarzewia” z 1982 roku opublikował artykuł pt. *Laureat*, załączono fotografię K. Jackowskiego. Przy okazji zamieszczono siedem moich nieudolnych wierszy.

Za jakiś czas spotykam go na ulicy. Mówię: Heniu, trochę za dużo o mnie napisałeś i na dodatek opublikowałeś tyle liryków... Cóżem Ci uczynił, żeś tak się na mnie wziął?

Spojrzał i dodał: *Czesia, zrobiłem tak, żeby było po równo...* Ujął mnie tym, bo nie spotkałem dziennikarza, żeby się chciał ze mną honorarium podzielić...

Miał taki ładny zaśpiew głosu. Mówił językiem wymieszanym Podlasiem i Mazowszem. Kiedy się w to wsłuchiwałem, to wiedziałem, że wywodzi się z polnego i leśnego ludu. Siewców, oraczy, bartników i drwali. W tym jednym słowie *Czesia*, jakim się do mnie zwracał, było tyle serdeczności. Nigdy mi nie przyszła do głowy myśl, żeby go poprawić. Podobała mi się jego chłopskość. Takie prosto z mostu. Mówił z wdziękiem.

Od Wielkiego Dzwonu się spotykaliśmy. Były to szybkie rozmowy, bo Heniu zawsze gdzieś pędził. Coś załatwiał. Kiedyś powiedział mi, że się rozwodzi. Posmutniałem, coś tam mamrotałem.

Upłynęło sporo wody w Wiśle. Nie pamiętam, w którym to już było roku. Siedzę przy stole w bibliotece. Podchodzi do mnie Heniu i przedstawia swoją małżonkę, Niemkę, która nie rozumiała prawie nic po polsku. Podałem rękę. Kobieta uśmiechnęła się i to była cała rozmowa.

Czasami pytałem Jana Jastrzębskiego, co u Henia słychać.

Zmarł w lipcu. Nie odnotowuje jego dorobku Lesław M. Bartelski, *Polscy pisarze współcześni 1939-1991 Leksykon*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995. Za to Piotr Kuncewicz w *Leksykonie polskich pisarzy współczesnych*, Wyd. GRAF-PUNKT®, Warszawa 1995, zaznaczył dorobek, wyliczając książkę poetycką (*O cierpliwym wędrawaniu*, 1985) i prozatorską (*Średnia wojewódzka*, 1985). Gargantua polskiej krytyki literackiej zauważa: *W jego twórczości odnajdziemy tony przypominające skargi późnych romantyków. Sekulski zamieszkał potem w Niemczech, w Lipsku, z bardzo ładną dziewczyną. On nie znał niemieckiego, ona polskiego, dzieci mieli dwoje.*

Ten zapis wymaga przypisu. Heniu nauczył się niemieckiego, a żona języka polskiego. Jan Jastrzębski opowiadał mi, jak przyjechał do jego wioski Daćbóg (Podlasie) Heniu ze swoją rodziną: żoną i synami-bliźniakami. Powitał ich ojciec Jana. Po czym poprosił chłopców, aby zaśpiewali na podwórzu przed domem *Hymn Polski*... Chłopcy stanęli na baczność, jak dwa małe zuchy, i wyśpiewali, jak z nut, aż wszystkim szczęki opadły. W ten oto sposób rozliczono ich z patriotyzmu.

Kiedy myślę o Heniu, to staje mi w oczach, jakby się w nim coś zacięło. Należał do ludzi, o których człowiek mówi, jak dobrze, że stanęli na drodze. Po prostu ich się lubi od pierwszego podania ręki. Że są tacy, jak mówi przysłowie – *można z nimi konie krać*. Używając słowo *krać*, wcale nie pochwalam takiego sposobu na życie. Cytuję ludową mądrość, która jak przestroga, ku pamięci.

Heniu miał w sobie tyle witalności. Nieśmiałe poczucie humoru. I zawsze, kiedy się spotykaliśmy, uśmiechał się pod wąsem, co był na $\frac{3}{4}$, starannie przycięty.

Henryk Sekulski (1952–2011). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24–25 września 2011 roku.

Pocztą głosowa

27 października 2011 roku, godz. 14.20, czwartek:

Cześć, Jan Jastrzębski się kłania.

Czesiu, bardzo dziękuję za przesyłki, za pamięć, za ciepłe bardzo, pełne życzliwości wspomnienia o Heniu.

Życzę zdrowia i pozdrawiam Ciebie, i Twoich bliskich.

Trzymaj się, cześć.

**Prof. dr hab. n. med. dr h.c. Andrzej Seyfried
(27 VII 1922 – 5 I 2009)**

Było to w lipcu 2007 roku. Pojechałem na ulicę Wilczą do pana prof. dr. hab. n. med. dr. h.c. Andrzeja Seyfrieda, który mnie leczył od 1 września 1957 roku. Miałem trzy lata, a on, młody lekarz, 35 lat. Nie wiedziałem wtedy, że jego mistrzem był prof. Wiktor Dega (1896–1995) z Poznania, przez który Warta płynie. Dzięki niemu wstałem z łóżka. Potem wykonał mi trzy operacje w Zagórzcu. Postawiłem pierwsze kroki o kulach. Nosilem aparaty ortopedyczne i gorset, co tak się wrzynał w plecy i szczypał, i uwierał. Były łzy i upadki, po których podnosiłem się sam. Uczył, żebym liczył przede wszystkim na siebie, bo nigdy nie wiadomo, co stanie na drodze. Ziarenko piasku czy liść, czy głupiec, któremu się zdaje, że wie wszystko. Kiedy minęło 50-lecie choroby, spotkaliśmy się w domu profesora, w centrum Warszawy, po południowej stronie, ulica Wilcza 33. W pewnym momencie pan profesor przypomniał: *W odróżnieniu do tego, co było w Zagórzcu, był hałas, żywotność tych dzieci, na czworakach łaziły po korytarzach. Sam żeś tak chodził! Na czworakach, jak nikt nie widział, na czworakach latałeś, żeby gdzieś chodzić,*

prawda, bo nie bolało i nie pogarszało się w sensie choroby. I to jest właśnie to, co dawało ten duży dla mnie optymizm w leczeniu chorych.

Istotnie tak było, panie profesorze – odpowiedziałem.

Ilekoć humor mnie opuszcza, powracam do spotkań sprzed kilku lat, kiedy to wychodziłem z domu i rozsiewałem siebie na warszawskich ulicach (i nie tylko!). Niosły mnie nogi i drewniane kule. Czasami za dużo szastałem swoim życiem, jak człowiek, który chce być miły i nie sprawiać kłopotów.

W życiu nie spotkałem takiego lekarza, który miał zawsze czas dla chorych, których toczy ostry ból. Jak cierpienie. Dzięki niemu jestem bogatszy o wspomnienia, które mają to do siebie, że nigdy się tak naprawdę nie starzeją.

Cudowny człowiek był ten pan profesor, choć trzymał nas w ryzach. Nie popuszczał. Sprawę stawiał jasno. To świadczyć może o tym, że pacjent był wszystkim. Że łązy trzeba osuszać do uśmiechu.

Gdzie można spotkać takich lekarzy, jak pan profesor Andrzej Seyfried z Warszawy? – pytam, gdy przychodzą do mnie lipcowe spotkania: chory pan profesor i były pacjent z Zagórza koło Starej Miłosnej, dawny powiat otwocki. Tu, gdzie lasy mieszane z przewagą sosen.

Rehabilitacja i ortopedia to były febliki pana profesora. O nich myślał i śnił. Reszta to był tylko dodatek. Skąd o tym wiem? Bo nieraz widziałem jak szedł korytarzem, by wejść do Białych ścian. Byłem świadkiem, jak za fartuch go szarpali. Słyszałem, jak krzyčili: *Doktorze, ratuj!* Zamiast ofukać, ruszał na odsiecz w Białych chodakach. Pochylał się nad chorymi. Słuchał. Z czasem się nie liczył. Był ciągle na dyżurze. Aż w końcu śmierć powiedziała: dosyć!

Prof. Andrzej Seyfried. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 3–4 czerwca 2015 roku.

* * *

Profesor dr hab. n. med. dr h.c. Andrzej Seyfried przez lata pochylał się nade mną. Byłem w jego żrenicach. Od lekarza, docenta do profesora z nim szedłem. Dzięki niemu wstałem z łóżka i zacząłem chodzić o kulach. Nosilem aparaty i gorset ortopedyczny. W jego karierze naukowej miałem też swój udział. To był spec, który uczulał, że w rehabilitacji trzeba myśleć. Szczególnie.

Kiedy w czasie wakacji 2007 roku zapytałem go – Co jest największym cudem w rehabilitacji?, odpowiedział: *Cudem w rehabilitacji? No, cudów w rehabilitacji nie ma. Jest tylko myślenie.*

Należał do lekarzy, którzy nosili *zbiegłe* fartuchy. Niby Białe, a pełne kolorów. To byli ci, na których najczęściej krzyczeli chorzy: *Doktorze, ratuj!*

Pan profesor jest ze mną, kiedy się budzę do życia. Czuję go, gdy drobię kroki i trzymam się drewnianych kul, co za mną idą już tyle lat. Gdy uderzam w klawisze komputera, to wiem, że gdyby nie on, niczego bym nie wystukał, nawet tego wspomnienia.

W alfabecie pacjenta feblikiem pana profesora były literki – r jak rehabilitacja; spółgłoska wibrująca, oraz o jak ortopedia; samogłoska (bez wykrzyknika lub z wykrzyknikiem, jak zdziwienie albo rozczarowanie).

Profesor Andrzej Seyfried (1922–2009). Wspomnienie, „Magazyn Warszawa. Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 marca 2019 roku, fot. Archiwum rodzinne.

Wojciech Siemion (30 VII 1928 – 24 IV 2010)

Po raz pierwszy go widziałem w serialu *Czterej pancerni i pies* (1966–1970), gdzie grał kaprała Kucharka. Pod wpływem wspomnień z dzieciństwa, poszedłem do Teatru Małego (Warszawa, ul. Marszałkowska 104/122), żeby go zobaczyć na żywo w sztuce Tadeusza Różewicza *Białe małżeństwo*. Potem mijaliśmy się podczas Warszawskiej Jesieni Poezji.

Dopiero w maju 1982 roku, podczas wręczania Nagrody Literackiej im. Stanisława Piętaka w Starej Prochowni (ul. Bolesć 2), spotkaliśmy się. Potraktował mnie jak laureata. Czytał kilka moich liryków z nagrodzonego tomiku *Przerwane wiersze*. A kiedy mnie poproszono o przeczytanie, wpadłem w popłoch. Po mojej interpretacji, powiedział, że mi lepiej wyszło niż jemu. Odpowiedziałem, żeby nie przesadzał. Przeszliśmy na ty.

Nieraz mnie zapraszał do Petrykoz (między Grójcem a Mszczonowem), gdzie miał swój dworek, a w nim Wiejską Galerię Sztuki (zbierał sztukę ludową i współczesną). Nigdy nie pojechałem, choć tyle razy zanęcał mnie słowami.

Kiedyś mnie spotkał i powiedział, że chciałby wpaść do mnie wraz ze studentami Warszawskiej Szkoły Teatralnej, na tzw. lekcję poetycką. Ostudziłem natychmiast jego zapał. Odpowiedziałem, że jestem tak mało komunikatywny, że szkoda zabierać czas studentom.

W 1992 roku, kiedy wydano mój tomik pt. *Zapiski i ballady* (Warszawski Ośrodek Kultury dawniej Szpital Świętego Ducha), poprosiłem, żeby na liście gości znalazł się Wojciech Siemion. 10 października pojawił się na ulicy Elektorальной 12. I dał o sobie znać. Zapytał, czy może przeczytać. Wstał, wziął gazetę, położył na krzesło, po czym stanął z tomikiem wierszy i... zaczął tak recytować, że wszyscy naraz się uspokoili i zadarli głowę do góry. Powiedział tak, że nie było bata! Pomyślałem, że nigdy nie wiadomo, czy tego nie będzie czytał aktor; tej klasy co Siemion.

Jaki był na scenie, chyba nie trzeba pisać, że świetny.

Jako człowiek zaimponował mi przed laty. Otóż jeden z jego pracowników z Petrykoz znalazł się w Areszcie Śledczym w Grójcu. Przyjeżdżał w kufajce, gumowcach (józwach) i przywoził prowiant. Dbał. Strażnicy byli pod wrażeniem. Potem to się rozniosło po okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Znajdźcie dzisiaj pracodawcę, który upomni się za pracownika, któremu się noga powinie, i stanie za nim murem, nawet więziennym?

Oczywiście, że o tej historii wiem od jednego ze świadków-strażników, J. H. (nie mogę ujawnić nazwiska informatora).

Wojciech Siemion żył szybko. Angażował się w różne ruchy polityczne, choć megalomania z polityką zawsze kończy się rozczarowaniem. Szastał swoim talentem. Łapał tyle srok naraz, że trudno mi to było zrozumieć. Są ludzie, którzy chcą być wszędzie. Zapewne taka strategia czemuś służy, ale... szkoda życia, które ceni liczbę pojedynczą.

Aktor chodził zapięty na wszystkie guziki, z tasiemką aksamitką zamiast krawata. Nosił się tak, jakby za chwilę czekał go występ. Był w ciągłej dyspozycji. Nigdy go nie widziałem w T-shirtcie. Spalał się. Ciągłe szukał pretekstu do występów. A kiedy dostawał tekst prozą albo wierszem, to znikła z niego maska. Ożywiał się – nie grał. Dla poetów i prozaików był akuszerem. Jak mówił, to słyszało się przecinek, średnik, myślnik i kropkę.

Wojciech Siemion (30 VII 1928 – 24 IV 2010). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 24 stycznia 2013 roku.

Eustachiusz Siwiński

W mieście znany pod ksywką *Estek*. Zapewne nigdy bym nie poznał tego znakomitego lakiernika, rzemieślnika i mistrza, gdyby mi go nie naraił Zdzicho Chmielewski z Główna. W latach 80. XX wieku odbywałem peregrynacje artystyczne po Polsce. Pisałem felietony na odwrotną stronę „Tygodnika Kulturalnego”. W czasie wakacji nieraz mnie zawiewało do Główna, które leży między Łowiczem a Łodzią. W pewien letni dzień Zdzicho zawiózł mnie do pana Eustachiusza Siwińskiego, na którego wszyscy mówili *Estek*. Wchodzimy do jego obejścia, gdzie pełno samochodów do naprawy. Ale dziupla! – westchnąłem. Z domu wychodzi pan *Estek* i pyta: *jakie dziś palimy papierosy?* Odpowiadam, że mamy duży wybór. Jak kowboje. Czyli każdy z nas pali swoje. Wyciągaliśmy paczuszki fajek, a pan *Estek* się częstuje. Papierosa tarmosi. Po czym zapałką przypala

i dymem się napawa. Ale to jak! Wypuszcza stróżki. Weszliśmy do domu. W kuchni się rozsiedliśmy. Zapatrzyłem się w obrazek wiszący na ścianie. *To namalował profesor Wiesław Garboliński. To jest Petersburg. Prosiłem, żeby mi zamienił ten obraz na inny, polski...* – powiedział lakiernik. Miał jakieś *ale*, jeżeli chodzi o kolory. Obrazek jak obrazek. Może być w kuchni bladej!

Pan *Estek* był mistrzem lakiernikiem. Potrafił wszelkie rysy i zadrapania na samochodzie usunąć, dobrać odpowiedni kolor, więc nie trzeba było podkolorowywać całego krążownika szos. Podobno pan profesor, jego krajan i zapalony działkowicz, nieraz się radził w sprawie mieszania kolorów. O profesorze mało wiem, choć nieraz się mijaliśmy, ale nigdy nie wykazywał ochoty do rozmowy. Traktował nas jak zakute łby. O co wcale nie mieliśmy pretensji. Nie wiadomo, jak byśmy się zachowali, gdybyśmy ze Zdzichem zostali nagle profesorami.

Za to pan Eustachiusz poświęcał nam dużo czasu, którego nie miał w zapasie, bo roboty zawsze miał pełne ręce. Potrafił opowiadać z bigłem. Wehikuły znał jak swoje kieszenie.

Dopiero, kiedy się napalił, wtedy rozstawaliśmy się. Obiecywałem, że poproszę Zdzicha, żeby przywiózł mnie swoją kremową strzałą, fiatem „Panorama”, do jego warsztatu. Oczywiście, że dotrzymywałem słowa, ale nie nadużywałem wizyt.

Pana *Estka* znało całe miasto i okolice. Jego sława wychodziła poza dawny powiat łowicki. Ta popularność nie uderzała mu do głowy. Starał się jak mógł pomóc kierowcom, którzy mieli różne stłuczki, kolizje itd., itd.

Od Zdzicha dowiedziałem się, że ma w garażu czarną Wołgę. Mój młodszy koleżka opowiadał, że pan *Estek* kilka razy do roku zapalał czarną Wołgę. Zanim zasiadł za kierownicą, w domu się dobrze wyrychtował: zakładał białą koszulę, wiązał krawat, wbijał się w garnitur. Objedźdzał Główno. Jazda gablotą, to było wydarzenie.

Przypomnę, że czarna Wołga miała w Polsce złą reputację. W latach 70. XX wieku szeptana propaganda powtarzała, że taką

furą jeździ tajemniczy kierowca i porywa samotnie bawiące się dzieci. Z tego *czarnego kruka* nic sobie nie robił Pan *Estek*. Tym swoim postanowieniem wzbudzał zachwyt u tych, którzy się wzdrygali, widząc jak sunie starym pojazdem przez arterie Główna.

Kilka lat temu odszedł lakiernik-rzemieślnik, który potrafił dopasować kolor do karoserii samochodu. Dzięki niemu poznałem pana prof. Wiesława Garbolińskiego (urodzony 2 stycznia 1927 roku w Głównie). Były rektor łódzkiej PWSSP nieraz wpadał, jak po ognień, żeby się radzić, jak wymieszać kolory albo naostrzyć sobie narzędzia, np. wiertło.

Przyjeżdżaliśmy do pana Eustachiusza, jak ludzie którzy pamiętają o tym, że *gdzie interes dmucha, tam przyjaźń krucha*. Wpadaliśmy, żeby sobie pogadać i zapalić, jak chłopy. Pan *Estek* mówił, Zdżicho pytał, a ja robiłem wszystko, żeby to zapamiętać. Skandal byłoby, gdyby to umknęło w przestworza, gdzie jaskółcze szlaki. Na taką ekstrawagancję sobie nie pozwalam. Od lat.

Eustachiusz Siwiński. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 10 października 2013 roku.

Maria Salomea Skłodowska–Curie **(7 XI 1867 – 4 VII 1934)**

Dwukrotna laureatka Nagrody Nobla (1903, z fizyki, oraz w 1911, z chemii). Jej przesłanie, że *niczego w życiu nie należy się bać, należy to tylko zrozumieć* – jest zachętą do myślenia, czyli zakopywania głębiej znaków zapytania. Z polotem mówiła, że *uczony jest w swojej pracowni nie tylko technikiem, lecz również dzieckiem wpatrzonym w zjawiska przyrody, wzruszające jak czarodziejska baśń*.

Na pewno jest miarą dla tych, co zajmują się nauką, oraz wzorem do naśladowania: *Pani Curie jest – z wszystkich ludzi na świecie – jedynym nie zepsutym przez sławę człowiekiem* (Albert Einstein, 1879–1955). Że dzięki cierpliwości łatwiej się znosi głupotę.

Dla świata to wielkość sama w sobie, zaś dla Polski – zaszczyt.

Na koniec przypomnę dowcip-suchar, stary, a jaki świeży. Goście wychodzą z przyjęcia u Marii Skłodowskiej-Curie. Jeden z nich mówi: *Dziękujemy za wspaniałe ciasto!* Na co pani Maria, jedyna kobieta, która dwa razy otrzymała Nagrodę Nobla, odpowiada: *E, tam, nic takiego, sama chemia...*

Piotr Cezary Skrzynecki (12 IX 1930 – 27 IV 1997)

Wielki konferansjer Piwnicy pod Baranami. Marzyciel nad marzycielami. Poeta, choć nie pisał wierszy. Za życia otoczony legendą i anegdotą. Mag. Na dobrą sprawę nikt do końca nie wiedział, gdzie zaczyna się jawa, a gdzie się kończy sen. To się nazywa wejść po kostki w poezję, a nie tylko obrócić się na pięcie. I to jest wzruszające, gdy nikt do końca nie wie, jaki był naprawdę? Daremny trud, choć godny pochwały dla tych, którzy robią wszystko, żeby rozwichrowane życie choć po śmierci uporządkować.

Po jego śmierci wielu dedykowało mu swoje prace: inskrypcję nagrobną zaprojektował Kazimierz Wiśniak (piwniczny scenograf); Leszek Długosz napisał wiersz pt. *Nocne telefony Piotra S.*; Andrzej Siek (student V roku rzeźby krakowskiej ASP) z kłosa lipy wyrzeźbił jego postać; a w listopadzie przed budynkiem II Katedry Chorób Wewnętrznych – Collegium Medicum UJ prof. Andrzej Szczeklik odsłonił rzeźbę poświęconą pamięci Piotra Skrzyneckiego. Tamtejszą klinikę nazywał *hotelem snów*. We wrześniu w Teatrze Słowackiego odbył się koncert dedykowany dyrygentowi baranów; wykonano piosenkę pt. *Czekamy* (słowa Jana Nowickiego). O artykułach wspomnieniowych nie będę pisał ani ich streszczał. Tak to już jest, gdy ktoś pozostawia po sobie tak piękne wspomnienia, że niejednego świerzbi długopis/pióro.

Joanna Olczak-Ronikier, choć prawnik, należy do najskrupulatniejszych historyków piwniczán. Bestsellerem był album *Piwnicy pod Baranami czyli koncert ambitnych samouków* w opracowaniu

graficznym Kazimierza Wiśniaka (Wyd. TENTEN, Warszawa 1994, a potem Wydawnictwo Prószyński i S-ka). W grudniu 1998 roku pojawiła się monografia pt. *Piotr* (Projekt okładki oraz opracowanie graficzne: Tomasz Lec. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988). Książka wzbudza podziw ogromem pracy. 208 stron plus fotografie (czarno-białe i kolorowe). Ocalono od zapomnienia fakty, które są prawie nieznane. Autorka ze skrupulatnością kreśli drzewo genealogiczne Skrzyneckich i Endelmanów. Idzie śladami Piotra Skrzyneckiego; uchyla rąbki z życiorysu. Przy okazji przytacza wyciąg wypowiedzi marzyciela-poety i bliskich osób. Książkę czyta się z nostalgią, jak krajobraz z topolami, na których zawisły harfy (Ps 137). Nierzadko z uśmiechem. Bardzo pouczająca lektura dla tych, którzy zajmują się wychowaniem i nauczaniem. Skrzynecki to nie tylko kabaretowy konferansjer, który ludzi budził. To bezinteresowny mędrzec: (...) *Zawsze miałem zasadę, że lepiej stracić z zabawnymi, niż zyskać z nudnymi...* (...). On nie wywyższał swojego życia. Mówił bez ogródek: *Zjawiłem się na ziemi, żeby popatrzeć na wszystko, co się tu dzieje, i nie zaangażować się.* (...).

Wielki samotnik wyznał: (...) *Przyjaciół mam po to, żeby z nimi rozmawiać o niebolesnych sprawach. O bolesnych rozmawiam wyłącznie z Panem Bogiem. Po co miałbym na swoich przyjaciółtach i znajomych wylewać kubły własnego bólu?... Wśród spraw ostatecznych nie ma ani jednej, w której rozwiązaniu może pomóc człowiek...*

Dobrze, że doczekaliśmy takiej monografii. Dlaczego? Bo często Piotra Skrzyneckiego traktowano jak anegdotę, tj. jak kogoś, kto idzie z lekkim uśmiechem przez życie. (Na dnie śmiechu jest ludzka łza). Nieraz podpierano się stereotypami. A przecież był to bardzo samotny człowiek. Wieczny wędrowiec, który, poza marzeniami, nic nie wziął na drogę życia; nawet kija i worka. A dlaczego nie zabrał? Po prostu, żeby mu w drodze nie ciążyły dwa końce. A przy okazji uczulał, że pośpiech poniża. Że wszystko za czym tak gonimy jest w dzierzawie. A jednocześnie, na skrzydłach wiary, reżyserował, aby ludzie nie byli żądleni pesymizmem: *Przy*

całej swej złudności, znoju i rozwianych marzeniach jest to piękny świat.

Jakie życie, taka pieśń, z baśni albo szarej prozy wyjęta.

Piotr Skrzynecki należał do nielicznej rodziny nieśmiałych artystów.

Czyż to nie paradoks, że to, co jeszcze nie tak dawno wydawało się bardzo ulotne, zostało na lata. Podszewka znowu górą!

Publikacje objaśniają fakty, które próbowano zniekształcić. Szkoda, że wydrukowano je na szarych kartkach. W funeralnych kolorach. Nie rozumiem, jak mogło zabraknąć barw, przecież chyba można było sobie pozwolić na wyciskanie z tubki tęczy. Ufam, że w 2. wydaniu wydawca się poprawi i będzie tak jak powinno być.

Nie będę pisał pointy, bo to byłoby za łatwe. Nie odmówię sobie przepisać słów Piotra Skrzyneckiego, które brzmią jak testament: *Czcić Boga jest bardzo ciężko. A ja modłę się cudowną twórczością tych ludzi i tymi piosenkami. Panie, naprawdę to jest moja modlitwa.*

Ilu artystów mogłoby tak o sobie powiedzieć?

Piotr Cezary Skrzynecki 1930–1997. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26 sierpnia 2004 roku.

Helena i Stanisław Skwierowsky

Zapomnieć o pani Helenie i panu Stanisławie, nie sposób. Obydwoje jeździli wozem do Tarczyna. Na targ. Siedzieli na furze i wyglądali tak, jak ludzie, którzy ruszają do miasta. Znudzeni wsią, podnieceni podróżą. On w czapce z daszkiem, białej koszuli, zapiętej na ostatni guziczek i w kamizelce. Butach do kolana. Palił papierosa w fifce wydłubanej z orzecha włoskiego.

Jego małżonka w chusteczce, zawiązanej na supełek. Świeżej koszuli, fartuszku i kiece aż do kostek. Na wozie ich, na zielono pomalowanym, na boku była przybita gwoździami metalowa tab-

liczka rejestracyjna z wersalikiem: SKWIEROWSKI, PAWŁOWICE.

Pan Stanisław w rękach trzymał lejce i bat, którym czasami podcinał jabłkowitzą klacz. Nigdy nie proponowali mi podwózki, więc nie wiem, jak wyglądała jazda na ich wozie. Wiem z ich min, że musiała być wspaniała i z przygodami, z którymi się nie zdradzali. Jechali furmanką i dopiero grubo po południu wracali z zachodniopółnocnej strony. Zmęczeni. Śnięci. Przed sklepem przystawali. Pani Helena wyskakiwała z furki i pędziła do lady, żeby zakupić kilka piw z tarczyńskiego browaru oraz oranżadę i chleb. Miała spory brzuszek. Jak ją po raz pierwszy zobaczyłem, to myślałem, że jest w ciąży. Moja babcia Zofia Grzondkowska (1899–1979) z panią Heleną się zadawała. Dziadek (Szczepan Grzondkowski, 1892–1970) niewiele miał do powiedzenia do pana Skwierowskiego. Pani Helena, co rusz odwiedzała wiejski sklep, bo miewała słabość do chmielu. Była wielbicielką pianistego napoju o małej zawartości alkoholu, otrzymanego przez fermentację ze słodu jęczmiennego, chmielu, drożdży i wody. Gasiła pragnienie nie byle czym. Trochę o nich wiem, w sam raz na wspomnienie, ale na opowiadanie to za mało, niestety. Pana Stanisława widziałem z podwórka oraz jak orze pole. Przystaje. Pali papierosa. Raz byłem z ojcem w ich obejściu, bo mieli jakiś problem z naprawą wozu z dyszlem. Moi rodzice nie utrzymywali z nimi żadnych sąsiedzkich kontaktów. Kłanialiśmy się. I tyle. Za to moja babcia nieraz nachodziła ich dom. Moja babcia Zofia lubiła chodzić *po kominkach*. Dziś byśmy powiedzieli, że była jak chodzący news. Mogę napisać, że pełniła rolę reporterki lokalnej, choć nigdy babci nie widziałem w ręku z gazetą, miała modlitewnik, do którego zaglądała, aby sobie przypomnieć różne słowa. Na wszelki wypadek modliła się. Adorowała święte obrazy, bo – jak większość ludzi na wsi – nużyły ją książki i książeczki; tylko niektórzy u nas przy gazetach nie odpadali. Zakładała okulary, podobnie jak podczas cerowania, czy przyszywania guzika. O tym, gdzie bywała, tylko dziadkowi zwykła opowiadać. Taka to była tajemnicza. Nie sypnęła, kto

był informatorem. To tak na marginesie o babci, która należała do rodziny gadaczy.

Od matki wiem, że pani Helena nieraz przychodziła do sklepu w bardzo dobrym humorze. Kilka razy, gdy mnie minęła, poczułem dziwną woń. Nie powiem, żeby wzbudził mój zachwyt, ale dzięki temu wiem, jaką miała nutę zapachową. Oczywiście, że jej wiek nie pozwalał, żeby ze mną porozmawiała. Z takim dzieciakiem. Bo i o czym? Nie mam o to żadnej pretensji. Taki zadufany to nie jestem. Pamiętam jej wesołość, na leciutkiej bańce. Szła ze sklepu z buteleczkami piwa, które się obijały. Jej mała postać wspaniale się komponowała z drogą, czyli kocimi łbami, oraz poboczem. Zdążyła do domu, co był na rzut beretem.

Gdyby kiedyś w Tarczynie wytwarzano piwo i szukano nazwy do tego trunku, proponuję *Helena*. Na pamiątkę pani Heleny Skwierowskiej, obywatelki Pawłowic. A dla tych, co lubią się nikotynizować, powinny być papierosy marki *Stanisław*, z ostrzeżeniem na paczce, że pan Skwierowski palił od dziecka i dożył sędziwego wieku. Pan Skwierowski, popularnie zwany „Skwierek”, który żył 92 lat, mawiał: *Palę papierosy od 16 roku życia. Panie, kiedyś to były papierosy, nie to, co teraz...*

Powinno się docenić wkład pani Heleny w kulturę picia oraz jej męża, który tyle lat się nikotynizował. Piwo na pewno by było okrasą okolic *Kwitnącej Jabłoni*. Przypomnę, że polskie przysłowie poucza: *Gdzie się piwo warzy, tam się dobrze darzy*.

Aha!

Do każdej zgrzewki mogliby dorzucać paczkę szlągów jako bonus. Nie dlatego, że tak wypada. Po prostu, piwo lubi dym, co w oczy szczypie, jak prawda.

Czesław Ślania

(22 X 1921, Czeladź – 17 III 2005, Kraków)

Był cenionym projektantem znaczków pocztowych i banknotów; grawer. Co ja piszę? To był sztukmistrz. Mawiano o nim – *cza-*

rodziej rylca. W swoim życiu zaprojektował ponad 1000 znaczków dla 43 krajów. W czasie okupacji niemieckiej wstąpił do partyzantki i podrabiał kenkarty i różne dokumenty. Po wojnie studiował na Wydziale Grafiki ASP i wykonywał w prosektorium rysunki dla potrzeb siedmiotomowej *Anatomii człowieka*. W Drukarni Narodowej zgłębiał tajemnice sztuki miedziorytniczej i grawerskiej.

W 1956 roku opuścił Polskę, żeby w Szwecji podreperować zdrowie (chorował na gruźlicę). Szwedzi poznali się na Czesławie Słani. Otrzymał mieszkanie, obywatelstwo i pracę. Został królewskim grawerem. Na pytanie, jakie ma marzenie, niezmiennie odpowiadał – *być na wiejskim weselu*. Nie doczekał, żeby uczestniczyć w przyjęciu i zabawie z okazji ślubu. Wśród tych, gdzie pospolitość skrzeczy. Wiedzieli o tym i nikt się nie zajął tym, żeby zaprosić Czesława Słanię, który w znaczkach przemycał żarciki (modele i tzw. tajnopisy). Można je zobaczyć li tylko pod grubym szkłem powiększającym. To był mistrz małego formatu. Taki ścichapek.

Sztukmistrz, Kierat. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2016, nr 49.

Jan Zbigniew Słojewski (12 I 1934 – 9 VIII 2017)

Absolwent filologii polskiej UW. Niepraktykujący nauczyciel. Małe formy literacko-dziennikarskie sygnował ksywkami (Hadrian we „Współczesności”, Hamilton w warszawskiej „Kulturze” prowadził „Perswazje”, Karakalla w „Tu i Teraz”, HAM w „Polityce”, gdzie redagował „Perswazje i wycinki”). Pisał artykuły i eseje (*Szczurowisko* o Julianie Ursynie Niemcewiczu i *Dreszczowisko* o Adamie Mickiewiczu).

To był pisarz ostatniej strony. Wcielał się w różne pseudonimy. Kreował się na dziadygę. Kiedy inni odejmowali sobie lat, on dodawał, z nawiązką. Felieton pisał kawałkami (częstkami) i stawiał cyfrę arabską, żeby był porządek. To, co napisał, ukazywało się w książkach, wbrew temu, co skreślił: (...) *felieton pamięta się tydzień, najwyżej dwa tygodnie*. (...) (*Krajobraz księżycowy*). Wydał: *Maleńka złota szubieniczka. Felietony z lat 1973–1967*, PIW, 1969, *Puste miejsce*.

Felietony z lat 1967–1971, PIW, 1973, Drzwi na lewo, drzwi na prawo. Felietony z lat 1972–1975, PIW, 1979, Pod znakiem Lwa i Armaty. Felietony z lat 1975–1980, Czytelnik, 1984, Kiedy twarda waluta zmięknie? Felietony, Wyd. „Iskry”, 1988. To był niesamowicie odczytany gość. Lekki cynik i niespokojny stoik. Skory do żartów i ironii. Praktykujący perypatetyk, chodził tak, jakby układał w głowie to, co potem dyktował sekretarce. Kilka razy się spotkaliśmy w redakcji „Kultury”, na ulicy i w bibliotece.

Podczas cotygodniowych spotkań redakcyjnych nieraz wszedł za skórę Januszowi Wilhelmiemu (1927–1978). Redaktor naczelny „Kultury” czasem boczył się na niego: *Panie Hamilton, niech pan się uspokoi, bo nie mogę prowadzić zebrania.* Jan Zbigniew Słojewski odpowiadał: *Panie Wilhelmi, czy do Sienkiewicza byś się pan zwracał Panie Wołodyjowski?*

To, co skrobał, mieściło się na górnej półce, gdzie felietony Boya i Prusa. Warszawa nie miała takiego felietonisty. Jan Zbigniew Słojewski był jak gatunek literacko-dziennikarski.

W felietonie pt. *Mój pogrzeb* z 24 maja 1964 roku napisał przesłanie do potomnych: (...) *przystąpić do wydania dzieł wszystkich (podkreślam: wszystkich) w kolejności następującej: tom I – felietony, polemiki i docinki, tom II – humoreski, tom III – rozprawy i recenzje, tom IV – artykuły programowe i wstępne (zawsze przywiązywałem najmniejszą wagę do szyldów; jestem zawsze obecny na ostatniej stronie pisma, na pierwszej stronie też bywam, ale tylko w pięćdziesięciu procentach).* (...).

Żaden z tych postulatów nie został spełniony, niestety.

Jan Zbigniew Słojewski (12 I 1934 – 9 VIII 2017), „Tygodnik Olecki” 2017, nr 33.

Bolesław Smętek

Pułkownik Wojska Polskiego mgr Bolesław Smętek. W czasach PRL-u każdy polski student/studentka mieli obowiązek uczęszczania na zajęcia z przysposobienia obronnego. Płci brzydkiej nie za bardzo uśmiechało się wejść w wojskowe glany. Dziewczeta chętnie

żegnały się z bronią. Może o jakimś strzelcu w parowach śniły. Kto tam wie, co bije w sercach studentek. Niedoszli magistranci Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie *migali się* jak tylko mogli z soldateski. Często odsyłano ich na specjalistyczne badania lekarskie. Od okulisty przynosili recepty, że są daltonistami.

Za to że studentami warszawskiej Akademii Medycznej wojskowi mieli twardy orzech do zgryzienia. Medycy wywodzili wojskowych w pole. Zdarzyło się, że nieraz dostarczali druczek L4 z adnotacją, że mają przewlekłe zapalenie ucha środkowego. Takich zwolnień nie chciano honorować. Dlaczego? Ponieważ najwyższa kadra wojskowa była święcie przekonana, że człowiek ma tylko ucho lewe i prawe.

Oczywiście, że pamiętam pana pułkownika z czasów, gdy studiowałem w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej. Lata 1976–1980. Miał nazwisko, które pasowało jak ulał do tego, co było wypisane na jego twarzy. Czyli smutek. Łatwo się wzruszał. Kiedy Wojskowa Komisja Uzupełnień przyznała mi kategorię D (niezdolny do służby wojskowej), zdecydował, że to wcale nie oznacza zwolnienia z zajęć w Studium Wojskowym. I dobrze, bo bym nie poznał pana pułkownika mgr. Bolesława Smętka, który był kierownikiem Studium Wojskowego. To był taki niepozorny żołnierz. Bardzo skrupulatny i konkretny. Czyli na rozkaz. Słowem – baczność!!!

W zakłopotanie wprawił moje delikatne koleżanki, przyszłe nauczycielki i wychowawczynie, kiedy na zajęciach wyświetlał film o wojnie w Wietnamie. Pokazano, kawa na ławę, jak Amerykanie napalmem ścinają Wietnamczyków. Strzelanina. Rzeź. Krzyk. I nagle studentki zauważają, że pan pułkownik płacze. Łzy lecą zawodowemu polskiemu żołnierzowi po policzkach. Jak grochy. Spadają na jego mundur. Kończy się film. W sali zapalono światło, a pułkownik płacze i – co za gapa – nawet nie sięga po chusteczkę do kieszeni. Co myślały moje kompani? Nie wiem. Gruba przesada jest w powiedzeniu, że mężczyźni nie płaczą. W pułkowniku nagle obu-

dziło się dziecko. Oczywiście, że o tym zalewaniu się łzami, poszła fama przez naszą uczelnię przy ul. Szczęśliwickiej 40. Łzy w oczach polskiego oficera były dla mnie kolejnym dowodem na to, że świat ma brudne ręce. Tylko łzy są czyste, nie pachną, błyszczą.

**Prof. dr hab. med. Bogolub Sotirow
(1927 – 5 XII 2010)**

O nim pisałem wierszem i prozą (*Piotruś*, „Pasma. Pismo Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Kulturalnego” 1990, nr 5, „Nowa Wieś. Magazyn Domowy” 1998, nr 2). Po raz 1. go zobaczyłem w 1962 roku w Zakładzie Leczniczo-Wychowawczym w Zagórz koło Warszawy, powiat otwocki. Pamiętam jak pojawił się na oddziale z dyrektorem dr. Andrzejem Seyfriedem. Oto fragment: (...) Chirurdzy dają się lubić. Nigdy nie interweniują w nasze sprawy. Są od nas odgrodzeni ścianą, siostrami, salowymi, noszowymi i wychowawcami-nauczycielkami. Dopiero, kiedy wychodzą z Głównego Gabinetu, na korytarzu spotykają się z nami. Dosłownie na chwilę wchodzą w świat zabaw. Wpadają w zgiełk, krzyk i niekontrolowaną radość. Niechący szturchamy chirurgów. A oni nic sobie z tego nie robią. Omijają nas. Szeleszczą nakrochmalonymi Białymi fartuchami. Są bardzo skupieni. Rzadko się uśmiechają przed operacjami. Dlaczego? Zadają w kółko to samo pytanie: *Jak się czujecie?* Odpowiadamy, że dobrze. Patrzymy na nich i robimy Duże Oczy! Uciszymy się.

Pan dyrektor zawsze idzie pierwszy. Lekko utyka na nogę. Matka mówiła, że był kiedyś chory na to co ja, ale... wyleczył się. Daje mi go za przykład. Pan dyrektor wybacz nam psoty i głupie figle. Udaje, że tego nie widzi.

Wyjście z Głównego Gabinetu chirurgów oznacza, że zbliża się czas operacji. Tylko patrzeć, jak nad schodami zapłonie czerwone światelko: CISZA.

Wszyscy jak jeden boimy się operacji. Drżymy, gdy na oddziale pojawi się słodki zapach eteru i gorzki jodyny.

Po operacjach przychodzi pan dyrektor. Wolniutko idzie korytarzem. Jest tak bezbronny, jak człowiek zmęczony. Boimy się i straszliwie go kochamy. To jest niesamowite uczucie, bać się i kochać. Rodzice są wielbicielami głównego chirurga. Ledwo, co wejdzie do gabinetu niemiecki lekarz, a już wychodzi bułgarski lekarz Bogolub, który od niedawna pracuje w sanatorium. Jest specjalistą od ciężkich operacji. Ma czarne włosy na głowie, piersiach i dłoniach. Uśmiecha się tak, jakby zęby wynurzył z jabłka. Pysnie patrzeć na doktora Bogoluba. Ma w sobie nadmiar życia, siły, męstwa i szlachetnego zdrowia (...).

Piotruś, który urodził się bez kończyn górnych, dokuczał panu doktorowi, który nieraz wyjmował dla niego z kieszeni fartucha tabliczkę czekolady, aby niesfornego małego pacjenta okiełznać.

W debiutanckim tomiku wierszy *Mieliśmy Białe ściany* (Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1977) zamieściłem wiersz pt. *W tych snach powrócił Piotruś*: Piotruś na lekarza wykrzykiwał / miał kikuty / Lekarz kupował Piotrusiowi słodycze / My się dziwiliśmy że ma słodko / a On wieczorem płakał / choć bajka na dobranoc była / naprawdę wesoła

Wyjechałem z Zagórza i tylko raz dr Bogolub mnie przyjął w Klinice Ortopedycznej przy ul. Lindleya 4/6. Było to 22 kwietnia 1966 roku. W zbiorach mam karteczkę, na której wypisał ocenę mojego stanu zdrowia. Widać, że radzi sobie całkiem dobrze z pisanie, choć w Zagórzu język polski sprawiał mu wiele kłopotów. No cóż! Nie wymagajmy od ortopedów, żeby *operowali piórem jak chirurg skalpelem* (Leopold Buczkowski, *Proza żywa*, Wydawnictwo Pomorze, Bydgoszcz 1986).

Mijały lata i dowiedziałem się, że specjalizuje się w stopie. W śląskim tygodniku „Panorama” czytałem z nim wywiad o płaskostopiu, opublikowano jego zdjęcie. Wiem, że był dyrektorem szpitala i wieloletnim Kierownikiem Oddziału Ortopedii Dziecięcej Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego w Otwocku, a także przyjmował pacjentów w Przychodni Profesorskiej przy ul.

Ordynackiej. Był twórcą wielu innowacyjnych metod leczenia operacyjnego w ortopedii dziecięcej. Nieraz prof. dr hab. n. med. dr h.c. Andrzej Seyfied mówił, że da mi skierowanie do prof. Sotirowa *i on ci ustawi stopę*. Na temat kończyny dolnej miał przeogromną wiedzę. Był znakomitym chirurgiem – tak mówili pacjenci. To, że w Polsce zaczęto lepiej chodzić, zawdzięczać można profesorowi Bogolubowi. To był cichy, skromny i nieśmiały człowiek. Wyróżniał się pogodą ducha. Miał w sobie siłę i delikatność. Pamiętam jego silne dłonie. Witalnością bardzo mi zaimponował w dzieciństwie. Żdźbko o nim wiem, niestety.

Zmarł 5 grudnia 2010 roku, w wieku 83 lat.

Pani dr Bogumiła Piedos-Sotirow, żona, i córka Natalia wraz z rodziną napisały w nekrologu: *wspaniały Człowiek i lekarz. Bułgar urodzony w Jugosławii, który swoje dorosłe życie związał z Polską* (Nekrologi, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 7 i 8 grudnia 2010 roku).

Prof. dr hab. med. Bogolub Sotirow – słoneczny ortopeda. Wielkiej klasy chirurg. Dzięki niemu tysiące ludzi pewniej idzie przez życie. Innymi słowy, pełną stopą.

Prof. dr hab. med. Bogolub Sotirow. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 16 marca 2011 roku.

W opowiadaniu piszę *niemiecki lekarz*, co nie jest prawdą, a literackim zapisem. Kiedy zapytałem pana profesora: od jakiego antenata wywodzi swoje nazwisko?, odpowiedział: *Moje nazwisko pochodzi od austriackiego antenata. Urodziłem się we Lwowie, tak jak moja cała rodzina. Mój ród wziął się z Węgier, bo tam byli też Austriacy oficerowie przed I wojną światową. Mój pradziad wraz z rodziną przeniósł się do Lwowa. Mój ojciec urodził się we Lwowie. Był oficerem austriackim do 1918 roku, a później po I wojnie światowej, naturalnie, pozostał jako Polak. Cała moja rodzina wywodzi się z dawnej Austro-Węgier* (Pamięć i zapomnienie. Z prof. dr hab. med. Andrzejem Seyfriedem rozmawiał Czesław Mirosław Szczepaniak,

Warszawa-Ursynów–Warszawa Śródmieście Południowe 2008, nakładem własnym).

PS

Szanowny Panie!

Przesyłam Panu – zgodnie z umową – epitafium napisane przez nas razem z córką, umieszczone w czerwcowej „Gazecie Lekarskiej”, dotyczące mojego zmarłego Męża.

Przyznam Panu szczerze, że był Pan dla nas, w dużej mierze, inspiracją do napisania tego epitafium i pomógł nam Pan w podjęciu decyzji o napisaniu jego.

Serdecznie Panu dziękujemy za to oraz za wiele ciepłych i życzliwych słów skierowanych do Osoby mojego Męża.

Pozdrawiamy Pana bardzo, bardzo serdecznie i jeszcze raz dziękujemy

Bogumiła Piedos-Sotirow z córką Nadią

W-wa, 14.06.2011 r.

Do listu dołączono ksero z „Gazety Lekarskiej. Pismo Izby Lekarskich” 2011, nr 6: *Epitafium. Bogolub Sotirow (1927–2010)* – Z wielkim bólem i smutkiem zawiadamiamy, że 5 grudnia 2010 r. zmarł nasz Ukochany Mąż i Ojciec Bogolub Sotirow. Lekarz ortopeda, profesor habilitowany medycyny. Przeżył 83 lata.

W „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 11–12 stycznia 2020 roku ukazał się nekrolog, że w dniu 6 stycznia br. zmarła w wieku 78 lat Bogumiła Piedos-Sotirow, lekarz okulista, *córcę Nadii składamy wyrazy szczerego współczucia oraz słowa uznania za pełne poświęcenia pielęgnowanie Matki w ostatnich latach*, podpisano: koleżanki z Liceum im. Stefanii Sempołowskiej w Warszawie.

Dr Szymon Starkiewicz (22 VIII 1877 – 1 I 1962)

W sanatorium na „Górcę”, bodajże na frontonie tego budynku, wisiała tablica o fundatorze obiektu szpitalnego dr. Szymonie Star-

kiewicz (1877–1962). Szara, marmurowa tablica. Kiedyś nas pod nią doprowadziła jego żona, pani Wanda, starsza, zręczliwa kobieta. Piszę zręczliwa, bo mnie ciągle nagabywała, żebym się zapisał do harcerstwa i zawracała mi głowę „Nieprzetartym Szlakiem”. A mnie szlag trafiał, gdy stanęła na mojej drodze. Od młodych lat miałem awersję, żeby się zapisać do jakiejś grupy. Pamiętam, że przyszła do mnie z pewnym małżeństwem wychowawców-harczerzy i długo przy łóżku persadowała, jakim to ja jestem niepoprawnym chłopcem. Wypowiadała wielkie słowa: honor, ojczyzna, Polska, chusta, lilijka, strój harcerski, socjalizm i inne. Traktowała mnie jak zakuty łeb. Słuchałem i milczałem, bo nigdy nie byłem tęgim gadułą. Dzisiaj to bym jej strzelił taką ripostą, że pewnie poczułaby się jak żona Lota. Dziś to ja mam 65+ lat, a wtedy miałem 14 lat. To, co zrobiła pani Wanda Starkiewicz, spowodowało, że spojrzałem na założyciela „Górki” przez nią. Ona zrobiła mężowi, panu dr. Starkiewiczowi, tzw. niedźwiedzią przysługę.

W 1973 roku kupiłem książkę Danuty Bieńkowskiej *Ludzie z Górki* (Książka i Wiedza, Warszawa 1973, ss. 236). Była to beletrystyczna opowieść o budowniczych „Górki”. I tam dopiero przeczytałem o szlachetnym dr. Szymonie Starkiewicz, który kupił Żwirową Górkę, z sadem, warzywnikiem; pobudowano cegielnię i tartak. Doktor z heroizmem wznosił obiekt dla chorych i przewlekle chorych dzieci. Było to latem 1918 roku. Żwirowa Góra, wzniesienie nad Buskiem, należała do chłopów ze wsi Zbludowice. Bogate wzgórze w żwir, piasek, glinę. Kiedy uporano się z logistyką, przystąpiono do roboty. Zalano fundamenty i cegła poszła w górę. Zaczęła się kwesta. Szkic budynku opracował inż. Rakiewicz, budowniczy szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, zaś plan wykonał inżynier architekt W. Nowakowski z Krakowa. Dr Szymon Starkiewicz zajął się kwestą. Wydeptywał magistraty, sejmiki, Kasy Chorych i inne instytucje. Był to socjalista. Dzisiaj chwalić takich ludzi to jest niepoprawność polityczna i zły ton. Oczywiście, że jest to wielkie uproszczenie. Ja nie należę do tego stada gęsi! Dr Szymon

Starkiewicz to był pasjonat. Potem doszłusowali do niego inni: Eustachy Kuroczko (pedagog, nauczyciel), Helena Żółcińska (pielęgniarka). W książce Danuty Bieńkowskiej (1920–1992) znaleźć można *passus*: (...) *W tym bowiem okresie doktor Starkiewicz przeżywał konflikt między nowym uczuciem a obowiązkiem wobec żony, z którą miał dwóch dorastających synów, konflikt komentowany oczywiście przez całe otoczenie, Kisielewski w rozmowach z Heleną dowodził, że doktor ma prawo opuścić żonę, Helena uparcie broniła nierozzerwalność małżeństwa.*

Po paru tygodniach zmieniła jednak zdanie. Zakochała się bez pamięci w młodszym od niej powieściopisarzu, zapagnęła go rozwieść i wyjść za niego za mąż. On także był pod urokiem tej dzielnej, niezwykłej kobiety. Pojechał więc do Warszawy, żeby rozmówić się z żoną, i obiecał Helenie, że wróci na jej imieniny z konkretną odpowiedzią. Ale na widok żony mocno się zawahał. Helena pisała listy, chciała sama przyjechać do Warszawy. Zygmunt błagał o cierpliwość.

Tak się złożyło, że Departament Kultury i Sztuki przyznał Kisielewskiemu stypendium na leczenie w szwajcarskim sanatorium w Leyzin. Na wieść o tym Helena zażądała stanowczej odpowiedzi twierdząc, że nie może dłużej czekać w niepewności. Zygmunt napisał do niej list pożegnalny. Ona jeszcze nie dawała za wygraną, zamierzała pojechać za nim do Szwajcarii, odwiedziła jego żonę, żeby zdobyć adres, pisała do niego listy. Wreszcie postawiła krzyżyk na całej sprawie i zajęła się robotą.

Oto jak się skończyła i zagasła ta miłość. Pielęgniarki do chorego pisarza-pacjenta.

Dodam, że Zygmunt Kisielewski (1882–1942) pisał o dr. Szymonie Starkiewicz. W powieści *Doktor Paweł* opisał Górkę i doktora Starkiewicza: *Budynek w kształcie olbrzymiego W, wyciągnięty już pod dach, czerwoną, nie otynkowaną fasadą zwracał się ku południowi, a na skrzydłach wystawionych na słońce lśnił białymi łukami werand, zbudowanych na podobieństwo loggii. Był tak rozległy i masywny (...). Z entuzjazmem pisze o doktorze, który uważał, że nie*

święci garnki lepią. Doktor był jak „rtęć”. Żywe srebro, choć takie słowa są zarezerwowane dla dzieci.

Po wojnie dr. Szymona Starkiewicza potraktowano tak, że wstyd o tym pisać. Pozbyto się jego w mało uprzejmy sposób. O tym nie wiedziałem, jak byłem na „Górcę”. Ale taki jest los wielkich zapaleńców i pasjonatów. To też daje dużo do myślenia, żeby za bardzo się nie ujawniać z tym zapalem. W Polsce pamięć jest taka krótka. Szybko się zapomina, odrzuca. W tym, co od lat robię, zachowuję się jak nie-Polak, jak dziwny goj. U Żydów wzbudzam podziw. Wśród swoich czuję się jak obcy. Tego, co robię, nikt sobie nie ceni. Obrywam nieraz takie *komplementy*, że nie powinienem się tym zajmować, ale... ja wiem, że będzie kiedyś *późny wnuk* i *późna wnuczka* i to się im przyda. Musi się to przydać, bo bezinteresowne pasje w popiół się nie zamieniają. Są owoce pracy, z którymi można się dzielić przez lata. Polska nie jest aż tak silnym krajem intelektualnym, żeby sobie pozwalala tak dysponować zasobami kultury, jak to robi od wieków. Tu nie rodzą się na kamieniu wielkie idee. Za dużo tego światła się trzyma pod korcem. Ciemny blask dobrze się mieści tylko w kolędzie. Światłość – jak zapewne każdy wie – jest pierwszym dobrem; sądem wartościującym. Nie będę wdawał się w rozważania aksjologiczne, co mam na myśli. Błyskotliwy człowiek to wyłapie i przemysli.

O „Górcę” nie napisano monografii. Są fragmenty i nic poza tym. Oto czym jest pamięć i liczenie na słowo mówione. Nie mam w sobie zacięcia historyka, archiwisty, nie prowadziłem kwerend, więc na mnie „Górka” nie może liczyć. Literacko ją podchodzę. Jak poeta, który pamięta.

A przecież pobudowano piękny obiekt, z kolorowymi salami – wymuskany ze wszystkich stron promieniami, zatopiony w zieleni i ciszy. Z oknami wychodzącymi na sad (od strony południowej) i na las mieszany (od północy). Busko z wodami siarczanymi (o zapachu zepsutych jajek). Busko z „Górką”, gdzie była taka wielka weranda i duża sala rekreacyjna. I tyle okien, w których nieraz staliśmy

i patrzeliśmy na drogę, czy czasami ktoś znajomy nie idzie. W tych oknach staliśmy, żeby pomachać tym, co „Górkę” opuszczają.

Busko to była taka przystań dla lewicujących ludzi, którzy przeżywali to, co pisze Stefan Żeromski (*Przedwiośnie, Ludzie bezdomni*). To byli socjaliści, ludzie wrażliwi na los skrzywdzonych i poniżonych. Dzisiaj robi się wszystko, żeby o nich zapomnieć, bo słowo socjalizm wzbudza tyle kontrowersyjnych uczuć. Oczywiście, że młokosy nie mają pojęcia o tych czasach. Żaden z nich nie zna pism tych, o których piszę. Przecież wszyscy rewolucjoniści to byli ludzie o rękach bez odcisków. Wychowankowie szkół katolickich. Oczywiście, że to wypaczono, bo wszystko można skrzywić zamiast wyprostować. Wielu z nich okazało się bandziorami jak Józef Stalin (1878–1953) i inni fałszerze. Niektórzy łgali i kupczyli obietnicami. Jedni ten raj budowali na ziemi, a drudzy w chmurach. Przypominali ludzi, którzy próbują zrobić dziurę w wodzie. Jestem nieufny do tych, co tak chcą uszczęśliwiać ludzkość. Zauważmy, że nikomu się nie udało zlikwidować wielkiego marginesu biedy, przeogromnego bólu, cierpienia. Nie ma encykliki papieskiej potępiającej wojnę. Człowiek może być ssakiem, który może żyć bez religii, filozofii, sztuki i poezji. Zajrzyjmy do słownika i sprawdźmy, ile napisano o prawdzie, a ile o kłamstwie. Człowiek to nie jest aż taki piękny ssak. Historia ludzkości nie napawa dumą. Wręcz przeciwnie – wstydem. Człowiekowi tak niewiele potrzeba do życia: dach nad głową – praca – rodzina – czas wolny od roboty. Przed nami jeszcze dużo trudu, żeby wydobyć z człowieka to, co ludzkie i przyzwoite. Piszę tak, bo jestem pedagogiem specjalnym, ale niepraktykującym.

Prof. dr hab. Irena Stasiewicz-Jasiukowa
(11 II 1931 – 21 III 2011)

21 marca 2011 roku zmarła historyk nauki i kultury, była przewodniczącą Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego; pasjonatka i znawczyni pisanek. Mi-

łośniczka kapeluszy z wielkim rondem. Wysmakowana gawędziarka – z *nadysznaną polszczyzną* (Adam Mickiewicz).

Była autorką wielu naukowych artykułów i książek. Głównie zajmowała się nauką, kulturą i sztuką XVIII wieku. Pod jej redakcją ukazało się monumentalne dzieło pn. *Wkład Pijarów do nauki i kultury w Polsce XVII–XIX w.* (Warszawa–Kraków 1993). Jest autorką tomiszcza pt. *Polska Encyklopedia Uniwersalna XVIII w.* oraz *Boże Narodzenie na Kresach w dwudziestoleciu międzywojennym*, Warszawa 2001, *Pisanki sercu miłe. O ich twórcach, tajemnicach barwienia i o technikach zdobnictwa*, Wydawnictwo Retro-Art., Warszawa 2003.

To była uczona i pracowita osoba.

Prawie wszyscy wypromowani przez prof. Irenę Stasiewicz-Jasiukową doktoranci, *zarazili się* jej pasją zbierania pisanek. Dodam, że gdziekolwiek bywali na świecie, to starali się poszerzyć zbiory Drogiej Promotor. Pisanka była niespodzianką i dowodem ich bezinteresownej pamięci.

Zapytana o credo życia, odpowiedziała: *Póki człowiek ma żywe zainteresowania i pracę, którą wykonuje z zamiłowaniem, jest zawsze młody. O młodości człowieka decyduje pasja życia.*

Jego mąż, inż. Jerzy Jasiuk (4 IV 1932 – 25 XII 2016), był dyrektorem Muzeum Techniki w Warszawie. Zajmował się upowszechnianiem historii techniki w środkach społecznego przekazu. W Towarzystwie Kultury Technicznej pełnił funkcję prezesa. Autor wielu publikacji prasowych. Łączył zainteresowania politechniczne z humanistycznymi. Jego credo: *Nie szkodzić nikomu ani niczemu i nie być bezużytecznym.*

Profesor Irena Stasiewicz-Jasiukowa z mężem byli właścicielami największej kolekcji pisanek w Polsce. To za sprawą pisanki zaczęła się ich życiowa przygoda. Dotychczas uzbierali ponad 700 sztuk. Nie ukrywali tego, że dzięki nim ich życie nabrało kolorów. Dzięki pisankom poznali wielu twórców i dziennikarzy, którzy lubili przed Wielkanocą zapukać do drzwi kolekcjonerów.

O pisankach, kraszankach, naklejankach, owijkach, nakrapiankach wiedziała prawie wszystko. Potrafiła o tym rozmawiać tak zajmująco.

Dzięki pasji tych szlachetnych ludzi, powstało pierwsze w Polsce Muzeum Pisanki w Ciechanowcu (w ramach Muzeum Rolnictwa im. Ks. Krzysztofa Kluka). W swoich zbiorach mam kilka listów od profesor Ireny Stasiewicz-Jasiukowej. Są okrasą w mojej korespondencji. Wysmakowane pod każdym względem i takie życzyliwe.

Pani profesor z mężem nieraz wzywała mnie, *aby porozmawiać o pisankach i ich twórcach – nie mniej interesujących niż ich dzieła. Zapraszamy na herbatę malinową lub czekoladę z bitą śmietaną w kawiarni u Bliklego lub kawiarni „Nowy Świat”.*

Ileż ja mam od niej tych *pisankowych* pozdrowień!

Kiedy dowiedziałem się o śmierci uczonej z „Gazety Wyborczej Stołecznej” z 25 marca 2011 roku, to przypomniał mi się wiersz (inc. *Do nieba idę! ...*, tł. Kazimiera Iłakowiczówna) Emily Dickinson (1830–1886): *Całe szczęście, że nie dowierzam, bo oddech by wnet w piersi mi stanął, / a rada bym, rada szczerze / jeszcze tę ziemię dobrze pooglądać nieznana... / Szczęściem – oni na pewno wierzyli, / ci, których nie mogę odnaleźć / od tej wzniosłej jesiennej chwili, / kiedy się pod darną przede mną schowali.*

Prof. dr hab. Irena Stasiewicz-Jasiukowa. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 31 marca 2011 roku.

* * *

Wszystko zaczęło się przypadkowo. 42 lata temu pan Jerzy Jasiuk zakochał się w pani Irenie Stasiewicz. Zamiast przynieść tradycyjną różę, ofiarował wybrance serca pisanek. Była to drapanka. W kwiatuszki i kolorowe szlaczki. Optymistyczna jak wiara, nadzieja i miłość. Pani Irenie tak się spodobało kolorowe jajko, że zaczęła zbierać pisanki. Była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Pani profesor tak to wspominała: *Ta skromna opolska kraszanka liczy dziś – w 2011 roku – 42 lata i jest niewątpliwie najbliższa mojemu sercu. Otrzymałam ją w 1969 roku od mojego ówczesnego Narzeczonego, niebawem mego Męża – Jerzego Jasiuka (...) Właśnie tuż przed Wielkanocą otrzymałam od narzeczonego zamiast bukietu pachnących fiołków opolską pisanekę z wiosennymi kwiatuśkami na czarnym tle – wtedy stosowano wyłącznie roślinne farby naturalne. Dokupiłam kraszankę w ceglastym kolorze – ozdobioną również kwiatkami techniką rytowniczą, czyli po prostu drapaną. Na kryształowym spodeczku leżały już dwie „kraszonki” – do pary. Zgodnie z przepowiednią skojarzenia małżeństwa. I tak się zaczęło. Przepowiednia spełniła się, a ponadto z biegiem lat powstała największa w Polsce prywatna kolekcja, licząca po 35 latach ponad 1200 miniaturowych dzieł sztuki pisanekarskiej. W 2004 roku ofiarowaliśmy wspólnie z Mężem tę swoją kolekcję jako dar dla Muzeum Rolnictwa im. Ks. Kluka w Ciechanowcu. Oto Geneza największego w Polsce, a może i w Europie, profesjonalnego Muzeum Pisanki (...) [Pisanaka zamiast fiołków (w:) Irena Stasiewicz-Jasiukowa, Cymelia czyli pisanki szczególnie cenne w zbiorach Muzeum Pisanki w Ciechanowcu, Seria Pisanki, Nr 7, Opracowanie graficzne, fotografie: Wojciech Bogucki, Wydało Muzeum Rolnictwa im. ks. Krzysztofa Kluka, Ciechanowiec 2011].*

Po ślubie wspólnie podjęli decyzję, że na marginesie pracy zawodowej będą kolekcjonować pisanki, kraszanki, naklejanki. Żyli sobie pisankowo. Pani profesor w *Autobiografii pisankami* znaczonej skreśliła: *Urodziłam się przed drugą wojną światową na wileńszczyźnie, w województwie nowogródzkim. Dodam, że moim rodzinnym miastem jest Lida. Co zdołałam zapamiętać z tamtych, dziecinnych lat i co utrwaliło się szczególnie silnie w mojej świadomości? Oczywiście rzeka Niemen, nad którą z Rodzicami i moim Bratem jeździłam dorózką w dni świąteczne przez miejscowość Minojty. Nazwa ta zapisała się w mojej dziecinnej pamięci, gdyż zatrzymywaliśmy się tam, ażeby kupić skrzynię z butelkami lemoniady i „synalki”, która była ponoć bar-*

dziej szlachetna i nie farbowana odmiana lemoniady, w butelkach zamykanych automatycznie. Te duże ilości wody gasiły nasze pragnienie na plaży, która znajdowała się przy sosnowym lesie nad Niemnem, skąd było widać na przeciwnym brzegu znaną hutę szkła Niemen, której właściciel Stolle był pacjentem mojego Ojca – lekarza powiatowego w Lidzie.

*Zachowały się również w mojej pamięci brzoźowe gaje i zamki: ruiny zamku Giedymina w Lidzie – miejsce naszych dziecinnych, tajemniczych „wypraw” i zabaw oraz owiane legendą ruiny zamku w Nowogródku; (...) Postanowiłam, ażeby chociaż te fragmenty moich wspomnień zostały utrwalone na pisankach. (...) w moim pisankowym świecie KRESOWA PRZESZŁOŚĆ zlewa się z TERAŹNIEJSZOŚCIĄ. Dodam, że umiłowanym KRESÓW зараziłam mego Męża – rodowitego warszawianina, który towarzyszy mi wiernie nie tylko w wakacyjnych wędrowniach pisankowych, lecz także we wszystkich odwiedzinach kresowych. Bez współudziału Męża – Jerzego Jasiuka, muzealnika, wieloletniego dyrektora Muzeum Techniki w Warszawie – nie powstałaby chyba we mnie i nie utrzymała tak długotrwała pasja kolekcjonowania pisanek, jaka wtopiła się w moje, a właściwie w nasze wspólne życie (Irena Stasiewicz-Jasiukowa, *Pisanki sercu miłe. O ich twórcach, tajemnicach barwienia i o technikach zdobnictwa*, Wydawnictwo Retro-Art., Warszawa 2003).*

Wśród zebranych pisanek znaleźć można tzw. pisanki uczone, m.in. Stanisław Konarski (1700–1773), Onufry Kopczyński (1735–1817), ks. Jan Krzysztof Kluk (1739–1796), pijar Daniel Kazimierz Narbutt (1738–1807), biskup poeta Ignacy Krasicki (1735–1801), prof. zw. dr hab. Wiktor Dega (1896–1995).

W liście z dnia 7 maja 2003 roku pani profesor pisała m.in.: (...) *Jak Panu już wiadomo, gdy wydaję napisaną przeze mnie książkę, o wybitnym uczonym, staram się, ażeby jego konterfekt znalazł się na pisance. Z reguły wysyłam podobiznę (jeżeli chodzi o uczonych z XVIII w., którymi zajmuję się szczególnie) lub fotografię (gdy chodzi o uczonych współczesnych) wysoce uzdolnionemu grafikowi i malarzowi –*

p. Wojciechowi Boguckiemu z Ciechanowca, który malując lub stosując technikę rytowniczą odtwarza portrety na wydmuszkach z jaj gęsich lub kurzych. (...).

Pisanka była *ex librisem* do jej naukowych prac.

Wystarczy podać wybór pozycji bibliograficznych, żeby się przekonać, jakie odbywała intelektualne peregrynacje: *Nowożytna myśl naukowa w szkołach i księgozbiorach polskiego oświecenia* (1976), *Człowiek i obywatel w piśmiennictwie naukowym i podręcznikach polskiego Oświecenia* (1979), *Onufry Kopczyński współpracownik Komisji Edukacji Narodowej: studium o społecznej roli uczonego w Polsce* (1987), *Dzieje nauczania historii nauki i historii techniki w Polsce* (1982), *Uczni polscy o sobie* (1988), *Lwowskie środowisko naukowe w latach 1939–1945*, *O Jakubie Karolu Parnasie* (1991), *Wkład pijarów do nauki kultury w Polsce XVII–XIX wieku* (1993), *Encyklopedia uniwersalna Księcia Biskupa Warmińskiego i jego rola w edukacji obywatelskiej...* (1994), *Wiktor Dega znany i nieznan* (2000), *Zawiesić w czasie: o polskich historykach nauki i kultury* (2002).

W 2009 roku otrzymałem od pani profesor tomik. Na wewnętrznej stronie książki pt. *Lidzianka. O Marii Stasiewiczowej – mojej Mamie – wspomnienia*, Biblioteka Ziemi Lidzkiej nr 1, Warszawa-Lida 2008, napisała dedykację wersalikiem: – SZANOWNEMU PANU CZESŁAWOWI MIROSŁAWOWI SZCZEPANIAKOWI Z PIĘKNYM PODZIĘKOWANIEM ZA „ALBUM ŚLIWKOWY” (NADER INTERESUJĄCY MERYTORYCZNIE I KONSTRUKCYJNIE), MIŁO WSPOMINAJĄC SPOTKANIE PISANKOWE W TAK ZWANEJ „SZKLANEJ KAWIARNI” – PRZED 15 LATAMI (AŻ TRUNO UWIERZYĆ!), PRZESYŁAM SERDECZNIE KRESOWY BUKIET WSPOMNIENIŃ NIE TYLKO O MOJEJ MAMIE, LECZ O WYDARZENIACH I LUDZIACH Z XX STULECIA (...).

To, że pisanka urosła do dzieła sztuki, ocierającego się o majstersztyk, duża w tym zasługa kolekcjonerów z warszawskiej Ochoty, prof. dr hab. Ireny Stasiewicz-Jasiukowej i inż. Jerzego Jasiuka.

Pisanka – mała forma plastyczna, która w czas zmartwychwstania okrasza Wielkanoc, i nie tylko.

W pisankowym świecie, „Południe. Głos Mokotowa Ursynowa Wilanowa” 2011, nr 15.

Dr Zuzanna Stromenger (28 XII 1925 – 31 III 2011)

Dr Zuzanna Stromenger prowadziła w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie zajęcia pn. *Wybrane zagadnienia z przyrodoznawstwa*. Pani doktor wyróżniała się na uczelni. Była cicha, nosiła okulary z grubymi szklami. Zawsze starannie ubrana, włosy jak po umyciu. Spokojna, nie słyshałem, żeby podniosła głos. Jej wykłady cieszyły się sporym zainteresowaniem, bo miała wiedzę o charakterze interdyscyplinarnym. Nikt z nas nie wiedział, że po ukończeniu filozofii uzyskała doktorat z biologii, po którym specjalizuje się w hydrobiologii, by ostatecznie zając się etologią, czyli nauką o zachowaniu zwierząt i ludzi. Że zajmuje się felinologią (nauką o kotach). Nie wiedziałem też o tym, że należała do grona założycieli m.in. Polskiej Akademii Wiedzy Seksuologicznej. W jednym z wywiadów znalazłem taki oto passus: *«Każda kobieta marzy o dziecku». Takie przekonanie nadal spotyka się wszędzie i proszę mi wierzyć, mało kto uznaje je za nieprawdziwe. Tymczasem co najmniej pół wieku temu etologowie dowiedli na podstawie żmudnych wieloletnich analiz i obserwacji, że chęć posiadania dziecka, a opiekuńczość to cechy osobne. Macierzyństwo wcale nie jest marzeniem każdej kobiety. Setki tysięcy pociąga inny model na życie: podróże, uprawianie sztuki, nauka, prowadzenie przedsiębiorstwa. Ale lwia część naszego społeczeństwa nadal stawia znak równości między kobietą a matką.*

Wiedziałem, że publikuje książki w PIW-owskiej serii *Myśli wspólczesnej*. Dzięki niej przeczytaliśmy druki zwarte Konrada Lorenza (1903–1989).

Nie była to osoba, która szukała studentów. Wręcz przeciwnie! Jej wykłady cieszyły się sporym zainteresowaniem. Była zawsze starannie przygotowana. Nie sprowadzała wiedzy do poziomu anegdoty i dowcipu. Kiedy na nią patrzyłem, to miałem wrażenie, że za nią stoi wiele bibliotek, czytelni, naukowych peregrynacji i jakaś tajemnica, w której wszystkie rąbki starannie w sobie zamknęła. Byłem jej słuchaczem, a nie partnerem do rozmowy, bo unikała tematów literackich. To była chodząca księga.

Po latach dowiedziałem się z artykułu Magdaleny Bajer *Rody uczone. Melcerowie Szczawińskie Stromengerowie*, że *Biografia Zuzanny Stromenger jest bardzo wyraźnie dwuwątkowa, przy czym wątek drugi – szerzenie wiedzy o świecie pośród ludzi mającej do niej trudny dostęp – dość rychło wzięło górę*. Ale nie zapuszczam się na tę górę, wybieram dół, czyli to, co było w czasie moich dziennych studiów.

Koleżanki czasami żartowały sobie z jej baletek (balerinek), które nosiła. Bronilem pani doktor, jeżeli chodzi o damskie obuwie.

Pani Stromenger wędrowała po świecie. Nieraz częstowała panią doc. dr Alinę Nofer-Ładykę (*Wybrane zagadnienia z nauki o języku oraz literatury, sztuki i kultury*) i mnie słodkościami przywiezionymi ze Szwajcarii.

Słuchałem jej wykładów o życiu zwierzątek. Wszelkie nowinki przyjmowałem. Swoją obecnością dziękowałem za to, że wzmacniała apetyt na wiedzę, której nigdy dość. Jakie było moje zdziwienie, kiedy pod koniec studiów zauważyłem, że na warszawskich ulicach pojawiły się na nogach warszawianek baletki, jakie nosiła pani doktor z ulicy Smolnej. Pomyślałem, że dr Zuzanna miała w tym też swój udział.

Więcej o rodzinie Stromengerów można znaleźć w raptularzu [Zofia Nałkowska, *Dzienniki VI 1945–1954, część 2 (1949–1952)*. Opracowanie, wstęp i komentarz Hanna Kirchner, Czytelnik, Warszawa 2000, s. 92–94 wraz z przypisem. Objasnienia H. Kirchner są świetnie napisane; w sam raz na alfabet].

Mądrych miałem wykładowców w WSPS, której patronowała prof. Maria Grzegorzewska (1888–1967). Pod dachem budynku przy ul. Szczęśliwickiej 40 uczyli nas nietuzinkowi ludzie, jak dr Zuzanna Stromenger. Za nimi szliśmy jak gęsi za Konradem Lorenzem. I nie wymagano od nas sztuki latania – uczyli nas myślenia. Dzięki nim nauczyliśmy się patrzeć inaczej na świat i człowieka.

Dr Zuzanna Stromenger (28 XII 1925 – 31 III 2011). Pożegnanie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 9 czerwca 2011 roku.

Władysław Strzemiński (21 XI 1893 – 26 XII 1952)

Zbigniew Janeczek z Eufeminowa, BILBO Graficzne Studio Komputerowe, napisał zgrabny esej o Władysławie Strzemińskim [*Żołnierz z urodzenia, artysta z powołania*, „Bitewnik Łódzki 1914. Nieregularnik okolicznościowy” 2019, nr 13 (październik)]. Oto pas-sus: *Na wszystkich fotografiach z okresu międzywojennego i po wojnie Strzemiński ma na sobie koszulę à la Słowacki, z wyłożonym kołnierzykiem i odstoniętą szyją. To sugeruje ataki duszności i niewydolność oddechową (...).*

Dodałbym do tego, że ubiór wynikał z wymogów praktycznych, jak najmniej guzików do zapinania; nie mówiąc już o sznurówkach albo skarpetach. Dzisiaj to nosiłby T-shirt. Coś o tym wiem, bo noszę czarną bawełnianą koszulkę z napisem *Łódź Kreuje*; kształty liter zaczerpnięto z alfabetu Władysława Strzemińskiego.

Koty i pies, Pies, Gasio, Wieszać psy – drzeć koty, Psiakostka, Dwugłós, Wycieczka z ZOO. Na miarę Wlenia (48) [w:] wleninfo.pl, 24 listopada 2019 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-48/>.

Jan Suzin (12 IV 1930 – 22 IV 2012)

Był spikerem w TVP, gdy w domach nieliczni mieli czarno-białe telewizory. O pilocie nikt nawet nie myślał. Zawsze nienagannie ubrany. Pod krawatem. W ciemnych okularach. Uśmiechem

dyskretnie się dzielił. Mówił jasno i węzłowato. Miał dar spokoju i młodzieńczą nieśmiałość. Z przyjemnością się tego słuchało. Nawet ramówkę programu potrafił zachęcająco przeczytać. Był jak okład na zbyt rozgorączkowaną głowę. Dzisiaj takich osób w TVP nie ma, wszyscy mają *ciąg na szkło*. I dostają bzika, gdy stoją przed kamerami z sitkiem mikrofonu.

Jan Suzin przypominał dziennikarza typu angielskiego. I pewnie, gdyby żył na Zachodzie, to ubiegałaby się o niego niejedna stacja telewizyjna. To była nietuzinkowa postać. Imponował spokojem. Przede wszystkim zapamiętałem go z pewnego wydarzenia. Kiedyś w telewizji zwrócono się do niego, co by polecił na spędzenie czasu. I pan Jan powiedział mniej więcej: proszę państwa, proszę wyłączyć telewizję i wyjść z domu na spacer, przejść się i odpocząć od szklanego ekranu... Gdy to usłyszałem, pomyślałem, że jednak w TVP jest ktoś, kto zachowuje zdrowy rozsądek i nie zniża się do głębi kałuży. Wyobrażacie sobie dzisiaj, żeby ktoś z telewizji państwowej albo prywatnej, podzielił się taką refleksją. Niedoczekanie, bo wszędzie epatują statystyką oglądalności i plotą bzdury w kolorze.

Poza tym ujął mnie tym, jak odszedł, po 41 lat pracy w TVP na emeryturę. Otóż, kiedy inni urządzali huczne pożegnania, on poszedł do kadr, odebrał papiery, podpisał i jak przystało na człowieka dobrze wychowanego, który wie, co to grzeczność i takt, powiedział: *Do widzenia!*

Jan Suzin (12 IV 1930 – 22 IV 2012). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26 kwietnia 2012 roku.

Genowefa Szafarska

Mieszkała we wsi Zbludowice, na Ponidziu, która graniczy z Buskiem-Zdrój, woj. świętokrzyskie. 50 km na południe od Kielc, 80 km na północ od Krakowa, 13 km od Wiślicy, 15 km od Pacanowa. Urodziła się w 1931 roku, zmarła w wieku 89 lat – w marcu 2020 roku. Pochowano ją na cmentarzu w Busku-Zdroju. Tyle

udało mi się znaleźć w internecie, więc do końca nie wiem, czy nie mijam się z prawdą.

Kiedy o niej myślę, to widzę jej urodę i wdzięk.

Pani Genowefa potrafiła w życiu przenieść tyle dobra, oraz nauczać i wyjaśniać to, co ma początek i koniec. To ona subtelnie wytłumaczyła nam różnicę płci oraz jak to się stało, że przyszliśmy na ten świat.

Zawsze elegancka. Uczyła też dzieci z wodogłowie. Często odwiedzała ją córka Elżbieta, uczennica szkoły średniej; syna Leszka nie widziałem.

Mój kolega Zbyszek Janiszewski z Radomia mówił, że kiedyś ją zapytał: *Dlaczego Pani, osoba tak wykształcona, uczy upośledzone dzieci?*

O pedagogu specjalnym z sanatorium „Górka” wspominałem w opowiadaniu pt. *Ping-pong*.

W szkole, na samym dole naszego szpitala, moja ulubiona nauczycielka od biologii była ich wychowawczynią. Filigranowa pani prowadziła zajęcia lekcyjne z tymi z *drugiego*. Wiele razy zazdrościłem im, że los tak cudownie nagrodził ten oddział. Pani od biologii miała bardzo ładną śniadą twarz, starannie zaczesane włosy i bardzo leciutko umalowane usta. A przy tym była zgrabna i to wzmacniało jeszcze bardziej mój zachwyt. Kiedyś zauważyłem, że ma także piękne ręce. To właśnie ona tłumaczyła mi, że mam krew, wątrobę, płuca, mózg; długo pokazywała położenie serca. Poinformowała Oddział IV, jak to się stało, że jesteśmy mieszkańcami Ziemi. Bocian na zawsze odleciał z naszego życia. Tylko jaskółki zostały w pamięci. („Tygodnik Kulturalny” 1983, nr 6).

Przypominałem, że pani od biologii prowadziła zajęcia z pacjentami, co mieli wodogłowie. Byli tak upośledzeni, że chodzili w pizamie. Moi koledzy, kiedy wchodzili do ich klasy, na parterze, nieraz dodawali: *Wczoraj, dziś i jutro ciągle tego samego się wciąż uczą. To jakby nigdy tablicy nie ścierano. Szkoda pani czasu i męki...*

Oczywiście, że wychowawczyni milczała. Jej uczniowie byli skazani na śmierć.

Wodogłowie, wodomózgowie, hydrocefalia, to zwiększenie objętości płynu mózgowo-rdzeniowego w układzie komorowym mózgu, które powoduje wzrost ciśnienia śródczaszkowego. Główka dziecka powiększa się i przypomina kształt gruszki. Poszerzają się szwy czaszkowe i następuje opóźnienie rozwoju dziecka. Chorzy mają objawy senności, napady padaczkowe. Innymi słowy, objawy zachodzącego słońca, o których będę niżej pisał.

Po wyjeździe z sanatorium, rok 1970, nastąpiła przerwa w kontakcie. Ponad 30 lat trwało zanim poczyniłem poszukiwania, które przyniosły efekty.

Dnia 14 marca 2012 roku, środa. Po godzinie 15 telefon, pałę w łazience papierosa, i nagle ktoś dzwoni. *Mówi Szafarski, oddając żonie telefon...* – słyszę głos starszego pana i pani Genowefy, która mówi tak, jakby się lekko śmiała. Rozmawiamy, opowiada o córce Eli, co jest w Niemczech, o synu Leszku. Odpowiadam, że była taka kochana. Że zawsze dbała o tych najsłabszych i nie bała się ubrudzić. Wyjaśnia, że w dzieciństwie przeszła chorobę szpiku kostnego. Jestem wzruszony. Mówi, że jest stara. Odpowiadam, że wieść gminna niesie, że opiekuje się nią mąż, który jest taki kochany. *Życzę wszystkim takiego męża* – dodaje. Nie ukrywa, że *my się też całujemy, choć jesteśmy starzy!* I się żegnamy.

Kochana Pani Genowefa, pani od biologii z sanatorium „Górka” w Busku-Zdroju. Chora na Alzhaimera. O czym wiem i jestem z tego powodu bardzo zasmucony, ale tego nie okazuję. Po tylu latach odnaleźliśmy się. Telefonicznie, listownie... – powiedzmy.

Maria Grabska, która uczyła geografii, poinformowała mnie listownie, korespondencja z 22 marca 2012 roku: *Pyta Pan o nauczycielkę, która uczyła biologii. Faktycznie była to piękna i elegancka pani, a nazywała Gienia Szafarska. Obecnie już po 80-siątce i ma problemy z pamięcią, dlatego nawet nie mogę przekazać jej, jak ją Pan pięknie wspomina.*

Jakie to miłe – po tylu latach czytać tak wspaniałe wspomnienie o osobach, z którymi spotkał się Pan tak wiele lat temu. (...)

Jaka to przykra ta starość!!! Jest jednak nieubłagana i przychodzi do każdego z nas.

Może dlatego tak chętnie czyta się wspomnienia, bo one przypominają nam także moją młodość.

Pani Genowefa latami cierpiała – była nieobecna w życiu.

[*Zespół zachodzącego słońca* – zaburzenie (otępienie) u osób starszych, które pojawiają się w ściśle określonej porze dnia, tj. późnym popołudniem, wieczorem lub w nocy. Najczęściej kojarzony jest z chorobą Alzheimera. Objawy: lęk, niepokój, agresja, dezorientacja, zaburzenie snu, omamy wzrokowe, trudności z wypowiedaniem się, wahanie nastroju].

Pani od biologii pozostawiła wspomnienia, których nie potrafię opisać, choć dwa razy byłem pacjentem sanatorium „Górka”.

Uczyła nas, że kiedy szczęście w nieszczęście wpada, miłość nadzieję wspiera.

Anna Szałapak (22 IX 1952 – 14 X 2017)

Postać tak znana, że nieznaną. I gdyby nie chwalby Agnieszki Osieckiej (1936–1997), niewiele byśmy wiedzieli. Autorka *Sentymentów* z wielką czułością mówiła (Piotr Skrzynecki też – przyp. Cz. M. Sz.) i pisała:

Pean: Anka Szałapak jest w polskiej piosence zjawiskiem wyjątkowym. Zresztą nie tylko w piosence Anka jest kimś wyjątkowym, w życiu też. Wszystko w tym życiu jest zborne, wszystko piękne i ogromnie polskie, a nawet małopolskie, zanurzone po uszy w tradycji.

Już sam dom Ani zasługuje na uwagę: dom krakowski, zacny. Obok tego domu prowadzi droga – ni to droga, ni to ulica, którą Anki rodzice przywędrowali z galicyjskiego dworku. W pokoiku Ani – jej obrazki, grzebienie, nuty, zabawki, pióra, no i słynne kapelusze! Za ścianą – brat Piotr, z wąsem sumiastym, z talentem hobbysty-modelarza – też wielce krakowska postać.

W ślad za takim obrazkiem domowym – drugi obrazek: studia. Naturalnie etnografia, a specjalność najosobliwsza z osobliwych – Rynek

krakowski. Oczywiście: historia rynku krakowskiego. I obrazek następny: praca w Muzeum Szopek. I obrazek trzeci: śpiewanie w krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

Z czerni, z dymu, z alkoholowej pary, z chichotu Piotra Skrzyneckiego, z absurdu, zabawy i modlitwy, z tego wszystkiego, czym kipi «Piwnica», wynurza się Ania jak anioł z piekła: anioł, co się w piekle dobrze czuje! Biała suknia, białe skrzydła, srebrzysto-białe intencje, białe kwiaty, biała dusza i rude włosy, którymi porasta bohaterka piosenki o Annie Csillang. Białość, biel, anielskość. I do tego barwa głosu – szklana, ale szorstka, poważna, ale powabna. Arcyciekawe to połączenie. Ta czern piwniczna i ta białość Ani... (Rozmowy w tańcu, 1992). Po takich słowach, już niewiele można dosypać zachwyty.

Anna Szałapak od lat kojarzona jest z Piwnicą pod Baranami. Zawsze wyróżniała się wśród krakowskich *baranów*. W bieli, z rozpuszczonymi włosami, z pięknym głosem, w kapeluszu, z uśmiechem. Wzruszająco śpiewała *Ucisz serce...*, *Kolędę katyńską*, *To się nie zdarzy*, *Zaklinanie czarowanie*, *Chwalmy Pana* i inne. W czasach studenckich występowała w zespole *Słowianki*. I wcale mnie to nie dziwi, bo uroda i wdzięk u niej zawsze była w wielkiej harmonii. Do Piwnicy pod Baranami przyszła za namową Zbigniewa Preisnera. Śpiewała wiersze i *gazetówki*, czyli teksty z ówczesnej prasy, którą toczył leniwy dopływ i różne pospolite chwasty, co zwykły zarastać ugory. Występowała w chórkach. Z wykształcenia jest etnografem. Pracowała w Muzeum Historycznym (Kraków) w dziale tradycji. Lubiła poranki i kapelusze. Z czułością mówili/pisali o Niej Agnieszka Osiecka, Piotr Skrzynecki, Jerzy Turowicz (1912–1999). I wcale nie przesadzali, gdy używali anielskich słów. Piosenki w wykonaniu Anny Szałapak wnoszą w nasze życie spokój, dodają otuchy na niepogody ducha.

Anna Szałapak z grupą nietuzinkowych krakowskich artystów latami wyraźnie zaznaczała swoją indywidualność. Piwniczny pasterz potrafił, w sobie tylko znany sposób, osobliwości pogodzić i stworzyć na wieczorne spotkanie coś, co biło światłem własnym,

a nie odbitym. Po latach widać, czym tak naprawdę była Piwnica pod Baranami. Za tym kabaretem krył się zdrowy rozsądek i magia poezji, która streszcza to, co jest ważne w życiu. Koncertowała po Polsce i za granicą. Brała udział w nagraniach, które rejestrowano na potrzeby fonografii (*Piosenki piwnicznych kompozytorów vol. 1-3, Pomaton, Koncert 40-lecia Kabaretu «Piwnica pod Baranami» vol. 1-2, IN AUDIO*). Wzmianki o Szałapak znaleźć można w dwóch książkach Joanny Olczak-Ronikier: *«Piwnica pod Baranami», czyli koncert ambitnych samouków* (brak roku wydania), *Piotr* (1998). O wywiadach nie wspominam. Dla tych, którzy chcą wiedzieć więcej, polecam strony internetu: <http://free.polbox.pl/p/przemcia> (prowadzą dwie osoby z Olkusza; osobny rozdział ma Anna Szałapak).

W latach 90. XX wieku ukazała się pierwsza studyjna kasetka: *Anna Szałapak z Piwnicy pod Baranami (ASr)*, która nie została zauważona. Na stronie A i B pomieszczono 12 piosenek. Recenzenci przemilczeli ten debiut. I takie przypadki mają miejsce w kraju nad Wisłą.

W 1999 roku wydano drugą kasetę pt. *Anna Szałapak W Trójce czyli z czego składa się świat* (Polskie Radio SA, Kompania Muzyczna POMATON EMI). Jest to rejestracja recitalu, jaki odbył się w Studiu im. Agnieszki Osieckiej, 8 grudnia 1997. Niniejszy koncert otrzymał nagrodę Mateusz 97 (nagroda Programu III Polskiego Radia za osiągnięcia artystyczne w 1997 roku w kategorii muzyki rozrywkowej). Trzeba było czekać aż dwa lata, żeby ten występ usłyszeć na kasecie magnetofonowej. W spisie treści: 19 utworów i jedna recytacja (*Żegnam Was*). W sumie: 73 minuty i 43 sekundy. Autorzy tekstów: Agnieszka Osiecka, Ewa Lipska, Michał Zabłocki, Osip Mandelsztam (1891–1938), Jan Brzechwa (1898–1966), Ernest Bryll, Bolesław Leśmian (1877–1937), Witold Turdza, Czesław Miłosz (1911–2004), Stanisław Skoneczny (1910–1979). Muzyka jest dziełem takich kompozytorów jak: Zygmunt Konieczny, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Zbigniew Preisner. Całość ma niepowtarzalny kli-

mat liryczny. To wzruszający występ, w którym odczuwa się brak *piwnicznego* konferansjera (przerywnika-czarodzieja z dzwonkiem). Ale nie popadajmy w sentymenty i nostalgię.

Anna Szałapak w znany sobie sposób interpretuje wiersze o ludzkich sprawach, lekko oderwanych od ziemi. Tu nie ma miejsca na gazetowość i rozmówki o pogodzie. To są pieśni o marzeniach, tęsknotach; taki poemat o miłości. W wielkim uproszczeniu mogę napisać: śpiewa o sprawach ludzkich i transcendentnych, no bo przecież prawdziwa sztuka, nie dość, że nas uskrzydla, to i odrywa od tego życia. Niewiele można o tym powiedzieć. Dlaczego? Bo to trzeba przeżyć, przesłuchać. Chyba niepotrzebne są tu komentarze i noty. *Kto tu chętny, pojętny, niech słucha / Z czego składa się świat/ zaraz zobaczy / a gdy kogoś tu brak/ niech nam wybaczy.*

Druga solowa kasetka Anny Szałapak jest jak uśmiech, który się latami pamięta, jak spojrzenie w oczach. Innymi słowy, odejście w tło.

Ścieżki dźwiękowe (2), „Pasma. Pismo Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Kulturalnego 1999, nr 26.

Jerzy Szaniawski (10 II 1886 – 16 III 1970)

W 1954 roku Wydawnictwo Literackie wydało jego książkę pt. *Profesor Tutka i inne opowiadania*. Świetna proza, w której tli się poezja. Mistrzostwo małej formy literackiej. Jest to przesympatyczny cykl opowiadań z ilustracjami Daniela Mroza (1917–1993). Jerzemu Szaniawskiemu udało się wdepnąć bosą stopą w radość. Nad tymi opowiadankami unosi się pogoda ducha, nutka melancholii, dowcip. Bohaterami prozy są nietuzinkowi ludzie, jak profesor Tutka, sędzia, rejent, doktor, mecenas. Napisane jest to taką polszczyzną, jaką się dzisiaj rzadko spotyka. To nie męczy, nie nuży, więc pozostawia w kącikach ust uśmiech. Jest to tak zgrabnie zapisane, że człowiek, kiedy skończy czytać, wzdycha: Profesor Tutka, mówi mało, ale smacznie. On mówi tak mało, że człowiek chciałby, żeby on jeszcze coś powiedział.

Oto przegląd tekstów, w których wspominam specjały ds. małych form literackich:

(...) Z sympatią o tym piszę, bo do moich ulubionych opowiadań należy cykl Jerzego Szaniawskiego pt. *Profesor Tutka*, ilustracje Daniel Mróz. Tutka mała rzecz, a cieszy!

Tutka na Ursynowie. Wtręty, „Passa. Tygodnik Mieszkańców Ursynowa” 2002, nr 34.

Profesorze, wracaj!

Modne staje się słowo *dalermenia*.

Skąd ono się wzięło?

Od autora Philippe’a Delerm, którego książki *Pierwszy łyk piwa i inne drobne przyjemności* (Przełożył Wawrzyniec Brzozowski, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2004), *Zamordowana sješta* (Przełożył Wawrzyniec Brzozowski, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005), *Dickens, cukrowa wata i inne smakołyki* (Przełożyła Hanna Tygielska, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2006) są bestsellerami we Francji i Polsce. W sumie: 104 opowiadania za 75,70 złotych. Dodajmy do tej arytmetyki, że są to prozy napisane smacznie. Autor pisze o przyjemnych rzeczach, więc obcowanie z jego utworami należy do miłych chwil. Są to zachwyty nad fragmentami życia, a nade wszystko nad czasem przeszłym. Takie smakowanie kropel lirycznych. Albo inaczej: sztuka patrzenia i uogólniania. Słowem, filozofia życia codziennego w formie literackiej, ale we fragmencie. No cóż! Wspomnienia są forpocztą pamięci i tyłem wyobraźni. To jest taka proza, która streszcza się w poezji. Esencja wydłubana, jak pestka z owocu.

Szkoda, że ci, którzy tak lubują się w tym, co obce, zapominają, że mamy swojego pisarza, który głosił pochwałę przeżywania każdej chwili życia. Myślę o *Profesorze Tutce* Jerzego Szaniawskiego. Jest to przesympatyczny cykl opowiadań z ilustracjami Daniela Mroza. Jerzemu Szaniawskiemu udało się wdepnąć bosą stopą w radość. Nad

tymi opowiadaniem unosi się pogoda ducha, nutka melancholii, dowcip i wszystko to, co się zwykło wspominać przy radosnych okazjach. Bohaterami tych małych form literackich są nietuzinkowi ludzie, jak profesor Tutka, sędzia, rejent, doktor, mecenas. Napisane jest to taką polszczyzną, jaką się dzisiaj rzadko spotyka. To nie męczy i nie nuży, więc pozostawia w kącikach ust uśmiech. Jest to tak zgrabnie napisane, że człowiek, kiedy skończy czytać, wzdycha: Profesor Tutka mówi mało, ale smacznie. On mówi tak mało, że człowiek chciałby, żeby on jeszcze coś powiedział.

Profesorze, wracaj!, Co na Ursynowie śpiewa i piszczy? Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2007 nr 19.

1000 numerów Pasma!

Zasad lakoniczności przestrzegał Jerzy Szaniawski, samotnik i wielki milczek z Zegrzynka, z którego trudno było wydusić słowa. Podobno zwykł odpowiadać na pytania jednym słowem, tj. *tek*. (*.../ Szaniawski mówił skąpo: Tek, tek ... / Jan Zbigniew Słojewski / HAMILTON I, Reinkarnacja*). *Profesor Tutka* to pochwała lakoniczności, która schładza, jak zimny okład, silnie rozgrzaną głowę.

(...)

Księga mądrości poucza: *Złote jabłka na sprzętach ze srebra – / to słowo mówione w czasie właściwym* (Prz 25, 11). Podobnie rzecz się ma ze słowem drukowanym na papierze, który jest cierpliwy, ciężki i drogi, i nigdy się nie rumieni.

1000 numerów Pasma! Chwileczkę!, „Pasma. Tygodnik dla Ciebie” 2008, nr 16.

Upominam się o prof. Tutkę

MR [Mirosław Ratajczak] w rubryce *Wernisaże* („Odra. Miesięcznik” 2016, nr 12) przypomina postać grafika Daniela Mroza, znanego z krakowskiego tygodnika „Przekrój” oraz okładek i ilustracji. Wymienia, że był nadwornym rysownikiem Stanisława Lema

(1921–2006) i Sławomira Mrożka (1930–2013). Zgoda. Ale dlaczego pominięto *Profesora Tutkę* Jerzego Szaniawskiego? Ufam, że to było spowodowane przedświadczytym roztargnieniem.

Przypominam o tym, bo nietaktem jest zapomnieć pisarza, wielkiego milczka z fajką, który głosił pochwałę przeżywania każdej chwili życia. Myślę o *Profesorze Tutce* Jerzego Szaniawskiego. Jest to przesympatyczny cykl opowiadań z ilustracjami Daniela Mroza. Jerzemu Szaniawskiemu udało się wdepnąć bosą stopą w radość. Nad tymi opowiadaniem unosi się pogoda ducha, nutka melancholii, dowcip i wszystko to, co się zwykło wspominać przy radosnych okazjach. Bohaterami tych małych form literackich są nietuzinkowi ludzie, jak profesor Tutka, sędzia, rejent, doktor, mecenas. To jest napisane taką polszczyzną, jaką się dzisiaj rzadko spotyka. To nie męczy i nie nuży, więc to się czyta z uśmiechem na ustach. *Od deski do deski*, bo nie jest to drewniany język.

(...)

Upominam się o prof. Tutkę. Korespondencja, „Odra. Miesięcznik” 2017, nr I.

Pochwała (pewnych) miejsc

Sztuka bierze swój początek w wioskach, miasteczkach i miastach, o których się mawia często *prowinca*, żeby uspokoić swoje lenistwo i poprawić samopoczucie. Drzewiej się mawiało, że takie strony broniły nas *od tupotu szybkich spraw*.

(...)

Wszystko, co wielkie, zostało poczęte daleko od aglomeracji, jak Bieszczady (Jerzy Harasymowicz), Bronowice Małe i Wielkie (Stanisław Wyspiański), Czarnolas (Jan Kochanowski), Drohobycz (Bruno Schulc), Frampol (Edward Redliński), Hańcza/Olecko (Wacław Ewaryst Klejmont), Itża, Hrubieszów, Zamość (Bolesław Leśmian), Kresy (Józef Czechowicz), Krynica (Nikifor), Lanckorona (Marek Grechuta), Lipce (Władysław Stanisław Reymont), Nagłowice (Mikołaj Rej), Nowogródek (Adam Mickiewicz), Radomsko

(Tadeusz Różewicz), Sudety Środkowe (Olga Tokarczuk), Tomaszów (Julian Tuwim), Zegrzynek (Jerzy Szaniawski), i mógłbym wymieniać dalej, ale to wystarczy. (...) Małe, wielkie centra. I tyle!

Pochwała (pewnych) miejsc, Janina Leszek (22 IV 1929 – 12 IV 1997). Wspomnienie. Na miarę Wlenia (42) [w:] wleninfo.pl, 19 października 2019 roku, sobota; <http://wleninfo.pl/na-miare-wlenia-42/>

Uwaga podczas korekty.

Nieraz pisałem o Jerzym Szaniawskim w pismach bezpłatnych („Pasma”, „Passa”) i płatnym („Odra”).

Jaki stąd wniosek? Że nieodpłatnie też ma swoją cenę, więc nie ma mowy o wyprzedazy.

Prof. dr hab. Andrzej Szczeklik (29 VII 1938 – 3 II 2012)

O panu profesorze dwa razy pisałem. Wszystkie teksty skreśliłem z okazji wydanych przez niego książek. Kiedy ukazał się tom esejów *Katharsis. O uzdrowicielskiej mocy natury i sztuki* (wstęp Czesław Miłosz, Znak, Kraków 2002), opublikowałem notę *O naturze duszy ludzkiej. Książka na weekend*, („Dzień Dobry” 2003, nr 3, sygn. Cms). Oczywiście, że wysłałem wycinek z „DD” oraz oryginał recenzji. Oto fragment: (...) Przyznam, że podczas czytania nieraz musiałem przecierać oczy, bo niektóre passusy brzmiały życzeniowo. Oto pierwszy z brzegu: (...) *Wołanie chorego staje się lekarza powołaniem. Wówczas w to spotkanie dwu ludzi wchodzi mit. Lekarz i chory zaczynają śnić ten sam, pradawny sen. Razem ruszają na poszukiwanie eliksiru życia.* Gdyby ten entuzjazm udzielił się innym spośród 72 specjalności lekarskich w Polsce, to zapewne pacjenci nie byłiby pełni nerwów. Powinni o tym pamiętać medycy, niezależnie czy chodzą w Warszawie *na obchód*, czy w Krakowie *na wizytę lekarską*.

Wystarczy wdepnąć do pierwszej lepszej przychodni zdrowia, żeby czar, o którym tak pięknie pisze profesor, przysł.

Podziwiam pana, panie profesorze, że jest pan inny i wcale mnie to nie zraża. Bardzo wysoko sobie cenię lekarzy (i nie tylko!), którzy mają swój styl i smak. A gdy jeszcze potrafią o tym podzielić się z czytelnikiem, to czuję się tak, jakbym przeżył katharsis.

Zacny krakowski profesor napisał czarnym atramentem na bieleńkiej kartce-wizytówce m.in. *Dziękuję za napisany z werwą list i ciekawą, pełną humoru recenzję. Podzielam Pańskie zdanie na temat reform służby zdrowia. Życzę jednak, aby w potrzebie znalazł Pan Redaktor lekarzy, którzy ruszą z Panem wspólnie na poszukiwanie eliksiru życia.*(...), Kraków, 10 II 2003

A kiedy jesienią 2007 roku pojawiła się druga książka znanego i cenionego profesora z Krakowa pt. *Kore. O chorych, chorobach i poszukiwaniu duszy medycyny* (wstęp Adam Zagajewski, Znak, Kraków 2007), znowu skrobnąłem tekst; fragment ukazał się w „Odrze. Miesięczniku” 2009, nr 2.

Pan profesor przysłał lapidarne podziękowanie: *Dziękuję uprzejmie za tak miłą recenzję „Kore” w miesięczniku „Odra” i za dostanie mi jej kopii.* (...), 19 luty 2009.

W 2010 roku pełną wersję noty zamieściłem w książeczce pt. *Chwileczkę!*, wydano nakładem własnym.

I znowu otrzymałem kartkę pocztową (Pokłon Trzech Króli – Wit Stwosz, kwatera ze skrzydła Ołtarza Bożego Narodzenia w katedrze w Bambergu, 1523 r., rzeźby z drewna lipowego, nie polichromowane, fot. Dariusz Galewski), włożoną do śnieżnej koperty, z okrągłym stemplem pocztowym KRAKÓW 2 06 01 10 18 *ML*. Pan profesor pisał:

Kraków, Nowy Rok 2010

Dziękuję uprzejmie za przestany zbiór ciekawych – i jakże dobrze napisanych – felietonów i łączę najlepsze Życzenia Noworoczne
Andrzej Szczeklik

I to wszystko, co mam w swoich zbiorach.

Profesor pisał bardzo mądre eseje, zamieszczane w „Zeszytach Literackich”. Udzielił sporo wywiadów. To był typ lekarza interdys-

cyplinarnego; medyk-naukowiec i artysta. Był bardzo czuły na sztukę. W klinice, którą kierował, znajdował się biały fortepian, o którym mówił: (...) *stoi w sali konferencyjnej i robimy tam dla chorych koncerty, spotkania, niekiedy nawet małe przedstawienia. A jak nikogo nie ma w klinice, czasami sam sobie na nim gram* (Kaczka z kośćmi, Z prof. Andrzejem Szczeklikiem rozmawiają Krystyna Bochenek i Dariusz Kortko, „Duży Format” 2003, nr 16, dodatek do „Gazety Wyborczej”).

To była nietuzinkowa postać w świecie polskich eskulapów. Wzruszająco pisał i opowiadał o pacjentach, współpracownikach i artystach. Nie wywyższał swojej służby i sztuki zdrowia. Pisał tak mądrze, że to chciało się czytać. Oto próbką jego talentu: (...) *Każdemu ktoś bliski umiera, w moim przypadku dochodzi tylko cichy wyrzut wewnętrzny, że nie potrafiłem tego odmienić. Ciężko przeżyliśmy śmierć Piotrusia Skrzyneckiego. Klinika była z nim związana, od 25 lat zapraszam na andrzejki cały personel do Piwnicy pod Baranami, przychodzi około 350 osób, Piwnica przygotowuje specjalny spektakl, a potem jest zabawa do białego rana. Piotruś pod koniec życia spędzał u nas długie okresy, nazywając klinikę swoim hotelem snów. Gdy zmarł, akurat dostałem nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej i mogłem ufundować mu pomnik. Projekt zrodził się w rozmowach z młodym zakopiańskim rzeźbiarzem Karolem Gąsienicą Szostakiem, który go zrealizował i odlał w brązie. Zaprowadzę panią przed szpital. W ogródku, przy niskiej fontannie, widzi pani rzeźbę. Przedstawia akrobatów – mężczyznę i kobietę – balansujących wbrew sile ciężkości. On stoi na chwiejących się klockach, ona stoi na nim, z ramionami uniesionymi ku górze. Mężczyzna podtrzymuje ją jedną ręką, a drugą wyciągnął w bok, próbuje utrzymać równowagę. W ręku trzyma dzwoneczek, jedyne bezpośrednie nawiązanie do Piotrusia, który zawsze dzwonił takim dzwoneczkiem w Piwnicy. To, czego on dokonywał jako mag i czarodziej, podobne jest do tego, co my robimy, balansując między życiem a śmiercią (...) (Ile waży dusza, a ile kilogram kota, Z prof. Andrzejem Szczeklikiem rozmawiała Anna*

Bikont, „Duży Format” 2007, nr 41, dodatek do „Gazety Wyborczej”).

Prof. dr hab. Andrzej Szczeklik to był lekarz z wielką klasą, z poczuciem humoru i taktem. Nie bał się pacjentów, a pacjenci chcieli, żeby ich leczył. Gdzie są dzisiaj w Polsce tacy medycy?

Nie na darmo w kabarecie „Zielony Balonik” o jego ojcu, profesorze Edwardzie (1898–1985), interniście, śpiewano: *Jak z historii tej wynika, lecz się tylko u Szczeklika*.

Kiedy dowiedziałem się o jego śmierci, to przyszła do mnie refleksja, że zamyka się XX wiek, w którym było tylu lekarzy-humanistów. Starzy lekarze nie łamali Przysięgi Hipokratesa (ok. 460 p.n.e. – ok. 370 p.n.e.), który uczulał m.in., że (...) *wielu jest lekarzy z imienia, lecz w istocie rzeczy – nader niewielu*.

Prof. dr hab. Andrzej Szczeklik (29 VII 1938 – 3 II 2012). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 12 czerwca 2012 roku.

Piotr Szczepanik (14 II 1946 – 20 VIII 2020)

Dzieciństwo i młodość spędził w Lublinie. Absolwent historii sztuki KUL. Autor pieśni, które z czułością od tylu lat śpiewa się nad Odrą i Wisłą: *Goniąc kormorany, Żółte kalendarze, Zabawa podmiejska, Kochać, Nigdy więcej, Dzień niepodobny do dnia, Puste koperty* i inne. Co jakiś czas przypomina się przeboje, które są jak wspomnienie po latach, tzn. nie najgorsze. Z przyjemnością słuchałem utworów Szczepanika, bo nie epatowały patriotyzmem i pseudozaangażowaniem. Zachęcały do refleksji i zadumy. Były szyte lekką melancholią i delikatnymi kresczkami uśmiechu, które nie sposób zedrzeć. To, co jeszcze nie tak niedawno cieszyło się popularnością, zostało wydane na CD pt. *Złote przeboje*. Poza tym ukazała się kaseta magnetofonowa pt. *Guziki* (Wyd. Tysol sp. z o.o., Warszawa 1998). 15 pieśni do wierszy Mandelsztama, Baczyńskiego, Lechonia, Gajcego, Zagajewskiego, Herberta, Brylla. Nietuzinkowi poeci. Oczywiście, że wyłuskano liryki, w których się sporo mówi

o Polsce. Są to recytacje muzyczne przechodzące w śpiew. Może troszeczkę za mocno eksponowana jest gitara elektryczna (podobnie jak w „Grupie Pod Budą” albo „Wolnej Grupie Bukowina”). Chętnie bym napisał kto jest sprawcą całego tego przedsięwzięcia, ale tekst jest tak zamazany (czerwona farba drukarska!), że aż trudno odczytać.

Zamiast się wymądrzać, zacytuję odautorski komentarz z zagiętej karteczki włożonej do protektora kasety magnetofonowej: (...) *Z wielkiego zasobu znakomitej poezji wybieram tę, która mi odpowiada i którą uważam za ważną także dla moich słuchaczy. Wybrane przez siebie wiersze opatruję muzyką i dzielę się z innymi swoją melancholią. A poza tym próbuję żyć między «carpe diem» a «memento mori», czyli szukać równowagi między zrozumieniem i akceptacją przemijania a ważnym dla każdego z nas apetytem na życie.*

Piotr Szczepanik trzeźwo traktował sprawy ludzkie. Warto mieć w zasięgu ręki takie *Guziki*, bo *tylko guziki nieugięte / guziki z płaszczy i mundurów.*

Guziki z orzełkami i koroną. Bezdomne i oderwane; w igle ich nieć życia!

Ścieżki dźwiękowe (2), „Pasmo. Pismo Ursynowsko-Natolińskiego Towarzystwa Kulturalnego” 1999, nr 26.

Prof. Jan Szczepański (14 IX 1913 – 16 IV 2004)

Na dziennych studiach w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej na wykładach z socjologii zalecano, żebyśmy korzystali z jego podręcznika *Elementarne pojęcia socjologii* (1963, ostatnie wydanie 1972). Często gęsto cytowaliśmy profesora, który pisał przystępne prace naukowe. Był to typ naukowca-cseisty, który zachęcał do myślenia. Do zakopywania głębiej pytań. Pisał zdaniami złożonymi, takim językiem, który był z żywej mowy. Często posiłkował się anaforą. I gdyby to miało nieco inną szatę literacką, to zapewne po latach byłoby w lepszej kondycji. To tak na

marginesie, bo eseje profesora nadal nie straciły swojego wdzięku, choć to już XXI wiek. Zawsze z przyjemnością czytałem profesora, który sporo drukował w tygodniku „Kultura”, dwutygodniku „Student”, a w kwartalniku „Regiony” jego spostrzeżenia opatrywano szyldem *Sprawy ludzkie*. Były to refleksje zdroworoządkowe. Profesor m.in. pisał, że *eseje te zrodziły się z przemyśleń po życiu długim, spędzonym co najmniej w czterech różnych systemach politycznych, po pracy w rolnictwie przez długie lata w młodości (ciągle uważam, że pasienie krów jest dobrym przygotowaniem do życia refleksyjnego), po kilku latach pracy w fabrykach niemieckich i po wielu latach pracy na bardzo różnych stanowiskach kierowniczych, wykonawczych, w bardzo zróżnicowanych instytucjach naukowych, społecznych, politycznych i gospodarczych. (...) [Od autora (w:) Jan Szczepański, *Sprawy ludzkie*, Wydanie II rozszerzone, Czytelnik, Warszawa 1980]. W tekście pt. *Wiara uzupełni: (...) nawet gdy porównując swoje fotografie w ciągu lat widzę wyraźnie, że mam do czynienia z różnymi ludźmi, a porównując siebie biegającego po pastwisku za krowami z sobą siedzącym w Prezydium PAN też wiem i każdy wie, że nie są to te same osoby. (...)**

Oto zapisek z 26 maja 1963 roku, wydłubany z memuarów: (...) *Filozofia sukcesu jest prosta: trzeba wiedzieć, czego się chce i trzeba trzymać się za twarz, trzeba organizować sobie czas i wykorzystywać czas; czas jest największym dobrem, a zarazem tworzywem; trzeba mieć siłę i trzeba umieć ją czerpać z przyrody; nasienie modrzewia kiełkuje w trawie, która go przygłusza, ale w nim tkwi potężna siła, która z małego kielka wyprowadzi pod niebo potężne drzewo: każdy z nas ma w sobie zadatki tej siły i trzeba ją rozwinąć.* (Jan Szczepański, *Dzienniki z lat 1945–1968*, Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Daniel Kadłubiec, Wydano nakładem Galerii „Na Gojach”, Ustroń 2013).

Teksty prof. Jana Szczepańskiego miały dobrą reputację naukową oraz świetne akapity. W nich można znaleźć błyski nieprzyjemnych prawd, które nie rażą, ale zachęcają do refleksji. To jest lekka pobudka, co gasi sen, żeby jawę wybudzać.

Andrzej Szmidt (1 X 1933 – 18 XII 2006)

Andrzej Szmidt urodził się w Lyonie, w trzeciej co do wielkości aglomeracji Francji – po Paryżu i po Marsylii. Ukończył polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL). Był redaktorem tygodnika „WTK”, „Współczesność” i miesięcznika „Więź”. Debiutował na łamach polskiej prasy w 1954 roku. Na stałe był zameldowany w Warszawie. Pomimo że miał na karku tyle krzyżyków, to jego dorobek książkowy można policzyć na palcach obu rąk: *Malowanki* (1966), *Złożenie broni* (1977), *Modne ubranko* (1981), *Szczoteczka do sumienia* (1984), *Wyrok nieprawomocny* (1987), *Skrzypeczki* (1992) oraz bibliofilski wybór wierszy (13 liryków - przyp. Cz.M.Sz.) *Taki pejzaż* (1993). Poza tym w zszywkach różnych gazet można znaleźć garść wypowiedzi rozproszonych i prozę *Powrót ze stacji*, którą zaniechał pisać. A szkoda, bo to były bardzo fajne kawałki z życia wzięte.

Andrzej Szmidt znany jest głównie jako autor wiersza pt. *Taki pejzaż*, do którego muzykę napisał Zygmunt Konieczny. Z jego strof Ewa Demarczyk (1941–2020) zrobiła dzieło sceniczne – mistrzostwo, co nie zna granic. I gdyby tylko ten utwór napisał, to wystarczyłoby, żeby wszedł do historii polskiej literatury współczesnej. Poza tym to była bardzo malownicza postać. Z piękną sylwetką. Jak z Marca Chagalla (1887–1985). Liryczny portret poety namalował Franciszek Maśluszczak, mój starszy kolega z Ursynowa.

Wiersze Andrzeja Szmidta są lirykami tkanymi jawą i snem. Dotykają szarości naszego codziennego polskiego życia i historii, którą nijak rozsuptać. Nierzadko są to wyznania. Kartki wyrwane z historii własnego życia. Pełno w nich *osiwiałych marzeń*. Pisał proste strofy *w tej epoce Przemądrzałego Ośła*. Nie żalił się, że los go boleśnie doświadczał, a choroba robiła swoje. Rozbrajająco skrobnał: *uważnie liczę swoją rentę inwalidzką (Mamy wolną Polskę)*.

Zgarbiony peregrynował ulicami, od kawiarni Czytelnika do Domu Literatury via Nowy Świat; skręcił w ul. Kopernika. Aż w porze obiadu trafił do redakcji „Więzi”, w której prowadził dział poetycki.

W tym miesięczniku publikował od 1958 roku, a od 1963 roku był stałym współpracownikiem redakcji. *Chodzi za mną Warszawa*. W ten oto sposób wydeptywał wiersze *przyprószone codziennością*. Jego strofy są *półśmętne / ale z uśmiechem*. Tak jak życie. Ta drep-tanina dobrze się sprawdzała Hamiltonowi (Jan Zbigniew Słojewski), który pisał latami *Perswazje* do warszawskiej „Kultury”. Takich felietonów literackich nikt w Polsce już nie potrafi przelać na papier.

I kiedy myślę o Autorze *Szczoteczki do sumienia*, to staje mi w oczach jego przygarbiona postać, w spodniach jeansowych, z za-deptanymi nogawkami, przydeptanych butach, niedopiętą kurtką, włosami w nieładzie, w Bibliotece Domu Literatury. Panie bibliotekarki przynoszą mu nowości wydawnicze. A on otwiera książkę i na bieżąco komentuje. Ocenia z treści, a nie z okładki. Jest niezadowolony. Mówi coś pod nosem. Ciągłe ma jakieś *ale*. Wygłasza mini komentarz, a raczej suchą pointę. I wszystko kończy się prośbą pań, które mówią: *Panie Andrzeju, to może pan niech napisze taką książkę, żeby był pan zadowolony...* Oczywiście, że miłe pracownice Biblioteki Donacji Pisarzy Polskich żartują, bo mają do niego słabość. W tym czasie siedzę przy stole nad zwałką gazet i piramidką książek. Słucham i mimochodem patrzę, jak peroruje. Czasami podchodzi do mnie i mówi, żebym przesłał jakieś wiersze. Odpowiadam, że już drukowałem za jego sprawą, i wystarczy, więc odchodzi. Widzę jego plecy oraz wystające z kieszeni grzbiety cienkich tomików poetyckich. Idzie przygarbiony pamięcią, z którą nie może sobie poradzić. Jest taki szczupakowaty.

Andrzej Szmidt pozostawił po sobie kilka tomików, garść rozrzuconych po różnych pismach wierszy i prozy. W teczkach z wy-cinkami można znaleźć dość sporo sympatycznych recenzji polskich krytyków i nekrolog, który napisali Redaktorzy „Więzi”, zamiesz-czony w „Gazecie Wyborczej Stołecznej” z 23–26 grudnia 2006 roku, na stronie 13.

Za życia cieszył się cichą sławą; znany, ale nierozpoznawalny.

Po śmierci zapomniany, jak wielu poetów, którzy uczyli widzieć, słuchać i myśleć.

Nie wiem, dlaczego w Polsce są takie kłopoty z pamięcią. A przecież tylko artyści łagodzą szorstkość tego świata. Pisząc artyści, mam na uwadze szczególnie tych, co zajmują się obróbką zdań, w których przecinki nie kłamią, bo z kropkami to różnie bywa – są nad „i” oraz na końcu.

Andrzej Szmidt (I X 1933 – 18 XII 2006). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18 stycznia 2012 roku.

Szmigiel z Zagórza

Prowadził modelarnię w sanatorium neuropsychiatrii dziecięcej w Zagórzu k. Starej Miłosnej. Lata 60. XX w. Budynek z cegły był nieopodal głównego sanatorium. Jak się szło przez las, chodnikiem, w drodze do *Zameczka*, po prawej stronie stał dom mieszkalny, naprzeciw szklarni. Parterowy. Z podcieniami. Nigdy w nim nie byłem. Podobno pan Szmigiel robił cuda z drewna, które potrafiły unosić się w górę.

Majsterklepka, co wiedział, że najlepiej na siebie liczyć.

Nieraz przechodziłem obok modelarni, bo mnie kusiło, żeby wejść do pracowni i zobaczyć, co tam się dzieje. Żeby sprawdzić, czy to prawda, co ludzie gadają. Ale nigdy nie przekroczyłem progów tego domku. Co ja piszę? Nawet nie wszedłem na 1. schodek. Bałem się rozczarowania. Dzięki temu, nie doświadczyłem smutku, jaki się pojawia – podobno – po spełnieniu baśni.

Stanisław Szmyrko

Grał na trąbce. Mieszkał w Olecku. Wieczorami, kiedy odczanie szykowali się do snu, lubił wejść *w galotach* do jeziora, żeby wykonać o szarej godzinie utwór muzyczny pt. *Cisza (Il Silenzio)*, napisany przez włoskiego trębacza Nini Rosso (1926–1994), wykonywała go też Dalida (1933–1987), część utworu weszła do polskiej

sztuki funeralnej i wykonują go na trąbce na pogrzebach. Poza tym ta melodia rozbrzmiewa we wszystkich koszarach włoskich, aby zasygnalizować koniec dnia). Janusz Panasiewicz, rocznik 1956, z „Lady Pank”, wspominał, że to było dla niego wielkie wydarzenie (*Szlakiem gwiazd*, film strumieniowy, YouTube).

Od Danusi Klejmont dowiedziałem się, że lokalny muzyk, nie tylko świetnie grał na trąbce, a także przebierał palcami na akordeonie. Mieszkał w Babkach Oleckich, skąd pochodzi małżonka Wacława Ewarysta (1947–2011). Wieczorem muzykował z bratem. Najczęściej w sobotę i w niedzielę. Danusia mówiła, że do tej pory pamięta. Ożywia się, gdy o tym opowiada, to znak, że wspomnienia mają wartość sentymentalną.

Stanisław Sz. w życiu nie pokalał się żadną pracą na tzw. etacie. Grał na weselach, w knajpach i tam gdzie potrzebowali muzyki, żeby rozgonić smutki i zapomnieć o kłopotach. Oczywiście, że przy alkoholu, który jest surogatem baśni. Poza tym – jak mówi żona Wacława – to był grzeczny pan, który dożył ponad 70. lat. Wspominam miejscowego trębacza, który potrafił zagrać tak *Ciszę*, że nikt się nie skarżył, że zakłóca wieczorem spokój, jaki nadciągał znad Jeziora Olecko Wielkie. Póki żył, to od strony *Wiewiórczej Ścieżki* płynął dźwięk trąbki, na włoską nutę. Z kluczem nostalgii o ziemi Jaćwinów. Oczywiście, że w sezonie letnim.

Janusz Szuber (10 XII 1947 – 1 XI 2020)

O Januszu Szuberze (Sanok) z każdym rokiem było głośniejsz – otrzymał wiele wyróżnień, m.in. Nagroda Literacka im. Barbary Sadowskiej, Nagroda Poetycka im. Kazimierzy Iłakowiczówny, Nagroda Fundacji Kultury. Krytycy rozpisywali się i chwalili poetę przykutego *do rydwanu inwalidzkiego wózka*. Z życzliwością mówili o nim: Stanisław Barańczak, Marian Grześczak, Zbigniew Herbert, Paweł Huelle, Antoni Libera, Jacek Łukasiewicz, Bronisław Maj, Zbigniew Mentel, Czesław Miłosz, Jagienka Wilczak, Helena Zaworska.

Janusz Szuber przez lata swoje wiersze powierzał czterem ścianom szuflady. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał magisterium i powrócił do Sanoka, gdzie w 1948 roku zawiązano jego pępek. W wieku dwudziestu kilku lat zachorował. Odbył wiele peregrynacji po szpitalach. Do domu wrócił o lasce. Choroba pustoszyła jego ciało. I ostatecznie skazała na wózek inwalidzki. Nie miejsce i pora na rozpisywanie się o *hiobowym losie*. Stało się coś, co nie dodaje człowiekowi otuchy do życia. Żył sobie i pisał wiersze. Znosił trud istnienia i pisał wiersze. Zapewne wszystko byłoby w wielkiej ciszy, gdyby jego pięcioksięgu nie wzięła w swoje ręce Grażyna Jarosz (Norwegia). Pięć tomików wydano na raz, w nakładzie 350 egzemplarzy. A potem Janusz Szubert zaczął rozsyłać wiersze po ludziach. Po to się przecież drukuje, żeby nie trzymać je pod korcem domu. Przy okazji brał udział w spotkaniach literackich. Wiersze zyskały życzliwość i podziw. Czesław Miłosz w *Innym abecadle* (1998), jako *przykład poezji uważnej*, przytoczył w całości utwór Janusza Szubera *Pianie kogutów*, wywołując pobudkę literacką.

W 1999 roku Wydawnictwo Znak wydało *O chłopcu mieszkającym powidła. Wiersze wybrane 1968–1997*, ss. 136. 100 wierszy wybranych i dobranych z książek.

Janusz Szuber pisał sobą i fragmentami ze swojej biografii. Poeta ziemi sanocko-leskiej był po stronie ładu (*buntem jest dziś opowiedzenie się za ładem*) i porządku. Nigdy nie przekraczał dobrego smaku. Trzymał słowo jak lejce albo capigi od pług. W wielkim uproszczeniu można napisać, że są to eseje poetyckie. Taki tygiel narodowościowy, splątany genealogią rodów, religii i tradycji. Albo inaczej: zamknięta Księga Kresów. Poeta z wrodzoną sobie ironią mówił, że jest *etnicznym kundlem doskonałym*. Lokalny patriotyzm w jego utworach poetyckich urastał do rangi uniwersum. To są zapisy wyjęte ze starych ksiąg, bedekerów (przewodników), pocztówek, zdjęć, etc. Szuber myszkował w bibliotekach, starych kufrach, piwnicach i strychach. Miał smykałkę do kwerend – alergią na kurz

i pajęczynę, nic z tych rzeczy. Gracował ścieżki pamięci. Ponieważ był czytany, więc jego wiersze byle czego nie opowiadały. To była dyskretna psychologia wspomnienia. Słysząc w tych lirykach pogłos Zbigniewa Herberta, Jerzego Harasymowicza, Mirona Białoszewskiego, Czesława Miłosza i leciutką spojrzystość Bolesława Leśmiana. Pisał z wielkim apetytem. Nie ma w jego strofach błyskotliwych point ani pestek aforystycznych. To są takie szczelne i misterne ramki. Raczej bliższe malarstwu niż klatce filmowej.

Janusz Szuber był umiarkowanym optymistą. Półgębkiem skrobał – troszeczkę tak od niechcenia. Nie gloryfikował cierpienia, z którym się od lat zmagał: (...) *Marzę, żeby obudzić się rano i nie czuć dolegliwości kalectwa i choroby, żeby to nie było tak uciążliwe jak przez ostatnie dwa lata. (...)*

Łatwo powiedzieć, że cierpienie sublimuje. Równie prawdziwe jest to, że degraduje. Najtrudniejsza dla mnie do przyjęcia jest księga Hioba. W ogóle jej nie lubię [Krzyk ma krótki żywot, „Rzeczpospolita” 1999, nr 20 (25 stycznia 1999)].

Oczywiście, że podobają mi się wiersze pisane w cieniu własnego drzewa genealogicznego. Cenię sobie poetów, którzy – jak antologisci cytatów – piszą o tym, co mają w zasięgu oczu i w pamięci. Mowy wiązane Janusza Szubera przypominają podróże w czasie. Z fiszką pamięci. Bez granic. Rzemieniowym dyszłem. Można by się upomnieć o trochę luzu i żartu. Ale po co? Do bezpośredniego przytoczenia wybieram dwa wersy pt. *Bażanty pomyłka: Popatrz: bażanty kroczą po błękitnym śniegu, / to nie ziemia, to płótno przebija spod farby.*

Poecie Ziemi Sanockiej udało się wyjść z anonimowości. Za życia został doceniony, co znowu nie jest takie częste. Chciałbym uniknąć patosu i dlatego powtórzę: *Bądź sobie sławny, lecz pozostań w domu swoim* (2 Krl 14, 10).

Biografia wierszem pisana, „Arkusz. Miesięcznik kulturalny Oficyny Wydawniczej «Głos Wielkopolski»” 2000, nr 11.

Tadeusz Śliwiak (23 I 1928 – 3 XII 1994)



Zapomniany poeta, który za życia doznawał tyle adoracji ze strony kobiet (i nie tylko!). Wiersze publikował w niejednym piśmie i książce. Były śpiewane. *Ta nasza młodość* to był obok *Dezyderaty* hymn Piwnicy Pod Baranami. Ku pamięci przypomnę fragment songu o młodości: *Ona jest wśród kamieni / rwącym światłem strumyka / wiewiórkami po drzewach / po gałęziach pomyka // Ona iskrą w kamieniu / ona mlekiem z orzeszka / ona świata ciekawa / jak miedziany grosz w mieszkach // Ona kwiatem we włosach / octem w jabłkach jest pierwszych / gorzką pianą na piwie / w świata gwarnej oberży // Buntem jest niespełnionym / co na serce umiera / ona tylko to daje / co innemu zabiera.*

Miły to był gość. Notabene aktor. Opowiadali, że świetny, więc to powtarzam, bo ci, co to mówili, nie konfabulowali.

Z Tadzkiem miałem przygodę w kawiarni warszawskiego Domu Literatury (ul. Krakowskie Przedmieście 87/89). Lata 90. XX wieku. Podchodzę do niego i mówię, jak pisała Halina Poświatowska (1935–1967): *Śliwiak Kochany!* Po chwili dodaje: Tadziku, twoje wiersze są świetne, zwłaszcza ten pt. *Ta nasza młodość*, który wykonuje Halina Wyrodek. Toż to perełka. Ona przecież wyciągnęła z dna śmiechu... płacz.

Śliwiak się uśmiecha, ale to jak! Poprawia grzywkę. I opowiada anegdotę, którą nie przytoczę, bo jest pieprzna i solna, jak to bywa w kawiarni. Po chwili prosi mnie, żebym podesłał wiersze do tygodnika „Życie Literackie”. Przystałem na jego propozycję, bo miałem trochę pietra je przesać do pani Wisławy Szymborskiej (1923–2012), która redagowała dowcipną *Pocztę Literacką* i pisała świetne felietony pod winietką *Lektury nadobowiązkowe*.

W kołonoratniku mam jego wpis. Z telefonem. Adresu mi nie wpisał, bo nie mógł sobie przypomnieć. Trochę mnie to zadziwiło, ale... ten zanik pamięci dał mi dużo do myślenia.

I pomyśleć, że za kilka lat Tadzio, chory na Alzhaimera, wyjdzie raniutko w pizamie z domu i zginie pod kołami tramwaju. O tym

ukazała się drobna wzmianka w gazetach, którą wyciąłem i włożyłem do jego wyboru wierszy *Płonący gołębnik*. Kiedy jej szukałem, nie znalazłem, wyfrunęła pewnie do innej książki.

Tadeusz Śliwiak (23 I 1928 – 3 XII 1994). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 19 sierpnia 2015 roku.

Mateusz Świąćicki (10 IX 1933 – 7 VIII 1985)

Z tym nazwiskiem mam szkolne wspomnienie. W 1972 roku byłem uczniem II klasy Zasadniczej Szkoły Zawodowej Nr 2 w Zduńskiej Woli, profil elektroniczny. Prowadziłem szkolne dyskoteki i pogawędki muzyczne w Internacie Technikum Elektronicznego. Oto szkolny wtęś.

Nie wiedziałem, co to jest *jam session*, choć nieraz słyszałem jak mówił mój kolega Jerzy Ważny, *Baber* z Kalisza, że to jest dopiero muzyka. Pytałem na czym to polega. A on: *Jazz, improwizacja, od wieczora do rana...* Kalisz w latach 70. XX wieku to była mekka polskiego big-beatu. Tu organizowano Festiwal Muzyki Współczesnej, który przekształcił się w Rytm nad Prosną. Ponieważ jazzu i bluesa nie grano w Zduńskiej Woli, więc nie musiał mnie *Baber* długo namawiać, żebyśmy pojechali do jego rodzinnego miasta. Była sobota. Po lekcjach popędziliśmy na stację i wio pociągiem.

Wysiedliśmy w Kaliszu. Autobusem się zakulaliśmy do Kaliskiego Domu Kultury. Wpadliśmy w wir Rytmów nad Prosną. Na piętrze były koncerty, zaś na dole prelekcje, a wieczorem *jam*. W Kaliszu spotkałem mnóstwo młodych ludzi. W jeansach, flanelowych koszulach, z włosami do ramion, w oparach dymu, z piwem w dłoni. Dziewczyny i chłopcy. Szał zmysłów. Luz, blues, jazz, rock. *Tó są hippisi* – powiedział koleżka. Odpowiedziałem, że wiem i nie musi mi tego mówić. Poszedłem na prelekcję Mateusza Świąćickiego. Usiadłem w głębokim foteliku. Sympatyczny starszy pan, z brodą (bez wąsów), w bielusińskiej koszuli, opowiadał o amerykańskim jazzie. Mówił, że w USA sprzątaczką hotelową byłaby

u nas w Polsce gwiazdą. Opowiadał, że za oceanem muzykę uprawiają prawie wszyscy. Nawet policjanci. Puścił płytę jazzmana-policjanta. Zanim popłynęły pierwsze dźwięki trąbki policjanta, a już wstał długowłosy uczestnik i zaczął wykrzykiwać: *Tu jest pełno gliny, i pan jeszcze nas chce w Kaliszu katować amerykańskim policjantem. Proszę to wyłączyć!!!*

A pan Mateusz, jak człowiek dobrze wychowany, zatrzymał płytę gramofonową. Włożył winylowy krążek z dziurką na talerz gramofonu i powiedział: *W takim razie puszczę zespół jazzowy składający się z tych, co odsiadują karę dożywocia w jednym z amerykańskich więzień. Posłuchajcie...* I słuchaliśmy z zapartym tchem. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby przerwać. To była wspaniała prelekcja (...) (*Jam session*).

Do Zduńskiej Woli powróciłem inny, bo to, co usłyszałem, dobrze mną potrzęsnęło. Przy okazji dowiedziałem się, że to jest pierwszy muzyczny szef radiowej Trójki (prowadził audycję *Mój magneto-fon*, którą potem nazwano *Muzyczna poczta UKF*). Po jakimś czasie wyczytałem, że należał do współorganizatorów Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (1963). Nie wiedziałem, że grał na trąbce i pianinie w zespole jazzowym „Pinokio”, z którym wystąpił na I Międzynarodowym Festiwalu Jazzowym w Sopocie (1956 rok). Czasami w radiu słuchałem jego muzyki do piosenek takich jak *Pod papugami*, *Przyjdź w taką noc* (Czesław Niemen), *Jedziemy autostopem* (Karin Stanek). Prowadził także zespół wokalny „Fili-pinki”.

Kiedyś w kwartalniku „Musicorama” zobaczyłem jego zdjęcie, jak tańczy na dyskotece. I to wszystko, co o nim wiem. Fragment.

Ilekoć myślę o prelekcjach, to powraca we wspomnieniach Mateusz Świąćicki, który z takim bigłem opowiadał o jazzie, bluesie, etc. Potrafił tak zaciekać, że potem na długie lata uległem fascynacjom muzycznym. Ponieważ lubię rock and roll, więc kiedy słuchałem riffów gitarowych, to w takich chwilach przychodziły do mnie szkolne wspomnienia.

Aha!

Pan Mateusz pozostawił po sobie też jedną książkę pt. *Jazz – Rytm XX wieku*, Wyd. Państwowy Zakład Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1972.

O jego pamięć dba radiowa Trójka, która od 1987 roku przyznaje nagrody im. Mateusza Świąćickiego – „Mateusze”.

Dzięki takim ludziom, jak Mateusz Świąćicki, mam szerzej otwarte oczy i uszy, i w ogóle spotkać takiego człowieka to jest frajda na całe życie. Jestem fanem, który lubi słuchać różnych genialnych samouków, którzy potrafili tak zagrać, żeby to w nas rozbrzmiewało przez lata. I to jest takie cudowne uczucie, jak wolność. Jak...

Mateusz Świąćicki (10 IX 1933 – 7 VIII 1985). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 27 stycznia 2012 roku.

T Władysław Terlecki (18 V 1933 – 3 V 1999)

O tym, że latami przesiadywałem w Bibliotece Domu Literatury, na II piętrze, nieraz pisałem. Ponieważ jestem sadownikiem antologistą, więc coś tam wiem o pąkach, kwiatach, owocach, obierzynach, ogryzkach i pestkach. W czytelni grzebałem w katalogach. Było to pod koniec lat 80. XX wieku. Idę sprawdzić fiszkę w katalogu osobowym. Obok stoi sztywny pan. Wiedziałem, że to Władysław Terlecki, którego nie czytałem, choć sporo drukował. Był od zawsze redaktorem. (Mówili o nim, że codziennie kupuje dziennik „Życie Warszawy” i paczkę prezerwatyw). Redaktorzy do antologistów zachowują dystans; podobnie jak dziennikarze do poetów. Antologistę trudno wyrolować, bo on zawsze idzie w górę rzeki, do źródła. W głowie mu tylko książki, pisma. Lubi słuchać i żdziebko mówi, niewiele pisze. Idę do wielkich szafeczek z przegródkami i nagle ten kurtuazyjny mężczyzna zadaje pytanie: *Czy pan był ze mną umówiony?* Patrę i po dłuższej chwili odpowiadam: *Panie Władysławie, nigdy w życiu! To przepraszam!* – speszony odpowiedział.

I wyszedł z biblioteki, jak ktoś, kto popełnił foux pas.
To była jedyna rozmówka z Autorem *Kocich łbów*.

Ks. prof. Józef Tischner (12 III 1931 – 28 VI 2000)

Pseudonim *Wawrzak, Chowaniec, Molinista, Józek Szkolny, Jego-mość Józek*. Jeden z tych, co uczył myśleć, a to znowu nie jest aż takie częste wśród księży, co każą wierzyć. Dowcipny kapłan. Góral. Humorem zachęcał do filozofii. Za życia różnie traktowany. Lud za nim szedł. Wcale nie przesadzał, pisząc nieprzyjemne prawdy: *W moim życiu filozoficzno-kapłańskim nie spotkałem kogoś, kto stracił wiarę po przeczytaniu Marksa, Lenina, Nietzschego, natomiast na kopy można liczyć tych, którzy ją stracili po spotkaniu z własnym proboszczem. (...).*

Miał trochę odwagi więcej, bo czuł za plecami oddech Jana Pawła II (1920–2005), który wysoko cenił jego żart, oraz to że nie chciał zbiskupieć.

(...) Kiedyś opowiedział Ojcu Świętemu, jak telewizja ganiła po Zakopanem za Wisławą Szymborską, aby zrobić z nią wywiad. Jakaś góralka zapytała, po co oni tak biegną. «Bo Szymborska Nobla dostała». A kobiecina na to: «Na nobla najlepsze jest świstacze sadło, trzeba porządnie posmarować, po trzech dniach przejdzie» (...).

To ks. profesor doprecyzował definicję nicości: *Co to jest nic? – pół litra na trzech.*

W miesięczniku „Znak” pracowała sekretarka Maria Makuch. Gdy pytała księdza (profesora Józefa Tischnera), czy zrobić mu herbaty, odpowiadał ze śmiechem: *«Ej, Maryś, już niejedna taka była, co mi chciała herbatę robić»*. Kiedy zaś krzykiem mody były nieosiągalne w Polsce legginsy, Maryna zaś nosiła pod sukienką farbowane na czarno kalesony – Tischner strofował ją dobrotliwie: *«Maryś, jak się rano ubierasz, mogłabyś sobie lampę zapalić»* (Jerzy Illg, *Tischner: góralska nawalnica*, „Gazeta Świąteczna” 2009, nr 149).

W 1954 roku kleryk Tischner po raz pierwszy zetknął się z księdzem Karolem Wojtyłą, który w seminarium duchownym prowadził wykłady z etyki społecznej.

17 czerwca 1999 roku spotkał się po raz ostatni z papieżem. Był śmiertelnie chory, zmagał się z rakiem, przywieziono go na wózku inwalidzkim, wychudzony, opuchnięty, łysy. Podał Janowi Pawłowi II karteczkę: *Ojciec Święty ma papamobile, a ja mam tischnermobile*. Papież wzruszony, uściśkał swojego dawnego ucznia.

Kiedy pracownicy „Znaku” podali ks. prof. Józefowi Tischnerowi listek papieru z pytaniem: czy cierpienie ma sens?, odpowiedział, że *nie uszlachetnia*.

Wacław Tkaczuk (30 III 1942 – 5 I 2018)

Był znany z dobrej roboty na niwie polskiej literatury. Edward Stachura (1937–1979) wystawił mu taką wizytówkę: *wypróbowany w bojach przyjaciel, Wacek Tkaczuk (Wszystko jest poezja, PIW, 1975)*.

W młodości pisał wiersze, a później zajął się krytyką literacką. Dopracował się własnego stylu i kryterium wartościowania. To był smakosz erudyta. Z przyjemnością czytałem między wierszami jego felietonowe zadumy. Sympatyczny ursynowianin z ul. Wiolinowej 5, sporadycznie drukował w polskiej prasie. Latami był szefem w dziale literackim Polskiego Radia (Program II). Słowem, spec ds. literatury pięknej. Przez wiele lat był kierownikiem literackim Teatru Polskiego Radia; zasiadał w jury na festiwalu Polskiego Radia (*Dwa teatry*). Prowadził na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim zajęcia z form i gatunków radia artystycznego. Oprócz tego realizował autorskie słuchowiska radiowe i cykl portretów monograficznych.

W połowie lutego 1991 roku na antenie Polskiego Radia (program II) pojawiła się audycja pt. *Wiersze z gazet i czasopism, poetycki przegląd prasy pod redakcją Wacława Tkaczuka*. W dziesięciominutowych przeglądach przedstawiał, co słyhać między szpaltami dzienników, tygodników, miesięczników, kwartalników (i nie tylko!). Dotychczas przyzwyczajeni byliśmy do lustracji prasy, w której dominuje polityka, gospodarka i tania sensacja; półgębkiem wspomniano o kulturze i sztuce. Dzięki Wacławowi Tkaczukowi

przypomniano, że święto słowa odbywa się, tam gdzie jest poezja. Jego niedzielne kwerendy prasowe zwilżały apetyt jak wino. Warto było przykleić ucho do radioodbiornika. Radiowa dwójka głębiej zakopywała znaki zapytania, więc zawsze była na piątkę (5). Krystyna Młodziejewska (os. Ursynów) opracowała czołówkę do przeglądu, wybrała motyw muzyczny Evangelisa (Evángelos Odysséas Papathanassiou) *Memories of green*. Zapowiedź czytał Andrzej Ferenc. Poza tym dwa razy na tydzień prowadził *Przegląd prasy kulturalnej* (Program II).

Wacław to był poeta-radiowiec. Pracowity i pilny.

W 1993 roku został laureatem Złotego mikrofonu za *piękny głos* (prof. Maciej Józef Kwiatkowski). W protokole jury napisano: *za dbałość o formę prezentacji poezji na antenie radiowej i smak w jej doborze*. W tym przypadku słowa były na miejscu. Wszystko się zgadzało. Spotykam Wacka i mocno ściskam mu łapę. Zachowuję się jak nie-Polak, tzn. bez bezinteresownej zawiści. A Wacek Tkaczuk opowiada: *To jest taka nagroda, która – jak mówi profesor Maciej Józef Kwiatkowski – ma duże znaczenie. Na przykład, podczas pogrzebu laureata, zawsze się przypomina, że zdobył Złoty mikrofon «za piękny głos».*

Miał specyficzne poczucie humoru oraz nałogi, których nie zdradził. Do końca.

Przed laty, opowiadałem mu, że czytam książkę, w której bohaterka mówi o tej swojej miłości tak: *Wiele by można o niej powiedzieć; że była trudna, niepełna, wymagająca poświęceń. Dla mnie była przede wszystkim silna jak czterdziestoprocentowa polska wódka, która potrafi wykrzywić twarz*. A Wacek na to: *Czesławie Mirostawie, z miłością jak z alkoholem, wszystkie są dobre, ale do 38 procent*.

Dnia 16 grudnia 2017 roku, w sobotę, zadzwoniłem do niego, żeby złożyć życzenia, bo święta tuż, tuż... Podniósł słuchawkę i ledwo, ledwo odpowiadał, więc mówię: Wacek, przesyłam Ci wszystkie słowa najlepsze, jakie są w słownikach i poza nim; szczególnie te, które trzymają się zdrowia. A Wacek na to szeptem, że takich słów nie ma w kalendarzu.

5 stycznia 2018 roku zadzwonił do mnie Jerzy Stachura-Junior z Gdyni i powiedział: *Wacek Tkaczuk zmarł*. Dodałem i wszystkie słowa zamknęły się w zdaniu, do kropki.

Wacław Tkaczuk (30 III 1942 – 5 I 2018). Sygnały, „Odra. Miesięcznik” 2018, nr 2.

Bohdan Tomaszewski (10 VIII 1921 – 27 II 2015)

Latami komentował dla kibiców wydarzenia sportowe, które tak nas ówczesnie rozpałały. Był dziennikarzem radiowym i telewizyjnym, pisał felietony, książki oraz scenariusze filmowe. Mówił znakomitą polszczyzną. To był arbiter od lekkiej atletyki, tenisa. Niezapomniane były jego radiowe i telewizyjne relacje. Nie sposób zapomnieć narracji. Przecież jego komentarz z biegu na 3 km z przeszkodami Bronisława Malinowskiego (1951–1981) na Olimpiadzie w Moskwie, w 1980 roku, to był majstersztyk. Co za język – a jaki styl! Świetny jak wiersz. I ta pointa. Cymes.

Z przyjemnością czytałem jego felietony w warszawskiej „Kulturze”, pod winietką *Laury i kolce* – kawałki z bigłem pisane.

Latami uczył, żebyśmy w zmaganiach sportowców widzieli coś więcej, niż pogoń za rekordami, medalami i kasą. Uczulał, że powinno się doceniać porażki – tak potrzebne do sukcesu.

Bohdan Tomaszewski – poeta mikrofonu. Smakosz sportu. Z klasą! Elegancki starszy pan, który odszedł tam, gdzie nie ma zegarów, więc nie odnotowują, kto szybciej, wyżej, dalej...

Jerzy Tomaszewicz (24 VI 1944 – 20 VII 2001)

Prowadził w „Sztandarze Młodych” dział kulturalny. Pisał wiersze, uprawiał różne formy dziennikarskie, sygnowane (jet). A potem w Olsztynie pracował w „Dzienniku Pojezierze”. Związał się z Sopotem. Życzliwy człowiek. Nie wadził nikomu, miał swoje zdanie. Pod tą jego nieśmiałością kryły się różne rozwichry. Miły gość, z którym nie przeszedłem na „ty”.

Ktoś o nim (bardzo) trafnie powiedział, że ma *chód liryczny*.

Tomasz Zbigniew Mikołaj Tosik (29 XII 1933 – 29 X 2009)

O jego śmierci dowiedziałem się od Jerzego Chrzanowskiego, byłego dyrektora Muzeum Historii Miasta Zduńska Wola, niezłomnego muzealnika, strażnika pamięci, bardzo czułego na poezję. W listopadzie 2009 roku młodszy kolega nadesłał wycinki prasowe o profesorze Tomaszu Zbigniewie Mikołaju Tosiku, który urodził się w Zduńskiej Woli i zmarł w rodzinnym mieście – „Pod Topolami”.

O profesorze nieraz pisałem, bo uczył nas chemii w Zasadniczej Szkole Elektronicznej w Zduńskiej Woli. Wszyscyśmy się go bali, bo lubił przywalić *lufą* i nie było zmiłuj się. Był taki zawsze nerwowy. Zalatany. Od pracowni do sali lekcyjnej. W jego laboratorium zawsze coś bulgotało. Co? Nie wiem, bo profesor nie pozwalał nikomu wchodzić, jakby tam zajmował się jakąś bombą. Pamiętam jego bródkę, leciutko zaproszoną siwym włosem, oraz okulary z przyciemnionymi szklami. Mówił szybko, jakby strzelał z karabinu albo obrzynka. W przeciwieństwie do jego żony, Sławomiry Tosikowej (z domu Maresch), która uczyła nas języka polskiego i nie podnosiła głosu. Dawniej o takich osobach robiono wzmiankę, że się dobrali jak w korce maku lub, inaczej, że to *ogień z wodą*. Z pewnością było to udane małżeństwo, skoro razem przeżyli 53 lata. Wychowywali dwójkę dzieci: Jerzego (1957–1992) i Annę Marię. (Anna Mołdawa uczy chemii w tej samej szkole, co jej tata, pan profesor Tosik).

Z czułością o profesorze Tosiku pisze Jerzy Chrzanowski, który przytacza mnóstwo faktów o jego barwnym życiu. Do zacytowania wybieram fragment większej całości: (...) *Catkiem niedawno, idąc wcześniej rano do pracy z osiedla Osmolin, spotykam Profesora Tosika pod blokiem, w którym mieszkał przy ul. Łaskiej. Niesie kilka ogromnych, „stukających” toreb. Mówię: Dzień dobry, Panie Profesorze, i żartuję: Co to, żona tak rano puściła Pana z torbami? Profesor na to odpowiada dowcipnie: «Takie życie, idę na śmietnik». Profesor zmierzał*

*do ustawionych niedawno kolorowych pojemników na segregowane śmieci. Pokazuje mi w oddzielnych torbach szkło, gazety, sztuczne tworzywa. Dziwię się nieco, a nie powinienem, co zauważył. Wrażliwy był przecież zawsze na sprawy ochrony przyrody. Na to Profesor: «Jeśli nie ja, to kto ma dawać przykład» (Uczeń i wychowanek. Pożegnanie Profesora Tosika. Na tapecie, „Extra Tygodnik. Zduńska Wola, Sieradz” z 5 listopada 2009). (Zainteresowanym polecam artykuł Jerzego Chrzanowskiego pt. *Profesor legendą dla pokoleń swoich wychowanków był jeszcze za życia*, „Nasz Tygodnik” z 6 listopada 2009 roku).*

Jak czytam takie słowa, to odchodzi ode mnie wszelkie mal-kontenctwo o tygodnikach bezpłatnych. I mam apetyt na takie miasta, jak Zduńska Wola, w której żyją wspaniali ludzie. Tylko dla-czego o tym dowiadujemy się po ich śmierci?

Tomasz Zbigniew Mikołaj Tosik (29 XII 1933 – 29 X 2009). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 22 lutego 2010 roku.

Zygmunt Trziszka (10 XII 1935 – 9 VIII 2000)

W felietonie Piotra Kuncewicza z cyklu *Tę szalone dni* („Aneks Trybuny” 2000 nr 114, s. 8) przeczytałem, że (...) *szalony pisarz Zygmunt Trziszka (...) odebrał sobie życie* (...).

Zygmunt Trziszka (Wędzisz k. Stanisławowa /Małopolska Wschodnia/, 1935). Prozaik, publicysta, krytyk literacki, barwna postać w świecie literackim; znawca Leopolda Buczkowskiego (1905–1989), Henryka Berezy (1926–2012), Antoniego Kępińskiego (1918–1972), Henryka Worcella (1909–1982), Edwarda Stachury (1937–1979) i Ryszarda Milczewskiego-Bruna (1940–1979). Był zafascynowany *żywą mową*, latami się pławiał w nurcie chłopskim w literaturze.

Pisał też pod różnymi pseudonimami: *Junior Starszy*, *Tezet*, *Trziszka-Trziszkow Z.*, *Wiator Polański*.

W swym niespokojnym życiu miał się różnych zawodów. Był listonoszem, nauczycielem i dziennikarzem. Mówiono o nim *trzisk-i-trzask*.

Żył na dwóch skrajnościach, nie potrafił swojego życia wypośrodkować. Tacy też byli bohaterzy jego książek, których sporo opublikował.

Mieszkał w wysokim bloku, na szczycie przy ul. Stokłósy, gdzie wystukiwał nostalgie o człowieku rozpiętym między wsią a miastem.

Po 1989 roku był, jak wielu twórców, zagubiony.

Od kilku lat rzadko dawał o sobie znać na łamach prasy.

Ponieważ lubił mówić prawdę, więc się nie dziwiłem, dlaczego jest tak bardzo samotny.

Z Zygmuntem raz piłem wino i wódeczkę. Nieraz z nim rozmawiałem i nie miałem wrażenia, że opuszcza go chęć życia. Były to szybkie rozmowy.

Trziszce zawsze gdzieś się spieszyło. Lubiał, żeby coś się działo. Żył z iskrą obłądu w oczach, jak każdy autentyczny twórca. Tam gdzie był Trziszka, coś się działo – kurz nie siadał. Zawsze ceniłem sobie takich ludzi, którzy próbowali wnieść w tę polską pruderię ożywczy powiew dyskusji. Być może kogoś raziła forma, z jaką próbował przekłuć ten balon triumfalizmu polskiego. Ponieważ nigdy nie byłem moralizatorem i mam duży margines wolności, więc wysoko sobie cenię osoby, które sprawiają kłopoty.

Zygmunt Trziszka odszedł (runął na ziemię, jak Ikar, co miał skrzydła nie na swoją miarę).

Dlaczego?

Bo przestały mu smakować ziemskie pokarmy.

A może było coś innego, więc to ze sobą zabrał, zostawiając kropkę, którą najtrudniej wybawić nad *i*.

Zygmunt Trziszka (1934–2000). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 18–19 stycznia 2003 roku.

Ks. Jan Twardowski (1 VI 1915 – 18 I 2006)

Za życia bardzo głośny poeta-kapłan, który był zawsze zdziwiony tym całym zgiefkiem na giełdzie literackiej. Po śmierci mimochodem wspominany. Często gęsto wykorzystuje się w nekro-

logach jego skrzydlate słowa, wyjęte z wierszy. To była nietuzinkowa postać. Potrafił pisać wiersze, które się lubiło od pierwszego czytania. Mówił ściszym głosem krótkie kazania, jakby na dłoni zapisane. Do Kościoła Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu 34 ściągali pielgrzymi z całego świata. Przynosili książki, żeby im złożył dedykacje albo ciepłe słowa. Dzieci, młodzież i dorośli. Miał specyficzne poczucie humoru. I dowcip słowa. W sądach teologicznych bywał ostry. Niedowiarkom potrafił mocno natrzeć sumienie. Nie potrafił pogonić tych, którzy na jego twórczości robili dobry interes. Zamiast potraktować ich jak przekupniów w świątyni, ufał, że przychodzą w dobrej sprawie, i dawał się skubać po kawałku.

Po jego śmierci wielkim niesmakiem okazały się sprawy spadkowe. Było o nich głośno i nie sympatycznie. Jedna z najbliższych osób karygodnie się zachowała. Nie wiem, jakie są losy spuścizny ks. Jana Twardowskiego. Co zostało, a co się ulotniło z papierów i innych rzeczy. Nie dociekam, bo nie mam w sobie żylki śledczej.

W swoich zbiorach mam wiele jego okrucichów słów, bo sporo ześmy się zdążyli nagadać. Książd Jan z tych moich zapisków nie był zadowolony. Za przykład mi dawał osobę, która po jego śmierci grozi sądem tym wszystkim, co bez jej zgody będą wykorzystywali wiersze i prozę Księdza Jana od Biedronki. Ponieważ nie jestem podszyty strachem, więc przypomnę przy okazji wspomnienia, jak to było z tym pośpiechem. Zapytałem księdza o zabieganie, bo należę do ludzi, którzy nie robią rabanu. Dlaczego? Bo nagłość poniża. Oczywiście, że nie powiedziałem tego księdzu Janowi, bo po co miałem się śpieszyć. Wystarczy, że mieszkam w Warszawie, gdzie wszyscy się śpieszą, choć ulica używa nieco mocniejszego słowa, którego nie przytoczę, żeby mnie nie posądzono o to, że posuwam się za daleko.

Pora na wręt.

Ludwig Wittgenstein (1889–1951) w 1949 roku zanotował: *Wzajemnym pozdrowieniem filozofów winno być: «Nie śpiesz się!»*.

W 1954 roku Jerzy Stempowski (1893–1969) zaczął publikować na łamach paryskiej „Kultury” eseje z cyklu *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*.

Blaise Cendrars (1887–1961) zanotował: *Własnością człowieka jest zniknąć. Więc śpieszmy się śmiać ze wszystkiego*.

Ksiądz Jan Twardowski w 1971 roku napisał swój najśłynniejszy wiersz pt. *Śpieszmy się*. Słowa Autora *Znaków ufności* weszły do zasobu słów skrzydlatych (*Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*).

W latach 90. XX wieku zadałem dwa pytanie na temat gonitwy na łeb na szyję.

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą – to jedno z wielu księdza skrzydlatych słów, które cytowane są często gęsto na kartach życzeniowych, zaproszeniach ślubnych, a nade wszystko w nekrologach. Dlaczego ksiądz nas tak ponagla?

Bo szybko odchodzą. Kiedy pisałem, że szybko odchodzą, to nie myślałem tylko o śmierci. Wiersz dedykowany jest Annie Kamieńskiej (1920–1986), która wtedy czuła się bardzo dobrze i była pełna sił.

Ludzie odchodzą, bo nami się rozczarowują, gorszą. Odchodzą, bo ulegli urokowi innych ludzi, ale ... przez każdą znajomość Bóg sprawdza, jacy byliśmy w przyjaźni.

Zauważyłem, że ludzie pojawiają się w naszym życiu i odchodzą, nie koniecznie umierają.

Podobno w szpitalu, gdzie ksiądz ostatnio przebywał, ktoś zacytował wiersz księdza?

Kiedy leżałem na stole operacyjnym, jeden z lekarzy, żeby mi sprawić przyjemność, zacytował mi wiersz «śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą»...

Ksiądz Jan Twardowski (1 VI 1915 – 18 I 2006). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 17 października 2011 roku.

V Prof. Jerzy Adam Gracjan Vetulani (21 I 1936 – 6 IV 2017)

Profesor, krakowski psychofarmakolog, neurobiolog, biochemik. Zwolennik legalizacji marihuany i depenalizacji narkotyków dla osób pełnoletnich. W młodości konferansjer Piwnicy pod Baranami, gdzie *głównie się śmiałem i piłem*. Nie ukrywał, że jego uczeni rodzice byli zdruzgotani takim stylem życia: *na godz. 8 stawiałem się do pracy w Instytucie Farmakologii, wracałem ok. 15 i kładłem się spać, budziłem się o 20 i szedłem do Piwnicy, skąd wracałem nad ranem. Za dnia życie młodego uczzonego, w nocy – artysty*. W życiu realizował dewizę, wziętą od pisarza s.f. Isaaca Asimowa (1920–1992), która brzmiała: *Niech zmysł moralny nie skłoni cię nigdy do niewłaściwej decyzji, zmysł moralny potrafi sprowadzić na manowce*. Nie ukrywał tego, że *«Gdyby Boga nie było, należałoby go wymyślić» – powiedział Wolter [(1694–1778)] i wielu neurologów przyznaje mu rację*. Pisał o *Łasce choroby*, która *zmniejsza wszelkie pokusy*.

Profesor miał epikurejską pogodę ducha. Potrafił szukać tych jaśniejszych stron w życiu. Świetnie opowiadał, na przykład o używkach: *Pierwszym alkoholem, jaki piłem, poczęstowali mnie partyzanci, chyba w Kasinie Wielkiej. To był bimber z miodem, bardzo smaczny, spałem potem długo*. Za jego stoickim spokojem kryła się olbrzymia erudycja, więc uczył żyć. Jedną z jego recept, jaką zostawił w testamencie, zacytuję, bo jest uniwersalna: *Nauczyłem się pocieszać ludzi w trudnych sytuacjach, np. kiedy ktoś bliski im umrze. Wiem, jak pobudzić neurony lustrzane, które umożliwiają nam dzielenie wrażeń i emocji z innymi – przez dotyk, objęcie. Kiedy przytulaniem pobudza się dużą powierzchnię skóry, to w przysadce mózgowej uwalnia się oksytocyna – hormon powodujący m.in. uspokojenie, zaufanie ukojenie, poczucie bezpieczeństwa. Jeszcze gdy byłem kierownikiem zakładu i nie wiedziałem o oksytocynie, to się nauczyłem, że zmartwionych tragediami domowymi pracowników trzeba objąć i przytulić. Bez względu na płć*.

Rodzina w nekrologu profesora m.in. napisała: *neuroentuzjasta, uczony błazen, pędzący na wariackich papierach. Jako przyrodnik mówił: «życie jest wrzodem na ciele Wszechświata», ale Jego życie nie było wrzodem, było pełne pasji i przyjemności.*

Drzewa, Książki, Cham, Akcent 2017, nr 1 (147), Z rozmów z obcym, Koszyk, Profesor Jerzy Vetulani. Felietony, „Tygodnik Olecki” 2017, nr 17–18.

Jerzy Waleńczyk (2 X 1927 – 12 VII 1994)

W

Wiele o nim słyszałem, jakiś tam jego wierszyk przeczytałem w łódzkim tygodniku „Odgłosy”, ale mnie nie wziął. Liryk na poziomie średniej krajowej. Było to podczas biesiady z okazji Łódzkiej Wiosny Poetyckiej, lata 80. XX wieku. Siedzę przy stole suto zastawionym, choć w sklepach pustka. Sól i ocet. I nagle ktoś z łodzian mówi: *O, Waleńczyk!* Powiedział to tak, jakby chciał mnie uprzedzić przed jakimś kataklizmem. Spojrzałem na gościa, który miał na pewno obłęd w oczach, ale to nie powód, żeby od razu straszyć. Przecież już przeszedłem takie typy, jak Andrzej Babiński (1938–1984), Kazimierz Ratoń (1942–1982) czy Ryszard Milczewski-Bruno (1940–1979). A Waleńczyk wpadł z rozwianym włosiem, w białej koszuli, w garniturze. O abnegacji nie było mowy. Wśród łódzkich literatów zapanowała cisza. I to mi się nie podobało. Bo jeżeli ktoś sprawia kłopoty, to trzeba mu poświęcić trochę więcej czasu. Nagle jeden z poetów opowiada, że Waleńczyk zwariował po tym, jak Edward Stachura (1937–1979) go pobił. Nie dopytywałem się o co poszło? Kiedy była bójka? Czy faktycznie się szarpali?

Siedziałem (nie przy okrągłym) stole i nie mogłem pić wina, które rozwesela serce – wybrałem wódeczkę.

Jerzy Waleńczyk debiutował tomikiem poetyckim pt. *Wino pół-słodkie*, Wydawnictwo Iskry, 1957. Zrobiło mi się głupio. Nie mogłem zrozumieć tego, że poeta-prozaik (romanista) z Warszawy pobił wierszokletę (polonistę) z łódzkiej dzielnicy Stoki, który pisał też

opowiadania. W 1964 roku wydał w Wydawnictwie Łódzkim książkę *Uliczka Dobrych Ludzi*.

Jerzy Wilmański (16 IV 1936 – 16 XII 2005)

Urodził się w Aleksandrowie Łódzkim, do którego jeździ tramwaj 44. O najwcześniejszych latach napisze: *Dzieciństwo miałem byle jakie, ale nie odbiegało ono od dzieciństwa moich rodziców (Strzępy biografii)*. W podłódzkim mieście zdał maturę, 1955 rok, i debiutował wierszem. W tym samym roku podjął studia na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Będąc uczniem szkoły średniej, został korespondentem terenowym łódzkiego „Expressu Ilustrowanego”. W latach 1959–1962 współpracował z „Głosem Robotniczym” (do 1968 roku był reporterem miejskim) oraz Redakcją Młodzieżową Polskiego Radia w Łodzi. W latach 1968–1979 pracował na etacie w tygodniku „Odgłosy” (kierownik działu kulturalnego i sekretarz redakcji). W latach 1979–1990 został kierownikiem literackim i komentatorem Radia Łódź. Publicystyka była jego nałogiem, a literatura pasją i zwątpieniem, zaś polityka rozgoryczeniem. Jest autorem około 200 audycji literackich. Był zastępcą redaktora naczelnego spółki wydawniczej „Videopress” oraz redaktorem wydawnictwa „Oficina Bibliofików”. Został łódzkim korespondentem i sekretarzem „Trybuny”, oraz kwartalnika „Kronika miasta Łodzi” i tygodnika „Fakty i Mity”. Pełnił też funkcję przewodniczącego Rady Programowej Radia Łódź S.A. Próbował utrzymać się na powierzchni, aż został bezrobotny (sic!). Okazało się, że pisanie to niepewna strategia na życie, które daje taką nauczkę, że hej!

Opublikował kilka tomików poetyckich, m.in.: *Poemat niedoskonały* (1959), *Obrona krajobrazu* (1963), *Odlot* (1970), *Tylko słowa* (1976), *Czterdziesta jesień* (1979), *We mgle, we mgle* (1984), *Pożegnanie karnawału* (1986). W 1982 roku wydał mikropowieść pt. *Tak prędko, coraz prędkiej*, a w 1985 opowieść-collage *Bez ładu i składu*. Był specem ds. historii Łodzi, o czym pisał w książkach: *Krzywa*

latarnia (1966, opowiadania), *Rzeczy dziwne i ciekawe* (1972, felietony), *Piotrkowską na wprost* (1977), *Antykwariat przy Piotrkowskiej* (1983).

Jego feblikiem była Łódź wielu narodów i kultur.

Jest autorem alfabetu wspomnień pn. *Łódzkie portrety pamięciowe* (Oficyna Bibliofilów, Łódź 2004), który opracował graficznie i typograficznie Zbigniew Janeczek, z Famuł, z ul. Przędzalnianej. Ikonografię stanowią zdjęcia czarno-białe oraz satyryczne konterfekty Stanisława Ibisa-Gratkowskiego (1923–1988). I to jest nielada gratka. Stron 95, format B5. Z biglem rozpisane życiorysy, wyjęte ze wspomnień. Nie ma w tym patosu, choć osoby, o jakich skrobie, często go nadużywały. Pan Jerzy stukał na maszynie kroniki liryczne o mieście, przez które płynie Pietryna – niemy świadek ziemi obiecanej i kwiatów polskich. Jerzy Wilmański, poeta, co widział inaczej i dalej. I był niebanalny, choć z dystansem – jak człowiek, co się sparzył albo zmarł. Świetnie swój czas uchwycił, choć troszkę talent przeziukał, niestety. Miał dar zapisywania, więc łatwo się przerzuczał z literatury na małe formy dziennikarskie. Mówiąc po łódzku, nie ma w tym *napuszonego picu*. Nigdy nie obnosił się z erudycją – grube szkła w okularach świadczyły, ile omiółł *światła druku*. To był oczyszczany gość. Mocno stąpał po ziemi, więc nie było mowy o mezialian-sie, choć można w to wmieszać fantazję. Łódź to miasto, gdzie proza, z ulicami jak liryka. Oto próbka – sznycik, z wierszowanym podziękowaniem, które wyszło spod cienia jego palców: *To Pan przed laty... (czas uchodzi) / uczył mnie abecadła Łodzi, / historii miasta, dźwięków, dymów, / przedmieść zaułków i kominów... / To Pan przed laty... (lepiej nie liczyć) / W redakcji nie dał mi się byczyć / Lecz pędził w miasto, w pejzaż Łodzi: / «Chodzić po mieście trzeba, chodzić...»* (Henryk Rudnicki — felietonista doskonały).

Dziennikarstwo rozmywa talent, to kierat i ciągła dyspozycja – bez wymówek.

Jerzy Wilmański latami ścibolił artykuły nie za duże, nie za małe – z lekką goryczą. Uzbierał tego setki, więc jest w czym prze-

bierać i wybierać. Źle znosił polskie dole i niedole. Uwierała go Polska rozgrzana marcem, czerwcem, sierpniem i (przypalonym) październikiem, oraz (gorącym) grudniem. Po transformacji ustroju nie mógł znaleźć swojego miejsca. Puściły nity i spaw, i na nic się zdała obróbka. Zdań. Tapnął PRL. Z perspektywy czasu widać, jak wielu przehandlowało to, o co walczone i *wszystko zaczęło się rozpieprzać*.

Często można go było spotkać na łódzkim szlaku kulturalno-gastronomicznym, gdzie nieraz wznosił *Toast* na pohybel losu: *A w nas życie / Jeszcze tli się / Niedopałkiem (...) Lecz za miastem / Ktoś już dla nas / Ciosa głaz / Wzniesmy ten / Ostatni toast / Do snu czas*.

To, że uciekał gdzie ciszę posiali, może świadczyć o tym, ile w nim było wniebogłosów. Jak przystało na samotnika, lubił wtopić się w stado, które lubi żyć z gestu tych, co z życia robią literaturę, zostawiając wyobraźnię dla poezji.

Zamiast pointy chciałbym przypomnieć, że jest autorem takich strof jak: *Gdy łódka gdzieś w kanałach ginie, / Murszeją domy, czas ucieka, / Przez miasto nieustannie płynie / Piotrkowska – Łodzi wierna rzeka*.

Jerzy Wilmański (1936–2005). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 2–3 maja 2020 roku. Zamieszczono fragment większej całości.

Jan Witan (2 VI 1943 – 4 IV 2002)

Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim. W 1965 roku debiutował na łamach prasy jako krytyk. W 1973 roku obronił pracę doktorską *Od poezji czystej do nuty człowieczej* uzyskał stopień doktora. Był redaktorem „Poezji”, „Nowego Wyrazu”. A w latach 1985–88 lektorem języka polskiego i wykładowcą na uniwersytecie w Tybindze (dawna RFN).

Eseista, krytyk literacki, smakosz poezji, potrafił mówić cytami albo pełnymi wierszami, miał niebywałą pamięć. Wydał:

Piękna plejada. Szkice o poezji polskiej XX w. (1980). Opracował: Józef Czechowicz, *Poezje wybrane* (1985), *Poezja wyzwolenia. Antologia* (1985).

Mieszkał na Ursynowie.

W latach 80. XX wieku zaczął chorować.

Spotkałem go zupełnie przypadkowo na placu Zamkowych. Szedł chromając. Niósł naręczę kwiatów, jakie otrzymał po spotkaniu autorskim. Chciał się ze mną podzielić różami. Był podniecony. Wygłosił dytyramb na temat cierpienia. Oniemiałem, bo nigdy przy mnie nie był wylewny. Kwiatów nie przyjąłem. Mówiłem, że różyczki za bardzo nie pasują do chlebaka (torba rybacka).

Pamiętam, jak się cieszył z narodzenia dziecka (syna) i młodej żony.

A potem znikł mi z oczu. Mówiono, że przeszedł na rentę. Dochodziły do mnie wieści, które nie będę przytaczał, żeby nie zasnuć.

Żył nerwowo. Spalał się w dyskusjach i polemikach.

Ponieważ znał twórczość Józefa Czechowicza (1903–1939) lepiej niż własną podszewkę życia, więc zamiast kropki nad „i” zacytuję słowa z listu, jaki napisał Autor *nuty człowieczej*: *Umarli grzebią swoich umarłych, ale my żywi, «nolens volens» do nich wracamy, bo tam, i nigdzie indziej, jest dla nas jakaś nauka, jakiś znak, którego się trzeba domyśleć, dobadać.*

Jan Witan (2 VI 1943 – 4 IV 2002). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 13 stycznia 2003 roku.

Wiktor Wołkow (4 IV 1942 – 27 III 2012)

W księgarni warszawskiej kupiłem album czarno-białej fotografii *Wiktor Wołkow* (1983), z tekstem Edwarda Redlińskiego, który zanotował to, co mówił okoliczny chłop, Michał Macoszko.

A w domu, kiedy zacząłem oglądać zdjęcia i czytać tekst, wpadłem w zachwyty czytelniczy. Była to taka żywa mowa pisana. Ileż

w tym było piękna, mądrości chłopskiej. Tak się książką zafascynowałem, że poszedłem do księgarni, żeby ją Michałowi Fludrowi (1945–1989) kupić, bo to były też jego klimaty.

Napisałem do Wołkova list, czy nie mógłby mi podesłać zdjęcia drzew owocowych do antologii *Księga o sadach i owocach*. Przesłał czarno-białą fotografię gruszy polnej, pospolitej, po łacinie zwaną *Pirus communis*, a po naszymu: ulęgałka.

Za jakiś czas otrzymałem list od poety Wiesława Kozaneckiego (1939–1989):

Białystok, 18 paźdź. 1988 r.

Drogi, Drogachny, Kochanieńki,

piszę słów kilka od razu po otwarciu koperty z Twoim zbiorkiem pt. „Po naszej stronie”. Wspaniała jest Twoja pamięć o mnie, aż głupio dziękować, bo to przecież nie z tej SFERY znaczeń. Rozmawialiśmy o Tobie z Wiktorem Wołkowem. Spytał: „Kto to jest pan Cz. M. Szczepaniak?” Odpowiedziałem: „Przyjaciół!” Będzie też Wiktor dla Ciebie taki, jak dla przyjaciół!

Kończę już ten krótki SYGNAŁ SERCA,

pozdrawiam Cię Wiesław

W latach 90. XX wieku podczas wystawy fotografii Edwarda Hartwiga (1909–2003) spotkałem Wiktora Wołkova. Kawał chłopca! Pogadaliśmy dłuższą chwilę i obdarowałem go *Wierszami wybranymi* Bolesława Leśmiana (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989), które opracowałem, bo miałem taki kaprys.

Wiktor był daleki od spraw miasta. To się widziało, czuło, i w ogóle.

Wystarczy tylko przepisać tytuły z grzbietów jego albumów, żeby poznać ślady peregrynacji: *1863 opowieści o Puszczy Knyszyńskiej* (1993), *Kraina zielona* (1996), *Biebrza* (1997), *Wołkow. Podlasie, Supraśl, Puszcza* (2007), *Bocian* (2007).

Za mało go znałem, by coś więcej o nim napisać. Wiem, że to był artysta fotografik. Za pomocą aparatu fotograficznego ocalał chwile, które nijak zatrzymać. I wcale nie przesadzano, kiedy mó-

wiono na jego temat, że to *Chłopisko wielkie jak koń. Wielgi jak koń i silny jak koń. Motocykla, panie, przez rzekę na plecach przeniósł. Obwieszony aparatami, z których wystawały obiektywy, jak lufa armaty. Taki wielgolud i w takie fik-pstryk się bawił.*

Miał ponad 100 wystaw, m.in.: *Flora i fauna Białostoczczyzny* (1970), *Gawrony* (1970), *Ptak* (1974), *Taki pejzaż* (1976), *Biebrza* (1977), *Potrąwka z zająca* (1981), *Pejzaż czarno-biały północno-wschodni* (1983), *Moje loty* (1995).

Ponad 50 lat dźwigał aparaty fotograficzne i statyw. Żył na czatach, tj. za krzewami i drzewami, wsparty o darń. I pomykał ostrożnie, żeby nie spłoszyć ptaków. Musiał się kamuflować, żeby go zwierzęta nie zwietrzyły. Oczywiście, że wykazywał się sprytem. Latami polował aparatem, żeby złapać chwilę na światłoczułą kliszę. I wywołać, aby trwała dłużej.

To był fotograf-poeta Podlasia. Z polotem, jak się patrzy. Wysoki chłop i jego zdjęcia też były na miarę tego, czym go natura obdarzyła – choć na krótko, niestety.

Wiktor Wołkow (4 IV 1942 – 27 III 2012), „Tygodnik Olecki” 2012, nr 18.

Wiktor Woroszyński (8 VI 1927 – 13 IX 1996)

To było przypadkowe spotkanie i na dodatek interesowne, bo... Ale to za chwilę.

Nie wiedziałem o tym, że okupację przeżył pracując na fałszywych papierach w warsztacie stolarskim. Po wojnie na Uniwersytecie Łódzkim ukończył polonistykę i bardzo zaangażował się w ówczesną politykę. Nie będę wymieniał jego książek, bo można to znaleźć w internecie, a potem się zadumać – czym się kończy megalians literatury pięknej z (brzydką) polityką. Należał do tzw. pokolenia pryszczatych, czyli młodych pisarzy, entuzjastów, którzy twórczość podporządkowali wymogom komunizmu na modłę świecką i radziecką [Tadeusz Borowski (1922–1951), Andrzej Braun

(1923–2008), Tadeusz Konwicki (1926–2015), Andrzej Mandalian (1926–2011), Wisława Szymborska (1923–2012), Witold Wirpsza (1918–1985), Witold Zalewski (1921–2009)]. Gorąco przeżywał socjalizm, póki nie zobaczył, co Rosjanie zrobili na Węgrzech w 1956 roku. A potem, jak wielu, został neofitą, szukającym ludzkiego odbicia. Jak się później okaże – z obietnic został mu polityczny grymas na twarzy.

Ale wracajmy do tygodnika z ul. Wiejskiej. Tak się złożyło, że prowadził w „Zwierciadło” kącik poezji miłosnej. Ponieważ nie znałem nikogo z pryszczatych, pomyślałem, że nadszedł czas aby poznać choć jednego, który dał się wkręcić w układ, który niszczył człowieka. Taką miałem zachciankę jak pryszcz.

Wiersz oraz notkę biograficzną wysłałem do tygodnika „Zwierciadło”. Po jakimś czasie wdepnąłem do redakcji, gdzie redaktor Wiktor Woroszyński poinformował mnie, że liryk (**** Tak ubrać Ciebie...*) z notką się ukaże. Dotrzymał słowa (*Album poezji miłosnej*, „Zwierciadło” 1988, nr 21).

Spotkanie krótkie. Był speszony i zawstydzony, jakby wyczuł, że o nim wiem o wiele więcej niż on o mnie. Przypominał człowieka, który wyzwolił się z wnyków i odtaje z nagonki. Siedział przy biurku, z wyrzutem sumienia i gorzkim uśmiechem. Chwilę moment mi poświęcił.

Na do widzenia podał mi rękę, którą mocniej ścisnąłem, żeby się ździebko ożywił.

W jego oczach i spojrzeniu zostały szczegóły sprzed lat – dawne patrzenie przenikało.

Wspomnienia (3) [Wiktor Woroszyński (8 VI 1927 – 13 IX 1996) *Wspomnienie*, „ReWiry” 2021, nr 1(4), styczeń – marzec, Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2021]

Stanisław J. Woś (16 X 1951 – 11 IX 2011)

Po raz I. spotkałem Stanisława J. Wosia w Olecku w 1982 roku. Przyjechałem na *Sztamę* i miałem spotkanie autorskie. Ponieważ był

straszliwy boom na twórczość Edwarda Stachury, więc zaprezentowałem młodym ludziom mini wykład pt. *Cholernie bolą mnie pięty od tego myślenia... Podania i widokówki Edwarda Stachury*. I nagle poczułem, że ktoś bardzo dyskretnie robi mi zdjęcia. Po spotkaniu poznaliśmy się. Porozmawialiśmy. Za jakiś czas otrzymałem czarno-białą fotografię. Reporterską, z artystycznym sznytem. Pomyślałem, że ten Woś to niezły fotograf. Od tamtego czasu, dzięki Wacławowi Klejmontowi, wiedziałem coś niecoś o Wosiu z Suwałk. Mój starszy kolega był admiratorem jego zdjęć, doskonale się orientował w peregrynacjach artystycznych krajanów. Wosia nazywał plastykiem-fotografem.

Stanisław urodził się w Jezowie, mieszkał w Suwałkach, w których prowadził Klub Fotograficzny „PAcamera”. Był pedagogiem w Warszawskiej Szkole Fotografii.

Kiedy w 2009 roku Wacław obchodził 40-lecie debiutu literackiego, m.in. do mnie pisał o swoim benefisie, na którym pojawił się dzięki szpitalnej przepustce: *Listopadowy wieczór odchodził do historii z miłym ociąganiem... Nikomu się nie spieszyło... Nikt nikogo nie poganiał, a słowo słowo znaczyło. Ogrzani w świetle słowa nurzaliśmy się we wspomnieniach po 108 i pół metrową dogłębnosć Hańczy, podarowanej mi na tę okazję przez Stanisława J. Wosia – Mistrza rozczesywania światła emanującego w przestrzeni i czasie. Nieziemsko jakoś tak stało się tą listopadową porą...* (23 listopada 2009 roku).

W maju 2011 roku odszedł Wacław Ewaryst Klejmont, a we wrześniu 2011 roku Jego śladem poszedł Stanisław J. Woś. To byli Ci, którzy pracowali na dobre imię Suwalszczyzny. Wacław był słowiarzem nad słowiarzami, a Stanisław utrwalał za pomocą aparatu fotograficznego, przy sztalugach albo na kartce, rysunek chwil, które zawsze się kończą. Jak wszystko w życiu.

Stanisław J. Woś. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 29 września 2011 roku, „Tygodnik Olecki” 2011, nr 39.

Wojciech Woźniak

Był redaktorem naczelnym pisma literackiego „Pracownia”, które wydawał Ostrołęcki Ośrodek Kultury, od 1989 roku. Wysmakowany kwartalnik. W spisie treści: literatura piękna i plastyka. Format 185 mm x 225 mm, objętość 120 stron, nakład 300 egz. Oczywiście, że redakcja płaciła honoraria. To był sumienny dziennikarz i animator kulturalny. Dzięki niemu zaistniał w obiegu termin *czasopisma formacji 89*. Potrafił wokół literackiego periodyku skupić ludzi z całej Polski. Z Ostrołęki uczynił miasto wrażliwe nie tylko na powaby rzeki Narew i łęgów (podmokłe łąki). Walczył z wszelkim malkontenctwem i prowincją umysłową. Mimo różnych przeciwności, udawało mu się publikować nie byle jakie teksty oraz tłumaczenia. Przypadkowo dowiedziałem się, że 6 września 2003 roku zginął wraz żoną Zofią w wypadku samochodowym. W swoich zbiorach mam jeden od niego lapidarny list, jaki zwykł pisać redaktor naczelny do autora, który przeszedł przez sito redakcyjne.

22 marca '95

Drogi Panie Czesławie Mirosławie – jest wreszcie „Pracownia 13”, a w niej Pańskie opowiadanie i wiersz.

Mimo przeciwności najróżniejszych, szykujemy na jesień jeszcze dwa numery: 14 i 15.

Pozdrawiam serdecznie –

Wojciech Woźniak

Po jego śmierci przestała ukazywać się „Pracownia”. Gminna Biblioteka Publiczna w Kadzidle, na Kurpiach, nosi jego imię i nazwisko.

Wspomnienia świadczą o kondycji pamięci. Nieważne, skąd jesteś.

Wojciech Woźniak. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 26–27 kwietnia 2014 roku.

Andrzej Wróblewski, Ibis (26 VII 1922 – 20 III 2002)

Za życia bardzo znana osoba, a po śmierci zapomniana. *Piórka Ibis* drukowało „Życie Warszawy”. To był typ dziennikarski. Pouczał, polemizował i nie moralizował. Uprawiał wiele ogródków i łąpał kilka spraw na raz. Kiedy jechałem z nim autobusem, to perorował tak, że wszyscy mogli dobrze usłyszeć. Ponieważ jestem człowiekiem wstydliwym i kameralnym, więc nie muszę pisać, co czułem, kiedy szorowałem środkiem miejskiej komunikacji z brodatym redaktorem Ibisem.

W opiniach bywał bardzo ostry, choć można go było udobruchać i ostudzić lapidarną ripostą. Albo dowcipem. Nie pozostawił uczniów, choć nauczał studentów dziennikarstwa. No cóż! Można być za życia głośny jak bęben, by po śmierci zostać przyduszonym ciszą.

Przypadkowo z tomiszcza Henryka Markiewicza (1922–2013) i Andrzeja Romanowskiego (rocznik 1951), *Skrzydlate słowa* (PIW, Warszawa 1990, ss. 1213) wypadł felieton Ibis pt. *Ach, jaki jestem inteligentny! Piórkiem Ibis* („Życie Warszawy” z 29–30 sierpnia 1998 roku). Oto fragment większej całości: (...) *Chyba każdemu z nas, piszących, zdarzyło się jakieś muśnięcie skrzydłem Geniusza, owocujące myślą godną uwieńczenia. Sam mam kilka takich. Bo chyba sroce spod ogona nie wypadłem! Ponieważ i tak przejdę bez echa, więc przypomnę, że w latach 80, (tak!) uparcie lansowałem hasło, że skoro nam się nie udało, żebyśmy byli bogaci, to bądźmy przynajmniej kulturalni; nawołując do szanowania tradycji dowodziłem, że jak się nie wie, kim się było, to się nie wie, kim się jest, przy okazji przestrzegałem, żeby nie popadać w przesadę, bo nie można iść naprzód z głową odwróconą do tyłu. Skrupulant może te bon moty znaleźć w moich artykułach na tematy kulturalne, których mam chyba kilkaset. I co z tego? Ano to, że jakby tak poszperać po gazetach, toby się wybrało materiału sporo na tom, zasługujący na tytuł np. „Lotne kaczki” i konkurencyjny zarówno ze „Skrzydlatymi słowami”, jak i z „Księgą cytowań (...).*

Cytuję, choć wątpię, żeby ktoś ruszył na odsiecz i zaczął lektrować, i wydłubywać ziarnka Ibisa.

Pamięć ludzka jest krótka, więc przypominam, że był Ibis – ptak ponury, choć czuły na język polski. Uskrzydłony dziennikarz, a nie jakaś kura, co pisze pazurem. Albo jak kto woli – dziennikarska kaczka.

Andrzej Ibis-Wróblewski (26 VII 1922 – 20 III 2002). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 23 marca 2012 roku.

Prof. Kazimierz Wyka (19 III 1910 – 19 I 1975)

Z Krzeszowic. Historyk literatury, krytyk, kibic Cracovii, świetne pióro. Należał do profesorów, którzy potrafili pisać teksty w dobrej szacie literackiej. Dzisiaj już tak profesorowie (i nie tylko!) nie piszą. Wędrował rzemiennym dyszlem po tematach polskiej literatury pięknej. Miał świetnych uczniów: Jan Błoński (1931–2009), Ludwik Flaszen (1930–2020), Andrzej Kijowski (1928–1985), Konstanty Puzyna (1929–1889). Pozostawił zapiski, a wśród nich taki pasus: (...) *Rozmowa bardzo trudna do zapisania, a zarazem przy swojej pozornej chaotyczności ujawniająca całego Różewicza. Przede wszystkim jego rzadko spotykaną i złożoną z dokładnych realiów pamięci. Powiedział, że niegdyś próbował prowadzić dziennik, zaniechał tego w roku 1954, z obawy, ażeby takowy nie dostał się przy rewizji w niepowołane ręce i przed zbyt ciekawe oczy. Okazało się to później zbędne, ponieważ wszystko nosi w głowie niczym w kartotece. Wystarczy nacisnąć odpowiedni guzik, fiszka sama wyskakuje. (...) (25.IV.1971) [6.38 do Krakowa. 100. rocznica urodzin Kazimierza Wyki. /Oprac./ Marta Wyka, historyk literatury, krytyk, córka Kazimierza Wyki, „Gazeta Świąteczna. Gazeta Wyborcza” 2010, nr 67 (20–21 marca)].*

Wspomnienia (3) [Prof. Kazimierz Wyka (19 III 1910 – 19 I 1975) Wspomnienie, „ReWiry” 2021, nr 1(4), styczeń – marzec, Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2021].

Kazimierz Wypych

Pana Kazimierza poznałem dzięki Małgorzacie i Zdzisławowi Chmielewskim. Zdzicho był jego zięciem. Latami przyjeżdżałem do Główna, żeby odpocząć, a przy okazji ze Zdzichem skręcaliśmy drewniane kule, które idą za mną już tyle lat. I zanim przystąpiliśmy do pracy, poszedłem obstałować u pana Kazimierza śruby, nakrętki i szajby. Powiedziałem, że po śmierci mojego ojca Czesława (1930–1986), tokarza, nie mam gdzie zrobić śrub. Pan Kazimierz poprawił mnie: *Pana ojciec nie był tokarzem. To był pan tokarz!* Przytaknąłem głową. Po czym obejrzał śruby mojego ojca i rzekł miłe słówko, w myśl zasady starych rzemieślników: nie oczekuj na pochwały, bo zawsze cię mogą opieprzyć. Pan Kazimierz wziął wymiar i powiedział, że obtoczy śruby. Zapytałem – ile się będzie należało za robotę? *Co pan, panie Czesiu, ...* – dodał i zaczęliśmy rozmawiać na inne tematy, paląc papierosy.

Następnego dnia pan Kazimierz przyjechał rowerem na ul. Piątkowską 20, z torby wyjął mosiężne śruby, nakrętki i podkładki (szajby). Zaczęliśmy skręcać kule. A potem je przetarłem papierem drobnoziarnistym i pociągnąłem lakierem bezbarwnym. Po robocie, w sklepie kupiłem butelkę alkoholu zamiast kwiatów i poszedłem się rozliczyć ze specjalistą od obróbki skrawaniem. Oczywiście, że się sumitował. Ostatecznie postawiłem na swoim. Zjedliśmy obiad, wypiliśmy kawę, zadymiliśmy pokój na IV piętrze, aż pani Ela musiała szerzej otwierać okna. Rozmawialiśmy nie tylko o obrabiarkach do obróbki powierzchni zewnętrznych (toczenie) i wewnętrznych (wytaczanie).

Pan Kazimierz miał pod blokiem swój ogródek, który pielęgnował. Żył od rana tym, co będzie na obiad.

Odwiedzał okoliczny bazarek i sklepy. I kucharzył. Gotował smacznie. Nakładał na talerz tak, żeby nie prosić o dokładkę. Miałem kłopoty, bo pan Kazimierz mnie przeceniał, jeżeli chodzi o jedzenie. Wyżywał się przy różnego rodzaju sałatkach. Gotował na węglowej kuchni, więc to miało smak. W rozmowie zachowywał

umiar. Był precyzyjny jak rysunek techniczny. Tworzył z żoną parę, przy której nie wypadało wspominać o kłopotach i chorobach. Imponował mi tym, że do współmałżonki mówił *Elżuniu!*

Latami pan Kazimierz toczył mi śruby na kule. Z mosiądzu. Ilekroć patrzę na styliki, to o nim myślę. Nigdy się nie zdarzyło, żeby puściły śruby. To był tokarz i wspaniały gość. Zawsze ogolony, zaczesany, z włosami z falą. Zapracowany, ale znajdował czas na odpoczynek. Po pracy dłubał na działce. Hodował wspaniałe pomidory i inne warzywa. I ciągle rozmyślał, co jutro będzie na obiad. Sporo też czytał. Miał specyficzne poczucie humoru. Czasami musiał przystanąć, żeby skurcz nóg przeczekać. Lata stania przy tokarni, zniszczyły mu nogi z żyłakami jak baty.

Nie wiem, jak odszedł, bo o to nie śmiałybym pytać jego córek Gosi (sędzia) i Ani (była wiceminister infrastruktury) albo Zdzicha, z którym skręcaliśmy na podwórku pani Marii Chmielewskiej drewniane kule.

Gustave Flaubert (1821–1880) w liście do Louise Colet, sierpień 1853, pisał: *To nie perły tworzą naszyjnik; to sznur*. W przypadku kul taką rolę pełniły śruby pana Kazimierza Wypycha z Główna pod Łodzią.

Kazimierz Wypych. Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 25–26 marca 2017 roku.

Halina Wyrodek (14 IV 1946 – 12 VIII 2008)

Joanna Olczak-Ronikier w monografii o Piwnicy pod Baranami 9 razy wspomina Halinę Wyrodek, zaś w książce *Piotr* tylko 2 razy.

Wiadomo, że Halina Wyrodek po protekcji Marty Stebnickiej (1925–2020) przyszła do Piwnicy pod Baranami z Teatru Słowackiego, a za nią pobięł Marian Dziędziel (wykonywał pieśni *Ulbiony mój surdut granatowy*).

Halina Wyrodek nagrała tylko jedną kasetę pt. *Ta nasza młodość* (Wydawnictwo Muzyczne ART-CD), i nic poza tym. Na debiutan-

ckiej kasecie pomieszczono li tylko 13 piosenek i jeden monolog (*Szał* z Jackiem Wójcickim). W sumie: 44 minuty i 42 sekundy. Autorami słów są m.in.: Stanisław Baliński (1898–1984), Stanisław Ignacy Witkiewicz (1885–1939), Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944), Ludwik Jerzy Kern (1921–2010), Wiesław Dymny (1936–1978), Kirkegard, Bolesław Leśmian (1877–1937), Halina Poświatowska (1935–1967), William Szekspir (1564–1616), Tadeusz Śliwiak (1928–1994), A. Kisielewski. Muzyka jest dziełem Leszka Długosza, Marka Grechuty (1945–2006), L. Lica, J. Zielińskiego, Zygmunta Koniecznego, Piotra Walewskiego, Stanisława Radwana. Antologijny wybór wierszy, które warto znać na pamięć, chociażby dlatego, żeby umocnić się przed przyszłością, co jest taka nieznana. W żadnym wypadku nie chcę upraszczać sobie drogi podróżami rzeźmiennym dyszlem, ale... to, co wykonywała Halina Wyrodek, było czymś więcej niż tradycyjnym śpiewem. Wiersz w jej interpretacji, to małe dziełko sceniczne. Niczym zagubiona kropka nad naszym losem. Wyrodek interpretowała wiersze, które są perełkami poezji (*Sonet* Szekspira, *Pustka w domu* Leśmiana, *Koniugacja* Poświatowskiej, *Ta nasza młodość* Śliwiaka, *Zabij ten lęk* Witkacego). To nie tylko z dreszczem się słucha, ale przez lata pamięta. Byłem pod wrażeniem jej entuzjazmu i specyficznego poczucia humoru – z łezką w oku, na szczęście. W wywiadach (rzadko, bo rzadko!) zwykła powtarzać, że wszystko jeszcze przede mną... Ta babka potrafiła postawić na swoim.

Halina Wyrodek ponad 25 lat występowała na scenie (Teatr im. Juliusza Słowackiego, Teatr STU), grała w filmach drugoplanowe role. Mówili, że miała rogałą duszę i artystyczny charakter.

Zamiast pointy przypomnę fragment pieśni, która zwykła kończyć występy *baranów*: *Ona jest wśród kamieni / Rwącym światłem strumyka / Wiewiórkami po drzewach / Po kamieniach pomyka / Ona iskrą w kamieniu / Ona mlekiem w orzeszku / Ona świata ciekawa / Jak miedziany grosik w mieszku (...)* *Ta nasza młodość, ten szczęśny czas. / Ta para skrzydeł zwiniętych w nas...*

Z Jerzy Zagórski (13 XII 1907 – 5 VIII 1984)

Poeta, eseista, tłumacz współtwórca grupy „Żagary”. Żoliborzanin. Po raz pierwszy spotkałem pana Jerzego na IX Ogólnopolskim Festiwalu Poezji w Łodzi, maj 1974 roku. Był taki elegancki, okryty peleryną. W białej koszuli pod krawatem. Mówił soczystą polszczyzną. Wspomniał o mnie półsłówkiem w tekście *Pakowny festiwal poezji* („Literatura” 1974, nr 24). Dzięki temu zrobił mi PR. Oczywiście, że czytałem jego wiersze ocierające się o katastrofizm i klasycyzm. Zupełnie przypadkowo natrafiłem w leksykonie Leśława M. Bartelskiego pt. *Polscy pisarze współcześni 1939–1991* (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995) na wzmiankę o tym, że Jerzy Zagórski w 1947 roku wydał tomik poetycki pt. *Wieczór w Wieliszewie*. Do Wieliszewa-Kwietniówki zaprosił Jerzy Zagórski na początku lipca 1944 roku Krzysztofa i Barbarę Baczyńskich. Tu żagarysta wynajmował dom. Ba! Nawet napisał liryk pt. *Wieczór w Wieliszewie. Kończy się czerwiec. O tej porze roku / Wrzos w najgęściejszej zieleni przypływie / W sosnowym borze pokonał igliwie / I ziemię dźwiga z brązowego mroku. // Ale weselsza od wrzosów mietlica, / Która ma barwę słońca w chmurze piasku, / Jakbyś słomiany fiolet w srebrnym kasku / Zbełtał i rozlał po tych okolicach. // Jeszcze zwycięża wszędzie wzrostem wrzosa / I ona sprawia, że rozchodnik żółty, / Mech oliwkowy i liliowa smółka / Swoje przyziemne przytańczy głośy. // Tak, przyjacielu. Przy wzgórzach jałowych / Możesz niejedną dzień tu przeżyć w kwiatach, / Nim wieczór w jakichś Szopena poświęciach / Zagra na sosen organach pąsowych. / (...)*

Jerzy Zagórski w szkicu *Śmierć Słowackiego* pisał: (...) *Już rydwan historii zbliża się ku krzykom płonącej Warszawy. Już są lipcowe pierwsze dni. I teraz była ostatnia okazja, gdy mogłem jeszcze powstrzymać ich dwoje od uczestnictwa w o f i e r z e. Są pierwsze dni lipca i jest piękny las w widłach Wisły i Narwi. (...)*

Nie umiałem Krzysztofa i pani Basi zatrzymać w tym lasku, gdzie choć na krótko ich ściągnęliśmy, by płuca sobie podkurowali żywicą gestych sosenek, by organizmy wzmocnili dostatnim posiłkiem. Po swoich

krótkich wczasach odeszli ku stacyjce za cienie drzew – dwoje zgarbionych dzieci (...).

Elżbieta Zagórska, córka poety, po latach wyzna: (...) Oczywiście do naszego domu na Bielanach przychodzili też poeci, i to w bardzo różnym wieku. W czasie wojny odwiedzali nas m.in. Krzysztof Baczyński, Tadeusz Gajcy [(1922–1944)] i inni z tego grona. Lato przed powstaniem warszawskim spędziliśmy w Wieliszewie (w okolicach Legionowa), gdzie ojciec wynajął dom letniskowy. Tam przyjechał Baczyński z żoną. Najpierw rodzice podkarmili jego i Basię. Ojciec mówił, że kiedy odchodzili w stronę Warszawy, to miał uczucie, że powinien ich zatrzymać, aby nie wzięli udziału w powstaniu, bo już było wtedy wiadomo że wybuchnie. Mój ojciec był wielkim przeciwnikiem powstania w odróżnieniu od swego brata Wacława. Potem winił się za to, że ich nie zatrzymał (...) (Dom otwarty. Z Elżbietą Zagórką, córką pisarza Jerzego Zagórskiego i bratanicą wieloletniego redaktora londyńskiego „Tygodnika Polskiego” Wacława Zagórskiego, rozmawia Katarzyna Bzowska, „Odra. Miesięcznik” 2014, nr 3).

Dopowiem, że w Wieliszewie, który leży koło Zegrza, miałem na działce teściów taką oto poetycką przygodę. Latem 1987 roku przejechałem do Wieliszewa. Wziąłem ze sobą poezje Bolesława Leśmiana i jednego dnia przebrałem jego wiersze, oparty o sosnę, które ukazały się pt. *Poezje wybrane*. Biblioteka Poetów, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1989, ss. 162.

Tak więc jestem drugim człowiekiem, który zahaczył o Wieliszew. Pierwszym był Jerzy Zagórski, mój starszy kolega-poeta, co wieczorami zapraszał kartki wierszami o Wieliszewie. Ja za dnia uporałem się z wyborem wierszy miłosnych Leśmiana, jak antologista. Wspominam o tym tak na marginesie, bo znam swoje miejsce w szeregu. Wiem, gdzie jest moja półka. W bibliotece. I nie tylko.

Wspomnienia (3) [Jerzy Zagórski (13 XII 1907 – 5 VIII 1984) Wspomnienie, „ReWiry” 2021, nr 1(4), styczeń–marzec, Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 2021].

Zbigniew Zapasiewicz (30 VII 1928 – 24 IV 2010)

Do jego sztuki aktorskiej miałem słabość, choć tylko dwa razy widziałem go na scenie teatralnej (*Kubuś Fatalista*, *Pan Cogito*). O swoim podziwie raz tylko pisałem (*Powrót pana Cogito*, „Radar. Miesięcznik pracy twórczej” 1981, nr 11). To była esencja literatury. O jego rolach w filmach nic nie wiem, bo za mało ich oglądałem, żeby wydać opinię. Potrafił powiedzieć wiersz, że strofy dostawały skrzydeł. To się słyszało. Na ogół aktorzy przytulają się do poezji jak do jeża. I nie ma co tego ukryć. Zbigniew Zapasiewicz i Wojciech Siemion (1928–2010) radzili sobie z wierszami i prozą – to mówiło o ich klasie.

Dnia 5 czerwca 1994 roku w Polskim Radio, Program II, o godz. 9.50, emitowano *Wiersze z gazet i czasopism, poetycki przegląd prasy pod redakcją Wacława Tkaczuka*, w całości poświęconych ks. Janowi Twardowskiemu („Magazyn – Słowo Dziennik Katolicki” nr 22). Oniemiałem, kiedy usłyszałem, jak interpretuje *Balladę dla x. Jana od Biedronki* – mój nieudolny poemat, napisany w przepływie dobrego humoru. Ballada jak ballada. Ale wykonanie, toż to był majstersztyk!

W 2005 roku w warszawskim kościele sióstr wizytek obchodzono 90-lecie urodzin ks. Jana Twardowskiego, na którym pojawił się Zbigniew Zapasiewicz. Mignęła jego sylwetka. Przez chwilę przeszło mi przez głowę, żeby podejść i podziękować, ale... w porę się opamiętałem. Że jednak nie. Nieśmiałość kazała mi zostać w nawie bocznej, pod filarem.

Z wielką przyjemnością słuchałem jego głosu. Zaimponował mi tym, że rzadko udzielał wywiadów prasowych, radiowych, telewizyjnych. Mam jego wypowiedź o tym, co się stało po 1989, do którego nieraz powracam, gdy tracę humor (*Ekshibicjonizm w teatrze to nie jest sztuką*, „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 164; z rozmowy Zbigniewa Zapasiewicza z Katarzyną Bielas opublikowanej w „Magazynie. Gazety Wyborczej” z 1998 roku). Expressis verbis: *Młodzi*

ludzie teraz, tzn. po 1989 r., żyją zupełnie w innym świecie. Wśród nowych rekwizytów. Robiłem z moimi studentami np. «W malinowym chruśniaku» Leśmiana, ale jakoś nie mogliśmy się porozumieć. Nie z powodu jakiejś niechęci, tylko dlatego, że oni tego świata nie rozumieją. Nie rozumieją tej muzyki łąki, w której brzęczą pszczoły i idzie Dusiołek... Ani tego, że ktoś się tam kocha, w tym upale, w tych malinach. Nie czują tego. Teraz jedzie się samochodem, puszcza radio i idzie w krzaki. To pewien skrót, ale świat moich studentów jest naprawdę inny. To świat dyskotek, zbrutalizowany, dużo prostszy. Nie mówię, że teraz nie ma ludzi wrażliwych, ale że oni mają inny typ ucha, zmysłowości. Nie mówię, że gorszą, tylko inną.

Andrzej Zaucha (12 I 1949 – 10 X 1991)

Andrzej Zaucha miał znakomity debiut w krakowskim zespole „Dzamble” (1968–1971), który grał w składzie: Jerzy Horwath (fortepian, organy), Marian Pawlik (gitara basowa, gitara), Jerzy Bezucha (perkusja). Potem różnie się toczyła jego kariera. Chyba za bardzo szastał sobą. I takie przypadki się często zdarzają. Ale zawsze wnosił coś niekonwencjonalnego w polską muzykę rozrywkową. Jego utwory to takie *wesołe smutki*. Albo inaczej: bezsenne piosenki. Na pewno może się to podobać. Z przyjemnością powracam do utworów z końca lat 60. XX wieku: *Masz przewrócone w głowie, Wymyśliłem Ciebie, Szczęście nosi Twoje imię, Wołanie o słońce nad światem*.

Andrzej Zaucha (12 I 1949 – 10 X 1991). Wspomnienie, „Gazeta Wyborcza Stołeczna” z 20 listopada 2013 roku.

Jadwiga Żukowska (13 VII 1922 – 4 VIII 1996)

Po raz I. spotkałem panią Jadwigę u pani Katarzyny Fludrowej. Siedzieliśmy przy stole, ulica Kościelna 13, Wleń, dawne woj. jeleniogórskie. Było to w latach 80. XX wieku. Przyjechałem odwie-

dzić spalone sanatorium dziecięce PKP „Leśny Dwór”. Po prostu Michał Fluder mnie zaprosił.

Wspaniale było. Poczułem się jak w rodzinie, do której nie musiałem się przyszywać. Udało mi się w dzieciństwie przejść przez ucho igielne, więc miałem wprawę jak się zrywa nitkę ze szpulki pamięci.

Nagle ktoś puka w drzwi. Proszę! Czekaliśmy na panią – mówię. W progu stanęła pani Jadwiga z siatkami. Podeszła i zagadała: *Mirek, nic się nie zmieniłeś!* Pocałowałem ją w rękę, a potem w policzki. I zrobiło się od razu ciepłej. Swojsko. Polsko.

Usiedliśmy do stołu i wspominaliśmy dawne lata. I z tych wspomnień i zasiedzeń nie mógł nikt nas wyrwać, nawet dzwony, co biły na Anioł Pański.

Za bardzo nie pamiętałem jej, za to ona wracała myślami do czasów nie tak odległych. Zrobiło mi się głupio, niestety.

A jak wracaliśmy z Góry Zamkowej, to szliśmy z Michałem przez rynek (Plac Bohaterów Nysy), gdzie pani Jadwiga sprzedawała owoce oraz warzywa i kupowaliśmy, co jej zostało, żeby mogła wrócić do domu, a nie stać na wleńskiej agorze, gdzie pomnik Gołębiarki i ratusz pod brzozą. Michał zanosił płody ziemi do matki.

W sobotę pani Jadwiga, o szarej godzinie, wpadała do pani Fludrowej jak po ogień. *Pani Katarzyno, przyniosłam kurczaka na rosół* – mówiła. Była piastunka z „Leśnego Dworu” broniła się od podarunku. Odpowiadała zgodnie z prawdą, że przygotowuje królika z frytkami i buraczkami. I trwały kobiece przekomarzania. Ostatecznie wszystko zostało załatwione polubownie.

W niedzielę nie zabrakło rosółu z kurczaka (pani Jadwigi) oraz upieczonego królika (pani Katarzyny). Tak było, nie cyganię.

Pani Żukowska to była zapracowana kobieta. Cały czas na nogach. Wstawiała ze świtem, późno chodziła spać. Wszędzie jej było pełno. O wszystkim wiedziała. Dla mnie była jak gazeta, która mówi – w narracji oszczędna, choć czasami waliła kawę na ławę. Przy mnie trochę się krygowała, żebym jej czasami nie opisał. Po jej rękach

widać było, że nie boi się żadnej pracy, jak Irena Kwiatkowska (1912–2011), aktorka. Narzekała czasami na syna, że leń i obibok. Ale mówiła to z matczyną troską. Broniełam pierworodnego, mówiąc, że ja też taki jestem. A ona prostowała: *Gdzie tam?!*

Zawsze, jak przyjeżdżałam do Wlenia, wpadała do pani Fludrowej i nigdy nie przychodziła z pustymi rękoma. Miała coś dla gościa. To było takie miłe i sympatyczne.

Oczywiście, że z panią Żukowską zatracaliśmy się we wspomnieniach, które pięknieją po latach, bo wyłuszczają się nasiona jak z szyszki sosny albo świerka. Siedziałem z dwoma niewiastami, które dbały tak o mnie, jakbym nie był przyjezdny, tylko swój.

I pomyśleć, że dwie kapłanki domowego ogniska już nie żyją. Nie mam nawet zdjęcia, jak z nimi rezyduję przy prostokątnym stole przykrytym ceratą, co ziębi, oraz chroni przed wilgocią. (Tu odsiadaliśmy w nagrodę, że mamy tyle wspomnień).

Pani Katarzyna (1918–2004) kameralnie się wyżywała, zaś jej sąsiadka, pani Jadwiga, na agorze. Albo inaczej: Pani Jadwiga wiecznie zabiegana – pani Katarzyna przygaszona, w zapasce i świeżym fartuszk. Na nogach do późnej nocy, bo w domu nie przerobi się roboty.

Byliśmy różni, jedynie wspomnienia nas ożywiały. Poza tym towarzyszyły nam koty i pies Gucio. I tego wszystkiego już nie ma. Zostałem tylko ja – świadek, że tak było. Że to się nie powtórzy. W gramatyce znaczyło tyle, co rzeczownik (*ja*), przymiotnik (*żywy*), czasownik (*być*).

Innymi słowy, na miarę życia. Każdy z nas ma opowieść na swoją miarę, którą toczy koło losu.

PS

W 17 odcinku cyklu, jaki piszę na Ursynowie na wleńską witrinę internetową, wystarczą imiona i nazwisko. Dwa imiona to pomysł rodziców – Czesław dostałem po ojcu. Od lat na mnie mówią *Mirus* albo *Czesław*. Jeden z publicystów warszawskich to nawet tak się zagalopował, że nazwał mnie *Mirusiem I z okolic „Kwitnącej Jab-*

łoni”. Moja siostra ma na pierwsze imię Czesława, zaś na drugie Bożena. Oczywiście, że na nią wszyscy mówią *Bożenka*. Zdrobniale. To tak na marginesie. *cms*

[*I posuwam się dalej...*]. Jadwiga Żukowska (13 VII 1922 – 4 VIII 1996). *Wspomnienie. Na miarę Wlenia* (17) [w:] wleninfo.pl, 28 kwietnia 2019 roku, niedziela; <http://wleninfo.pl/?p=3435>.

Posłowie

W spisie treści *Drugiego alfabetu*, 1997, wydanego własnym sumptem, zamieściłem teksty o żywych i umarłych. Było wśród nich sporo hagiografii, więc mijałem się czasami z prawdą.

Oto lista:

Andersen Hans Christian

(1805–1875)

Baczak Jacek

Baczyński Krzysztof Kamil

(22 I 1921 – 4 VIII 1946)

Baka Józef, ks.

Bartol Agnieszka (1978–1990)

Beckett Wendy, siostra

Bellon Wojciech (1954–1985)

Błażniak Tadeusz

Józef Chodecki (1903–1969)

Chodorowski Antoni

Ciołek Erazm

Czechowicz Józef

(15 III 1903 – 9 IX 1939)

Czernik Józef

Dawidowicz Włodzimierz

Dębek Jan (14 X 1946 – 13 IV 1984)

Dolecki Zbigniew

(11 VII 1930 – 13 VIII 1990)

Eidrigėvičius Stasys

Fiszer Franciszek

(25 III 1860 – 9 IV 1937)

Fredro Aleksander (1793–1876)

Fluder Katarzyna

Fluder Michał

(28 V 1945 – 12 III 1989)

Gajcy Tadeusz

(8 II 1922 – 16 VIII 1944).

Gałązka Marek

Gałczyński Konstanty Ildefons

(23 I 1905 – 6 XII 1953)

Garczarek Andrzej

Gąsiorowski Ignacy, Igoń

Gielniak Józef

(18 II 1932 – 15 V 1972)

Godlewska Ewa, s. Anna Teresa

Górecki Andrzej

Górski Wojciech

(23 IV 1849 – 11 II 1935)

Gruszka-Zych Barbara

Gugulski Ireneusz

(24 VI 1935 – 29 VI 1990)

Hansen Rick

Iwanowska Aleksandra

Jan Paweł II

Janeczek Zbigniew

Jastrzębski Jan

Jerzyna Zbigniew

Kalina Andrzej

Kamionka Henryk

Karpowicz Marek

Kawecka Eugenia, Ciocia Enia

(28 VII 1905 – 20 VIII 1989)

Kazanecki Wiesław

(10 I 1939 – 16 XI 1987)

Kielanowski Tadeusz, prof.

Kleymont Wacław

Kofta Jonasz

(28 XI 1942 – 19 IV 1988)

- Kolary Barbara
 Kołtuńska Halina
 (29 XI 1934 – 26 III 1986)
 Kondrak Jan
 Krzysztoń Antonina
 Krzywicka Irena
 (28 V 1899 – 12 VII 1994)
 Kukliński Janusz
 Kutyló Jola
 Lament Wanda
 Laszkowa Jadwiga
 Lebenthal Dora
 Leśniak Kazimierz
 Malinowska Wanda (1922–1945)
 Maliszewski Hubert
 Marinow Mirosława
 Maśluszczak Franciszek
 Matka Teresa z Kalkuty
 Matyjas Remigiusz
 Mętrak Krzysztof
 (1 II 1945 – 4 VIII 1993)
 Michalec Julian, ks.
 Milczewski-Bruno Ryszard
 (18 II 1940 – 17 V 1979).
 Miodek Jan, prof.
 Młynarski Wojciech
 Jan Myszkiewicz
 (30 IX 1910 – 17 II 1981)
 Nikifor
 (21 V 1895 – 10 X 1968)
 Nowak Tadeusz
 (11 XI 1930 – 10 VIII 1991)
 Olizarowski Tomasz August
 (18 II – 3 V 1879)
 Ostrowska Eda
 Oszejca Wacław, ks. SJ.
- Pasierb Janusz, ks.
 (7 I 1929 – 15 XII 1993).
 Pąg Joanna
 Pio, ojciec (25 V 1887 – 23 IX 1968)
 Płoński Jadwiga i Witold
 Poświatowska Halina
 (9 V 1935 – 11 X 1967)
 Przybora Jeremi
 Przyboś Julian
 (5 III 1901 – 6 X 1970)
 Rajczak Feliks
 (30 VII 1938 – 14 IV 1987)
 Ratoń Kazimierz
 (4 III 1942 – 14 I 1983)
 Różański Wincenty
 Ruszkiewicz Maria
 Ruzik Ryszard
 Rychwalska Jolanta
 Stachura Edward
 (18 VIII 1937 – 24 VII 1979)
 Staff Leopold
 (14 XI 1878 – 31 V 1957)
 Szczepaniak Czesław
 (9 II 1930 – 18 X 1986)
 Szczurek Witold
 Szmidt Andrzej
 Szymanowicz Włodzimierz
 (3 IX 1946 – 4 III 1967)
 Szymański Feliks
 Szymborska Wiśława
 Tkaczuk Wacław
 Andrzej Trzebiński
 (27 I 1922 – 12 XI 1943)
 Twardowski Jan, ks.
 Tren [Władysław Broniewski,
 Marcus Tullius Cicero, Marian

Grześczak, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kamińska, Jan Kochanowski, Ryszard Milczewski-Bruno, Jerzy Szatkowski, Adriana Szymańska]
Urban Rafał
(24 VII 1893 – 12 I 1972)
Walszewski Zbigniew
Wilmański Jerzy

Wróbel Paweł
(19 VI 1913 – 19 I 1984)
Andrzej Wróblewski, Ibis
Zachert Isabel
Zagajewski Stanisław
Zawitkowski Józef, ks. bp.
Zelenay Anna
(3 III 1925 – 18 IX 1970)
Ziemianin Adam

Czwarty alfabet to wybór ramek do portretów osób, które przypominały, że mamy obowiązek ocalić własne marzenia, póki żyjemy, i pośpieszać z odsieczą do wspomnień o tych, co odeszli. Na zawsze.

Niektóre teksty publikowałem na łamach gazet, żeby się przetarły *światłem druku* lub w internetowym wydaniu.

W sylwicznym alfabcie jest *samo życie* lub, inaczej, *życie po życiu*. To nie są pozgonne panegiryki.

Alfabet należy do ksiąg wagi ciężkiej, którą powinno się lekko napisać.

Jestem tylko poetą-kronikarzem, lirykiem, co uzupełnia fiszki i czyta, tj. pochylam się nad *światłem druku*. Poza tym skrobię teksty z akapitem z lewej, czyli z *chorągiewką*. Piszę o ludzkich sprawach w żelaznych czasach (i nie tylko).

Oczywiście, że jestem skazany na więzienie, ale... z własną celą.

Pochodzę ze wsi Kopana, co leży między Tarczynem a Grójcem, więc z zasad nie robię kwasów. Jak kopać to kopać i nie sadzić się – a jeżeli już, to szczepić szlachetniejszym pędem.

Alfabet ma zawsze podtekst sentymentalny; resztę można usłyszeć w szeleście starych kart *dykcyonarzy biograficzno-historycznych*, co na szlaku kwerend, więc można celować w słowa, co liczą się ze zdaniem.

Nie będę wpadał w ton elegijny jak Antoni Malczewski (1873–1826) w wierszu publikowanym w „Ateneum” 1876, zeszyt IV:

*O, jak przykro do swoich wracać bez nadziei! / Toczy się hucznie powóz
w znajomej kolei, / Mija znane przedmioty, ojczyste zagony, / Ale widok
ich dla mnie kirem osłonięty. / Ach, czemuż tak jak dawniej o szczę-
ściu nie marzę? / Gdzież te, co się tak lubo uśmiechały, twarze? / Gdzie
te serca, co чуły każde serca mego bicie? / Znikły – przez chwilę tylko
ozdobiły życie – / Jak promień, co z obłoków na samotne góry / Błyśnie,
i znów go skryją wiatrem gnane chmury, / Teraz cicho – żadne mnie nie
witają głosy – / Tylko wiatr jęczy smutnie, uginając kłosa.*

Piszę o tych, na których już postawiono przysłowiowy krzyżyk (†). Podaję imię/imiona i nazwisko, zaś w nawiasie zaznaczam dwie daty, tj. kiedy przyszli oraz ruszyli tam, gdzie czas przeszedł się zacięra. Więc się w moim alfabecie zbiegli.

Bibliografia alfabetów, jakie wydałem

- Drugi alfabet*, Warszawa-Ursynów 1997, nakładem własnym.
- Alfabet w wielkanocnym nastroju*, Warszawa-Ursynów 2003, nakładem własnym.
- Alfabet między życiem a śmiercią*, Warszawa-Ursynów 2004, nakładem własnym.
- Alfabet warszawski (bardzo subiektywny)*, Warszawa-Ursynów 2004, nakładem własnym.
- Alfabet na Pamiątkę*, Warszawa-Ursynów 2005, nakładem własnym.
- Alfabet na jaju pisany*, Warszawa-Ursynów 2005, nakładem własnym.
- Alfabet wokół ronda ONZ*, Warszawa-Ursynów –Mirów 2005, nakładem własnym.
- Alfabet o choince*, Warszawa-Ursynów 2005, nakładem własnym.
- Alfabet o Wacławie z Białolasu*, Warszawa-Ursynów 2006, nakładem własnym.
- Alfabet z pamięci. Kiedy myślę Zduńska Wola, to...*, Warszawa-Ursynów 2007, nakładem własnym.
- Alfabet o ciuchci (peregrynacje sentymentalne)*, Warszawa-Ursynów 2007, nakładem własnym.
- Alfabet śliwkowy*, Warszawa-Ursynów 2009, nakładem własnym.
- Alfabet bananowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2009, nakładem własnym.
- Alfabet pestkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2009, nakładem własnym.
- Alfabet z Ochotą pisany*, Warszawa-Ursynów 2010, nakładem własnym.
- Alfabet malinowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach*, Warszawa-Ursynów 2010, nakładem własnym.
- Dosyp słów, czyli alfabet z subiektywnym objaśnieniem*, Warszawa-Ursynów 2010, nakładem własnym.

Alfabet mikołajkowy, Warszawa-Ursynów 2010, nakładem własnym.

Alfabet truskawkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach, Warszawa-Ursynów 2011, nakładem własnym.

Alfabet poziomkowy. Z cyklu: Wielka księga o sadach, owocach i pestkach, Warszawa-Ursynów 2011, nakładem własnym.

Łódzkim sznytem, Warszawa-Ursynów 2013, nakładem własnym.

Alfabet z Główna wzięty, Warszawa-Ursynów – Główno 2013, nakładem własnym.

Glosariusz wleński. Alfabet z listów i kartek od Michała Fludra, pod redakcją Czesława Mirosława Szczepaniaka, Warszawa-Ursynów – Wleń 2014, nakładem własnym.

Alfabet bez szkolnej wymówki, Warszawa-Ursynów 2015, nakładem własnym.

Trzeci alfabet. Wspomnienia z okolic Kwitnącej Jabłoni, Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2020.

Alfabet wąskotorowy, Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie, Tarczyn 2020.

W spisie treści *Drugiego alfabetu*, 1997, wydanego własnym sumptem, zamieściłem teksty o żywych i umarłych.

Było wśród nich sporo hagiografii, więc mijałem się czasami z prawdą. *Trzeci alfabet. Wspomnienia z okolic Kwitnącej Jabłoni* (Wydawca: Gminy Ośrodek Kultury w Tarczynie, 2020) potraktowałem po kumotersku. Nikogo nie rozliczałem z owoców życia ani z pąków dzieciństwa oraz kwiatów młodości. W spisie treści znaleźli się ludzie przypisani ziemi grójecko-tarczyńskiej oraz piaseczyńskiej.

Czwarty alfabet to wybór ramek do portretów osób, które przypominały, że mamy obowiązek ocalić własne marzenia, póki żyjemy, i pośpieszać z odsieczą do wspomnień o tych, co odeszli. Na zawsze.

Upprzedzam, że nie są to pozgonne panegiryki.

